

Ludmiła Ulicka

Szczerze oddany Szurik

Tłumaczenie: Elżbieta Zych

Z wyrazami wdzięczności Nataszy Czerwińskiej \* czytelnikowi, doradcy, lekarzowi

1.

Ojciec dziecka, Aleksander Zygmuntowicz Lewandowski

\* o demonicznej i cokolwiek przygasłej już urodzie, z zagiętym nosem i kręconymi kędziorami, które po pięćdziesiątce, godząc się z nieuchronną utratą młodości, przestał farbować \* od wczesnego dzieciństwa zapowiadał się na muzycznego geniusza. W wieku lat ośmiu wożono go z koncertami jak młodego Mozarta, ale gdy skończył lat piętnaście wszystko się zastopowało, jakby zgasła gdzieś w niebiosach gwiazda jego szczęścia. Młodzi przeciętni pianiści zaczęli go wyprzedzać i on, skończywszy z wyróżnieniem kijowskie konserwatorium, stopniowo przekształcił się w akompaniatora. Akompaniatorem był wrażliwym, dokładnym, można powiedzieć wyjątkowym, występował z najlepszymi skrzypkami i wiolonczelistami, którzy o niego nawet trochę walczyli. Ale wymieniany był w drugiej linijce. W lepszym przypadku pisano na afiszu „partia fortepianu”, w gorszym

\* dwie litery „ak.”. To właśnie to „ak.” stanowiło nieszczęście jego życia, zawsze leżało na wątrobie. Według poglądów starożytnych podobno wątroba najbardziej cierpi z zawiści. W te hipokratesowe głupstwa, naturalnie, nikt nie wierzył, jednak wątroba Aleksandra Zygmuntowicza w rzeczy samej była poddawana atakom. Chociaż przestrzegał diety, od czasu do czasu żółkł, chorował i strasznie się męczył.

Z Wieroczką Korn poznali się w najlepszym roku jej życia. Właśnie wstąpiła do Tairowskiego studia, jeszcze nie zdążyła zyskać reputacji najslabszej kursantki, rozkoszowała się ciekawymi zajęciami i marzyła o wielkiej roli. Były to przedschyłkowe lata Teatru Kameralnego. Główny teatrolog kraju jeszcze nie wypowiedział swojej świętej opinii o teatrze, nazywając go „prawdziwie burżuazyjnym” \* zrobił to kilka lat później, jeszcze królowała Alisa Koonien, a Tairow istotnie pozwalał sobie na takie „prawdziwie burżuazyjne” szaleństwa, jak wystawienie Egipskich nocy. W teatrze tradycyjnie żegnano stary i witano Nowy \* trzydziesty piąty \* Rok, a wśród mnóstwa rozrywek, jakim oddawali się pomysłowi aktorzy w tę długą noc, był konkurs na najpiękniejszą nóżkę. Aktorki szły za kurtynę i każda, podnosząc jej skraj, cnotliwie wystawiała do obejrzenia anonimową nogę od kolana po koniuszki palców.

Osiemnastoletnia Wieroczka wystawiła łydkę w taki sposób, żeby staranna cera na pięcie była niewidoczna i o mało nie zemdląła ze szczęścia, kiedy ją właśnie wyciągnięto zza kurtyny i nałożono na nią fartuszek, na którym wielkimi srebrnymi literami było napisane „Mam najpiękniejszą nóżkę na świecie”. Do tego wręczono kartonowy bucik, wykonany w teatralnej pracowni, pełen czekoladowych cukierków. Wszystko to, razem ze skamieniałymi cukierkami, długo jeszcze było przechowywane w dolnej szufladzie sekretarzyka jej matki Jelizawiey Iwanownej, która nieoczekiwanie okazała się czuła na sukces córki w dziedzinie, leżącej, według jej wyobrażeń, poza granicami przyzwoitości.

Aleksandra Zygmuntowicza, który przyjechał z Pitra na występy, zaprosił na tę zabawę sam Tairow. Arystokratyczny

gość przez cały wieczór nie odstępował Wieroczki i wywarł na niej głębokie wrażenie, a nad ranem, gdy bal się skończył, własnoręcznie nałożył na nagrodzoną nóżkę filcowy bucik, śmiała wariację rosyjskiego walonka, ale na wysokim obcasie, i odprowadził ją do domu, do Kamiergierskiego

Zaułka. Było jeszcze ciemno, powoli padał rekwizytowy śnieg, teatralnym żółtym światłem świeciły latarnie i ona czuła się główną aktorką na ogromnym scenicznym placu. Jedną ręką tuliła do siebie zawinięte w gazetę odświętne pantofle rozmiar trzydziesty czwarty, druga jej ręka błogo spoczywała na jego rękawie, a on deklamował jej niemodne wiersze będącego w niełasce poety. Tego samego dnia on wyjechał do swojego Leningradu, zostawiając ją w całkowitym odurzeniu. Obiecał niebawem przyjechać. Ale mijał tydzień za tygodniem, a wielkie oczekiwanie serca pozostawiło Wieroczce jeden tylko gorzki osad.

Zawodowe sukcesy Wieroczki były niewielkie, ponadto baletmistrzyni, która uczyła współczesnego tańca w stylu Isadory Duncan, bardzo jej nie lubiła, nazywała ją teraz nie inaczej jak „najpiękniejsza nóżka” i nie przepuszczała najmniejszej pomyłki. Biedna Wiera wycierała łzy rąbkiem starogreckiego chitona z iwanowskiego perkalu i nie trafiała w takt ekstatycznej muzyki Skriabina, przy której kursantki ćwiczyły, wyrzucając energicznie pięści i kolana, żeby przekazać nieuchwytnego ducha buntowniczej muzyki w prezentowanych obrazach.

W jeden z najbrzydszych dni tej wiosny przy służbowym wejściu spotkał Wierę Aleksander Zygmuntowicz. Przyjechał do Moskwy na dwa tygodnie na nagranie kilku koncertów wybitnego skrzypka, światowej sławy. W pewnym sensie była to szczęśliwa chwila jego życia: staromodnie wychowany skrzypek odnosił się do Aleksandra Zygmuntowicza z wielkim szacunkiem i, jak się okazało, pamiętał o jego dziecięcej sławie. Nagranie szło doskonale. Cierpiąca miłość własna pianisty po raz pierwszy od lat wczesnej młodości odpoczywała, rozluźniona i wygładzona. Wspaniała dziewczyna o szaroniebieskich oczach drżała już od samej jego obecności \* jedno natchnienie karmiło się drugim...

Co się tyczy młodej Wieroczki, cały rok szkolny pilnie studiującej tairowskie „emocjonalnie nasycone formy”, tej wiosny raz na zawsze straciła poczucie granicy między życiem i teatrem, „czwarta ściana” runęła i od tej pory ona grała spektakl swojego osobistego życia. Zgodnie z ideami czcigodnego nauczyciela, wymagającego od swoich aktorów wszechstronności \* od misterium do operetki \* jak sam mówił, Wieroczka tej wiosny odgrywała przed umiłowanym Aleksandrem Zygmuntowiczem emploi „ingenieur dramatique”.

Dzięki jednoczesnym wysiłkom przyrody i sztuki romans był czarujący \* z nocnymi spacerami, kolacjami we dwoje w maleńkich gabinetach najlepszej restauracji, różami, szampanem, śmiałymi pieszczotami, dającymi obojgu rozkosz, możliwe, że większą niż ta, którą przeżyli ostatniej moskiewskiej nocy przed odjazdem Aleksandra Zygmuntowicza, w godzinie całkowitej kapitulacji Wieroczki przed przeważającymi siłami przeciwnika.

Szczęśliwy zwycięzca odjechał, pozostawiając Wieroczkę w słodkim odurzeniu świeżych wspomnień, spośród których stopniowo zaczął się wyłaniać prawdziwy obraz jej przyszłości. On zdążył jej opowiedzieć, jak bardzo jest nieszczęśliwe jego życie rodzinne: psychicznie chora żona, mała córeczka z urazem poporodowym, władczą teściową z charakterem feldfebla. Nigdy przenigdy nie może zostawić tej rodziny... Wieroczka zamierała z zachwytem: jakież on szlachetny! I swoje osobiste życie zaprzagnęła natychmiast złożyć mu w ofierze. Niech będą długie rozstania i krótkie spotkania, niech choćby drobna cząstka jego uczuć, jego czasu, jego osoby należy do niej \* ta cząstka, którą on sam zechce jej poświęcić.

Ale to już była inna rola \* nie przemienionego Kopciuszka, stukającego szklanymi obcasami po nocnej jezdni przy świetle dekoracyjnych latarni, a potajemnej kochanki, stojącej w głębokim cieniu. Z początku wydawało się jej, że jest gotowa grać tę rolę do końca życia, swojego lub jego: kilka długo oczekiwanych spotkań na rok, pełne milczenia przerwy między nimi i jednakowe tęskne listy. Tak minęły trzy lata i w życiu Wiery zaczął pojawiać się posmak smutnego kobiecego nieszczęścia.

Kariera aktorska, która na dobre nie zdążyła się zacząć, skończyła się \* zaproponowano jej odejście. Opuściła zespół, ale pozostała w teatrze, pracując jako sekretarka.

Wtedy właśnie, w trzydziestym ósmym, po raz pierwszy spróbowała zerwać męczący związek. Aleksander Zygmuntowicz pokornie przyjął jej wolę i pocałował w rękę, odjechał do swojego Leningradu. Jednak Wieroczka nie wytrzymała nawet dwóch miesięcy, sama go wezwała i wszystko zaczęło się od nowa.

Schudła i, zdaniem koleżanek, zgłupiała. Pojawiły się pierwsze oznaki choroby, jeszcze nierozpoznanej: oczy błyszczały metalicznie, czasami jakaś grudka wzięła w gardle, nerwy były rozstrojone i nawet Jelizawieta Iwanowna zaczęła się cokolwiek obawiać domowych hysterii Wieroczki.

Minęły jeszcze trzy lata. Częściowo pod naciskiem Jelizawiey Iwanownej, po części z chęci zmiany swojego, jak teraz oceniała, nieudanego życia, znowu zerwała z Aleksandrem Zygmuntowiczem. On też był zmęczony tym trudnym romanssem, ale pierwszy nie zdecydował się na ostateczny krok: kochał Wieroczkę bardzo głęboko, a nawet wzniosłą miłością \* zawsze, kiedy przyjeżdżał do Moskwy. Swoim namiętym i afektowanym zakochaniem ona karmiła jego nieszczęsną i chorą miłość własną. Tym razem rozstanie prawie się udało, nadchodząca wojna na długo ich rozłączyła.

Do tego czasu Wieroczka już straciła swoją nędzną posadę sekretarki, wyuczyła się skromnego rzemiosła buchaltera, ale biegła na próby, skrycie przymierzała się do niektórych ról, szczególnie podobała jej się rola madame Bovary. Ach, żeby nie Alisa Koonien! Wówczas mogłoby się jeszcze wszystko cofnąć i jeszcze wyszłaby na scenę w bareżowej sukni, wykończona trzema bukietami drobnych różyczek, otoczona zielenią i przeszłaby krokiem kadryla z bezimiennym wicehrabią po majątku Vaubeysard... To była taka zaraza, o której wiedzą tylko rekonwalescenci. Wiera próbowała, nie porzucając teatru, uwolnić się od teatralnej zależności, posiadała nawet wielbiciela, jak to się mówi „z publiki”, wyjątkowo pozytywnego i także bezmózgiego Żyda zaopatrzeniowca. Oświadczył się jej. Ona, przepłakawszy całą noc, odmówiła mu, dumnie oświadczając, że kocha innego. Czy to Wiera miała jakiś feler, czy też nie całkiem orientowała się w realiach czasów, ale jej krucha tkliwość, wewnętrzna gotowość natychmiastowego wpadania w zachwyty i duchowa subtelność, która była modna w, powiedzmy, czechowowskich czasach, absolutnie nikogo nie olśniewała w bohaterskim okresie wojny i powojennego budownictwa socjalistycznego... Cóż, nikogo to nikogo... Ale, do licha, nie zaopatrzeniowca...

Potem była ewakuacja do Taszcentu. Jelizawieta Iwanowna, docent Instytutu Pedagogicznego, nalegała, żeby córka zwolniła się z teatru i pojechała z nią.

Ewakuowany Aleksander Zygmuntowicz trafił do Kujbyszewa, jego nieszczęsna rodzina nie zdążyła wyjechać i zginęła podczas blokady Leningradu. W Kujbyszewie ciężko chorował, trzy zapalenia płuc pod rząd o mało nie wpędziły go do grobu, ale wyratowała go pielęgniarka, miejscowa silna Tatarka. Ożenił się z nią z powodu samotności i słabości.

Kiedy po wojnie Wieroczka i Aleksander Zygmuntowicz spotkali się, wszystko zaczęło się od nowa, ale w trochę zmienionych dekoracjach. Ona pracowała w Teatrze Dramatycznym, gdzie została księgową. Lubiła teraz zamiast Alisy Koonien Marię Iwanownę Babanową, chodziła na jej spektakle, nawet uśmiechały się do siebie na korytarzach. Aleksander Zygmuntowicz znowu czekał na nią przy służbowym wejściu i szli Twerskim bulwarem do Kamiergierskiego Zaułka. On znowu był nieszczęśliwy w małżeństwie, znowu miał chorą córeczkę. Postarzał się, zeszczipiał, był jeszcze bardziej zakochany i jeszcze bardziej tragiczny. Romans wybuchł z nową oceaniczną siłą, fale miłości wynosiły ich na niebotyczne wysokości i zrzucały w głębokie otchłanie. Być może, to było to właśnie, czego pragnęła nieukojoną duszą Wieroczki. W tych latach często śnił się jej ten sam sen: podczas jakiejś całkiem codziennej czynności, na przykład picia herbaty z mamą przy ich owalnym stoliku, nagle stwierdzała, że w pokoju nie ma jednej ściany, a zamiast niej jest ciemność uchodzącej w nieskończoność widowni, wypełnionej milczącymi i nieruchomymi widzami...

Tak jak przedtem, on przyjeżdżał do Moskwy trzy \* cztery razy do roku, zatrzymywał się zwykle w Hotelu Moskwa, a Wieroczka biegła do niego na spotkania. Pogodziła się ze swoim losem i tylko późna ciąża zmieniła bieg jej życia.

Jej romans trwał długo, tak jak wywróżyła sobie w młodości \* „do śmierci”...

2.

Chodziła Wiera tak jak się chodzi z dziewczynkami: brzusek jak jabłko, nie jak gruszka, twarz miękko rozlana, ziarnisty brązowy pigment dookoła oczu, a dziecko w łonie poruszało się płynnie

bez gwałtownych ruchów. Spodziewano się, oczywiście, dziewczynki. Jelizawieta Iwanowna, daleka od wszelkich przesądów, szykowała się do urodzin wnuczki zawczasu i choć nie trzymała się specjalnie różowego koloru, jakoś tak przypadkowo trafiła się cała dziecięca wyprawka na różowo: koszulki, pieluszki, nawet wełniany kaftanik.

Dziecko było pozamałżeńskie, Wiera niemłoda, trzydzieści osiem lat. Ale te okoliczności zupełnie nie przeszkadzały Jelizawiecie Iwanownie cieszyć się nadchodzącym wydarzeniem. Sama późno wyszła za męża, urodziła jedyną córkę już pod trzydziestkę, a wdową została z trojgiem dzieci: z siedmiomiesięczną Wieroczką i dwiema pasierbicami \* podlotkami. Przeżyła sama, wychowała dziewczynki. Zresztą, starsza pasierbica wyjechała z Rosji w dwudziestym czwartym roku i już nie wróciła. Młodsza pasierbica, całym sercem oddana nowej władzy, stosunki z Jelizawietą Iwanowną zerwała jako z człowiekiem starego ustroju i zacofanie niebezpiecznym, wyszła za sowieckiego naczelnika średniego rzędu i zginęła przed wojną w obozie stalinowskim.

Całe życiowe doświadczenie Jelizawiety Iwanowny nauczyło ją cierpliwości i odwagi, i małej nowej dziewczynki, niespodziewanego przybysza w rodzinie, oczekiwała z dobrocią serca. Córka \* rodzina, córka \* przyjaciółka, pomocnica \* na tym polegało jej własne życie.

Kiedy zamiast oczekiwanej dziewczynki urodził się chłopczyk, obie one, i matka, i babcia, straciły głowę. Ich najskrytsze plany były zrujnowane, nie ziścił się rodzinny portret, który w myślach zamówiły: Jelizawieta Iwanowna stoi na tle ich pięknego holenderskiego pieca, Wieroczka siedzi w taki sposób, że ręce matki leżą na jej ramionach, a na kolanach Wieroczki cudna kędzierzawa dziewczuszka. Dziecięca zagadka: dwie matki, dwie córki i babcia z wnuczką...

Twarzyczce dziecka Wiera przyjrzała się dobrze jeszcze na porodówce, a rozwinęła je pierwszy raz już w domu i była mocno zaszokowana ogromną w porównaniu z drobnymi stopkami jaskrawo czerwoną moszną i bezwstydnie podniesionym fifulkiem. W tym momencie, kiedy oglądała z roztargnieniem ten wszystkim znany fenomen, twarz jej opryskał ciepły strumyczek.

\* Widzisz, jaki zbytnik \* uśmiechnęła się babcia i pomacała pieluszkę, która pozostała zupełnie sucha. \* No, Wierusia, ten to zawsze z wody suchy wyjdzie...

Niemowlę bawiło się buzią, jakieś dziwaczne miny przechodziły jedna w drugą: czółko marszczyło się, usta się uśmiechały. Nie płakało i nie wiadomo było, czy jest mu dobrze czy źle. Najpewniej, wszystko, co się działo, było dla niego zadziwiające...

\* Dziadek, wykapany dziadek. Będzie prawdziwym mężczyzną, pięknym, dużym \* z zadowoleniem podsumowała Jelizawieta Iwanowna.

\* Niektóre części ciała ma nawet za duże \* wieloznacznie zauważyła Wieroczka. \* Kropka w kropkę jak u ojca...

Jelizawieta Iwanowna zrobiła lekceważący gest:

\* Nie, Wierusia, ty nie wiesz... To jest w ogóle cecha mężczyzn Korn.

Na tym wyczerpały swoje osobiste doświadczenia w tym przedmiocie i przeszły do następnego: jak one, dwie słabe kobiety, wychowają prawdziwego silnego mężczyznę. Z wielu powodów rodzinnych i sentymentalnych skazany był na imię Aleksander.

Od pierwszego dnia obowiązki podzieliły w taki sposób, że Wieroczce przypadło karmienie piersią, a całą resztę wzięła na siebie Jelizawieta Iwanowna.

Sport, męskie rozrywki i żadnego cackania \* określiła Jelizawieta Iwanowna naczelne zadania. I faktycznie, od dnia, kiedy zagoiła się pępowina, rozpoczęła z wnukiem zajęcia kultury fizycznej: zaprosiła masażystkę i zaczęła codzienne oblewanie chłopca zimną wodą. Żeby zapewnić godne męskie rozrywki, zawczasu zaopatrzyła się w „Świecie dziecka” w drewniany karabin, żołnierzyki i konika na biegunach. Za pomocą tak niewymyślnych przedmiotów Jelizawieta Iwanowna zamierzała uchronić chłopca przed goryczą braku ojca, której prawdziwe rozmiary powinny określić się w niedługim czasie, i wychować na prawdziwego mężczyznę \* odpowiedzialnego, zdolnego do podejmowania samodzielnych decyzji, pewnego siebie, to jest takiego, jakim był jej świętej pamięci mąż.

\* Powinnaś przyswajać zasadę maksymalnego dystansu \* mocno wybiegając naprzód \* pouczała córkę w pierwszych dniach po opuszczeniu porodówki, a w głosie jej słychać było pedagogiczne tony. \* Kiedy dziecko podrośnie, puści w końcu twoją rękę i zrobi pierwszy krok w przeciwnym

kierunku. To jest strasznie niebezpieczne dla wszystkich samotnych matek \* bezlitośnie mówiła Jelizawieta Iwanowna \* traktowanie siebie i dziecka jako jeden organizm.

\* Dlaczego tak mówisz, mamusiu \* z urazą zaprzeczała Wiera \* dziecko ma przecież ojca i on będzie uczestniczył w jego wychowaniu...

\* Pożytku z niego będzie tyle, co mleka od kozła. Możesz mi wierzyć \* przypięczętowała Jelizawieta Iwanowna.

Dla Wieroczki było to bardzo krzywdzące, tym bardziej że już wszystko było domówione i postanowione \* za kilka dni powinien przyjechać szczęśliwy ojciec, żeby nareszcie połączyć się z ukochaną. Tu właśnie znajdował się jedyny punkt rozbieżności między matką i córką. Jelizawieta Iwanowna gardziła kochankiem Wiery, przez wiele lat miała nadzieję, że córka spotka bardziej godnego mężczyznę niż ten nerwowy i pechowy artysta. Ale także z doświadczeń własnego życia, Jelizawieta Iwanowna doskonale wiedziała, jak trudno jest samotnej kobiecie, zwłaszcza takiej \* jak jej córka Wieroczka \* artystycznej natury, nieprzygotowanej do terażniejszej męskiej szorstkości. No dobrze już, dobrze, niechby choć jakikolwiek... I mruknęła nie całkiem na temat: \* A, jaka by wielka księżna nie była, i tak jest je... na...

Uwielbiała przysłowia i powiedzonka, a znała ich mnóstwo, nawet łacińskie. Wyjątkowo sroga w mowie rosyjskiej, czasami wykorzystywała całkiem nieprzyzwoite wyrażenia, jeśli tylko były uszlachetnione obecnością w słowniku frazeologicznym...

\* No wiesz co, mamu \* zdumiała się Wiera \* ty już nazbyt...

Jelizawieta Iwanowna spostrzegła się:

\* No wybacz, wybacz, nie chciałam cię obrazić. Jednakowoż, nie zwracając uwagi na matczyną wulgarność, Wiera jakby się usprawiedliwiała:

\* Mamusiu, przecież wiesz, on występuje...

Widząc zasmuconą twarz córki, Jelizawieta Iwanowna zaczęła się wycofywać:

\* Bóg z nim, Wieroczka... My i same swojego chłopczyka wychowamy.

Wykrakała... Aleksander Zygmuntowicz zginął w półtora miesiąca po narodzinach Szurika. Wpadł pod samochód na ulicy Powstania, obok Dworca Moskiewskiego, wróciwszy do Leningradu po pierwszej wizycie u nowo narodzonego syna. Podstarzały ojciec powziął ostateczną decyzję powiedzieć w końcu swojej junackiej Soni, że odchodzi od niej, zostawia jej i córce leningradzkie mieszkanie i przenosi się do Moskwy. Pierwsze dwa punkty dokładnie się spełniły. Tylko, ot, przenieść się nie zdążył...

Wiera dowiedziała się o śmierci Aleksandra Zygmuntowicza tydzień po pogrzebie. Zaniepokojona brakiem wiadomości, zadzwoniła do przyjaciela Aleksandra Zygmuntowicza, powiernika ich zażyłości, nie zastała go jednak, ponieważ wyjechał. Przemogła się i zadzwoniła do mieszkania Aleksandra Zygmuntowicza. Sonia poinformowała ją o jego śmierci.

Młoda matka, z gatunku „starych pierworódek”, jak nazywano ją na porodówce, stara kochanka \* do tego czasu przeleciało dwadzieścia lat ich znajomości \* została świeżą wdową, nie zdążywszy wyjść za mąż.

Czarnowłosa chłopczyk pchał do buzi zaciśniętą piąstkę, energicznie ssał, stękał, brudził pieluszki i znajdował się w stanie beztroskiego zadowolenia. Nic go nie obchodził matczyny smutek. W miejsce straconego niebieskawego

mleka matki dawano mu teraz z butelki rozwodnione i troszkę osłodzone krowie i ono mu bardzo smakowało.

3.

Na rodzinne legendy w połowie dwudziestego wieku nastała moda, wynikająca z mnóstwa różnorodnych przyczyn, z których główną przypuszczalnie było utajone pragnienie spełnienia powstałej za plecami pustki.

Socjologowie, psychologowie i historycy z czasem zbadają wszystkie pobudki, które pchnęły jednocześnie wielu ludzi do genealogicznych poszukiwań. Nie wszystkim udało się dokopać do szlacheckich przodków, jednakże wszelakie kurioza w rodzaju babki \* pierwszego lekarza

Czuwaszy, menonity z holenderskich Niemców, a nawet egzekutora w sali tortur za piotrowych czasów, też miały swoją rodzinno\*historyczną ważność.

Szurik nie potrzebował żadnych wysiłków wyobraźni \* jego legenda związana z nazwiskiem była przekonująco udokumentowana kilkoma gazetowymi wycinkami z szesnastego roku, wspaniałym rulonem grubego, wcale nie cienkiego, jak sobie wyobrażają nieobeznani ludzie, japońskiego papieru i naklejoną na włóknistą białoszarą fakturę, nieosiągalnej do dziś jakości, fotografię, na której jego dziad, Aleksander Nikołajewicz Korn, masywny, z dużym mocnym podbródkiem, opierającym się o wysoki kołnierzyk odświętnej koszuli, stał obok księcia Kotohito Kanin, stryjecznego brata mikada, który odbył długą podróż z Tokio do Petersburga; znaczną część drogi transsyberyjską magistralą. Aleksander Nikołajewicz, dyrektor techniczny w resorcie kolejnictwa, człowiek o europejskim wykształceniu i nienagannym wychowaniu, był naczelnikiem tego specjalnego pociągu.

Fotografia zrobiona była dwudziestego dziewiątego września 1916 roku w zakładzie pana Johanssona na Newskim Prospeckie, o czym świadczył niebieski artystyczny napis na odwrocie. Sam książę, niestety, wyglądał tak sobie: ani japońskiego stroju, ani samurajskiego miecza. Zwyczajna europejska odzież, okrągła twarz o wąskich oczach, krótkie nogi \* podobny do każdego Chińczyka z pralni, jakie w tych czasach już istniały w Petersburgu. Przy czym, od pralnianego Chińczyka, uzbrojonego w niezmywalny do śmierci uśmiech, odróżniał go wyraz nieprzeniknionej wyniosłości, niezłagodzonej równym rozciągnięciem warg.

Istotna część legendy zawierała dziadkowe wspomnienia w opowiadaniach babci: o długich godzinach spędzanych na picu herbaty w pulmanowskim wagonie specjalnym podczas wielodniowych podróży przez tajgę i przelatującymi za oknami jasnymi jesiennymi barwami liściastych i ciemnozielonych iglastych drzew.

Nieboszczyk dziadek wysoko cenił japońskiego księcia, wykształconego na Sorbonie, mądrego i wolnomyślnego snoba. Wolnomyślność jego wyrażała się przede wszystkim w tym, że pozwolił sobie na niemożliwą dla japońskiego arystokraty swobodę osobistego i nawet poufnego obcowania z panem Kornem, który faktycznie był tylko obsługującym personelem, chociaż wyższej rangi. Książę Kotohito, przeżywszy w Paryżu osiem lat, był wielkim wielbicielem francuskiego malarstwa, szczególnie Matisse'a, a w Aleksandrze Nikołajewiczu napotkał pojętnego rozmówcę, jakich w Japonii nie znajdował. Czerwonych ryb Aleksander Nikołajewicz nie znał, ale gotów był uwierzyć księciu na słowo, że właśnie w tym swoim arcydziele Matisse najbardziej otwarcie ujawnił ślady uważnego studiowania japońskiej sztuki.

Ostatni raz Aleksander Nikołajewicz był w Paryżu w jedenastym roku, przed wojną, kiedy Czerwone ryby były jeszcze ikrą zamiarów, ale to właśnie tego roku Matisse pokazał na jesiennej wystawie inne swoje arcydzieło, Taniec... Dalej opowieści babci o wspomnieniach dziadka przechodziły w jej własne wspomnienia o tamtej ich wspólnej zagranicznej podróży i Szurik, z łatwością przyjmujący znajomość nieboszczyka dziadka z japońskim księciem, wewnątrznie sprzeciwiał się temu, że jego żywa babcia faktycznie była w Paryżu, mieście, którego samo istnienie było bardziej faktem literatury niż życia.

Babci te opowiadania sprawiały duże zadowolenie i ona trochę, bodajże, nadużywała ich. Szurik wysłuchiwał jej pokornie, lekko przebiegając nogami z niecierpliwego oczekiwania znanego od dawna końca historii. Dodatkowych pytań nie zadawał, ale i babcia ich nie potrzebowała. Z biegiem lat jej piękne historie zastygły, stwardniały i w postaci niewidocznych kłębków leżały w szufladzie jej sekretarzyka, razem z fotografiami i rulonem. Co zaś tyczy się rulonu, to był on dokumentem nagrody, zaświadczającym, że panu Kornowi przyznano order Wschodzącego Słońca, wysokie państwowe odznaczenie Japonii.

W sześćdziesiątym dziewiątym roku nastąpiła przeprowadzka rodziny z Kamięrgierskiego Zaułka \* Jelizawieta Iwanowna uporczywie i jasnowidząco używała wyłącznie starych nazw \* na Brzeską Rogatkę, na ulicę, sądząc po jej nazwie, wytyczoną kiedyś w podmiejskim lesie. Wkrótce po przenosinach, już tutaj, na Nowoleśnej, w jej wąskim odcinku, zbiegającym się z nasypem kolejowego rozgałęzienia, łączącego Białoruską i Ryską kolej z Brzeską i Windawską, jak sprecyzowała Jelizawieta Iwanowna, w nowym, trzypokojowym mieszkaniu, nieprawdopodobnie

przestronnym i pięknym, babcia po raz pierwszy przedstawiła piętnastoletniemu wnukowi samo serce legendy: leżało ono w trzech kolejno zdejmowanych futerałach, z których zewnętrzny nie był oryginalny \* szkatułka z karelskiej brzozy bez żadnych esów\*floresów, z wypukłym wieczkiem. Za to dwa wewnętrzne były oryginalnie japońskie, jeden z nefrytu koloru jabłka, drugi jedwabny, szarozielony, barwy mieniącego się zimowego morza. Wewnątrz spoczywał on, order Wschodzącego Słońca. Skarb ten był zupełnie martwy i pozbawiony sławy, pozostał z niego fragmentaryczny szkielet, a mnóstwa brylantów, stanowiących jego duszę i, ściślej mówiąc, główną materialną wartość, nie było, świadczyły o nich tylko puste oczka.

\* A kamienie zjedliśmy. Ostatnie poszły na to mieszkanie

\* poinformowała Jelizawieta Iwanowna piętnastoletniego wnuka, podobnego w tym czasie do szczeniaka niemieckiego owczarka, który już osiągnął pełny wzrost i masywność łap, ale nie nabrał jeszcze szerokości klatki piersiowej i solidności.

\* Jak tyje wyjmowałaś? \* zainteresował się młody człowiek techniczną stroną problemu.

Jelizawieta Iwanowna wyciągnęła z podpiętego warkocza spinkę, dziobnęła nią w powietrze i wyjaśniła:

\* Spiniką, Szurik, spiniką! Wspaniale się wydłubywały. Jak ślimaki.

Szurik nigdy nie jadł ślimaków, ale zabrzmiało to przekonująco. Poobracał w rękach resztki orderu i oddał.

\* Pięćdziesiąt lat od śmierci twojego dziadka minęło. I przez te wszystkie lata pomagał rodzinie przeżyć. To mieszkanie, Szurik, to jego ostatni prezent \* z tymi słowami włożyła order do wewnętrznego futerału, potem do drugiego. A dopiero następnie \* do drewnianej szkatułki. Szkatułkę zamknęła maleńkim kluczykiem na zielonej wypłowiałej wstążeczce, a kluczyk włożyła do blaszanego pudełka po herbacie.

\* Jak on pomagał, skoro umarł? \* spróbował wyjaśnić Szurik. Wybałuszyl żółtobrazowe oczy pod półokrągłymi brwiami.

\* Doprawdy, twoja zdolność pojmovania jest jak u pięcioletniego dzieciaka \* zagniewała się Jelizawieta Iwanowna.

\* Z innego świata! Rzecz jasna, sprzedawałam kamyczek po kamyczku.

Nawykłym ruchem wetknęła ze złością spinkę we włosy i zamknęła blat sekretarzyka.

Szurik poszedł do swojego pokoju, do którego jeszcze niezupełnie przywykł, i włączył magnetofon. Zawyla muzyka. Musiał przemyśleć tę wiadomość, ona była zarazem i ważna, i bezsensowna, a przy muzyce zawsze mu się lepiej myślało.

Jego pokój rozmiarami prawie nie różnił się od tamtego kąta, ogrodzonego dwiema szafami z książkami i etażerką na nuty, w którym mieszkał poprzednio. Ale tu były drzwi z kulką w zamku, szczelnie się zamykały i nawet lekko zatrzaśkiwały i to mu się tak podobało, że dla wzmocnienia efektu powiesił jeszcze na drzwiach kartkę „Bez pukania nie wchodzić”. Ale i tak nikt nie wchodził. I matka, i babcia szanowały jego męskie życie od samych jego narodzin. Życie mężczyzny było dla nich zagadką, nawet świętą tajemnicą, i obie czekały niecierpliwie, kiedy pewnego dnia ich Szurik stanie się nagle dorosłym Kornem \* poważnym, niezawodnym, z dużym mocnym podbródkiem i władzą nad głupim światem wokół, w którym wszystko stale się psuło, rozpływało, stawało się niezdatne i tylko męska ręka mogła to naprawić, pokonać, a nawet zrobić nowe.

4.

Jelizawieta Iwanowna pochodziła z bogatej kupieckiej rodziny Mukosiejewów, nie tak znanej, jak nazwiska Jelisiejewów, Filippowów czy Morozowów, ale w pełni cieszącej się poważaniem, znanej we wszystkich miastach południowej Rosji.

Ojciec Jelizawiey Iwanowny, Iwan Polikarpowicz, handlował ziarnem, niemal połowa hurtowego handlu południa znajdowała się w jego rękach. Jelizawieta Iwanowna

była najstarsza z pięciu sióstr, najbardziej pojętna ze wszystkich i najbrzydsza: zębki jak u królika wystające do przodu, tak że usta się nie domykały, bródka mała, a czoło duże, wypukłe, nawisie nad twarzą. Od wczesnego dzieciństwa jej przyszłość była określona \* wychowywać siostrzeńców.

Takie było życie starych panien. Ojciec, Iwan Polikarpowicz, kochał ją, ubolewał nad jej brzydota i cenił za bystry rozum i pojętność.

W miarę, jak liczba córek rosła, a następca nie pojawiał się, ojciec coraz uważniej przypatrywał się jej i, chociaż trzymał się twardo patriarchy, posłał ją do gimnazjum. Jedyńą spośród wszystkich. Podczas, gdy młodsze cieszyły się urodą, starsza nabywała wiedzy.

Po narodzinach piątej córki, matka Jelizawiey Iwanowny ciężko chorowała i przestała rodzić; od tej pory ojciec coraz większą uwagą darzył Jelizawietę. Po ukończeniu gimnazjum skierował ją do jedynej komercyjnej uczelni, gdzie przyjmowano dziewczęta, w Niżnim Nowgorodzie. Chociaż Mukosiejewowie byli w tym czasie moskwianami, zachowała się pamięć o założycielu rodu, hurtowniku, zajmującym się handlem chlebem, który przyjechał do Moskwy właśnie z Niżniego Nowgorodu.

Jelizawiea posłusznie pojechała po nowe nauki, jednak wkrótce wróciła do domu i przekonująco wyjaśniła ojcu, że nauka tam jest bezsensowna, uczą tam tego, co byle dureń wie, a jeśli ojciec chce rzeczywiście mieć w niej dobrego pomocnika, to niech ją wyśle na naukę do Zurychu albo do Hamburga, gdzie istotnie uczą przedmiotu, i to nie po staremu, a zgodnie ze współczesną nauką ekonomiki.

Dunia, druga córka Iwana Polikarpowicza, była już zameżna. Natasza, trzecia, wyswatana, a dwie młodsze obiecywały się nie zasiedzieć: ich wiano było bogate, a same były ładniutkie. Dunia już zaczęła rodzić, ale ku wielkiej rozpaczyci ojca urodziła pierwszą dziewczynkę. Wszystko zmierzało ku temu, że jeśli córki nie urodzą następcy, sprawy

w mocnych rękach powinna trzymać Jelizawiea. Słowem, wyprawił córkę za granicę na naukę. I pojechała do Szwajcarii jak na ślub \* we wszystkim nowym, z dwoma pachnącymi skórą kuframi, ze słownikami i błogosławieństwem.

W Zurychu zachwyciła się nowomodną profesją i, nie zważając na ważne błogosławieństwa, straciła wiarę przodków, łatwo i niezauważalnie, jak parasolkę w tramwaju, kiedy deszcz już przeszedł. Tak oto, wyszedłszy z domowego świata, wyszła też z rodzimej religii, szczerstwiego jak trzydniowy pieróg prawosławia, w którym teraz nie widziała niczego, prócz papierowych kwiatów, złotych ryz i powszechnego przesądu. Jak wielu młodych i niegorszych ludzi swojego pokolenia, szybko zwróciła się do innej religii, wyznającej nową trójcę \* ubogi materializm, teorię ewolucji i ten „czysty marksizm”, który jeszcze nie wymieszał się z socjalnymi utopiami. Jednym słowem, przyjęła postępowe, jak uważano, poglądy, chociaż do żadnych rewolucyjnych ruchów, na przekór modzie jej młodości, nie przystąpiła.

Po rocznych naukach w Zurychu Jelizawiea Iwanowna nie pojechała do domu na wakacje, przeciwnie, wypuściła się w podróż po Francji. Podróż była niedługa: Paryż tak ją oczarował, że nawet do Lazurowego Wybrzeża nie dojechała. Napisała ojcu, że do Zurychu nie wróci, pozostanie w Paryżu studiować język francuski i literaturę. Ojciec się rozgniewał, ale nie tak bardzo. Wreszcie pojawił się długo oczekiwany wnuk i w głębi duszy „wybryk Lizki” przyjął jako dowód kobiecej niestałej wartości i upewnił się, że niepotrzebnie zrobił wyjątek dla starszej córki.

\* Nie, od tego, że baba nie jest kobieca, wcale nie staje się chłopem \* stwierdził. Splunął i nakazał jej wracać. Dotacje wstrzymał. Ale Jelizawiea Iwanowna wcale nie spieszyła się z powrotem.

Uczyła się, pracowała. O dziwo, pracowała w dziale buchalterii niedużego banku. To, czego ją nauczono w Szwajcarii, okazało się bardzo przydatne.

Do Rosji Jelizawiea Iwanowna wróciła dopiero po trzech latach, pod koniec dziewięćset ósmego, z mocnym postanowieniem rozpoczęcia pracowitego życia z dala od rodziny. W tym czasie była już całkowicie po europejsku wyemancypowaną kobietą, nawet paliła, ale że francuskim stylem nie przesiąkła, a wychowanie miała dobre, to ta jej emancypacja nie rzucała się w oczy. Chciała wykładać literaturę francuską, ale państwowej posady nie dostała, zaś guwernantką być nie chciała. Doświadczyła pełnego rozczarowania, nie znajdując odpowiedniej pracy, przyjęła więc nieoczekiwaną propozycję: mąż gimnazjalnej koleżanki skierował ją do działu statystycznego w Ministerstwie Komunikacji.

Były to czasy, kiedy kończyła się zamiana prywatnych kolei w państwowe i Aleksander Nikołajewicz realizował ten wieloletni projekt państwowej wagi. Jelizawiea Iwanowna dostała się



pod jego zwierzchnictwo, na skromne stanowisko statystyka. Sporządzane przez nią dokumenty regularnie dochodziły drogą służbową do niego na biurko, i już po pół roku najtrudniejsze problemy, związane z wydatkami na eksploatację wiorsty przewozów i przebiegu ładunków, on zaczął powierzać wyłącznie Jelizawiecie Iwanownie. Nikt, tak jak ona, nie potrafił rozeznąć się w pudowiorstach i rublach.

Stary Mukosiejew nie pomylił się co do swojej córki, jej praktyczne zalety okazały się wspaniałe. Aleksander Nikołajewicz, stateczny czterdziestopięcioletni wdowiec, z coraz większą sympatią i szacunkiem patrzył na życzliwą i miłą pracownicę i w trzecim roku znajomości oświadczył się jej. Tu należy postawić wykrzyknik. Ani jedna z jej przystojnych sióstr nawet myśleć nie mogła o takim związku. Wychodząc za mąż za Aleksandra Nikołajewicza, Jelizawieta Iwanowna całkowicie odeszła od wszelkich filozofii swojej młodości, ukończyła Instytut Pedagogiczny i z powodzeniem zajęła się nauczaniem. W ciągu tych lat nie to, żeby się rozczarowała do przekonań swojej młodości, ale one zaczęły wydawać się nie całkiem odpowiednie, i z tamtych czasów pozostały jej nie tyle ważne zasady, co życiowe wytyczne: pracować, wypełniać swoje obowiązki sumiennie i bezinteresownie, nie dokonywać głupich czynów, rozgraniczając głupotę i dobro wyłącznie według własnego sumienia, i być sprawiedliwą dla otoczenia. To ostatnie znaczyło dla niej, że w działaniach należy kierować się nie tylko swoim interesem, ale brać też pod uwagę interesy innych ludzi. Wszystko to byłoby nieznośnie nudne, gdyby się tego nie ożywiło szczerością i naturalnością. Córki Aleksandra Nikołajewicza ją lubiły, stosunki między nimi były niezwykle dobre. Małeńką przyrodnią siostrę Wieroczkę uwielbiały.

Umarł Aleksander Nikołajewicz śmiercią nagłą, latem siedemnastego roku, i na kobiecej wadze radości i smutków strzałka Jelizawie ty Iwanowny na zawsze zatrzymała się na najwyższym punkcie \* tamte szczęśliwe małżeńskie lata pozostały w niej na wieki. Niedole, nieszczęścia i niedostatki, które spadły na nią po śmierci męża, przez długie lata uznawała za przejaw jego nieobecności. Nawet zaistniała wkrótce rewolucję rozpatrywała jako jedno z nieprzyjemnych następstw śmierci Aleksandra Nikołajewicza. Z pewnością nie bez przyczyny stale podśmiewał się z jej prostoduszności i naturalnej niewinności. Tych zalet nie straciła przez całe długie życie. Jako człowiek z niedorozwiniętym poczuciem humoru i domyślający się tego defektu, stale posługiwała się kilkoma powtarzаныmi żartami i dowcipami. Mały Szurik często słyszał od niej kokietliwe oświadczenie:

\* Jestem wykładowcą. Wykładam języki.

Wykładowcą była niezrównanym, z jakąś specjalną metodyką, niezwykle przyciągającą dzieci i nadzwyczajnie efektywną dla dorosłych. Wolalała zajęcia z dziećmi, choć całe życie wykladała w instytucie i pisała suche i mało ciekawe podręczniki.

Zwykle na zajęcia domowe zbierała grupę dwojga\*trojga dzieci, często w różnym wieku, gdyż pamiętała, jak było miło, kiedy bracia i siostry uczyli się razem. Właśnie tak kiedyś było w jej rodzinnym domu \* do nauki ekonomii zapraszano jednego nauczyciela dla wszystkich.

Pierwszą lekcję francuskiego z małymi dziećmi zaczynała od tego, że mówiła, jak będzie po francusku „sikać”, „robić kupę”, „rzygać”, czyli takie słowa, których używanie w dobrych domach nie było przyjęte. Od pierwszego więc dnia język francuski stawał się czymś w rodzaju sekretnego języka wtajemniczonych. Szczególnie jednoczyły uczniów bożonarodzeniowe jasełka po francusku, które w ciągu całego roku przygotowywała z nimi Jelizawieta Iwanowna. Ten spektakl pod względem gatunku nie był domowy, prędzej konspiracyjny: rosyjska władza, zawsze wążająca obywatelom do samej duszy, w tamtych powojennych latach tak samo wykorzeniała chrześcijaństwo, jak w poprzednich i następnych krzewiła. Jelizawieta Iwanowna swoimi bożonarodzeniowymi spektaklami przejawiała wrodzoną niezależność i poszanowanie tradycji kulturalnych.

Szurik w tym spektaklu odegrał wszystkie role. Pierwsza, niemowlę Jezusa, zwykle była to zawinięta w starą brązową kołderkę lalka, dostała mu się w wieku trzech miesięcy. W ostatnim spektaklu, odegranym pół roku przed śmiercią babci, przedstawiał starego Józefa i, ku uciesze mędrców, pasterzy i osiołka, śmiesznie przekręcał rolę.

Zajęcia zawsze odbywały się w mieszkaniu Jelizawie ty Iwanowny i Szurik, nawet gdyby nie

posiadał wspaniałych zdolności, skazany był na wyuczenie się języka: pokój w Kamierniejskim Zaułku chociaż był bardzo duży, ale jeden jedyny. Nie było się gdzie podziąć \* i Szurik bez końca wysłuchiwał tych samych lekcji pierwszego, drugiego i trzeciego roku nauki. W wieku siedmiu lat już dobrze mówił po francusku, a w bardziej dojrzałym nawet wspomnieć nie potrafił, kiedy się tego języka nauczył. „Noel, Noel...” była mu bliższa niż „W lesie wyrosła choinka...”

Kiedy poszedł do szkoły, babcia zaczęła go uczyć niemieckiego, który traktował jako język obcy w odróżnieniu od francuskiego, a zajęcia przechodziły tak, że lepiej nie można. W szkole uczył się dobrze, po szkole grał na podwórku w piłkę, trochę zajmował się sportem, a nawet, ku wielkiemu strachowi matki, należał do sekcji bokserskiej, ale specjalnego zainteresowania sportem nie przejawiał. Niemal do czternastego roku życia jego ulubionym sposobem spędzania wieczorów było domowe głośne czytanie. Zrozumiałe, że czytała babcia, czytała przepięknie, wyraźnie i zwyczajnie, a on, leżąc na kanapie obok ciepłej babci, przedzierał całego Gogola, Czechowa i tak lubianego przez Jelizawietę Iwanowną Tołstoja. A potem i Wiktora Hugo, Balzaca i Flauberta. Taki właśnie miała Jelizawieta Iwanowną gust.

Matka też wносиła swój wkład w wychowanie: prowadziła go na wszystkie dobre spektakle i koncerty, nawet na rzadkie gościnne \* tak więc jako mały chłopczyk widział wielkiego Paula Scofielda w roli Hamleta, o czym bez wątpienia by zapomniał, jeśliby mu Wiera od czasu do czasu nie przypominała. I, naturalnie, na najpiękniejsze choinki stolicy \* w Domu Aktora, we Wszechrosyjskim Towarzystwie Teatralnym, w Domu Kina. Słowem, szczęśliwe dzieciństwo...

5.

Mama i babcia, dwa szerokoskrzydłe anioły, stały zawsze po lewicy i po prawicy. Owe anioły nie były bezcielesne i bezpłciowe, były namacalnie kobiece, znajdowały się na zewnątrz i otaczały jego, stojącego w centrum. Dwie kobiety, od samych urodzin osłaniały go, czasami dotykały dłonią czoła \* czy przypadkiem nie gorące? W ich jedwabnych fałdach chował twarz z zakłopotania albo strachu, do ich piersi, miękkich podatnych babcinych, twardych i małych matczynych, przytulał się przed snem. Ta rodzinna miłość nie znała ni zazdrości, ni goryczy: obie kobiety kochały go z całej duszy, usługiwały na wyścigi, choć na różne sposoby, i nie dzieliły go, przeciwnie, wspólnym wysiłkiem umacniały jego potrzebę akceptacji świata. Szczerze i zgodnie go chwaliły, zachęcały, były z niego dumne, cieszyły się z jego sukcesów. I nigdy mu nie zadały idiotycznego pytania, którą z nich bardziej kocha. On odwzajemniał się całkowicie.

Problem braku ojca, którego obie kiedyś się bały, zupełnie nie powstał. Kiedy nauczył się mówić „mama” i „baba”, pokazały mu zdjęcie, z którego nieboszczyk Lewandowski siał nieokreślony uśmiech i powiedziały „tata”. Przez siedem lat to mu całkowicie wystarczało i dopiero w szkole zauważył pewien niedobór w rodzinie. Zapytał: „Gdzie?” i otrzymał prawdziwą odpowiedź \* zginął. Wiadomo było, że tata był pianistą, i Szurik przywykł uważać, że stareńkie pianino w domu jest dowodem byłej obecności ojca.

Jeśli dla harmonijnego rozwoju dziecka rzeczywiście konieczne są dwie siły wychowawcze, męska i żeńska, to z pewnością Jelizawieta Iwanowna, z jej twardym charakterem i wewnętrznym spokojem, zapewniała tę równowagę. Oprócz pianina.

Ciesząc się swoim rosnącym i pięknym chłopcem, obie kobiety z ciekawością oczekiwały chwili, kiedy w jego życiu pojawi się trzecia \* główna. Obie były z jakiegoś powodu nastawione na to, że ich chłopiec wcześniej się ożeni, rodzina się powiększy, da nowe odgałęzienia. Z bojaźliwą ciekawością przyglądały się jego klasowym koleżankom, które podrygiwały, tańcząc bezpłciowego twista na urodzinach Szurika, i zgadywały: czy to nie ta...

Dziewcząt w klasie było znacznie więcej niż chłopców. Szurik cieszył się powodzeniem i na swoje urodziny, szóstego września, zaprosił prawie całą klasę. Po wakacjach wszyscy mieli ochotę na wspólną imprezę. Poza tym zaczynał się ostatni rok szkolny.

Opalone dziewczyny szczebiały, zbyt głośno się śmiały i piszczały, chłopcy więcej palili na balkonie, niż tańczyli. Od czasu do czasu Jelizawieta Iwanowna albo Wiera Aleksandrowna

boczkim wchodziły do największego pokoju, dokładnie mówiąc, babcinego, wносиły kolejne danie i ukradkowym spojrzeniem obrzucały dziewczęta. Zaraz potem w kuchni wymieniały się wrażeniami. Obie doszły do wspólnego wniosku, że dziewczęta są dziwnie niewychowane.

\* Odgłosy jak na dworcu w kolejce do kasy biletowej, a wydawałoby się, że inteligentne dziewczęta \* westchnęła Jelizawieta Iwanowna. Potem zamilkła, pogładziła końce pomarszczonych palców i powiedziała jakby od niechcienia \* ale jakie mimo to urocze... miłe...

\* No, co ty, mamuś, wydaje ci się. One są strasznie wulgarne. Nie wiem, co ty tam miłego znalazła \* sprzeciwiła się Wiera dosyć zapalczywie.

\* Bielutka, w niebieskiej sukience, bardzo sympatyczna, Tania Iwanowa chyba. I wschodnia piękność z perskimi brwiami, szczuplutka, wdzięczna według mnie...

\* Co ty, mama, bielutka to nie Tania Iwanowa, a Guriejewa, córka Anastazji Wasiljewny, nauczycielki historii. Ma rzadkie zęby, też mi cudo, a twoja wschodnia piękność, nie wiem, nie wiem, co za piękność, ma wąsyjak stójkowy... Ira Grigorian, ty co, nie pamiętasz jej?

\* Dobrze, dobrze. Ty, Wieroczka, zupełnie jak właściciel stadniny. No, a Natasza, Natasza Ostrowska, co jej brakuje?

\* Twoja Natasza, nawiasem mówiąc, od ósmej klasy przyjaźni się z Giją Kiknadze \* z nutką pewnej osobistej urazy zauważyła Wiera.

\* Gija? \* zdumiała się Jelizawieta Iwanowna. \* Taki śmieszny konus?

\* Widocznie Natasza Ostrowska tak nie myśli...

Jelizawieta Iwanowna czegoś nie wiedziała, co było wiadome Wierze. Szurik był w Nataszy gorąco zakochany od piątej klasy, ale ona wybrała śmiesznego sennego Giję, który był wówczas miękki, ale kiedy otworzył usta, wszyscy turlali się ze śmiechu: w dowcipie nie miał sobie równych. Słowem, dziewczyny w masie nie podobały się babci, ale każda oddzielnie wydawała się jej pociągająca. Wiera, przeciwnie, była pewna, że szkoła Szurika jest najlepsza w mieście, klasa wspaniała, dzieci wyłącznie inteligentnych rodziców, to znaczy \* w sumie jej się podobali wszyscy, za to każda dziewczyna oddzielnie posiadała wady nie do przyjęcia...

A Szurikowi podobało się wszystko \* i w całości, i w szczegółach. Nauczył się twista jeszcze w ubiegłym roku i podobał mu się ten śmieszny taniec: jakbyś ściągał z siebie przylegającą mokrą odzież. Podobała mu się i Guriejewa, i Grigorian, i nawet Nataszy Ostrowskiej wybaczył zdradę, tym bardziej że Gija był jego przyjacielem. Również bardzo mu się spodobał tort owocowy z bitą śmietaną, który upiekła babcia. I nowy magnetofon, jaki dostał na siedemnastkę.

W dziesiątej klasie Szurik ostatecznie się zdecydował \* postanowił pójść na wydział filologiczny, na romańsko\*germański kierunek. Bo gdzież indziej?...

Na samym początku ostatniego szkolnego roku Szurik kupił sobie abonament na wykłady z literatury, prowadzone przez najlepszych uniwersyteckich wykładowców. Co niedziela Szurik biegał na uniwersytet na Mochową, zajmował miejsce w pierwszym rzędzie Komunistycznego, dawnego Tichomirowskiego, Auditorium i skrupulatnie notował wykłady drobnego starego Żyda, wielkiego znawcy rosyjskiej literatury. Wykłady były w równym stopniu zachwycające, co i bezużyteczne dla abiturientów. Lektor mógł bitą godzinę mówić o pojedynku w rosyjskiej literaturze: o kodeksie pojedynków, o konstrukcji pistoletów ze szlifowanymi lufami, ciężkimi kulami, wkładanymi do lufy za pomocą krótkiego wyciora i młotka, o losowaniu przez rzucanie srebrnej monety, o kaszkiecie wypełnionym różowo\*żółtymi czereśniami i o pestkach czereśni, poprzedzających przeszywający lot kuli... o przenikliwości poety i o układaniu życia według wymyślonego wzorca, słowem, o rzeczach, niemających najmniejszego odniesienia do wypracowań na temat „Tołstoj jako lustro rosyjskiej rewolucji” lub „Puszkina jako demaskator carskiego samodzierżawia”...

Po prawej stronie Szurika siedział Wadim Polinkowski, z lewej \* Lila Łaskina. Z obojgiem zawarł znajomość już na pierwszym wykładzie.

Malutka, rzucająca się w oczy, w białych pantofelkach ze szpiczastymi noskami, w skórzanej minispódniczce, gorszej bez różnicy moralnie staruszki, niemoralnie studentki i niezainteresowanych przechodniów, Lila kręciła ostrzyżoną, pluszową w dotyku głową, jak nakręcana zabawka, i bez ustanku trajkotała. Koniuszek jej długiego nosa ledwie zauważalnie

poruszał się przy artykulacji w górę \* w dół, rzęsy na często mrugających powiekach trzepotały, a drobne paluszki, jeśli nie skubały chusteczki czy zeszytu, to strzygły wokół ciężkie powietrze. W dodatku nie odwykła jeszcze od dziecięcego przyzwyczajenia, szybko i zręcznie dłubała w nosie. Uroku miała w sobie masę i Szurik zakochał się w niej tak mocno, że to nowe uczucie zaćmiło wszystkie poprzednie drobne zakochania. Doświadczenie uczuciowej wzniosłości, kiedy wydaje się, że nawet elektryczne żarówki świecą jaśniej, znane mu było od dzieciństwa. Zakochiwał się we wszystkich po kolei \* w uczniach babci \* zarówno w dziewczętach, jak i w chłopcach, w koleżankach mamy, w koleżankach z klasy i nauczycielkach, ale teraz wesoły blask Lili wszystko wcześniejsze przemienił w smutne cienie...

Polinkowskiego Szurik traktował jak rywala do tej chwili, kiedy pewnego razu, na początku wykładu, wskazując oczami puste miejsce Lili, ten nie wyszeptał:

\* Naszej małpeczki dzisiaj nie ma... Szurik zdumiał się:

\* Małpeczki?

\* A kim ona jest? Wykapana małpeczka, w dodatku na krzywych nogach...

I Szurik półtorej godziny rozmyślał nad tym, co to jest uroda kobieca, przepuszczając mimo uszu subtelne opinie wykładowcy o drugoplanowych postaciach Lwa Nikołajewicza Tołstoja \* cudakowaty lektor zawsze znajdował sposób na odejście jak najdalej od szkolnego programu w kamieniołomy spornego literaturoznawstwa...

Tym razem nie było kogo odprowadzać do domu, więc oni z Polinkowskim przeszli się od Mochowej aż do Dworca Białoruskiego. Szurik więcej milczał, przeżywając zamęt, w jaki wprowadził go Polinkowski swoją odzywką o uroczej

Lili. Polinkowski zatem, otrząsając od czasu do czasu płatki śniegu z czupryny, starał się poprzez Szurika rozwiązać swój własny problem: nie mógł podjąć prawidłowej decyzji, i czy ma zdawać na poligrafię, gdzie ojciec wykładał, czy na ' uniwersytet, czy może plunąć na wszystko i udać się na geoLogiczno\*poszukiwawczy... Przy Białoruskim Szurik zaprosił , Polinkowskiego do domu i skręcili na Butyrski Wał. Kiedy przechodzili obok kolejowego mostka, przerzuconego nad wpół zapomnianym torowiskiem, Polinkowski stwierdził, że tą drogą, przez mostek, można wyjść prosto na pracownię jego ojca i zaproponował Szurikowi obejrzenie pracowni. Ale Szurik spieszył się do domu, więc umówili się na jutro. Polinkowski zapisał mu adres na kawałku papieru, potem trochę postali na podwórku i zaszli do Szurika. Jelizawietta Iwanowna nakarmiła ich kolacją i w pokoju Szurika słuchali muzyki, której miał bardzo dużo nagranej na brązowych magnetofonowych taśmach. Polinkowski wypalił zagranicznego papierosa i poszedł.

Pozostałą część wieczoru Szurik przemęczył się, nie mogąc zdecydować się, żeby zadzwonić do Lili. Jej telefon miał zapisany, ale do tej pory jeszcze ani razu do niej nie dzwonił, sprawa ograniczała się tylko do poprawnego odprowadzania do klatki starego domu w Czystym Zaułku.

Następnego dnia, w poniedziałek, Lila cały czas nie wychodziła mu z głowy, jednak nie zdecydował się zadzwonić, chociaż numer jej telefonu sam mu się przypominał i napraszał... Pod wieczór tak się wymęczył, że wspomniął o wczorajszym niezobowiązującym zaproszeniu Polinkowskiego i wyszedł wieczorem z domu \* przejść się, jak powiedział matce.

Karteluszek z adresem już zgubił, ale adres zapamiętał, składał się z samych trójek.

Pracownie nie były wcale tak blisko za mostkiem, dosyć długo szukał opisanego przez Wadima domu z dużymi oknami. W końcu odnalazł dom i numer pracowni, zastukał w nieodmknięte drzwi. Wszedł \* i osłupiał. Na wprost niego na niskim stołku siedziała całkowicie naga kobieta.

Niektórych kobiecych części nie było widać, ale białoróżowe piersi z niebieskimi żyłkami, we wszystkich wstrząsających szczegółach, świeciły jak reflektory. Dokoła kobiety rozłożyły się ze dwa dziesiątki malarzy.

\* Drzwi! Drzwi niech pan zamknie! Przecież wieje! \* krzyknął do Szurika gniewny damski głos. \* Czemu pan się spóźnia? Niech pan siada i zaczyna pracować.

Piękna kobieta w czarnej męskiej koszuli, z czarną błyszczącą grzywką spadającą na oczy, machnęła ręką gdzieś do tyłu. Podporządkowawszy się jej gestowi, usiadł w dalekim kącie pomieszczenia na najniższym stopniu przenośnej drabinki. Wszyscy rysowali, głośno szurając ołówkami. Szurik słabo się orientował. Domyślał się, że gdzieś tu jest jego nowy znajomy Wadik,

ale nie mógł oderwać wzroku od dużego brązowego sutka, skierowanego wprost na niego, jak palec wskazujący. Szurik przestraszył się, że naga kobieta podniesie głowę i pojmie, co się z nim dzieje. A z nim się działo... Wiedział, że musi wyjść. Ale wyjść nie mógł. Wyciągnął rękę do stosu szarego papieru, leżącego na podłodze, i odgrodził się arkuszem od wszystkich. Jego przebywanie tutaj było prawie przestępstwem, czekał, że zaraz go odkryją i wygonią. Ale ruszyć się z miejsca nie mógł. Usta mu na przemian to wysychały, to napępniały się ogromną ilością rzadkiej śliny, i on skwapliwie, jak u dentysty, przełykał ją. Przy tym wyobrażał sobie, że podchodzi do siedzącej kobiety, podnosi ją z podestu i prowadzi rękę tam, gdzie cień był szczególnie gęsty... Cały ten słodki koszmar ciągnął się, jak wydawało się Szurikowi, niesamowicie długo. W końcu modelka wstała, włożyła bordowo\*żółty bajowy fartuch i okazała się niezbyt młodą kobietą z krótkimi nogami i puciołowatymi policzkami i całkowicie była pozbawiona wdzięku \* jak każda z jego byłych sąsiadek komunalnego mieszkania. Bodajże to właśnie było najbardziej szokujące... Czyżby to znaczyło, że każda z tych kobiet w bajowych fartuchach, które wchodziły do kuchni z przypalonymi czajnikami, miały pod swoimi fartuchami takie właśnie mocne sutki i przyciągające fałdy i cienie...

Ludzie, młodzi i starzy, zaczęli składać papiery i spiesznie się rozchodzić. Wadima nie było wśród nich. Piękna kobieta w czarnej koszuli z daleka przyjaźnie kiwnęła do niego i powiedziała:

\* Zostań, pomożesz sprzątać.

I został. Przesunął krzesła, dokąd ona wskazała, część wyniósł do korytarza, przesunął podest, a kiedy skończył, posadziła go przy chwiejnym stoliku i poczęstowała filiżanką herbaty.

\* Jak się czuje Dymitr Iwanowicz? \* spytała.

Szurik stropił się i coś tam wymamrotał.

\* Ty przecież jesteś Igor, tak?

\* Aleksander \* wydusił z siebie.

\* A ja byłem pewna, że Igor, syn Dymitra Iwanowicza \* roześmiała się. \* Skąd się tu wzięłeś?

\* Ja przypadkiem... Szukałem Polinkowskiego... \* wyszeptał Szurik, czerwieniąc się mocno. Z oczu o mało nie kapały mu łzy. „Ona pewnie myśli, że przyszedłem na gołą modelkę popatrzeć...”.

Kobieta się śmiała. Wargi jej drżały, nad górną wargą rozciągało się i skracało pasemko krótkich włosków, wąskie oczy zwężyły się w szparki. Szurik gotów był umrzeć.

Potem przestała się śmiać, postawiła filiżankę na stole, podeszła do niego, wzięła go za ramiona i mocnymi rękami przytuliła do siebie:

\* Ach ty, głuptasie...

Poprzez gruby wełniany materiał wyczuł twardość jej dużego sutka, wpierającego się w jego ramię, a potem już poczuł bezdenną ciemną głębię jej ciała. I leciusieńki, ledwie wyczuwalny koci zapach...

Najdziwniejsze, że Polinkowskiego Szurik nigdy więcej w życiu nie spotkał. Od tamtej pory nie pojawił się na kursie. Przypuszczalnie w scenariuszu życia Szurika był on postacią całkowicie służebną, pozbawioną samodzielnej wartości. Wiele lat później, wspominając to ekstrawaganckie impromptu, Matylda Pawłowna powiedziała raz Szurikowi:

\* Nie było żadnego Polinkowskiego. To był mój osobisty diabeł, rozumiesz?

\* Nie mam do niego pretensji, Tyła \* bąknął Szurik, w tym czasie już nie malinowy wyrostek, a nieco bladawy

i dobrze odżywiony trzydziestoletni mężczyzna, wyglądający chyba nawet starzej...

Minęły ponad dwa miesiące od czasu, jak zaczęła się historia z Matyldą, a jakżeż się wszystko zmieniło. Z jednej strony on jakby pozostał wciąż taki sam: patrzył na siebie w lustrze i widział owalną różową twarz z czarnym nalotem zarostu wieczorami, prosty, dość szeroki nos z punkcikami rozszerzonych porów, krągłe brwi, czerwone usta. Miał szerokie ramiona, chude, niemuskularne ręce i masywne łydki. Płaską bezwłosą pierś. Trochę zajmował się boksem i wiedział, jak pręży się całe ciało, jak wszystkie siły kierują się w ramię, w rękę, w pięść przed uderzeniem, jak podciągają się nogi przed skokiem i jak całe ciało, po najmniejszy mięsień, bierze udział w każdym celowym ruchu \* uderzenie, rzut, skok... Jednak z drugiej strony, wszystko to było zupełną głupotą, gdyż, jak się okazało, z ciała można wykrzesać taką rozkosz, że żaden sport nie

mógł się z nią równać. I Szurik uważnie patrzył w spotniałe lustro w łazience i na swoją pierś bez owłosienia, i na płaski brzuch, pośrodku którego, poniżej pępka, szła w dół cienka ścieżka włosów, i on z szacunkiem kładł rękę na swoim ukrytym skarbie, któremu podporządkowywało się całe ciało, do najmniejszej komórki.

Oczywiście, to Matylda Pawłowna puściła w ruch ten wspaniały mechanizm, ale on przeczuwał, że teraz to się nigdy nie skończy, że niczego lepszego w życiu nie ma, i od tej pory patrzył na wszystkie dziewczęta, na wszystkie kobiety innym wzrokiem: każda z nich mogła w zasadzie wprawić w ruch ten bezcenny przyrząd, a przy tej myśli ręka jego napęniała się ociężałą zmysłowością i się krzywił, ponieważ poniedziałek był wczoraj, a do następnego trzeba czekać pięć dni...

Za to do spotkania z Lilą zostawały tylko cztery. Te emocje w żaden sposób nie krzyżowały się. Ale jak, z jakiego powodu mogłaby zetknąć się wesoła krucha Lila, którą odprowadzał z wykładów co niedziela, stał z nią godzinami w wysokiej klatce starego domu, grzał w gorących dłoniach jej dziecięce paluszki i nie śmiał pocałować \* ze wspaniałą Matyldą Pawłowną, obszerną i spokojną jak chołmogorska krowa, w której on tonął bez reszty w poniedziałki, właśnie w poniedziałki, kiedy przychodził do niej do pracowni po skończeniu seansu, pomagał sprzątać krzesła, a potem odprowadzał niedaleko do jednopokojowego mieszkanca, gdzie czekała na nią kocia rodzina \* trzy duże czarne koty, będące w kazirodczym pokrewieństwie. Matylda dawała kotom rybę, myła ręce i, dopóki koty miarowo, nie spiesząc się, z apetytem rozprawiały się ze swoją karmą, ona też, bez pośpiechu, z apetytem wzmacniała się przy pomocy wspaniale do tego przygotowanego młodego człowieka.

Ten chłopak był przypadkowością, darem chwili i wcale nie zamierzała cieszyć się nim dłużej niż ten jeden przypadkowy raz. Lecz jakoś tak to się przeciągnęło. Ani rozpusty, ani cynizmu, a już tym bardziej namiętności cielesnej, rzucającej dojrzałą kobietę w niedoświadczone objęcia młodzieńca, w Matyldzie nie było. Trzeźwość i pasjonowanie się ponad miarę pracą od młodości przeszkodziły jej kobiecemu szczęściu. Kiedyś była mężatką, ale straciwszy pierwsze dziecko i o mało co nie przeniósłszy się na tamten świat, niepostrzeżenie przegapiła swego pijącego męża, on znalazł się pewnego dnia nie wiedząc czemu u jej koleżanki, a ona, niespecjalnie go żałując, rozpoczęła pracowite życie chłopca rzemieślnika: lepiała, formowała, pracowała i w kamieniu, i w brązie, i w drewnie. Z czasem weszła w krąg rzeźbiarzy, dobrze zarabiających na państwowych zamówieniach i wyrzeźbiła cały pułk bohaterów wojny i pracy. Pracowała jak jej matka, wieśniaczka z Wiszniego Wołoczka, od świtu do świtu, nie z ponagłania, ale z duchowej potrzeby. Czasami pojawiali się u niej kochankowie spośród artystów lub pracowitych wykonawców. Kamieniarze, odlewnicy. Chłopy jakoś trafiali się zawsze pijący i związki przeobrażały się samoistnie w dość jednostajną poniewierkę. Zarzekała się, że już nigdy więcej, potem znowu wplątywała się i z góry wiedziała wszystko o tym ludku, który stale kręcił się wokół niej, a ostatnio była zmęczona pozbywaniem się ich wcześniej, zanim oni poproszą ją, by skoczyła po butelkę wódki na kaca.

Ten chłopak przychodził do niej co poniedziałek, jakby zawarli umowę, chociaż żadnej umowy między nimi nie było, a jej zawsze wydawało się, że ostatni raz pozwala sobie na takie swawole. A on ciągle przychodził i przychodził.

Krótko przed Nowym Rokiem Matylda Pawłowna zachorowała na ciężką grypę. Dwa dni przeleżała półprzytomna w otoczeniu przestraszonych kotów. Szurik, nie znalazłszy jej w pracowni, zadzwonił do drzwi mieszkania. Faktycznie, był poniedziałek, po ósmej.

Pobiegł do dyżurnej apteki, kupił jakąś paskudną miksturę, sprzątnął po kotach, wyniósł śmieci. Potem wymył podłogi w kuchni i ubikacji. Koty w czasie jej choroby straszliwie napaskudziły. Matylda Pawłowna czuła się tak źle, że prawie nie zauważyła jego gospodarskiego krzątania. Nazajutrz przyszedł znowu, przyniósł chleb i mleko, ryby dla kotów. Wszystko z lekkim uśmiechem, bez męczących dla Matyldy Pawłowny rozmów.

Do piątku temperatura jej spadła, a w sobotę rozłożył się Szurik \* złapał jednak wirusa. Kolejnego poniedziałku nie przyszedł.

\* Dobrego nie za wiele \* powiedziała Matylda Pawłowna z pewnym nawet zadowoleniem. Ale zateęskniła. Za to kiedy i

on pojawił się za tydzień, ich spotkanie było szczególnie serdeczne, a ich bezsłowne łożkowe obcowanie ożywione zostało jednym, cicho wypowiedzianym przez Matyldę, słowem \* przyjaciel.

8.

Po Nowym Roku Szurik ze szczególną pilnością zaczął przygotowywać się do egzaminów na uniwersytet. Jelizawieta Iwanowna, przeszedłszy na emeryturę, intensywnie przerabiała z nim francuski. Wszystko, co w młodości lubiła, teraz przechodziła od nowa z wnukiem. Jelizawieta Iwanowna w pełni zadowolona była z osiągnięć Szurika. Język znał lepiej niż wielu absolwentów jej Instytutu Pedagogicznego. Z jakiegoś powodu polecała mu uczyć się na pamięć długich wierszy Hugo i czytać starofrancuską poezję. Wciągnął się w to, odnalazł w tym smak.

Pierwsza w jego życiu osoba z zagranicy, młoda Francuzka z Bordeaux, którą poznał podczas olimpiady już po ukończeniu Instytutu, oszalała z zachwytu, usłyszawszy jego staroświecką francuszczyznę. Najpierw śmiała się prawie do łez, a potem obsypała pocałunkami. Przypuszczalnie takie samo zdumienie wywołałby wykład Łomonosowa, gdyby wygłosił go w Akademii Nauk w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku. Za to sam Szurik ledwie rozumiał południową „zaokrągloną” i po studencku skróconą mowę Francuzki i stale pytał, co ma na myśli.

Mimo podeszłego wieku Jelizawieta Iwanowna jeszcze dawała prywatne lekcje, ale uczniów nie było tak wielu, jak kiedyś. Jednak z szopki bożonarodzeniowej jeszcze nie zrezygnowała. Co prawda, początek stycznia był tak mroźny, że spektakl ciągle odkładano \* do ostatniego dnia ferii szkolnych.

Na środku dużego pokoju nie było miejsca na choinkę, tam wszystko było zastawione krzesłami i taboretami, więc

choinka stała w kącie, jak za karę. Ale za to była rzeczywiście prawdziwa, przystrojona starannie przechowywanymi przez Jelizawietę Iwanownę starymi ozdobami: karetą z konikami, tancerką w cekinach, cudem ocaloną szklaną ważką, podarowaną Jelizawiecie Iwanownie na Boże Narodzenie tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku przez ukochaną cioteczkę. Pod choinką, obok pulchnego i poźółkłego ze starości Dziadka Mroza, stała szopka z Dziewicą Marią w czerwonej jedwabnej sukni, Józefem w wieśniaczej siermiędze i różne inne cudeńka z kartonu...

Poczęstunek był szczególny, świąteczny. W całym mieszkaniu, nawet na schodach, czuło się choinkowo\*piernikowy zapach: na dużej tacy pod białą serwetką leżały cienkie piernikowe figurki, każda zawinięta oddzielnie. Jelizawieta Iwanowna piekła je z jakiegoś specjalnego miodowego ciasta, one były suchutkie, ostre w smaku, a na wierzchu polaną białym lukrem. Do każdej gwiazdki i choinki, do każdego aniołka i zajączka dołączona była karteczka, na której kaligraficznym pismem po francusku była napisana jakaś miła bzdurka. Coś w rodzaju: „W tym roku czeka cię wielkie powodzenie”, „Letnia podróż przyniesie nieoczekiwaną radość”, „Wystrzegaj się rudych”. Nazywało się to świątecznymi wróżbami.

Pierniczki były zbyt piękne, by je po prostu schrupać, dlatego do herbaty po spektaklu podawano zwyczajne ciastka i herbatniki... Każdy uczestnik miał prawo przyprowadzić ze sobą jednego gościa i zwykle przyprowadzano siostry, braci, czasem kolegów z klasy.

Wiera, cichutko poszeptawszy z Jelizawietą Iwanowną, zaproponowała Szurikowi, żeby przyprowadził na spektakl tę uniwersytecką dziewczynę, którą w każdą niedzielę tak długo odprowadza. Stosunki z matką były akurat na tyle poufne, żeby opowiedzieć o istnieniu Lili i słowem nie wspomnieć o Matyldzie Pawłownie.

Przez cały tydzień Szurik wykręcał się. Nie chciał zapraszać Lili na dziecięce święto, on sam chętnie by poszedł z nią do kawiarni „Młodzieżowa” lub na jakąś prywatkę do kolegów z klasy. Jednak pod naciskiem matki wspomniawszy Lili o dziecięcej sztuce, którą przygotowuje jego babcia, a ona z nieoczekiwanym zapałem krzyknęła:

\* Och, chcę, chcę!

Tym sposobem drogi odwrotu były odcięte. Umówili się, że Szurik nie wyjdzie jej na spotkanie, gdyż przed spektaklem było dużo do zrobienia.

Prawie od samego rana krzątał się wokół maluchów, wstawiał wywichnięte skrzydło nieuważnemu aniołowi, pocieszał płaczącego Timoszkę, który nagle dostrzegł upokarzający charakter swojej roli i kategorycznie odmówił założenia oślich uszu, uszytych przez Jelizawietę Iwanownę z szarych wełnianych pończoch. Cały ten „pyzaty drobiazg”, jak Szurik nazywał babcinych uczniów, uwielbiał Szurika, a czasami, kiedy Jelizawicie Iwanownie podnosiło się ciśnienie i zaczynał się ból z tyłu głowy, on zastępował babcie na lekcjach, ku wielkiej radości uczniów.

Lila przyszła sama według adresu. Drzwi otworzyła Wiera Aleksandrowna \* i osłupiała: przed nią stała maleńka istota w ogromnej białej czapce, a przez opadające prawie do brody kudły niechlujnego futra spoglądały namalowane gęstą czarną farbą zabawkowe, jak u pluszowego zwierzątka, oczka. Przywitały się. Dziewczyna zdjęła z siebie ogromną czapkę. Wiera nie powstrzymała się:

\* Pani całkiem jak Filipek!

Bystra dziewczyna rozciągnęła szerokie usta w uśmiechu:

\* No, to nie jest najgorsza postać w rosyjskiej literaturze! Rozpięła frymuśny czerwony suwak w lekkiej, nie na ten

sezon kurtce i została w małej czarnej sukience, w całości pokrytej białymi włosami z czapki. W dużym dekolcie, prawie do pasa, jaśniały chude gołe plecki, także pokryte włoskami \* leciutkim własnym puszkim. Od widoku tych niebieskawych dziecięcych pleców u Wiery z żalości i wstrętu ścisnęło się serce.

\* Proszę usiąść tam, w kąci, tam jest przytulne miejsce. Szalika proszę nie zdejmować, tam wieje od okna \* uprzedziła Wiera Aleksandrowna, ale Lila wepchnęła szalik do rękawa kurtki. \* A Szurik zaraz przyjdzie, on tam maluchami się zajmuje...

Przeciskając się przez dziecięcy tłumek obok matki, Wiera szepnęła jej na ucho:

\* Ta dziewczyna Szurika \* jak ułał do roli Herodiady... Jelizawietę Iwanowną, która zdążyła już rzucić na nią

swoim bystrym okiem, poprawiła:

\* Prędeż do roli Salomei... Ale wiesz, Wieroczka, ona jest bardzo wytworna, bardzo...

\* Co też ty, mama \* nieoczekiwanie rozzłościła się Wiera. \* Ona jest po prostu małą prostytutką...

Na pewno Bóg wie, z jakiej rodziny...

I Wiera doznała przyływu strasznej wrogości do tej ostrzyżonej arogantki...

Jednak Lila nie odczuła tej wrogości, przeciwnie, z jej kąci wszystko jej się strasznie podobało: i zmieszany z piernikiem zapach choinki, i domowy teatr z posmakiem szlacheckiego życia, znanego z rosyjskiej literatury, i same te „śmieszne babunie”, jak od razu określiła obie Szurikowe rodzicielki \* kruchą, z długą pomarszczoną szyją w starej pomiętej koronce, ze staromodnym koczkiem siwawych włosów Wierę Aleksandrowną, i masywniejszą, też z koronką na szyi, ale bardziej ułożoną, z jeszcze bardziej staromodnym koczkiem bielutkich drobno karbowanych włosów, Jelizawietę Iwanownę.

Wiera tak głośno stukwała w twarde klawisze pianina, że przez melodie francuskich kolęd słyhać było suche pstryczkijej paznokci, ale dzieci śpiewały wzruszająco: sztuka szła jak rzadko dobrze, nikt niczego nie zapominał, nie przewracał się i nie zaplątywał w kostiumach, nawet święty Józef błysnął improwizacją: kiedy nadszedł czas ucieczki do Egiptu, chwycił na ręce osiołka w pończochowych uszach i Dziewicę Marię, bojaźliwie siedzącą wierzchem na kilkuletnim zwierzęciu, i stary brązowy kocyk, który wyobrażał małego Jezusa, a wszyscy zaczęli krzyać, śmiać się i podskakiwać. Na koniec Szurik zdjął z siebie płaszcz i łysinę z kapronu \* to był jedyny prawdziwy teatralny rekwizyt, wypożyczony przez Wierę Aleksandrowną specjalnie na ten spektakl z pracowni \* zebrał w kupę pozostałe kostiumy i wyniósł. Dalej w programie powinna być herbata, więc pili herbatę z elektrycznego samowara, bez specjalnego zainteresowania jedli domowe ciasteczka i czekali na obiecane wróżby.

Jelizawietę Iwanowną, zaróżowioną i wilgotną jak po kąpieli, wsuwała rękę pod serwetkę i wydostawała stamtąd kolejny pierniczek z karteczką. Dorośli też stanęli w kolejce. Lila też wyciągnęła rękę. „Babunia” spojrzała na nią przyjaźnie i wyciągnęła dla niej największe zawiniątko. Lila rozwinęła. Tam był baranek, cały w spiralach z białego lukru. A na karteczce było



napisane: „Zmiana mieszkania, zmiana w życiu, zmiana losu”. Lila pokazała papierek Szurikowi:

\* O, zobacz...

9.

Rodzice Lili byli trzydziestoosmioletnimi żydowskimi matematykami, z kajakami, nartami górskimi i gitarami. Jej mama co drugie słowo śmiesznie przeklinała, a tata lubił wypić. Ale pić nie umiał. Jednak odmówić sobie tej ogólnonarodowej rozrywki w żaden sposób nie mógł i czasami mama taszczyła go z gościny bladego, woniejącego wymiocinami, wciskała do wanny, śmiesznie i bez złości ganiła, a potem wlokła go gołego, owiniętego w ręcznik, do pokoju, układała, okrywała, poila herbatą z cytryną i aspiryną, i przygadywała:

\* Co dla Rosjanina zdrowe, to dla Żyda śmierć...

To był czysty plagiat, jeszcze Leskow to przysłowie gdzieś podłapał i wykorzystał, ale było śmieszne.

Do tego wszystkiego dokumenty emigracyjne już były złożone, z pracy oboje się zwolnili i już od kilku miesięcy rodzina żyła na poziomie hysterii: i radośnie, i wesoło, i strasznie. Nie całkiem było wiadomo czy puszczą, czy odmówią, czy może posadzą. Za ojcem ciągnęły się jakieś grzeszki: coś gdzieś opublikował, podpisał, powiedział. Już rok się ciągnęło to przewlekłe pożegnanie z Rosją i przyjaciółmi, i oni naraz to pędzili do Leningradu, to zwalniali Lilę z wykładów i taszczyli do Samarkandy, to odkrywali jakichś nieznanych kuzynów na Ukrainie, zapraszali ich na pożegnanie i przez cały tydzień po mieszkaniu ciężko tupwały dwie grube stare Żydówki o tak prowincjonalnym wyglądzie, że trudno sobie wyobrazić \* mieszanina Szolema Alejchema z antysemitkami parodiami. Lila za nic nie mogła się zdecydować, czy warto próbować dostać się na uniwersytet. Że nie przyjmą, to się samo przez się rozumie, ale przecież trzeba sprawdzić, spróbować. A jeśli przyjmą \* jeszcze bardziej głupio... Mama odradzała \* rzuć, zajmij się językiem, to dla ciebie ważniejsze. Mama miała na myśli, naturalnie, jidysz. Ojciec uważał, że powinna wstąpić, a w nocy, w tajemnicy przed Lilą, mówił matce:

\* Niech nabiera doświadczenia, jej się zbyt dobrze żyje. Niech obleje dla wzmocnienia żydowskiej samoświadomości...

Po Nowym Roku Lila jakoś się rozleniwiła, plunęła na przygotowania do egzaminów, zaczęła opuszczać szkołę i zasmakowała w bezmyślnych i bezcelowych spacerach po porannej Moskwie. Szurik przeciwnie \* poprawiał podłapanie trójki z algebry i fizyki i polerował przedmioty, z których miał zdawać egzaminy.

Bliżej wiosny Wiera Aleksandrowna wzięła urlop, żeby więcej uwagi poświęcić chłopcu. Było to całkiem niepotrzebne: Szurik wykazywał niezwykle wysokie zdyscyplinowanie, uczył się dużo i mało słuchał Elli Fitzgerald. Przychodziła teraz do niego do domu nauczycielka języka rosyjskiego i literatury, a do historyka jeździł sam dwa razy w tygodniu. Egzaminy maturalne zdał prawie celująco, zadziwiając nawet nauczycieli matematyki i fizyki. Szkoła była ukończona, pozostał ostatni zryw, ale, ku niezadowoleniu Wiery, co wieczór wychodził z domu i wracał Bóg wie kiedy. Większość wieczorów spędzał z Lilą. Niektóre \* z Matyldą Pawłówną. Ale o tym nic nie mówił. Czasem Lila sama przyjeżdżała do Szurika. Po jakichś tajemniczych oznakach można było wywnioskować, że niedługo Łaskinowie otrzymają pozwolenie i to dodawało pikanterii ich stosunkom: wiadomo było, że rozstają się na zawsze. Wiera przez ten czas trochę złagodniała w stosunku do Lili, chociaż po dawnemu uważała ją za postrzeloną i niepoważną. Ale czarującą. Prawie każdego wieczoru spacerowali po Moskwie. Zajeżdżali czasami do jakiejś nieznanej dzielnicy w rodzaju Lefortowa czy Maryjnego Zagajnika, i bystra Lila swoim pożegnalnym spojrzeniem uczyła Szurika widzieć to, czego sama wcześniej nie dostrzegała: osiadły na tylnych łapach, jak stary pies, dom, ślepy zakręt skarłalej uliczki, stare drzewo z wyciągniętą ręką żebraczki... Gubili się w przechodnich podwórkach Zamoskworiecza, wychodzili nagle na puste nabrzeże, to za dwoma smętnymi domami znajdowali cudną cerkiewkę z oświetlonym półpiwnicznym oknem, a Lila płakała z powodu niewyraźnych przeczuć, niezrozumiałego strachu przed upragnionym wyjazdem, i oni, przytuleni do chwiejnego płotu albo siedząc na przytulnej

ławeczce, czule i coraz niebezpieczniej się całowali. Lila zachowywała się znacznie bardziej śmiało niż Szurik, i oni niepowstrzymanie zbliżali się jeśli nie do celu, to do pewnej granicy. Szurikowi starczało świeżego doświadczenia, żeby nie doprowadzić do ostatecznego spełnienia, ale dziewczęce pieszczoty dostarczały nowej rozkoszy i całkiem innej niż ta, którą znajdował u Matyldy Pawłowny. Nawiasem mówiąc, i jedno, i drugie było wspaniałe, jedno drugiemu nie przeszkadzało i nie przeczyło. Lila, chuda i bez piersi, wcale nie była koścista, lecz krępa i muskularna wszędzie, dokąd sięgały jego palce. Znał z dotyku te wilgotne miejsca, gdzie powierzchnia załamuje się i prowadzi do wnętrza, a gdy ich dotykał, ona popiskiwała cieniutko, jak szczeniak.

Długo po północy przyprowadzał ją do frontowego wejścia. Światło zwykle paliło się na pierwszym piętrze i Lila, pisnąwszy ostatni raz, wycierała wilgotne ręce, obciągała spódniczkę i wchodziła do góry na spotkanie z pełnym wyrzutem spojrzeniem matki i burczeniem ojca. Zwykle w domu siedzieli jeszcze aż do rana ostatni goście.

W czerwcu zaczęły się egzaminy. Lila dokumentów nie złożyła \* jej już majaczyły się nowe brzegi: Dunaju, Tybru, Jordanii... Szurik napisał wypracowanie na czwórkę, a z historii dostał pięć. To był bardzo dobry wynik, dlatego że piątek za wypracowanie nie stawiano. Teraz wszystko zależało od języka. Jeśliby dostał „celująco” z francuskiego, to by się dostał.

W dzień egzaminu okazało się, że nie ma go na liście. Poszedł do sekretariatu komisji, gdzie gęsty tłum podnieconego narodu oblegał wściekłą sekretarkę. Wyjaśniło się, że wpisano go na listę abiturientów zdających język niemiecki, ponieważ na świadectwie maturalnym był niemiecki. Szurik okropnie się zmieszał, zaczął wyjaśniać, że przy składaniu podania prosił zaliczyć go do grupy zdającej francuski, i że to było uzgodnione, i że przygotowywał się właśnie do francuskiego... Ale stara sekretarka, szczękając nową niedopasowaną protezą, wykonywała jakieś gimnastyczne ćwiczenia językiem w głębi ust i wcale go nie słuchała. Kłopotów miała moc, w ustach piekło i cisnęło, i nie

wnikając w jego poplątane wyjaśnienia, syknęła, żeby poszedł zdawać egzaminy zgodnie z listą i nie zawracał jej głowy.

Wiadomo, że jeśliby mama lub babcia poszły go odprowadzić na egzamin, do tego by nie doszło. Już one by przekonały sekretarkę, by przeniosła nazwisko Szurika na drugą listę albo nacisnęłyby na samego Szurika i zmusiłyby go, żeby zdawał niemiecki. No, nie przygotował się specjalnie! Ale przecież nie na darmo Jelizawieta Iwanowna czasowniki niemieckie z nim szlifowała... Ale Szurik powiedział domownikom „nie” i nikt z nim nie poszedł, gdyż szanowano jego męskie słowo.

Wyszedł teraz z magicznego budynku na Mochowej, doskonale wiedząc, że nigdy tu nie wróci. Był piękny czerwiec, powietrze przepięknie zapachem kwiatów i słonecznym pyłem. Zwariowana miejska pszczoła krążyła wokół nieszczęsnej głowy Szurika, odganiał ją, machając ręką i boleśnie zadrapał paznokciem nos. Wszystko było tak przykre. Zszedł na Wołchonkę, przeszedł obok Muzeum Puszkina, przy basenie skręcił na nabrzeże i z nabrzeża łagodnym zakolem doszedł do domu Lili. Łaskinowie w przeddzień otrzymali długo oczekiwane pozwolenie na wyjazd, a Szurik już wiedział o tym z wczorajszej telefonicznej rozmowy. Poszedł do mieszkania Lili. Była w domu sama, jeśli nie liczyć sterty brudnych naczyń, pozostałych po wielkiej libacji. Rodzice biegali po urzędach: trzeba było zebrać milion różnych papierków w bardzo krótkim czasie. To też wchodziło w szyderczą procedurę wyjazdu \* długo, czasem przez lata, przeciągać decyzję, a potem dać tygodniowy termin na załatwienie spraw.

Szurik od progu, nie pozwalając jej zadać pytania, opowiedział o swojej nieoczekiwanej klęsce.

Ona zamachała rękami, zaskrzeczała, zalała go potokiem oderwanych słów: szybciej, idziemy, trzeba coś zrobić, natychmiast dzwonimy do mamy, niech babciajedzie zaraz do sekretariatu... Co za głupota, co za głupota, dlaczego nie poszedłeś zdawać niemieckiego?...

\* Nie przygotowywałem się do niemieckiego \* Szurik wzruszył ramionami.

Objął ją. Potok słów urwał się, zaczęła płakać. I wtedy Szurik zrozumiał, że stracił dużo więcej niż uniwersytet, on stracił tę Lilę, stracił wszystko... Ona wyjedzie za tydzień, wyjedzie na zawsze, i nie miało żadnego znaczenia teraz, czy poszedł na uniwersytet czy nie.

\* Nie będę nigdzie dzwonić, nigdzie nie pójde \* powiedział jej w małe uszko.

Ucho było mokre od rozmazanych łez. Łzy lały się strumieniem i twarz też była mokra. Przyczyna tych łez była ogromna i nie dawała się opisać. Dokładniej, przyczyn było mnóstwo, a niezdany przez Szurika egzamin był ostatnim kamyczkiem w tej lawinie.

\* Nie wyjeżdżaj, Łasiczko \* mrucał \* pobierzemy się, zostań... Po co wyjeżdżać...

Brakowało mu do osiemnastu lat trzech miesięcy, jej

\* pół roku.

\* Ach, Boże, trzeba było wcześniej, teraz już za późno

\* płakała Lila, wciskając mu się w pierś, w brzuch całym swoim malutkim ciałem. Słabo przyszyte guziki posypały się z jej białego fartuszka, uszytego z dwóch chustek, on wyczuwał palcami wszystkie cienkie mięśnie jej wąskich pleców. Ona umyślnie ciągnęła go na kanapę, nie przestając sypać bezsensownymi słowami: trzeba zadzwonić do Wiery Aleksandrowny, trzeba do komisji przyjąć, jeszcze nie wszystko stracone...

\* Stracone, wszystko stracone, Łasiczko! \* Szurik ścisnął jej dziecięce ręce, podrapane przez kota, z obgryzionymi paznokciami, z pęknięciami, które zachowały się od zimy, i nie potrafił wypowiedzieć, jakie uczucia wywołują w nim te ręce, i krzywe słabe nóżki, i odstające ucho, sterczące z twardych ostrzyżonych włosów. Szeptał:

\* Jesteś taka... Jesteś taka niezwykła, a najlepsze w tobie \* twoje rączki, i nóżki, i uszka...

Roześmiała się, wycierając łzy:

\* Szurik! To moje główne wady \* krzywe nogi i sterczące uszy! Ja swojego ojca za to nienawidzę, po nim to mam, a ty mówisz \* najlepsze.

Szurik, nie słysząc jej, głaskał jej nogi, w dłoń brał maleńkie stopki, przyciskał do piersi:

\* Będę tęsknić oddzielnie za twoimi rączkami, za nóżkami, za uszkami.

Tak całkiem przypadkowo Szurik odkrył najszybsze i wielkie prawo miłości: kiedy serce wybierze, wady mają bardziej pociągającą moc niż zalety \* jako wyraziste przejawy indywidualności. Zresztą, on nie zauważył tego odkrycia, a Lila miała przed sobą całe życie, żeby to zrozumieć...

Lila podwinęła pod siebie nogi, odwróciła się, opierając się o pierś Szurika, i on teraz trzymał dłonie na jej szyi i czuł tętnienie żyłek z prawej i lewej, a tętno to było bardzo szybkie, przelewające się, jak drobny strumyczek.

\* Nie wyjeżdżaj, Lileczka, nie wyjeżdżaj... Powracająca z pracy sąsiadka stuknęła do drzwi i krzyczała:

\* Lila! Lila! Co ty, zasnąłaś? Wasz czajnik się spalił... Śmiesznie zabrzmiało \* czajnik! Całe ich życie się paliło... O niezdanym egzaminie więcej nie wspominali...

Dalsze wydarzenia przebiegały tak szybko, że Szurik potem z wielkim trudem mógł odtworzyć ich kolejność.

Jelizawieta Iwanowna, mężnie przetrzymawszy w swoim czasie śmierć męża, ukochanej pasierbicy, zagładę sióstr, ewakuację i wszelkie straty, drobnego niepowodzenia z egzaminem Szurika nie wytrzymała. Tego samego wieczora z ciężkim atakiem serca odwieziono ją do szpitala. Atak przerodził się w rozległy zawał.

Wiera, przywykła w ciągu całego życia do rozkoszy czułych i silnych emocji, bardzo przeżywała aktualne wydarzenia. Wszystko leciało jej z rąk, z niczym nie nadążała. Przyrządzała matce rosół, stojąc nad bulgocącym garnkiem, a przed wyjściem do szpitala przypominała sobie, że zapomniała kupić perfumy. Jechała do centrum po dobre perfumy, a potem spóźniła się do szpitala na odwiedzin i płaciła ogromne pieniądze wstrętnej szatniarce, żeby ją wpuściła. I tak było codziennie, codziennie...

Jelizawieta Iwanowna leżała pod kroplówką, była blada, milcząca i nie chciała umierać. Dokładniej mówiąc, rozumiała, że nie ma prawa zostawić drogiej, ale tak bezbronnej córki (rzuciła okiem na mętny rosół, który Wiera zapomniała nawet posolić) i Szurika, całkowicie załamanego z powodu tego głupiego niepowodzenia \* w tym punkcie Jelizawieta Iwanowna oceniała sytuację zupełnie niesłusznie. Przypuszczała, że chłopak wpadł w depresję. W inny sposób nie mogła sobie wytłumaczyć tego niewiarygodnego faktu, że ani razu nie odwiedził jej w szpitalu.

A Szurik cały tydzień zajmował się pakowaniem, pożegnaniem i odprawianiem ukochanej. Ostatnią dobę spędził w Szeremietiewie, pomagał nadawać jakieś bagaże. Potem nastąpił moment, kiedy

Lilka weszła na schody, dokąd już jego nie puszczano, a on pomachał jej w prześwicie na pierwszym piętrze, ale ona była już za granicą i odleciała, uwożąc od niego swoje krzywe nóżki i sterczące uszka.

Wieczorem, po powrocie do domu, usłyszał wreszcie to, co nie dochodziło do niego przez cały tydzień \* że babcia ma zawał i to bardzo niebezpieczny. Szurik przeraził się swojej własnej obojętności: jak mógł w ciągu tygodnia nie znaleźć czasu, żeby odwiedzić babcię? Ale był już wieczór, wizyty w szpitalu zakończone. Noc przespał jak zabity, dała się we znaki bezsenność ostatnich dni. O ósmej rano zadzwoniono z oddziału z informacją, że Jelizawieta Iwanowna umarła. We śnie.

Wyjazd Lili tak ściśle związał się w jego pamięci ze śmiercią, że nawet przy trumnie musiał czynić pewien wysiłek,

żeby odegnąć od siebie dziwne wrażenie: cały czas wydawało mu się, że chowają Lilę.

I oto nadchodzi rano po pogrzebie, kiedy stypa odprawiona, wszystkie naczynia wymyte przez pomocne sąsiadki, pożyczone krzesła rozniesione po sąsiadach, i pozostał czysty dom, po brzegi wypełniony obecnością człowieka, którego już nie ma.

Pod krzesłem w przedpokoju Wiera znajduje torbę, przywiezioną przez kogoś ze szpitala. W niej filizanka, łyżka, papier toaletowy i wszelkie pozostałe drobiazgi. I okulary. Robiono je na zamówienie w jakimś specjalnym miejscu ze dwa miesiące. Były tak dobrze dobrane do matczyńskich, ze starości pociemniałych oczu \* nie było na świecie drugich takich oczu, do których pasowałyby te wypukłe szkła w szarej młodzieżowej oprawce. Z okularami w ręku Wiera zastyga: co z nimi robić... Używane rzeczy na półce szafy \* wełniana chusta, fartuch, uszyty na zamówienie olbrzymi stanik \* przesycone są zapachem matki, czarna dziana czapeczka, w środku której prócz zapachu pozostało kilka cienkich białych włosów. Co z tym wszystkim zrobić? Chciałoby się schować jak najgłębiej, żeby oczu ciągle nie ranić, żeby serce nie bolało, ale jednocześnie absolutnie nie można wypuścić z rąk resztek żywego matczyńskiego ciepła, zachowanego w tych rzeczach.

W powietrzu pokoju wszędzie są ślady jej ciała. Tu siedziała. Tutaj, na oparciu fotela kładła łokieć. Nabrzmięte nogi w starych pantoflach na obcasach wytarły w czerwonym dywanie dawny splot: pół wieku postukiwała nogą, nauczając uczniów prawidłowej wymowy. Ale od czasu niedawnej przeprowadzki dywan zmienił położenie i w nowym miejscu, gdzie przytupywała ciężkimi nogami, nie zdążył się wytrzeć.

Przerazająca myśl nawiedza Wierę: ona zawsze była córką, tylko córką. Mama chroniła ją przed wszystkimi życiowymi problemami, prowadziła, kierowała, chowała jej syna. Tak wyszło, że nawet jej własny syn nie nazywał jej mamą, tylko Wieroczką. Ma pięćdziesiąt cztery lata. A ile istotnie? Dziewczynka. Nieznająca dorosłego życia dziewczynka... Ile pieniędzy potrzeba na przeżycie przez miesiąc? Jak płacić za mieszkanie? Gdzie zapisany telefon do dentysty, z którym zawsze umawiała się mama? I ważne, najważniejsze: co z Szurikiem, z jego studiami w instytucie? Mama po skandalicznym niepowodzeniu zamierzała wziąć go do siebie, do pedagogicznego...

Wiera machinalnie obracała w rękach okulary matki. Stosik telegramów leżał przed nią. Wyrazy współczucia. Od uczniów, od współpracowników. Co z nimi zrobić? Wyrzucić nie można, zachować głupio. Trzeba mamy zapytać \* pomyślała z przyzwyczajenia. A jeszcze gdzieś w głębi kryła się uraza: dlaczego właśnie teraz, kiedy jej obecność jest tak potrzebna... Egzaminy zaczną się niebawem. Trzeba zadzwonić do kogoś z katedry, do Anny Metodyjewnej czy do Gali... Wszyscy to mamy uczniowie... I Szurik jakiś dziwny, jak drewno \* siedzi w swoim pokoju, puścił obraźliwie głośną muzykę...

A Szurik żadną głośną muzyką nie mógłby zagłuszyć olbrzymiego poczucia winy, które przeważało w nim samą stratę. Znajdował się w stanie otępienia, podobnym do tego, jaki przeżywa poczwarka przed tym, kiedy po pęknięciu wzdłuż wyznaczonego przez przyrodę szwu ma wypuścić z siebie dorosłą istotę.

Rano o jedenastej Wiera poszła do teatru, a Szurik został w swoim pokoju z melancholijnym Elvisem Presleyem i z zabójczą sytuacją, której nie mógł już zmienić: to on, Szurik Korn, nie poszedł na egzamin, małoduszny, popędził do Lileczki, nie uprzedził odchodzących od zmysłu

kobiet, doprowadził, prawdę powiedziawszy, babcię do zawału, potem z powodu niepojętej lekkomyślności i idiotyzmu nawet nie odwiedził jej w szpitalu, a teraz ona nie żyje i winien temu jest osobiście on. Reakcje moralne zachodziły w nim na jakimś biochemicznym poziomie \* coś się zmieniało w środku, skład krwi czy też przemiana materii. Przesiedział tak do wieczora, słuchając w kółko Presleya, a do wieczora Love me, baby tak dokładnie i głęboko zapisało mu się w świadomości, że wypływało przez całe życie wraz z pamięcią o babci, o szczęśliwym dzieciństwie, rozjaśnionym jej obecnością.

Był ukochanym wnukiem i ulubionym uczniem Jelizawiey Iwanowny, ale również ofiarą jej prostolinijnej pedagogiki: od wczesnych lat był przyuczany do myśli, że on, Szurik, bardzo dobry chłopczyk, robi dobre uczynki a nie robi głupich, ale jeśli już postąpi głupio, to należy to natychmiast uświadomić sobie, poprosić o wybaczenie i znowu być dobrym chłopczykiem... Ale teraz nie miał kto, nie miał kto przebaczyć...

Wiera przyszła z teatru wieczorem, posilili się wczorajszym jedzeniem, pozostałym ze stypy, i on powiedział:

\* Pójdę się przejść.

Był poniedziałek. Wiera chciała go poprosić, by został. Czuli się taka nieszczęśliwa. Do pełnego nieszczęścia trzeba było, żeby on sobie poszedł i zostawił ją samą. Ale nie poprosiła.

Matyldę Pawłówną Szurik zastał zakłopotaną: rano dostała telegram o śmierci swojej wiejskiej ciotki i wybierała się jutro do Wiszniego Wołoczka. Jej stosunki z ciotką od dzieciństwa były nieciekawe, a teraz było jej nijako, że tak mało ją kochała, nie żałowała, i wszystko, co mogła teraz zrobić \* to zorganizować wystawną stypę. Od rana już obiegiła okoliczne sklepy, kupiła stołeczną kielbasę i majonez, wódkę, śledzie i ulubiony narodowy przysmak \* kubańskie pomarańcze. Szurik już w progu powiedział jej o śmierci babci \* ona klasnęła w dłonie:

\* No coś podobnego! Nieszczęścia chodzą parami!

Zobaczywszy nieszczęśliwą twarz Szurika, zaczęła płakać z żalu po ciotce, nieszczęśliwej i zawistnej kobiecie z ciężkim charakterem. Zapłakał i Szurik. Prostolinijna Matylda Pawłówna zaraz odkręciła metalową nakrętkę butelki i naląła do szklanek ciepłej wódki.

Łzy, wódka, grubo pokrojone nieoczyszczone śledzie, których widokiem Jelizawiey Iwanowna byłaby oburzona, wszystko pasowało do siebie. Pospieszenie wypili po szklance wódki i Szurik wypełnił swój męski obowiązek sumiennie i z zapałem, i to jakoś przyniosło odprężenie i jemu, i Matyldzie, a on nawet miał mgliste poczucie dobrego uczynku dobrego chłopca \* no, ale to nie dziwne...

I Matyldę, która wylała pół wiadra łez z cudzego powodu, też odpuściło. Teraz w całej pełni stanął przed nią koci problem: komu je zostawić... Jej sąsiadka, sympatyczna wielodzietna inżynier, wyjechała z dziećmi do pensjonatu, inna przyjaciółka, malarka, była astmatyczką i od kociej sierści natychmiast zaczynał się atak. Inne kandydatury w tym momencie z tych czy innych przyczyn odpadały: ktoś chory, ktoś daleko mieszka. O Szuriku właściwie nie pomyślała, ale on sam podjął się opieki nad kocią rodziną.

Te czarne koty, Dusia, Konstantyn i Marchewka, będąca dla swojej matki jednocześnie i wnuczką, nienawidziły ludzi, ale dla Szurika z niewiadomego powodu czyniły wyjątek, przyjmowały go przyjaźnie, a nawet chowały pazury, siadając mu na kolanach. Matylda dała Szurikowi klucz i nieskomplikowane instrukcje.

Nazajutrz, na prośbę Matyldy, Szurik odprowadził ją do pociągu, potem pojechał na uczelnię i zabrał papiery. Zamierzał zawieźć je do Instytutu Pedagogicznego, gdzie przyjmowanie dokumentów jeszcze się nie zakończyło, kiedy jednak dostał do rąk swoje papiery, zrozumiał, że nie chce widzieć nikogo z byłych współpracowników babci i w ogóle nie chce na żaden pedagogiczny. Za nic. Zawiózł dokumenty do pierwszej lepszej uczelni najbliższej domu. To była Mendelejewka, piec minut piechotą.

Potem zaszedł do sklepu „Ryba” na ulicy Gorkiego, kupił dwa kilogramy drobnego dorsza. Mądre koty, jak trzy egipskie statuetki, siedziały w korytarzu jak błyszczące słupki. Konstantyn podszedł do niego, pochylił lakierowaną głowę i lekko trącił go w nogę.

Zupełny brak zainteresowania Szurika wynikami przyniosł wspaniałe owoce. Bez specjalnych

przygotowań zdał przyzwoicie i matematykę, i fizykę, i chemię. To powodzenie było mimo wszystko nadzwyczajne: na egzaminach dostawał te pytania, które przeglądał dzień wcześniej. Dwudziestego sierpnia znalazł się na liście przyjętych.

Instytut nazywano lekceważąco „mendelawką”. Uważano, że jest on gorszy od naftowego i gorszy od instytutu chemicznej technologii precyzyjnej, a nawet gorszy od instytutu chemicznej budowy maszyn. W zamian posiadał sławę liberalnej uczelni: łagodna administracja, słaba organizacja komsomolska, katedra nauk społecznych, mająca na przykład na uniwersytecie ogromną wagę, tutaj zajmowała skromne miejsce, a kierownictwo partyjne, choć, naturalnie, przewodziło, ale nie całkiem siedziało wszystkim na głowie.

Szurik z braku doświadczenia nie mógł docenić zalet liberalizmu, po prostu chodził w wielkim tłumie na wykłady, pisał konspekty i kręcił głową, przyglądając się współtowarzyszom i samemu procesowi nauczania, tak różnego od tego, jaki znał ze swojej szkolnej praktyki.

Zaczął się ogromny cykl chemii nieorganicznej, wykłady, seminaria, laboratoria. Laboratoria bardzo mu się spodobały. Na początku uczono prostych rzeczy: jak pracować z próbkami, jak trzymać nad palnikiem gazowym szklaną rurkę, jak przelać roztwór i odfiltrować osad. Były to swego rodzaju czary w momentalnym podgrzaniu próbki przy zlewaniu dwóch zimnych roztworów, w zmianie koloru lub nieoczekiwanej przemianie przezroczystej cieczy w niebieską galaretowatą masę. Wszystkie te drobne zjawiska miały swoje ściśle naukowe wyjaśnienie, ale Szurikowi wydawało się, że pod każdym wytłumaczeniem kryje się nieodgadniona tajemnica reakcji zachodzących między substancjami. Tylko patrzeć, jak z osadu wypadnie kamień filozoficzny albo jakiegokolwiek inne chemiczne marzenie średniowiecza.

W laboratorium znalazł się w gronie najmniej umiejących, ale nikt tak jak on nie dziwił się i nie cieszył małymi chemicznymi cudami, które działy się po prostu w rękach.

Większość studentów przyszła uczyć się chemii nie z tej jedynej przyczyny, że instytut znajduje się blisko domu. Oni tej chemii już się naprzekli, należeli do kółek, uczestniczyli w olimpiadach. Prócz miłośników chemii było także sporo Żydów, którzy wylecieli z uniwersytetu, nieudanych fizyków i matematyków o wysokim intelekcie i niezaspokojonych ambicjach. Liberalizm Mendelejewki polegał między innymi na tym, że tu przyjmowano Żydów. Szurika z jego nieokreślonym nazwiskiem uważano za Żyda, ale do tego przywykł jeszcze w szkole i nawet nie próbował protestować.

Na zajęcia w laboratorium podzielono studentów na grupy i podgrupy, niektóre ćwiczenia wykonywali w czwórkach. Najlepszym chemikiem w ich podgrupie była Ala Togusowa, Kazaszka na cienkich niedorozwiniętych nóżkach, schodzących się w jednym punkcie \* w łydkach. Za to swoimi małymi mądrymi rączkami śpiewając wykonywała zadania tak szybko, że pozostali jeszcze nie zdążyli przeczytać polecenia, a u niej już wszystko było gotowe. Uwidoczniała się jej dwuletnia praca w zakładowym laboratorium chemicznym przed wstąpieniem do instytutu \* Ala była „docelowa”: chemiczne przedsiębiorstwo w Akmolińsku wypłacało jej stypendium. Chwytała wszystko w lot i nauczyciel praktyki wyraźnie wyróżniał ją spośród pozostałych \* jak doświadczony żołnierz spośród rekrutów.

Druga dziewczyna nazywała się Lena Stowba. Nazwisko zadziwiająco pasowało do jej wyglądu zewnętrznego \* pięknej gburowatej twarzy, jasnej grzywki, zakrywającej niskie czoło, do delfinowego opływowego tułowia i mocnych równych nóg z szerokimi łydkami. Mrukliwa i nieprzyjazna, wszystkie przerwy spędzała pod schodami, paląc jednego za drugim drogie papierosy „Femina”. Wiadomo było, że pochodzi z Syberii, a jej ojciec jest wysokim partyjnym naczelnikiem. Obie dziewczyny były prowincjuszkami, Ala \* zachwycona, Lena \* mroczna i nieufna. Podejrzewała moskwian o jakieś ukryte grzechy, cały czas usiłowała wyprowadzić ich na czyste wody. Obie mieszkały w akademiku.

Trzecim w ich grupie był moskiewski chłopak Żenia Rozencejg, z którym Szurik z miejsca się zaprzyjaźnił. Nowy przyjaciel był prawdziwym cudownym dzieckiem, jednak z powodu „rasowego inwalidztwa” nie mógł studiować na wydziale mechaniczno\*matematycznym. Ten bardzo miły, ryżawy, piegowaty, nie w pełni jeszcze uformowany młodzieniec był znakomitym matematykiem. W pierwszej sesji najtrudniejszym egzaminem, przed którym drżeli ze strachu studenci nie była

jednak niesforna, rządząca się trudno przewidywalnymi prawami chemia, ale logiczna i jasna analiza matematyczna. Przedmiot ten wykładał mały zawzięty człowiek z potarganą czupryną i nisko osadzonymi okularami na guzowatym nosie. Wiadomo było, że na egzamin lepiej do niego nie trafić \* stawia wyłącznie trójki i to nie za pierwszym razem.

Rozencwejg, uważający się w matematyce za wielkiego specjalistę, podjął się przygotować całą grupę. Wszyscy czworo gnieździli się w malutkim pokoju Szurika i Żenia uczył ich podstępного przedmiotu \* matematyki. Od czasu do czasu zaglądała do nich Wiera Aleksandrowna i delikatnie słabym głosem pytała, czy nie chcą herbaty... I przynosiła herbatę: na tacy stały cztery filiżanki, każda na swoim spodeczku, na talerzyku w rzeźbione listki i kwiaty leżały sucharki, a cukiernica była wyraźnie srebrna, pociemniała \* gdyby ją proszkiem do zębów przeczyszczyć, błyszczałaby jak nowa...

12.

Ala Togusowa była córką rosyjskiej zesłanki i wdowca Kazacha. Jej matka, Galina Iwanowna Łopatnikowa, znalazła się w Kazachstanie jeszcze przed wojną jako czteroletnie dziecko. Z głośną sprawą zabójstwa Kirowa jakimś sposobem powiązano jej ojca, partyjnego działacza najniższej rangi. Ojciec zginął w więzieniu, matka wkrótce zmarła. Swoich rodziców Galina słabo pamiętała. Kiedy miała siedem lat umieszczono ją w specjalnym domu dziecka i całe jej życie było nieustanną katorgą i obojętnym utrzymywaniem się przy życiu. Przez całe dzieciństwo chorowała. Jednak, co dziwne, silne dzieci umierały, a ona, słabiutka, żyła. Jak gdyby choroby, które ją, zdechlaka, nawiedzały, nie mogły zabrać z niej potrzebnych soków i same z siebie umierały w niej, a ona ciągle żyła. Dom dziecka skierował ją do zawodówki, na tynkarza, ale wtedy zapadła na gruźlicę i znowu zaczęła umierać, jednak widocznie śmierć pogardziła jej słabiutkiemi kosteczkami i proces zatrzymał się, kawerna się zamknęła. Wyszła ze szpitala, poszła do pracy na dworzec sprzątać. Spała w akademiku na jednym łóżku z inną dziewczyną, też zesłanką.

Kiedy Torus Togusow, czterdziestoletni spinacz wagonów z Akmolińskiej wagonowni, po śmierci żony wziął ją do siebie do domu, jej sytuacja częściowo zmieniła się na lepsze: miała stały meldunek. Reszta bez zmian: głód, chłód, a roboty jeszcze przybyło. Nowa rosyjska żona Togusa niewiele umiała i do domowego życia nie była przygotowana: dzieciństwo w domu dziecka przyuczyło ją do żebraczej pajdki, bojaźliwej potulności i cierpienia \* nawet zupy nie potrafiła ugotować. Umiała Galina tylko ścierką jeździć po dworcowej zaplutej podłodze. A już z podrastającymi synami Togusa zupełnie sobie nie radziła, tak więc przyszło ich odesłać do dziadka, do dalekiego Mugodżarskiego kraju.

Razachska rodzina uważała Togusa za człowieka próżnego, jego ożenek z rosyjską dziewczyną tę opinię ostatecznie utwierdził. A i on sam był trochę rozczarowany: nie urodziła nowa żona białowłosej dziewczynki, jak sobie życzył, przybyła czarna, wąskooka, pełna Kazaszka. Nazwali ją Alija. Ale powiodło się Togusowi w czym innym \* wkrótce po narodzinach Ali został konduktorem. Ogromne łapówki płacono za takie stanowisko. Od pierwszych lat otwarcia turkiestańsko\*syberyjskiej kolei Kazachów przyciągała ta nowa profesja, poprzez którą realizowało się idealne przejście od życia koczowniczego do osiadłego.

Szczęśliwy w swoich kolejowych wędrówkach, bogacący się na zwyczajnej w tej pracy spekulacji wódką, produktami i rękodziełem, Togus założył sobie jeszcze jedną rodzinę w Taszkencie i kilka przejściowych przyjaciółek na wszystkich swoich trasach. Z rzadka przyjeżdżał do Akmolińska, zostawiał raz pół barana, raz kawał drogiego jedwabiu, a i niezwykłych cukierków córce i znikał na wiele miesięcy. Pewnie można by było uważać, że on w ogóle odszedł od Galiny, gdyby ta umiała się nad tym zastanowić. Ale myśleć ona nie umiała. Do tego potrzebne były wewnętrzne siły, a tych jej starczało wyłącznie na same małe myśli o jedzeniu, o kiepskim obuwiu, o opale. A już, naturalnie, na żadną miłość sił

nie było, jak nie było przy niej nigdy nic takiego, co mogłoby tę miłość przyciągnąć. Córka Ala wywoływała w niej tylko słabiutkie ożywienie uczuć. Dziewczynka nie wdała się w matkę, była nazbyt aktywna, nazbyt się naprzykrzała jej, zmęczonej, a ona tym bardziej się męczyła miłością,

którą dziewczynka chwyliwymi łapkami z niej wyciągała.

Dopóki Togus jeszcze przyjeżdżał do Akmolińska bardziej lub mniej regularnie, Alę wywożono na lato do dziadka Kazacha, który całe swoje życie koczował na stepach między Mugodżarskimi Górami i Arałem, po starej utartej trasie w zależności od pory roku, kierunku wiatru i wzrostu trawy, wydeptywanej przez przechodzące stada owiec. Ostry dokuczliwy ból brzucha, zaskorupiała od krwawej biegunki bielizna, fetor jurty, gryzący dym, starsze dzieci \* złe, brzydkie \* za coś ją biją, drażnią... O tym Ala nigdy nikomu nie opowiadała, tak samo jak i matka, Galina Iwanowna, nie opowiadała jej o swoim dzieciństwie w domu dziecka...

Zesłańców po śmierci Stalina zaczęto po trochu zwalniać. Galina Iwanowna mogłaby wrócić do Leningradu, ale tam nie miała nikogo. A nawet jeśli ktoś był, to ona o tym nie wiedziała. I po co miała przenosić się na nowe miejsce? Z latami i tu się dobrze urządziła: jedenastometrowy pokój na obrzeżach Akmolińska, przy przejeździe kolejowym, łóżko, stół, dywan \* całe dobro od męża, a i praca sprzątaczką na dworcu, gdzie było swoiste złote źródło \* puste butelki ze szczodrych rąk pasażerów.

Alę, póki nie poszła do szkoły, matka brała ze sobą na dworzec, a tam, w poczekalni, ona siadała w kucki i zachłannie przyglądała się ludziom, którzy przybywali falami, a potem gdzieś znikali.

Początkowo bezmyślnie gapiała się na nich i widziała tylko niezliczone stado w rodzaju tamtego owczego, w kazachstańskim stepie, ale potem zaczęła odróżniać pojedyncze twarze. Szczególnie interesujący byli rosyjscy ludzie \* innej urody, inaczej ubrani, w rękach mieli nie węzłki i woreczki, a teczki i walizki, a buty mieli

skórzane i błyszczące jak wymyte kalosze. Pośród męskiej większości czasem mignęły kobiety \* nie w chustach i waciakach, a w kapeluszach, paltach z lisimi kołnierzami i pantoflach na obcasach. One były Rosjankami, ale innymi, nie takimi jak jej matka.

Wiele godzin spędziła mała Ala na dworcu w stanie głębokiego oderwania, jak buddyjski obserwator modrego nieba czy wiecznie płynącej wody. Nie umiała ani postawić pytania, ani odpowiedzieć, jedno tylko wypielegnowała w sobie, siedząc w kucki przy koszu na śmieci: pewnego dnia włoży pantofle na obcasach, weźmie walizkę i odjedzie stąd dokądś, nie wiadomo dokąd... w inne życie, którego zuchwale zapragnęła. Możliwe, że przemówiła w niej ta sama krew, która pognała jej ojca w płataninę kolejowych dróg, w gęsty ludzki tłum, w swoisty smród gorącego żelaza, mokrego węgla, wagonowych zapaskudzonych sortymentów, gdzie wszystko było dla niego jak na zamówienie, życie pełne różnych możliwości \* napić się drogiego koniaku z wojskowym, zedrzeć z kobiety za jazdę bez biletu, zbić niesamowitą forszę, nałgać kupę rzeczy, a czasami i popastwić się nad bezbronny pasażerem... Dziesięć lat świętował Togus Togusow swoje kolejowe sukcesy, a w jedenastym go spolił, okradli i wyrzucili z pociągu dwaj źli ludzie, których wziął do siebie, do konduktorskiego przedziału na nocnym odcinku od Urgencza do KozSyrtu. Drogich cukierków Ala nie widziała lat dziesięć.

Matka odprowadziła ją do szkoły i przez pierwsze lata nauki ona jeszcze nie dostrzegła żadnego związku między wychodzącymi na peron Akmolińska niezwykłymi i szczęśliwymi ludźmi a krzywymi pałeczkami, jakie ona niechętnie stawiała w zeszytach, ale pod koniec drugiej klasy ją olśniło: zaczęła się uczyć tak namiętnie, żarliwie, a jej zdolności \* małe czy duże, nie miało to znaczenia, sięgały granic, a te granice rozszerzały się i z każdym rokiem uczyła się coraz lepiej i lepiej, tak, że przeszła do dziesięciolatki, chociaż prawie wszystkie dziewczęta po siódmej klasie poszły do zakładu jako uczennice albo do zawodówki.

Szkołę zakończyła ze srebrnym medalem. Chemiczka, Jewgienija Łazariewna, wychowawczyni, zesłana z Moskwy i także osiadła w Kazachstanie, namówiła Alę na wyjazd do Moskwy, wstąpienie na uniwersytet, na wydział chemii.

\* Uwierz mi, to taki sam rzadki talent, jak pianisty czy matematyka. Ty czujesz strukturę \* wpadała w zachwyty Jewgienija Łazariewna.

Ala sama wiedziała, że umysł jej okrzepł, pamięć wzrokowa, pozwalająca jej dziadkowi przelotnym spojrzeniem po zmienionych zarysach stada rozpoznać, że zginęła jednaj edyna owca, przyjmowała chemiczne wzory, ich rozwarstwione struktury, pierścienie i rozłogi rodników...



\* Nie, nie teraz, za dwa lata pojedę \* stanowczo powiedziała Ala, nie rozpieszczając wychowawczynie wyjaśnieniami.

Jewgienija Łazariwna tylko machnęła ręką: za dwa lata wszystko pójdzie w zapomnienie, wiatr rozwieje...

Galina Iwanowna została w tym czasie inwalidką: jedna noga w kolanie nie zginała się, druga ledwie kuśtykała. Ala poszła do przemysłu, co prawda, nie do cechu, a do laboratorium. Jewgienija Łazariwna załatwiła to byłej uczennicy. Dwa lata Ala pracowała jak katorżniczka, ciągnęła półtora etatu, po dwanaście godzin. Zaoszczędziła pieniądze na bilet, kupiła sobie niebieski wełniany sweterek, czarną spódniczkę i pantofle na obcasach. Jeszcze sto rubli zostało w zapasie. Jednak nie to było ważne: prócz dwuletniego stażu miała skierowanie na studia z rodzimego zakładu, fakt, nie na uniwersytet, a do Mendelejewskiego Instytutu, na wydział technologii. Była teraz „kadrami narodowymi”. Matka, która właśnie uzyskała „drugą grupę” inwalidztwa na skutek gruźlicy kości, prosiła ją, by została, poszła tu, w Akmolińsku, do Instytutu Pedagogicznego, jeśli już taka ochota do nauki ją przyparła. Ona już szykowała się umierać i obiecała długo córki nie zatrzymywać. Ala po prostu tego nie słyszała.

W pantoflach na obcasach, na boscie nogi, z walizką nabitą podręcznikami, wsiadła do przejeżdżającego pociągu. Pięty starła twardymi butami do krwi jeszcze w drodze na dworzec. Ale to nie miało znaczenia: dla siebie była jeszcze bardziej bezlitosna niż dla matki.

Już w pociągu przyjęła twarde postanowienie: nigdy więcej nie powróci do Kazachstanu. Moskwy jeszcze nie widziała, ale już wiedziała, że tam pozostanie na zawsze.

Ani w marzeniach, ani w wyobraźni żywa stolica nie miała tak niebywałego blasku. Dworzec Kazański, ośrodek krzątaniny, zamętu i brudu, lekceważona przez moskwian kłosa miasta, wydał się Ali przedśmiałkiem raj. Wyszła na plac \* wspaniałość miasta poraziła ją. Zeszła do metra i osłupiała: raj okazał się nie w niebie, a pod ziemią. Dojechała do „Nowosłobodskiej” i kolorowe szkiełka kiepskich witraży podziemnej stacji okazały się najgłębszym artystycznym przeżyciem w jej życiu. Pół godziny, oblewając się łzami uwielbienia, stała przed świecącym panelem, zanim wyszła na świat boży. Jednak powierzchnia z początku ją rozczarowała: od dworca z białego marmuru rozbiegały się we wszystkie strony drobne i nieznaczące domki, nie lepsze niż w Akmolińsku. A kiedy oglądała niepokojące skrzyżowanie, nagle skądś zapachniało słodkim chlebem tak bajkowo i świątecznie, jak od kolorowego szkła.

Sklep z pieczywem był naprzeciw, na ukos od metra. Stary parterowy dom. Poszła po fali zapachu. Wewnątrz błyszcząły niebiesko\*białe kafle i to też było wspaniałe. Sklep w rzeczy samej był dobry, należał kiedyś do Filippowa, w piwnicy mieściła się piekarnia i nawet pracował jeszcze staruszek \* piekarz, który przed rewolucją zaczynał jako chłopak przy piecach...

Wewnątrz pachniało tak, że wydawało się, iż powietrze można odgryzać i żuć. A chleba było tyle, że oczy nie obejmowały. Ala nigdy takiego nie widziała i pomyślała, że kosztuje tak drogo, że nie będzie mogła kupić. Ale kosztował tyle, co w Akmolińsku. Kupiła od razu kołacz, kaloryczną bułkę i żytni placek. Ugryzła, chociaż żal było uszkodzić piękno. Z kołacza posypała się mąka, taka mąka i biała, jakiej w Kazachstanie nigdy nie widziała. Niczego smaczniejszego od tego chleba w życiu nie jadła...

Przystając co dziesięć kroków, dowlokła ciężką walizkę do instytutu. Szybko przyjęto jej dokumenty i dano skierowanie do akademika. Z trudem go odnalazła \* w dzielnicy Krasnej Presni, dość daleko od metra. Załatwiwszy sprawę mieszkania, otrzymawszy łóżko w czteroosobowym pokoju, wcisnęła nienawistną walizkę pod żelazne łóżko i ruszyła na plac Czerwony, popatrzeć na Kreml i Mauzoleum Lenina, Mekkę i Kaabę tej części świata.

To był wielki dzień jej życia: odkryła trzy cuda świata naraz. Jej dusza stanęła w świątyni sztuki, wykonanej z kolorowych szkiełek przez pijanych wykonawców według szkiców niesumiennej chałturników, zaś ciało \* w świątyni niezapomnianego smaku (osiedleńcy na ugorach, napływowi rolnicy spośród zesłańców i wezwanych do czynu komsomolców żarli chleb szary, surowy, ziemisty), a nieśmiertelny duch wznosił ją na boskie wysokości przy zębatej ścianie wielkiej świątyni. Alleluja!

Kto ośmieliłby się odebrać jej wiarę w ten dzień? Któż mógłby zaproponować więcej?

Prawdopodobnie, dziewczyny z akademika nie podzielałyby zachwyty, nawet jeśli ona podzieliłaby się z nimi wrażeniami. Ale ona chowała swój skarb w głębi duszy.

Wszystko, co zaplanowała, spełniło się. Zdała egzaminy znacznie lepiej niż trzeba było do zaliczenia. Dostała w akademiku łóżko i szafkę nocną w czteroosobowym pokoju, z łazienką i prysznicem na piętrze, ze wspólną kuchnią i kuchenką gazową. Wszystko to należało się jej według prawa. Ponad probówkami i kolbami patrzyła na swoich kolegów z roku. Wszyscy byli wspaniali jak obcokrajowcy \* piękni, wystrojeni, odżywieni. Najlepszy ze wszystkich był Szurik Korn. Potem trafiła do jego mieszkania. To było wyższe piętro raju. Teraz Ala wiedziała na pewno, że wszystko można osiągnąć. Trzeba tylko pracować. I pracowała. I była gotowa na wszystko.

13.

Po śmierci matki Wiera gwałtownie postarzała się i jednocześnie poczuła się sierotą, a o ile sieroctwo jest stanem przeważnie dziecięcym, ona jakby zamieniła się miejscami z synem studentem, ustąpiła mu starszeństwa. Wszystkie życiowe problemy, poprzednio rozwiązywane niezauważalnie przez Jelizawietę Iwanownę, teraz spadły na Szurika, a on to przyjął pokornie i łagodnie. Matka patrzyła na niego z dołu do góry, kładła przezroczystą rękę na jego ramię i z roztargnieniem mówiła:

\* Szurik, trzeba coś na obiad... Szurik, gdzieś była książeczka opłat za prąd... Szurik, nie widziałeś gdzieś mojego niebieskiego szalika...

Wszystko w formie nieokreślonej, niedopowiedzianej.

Swoją pensję księgową, jak przedtem, wkładała do gobelinowego pudełka na stoliku Jelizawiey Iwanowny. Szurik pierwszy zauważył, że tych pieniędzy jest absolutnie za mało, i już od połowy września zaczął dawać lekcje dawnym uczniom babci. Jeszcze było stypendium.

Wracając z uczelni, zachodził do najbliższego sklepu, przynosił pierogi, ziemniaki, jabłka, bez których mama żyć nie mogła, opłacał rachunki za gaz i prąd, znajdował szalik, który ześlizgnął się w szczelinę między ścianą a szafką na buty...

Raz na tydzień kupował drobnego dorsza, zanosił Matyldzie... Czekał na listy od Lili. Nie przychodziły.

Zbliżał się Nowy Rok, pierwszy Nowy Rok bez Jelizawiey Iwanowny, bez świąt Bożego Narodzenia, bez piernikowych wróżb, bez babcinych szczodrych i niespodziewanych prezentów i nawet, pewnie, bez choinki... W każdym razie Wiera nie wiedziała, skąd się brały choinki, kto je przynosił do domu i jakim sposobem klujące drzewko znajdowało się w przechowywanym przez Jelizawietę Iwanownę starym krzyżaku, umocowane za pomocą zestawu kliników, które również przechowywano w specjalnym pudełku.

W miarę upływu tygodni nieobecność Jelizawiey Iwanowny dawała się odczuwać coraz bardziej, szczególnie w tygodniu przednoworocznym, który w poprzednie lata upływał w radosnym napięciu przygotowań \* prawie każdego dnia przychodzili uczniowie, szlifowali francuskie piosenki i wierszyki, a Wiera wieczorami po pracy siadała przy pianinie, akompaniowała, wspominając niezapomnianego Aleksandra Zygmunowicza i odruchowo potrząsała głową na koniec każdej frazy muzycznej tak, jak to czasem robił on. Dzieci głośno i fałszywie śpiewały, Jelizawiey Iwanowna srogo naciągała górną wargę na chwiejną protezę, postukiwała czubkiem pantofla o stary dywan, w gorącym piekarniku dosuszały się kandyzowane pomarańcze i jabłka, dom roztaczał aromat cynamonu i pomarańczy, z którym mieszał się świąteczny zapach pasty do podłóg...

\* Przy okazji, Szurik, gdzie jest zapisany telefon Aleksieja Sidorowicza?...

Aleksiej Sidorowicz był froterem, od niepamiętnych czasów zapraszany przez Jelizawietę Iwanownę dwa razy do roku, przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą, ale telefonu nie miał, mieszkał w Tomilinie, ona wysyłała pocztówkę do niego, naznaczała termin. Adres miała w głowie, w notesie go nie było...

Grudzień, ponury i ciągnący się, Wiera od dzieciństwa źle znosiła: zawsze się przeziębiała, kaszlała, wpadała w depresję, którą w tamtych latach nazywano po prostu przygnębieniem. Zwykle Jelizawiey Iwanowna już w listopadzie nasilała zwykłą troskę o córkę, dawała jej jakąś miksturę z

aloesu z miodem, naparzała to babkę, to dziewięcił, co rano stawiała przed nią szklaneczkę wina Cahors...

Ten grudzień, pierwszy bez matki, stał się dla Wierę szczególnie ciężki. Dużo płakała i, co dziwniejsze, nawet we śnie. Budząc się, ledwie zbierała siły, żeby poradzić sobie z tymi samoistnymi łzami. W pracy też nagle, ni z tego ni z owego, zaczynała toczyć łzy, a w gardle powstawała dusząca grudka. Cały czas chudła i chudła tak, że spódnice okręcały się naokoło szczupłych bioder, a młodziutkie artystki pytały, jaką dietę stosuje. Rzecz była, oczywiście, nie w diecie, a w tarczycy, powiększonej w młodości, a teraz wydzielającej do krwi ogromne dawki hormonu, od czego Wiera czuła się słaba, płakała, nie znajdowała sobie miejsca. A o ile symptomy choroby we wszystkich objawach pokrywały się ze zwyczajnymi cechami jej charakteru \* płaczliwością, nieufnością, łatwym zmęczeniem \* to choroby długo nie rozpoznawano. Przyjaciółki dawały jej do zrozumienia, że nie wygląda dobrze, że wygląda na zmęczoną.

Prawdopodobnie, tylko jeden Szurik czuł, że jej uroda wyblakła, biedniutka jak stara porcelanowa filiżanka czy skrzydełko motyla, co już swoje wylatał, stawała się coraz bardziej wzruszająca... Szurik uwielbiał ją. Był wychowany przez przewidującą Jelizawietę Iwanownę w niepodważalnej wierze, że mama to człowiek wyjątkowy, artysta, wegetujący w kiepskiej pracy, pod żadnym względem nieodpowiadającej jej poziomowi wyłącznie z tej przyczyny, że praca twórcza wymaga od człowieka pełnego zaangażowania, a Wierusia wybrała dla siebie inny los \* wychowanie jego, Szurika. Poświęciła dla niego artystyczną karierę. A on, Szurik, powinien to doceniać. I on doceniał. Teraz, po strasznej historii z babcią, panicznie bał się o matkę. Dokonała się ostateczna zamiana ról \* Wiera postawiła syna na miejsce swojej zmarłej matki, a on z łatwością przyjął tę rolę i odpowiadał za nią, jeśli nie jak ojciec za dziecko, to jak starszy brat za młodszą siostrę, i opieka nad nią nie była abstrakcyjna, kontemplacyjna, a całkowicie praktyczna, pochłaniająca dużo czasu. Szurikowi było ciężko. Mimo że łatwo dostał się na studia, okazały się one dla niego trudne. Był bez wątplenia humanistą i ta łatwość, z jaką opanowywał języki obce, w żadnym stopniu nie obejmowała innych przedmiotów. Na koniec pierwszego semestru nazbierało mu się wiele niezrozumiałego materiału ze wszystkich przedmiotów, z trudnym je zaliczał, stale korzystając z pomocy Ali i Zeni. Podciągali go, a nawet robili za niego zadania. Chociaż sesji jeszcze nie zawałił, to miał w związku z nią złe przeczucia. Jedyne przedmiot, jaki szedł mu wspaniale, to angielski. Nieporozumienie, będące pośrednią przyczyną śmierci Jelizawiety Iwanowny, jakby się powtarzało: znowu go przez pomyłkę wpisano nie do tej grupy językowej. Kiedy zobaczył swoje nazwisko w grupie „angielski \* zaawansowani”, nawet nie poszedł do dziekanatu, żeby właśnie. Zaczął chodzić na zajęcia, a nauczycielka dopiero na koniec semestru spostrzegła, że jeden z jej studentów przez pomyłkę w ciągu trzech miesięcy przyswoił pełny kurs szkolnego angielskiego i celująco poradził sobie z nowym zakresem.

We wcześniejszych latach Wiera w towarzystwie Szurika obowiązkowo bywała na lepszych teatralnych premierach i na dobrych koncertach. Teraz, kiedy proponowała Szurikowi wyjście dokądś, czasami odmawiał: nie miał czasu. Musiał się dużo uczyć, zwłaszcza z chemią miał problemy \* wydawała mu się pokręcona, rozgałęziona, pozbawiona logiki...

W życiu Szurika nastąpiły zmiany jednocześnie we wszystkich sprawach \* i wielkich, i drobnych. Jedno tylko pozostało niezmiennie od zeszłego roku \* poniedziałkowa Matylda. Przy czym, poniedziałki czasami rozciągały się i na

inne dni tygodnia. Ponieważ Wiera źle znosiła samotne wieczory, Szurik, drzemając nad książkami, doczekał do jedenastej, kiedy mama brała swoje tabletki nasenne, zostawiał w swoim pokoju zapaloną lampkę i cichą muzykę, i w samych skarpetkach, z butami w ręku, otwierał wejściowe drzwi, nie skrzypiąc naoliwionymi specjalnie zawiasami, nie szczękając zamkiem, wkładał buty już na klatce schodowej i zlatywał w dół biegiem po schodach, potem przez podwórze, przez mostek kolejowy, do Matyldy...

Otwierał drzwi swoim kluczem, który mu powierzyła nie na znak ich miłostnego związku, ale jako świadectwo przyjaźni od tamtego dnia, kiedy Matylda zostawiła pod jego opieką koty. Przez szparę w drzwiach widział szerokie białe łóżko, leżącą na puchatych poduszkach Matyldę w białej obszernej koszuli, z luźno zaplecionym warkoczem na ramieniu, z grubą książką w gazetowej

oprawie, w otoczeniu trzech czarnych kotów, śpiących w najdziwniejszych pozach na jej rozłożystym ciele.

Matylda uśmiechała się do obrazu z przeciwka \* do mocno zarumienionego młodzieńca w krótkiej skórzanej kurtce, ze śniegiem na gęstych włosach. Ona wiedziała, że całą drogę biegł, jak zwierzak do wodopoju, i wiedziała, że biegłby nie dwadzieścia minut, a całą noc, a może nawet tydzień, żeby co prędzej ją objąć, dlatego, że jego głód był młody, zwierzęcy, a ona czuła gotowość zaspokojenia go.

Czasami przychodziło jej do głowy, że chłopaka można by było trochę poduczyć, dlatego że on i w łóżku dalej spieszył się do niej i nie było czasu na powolną czułość, na tkliwość, na delikatną pieśczętę. A dobiegłszy, nagle odrywał się od niej, patrzył na zegarek, szybko ubierał się i wybiegał. Podchodziła do okna i patrzyła, jak on pędził przez podwórko na ulicę, potem migał w prześwicie między domami...

„Do mamy się spieszy \* uśmiechała się dobrodusznie. \* Żebym się tylko, stara wariatka, nie przywiązała...”

Bała się przywiązania, bała się zapłaty. Przywykła, że za wszystko należy płacić.

14.

Nowy Rok zapowiadał się smutny: tak to wymyśliła Wiera Aleksandrowna. Nastroiła się na szlachetny minorowy nastrój, wyjęła album Mendelssohna i wcześniej przećwiczyła Drugą sonatę. Nie była zbyt wysokiego mniemania o poziomie swojego wykonania, ale jedyny słuchacz, na którego liczyła w noworoczny wieczór, był najzyczliwszy na świecie.

Jej aktorska dusza nie umierała. Stary spektakl jej życia rozpadł się, odegrał, a ona zaczęła tworzyć sobie nowy z podręcznego materiału, z zestawu, jak mawiano w teatrze. Do Mendelssohna pasowała czarna suknia, zakryta, ale z przezroczystymi rękawami, odpowiednia dla wykonawczyni. I w czarnym jej do twarzy. Na mieszczańskie przesady, że w czarnym się nie wita Nowego Roku \* splunąć. Stół będzie skromny: żadnych maminych ciasteczek w kształcie prosiaczków, całkiem jednakowych, jakby taśmowej produkcji, żadnego rodzinnego kruszonu w srebrnym kubelku w stylu a la rousseau... Przy okazji, gdzie on się podział, trzeba Szurika spytać... Malutkie kanapeczki... Tak, tartoletki kupić w bufecie teatru. Pomarańcze. I butelka wytrawnego szampana. Wszystko. Dla nas dwojga.

Powieszę maminy szal na oparciu fotela i niech Stendhal leży otwarty, jak został po tym, kiedy ją odwieziono do szpitala. I okulary... A nakryjemy na trzy osoby. Tak, dla nas trojga.

Wierze nawet do głowy nie przyszło, że Szurik może mieć jakieś własne plany. Na zbliżające się święta miał, jak

zwykle, wyznaczonych kilka ról jednocześnie: pazia, rozmówcy i zachwyconego tłumu. No i, naturalnie, mężczyzny, w wysokim znaczeniu. W najwyższym znaczeniu.

A Szurik nie miał głowy do świąt. Wczesnym rankiem, trzydziestego pierwszego poszedł zaliczać chemię nieorganiczną. Zastukał do drzwi aspiranta Chabarowa akurat w tym momencie, gdy ten strzelił z laborantem po setce dobrze rozrobionego kazonnego spirytusu.

To była już trzecia zaliczeniowa próba Szurika i jeśli nie zaliczyłby dzisiaj, to do sesji egzaminacyjnej nie dopuszczono by go. Niepewnie stał w drzwiach. Ala, mentor i kibic, wyglądała zza jego pleców.

\* A ty tu po co, Togusowa? \* zapytał Chabarow, który dawno dał jej zaliczenie za duże osiągnięcia bez zdawania.

\* A tak sobie \* zmieszała się Ala.

\* Och, nie macie nic do roboty, dzieciaki \* dobrodusznie westchnął Chabarow. Szklaneczka właśnie ośwładnęła organizmem, wszystko wewnątrz i na zewnątrz ogrzało się, stało się lepsze. Chabarow był początkującym alkoholikiem, a Szurik przypadkowo trafił na lepszą chwilę jego falującego nastroju. Zadanko Szurik rozwiązał z miejsca i źle. Chabarowowi wydało się to śmieszne, zachichotał, dał inne i wyszedł do magazynu do swojego wiernego laboranta, żeby powtórzyć. Po kwadransie wrócił, spostrzegł zapomnianego Szurika i rozwiązane przez Alę zadanie, wpisał

zaliczenie do indeksu i mrugnął porozumiewawczo, kiwając palcem:

\* A przecież ni czorta, Korn, nie umiesz!

Na korytarzu Szurik złapał Alę na ręce i zakreślił, burząc jej staranne uczesanie:

\* Hura! Zaliczył!

Ala była w siódmym niebie \* pełen korytarz ludzi i wszyscy widzieli, jak ją podniósł. Oto wyraźny dowód na to, że skoncentrowana praca nad podbojem wydała pierwsze owoce. Jego radość, zwrócona na nią, jej potargana fryzura pokazały wszystkim, że między nimi coś się dzieje. Zbliżenie nastąpiło i ona gotowa była pracować ile potrzeba, żeby zdobyć swoją główną nagrodę. Kościstą ręką poprawiła opadłe na bok pasemko i lekkim ruchem przejechała po kołnierzyku niebieskiego sweterka, po podołku spódnicy, uszczypnęła pończochę na udzie, podciągając ją do góry.

\* No, gratuluję \* pretensjonalnie wzruszyła ramieniem. W tej chwili była prawie ładna, z grubsza przypominała

Japonkę ze lśniącego kalendarza, jednego z wielu, jakie tego roku dotarły do Rosji.

\* Tobie wielkie dzięki \* wciąż jeszcze promieniał sukcesem Szurik.

„Zaproś!” \* zdecydowała Ala.

Czemuś jej się wbiło do głowy, że jeśli on zaliczy, to na pewno zaprosi ją do siebie do domu na powitanie Nowego Roku. Wszyscy szykowali się już od kilku dni, umawiali się co do składki, kupowali produkty, omawiali, u kogo najlepiej się zebrać. Szczególnie to ważne było dla tych, którzy mieszkali w akademiku: surowe kierownictwo zabraniało picia i wszelkich bezeceństw, które właśnie tego dnia się działy. Wszyscy spoza Moskwy chcieliby w ten dzień pójść do jakiegoś prawdziwego moskiewskiego domu.

Szurik przekładał zapisane karteluski z kieszeni do teczek, a ona stała obok i gorączkowo myślała, co by takiego prędko, natychmiast powiedzieć, żeby wykorzystać tę sprzyjającą chwilę do popracowania dla niej. Ale nic lepszego nie wpadło, prócz zwyczajnego:

\* A gdzie ty się bawisz?

\* W domu.

I rozmowa urwała się, dalej już z niej niczego nie można wycisnąć: wpraszać się Ala nie chciała.

\* Muszę jeszcze kupić choinkę, obiecałem mamie \* ufnie poinformował ją Szurik i dodał po prostu i ostatecznie: \* Dziękuję ci, Alka. Bez ciebie bym nie zdał. No, to ja idę...

\* Tak, i na mnie już czas \* wyniośle kiwnęła Ala i poszła, rytmicznie kiwając tapirem grubych czarnych włosów i mężnie powstrzymując gorzkie łzy porażki.

W akademiku trwały bojowe przygotowania: współlokatorki Ali prasowały, coś tam podszywały, malowały się niemieckimi kosmetykami z zakupionych wspólnie pudełeczek, zmywały i na nowo nakładały rumieńce i cienie. Szykowały się na wieczór do Instytutu Patrice'a Lumumby, ale Ali ze sobą nie brały. Ala położyła się do łóżka, zakryła się kołdrą po głowę.

\* Co ty, chora jesteś? \* zapytała Lena Stowba, łowiąc w lustrze odbicie swojego okrągłego, jak jajko, oka.

\* Brzuch mnie rozboleł. Do Korna się wybierałam, ale pewnie nie pójde \* skrzywiła się Ala. W brzuchu, jeśliby się wsłuchać, faktycznie coś się działo.

\* Aaa \* popluwając na tusz i uważnie pocierając go szczoteczka, odezwała się Lena \* on mnie też zapraszał, ale nie chcę.

Ala wsłuchiwała się w brzuch \* boli. Tak nawet lepiej. Ciekawe, dlaczego ona kłamie? A może nie kłamie?

Stowba siedziała w białej halce z rozcięciem z przodu, obejmując pełną zgrabną nogą nóżkę krzesła i mocno wytrzeszczała oczy, żeby nie wpadł tusz. Ona była z bogatych, z domu przysłali jej pieniądze, dwa razy przyjeżdżała matka, przywoziła produkty, jakich w Moskwie nie widziano...

Po dziewiątej wszyscy poszli, zostawiając bałagan, wyciągnięte z szafy sukienki, włączone żelazko, lokówki i wałki z czerwonymi i czarnymi śladami. I dopiero wtedy Ala rozplakała się.

Popłakawszy trochę, pocieszyła się wypróbowanym sposobem, dopieszczając się nieco. Piersi miała małe, twarde jak niedojrzałe gruszki. Brzuch, wcześniej wklęsły, z wystającymi szczytami bioder i kością łonową, teraz, na filipowskim chlebie, wypełnił się. Talia wąska, a i cała reszta nie

gorsza niż u innych \* na zewnątrz delikatny zamsz, wewnątrz śliski jedwab.

Wstała, popatrzyła na siebie w zakurczonym lustrze: w twarzy wszystko z osobna było niezłe, ale dobrane niedbale, nieuważnie \* oczka wąskie, można jeszcze przedłużyć, ale osadzone za blisko. Nos trochę przygnieciony, jak u ojca, ale nie tak bardzo. Tylko odległość od koniuszka nosa do górnej wargi zbyt mała. Odciągnęła górną wargę, wysunęła ze środka język \* tak byłoby lepiej... Niemieckie kosmetyki nie zostały schowane i ona, nie szczędząc cudzego, pociągnęła brwi na ukos, oko obwiodła czarną ramką... Starła, znowu namalowała. Mimo wszystko bardziej była podobna do pulchnej Japonki z kalendarza, a nie do ojca \* samuraja...

Potem zaczęła przymierzać cudze sukienki. Tu było przyjęte wymieniać się ubraniami, nosić rzeczy wspólnie, komunalnie. Dziewiczy majątek był dosyć mizerny, ale dla Ali więcej niż wystarczający. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że nic ze Stowby nie pasowało ani rozmiarem, ani długością.

Przebierała bluzki i sukienki bez zawiści, chłodnym okiem. Taką właśnie sobie kupi: wiśniową, jedwabną, a w paski \* za nic, bazarowe Uzbeczki chodzą w paskach. I jeszcze buty kupi. Wysokie. Po Nowym Roku obiecano jej miejsce sprzątaczką w katedrze. Zarobi i kupi...

Z lustra spoglądała na nią nie piękność, ale i nie Ala Togusowa. Inna, nowa twarz. Ledwie się poznawała. Monety do automatu leżały w szufladzie szafki. Na ostatku zauważyła flakonik perfum. Wstrząsnęła, naperfumowała się. Perfumy nazywały się „Być może”. Wzięła monety i zeszła na dół zadzwonić...

15.

Po dziesiątej Wiera Aleksandrowna zakończyła przemyślaną aranżację ascetycznego stołu. Długo układała serwetki, jeszcze w ubiegłym roku wykrochmalone przez mamę, w skomplikowany kształt „ptasiego ogona”. Do podstawy świecy przymocowała stroik zrobiony naprędce ze złotego i czarnego papieru. Mrocznie, ale podniosłe. Pod choinkę, zdobytą z wielkim trudem przez Szurika, która nawet nie zdążyła jeszcze odtajać, położyła noworoczny prezent dla syna \* cienki wełniany golf, który w przyszłości miała naprawiać i cerować przez wiele lat. Potem rozmyśliła się i wezwała Szurika:

\* Weź teraz prezent. Na Nowy Rok dobrze jest założyć coś nowego.

Szurik rozpakował:

\* Klasa! Cudo!

Pocałował matkę i ściągnął z siebie stary, niebieski. Nowy był ciemny, w przyjemnym kolorze marengo i Szurikowi bardzo się podobał. On też miał przygotowany prezent dla mamy \* cudowną, za całe ostatnie stypendium, nocną koszulę z różowego nylonu: baby były się w kolejce przed sklepem, więc też kupił. Już wtedy zaczął przejawiać się w nim ten osobliwy talent \* wybierać drogie bezsensowne prezenty, zawsze od rzeczy, zawsze stwarzające wrażenie, że on darowuje przypadkowo walającą się w domu rzecz, żeby się pozbyć...

Ale Wiera nie zdążyła się jeszcze zasmucić, bo swój prezent odłożyła do właściwej godziny...

Skończywszy ze stołem, Wiera zamknęła się w łazience, żeby poczynić starania do odzyskania jeśli nie młodości, to ostatecznie pewności, że zrobiła wszystko, co możliwe, do jej zatrzymania. W tym momencie zadzwonił telefon. Podszedł Szurik. Mamę prosiła jej kierowniczką, Faina Iwanowna. Dowiedziawszy się, że Wiera Aleksandrowna jest w domu i że świętują we dwoje, powiedziała stanowczo:

\* Wspaniale! Wspaniale! Zadzwonię później.

Zadzwoniła po godzinie, bezpośrednio do drzwi. Wielka, czerwona na twarzy, w zaśnieżonym karakułowym futrze i takiej samej czapce weszła jak bezbrody Dziadek Mróz, który przełożył prezenty z worka na plecach do dwóch ciężkich gospodarczych toreb.

Wiera Aleksandrowna zdumiała się:

\* Faina Iwanowna! Ale niespodzianka!

Faina Iwanowna już zrzucała na ręce Szurika ciężkie futro, wyciągała z rozpiętych butów ogromne stopy i poprawiała lepkie od lakieru włosy:

\* Oto niespodzianka dla was! Przyjmujcie gości!

Była tak zadowolona ze swojego wyczynu, że nie zauważyła ani zdziwionej miny Szurika, ani drobnego gestu Wiery w stronę syna \* nic nie poradzimy... Fainie nawet do głowy nie przyszło, że współpracownica nie ucieszy się z jej przyjścia. Nachyliła się, poszperała ręką w dużej torbie i zakrakęła:

\* Niech to diabli! Zdaje się, że zapomniałam pantofli! Nowe pantofle dla wyglądu, dla przeglądu...

\* Szurik, proszę podaj duże kapcie \* poprosiła Wiera Aleksandrowna.

\* Jakie, Wierusia?

W nowym swetrze, rosły, przystojny, gładko ogolony Szurik zagradzał przejście w drzwiach...

Jakby tak dodać mu pagony i z dziesięć lat dołożyć...

Faina Iwanowna miała słabość \* niewytłumaczalnie ciągnęło ją do wojskowych. Ale swój, na własność, na małżeńskie życie jej się nie trafił, wszyscy tylko dochodzący, okresowi, niepewni. A co w wojskowym stanowi największy wdzięk? Oczywiście niezawodność. A jaka jest niezawodność u kochanka? Na przykład obecny: dosłużyła się w końcu Faina dużej gwiazdy pułkownika, papachy \* a on, sprytny nadzwyczajnie, chodzi do niej jak na służbę, dwa razy w tygodniu, a wziąć w garść się nie daje. Choćby dzisiaj: powiedział wcześniej, że żonę i dzieci odwozi do rodziców, do Smoleńska, na całe święta, a o ósmej zadzwonił, sucho przekazał, że córeczka zachorowała, wszystko się zmienia... Nie przyjdzie...

Faina Iwanowna trzasnęła talerzem o podłogę, puściła cztery łzy ze złości i zadzwoniła do Wiery Aleksandrowny. Potem spakowała w torby wszystkie swoje noworoczne potrawy, prawdziwe świąteczne jedzenie, nawet z pierożkami \* to nie Wieroczki artystyczny teatr z połową oliwki i listkiem pietruszki \* i stawiała się. I w domu sama nie siedzi, i dla biednej Wieroczki \* niespodzianka. A dla Fainy Iwanowny niespodzianką okazał się Szurik \* jeszcze niedawno prowadzano go w jedwabnej koszulce z kokardą do teatru, czasem ze szlachetną babcią za rączkę, a teraz \* ani jednego, ani drugiego: i mama umarła, i zamiast nieśmiałego chłopczyka \* młody byczek. Jeszcze pachnie mlekiem, a kształty męskie: wzrost, ramiona... W tym też Faina szczęścia nie miała \* sama wysoka, zgrabna, a chłopcy całe życie trafiali się niewymiarowi, chociaż i pułkownicy...

Faina wygrzebała z torby puszki i zawiniątka, stawiała je na wąski kuchenny stół i mówiła:

\* Jaki wspaniały pomysł! Myślę sobie, wy sami, ja sama. Witkę do Ruzy na obóz zimowy dzisiaj odprawiłam. To kto nam jeszcze potrzebny? Gdzie macie duży półmisek?

Szurik z entuzjazmem sięgnął do kredensu po półmisek. Jemu się wszystko podobało: i pomysł matki spędzić Nowy Rok na smutno, ascetycznie i szlachetnie, i zamiar Fainy urządzić obfite przyjęcie...

Nie zdążyli rozłożyć przyniesionych pierogów i sałatek, kiedy znowu zadzwonił telefon. To była Ala Togusowa:

\* Szurik! Jestem przy instytucie. Wyobraź sobie, dziewczyny wyszły, zabrały klucze od pokoju, a komendanta nie ma. Nie mogę wejść do domu... Nie masz nic przeciwko, jeśli przyjdę? \* zachichotała niepewnie.

\* Oczywiście, Ala, o czym ty mówisz? Wyjść po ciebie?

\* A co ja, drogi nie znam? Sama przyjdę...

Dzwoniła Ala nie przy instytucie, a przy metrze. Po dziesięciu minutach stała w drzwiach. Tym razem zdumiała się Wiera Aleksandrowna. W pierwszej chwili wydawało się jej, że Lila Łaskina przyjechała: malutka, mocno wymalowana dziewczynka z podkreślonymi prawie do uszu oczami... Szurik prostodusznie zarżał:

\* Ale żeś się wypacykowała, nie do poznania...

Ala szybko zdjęła stare palto i stanęła w cudzej wiśniowej sukience, ściągniętej szerokim paskiem z naprędcie zrobioną dziurką, poprawiła uczesane w kok sztywne włosy.

\* No, po prostu jesteś Japonka, i już... \* nic lepszego Szurik nawet żartem by nie wymyślił. Tego właśnie potrzeba było Ali Togusowej \* być podobną do Japonki.

Dopóki rozmawiali w korytarzu, Wiera Aleksandrowna zdążyła szepnąć Fainie Iwanownie:

\* Koleżanka Szurika z roku. Uczą się razem. Ona jest prymuską, z Kazachstanu. Przychodzi do nas do domu, razem się do sesji przygotowują.

\* Oj, na Boga! Błagam panią! Stadami będą się lepić, taki piękny! Pani zadanie, Wiero Aleksandrowna, z dziesięć latek przytrzymać, nie dać się wcześniej ożenić. Mój też, trzynaście lat, a wzrost metr siedemdziesiąt. Przy osiemnastu do dwóch dorośnie. Dziewczyny już dzwonią. A ja myślę tak, niech się bawią, póki młode...

Faina Iwanowna była mądra, na swój sposób nawet utalentowana. Zaczynała jako kasjerka, awansowała na główną księgową. W teatrze autorytet miała ogromny, i dyrektor, i zastępca trochę się jej bali. Były jakieś tam machlojki, w które Wiera Aleksandrowna ze względu na skromną pozycję i wrodzony wstręt porządnego człowieka nie była wtajemniczana, ale domyślała się: kradną... Ale, bez względu na wszystko, Wiera odczuwała pewnego rodzaju szacunek do kierowniczkii: prawda, że wulgarna, niewychowana, ale głowa jak kalkulator, i przecież mądra. Ot, i teraz ma całkowitą rację: naturalnie, że wczesny ślub może całe życie zniszczyć. Dzięki Bogu, zeszłoroczna dziewczyna, Lila Łaskina, wyjechała, a przecież gdyby nie wyjechała, to by się ożenił, głuptas...

\* Chłopców to jeszcze bardziej niż dziewczynek trzeba strzec \* mlasnęła językiem Faina Iwanowna, a Wiera w duchu zgodziła się z nią...

Stary Rok pożegnali godnie \* wypili szampana.

\* A telewizor! Telewizor trzeba włączyć! \* przejęła się Faina Iwanowna i poszukała oczami telewizora. Telewizora nie było.

\* Jak to? W tych czasach bez telewizora! \* zdziwiła się Faina Iwanowna.

Musiała się obejść bez Breżniewa, bez „Niebieskiego płomyka”, bez „Nocy karnawałowej”. O dwunastej zaczął bić stary ścienny zegar babci \* stuknęli się kieliszkami. Poszło w ruch obfite jedzenie Fainy. Wiera ledwie dziobała widelcem \* zaplanowany wieczór był zepsuty. Głupio i bez sensu paliły się świece, zbladły choinkowe lampki, gdyż Faina Iwanowna z okrzykiem „nienawidzę mroku” zapaliła żyrandol na pełną moc. Mocnymi plecami przygniotła stareńki szal Jelizawiey Iwanowny, uwalivszy się w jej fotel. Odstawiła na bok puste nakrycie, symbolizujące obecność babci. Jadła Faina z apetytem, chrzęszcząc kostkami kurczaka.

\* U mnie kurczaki zawsze mięciutkie, ja je najpierw marynuję...

„Podobna do lwicy \* po raz pierwszy w ciągu dwudziestu lat znajomości zauważyła Wiera Aleksandrowna. \* Jak tego wcześniej nie widziałam? Dwie zmarszczki w poprzek czoła, oczy rozstawione szeroko, tępy szeroki nos... I nawet włosy zaczesane do tyłu, przykrywają zwierzęcy kark...”.

\* A tyjedz, dziewczyno \* Faina Iwanowna nie zatroszczyła się, by zapamiętać imię tej małej łachudry. Złość na pułkownika jej nie przeszła, stała się nawet jakby silniejsza, ale również weselsza. I do głowy wpadł jej pomysł: \* A gdzie macie telefonik?

Wyszła do korytarza, wykrciła numer. Do domu do niego nigdy nie dzwoniła, on nawet nie wiedział, że ma jego domowy numer. Odebrała kobieta.

\* Halo? Mieszkanie pułkownika Korobowa? Proszę przyjąć telefonogram z Ministerstwa Obrony...

\* Tola! Tola! \* zaskrzeczał w słuchawce żeński głos. \* Telefonogram z ministerstwa! Chwileczkę!

Ale Faina Iwanowna, nie zwracając uwagi na oddalone podniecenie rozmówczyni, ciągnęła:

\* Dowództwo składa życzenia pułkownikowi Korobowi z okazji Nowego Roku i awansu. Od piętnastego stycznia tego roku jest mianowany dowódcą Magadańskiego Okręgu Wojskowego. Sekretarz Podmachajewa.

I rąbnęła słuchawką. A co? W teatrze żyjemy! I nastrój od razu jej się poprawił.

\* Czemu nic nie jecie? \* Ona sama nagle poczuła przyływ głodu, dołożyła Szurikowi sałatki i kawałek ryby. \* Wiero Aleksandrowna! Dlaczego pani nic nie je? Talerz pusty! Szurik, polej! Szurik zaczął otwierać drugą butelkę szampana.

\* Nie, nie, dawaj koniak.

Ona wszystko przyniosła: i koniak, i cukierki.

Żeby wszyscy co prędzej sobie poszli \* cierpiała męki Wiera. \* zostalibyśmy we dwoje, powspominali mamę. Wszystko zepsute, wszystko zepsute. Arogancja niespotykana, tak zwalić się bez zaproszenia, z tym cudacznym jedzeniem, od którego potem będzie zgaga, odbijanie się, jeśli nie rozstrój żołądka...



Ala stuknęła się ze wszystkimi, wypięła. O, jak się wzniosła! Żeby zobaczyły ją jej akmolińskie koleżanki... W Moskwie, w takim domu... Wjedwabnej sukience... Szurik Korn, pianino, szampan... Nigdy wcześniej nie piła. Kiedy proponowano, odmawiała. W zakładzie pijaństwo było powszechne, ona zawsze bała się pijanych mężczyzn i wiedziała, jak to bywa: skrepują, spódnice na głowę, i wypieprzą... Przyrodni bracia w dzieciństwie i chłopcy z baraków kilka razy złapali. W laboratorium też, w zeszłym roku, na Pierwszego Maja urządzono coś w rodzaju biesiady, a potem zastępca gospodarza i starszy laborant powalili ją w szatni... Ale teraz jej było tak dobrze, tak słodko.

„To brzuch mnie od tego bolał \* domyśliła się. \* To powód, to po to wszyscy piją \* wyciągnęła częściowo błędny wniosek. Dziewczeta mówiły, że dobrze. Może nie kłamią... Jaki dzień się trafił! Ja swojego zdobędę...” \* postanowiła Ala i patrzyła błyszczącymi oczami na Szurika.

A Szurik jadł bez troski: mało to ludzie planów mają... On miał swój własny \* jutro o drugiej, to znaczy już dziś, umówił się z Matyldą. Rano dzisiaj wybierała się do koleżanek, a wieczorem powinna wrócić. Z powodu kotów, oczywiście. No i Szurik wybierał się ją odwiedzić, powitawszy z manią Nowy Rok smutnie i wytwornie.

\* Może zatańczymy? \* cichutko zaproponowała Ala.

\* Ale magnetofon jest w moim pokoju. Co, przynieść? \* Szurik był na tyle niedomyślny, na ile Ala niezgrabna.

\* To może tam \* Ala zaczerwieniła się pod kpiącym spojrzeniem kierowniczkii.

\* Chodź \* zgodził się Szurik i wytarł usta krochmaloną serwetką, do której Ala nie śmiała się dotknąć.

\* Niech tam, niech potańczą \* ponurym głosem powiedziała Faina Iwanowna, ale nikt tego nie zauważył.

Młodzi wyszli, a Faina Iwanowna otworzyła się, zaczęła opowiadać Wierze Aleksandrownie o podpisaniu umów z artystami, o przeniesieniu rozchodów gospodarczych na pozycje twórcze \* czego ta wiedzieć wcale nie pragnęła.

W pokoju Szurika nie było miejsca do tańca: stała tam kanapa, biurko, dwie szafy, pozostawało tylko wąskie przejście, w którym przy tęsknych dźwiękach bluesa Ala przyłgnęła do Szurika całą swoją szczupłością. Szurik zdziwił się, jak w dotyku jest podobna do Lili: drobne żeberka, twarde piersi... Tylko Lila tańczyła jak Cyganka, a ta drepcze, sama sobie na nogi następuje. Ale jeśli przycisnąć ją mocniej, to wyjaśnia się zupełnie zadziwiająca okoliczność:

cienkie nóżki są przytwierdzone gdzieś z boku, a między nimi taka ziejąca próżnia, taka rozwarta droga się otwiera, a ta rzecz, łono, jakby wisiało w powietrzu, a nawet sterczy trochę do przodu.

Podciągnął dół sukni, tak po prostu, z ciekawości, sprawdzić, jak to wygląda, i zdumiał się: pasek majtek z łatwością odchylił się i palec trafił prosto w ciepłą dziupłę. I tak sprytnie, zwinnie ona jakby troszeczkę podskoczyła i prościutko się na niego nadziała. Lekka, niewiele ważąca jak Lila. Jęknął: Lila... Żadnych tam udek, żadnego zbytecznego miejsca. Tylko to jedno, potrzebne...

Całkiem nie takie, jak u Matyldy, całkiem inne... I blues nie przeszkadzał niczemu, płynęły dźwięki saksofonu. I w tej chwili, kiedy Szurik oparł tę nieważkość o szafę i wydłubywał z trudem guziki, i już wszystko potoczyło się samoistnie... rozległ się nagłący głos z korytarza:

\* Szurik, na chwilę!

Wołała nie mama, wołała Faina Iwanowna.

\* Tak, tak, już \* odezwał się Szurik, otrząsnął się, wszystko naruszył, zdjął z siebie obcą dziewczynę. Ciemny jedwab spódnicy naelektryzowany przyłgnął do jej piersi, i on po raz pierwszy zdziwił się, jak pomysłowo wszystko jest urządzone: w słabym świetle lampki, odwróconej do ściany, patrzyły na niego czerwone płatki wypukłego kwiatka...

\* Zaraz wrócę \* chrypliwie szepnęła Szurik i zaczął wciskać guziki w ciasne dziurki nowych spodni. W przedpokoju ubierała się Faina Iwanowna. Już się wbiła w buty. Puste torby spokojnie stały na podłodze, jak psy przy nogach gospodarza.

\* Szurik, odprowadź Fainę Iwanowną do taksówki \* poprosiła mama.

\* Aha \* zgodził się Szurik. Nie było wyjścia.

\* U nas tak ciemno na podwórku. Niech już do klatki mnie odprowadzi i tą samą taksówką wróci.

\* Oczywiście, oczywiście \* cieszyła się oswobodzona Wiera.

Pora była najbardziej biesiadna, tuż po drugiej. Taksówkę zatrzymali od razu. Zabawnym zbiegiem okoliczności dom Fainy Iwanowny stał akurat naprzeciwko akademika Ali. Faina Iwanowna zapłaciła i zwolniła taksówkę, ku pewnemu niedowierzaniu Szurika, który wciąż jeszcze znajdował się pod magnetycznym działaniem sztuczki, odkrytej pod wiśniową spódnicą.

Zadnego obiecanego ciemnego podwórza nie było, ale Szurik nie zwrócił na to uwagi. W jednej ręce niósł dwie lekkie torby, na drugiej leżał karakułowy rękaw. Wjechali windą. Faina Iwanowna otworzyła drzwi, przepuściła przodem Szurika i szczęknęła zamkiem. Jej plan miał dwa punkty. Pierwszy \* telefon.

\* Rozbierz się na chwilę, bądź uprzejmy \* ona zdjęła zwawo futro i, póki on się rozdziewał, wykręciła numer i wcisnęła mu w rękę słuchawkę. \* Poproś Anatola Piotrowicza i powiedz: Faina Iwanowna prosiła przekazać, że dwa bilety na spektakl Dużo hałasu o nic ma zarezerwowane dla niego... Zrozumiałeś? Dużo hałasu o nic? Zarezerwowane!

W słuchawce odezwał się męski głos:

\* Słucham.

\* Anatol Piotrowicz? Faina Iwanowna prosiła przekazać, że dwa bilety na spektakl Dużo hałasu o nic ma zarezerwowane dla pana.

\* Co? \* zaryczał głos.

\* Dwa bilety...

Faina Iwanowna lekkim ruchem wskazującego palca wcisnęła widelki. Koniec. I zagadkowo uśmiechnęła się.

\* A teraz... \* to był drugi punkt noworocznego programu \* teraz pokażę ci jedną małą zabawę... Chwyliła go za rękę, mocno ujęła kciuk i, wysuwając ze złożonych w trąbkę warg twardy język, polizała opuszkę.

\* Nie bój się, spodoba ci się...

Lwica posiadała takie osobliwości, których Szurik, do pewnego stopnia uzbrojony w poniedziałkowe doświadczenia, nawet się nie domyślał. I żadnych asocjacji Szurik nie miał: nie znał żadnych takich zabaw. Po pół godzinie, całkowicie straciwszy orientację w przestrzeni i we własnych odczuciach, przeżywał parzącą, rozchodzącą się po kręgosłupie elektryczną rozkosz. Nad nim pochylało się coś niewyobrażalnie wielkie, nic wspólnego, prócz zapachu, nie mające z tym suchym kwiatkiem, do którego on tak niedawno dążył. To był niewypowiedzianie przyciągający zapach kobiecego wnętrza, a on dowiedział się, że zapach ma również smak. Jego własny zwyczajny instrument był całkowicie nie w jego władzy, w objęciach wilgotnych i żywych \* jego przygryziano, przeżuwano, ssano... Rozkojarzony, powstrzymywał się, jak desperacki pływak przed skokiem do nieznannej wody. Popchnięto go, szarpnął się do tyłu. Zdaje się, że nie chciał tam. Było jakoś strasznie. Rozległo się długie aksamitne wycie... Na drugim końcu świata działo się coś nieopisanego, i niechby się ono nie kończyło nigdy. Nie było innej drogi, i on rzucił się w sam środek otchłani... Smak był palący: jednocześnie ostry i mleczno\*kwaśny, delikatny i prawdziwie niewinny...

I w tym momencie raptem domyślił się, do czego to wszystko się odnosi \* do wymyślnego i całkiem nieprawdopodobnego rysunku na ścianie publicznej toalety na rogu ulicy Puszkina i Zaułka Stolesznikowa, któremu cztery lata temu długo się przyglądał. A jeszcze babcia czekała na górze, póki on załatwi swoją potrzebę.

Do domu Szurik wrócił rano. Skręcając się z obrzydzenia, dość składnie skłamał, jak to w drodze powrotnej od Fainy Iwanowny taksówkarz, który go wiozł, zderzył się z innym samochodem, a on musiał trzy godziny przesiedzieć na posterunku milicji w charakterze świadka, a zadzwonić z posterunku milicjanci nie pozwolili...

\* Ach, ty byś się i tak nie dodzwonił, my całą noc po kostnicach i szpitalach dzwoniłyśmy \* machnęła ręką wyczerpana z powodu wyobrażanej sobie straty Wiera.

Uwierzyły mu bezwzględnie.

Wiera Aleksandrowna była całkowicie usatysfakcjonowana odzyskaniem zaginionego syna. Trochę później doświadczona w różnego rodzaju wykrętach Faina czujnie podchwyciła temat i

potwierdziła swoje alibi \* telefon był zepsuty.

Wspólne łyżki i niepokoje noworocznej nocy zbliżyły Wierę Aleksandrownę i chemiczną prymuskę. Wybaczyła Ali nikkzemny wygląd i prowincjonalną mowę.

„Serdeczna dziewczyna \* stwierdziła Wiera. \* Chwała Bogu, wszystko skończyło się pomyślnie”.

Ukradkiem zerknęła na siebie w lusterku \* nawet w przedpokoju, gdzie było mroczno, odbicie było do niczego: spuchnięte powieki... pod oczami cienie... nabrzmałość wokół ust, która niegdyś tak wzruszała Aleksandra Zygmunowicza, zmieniła się w obwisłe zmarszczki.

\* Odprowadź Alę i wracaj jak najszybciej do domu \* poprosiła Wiera.

Żołądek po poczęstunku Fainy ją bolał, chciało się spać, ale jeszcze bardziej chciało się posiedzieć wreszcie we dwoje z synem, bez postronnych, zupełnie niepotrzebnych ludzi.

A Szurik znowu powędrował na ulicę Dziewięćset piętego roku, skąd tylko co wyszedł. Klucz od pokoju Ali wisiał w portierni na tablicy. Portierki nie było \* to była szansa.

\* Wejdziemy? \* z żalosną figlarnością zaproponowała Ala.

\* A dziewczęta? \* spróbował wykręcić się Szurik.

Ala zaczerwieniła się, do zdemaskowania był tylko jeden krok. Ona sama już zapomniiała, że nakłamała wczoraj o sąsiadkach, które zabrały klucz do pokoju. Ale do rezygnacji z zamiaru nie zmusiłoby jej ani trzęsienie ziemi, ani powódź, ani pożar... Zdjęła klucz i wzięła Szurika pod rękę.

Wyrwać się nie mógł. Weszli na drugie piętro. Współlokatorki porównywały swoje życie osobiste z losem studentów afrykańskich z instytutu Patrice'a Lumumby na ich terytorium,

Szurik, pod presją tej okoliczności, zmuszony był się poddać. Suchy kazański kwiatek otworzył się przed nim na kilka chwil, i oboje byli zadowoleni: on, że nie zawiódł jej oczekiwań, ona, mylnie sądząc, że odniosła wielkie zwycięstwo.

Jedyną, której nie trzeba było okłamywać, była Matylda. Zasnęła w noworoczną noc w swojej pościeli przed telewizorem i dopiero rano przypomniała sobie, że Szurik się nie pojawił... I dlatego, kiedy dwa dni później przyszedł lekko zawstydzony niespełnioną obietnicą, tylko się roześmiała:

\* Przyjacielu mój, nie ma o czym mówić!

16.

Po Nowym Roku mróz jeszcze bardziej ścisnął. Zima była jak rzadko bezśnieżna, wiatr zmiatał suchą ponowę pod ściany i płoty i wszędzie czerniały łysiny trawników. Wiera Aleksandrowna, kochająca zimę za biel i pozorną czystość, cierpiała z zimna i zimowego mroku, niezłagodzonego dobrodziejstwem opadów śniegu, zasp, ośnieżonych drzew. Tej pierwszej zimy po śmierci matki Wiera zaczęła jakoś tak szczególnie długo chorować: przeziębienia i anginy następowały jedno po drugim. Jelizawieta Iwanowna umiała sobie radzić z chorobami, odganiała je jakimiś domowymi sposobami \* mlekiem z miodem, mlekiem z jodem, krwawnikiem i centurią. Słowem, dobrymi radami, drukowanymi na ostatniej stronie czasopisma „Zdrowie”. Ale teraz, prócz zwykłych chorób, Wierę napadały dziwne kołatania i bicie serca, obfite poty oblewały ją jak kowala w gorącej kuźni, nieuzasadnione uderzenia krwi do głowy z uczuciem gorąca, których czas, jakby się wydawało, dawno dla niej minął. Ajeszcze dopadały ją wszelkie drobne bląkające się bóle: to w skroni, to w żołądku, to w dużych palcach nóg... Cały jej organizm rozstroił się, kaprysił i krzyczał: mama! mama!

Wszystkie pożyteczne znajomości i rozległe związki Jelizawiety Iwanowny były jeszcze żywe i Szurik, na prośbę matki przeglądając luźne kartki babcinego notesu, znalazł na literę A \* analizy, Marinę Jefimownę, która okazała się kierownikiem biologiczno\*chemicznego laboratorium. O śmierci Jelizawiety Iwanowny wiedziała od swojej córki, byłej studentki babci, a do Szurika i Wiery Aleksandrowny odnosiła się, mało powiedzieć, jak do rodziny, ale tak, jakby oni zrobili zaszczyt laboratorium, wybrawszy je do przeprowadzenia analiz...

Kiedy przyjechali następnego dnia do dużego, pełnego światła i szkła laboratorium, Marina Jefimowna, drobna, o twarzy gwiazdy filmowej niemego kina, szczegółowo rozpytywała Wierę Aleksandrownę o jej samopoczucie rano, w dzień i wieczorem, zajrzała jej pod powieki, poruszała końcami palców. Potem oglądała pod światło probówkę z nacedzoną z żyły krwią, lekko nią

potrząsała jak degustator wina, i z aprobatą kiwała głową.

W kilka dni po pobraniu krwi zadzwoniła z informacją, że niczego złego nie znalazła, ale według jakiegoś wskaźnika jest to górna granica normy, a w ogóle to, sądząc po wszystkim, trzeba przeprowadzić konsultację w Instytucie Endokrynologii...

I od razu ta Marina Jefimowna zaczęła wydzwaniać, organizować, zabiegać, załatwiać. Ona, tak jak i Jelizaweta Iwanowna, była z gatunku usługowych, wszystkim życzliwych ludzi, a znajomości miała szerokie. Endokrynolog, do którego Marina Jefimowna posłała Wierę, była tego samego rodzaju, i Szurika, który towarzyszył matce we wszystkich jej medycznych wyprawach, jeszcze długo zadziwiali liczni przyjaciele i przyjaciele przyjaciół zmarłej babci \* jakby jakieś tajne towarzystwo czy masonskie stowarzyszenie, w pół słowa odgadujące i pomagające sobie wzajemnie... Oni byli „swoi” według jakiejś nieokreślonej cechy. Wszyscy byli zapisani w babcinym notesie, a rozpisani byli nie według

alfabetu, a całkowicie dowolnie: czasem według pierwszej litery zawodu \* aptekarka, fryzjerka, gospodyni na daczce, czasem po początkowej literze nazwiska czy imienia, a nawet, jak w przypadku maszynistki Tatiany Iwanowny, według nazwy ulicy, gdzie mieszkała... Możliwe, że Jelizaweta Iwanowna miała jakiś specjalny kod, którym się kierowała przy wyborze litery, ale Szurik go nie odkrył... Każdy z tych wpisanych ręką babci ludzi miał, prawdopodobnie, również taki swój notes i dzwonił, i nie odmawiano mu, więc stanowili oni cały świat ludzi wzajemnej pomocy...

Większa część numerów telefonicznych zaczynała się od liter \* przedwojenna numeracja, zmieniona w pięćdziesiątych latach. Szurik dzwonił na te stare numery i z reguły znajdował nieznanym, ale gotowym do usług ludzi. Tak na przykład, pewna „Apteczna Lenoczka”, długo wzdychając i, naturalnie, pochlipując, wyjaśniła Szurikowi, jaką niezwykłą kobietą była jego babcia, a potem sama przywiozła im do domu wszelkie potrzebne lekarstwa, pokazała Szurikowi, jak należy prawidłowo zaparzać centurię, a Wierze podarowała bursztynowe korale, które powinny uzdrawiająco działać na chorobę tarczycę...

Endokrynolog Brumstein, do której zadzwoniła już ze swego notesu laboratoryjna Marina Jefimowna, była wcale nie tak przyjemna, jak reszta alfabetycznych postaci. Sucha i prawie całkiem wyłysiała, majestatycznie ważna Brumstein niemniej jednak przyjęła Wierę Aleksandrownę poza kolejką, długo wpatrywała się w kartkę z wynikami analiz, osłuchiwała serce, badała puls, miętoszyła szyję Wiery, była bardzo niezadowolona i zleciła jeszcze jakieś rzadkie badanie, które wykonywano tylko u nich w instytucie.

Przed wyjściem, kiedy Wiera Aleksandrowna już chwyciła klamkę, ponuro powiedziała: przesmyk stwardniały, części gruczołu powiększone... zwłaszcza z lewej... Operacja w każdym razie pani nie minie. Problem tylko w tym, na ile to pilne...

Tu Wiera wykazała nieoczekiwaną stanowczość i odmówiła. Postanowiła wcześniej spróbować leczenia u homeopaty. Homeopatia nie była całkiem zakazana, ale na wątpliwej pozycji \* jak sztuka abstrakcyjna, awangardowa muzyka czy żydowskie pochodzenie. Homeopatę znaleźli w tym samym notesie babci, pojechali na dalekie przedmieście Izmajlowa, odnaleźli w rozwalającej się drewnianej daczce ponurego brodatego doktora, który stał się staromodnie uprzejmym po wymienieniu imienia Jelizawety Iwanowny. Naszkicował na ćwiartce pożółkłego papieru jakieś magiczne słowa i krzyże, wziął sto rubli \* monstrialnie olbrzymie honorarium! \* i pocałował Wierę na pożegnanie w rękę.

Następnego dnia Szurik przywiózł matce ze specjalnej apteki pierwszy komplet maleńkich białych pudełeczek. Wkrótce u Wiery pojawił się nowy skoncentrowany wyraz twarzy \* ssała nierówne białe ziarenka, odrobinę wydymając usta i przymykając oczy. Po całym domu wały się papierowe pudełeczka \* tuja, jaspis, belladonna... Brała chałupniczo wykonane pudełeczko w dwa palce, lekko potrząsała zawartością \* groszki trochę się zlepiły \* a potem wysypywała na wąską dłoń: raz, dwa, trzy... Ręce miała jak na hiszpańskich portretach, ostro zakończone palce z delikatnymi zmarszczkami na kłykciach. I dwa ulubione pierścionki \* z maleńkim brylantem i z wielką perłą... Powoli Wiera zajęła to miejsce, które kiedyś należało do maleńkiego Szurika, a Szurik, dorosły, ale z ciepłym dziecięcym rumieńcem na całej twarzy, zastępował, jak umiał, Jelizawietę Iwanownę.

Niezdarna troska Szurika była słodsza od matczynej: on był mężczyzną. Z twarzy nie był podobny do Aleksandra Zygmuntowicza, bardziej do dziadka Korna, ale włosy miał kędzierzawe, gęste, jak u ojca, i ręce duże, z pięknymi paznokciami, i serdeczność ruchu, którym obejmował ramiona matki... Okazało się, że bycie nieszczęśliwą z Szurikiem przy boku jest znacznie miłsze, niż przy matce...

Jelizawieta Iwanowna zupełnie nie umiała być nieszczęśliwą, chyba dlatego, że jej praktyczna energia nie dawała jej czasu na myślenie o takich abstrakcyjnych i niepraktycznych rzeczach, jak szczęście \* ale gorąco kochała swoją córkę i do jej stanu melancholijnego smutku i niezasłużonej krzywdy odnosiła się z szacunkiem, uważając to za przejaw delikatnej duchowej natury i niezrealizowanego talentu. Aleksander Zygmuntowicz także zawsze cierpiał z tego powodu, że był zbyt wrażliwy. W ogóle cierpienie duchowe, według pojęcia Wiery, było przywilejem. I trzeba oddać sprawiedliwość, nawet w najcięższych latach ewakuacji, w błocie i chłdzie zimowego Taszkontu ona dość łatwo znosiła codzienne niewygody, oddając pierwszeństwo przeżyciom, związanym z końcem jej artystycznej kariery i stratą \* wprawdzie czasową, ale wtedy wydawało się, że na zawsze \* uwielbianego Aleksandra Zygmuntowicza...

Nikt, prócz Jelizawiey Iwanowny, nie mógł ocenić, jaką ofiarę poniosła Wiera, oddając połowę życia skrupulatnej pracy buchalterki. Pytania, dla kogo lub czego poniesiona była ofiara, nie stawiano \* to rozumiało się samo przez się. O tym w swoim czasie z delikatnym wyrzutem przypominała babcia \* dla stymulacji uczucia do Wiery. Teraz, po śmierci babci, rozmiar tej ofiary Szurik jeszcze bardziej wyolbrzymiał. I lekka aureola niewidzialnie świeciła nad starannie zwiniętym pół greckim koczkim siwawych włosów.

W godzinach wieczornych Wiera zawsze znajdowała czas, żeby posiedzieć w przejściowym pokoju. Usadawiała się w obszernym fotelu, przesiąkniętym matczynym ciałem, otwierała szuflady biurka, przeglądała stare listy, ułożone latami, rachunki za niewiadome usługi, liczne fotografie, głównie jej, Wiery. Najlepsze wisiały nad stołem w chwiejnych ramkach, których lepiej nie dotykać \* Wieroczka w kostiumach scenicznych. Najlepszy, choć tak krótki okres jej życia...

Kiedy Szurik zastawał ją w tej melancholijnej pozie, zaraz pogrążał się w tkliwym i gorzkim współczuciu: wiedział, że przeszkodził wielkiej artystycznej karierze... Gwałtownie obejmował matkę za dziewczęce ramiona i szeptał:

\* No, Wierusia, no, mamuśka... I Wiera wtórowała mu:

\* Mamuśka, mamuśka, ty i ja jesteśmy sami na świecie...

17.

Szurik był przekonany, że babcia umarła od tego dziwnego zapomnienia, które go naszło, kiedy odprowadzał Lilę do Izraela. Jego dorosłe życie zaczęło się od ponurych napadów serdecznego strachu, które budziły go w środku nocy. Jego wewnętrzny wróg, nieczyste sumienie, wysyłało mu od czasu do czasu realistyczne, koszmarnie sny, których głównym tematem była jego niezdolność \* lub niemożliwość \* aby pomóc matce, która go potrzebowała.

Czasem te sny bywały dość zawiłe i potrzebowały wyjaśnienia. Tak, na przykład, przyśniła mu się naga Ala Togusowa, leżąca na żelaznym łóżku w swoim akademickim pokoju, nie wiadomo czemu w szpiczastych białych bucikach, które w ubiegłym roku nosiła Lila Łaskina, tylko te buciki były mocno znoszone, z czarnymi poprzecznymi pęknięciami. On stoi w nogach łóżka, również nagi, i wie, że teraz powinien w nią wejść, i że jak tylko to zrobi, ona przeobrazi się w Lilę, i Ala tego bardzo chce, a od niego zależy, żeby przeobrażenie odbyło się z całą dokładnością. Liczni świadkowie \* dziewczyny, które mieszkają w tym pokoju, Stowba wśród nich, i profesor matematyki Izrajlewicz, i Żenia Rozenwejj, stoją wokół łóżka, oczekując przeobrażenia Ali w Lilę. Więcej nawet, całkiem dokładnie wiadomo, że jeśli to się stanie, to Izrajlewicz da mu zaliczenie z matematyki. Wszystko to zupełnie nikogo nie dziwi. Jedyne, co jest dziwne \* obecność czarnych kotów Matyldy na szafce obok łóżka Ali... A Ala wyczekująco patrzy na niego wymalowanymi japońskimi oczami, i on jest gotowy, w pełni gotowy popracować, żeby wypuścić z nieładnego Alinego kokona cudowną Lilę. W tym momencie zaczyna dzwonić telefon \* nie w

pokoju, gdzieś obok, chyba w przedpokoju, i on wie, że wzywają go do mamy do szpitala i nie wolno mu się spóźnić ani sekundy, gdyż inaczej z Wierą stanie się to, co stało się z babcią... Ala porusza szpiczastymi butami, kibice, widząc jego niezdecydowanie, wykazują niezadowolenie, a on rozumie, że musi natychmiast biec, natychmiast biec, dopóki telefon nie przestał dzwonić... Rzeczywistość odpowiedziała na sen \* z pocztowej skrzynki Szurik wyjął list od Lili. Z Izraela. Dla Szurika \* jedyny otrzymany. Dla Lili ostatni z kilku wysłanych. Pisała, że on bardzo jej pomaga w zrozumieniu samej siebie. Już dawno się domyśliła, że jej listy nie dochodzą, i w ogóle tu, w Izraelu, nikt nie wie, na jakich zasadach one cyrkulują \* dlatego do jednych ludzi listy dochodzą regularnie, a inni nie dostają ani jednego \* ale ona, Lila, pisze do Szurika list za listem, i to jest dziennik jej emigracji.

„Po rozpadzie naszej rodziny, zaczęłam znacznie bardziej kochać ich oboje. Ojciec cały czas do mnie pisze i nawet dzwoni. Mama się obraża, że podtrzymuję z nim więzi, aleja nie czuję, żeby on był winien wobec mnie. I nie pojmuję, czemu powinnam okazywać jakąś damską solidarność. I w ogóle jest mi jej bardzo żal, a nim się cieszę. On ma taki szczęśliwy głos. Wariactwo jakieś. Język porażający. Angielski \* koszarne nudziarstwo w porównaniu z jidysz. Potem będę się uczyć arabskiego. Obowiązkowo. Jestem najlepszą uczennicą w szkole. To straszne okropieństwo życia, że ciebie tu nie ma. To tak głupio, że nie jesteś Żydem. Arje się na mnie obraża, mówi, że śpię z nim, a kocham ciebie. I to prawda”.

Szurik przeczytał list od razu przy skrzynce. List był jak nie z tego świata. W każdym razie był adresowany nie do niego, a do innego człowieka, żyjącego w innym wieku. I w tamtym właśnie minionym wieku pozostał czar spacerów po nocnym mieście, i wykłady z literatury \* to było zbyt piękne, żeby stać się powszedniością. Codziennością była drażniąca nos chemia... W przeszłość odeszła coraz bardziej po śmierci wyolbrzymiana babcia, w której cieniu nie było ani żaru, ani zimna, a przyjazna powietrzna próżnia. I tu, między parterem a pierwszym piętrzem, przy zielonym szeregu pocztowych skrzynek, owładnęło nim gwałtowne i palące uczucie niechęci do wszystkiego: w pierwszej kolejności do siebie, potem do instytutu, do laboratoryjnych stołów i korytarzy, do przesiąkniętych moczem i chlorem ubikacji, do wszystkich naukowych dyscyplin i ich wykładowców, do Ali z jej gęstymi przetłuszczonymi włosami i kwaśnym zapachem, który nagle poczuł nosem... Wzdrygnął się, nawet się spocił na całym ciele \* ale zaraz wszystko minęło.

Wsunął list do kieszeni i ruszył do instytutu: zbliżała się sesja, nadchodziła wiosna, a on znowu miał zaległą chemię nieorganiczną, i ćwiczenia w laboratorium, i jeszcze nie wynajął dachy, którą babcia wynajmowała co roku, częściowo dlatego, że nie znalazł w notesie babci telefonu gospodyni, częściowo z braku czasu: wiadomo było, że dachy wynajmuje się w lutym, bo w marcu niczego porządnego już się nie dostanie.

Biegł do Instytutu, a list Lili leżał w sercu, jak zjedzone rano śniadanie w żołądku \* bezzwrotnie i głęboko. Dwa fakty, doniesione przez Lilę \* o tym, że jej rodzice się rozeszli, i o tym, że miała chłopaka o imieniu Arje, zupełnie go nie wzruszyły. Wzruszył go sam list \* prawie fizycznie: papier, na którym jej ręką jest coś napisane, z czego wynika, że ona jest na świecie, że nie zginęła, jak babcia. Wszak do tej pory wrażenie było takie, że one oddaliły się w jednym kierunku. A ten list w kieszeni \* jakże wszyscy lubimy się okłamywać \* jakby napomykał, że i babcia może przysłać list z tamtego miejsca, gdzie się teraz znajduje.

Szurik nie dokończył tych rozmyślań, bo to przyjemne uczucie nie oblekło się w takie słowa, żeby można było wyjaśnić to drugiemu człowiekowi. No, czyż mama pojmie to niejasne przyjemne uczucie? Pomyśli po prostu, że on się z listu Lili cieszy...

I on, odrzucając wszystko niepewne i niekonkretne, żył sobie dalej, biegał do instytutu, zaliczał jakieś kolokwia, jakoś potrafił zarabiać \* dawał lekcje francuskiego, pozostałe po babci. Pieniądze, o których przy babci nawet się nie mówiło, znikwały z niesamowitą szybkością i zmuszały do myślenia o nich. Szurik doskonale wiedział, że troszczyć się o to musi sam, a nie słabiutka, całkiem przezroczyta matka.

„W przyszłym roku wezmę więcej nowych uczniów” \* postanowił. Podobało mu się uczenie dzieci języka francuskiego znacznie bardziej niż samemu uczyć się chemii.

I chociaż jako tako chodził na zajęcia, robił ćwiczenia laboratoryjne, ale coraz bardziej polegał na Ali Togusowej, a ona starała się, wychodziła ze skóry i nawet przepisywała mu konspekty wykładów, które on często opuszczał.

Ala, zwabiwszy do siebie Szurika w pamiętny noworoczny ranek, z braku doświadczenia przyjęła wymuszony gest męskiej uprzejmości za wielkie kobiece zwycięstwo, ale dość szybko zrozumiała, że osiągnięty przez nią sukces nie jest wcale taki wielki, jednak tego noworocznego powodzenia nie można puszczać na żywioł, przeciwnie, żeby sadzonka rosła, trzeba dużo pracy i uporu. Ta myśl nie była dla niej nowa \* przyszła do niej już w dzieciństwie, kiedy jako dziewczynka po raz pierwszy zetknęła się z tym, że są na świecie niektóre kobiety, co chodzą w pantoflach, podczas gdy większość, do której należy także jej matka, zimą nosi walonki, a latem gumowce... Słowem, życie to walka, nie tylko o wyższe wykształcenie. Szurik, oczywiście, bardzo się jej podobał, możliwe, że była w nim nawet zakochana, ale

wszystkie te romantyczne emocje nie miały porównania z tym wysokim napięciem, które powstawało z sumy problemów do rozwiązania: wyższe wykształcenie w połączeniu z Szurikiem i należąca mu się prawnie stolica. Ala czuła się jednocześnie zwierzęciem, które tropi swoją zdobycz, i myśliwym, który spotkał rzadką zwierzynę, jaka trafia się raz w życiu, jeśli ma się szczęście...

Napięcie Alinego istnienia było podgrzewane przez jeszcze jedną okoliczność: Lena Stowba w tę noworoczną noc też znalazła swoje szczęście \* poznała Kubańczyka Enrike, ciemnoskórego przystojniaka, studenta Instytutu imienia Patrice'a Lumumby. Poprosił ją do tańca i przy dźwiękach Besame mucho całe stado pulchnych niemowląt amorków, kupidynów i innych skrzydlatych \* skierowało swoje łuki w postawną parkę, i powolna z natury Stowba obudziła się w swoim białym ciele, ocknęła się naprzeciw tańczącego wszystkimi swoimi narządami Kubańczyka i całą wstępną drogę, do przejścia której potrzeba czasami dość długiego czasu, przeszła eksternistycznie, zaczynając godzinę przed północą, a o drugiej rano pierwszego dnia nowego roku pomyślnie kończąc w mocnych ciemnoskórych objęciach.

Chociaż dwudziestodwuletni młody człowiek był Kubańczykiem i poza tym wcale nie nowiczkim w miłosnej dziedzinie, on też był oszołomiony białowłosym cudem, który mu się trafił. Przyjaźń narodów w pełni zatriumfowała \* w marcu Stowba definitywnie poczuła się brzemienna, a zakochany Kubańczyk zasięgał informacji, jak załatwić ślubne formalności z rosyjską obywatelką. Teraz dwa akademiki \* na Presnie i w Bielajewie \* troszczyły się o to, jak zabezpieczyć zakochanym miejsce do regularnej realizacji uczuć, jednak zadanie nie było proste: mendelejewscy cerberzy, stare portierki i złośliwe komendantki, były zupełnie nieugodliwe, a tu jeszcze kolor skóry Enrike tak bardzo odróżniał się od innych różowo\*mrożonych odwiedzających, i o jedenastej wieczorem rozlegało

się głośne stukanie do drzwi i wielce moralna komendantka kazała postronnym opuścić pomieszczenie żeńskiego akademika... Lena narzucała karakułowe futro, nietaktowny prezent rejonowo\*komendantowej mamy, tak dziwnie wyglądające wśród studenckiej biedy, i odprowadzała ukochanego do stacji metra „Krasnopresnienska", gdzie się rozstawali, pełni bólu dusz i ciał... Straż lumumbowskich akademików była bardziej liberalna, ale żądała okazania paszportu, co mogło pociągnąć za sobą wszelkie nieprzyjemności, łącznie z milicyjnymi.

Ala, podgrzewana codziennym żarem tego romansu, nie mogła nie odczuwać obaw z powodu umiarkowanego zapału Szurika do realizacji ich ciepłych stosunków. Tym bardziej że posiadał odpowiednie warunki mieszkaniowe. Jednak do swojego domu nigdy nie zapraszał. Nic podobnego do czarno\*białej namiętności Leny i Enrike w życiu Ali nie dawało się zaobserwować. Przykro. Ali po dawnemu przypadały tylko wspólne prace laboratoryjne, obiady w stołówce studenckiej przy jednym stole, przygotowania do kolokwiów i miejsce w audytorium po prawej ręce Szurika \* zwykle sama je zajmowała. Ala trochę się dziwiła opieszałości, z jaką Szurik się uczył \* sama w nauce osiągała sukcesy i pracowała: najpierw na pół etatu jako sprzątaczką, potem doszło jeszcze pół etatu laborantki. Pracowała wieczorami, tak że nawet do kina nie było kiedy pójść. Choć Szurik wcale nie zapraszał: swoje wieczory spędzał zwykle z matką. Ala od czasu do czasu przypominała o sobie wieczornym telefonem, jednak żeby zejść do niego do domu trzeba było wymyślić coś szczególnego: na przykład konspekt wziąć albo podręcznik. Raz kiedyś zadzwoniła wieczorem z

katedry. Powiedziała, że zgubiła portmonetkę: chciała sama zająć, ale on przybiegł, przyniósł jej pieniądze.

Ich miłosne kontakty jakoś tam się tliły: pewnego razu Ala poprosiła go o pomoc przy przewiezieniu z instytutu do akademika trzylitrowej puszki kradzionej farby. To było w dzień i jak raz żadnej współlokatorki nie było i Ala objęła go za szyję smagłymi rękami, zamknęła oczy i rozchyliła usta. Szurik ją pocałował i zrobił wszystko, co należało. Z przyjemnością.

Innym razem Ala przyszła do Szurika do domu, kiedy Wiera Aleksandrowna była na jakichś medycznych zabiegach, i jeszcze raz otrzymała ważne świadectwo tego, że ich stosunki z Szurikiem są miłosne, a nie czysto towarzyskie, komsomolskie...

Naturalnie, ona nie mogła widzieć różnicy między swoim umiarkowanym romansem a namiętnościami, wybuchającymi między flegmatyczną niegdyś Leną i jej kasztanowym Enrike. Ale i Szurik nie był przecież Murzynem z Kuby, tylko białym człowiekiem z Nowoleśnej ulicy. Ala przypuszczała więc, że choć Kuba to zagranica, ale trochę podobna do Kazachstanu... Co prawda, Kubańczyk zamierzał się ożenić, a Szurik o tym nawet nie wspominał. Z drugiej strony, Stowba była przecież w ciąży... Ale wszak i Ala też by mogła... I tu się gubiła: co ważniejsze nauka czy zamążpójście?

Na początku kwietnia Stowba oświadczyła, że zarejestrowali się w Pałacu Ślubów.

Dziewczęta były zachwycone: wcześniej obawiały się, czy Enrike nie porzuci Stowby, namawiały ją na aborcję, ale ona tylko wytrzeszczała oczy i wstrząsała białymi włosami. Ona mu wierzyła. Tak wierzyła, że nawet napisała list do rodziców o mającym nastąpić zamążpójściu. Niepokoilo dziewczyny \* przyjaciółki tylko jedno \* że dziecko będzie czarne. Ale Stowba pocieszała je: matka Enrike jest zupełnie biała, starszy brat z innego ojca, amerykańskiego Polaka, w ogóle jest blondynem, tylko ojciec czarny. Ale za to czarny ojciec jest bliskim przyjacielem Fidela Castro, walczył z nim w jednym oddziale... Tak, że dziecko może się urodzić białe, gdyż będzie tylko z jedną czwartą murzyńskiej krwi. Dziewczyny kiwały głowami, ale w duszy żałowały: lepszy byłby Rosjanin... Chociaż samego Enrike wszyscy

polubili: był wesołym i dobrym chłopakiem, pomijając to, że takjak Stowba, też należał do rodziny z partyjnych szczytów. Ale on się nie pysznił, jak jego oblubienica \* chodził, tańcząc, tańczył, podśpiewując, i wiecznie senna Stowba, której na roku prawie od pierwszego dnia nikt nie polubił, przestała się wywyższać i dzięki swojemu wątpliwemu \* z rasowego punktu widzenia \* romansowi, stała się przyjemniejsza.

A po miesiącu, na niedługo przed zaplanowanym ślubem, doszło do wydarzenia, które bardzo zdenerwowało Stowbę: Enrike wezwano do ambasady i przykazano szybko wracać do domu. Był studentem ostatniego roku, do otrzymania dyplomu miesiące można było policzyć na palcach, i on spróbował odroczyć swój wyjazd \* tym bardziej że i narzeczona była, bądź co bądź, brzemienista... Usiłował spotkać się z ambasadorem, doskonale wiedzącym o wysokiej pozycji jego ojca: Enrike, studenta, zapraszano na przyjęcia, a ambasador czasem podchodził do Enrike i krótkim bokserkim ciosem żartobliwie uderzał w splot słoneczny... Ale tym razem ambasador go nie przyjął.

Pod koniec kwietnia Enrike odleciał do Hawany. Zamierzał wracać za tydzień. Ale ani za miesiąc, ani za dwa nie wrócił. Wszyscy od razu zrozumieli, że on po prostu oszukał głupią dziewczynę, współczuli jej, a ona wściekała się na tych litościwych: była przekonana, że nie mógł jej porzucić, tylko szczególne okoliczności mogły zmusić go do pozostania. Poniżające było współczucie społeczeństwa, dziwne było jego milczenie. Z drugiej strony wiadome było, że listy z Kuby dochodziły według dowolnego grafiku: czasami po pięciu dniach od nadania, innym razem \* po dwóch miesiącach.

Rodzice Stowby dopiero co przywykli do myśli, że przyjdzie im niańczyć czarne wnuki, zwłaszcza ciężko przyjęła tę wiadomość matka, ojca jednak pocieszała wysoka partyjna pozycja przyszłego zięcia, a teraz biedna narzeczona musiała powiedzieć surowym rodzicom, że narzeczony znikł. Cały pierwszy rok wrzał z oburzenia. Stowba żyła nadzieją. Tuż przed majowymi świętami odnalazł ją łysawy, niezbyt sympatyczny młody człowiek, Kubańczyk, przyjaciel Enrike. On był aspirantem na uniwersytecie, czy to zoologiem, czy hydrobiologiem. Łysy wyprowadził Stowbę na



ulicę i tam, na ogrodowej ławce na przewiewnym Miuskim skwerku powiedział, że starszy brat Enrike zbiegł z Kuby do Miami, ojca Enrike aresztowano, a gdzie znajduje się sam Enrike, nikt nie wie, ale w domu go nie ma. Możliwe, że wzięto go z ulicy...

Dumnej Stowbie bardziej podobało się być pośrednią ofiarą politycznego procesu niż porzuconą narzeczoną. Możliwe, że jej rodzice woleliby drugi wariant... Jednak potomek jednego z politycznych wodzów kubańskiego narodu, z czym jakoś można by się pogodzić, zamieniał się teraz w zwykłego wyrzutka...

Opinie studentów \* chemików różnicowały się: liberałowie gotowi byli zbierać pieniądze na wyprawkę dla malucha i ogłosić go synem swojego pułku, konserwatyści uważali, że Stowbę należy wyrzucić z Instytutu, z komsomołu i w ogóle ze wszystkiego, a radykałowie twierdzili, że najlepszym wyjściem byłaby aborcja...

Ala, półkrwi Rosjanka i półsierota, była pełna współczucia dla jeszcze całkiem niedawno szczęśliwej i fortunnej Stowby. Zbliżyła się z wyniosłą koleżanką, stała się powiernicą jej sekretów i nadziei \* Szurik, dzięki Ali, był wprowadzony we wszystkie perypetie tej dramatycznej historii. On też bardzo współczuł biedulce Stowbie...

18.

Tarczycowy gruczoł Wiery, gardząc homeopatią, bujnie się rozrósł: zaczęły się duszności. Znowu była mowa o operacji.

Wiera ostatkiem sił się sprzeciwiała. Pewnego razu, kiedy zaczął się kolejny atak, trzeba było wezwać pogotowie. Zrobili zastrzyk: duszność minęła jak ręką odjął. Ona dodała sobie otuchy:

\* Widzisz, Szurik, zastrzyki przecież pomagają. Czemu od razu pod nóż?

Ona straszliwie bała się operacji, nawet nie samej operacji, a ogólnej narkozy. Wydawało się jej, że się nie obudzi.

Następny atak duszności nastąpił na nieszczęście w tych godzinach, kiedy Szurik bezszelestnie wysunął się z domu, poleciał za „mostek” do Matyldy.

O drugiej w nocy Wiera cichutko zastukała do drzwi pokoju Szurika: mówić prawie nie mogła. Szurik się nie odezwał. Otworzyła drzwi: łóżko jego nawet nie było rozścielone.

„Gdzie on się podziewa” \* nie dowierzała Wiera i nawet wyszła na balkon zobaczyć, czy on tam nie pali papierosa. Wiedziała, że wszyscy chłopcy popalają... Minęło jeszcze z dziesięć minut, tabletki i domowe środki w rodzaju inhalacji nad gorącą wodą nie pomagały, duszność nie przechodziła. Stan był ciężki i ona sama, ledwie słyszalnym głosem wezwała pogotowie, wyszeptawszy adres...

Pogotowie przyjechało bardzo szybko, po około dwudziestu minutach, i przypadkiem była to ta sama załoga, co poprzednio. Starsza wąsata lekarka, która już poprzednim razem nalegała na szybką hospitalizację, zaczęła od razu tubalnie krzyczeć na Wierę Aleksandrownę \* kazała natychmiast szykować się do szpitala. Nieobecność Szurika całkowicie wybiła Wierę z normalnego trybu, płakała bezgłośnie i kręciła głową.

\* To niech pani pisze, że nie zgadza się pani na hospitalizację. Ja nie chcę ponosić odpowiedzialności!

Szurik, zobaczywszy przy klatce karetkę, mało nie stracił przytomności. Jednym susem wleciał na czwarte piętro. Drzwi były niedomknięte...

„Koniec. Mama nie żyje” \* wystraszył się. \* Co ja narobiłem!”.

W dużym pokoju rozlegały się podniesione głosy. Żywa Wierusia na wpół leżała w babcinym fotelu. Oddychała już w pełni zadowolająco. Zobaczywszy Szurika, znowu zapłakała. Było jej trochę wstyd przed lekarką, ale na lzy nic nie mogła poradzić \* one były od tarczycy...

Szurik wykonał zwierzęcy sus przez cały pokój i, nie krępując się ani przed lekarką, ani przed sanitariuszem, chwycił matkę w objęcia i zaczął całować po włosach, po oczach, po uchu...

\* Wierusia, wybacz mi! Więcej nie będę! Idiota! Wybacz mi, mameczko...

Czego „więcej nie będę”, on i sam nie wiedział. Ale taka była zawsze jego dziecięca reakcja: nie będę robić źle, będę lepszy, będę dobrym chłopcem, żeby nie denerwować mamy i babci...

Wąsata lekarka, naszykowana, żeby nawrzeszczyć jak należy, złagodniała i wzruszyła się. Coś

takiego nieczęsto można zobaczyć. Widzisz, całuje, nie krępuje się... po główce głaszczce... Co on takiego nabroił, że się tak obwinia...

\* Pańską mamę trzeba hospitalizować. Niech pan ją namówi.

\* Wierusia! \* błagał Szurik. \* Jeśli koniecznie trzeba... Wiera zgadzała się na wszystko. No, nie całkiem, oczywiście...

\* Dobrze, dobrze! Ale w takim razie tylko do Brumstein... \* Ale proszę nie zwlekać. Zastryk działa tylko kilka

godzin, a atak może ponownie nastąpić \* łagodniejszym głosem zwróciła się lekarka do Szurika. Karetka odjechała. Tłumaczenia nie dało się uniknąć. Jeszcze przed tym, jak Wiera Aleksandrowna zadała pytanie, Szurik zrozumiał: nie, nie i jeszcze raz nie! Za nic na świecie nie może powiedzieć mamie, że był u kobiety.

\* Spacerowałem \* twardo oświadczył matce.

\* Jak to? Tak w środku nocy? Sam? \* nie mogła pojąć Wiera.

\* Miałem ochotę na spacer. Poszedłem się przejść.

\* Dokąd?

\* Tam \* machnął ręką Szurik w nieokreślonym kierunku. \* W stronę Timiriazewki, przez mostek.

\* No, dobrze, dobrze \* poddała się Wiera. Kamień spadł jej z serca, choć z dziwnym nocnym odosobnieniem było coś nie tak. Ale przyzwyczaiła się, że Szurik jej nie okłamuje. \* Chodź, wypijemy herbatę i spróbujemy jeszcze pospać.

Szurik poszedł wstawić czajnik. Już świtało, ćwierkały wróble...

\* Następnym razem uprzedzaj, że wychodzisz z domu... Ale następny raz nie nastąpił tak szybko: łysa Brumstein

była na urlopie i położyła ją na oddział prawa ręka Brumstein, jej zastępczyni Lubow Iwanowna.

Operację z powodu pilności też miała wykonać nie sama gwiazda, doktor Brumstein, a Lubow Iwanowna. Była ładniutką \* pomijając lekką szramę starannie zaszytej zajęczej wargi \* blondynką średniego wzrostu z lekką wadą wymowy.

\* A gdzie właściwie pani się leczy? \* obmacując zwiotczałą i rozdętą szyję Wiery, ostrożnie zapytała Lubow Iwanowna.

\* W poliklinice WTT \* z godnością odpowiedziała Wiera.

\* Rozumiem. Tam macie dobrych foniatorów i traumatologów \* odcięła ironicznie lekarka.

\* Czy pani uważa, że bez operacji w żaden sposób się obejdzie? \* spytała Wiera.

Lubow Iwanowna poczerwieniała tak, że blizna na wardze nałała się ciemną krwią:

\* Wiero Aleksandrowna, operacja natychmiastowa. Pilna...

Wiera poczuła mdłości i spytała zrezygnowanym głosem:

\* Mam raka?

Lubow Iwanowna myła ręce, nie odrywając oczu od umywalki, potem długo je wycierała papierowym ręcznikiem i przedłużała milczenie.

\* Dlaczego obowiązkowo rak? Krew ma pani wspaniałą, gruczoł dyfuzyjny, mocno powiększony. Prócz dyfuzyjnego toksycznego wola w lewej części jest guz. Wygląda na dobrotliwy. Ale biopsji nie będziemy robić. Nie ma czasu. Pani karygodnie zaniedbała swoją chorobę. Brumstein przecież od razu proponowała operację \* tu napisane: zaleca się...

\* Aleja u homeopaty się leczyłam...

Ledwie widoczna blizna na wardze lekarki znowu ożyła i nabrzmiała:

\* Jeśli bym mogła, to tego homeopatę oddałabym pod sąd...

Gardło Wiery Aleksandrowny od takich słów jakby napuchło, zrobiło się ciasne.

„Zeby żyła mama, wszystko byłoby inaczej... I w ogóle niczego takiego by nie było...” \* pomyślała.

Potem Lubow Iwanowna poprosiła Szurika do gabinetu, a Wiera usiadła w korytarzu na bocznym krzeselku, na wygrzany przez Szurika miejscu.

Lekarka powiedziała Szurikowi wszystko to, co i Wierze, ale dodała ponadto, że operacja jest dostatecznie ciężka, jednak niepokoi ją okres po operacji. Opieka w szpitalu jest słaba \* niech wynajmie pielęgniarkę, szczególnie na pierwsze dni.

„Gdyby żyła babcia, wszystko byłoby inaczej”... \* syn i matka często myśleli to samo...

Operacja odbyła się po trzech dniach. W swoich niedobrych przeczuciach Wiera miała po części rację. Chociaż operacja przebiegła, jak wyjaśniło się później, całkowicie pomyślnie, to narkozę rzeczywiście zniosła bardzo ciężko. Po czterdziestu minutach od rozpoczęcia operacji zatrzymało się serce. Młodemu anestezjologowi też o mało nie stanęło serce ze strachu. Wstrzyknięto adrenalinę. Ze wszystkich pot ciekł ciurkiem. Operowali ponad trzy godziny, a potem dwie doby Wiera nie odzyskiwała przytomności.

Leżała na reanimacji. Stan jej był poważny, ale nie beznadziejny. Ale Szurik, siedzący na schodach obok wejścia na oddział reanimacyjny, dokąd nikogo nie wpuszczano, nie słyszał nic z tego, co do niego mówiono. Dwie doby przesiedział na schodku w stanie największego nieszczęścia i wielkiej winy.

Był pochłonięty nieustannym wyobrażaniem sobie kontaktu z nią. Najbardziej był skupiony na tym, żeby widzieć ją stale przed sobą, ze wszystkimi szczegółami: włosy, które pamięta jako gęste \* jak ona rozczesywała je po umyciu i suszyła, przysiadając na niskim stołeczku przy kaloryferze... a potem włosy przerzedziły się, koczek nad karkiem stał się mniejszy, ciemnoorzechowy kolor wyblakł najpierw na skroniach, a potem na całej głowie pojawiły się brudnoszare pasma, jakby z cudzej głowy... brwi piękne, długie, zaczynają się gęstym trójkątem, a potem przechodzą w niteczkę... znamię na szyi okrągłe, brązowe, jak główka gwoździka...

Rozpaczliwym, prawie fizycznym wysiłkiem trzymał ją całą przed sobą: rączki kochane, końce palców zaginają się do góry, nóżki cienkie, z boku dużego palca kostka wystaje, nieładna kostka... Nie puścić, nie rozpraszać się...

Przychodziła pielęgniarka, pytała, czy nie przynieść mu herbaty.

Nie, nie \* tylko kręcił głową. Wydawało mu się, że jak tylko przestanie tak mocno, tak usilnie myśleć o niej, ona umrze...

Pod koniec drugiej doby \* czasu nie pamiętał, nie jadł, nie pił, zdaje się, że i do toalety nie chodził \* siedział odrętwiały na półpiętrze, na miłosiernie przyniesionym mu z oddziału krześle, wyszła do niego Lubow Iwanowna i dała mu biały fartuch.

Nie od razu ją poznał, nie od razu pojął, co trzeba zrobić z tym fartuchem. Wsunął się w wilgotną tkaninę ze zlepiionymi rękawami.

\* Tamara, ochraniacze \* wydała komendę Lubow Iwanowna i siostrzyczka wetknęła mu w ręce dwa burobiące nieduże woreczki, w które on niezgrabnie wsunął swoje buty razem ze zdrętwiałymi nogami.

\* Tylko na minutę \* powiedziała lekarka \* a potem niech pan jedzie do domu. Nie trzeba tu siedzieć. Niech się pan wyśpi, kupi „Borżomę” i cytrynę... Ajutro pan przyjedzie.

Nie słuchał. Przez otwarte drzwi sali widział mamę. Z nosa jej wystawały przewody, omotywały pierś, jeszcze jakieś rurki prowadziły od ręki do statywu. Bładoniebieska ręka leżała na prześcieradle. Od szyi, zaklejonej czymś białym, też szła czerwona cienka gumka. Oczy miała otwarte, zobaczyła Szurika i uśmiechnęła się.

Szurikowi zabrakło tchu w tym miejscu, w którym zoperowano matkę: winien, winien, we wszystkim winien. Kiedy babcia w szpitalu umierała on, idiota, z Lilą biegał po sklepach, kupował wędzoną kielbasę, zabraną potem przez celników, i matroszki, pozostawione w hotelu w małym miasteczku pod Rzymem, w Ostii...

Kiedy babcia w szpitalu umierała \* rozdmuchiwał płomień swojej niewybaczonej winy \* ty ścisnąłeś się i pieściłeś z Lilą w bramach i ciemnych zakątkach... Mamusia biedna, maleńka, chuda, ledwie żywa, a on, zdrowy do obrzydliwości byk, kozioł, bydlę... Ona dusiła się w ataku, a on pieprzył Matyldę... I ostry wstręt do siebie rzucał jakiś nieprzyjemny cień na, w ogóle przecież niemające nic wspólnego z przestępstwem, Lilę i Matyldę...

„O, nigdy więcej \* przysięgał sam sobie. \* Nigdy więcej nie będę...”.

Padł na kolana przed łóżkiem, pocałował suche jak papier paluszki:

\* No, jak się czujesz, Wierusia?

\* Dobrze \* odpowiedziała szeptem, mówić jeszcze całkiem nie mogła.

Jej rzeczywiście było dobrze: była pod działaniem leków, po operacji, a na wprost niej uśmiechał się zapłakany Szurik, kochany chłopak. Nawet nie podejrzewała, jakie wielkie zwycięstwo właśnie

odniosła. Idealistka i artystka w duszy, już od młodości dużo rozmyślała o rodzajach miłości i trwała przy opinii, że najwyższa z nich to miłość platoniczna, mylnie zaliczając do miłości platonicznej każdą, która istniała poza łóżkiem. Ufny Szurik, któremu ta koncepcja została przedstawiona we wczesnym wieku, naśladował we wszystkim rozumnych dorosłych \* babcie i mamę. Jakoś samo przez się było zrozumiałe, że w ich wyjątkowej rodzinie, gdzie wszyscy się kochają wzniosie i z poświęceniem, właśnie kwitnie „platoniczna”.

I właśnie teraz dla Szurika stało się rozpaczliwie jasne, że zdradził „wyższą” miłość dla „niskiej”. W odróżnieniu od większości ludzi, zwłaszcza młodych mężczyzn, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, on nawet nie próbował zbudować jakiejś psychologicznej samoobrony, samemu sobie szepnąć na ucho, że może w czymś zawinił, a w czymś nie. On, przeciwnie, tasował swoje karty przeciwko sobie, żeby jego wina była przekonująca i niewątpliwa.

W drodze do domu Szurik dochodził do siebie, wydobywał się z jakiegoś anabiotycznego, rybiego stanu, w którym znajdował się przez ostatnie dwie doby. Okazało się, że nieznośny upał w tym czasie przeszedł, teraz padał nieduży szarawy deszczyk, był środek dnia powszedniego, w powietrzu czuło się nastrój samowystarczającej biednej przyrody: zapach świeżych liści i zgnilizny szedł od zeszłorocznych stert, leżących jak kudłata kołdra na poboczu małego zapomnianego skwerku. Szurik wdychał ten złożony zapach brudnego miasta: trochę młodej jaskrawej zieleni, trochę opadłych liści, trochę mokrej sierści...

„A jeśli Bóg gdzieś tam jest?” \* przyszło mu do głowy i naraz, jak spod ziemi, wyskoczyła niska cerkiewka. A może ona najpierw wyskoczyła i dlatego on tak właśnie pomyślał? Stał: może wejść... Otworzyły się jakieś boczne drzwiczki i przez płacyk do przybudówki przebiegła energiczna wiejska starucha z miską w ręce.

„Nie, nie, tylko nie tu \* zdecydował Szurik. \* Gdyby tutaj, to babcia by się dowiedziała”.

I Szurik przyspieszył kroku, prawie pobiegł. W duszy pojawiło się niedoświadczane wcześniej szczęście, w połowie składające się z wdzięczności nie wiadomo dla kogo \* mama żyje, droga mamusia, składam życzenia z okazji urodzin, składam życzenia z okazji Dnia Kobiet ósmego marca, Święta Pracy, Dnia Siódmego Listopada \* Rewolucji Październikowej, iycLę, życzę... czerwone na niebieskim, żółte na zielonym, rubinowe gwiazdy na ciemnogrnatowym, cała sterta pocztówek, które on napisał do babci i mamy, poczynawszy od czwartego roku życia. Życie jest piękne! Gratuluję!

W domu Szurik wszedł pod zimny prysznic \* ciepłej wody z jakiejś przyczyny nie było, a ta, co wypływała z jeszcze nienagrzanego wnętrza ziemi, parzyła zimnem. Wymył się, zmarzył, wyszedł z wanny \* dzwonił telefon.

\* Szurik! \* westchnęła słuchawka. \* Nareszcie! Nikt niczego nie wie. Trzeci dzień dzwonię. Co się stało? Kiedy? W jakim szpitalu?

To była Faina Iwanowna. Wyjaśnił, jak potrafił, sam sobie przerywając.

\* Odwiedzić można? Co potrzeba?

\* Powiedzieli „Borzomi”.

\* Dobrze. „Borzomi” zaraz przywiozę. Jestem w teatrze, zaraz samochód przyjedzie, to zawiozę. I słuchawką \* trach! I natychmiast rozległ się następny sygnał. To była Ala. Zadała takie samo pytanie, z tą różnicą, że borzoma nie miała, a miała zajęcia z zaocznymi \* laborancki pólęta \* i wolna była o w pół do jedenastej.

\* Po zajęciach od razu przyjdę do ciebie \* radośnie obiecała, a on nawet nie zdążył wtrącić: może jutro?

Faina przytoczyła się po godzinie, on tylko zdążył wypić herbatę z czerstwym chlebem i znalazła w głębi kredensu puszką wieprzowiny w sosie własnym. Faina postawiła przy drzwiach piękną zagraniczną paczkę z czterema butelkami „Borzomi”.

\* Omówimy wszystko razem \* mówiła powoli, zbliżając do niego piękne rozpuszne usta.

„Nie, nie i nie” \* twardo powiedział sobie Szurik.

Usta zbliżyły się, objęły jego wargi, słodki, trochę mydlany język wpełznął mu się pod podniebienie i sprężyste się poruszył.

Szurik nic nie mógł zrobić \* wszystko w nim podskoczyło naprzeciw tej rozkosznej sprośnej babie.

Koło jedenastej pisał dzwonek, potem jeszcze raz. Trochę później zadzwonił telefon, potem znowu nieśmiało zastukano do drzwi. Ale stąd, gdzie znajdował się Szurik, nie mogłaby go chyba wyciągnąć trąba powietrzna.

Następnego dnia powiedział Ali, i była to prawie prawda: \* Nie spałem dwie doby. Ledwie doznałem do łóżka i padłem.

Rzadko spotyka się ludzi, którzy by tak nienawidzili kłamstwa, jak Szurik.

19.

Te letnie tygodnie \* sześć szpitalnych i następne \* Szurik w przyspieszonym tempie i skrótowo przechodził kurs podobny do nauki pielęgnacji noworodka: od mleczka, kaszki, twarożku swojej roboty do grzania oleju słonecznikowego, zmiękczającego szwy, okładów i przemywań.

Najważniejsze w tej nauce było nabycie skupionej uwagi, cechującej matkę, która urodziła swe pierworodne. Ominęły go bodajże tylko pieluchy.

Sen Szurika stał się niebywale lekki: ledwie Wiera spuściła nogę z łóżka, już leciał do niej do pokoju: co się stało? Słyszał lekkie skrzyknięcie sprężyn, kiedyjej leciutkie ciało obracało się z boku na bok, słuchał, jak zabrzęczała szklanka, kaszlała. Był to szczególny stan więzi między matką i niemowlęciem, którego, szczerze powiedziawszy, sama Wiera nigdy nie poznała, gdyż Jelizawieta Iwanowna, w trosce o osłabioną porodem i minionym nieszczęściem córkę, wzięła na siebie właśnie tę część wzajemnych stosunków z dzieckiem, pozostawiając Wierze tylko karmienie piersią. Wiadomo, że to była zupełnie niedekoracyjna część: Wieroczka miała małe piersi z wąskimi kanalikami, mleko leciało słabo, trzeba było godzinami ściągać, piersi bolały... Jednak właśnie to Jelizawieta Iwanowna spała w jednym pokoju z niemowlęciem, wstawiała na każdy jego pisk, przewijała, kapała i w należnym czasie przystawiała zawinięty w czyste pieluchy tobolek do Wieroczki piersi.

O tym Szurik wiedzieć nie mógł, ale w jego głosie pojawiło się szczególne brzmienie, z jakim kobiety zwracają się do niemowląt. Wyłynęło nawet imię, którym nazywał matkę w drugim roku życia: nie potrafiąc wymówić Wierusia, jak mówiła babcia, nazywał matkę Usia, Usieńka...

Kwestia pieniędzy była zupełnie nieokreślona. Dokładniej \* skończyły się. Stypendium z Instytutu Szurik już nie dostawał, letnią sesję jakoś tam zdał, ale z ogonem z matematyki \* poprawka była na jesieni. Co prawda, na szpitalnym zwolnieniu Wiera Aleksandrowna otrzymywała prawie całą pensję \* staż miała długi... Główne źródło zarobków Szurika wyschło: latem uczniów nie było, wszyscy rozjechali się na dache. Wiedział, że u babci w tym czasie zbierała się zawsze jedna \* dwie grupy abiturientów...

Raz, pod nieobecność Szurika przyjechała Faina, przywiozła jakieś pieniądze ze związków zawodowych. Tego dnia,

kiedy związkowe pieniądze się skończyły, Wiera znalazła pod papierem, wyłożonym na dnie szuflady babcinego sekretarzyka, dwie książeczki oszczędnościowe. W sumie tych dwóch wkładów starczyłoby na samochód \* ogromne na tamte czasy pieniądze. W jednej książeczce było upoważnienie na wnuka, w drugiej \* na córkę.

Nieswoim po operacji cichym głosem, pociągając nosem od napływających łez, Wiera mówiła do Szurika prawie te same słowa, które niegdyś słyszał od babci:

\* Babcia z tamtego świata pomaga nam przeżyć...

Ten niespodziewany spadek całkowicie odmienił smutną perspektywę nędzy rodzinnej. Szurik w tej chwili przypomniał sobie dawne opowiadanie babci i metalowy szkielecik dziadkowego japońskiego orderu z czarnymi dziurkami po brakujących brylantach. To leżało w charakterze babci \* uważała rozmowy o pieniądzu za nieprzyzwoite, ze wstrętem odsuwała ekonomiczne wyliczenia przyjaciółek o tym, kto ile zarabia. \* ulubiony temat kucharek \* sama zawsze szerokim gestem wydawała pieniądze, jakimś szczególnym, tylko jej właściwym sposobem oddzielała potrzeby od zbytku, konieczne od luksusu i jakoś potrafiła zostawić swoim dzieciom taką kupę pieniędzy... Tylko trzy lata minęły od tej pory, kiedy zamieszkali w tym domu. Nie, prawie cztery... A przecież kiedy kupowali mieszkanie, wydali prawdopodobnie wszystko, do ostatniej kopiejki,

inaczej nie sprzedawałaby tych ostatnich kamyczków... Trudno to wszystko pojąć. Na drugi dzień rano, wzięwszy swój paszport, Szurik poszedł do kasy oszczędnościowej i wybrał pierwsze sto rubli. Postanowił, że nakupi wszystkiego. I faktycznie, nakupił na Tiszyńskim rynku masę produktów, wydał wszystko do kopiejki... Wiera pośmiała się z jego pańskiego gestu i zjadła połowę gruszki.

Ogólnie nastrój był wspaniały \* okazało się, że cień, który kładł się na jej życiu ostatnimi laty, pochodził z toksycznych cząsteczek, wydzielanych w nadmiarze przez rozszalały gruczoł. Teraz więc, po raz pierwszy od śmierci matki, Wiera podniosła się na duchu i często wspominała swoje młode, szczęśliwe lata, kiedy uczyła się w Tairowskim studiu. Jakby razem z rozrośniętym kawałkiem tarczycy usunięto z niej dwudziestoletnie zmęczenie. Zaczęła robić ćwiczenia palców, jakich dawno temu nauczył ją Aleksander Zygmuntowicz \* szarpała ostatni kłykieć, jakby zrywała wieczko, wykręcała każdy palec na wszystkie strony, potem kręciła dłońmi i stopami, a na koniec strzepywała.

Po kilku tygodniach od wypisania ze szpitala poprosiła Szurika, by zdjął z pawlacza starą walizkę z papierową naklejką z boku, zapisaną ręką Jelizawiey Iwanowny \* spis przedmiotów, znajdujących się w środku. Wiera wyjęła z walizki wyblakły granatowy strój i przepaskę na głowę i rankami zaczęła wyczyniać łamańce przy muzyce Debussy'ego i Skriabina, według mieszanego systemu Jaques Dalcroze'a i Isadory Duncan \* jak wykładano tę rewolucyjną dyscyplinę w latach dziesiątych... Przyjmowała dziwne pozy, zamierała w nich i cieszyła się, że ciało podporządkowywało się modernistycznej muzyce początku wieku.

Szurik czasem zaglądał przez otwarte podwójne drzwi i napawał się: jej cienkie ręce i nogi jak białe gałęzie wychylały się z chałata, i włosy, niezebrane w koczek \* podczas choroby mocno je skróciła, tylko żeby można związać z tyłu \* leciały w ślad za każdym jej ruchem, raz płynnym, raz gwałtownym.

Nigdy w życiu Wiera nie była gruba, ale w ostatnich latach, trawiona przez złe hormony, ważyła jak dziecko, czterdzieści cztery kilo, tak że skóra była trochę zbyt obszerna i tu i ówdzie zwisała fałdami. Teraz zaś, mimo gimnastyki, zaczęła przybierać na wadze, po kilogramie na tydzień.

Osiągnąwszy pięćdziesiąt, zaniepokoiła się.

Szurik zgłębiał wszystkie jej troski. Przygotowywał śniadanie i obiad, towarzyszył jej na spacerach, chodził do biblioteki po książki dla niej, czasem do biblioteki literatury obcej, gdzie był jeszcze dla nich zachowany abonament babci. Dużo czasu spędzali razem. Wiera znów zaczęła grać.

Muzykowała w dużym pokoju babci, a on leżał na kanapie z francuską książką w rękach, starym nawykiem czytając cokolwiek, zwłaszcza ulubionych przez babcię Merimeego, Flauberta...

Czasami wstawał, przynosił z kuchni coś smacznego \* wczesne truskawki z Tiszyńskiego rynku, kakao, które Wiera znowu, jak w dzieciństwie, zaczęła lubić...

Wiera nie wnikała w troski syna i nie zwróciła uwagi, że obok Merimeego na kanapie leży podręcznik francuskiej gramatyki..., że jego koledzy z roku chodzą na praktykę robotniczą, a on siedzi w domu, dzieląc z nią radość powrotu do zdrowia.

Szurik otrzymał zwolnienie z praktyki z powodu opieki nad matką, skierowano go do jednego z instytutowych laboratoriów, gdzie absolutnie nie był potrzebny, ale przychodził tam raz na dwa \* trzy dni, pytał, czy znajdzie się dla niego zajęcie, i wychodził do domu. Ale również odbywała praktykę nie w zakładzie chemicznym, a w dziekanacie. Tam, w dziekanacie, w sposobnej chwili wyjęła z szafy dokumenty Szurika i on, nie mówiąc ani słowa matce, zaniósł podanie o przyjęcie na wieczorowy fakultet w babcinym marnym instytucie. Na języki obce. Chemii nie chciał więcej ani widzieć, ani czuć, zaliczenia z matematyki nawet nie myślał zdawać...

20.

Tymczasem najgorsze przypuszczenia łysiejącego Kubańczyka potwierdziły się: Enrike rzeczywiście był aresztowany i nie było nadziei na jego szybki powrót.

W środku lata przyleciała z Syberii matka Stowby. Przywiozła Lenie masę pieniędzy i wyjaśniła, że dobre imię ojca jest ponad wszystkim i w żadnym wypadku nie wolno jej się w takim stanie w

domu pokazać. Ojciec ma wielu wrogów, a po mieście i tak chodzą podłe plotki... Słowem, rodzic powinna tu, w Moskwie, a z pozamałżeńskim dzieckiem jej droga do domu jest zamknięta. Niech wynajmie tu mieszkanie lub pokój, będą jej finansowo pomagać. Ale najlepiej by było, żeby oddała bękarta do Domu Dziecka...

Stowba w tym czasie dawno już nie bujała w obłokach, ale takiego ciosu nie spodziewała się. Jednak wytrzymała: pieniądze wzięła, podziękowała, żadnych wyjaśnień matce nie zamierzała składać.

Wymyśliła śmiały wariant, którym podzieliła się z Alą: w czasach szkolnych była bohaterką strasznej historii, o której wiele mówiono w mieście. Uczyła się wtedy w siódmej klasie i wielu chłopców zalecało się do niej, a jeden z dziesiątej klasy, Gienka Ryzów, zakochał się w niej na śmierć. Prawie na śmierć. Chodził, chodził za nią krok w krok, a ona miała wtedy innego kawalera, sympatyczniejszego, i temu Gience odmówiła. Czego odmówiła? Odprowadzania ze szkoły do domu... I biedny zakochany powiesił się, ale nieudanie. Z niego był w ogóle pechowiec... Wyjęli go z pętli, odchuchali, przenieśli do innej szkoły, ale miłość nie wywietrzała. Gienka pisał do niej listy, a skończywszy szkołę, wyjechał do Leningradu, gdzie wstąpił do Morskiej Akademii Wojskowej. Pisał do niej już czwarty rok, przysyłał fotografie, na których stoi marynarzyk w czapce marynarskiej, lub z zaczesanymi do tyłu przylizanymi włosami, z wyrazem twarzy dumnym i głupim... W listach wyrażał pewność, że ona jeszcze kiedyś wyjdzie za niego za męża, a on już postara się ją uszczęśliwić. Czynił aluzje, że jest na najlepszej drodze do kariery i jeśli ona troszkę poczeka, to nie pożałuje... „Chciałem przez ciebie umrzeć, a teraz tylko dla ciebie żyję...”.

I Stowba wszystko przymierzyła, obliczyła i zdecydowała

\* niech tak będzie. Napisała list, w którym opowiedziała o swoim niedoszłym małżeństwie, o dziecku, które na początku października powinno się urodzić.

Gienka przyjechał w najbliższą sobotę. Wcześniej rano. Ala jeszcze nie wyszła do komisji egzaminów wstępnych, więc zdażyła mu się przyjrzeć, póki pili herbatę.

Był w pięknym marynarskim mundurze, wcale niezły, wysoki, ale wąski w ramionach i kościsty. Oczy zielone, powiedzmy, jak fala morska... Miał w rękach chusteczkę i milczał, tylko pokaszliwał od czasu do czasu. Ala, wypiwszy w pośpiechu herbatę, zostawiła ich we dwoje, chociaż dziekanat otwierano o dziesiątej i do rozpoczęcia pracy pozostawały jeszcze dwie godziny.

Kiedy Ala wyszła, Gienka długo milczał, i Stowba milczała. W liście było wszystko napisane, a czego nie było, to teraz można było zobaczyć; mocno przytyła, obrzmiała, mlecznobiała twarz naznaczona rdzawymi plamami na czole, wokół oczu i nad górną wargą. Tylko popielate włosy, ciężko opadające w dół policzków, nie zmieniły się. On był w rozterce.

\* To takie sprawy, Gienoczka \* powiedziała z uśmiechem, i teraz ją wreszcie poznał, i rozterka minęła, zmieniła się w pewność, że zwyciężył, a to zwycięstwo, choć zaszargane, ale wymarzone, nieoczekiwane, jakby spadło z nieba.

\* Dobrze, Len, wszystko w życiu bywa. Nie będziesz żałować, że mi zaufałeś. Ja i ciebie, i twoje dziecko będę zawsze kochał. Daj mi tylko słowo, że tego faceta, który cię rzucił, nigdy więcej znac nie będziesz. W mojej sytuacji głupio mówić, ale jestem straszliwie zazdrosny. Znam siebie

\* przyznał się.

Tu zamyśliła się Lena. Nie napisała w liście o szczegółach i teraz rozumiała, że lepiej byłoby skłamać coś zwykłego: obiecał się żenić, oszukał... Ale nie potrafiła.

\* Gien, historia nie jest taka prosta. Mój narzeczony jest Kubańczykiem, miłość między nami była wielka, a nie tak po prostu. Jego wezwano i w ojczyźnie wsadzono do więzienia z powodu brata. Jego brat coś tam nabroił. Wszyscy mówią, że go tu już nigdy nie wpuszczą.

\* A jeśli wpuszczą?

\* Nie wiem \* ucziwie przyznała Lena.

I wtedy marynarzyk przyciągnął ją do siebie \* brzuch przeszkadzał, i przeszkadzała twarz w plamach, ale mimo to ona była tamtą Leną Stowbą, słońcem, gwiazdą, jedyną, i zaczął ją całować, dziobać suchymi ustami gdzie popadnie, a jej fartuch, letni, jasny, tak lekko rozpiął się na przodzie, a tam, pod nim były prawdziwe piersi, i kobiecy wypełniony brzuch, i Giena runął do przodu, rozpinając boczne sprzączki nedorzeczných czarnych kloszy bez rozporoka, i osiągnął swoje

marzenie. A marzenie, przybrawszy bezpieczną dla ciężarnej pozycję, pokornie leżało na boku i mówiło sobie: nic, nic to, innego wyjścia nie mamy...

Potem poszli na plac Czerwony, potem pojechali autobusem na Leninowskie Góry \* popatrzeć na uniwersytet: on był w Moskwie pierwszy raz w życiu i chciał jeszcze na Wystawę Osiągnięć Gospodarki Narodowej, ale Lena była zmęczona i wrócili do akademika.

Wyjeżdżał do Leningradu o północy „Czerwoną strzałą”. Lena poszła go odprowadzić na dworzec. Przyjechali za wcześnie. On cały czas wyprawiał ją do domu, niepokoił się \* pora była późna. Ale ona nie odchodziła.

\* Pilnuj siebie i dziecka \* powiedział jej na pożegnanie. I nagle przypomniała sobie, że nie powiedziała mu o jednym szczególe:

\* Gien, on będzie smagły. A może i czarny.

\* W jakim znaczeniu? \* nie zrozumiał nowo upieczony narzeczony.

\* No, częściowo Murzyn \* wyjaśniła Stowba. Ona wszak wiedziała, jakie piękne będzie jej dzieciątko...

Wtem rozległ się ostatni dzwonek, pociąg ruszył i powiózł w dal wstrząśniętą twarz Gieny Ryzowa, wyglądającą zza pleców konduktora w służbowej furazerce.

Giena okazał się w swoim mniemaniu porządnym człowiekiem \* długo się męczył, jakoś nie mógł napisać listu, ale w końcu napisał: jestem słabym człowiekiem, do tego wojskowym, a w armii ludzie surowi \* drwin i poniżenia z powodu czarnego dziecka nie znieosę... Wybacz...

Stowba zrozumiała to już na dworcu. Opowiedziała wszystko po kolei Ali. I o tym, co było najbardziej wstrętne: nie odmówiła, dała... I obie płakały z poniżenia. Jednak najbardziej nieznośne było to, że nikt niczemu nie był winien... Tak się złożyło.

21.

To był zapasowy wariant Jelizawiecy Iwanowny. Właściwie, z początku był głównym, ale ona była pewna, że w przypadku niepowodzenia znajdzie możliwość wsadzenia Szurika do swojego instytutu. Dwójki nie mógł otrzymać z żadnego przedmiotu, a brakujący punkt na filologii \* to dyplom uznania w jej marnym instytucie... Teraz, po roku Mendelejewki, Szurik sam rozumiał, że się pomylił.

Złożył dokumenty na wieczorowy wydział. Stał w kolejce wśród dziewczyn, które nie zdały na filologię, chłopaków w grubych okularach \* jeden zamiast okularów miał laseczkę \* wyraźnie kulał. Ubiegłorocznych maturzystów nawet porównać nie można było z tymi, trzeciego gatunku. Zadżumiona upałem i kolejką dziewczyna, przyjmująca dokumenty, nie zwróciła uwagi na znane tu nazwisko Szurika, więc odetchnął z ulgą: lubił niezależność, wcześniej wił się, wyobrażając sobie, jak to zbiegną się byłe współpracownicy babci \* Anna Metodowna, Maria Nikołajewna i Galina Konstantinowna \* i zaczną go obcałowywać i głaskać po głowie...

Egzamin z języka francuskiego przyjmowała starsza dama z dużym przekrzywionym kokiem malowanych na żółto włosów. Do niej wszyscy się bali iść: ona była przewodniczącą komisji i była najsrozsza. Szurik nie miał pojęcia, że dama ta była tą samą Iriną Pietrowną Kruglikową, która przez dziesięć lat starała się o profesorskie miejsce, które zajmowała Jelizawieca Iwanowna.

Byстрыm wzrokiem spojrziała na jego kartę egzaminacyjną, zapytała po francusku:

\* Kim dla pana była Jelizawieca Iwanowna Korn?

\* Babcia. W zeszłym roku umarła. Dama doskonale o tym wiedziała...

\* Tak, tak... Bardzo nam jej brakuje... Była wspaniałą kobietą...

Potem go zapytała, dlaczego wybiera wieczorowe studia. Wyjaśnił: mama jest po ciężkiej operacji, on chce pracować, żeby mogła pójść na emeryturę. Przez grzeczność Szurik odpowiadał po francusku.

\* Rozumiem \* burknęła dama i zadała dość trudne pytanie z gramatyki.

\* Babcia uważała, że ta forma wyszła z użycia od czasów Maupassanta \* z radosnym, nieodpowiednim do chwili uśmiechem, oświadczył Szurik, po czym sensownie odpowiedział na



pytanie.

Różnorakie myśli kłębiły się w głowie Iriny Pietrowny. Wsunęła w gniazdo włosów ołówek, podrapała się po głowie. Jelizawieta Iwanowna była wrogiem. Ale wrogiem dawnym, a teraz już martwym. Ona bardzo dopomogła w odejściu na emeryturę Jelizawiecie Iwanownie, ale potem, kiedy zajęła jej miejsce, nieoczekiwanie odkryła, że Jelizawietę Iwanownę liczni pracownicy katedry lubili nie dlatego, że była władzą, a z innej przyczyny, i to było dla niej nieprzyjemne... Chłopak znał francuski doskonale, ale obciąć można było każdego. W żaden sposób nie mogła podjąć prawidłowej decyzji.

\* No cóż, języka pana babcia nauczyła... Kiedy pan wszystko zda, proszę przyjść do mnie do katedry, będę piętnastego. Pomyślimy na temat pana pracy.

Wzięła kartę egzaminacyjną, wpisała „celująco” piórem ze złotą stalówką. I zrozumiała, że postąpiła nie tylko prawidłowo, ale i genialnie. Podmuchała jak uczennica na papier i powiedziała, patrząc Szurikowi prosto w twarz:

\* Pańska babcia była wyjątkowo porządnym człowiekiem. I wspaniałym specjalistą...

Po dwóch tygodniach Irina Pietrowna Kruglikowa załatwiła Szurikowi pracę \* w bibliotece Lenina. Dostać się tam było znacznie trudniej, niż na filologię. Prócz tego, Irina Pietrowna wezwała go przed rozpoczęciem zajęć i powiedziała, że przeniosła go do grupy angielskiej.

\* Odnośnie francuskiego, to podstaw panu nie potrzeba. Może pan chodzić na nasze kursy specjalne, jeśli pan zechce.

Przydzielono go do angielskiej grupy, chociaż tam było nabite ponad miarę.

Już po tym, kiedy wszystko było załatwione, oświadczył matce, że zmienił instytut i poszedł do pracy. Wiera była zaskoczona, ale ucieszyła się.

\* Wiesz, Szurka, nie spodziewałam się czegoś takiego po tobie! Jakiś ty skryty, okazuje się...

Wsunęła palce w jego kędzierzawą głowę, potargała włosy, a potem nagle zatroskała się:

\* Słuchaj, włosy ci się przerzedziły. O tu, na czubku. Trzeba się tym zająć...

I zaraz sięgnęła do specjalnej babcinej półeczki, gdzie stała wszelka ludowa mądrość medyczna i wycinki z czasopisma „Robotnica”. Tam było o myciu głowy ciemnym chlebem, surowym żółtkiem i korzeniem łopianu.

Tego dnia Szurik wykonał całkowicie nieoczekiwany męski i mocny gest:

\* Zdecydowałem, że przyszła pora, żebyś przeszła na emeryturę. Wystarczy tego chodzenia w kieracie. Mamy zapas babci, a ja, słowo honoru, potrafię cię utrzymać.

Wiera przełknęła grudkę, której w gardle dawno już nie było.

\* Tak myślisz? \* tylko tyle mogła powiedzieć.

\* Jestem całkowicie pewien \* powiedział Szurik takim głosem, że Wiera pociągnęła nosem.

To właśnie było jej późne szczęście: obok niej był mężczyzna, który brał za nią odpowiedzialność.

Szurik też się czuł szczęśliwy: mama, którą prawie już stracił w ciągu dwóch dni i nocy spędzonych na szpitalnych schodach, dochodziła do siebie po chorobie, a chemia musiała kwitnąć w przyszłości już bez niego...

Wieczorem tego pamiętnego dnia zadzwoniła Ala, zaprosiła go do akademika.

\* Lena ma urodziny. Jej wszystko tak paskudnie się układa, wszyscy się rozjechali. Przyjedź, upiekłam ciasto. Leny szkoda...

Była ósma. Szurik powiedział mamie, że jedzie do akademika na urodziny Stowby. Nie bardzo mu się chciało tam ciągnąć, ale Lenki naprawdę było mu żal.

22.

Lena Stowba kończyła dziewiętnaście lat, i to były straszne urodziny \* po tylu szczęśliwych. Była ukochaną i piękną siostrą dwóch starszych braci. Ojciec, jak wszyscy wielcy naczelnicy, nie znał języka partnerstwa: jednym komenderował, popędzając i poniżając, przed drugimi sam był gotów się poniżyć \* dobrowolnie i prawie z zachwytem. Lena, chociaż była jego własnym dzieckiem, należała do istot wyższych. Umieścił ją tak wysoko, że nawet myśl o możliwym zamażpójściu córki była nieprzyjemna. Nie dlatego, że szykował swoją

córkę do klasztoru, nie! Jednak w niezbadanej głębi jego partyjnej duszy żyło ludowe wyobrażenie, a może echo nauk apostoła Pawła, że ludzie wyżsi dzieci nie rodzą, gdyż zajmują się sprawami bardziej wzniosłymi, w danym konkretnym przypadku \* nauką chemii...

Kiedy jego żona nieśmiało, po wielu przygotowaniach, powiedziała mu o tym, że córka wybiera się za mąż, zmartwił się. Kiedy do tego doszło jeszcze, że wybranek córki \* to człowiek innej, czarnej rasy, był w podwójnym szoku: w duszy białego mężczyzny, w ogóle z czarną rasą niemającego do czynienia, siedzi ukryty strach, że w czarnym mężczyźnie żyje szczególnie brutalna męska siła, o wiele przewyższająca wigor białego... zazdrość była szczególnego rodzaju: nieuświadomiona, niewypowiedziana, niema. To, że jego Lenoczkę, dobrze urodzoną, białą, czystą będzie... no właśnie, nie mógł znaleźć słowa rejonowy sekretarz, doskonale posługujący się w swojej funkcji zwierzchnika wszystkimi słowami od A do Z, którymi można było robaczka utłuc... ale co tam, że nie można było znaleźć słowa, łączącego jego córkę i czarnego chłopaka w intymnej przestrzeni ślubu, kiedy tylko od tego jednego, że on będzie ją rękoma dotykać, w skroniach zaczynał łomotać ciężki dzwon.

Ostrożnie informująca o rysującym się ślubie żona zmuszona była po jakimś czasie powiedzieć mu i o tym, że tego ślubu nie będzie. Ale jednocześnie z tym i o dziecku, które niebawem miało się urodzić. Wiadomość przekazana. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Z początku sam ryczał jak niedźwiedź, mocarną pięścią rozwalił stół obiadowy. I ręka też ucierpiała \* dwa pęknięcia kości \* ubrana potem w gipsową rękawicę. Ale jeszcze przed gipsem przykazał domownikom, żeby imienia Leny więcej nie wspominali, widzieć on jej nie chce i nie życzy sobie niczego wiedzieć... Rejonowa żona wiedziała, że z czasem mu przejdzie, że wybaczy Lenie, ale nie wiedziała, czy Lena wybaczy jemu takie wyrzeczenie się jej w trudnej chwili...

Słowem, urodziny Lena Stowba miała, co by nie mówić, bardzo smutne. Na chwiejnym krześle siedziała z obrzmiałymi nogami gruba jubilatka, szarlotka, upieczona przez Alę, wyglądała biednie, pokrojone ser, kielbasa, jajka faszerowane same sobą, ale z majonezem.

Gości było dwóch \* Szurik i Żenia Rozenwejg, który przyjechał z daczy, żeby złożyć życzenia samotnej Stowbie. Przyjechał z koszykiem, który mu przygotowała litościwa żydowska mama, powiadomiona o położeniu Stowby. Zawartość koszyka prawie dokładnie odpowiadała wykazowi produktów, jakie Czerwony Kapturek niósł dla swojej babci: dwulitrowa buda wiejskiego mleka, domowe ciasto z jagodami i masło, kupione na przydworcowym rynku u miejscowych przekupek... Dno koszyka było wyłożone biało\*zielonymi jabłkami gatunku soczyste, z jedyne go rodzącego drzewa w sadku Rozenwejgów. Żenia napisał żartobliwie wzniosły wierszyk, w którym „dziewiętnaście” awangardowo rymowało się z „nacje”, a samo przyszłe wydarzenie, związane ze smutną lekkomyślnością, a także z krewkością i pośpiechem bohatera i niedoinformowaniem bohaterki, interpretowane było przez poetę prawie jak rewolucyjna przemiana świata.

A mimo to Lena poweselała \* była wdzięczna i Ali, że pamiętała o jej urodzinach w tej samej chwili, kiedy ona przeklinała samo swoje przyjście na świat, i Szurikowi, który przybiegł złożyć jej życzenia z butelką szampana i drugą \* czerwonego wina i bombonierką, co leżała w maminej szafie i przybrała lekki zapach wiecznych perfum babci...

Zaczęli jeść i pić: oba ciasta, ser, kielbasę i jajka. Okazało się, że wszyscy są głodni jak wilki i wszystko migiem zjedli, i wtedy domyślna Ala poszła do wspólnej kuchni i ugotowała makaron, który dojadali już po ciastach... I wszystkim było dobrze, nawet Lena po raz pierwszy od kilku miesięcy pomyślała, że jeśli by nie jej niedola, nigdy by nie miała takich prawdziwych przyjaciół, którzy dodawali otuchy w trudnym momencie życia. Sprawiedliwie trzeba dodać, że kubańscy przyjaciele Enrike, łysy biolog i drugi Hose Maria, też jej nie pozostawili, a na urodziny nie przyszli, bo nie wiedzieli...

Tak czy inaczej, ostatnie wino było wypite za przyjaciół, a kiedy zjedzony był cały makaron, rozmowa ze wzniosłej przeszła na życiowe koleje, a strzałkę tę przesunął najbardziej niepraktyczny ze wszystkich Żenia.

\* No dobra, a mieszkanie wynajęłaś?

To był bolesny problem: miejsce w akademiku Stowba powinna opuścić do pierwszego września, urlop dziekański już wzięła, ale mieszkania wynająć nie mogła. Początkowo Ala jako grupa

wsparcia pojechała z nią do Bannego Zaułka, na czarny rynek mieszkań, ale okazało się, że jej azjatyckie rysy tylko przeszkadzają sprawie \* jedna z wynajmujących tak właśnie powiedziała: nieruskich nie bierzemy.

Prawie codziennie Lena chodziła w Bannyj, ale samotnej ciężarnej nikt nie chciał wynająć.

Zgodziła się tylko jedna właścicielka mieszkania \* stara pijaczka z Lianozowa. Przyzwoite

gospodynie odmawiały: nie chciały brać z dzieckiem. Jedna już się prawie zgodziła, ale poprosiła o paszport, długo go przeglądała \* szukała adnotacji o ślubie, a kiedy nie znalazła, odmówiła...

Pytanie Żeni o mieszkanie przywróciło Lenę do jej przykrego położenia i rozplakała się \* pierwszy raz od dwóch miesięcy:

\* Jeśliby pieczętka była, to może i do domu bym pojechała. Urodziłabym tu i pojechała \* ojciec by się pogodził... A tak \* dla niego hańba... Na jego stanowisku...

Szurik współczuł. Szurik wytrzeszczał swoje i bez tego okrągłe oczy. Szurik szukał wyjścia. I znalazł:

\* Len, to chodź, pobierzemy się. I po sprawie!

Stowba jeszcze nie zdążyła sobie uświadomić doniosłości otrzymanej propozycji, a Alę jakby rozgrzane żelazo oparzyło: Szurika dla siebie szykowała, hodowała do swojego osobistego wykorzystania, jak młodego baranka, to z nią powinien się ożenić, z nią wziąć ślub...

Ale Stowba już pojęła propozycję \* wszystko mogło przyjąć dobry obrót. Tak, tak, tak \* dźwięczało w blond głowie:

\* Szurik, a twoja mama co na to powie?

\* Nie, Len, ona nie musi wiedzieć. Po co? Weźmiemy ślub, wynajmiemy ci mieszkanie, urodzisz, a potem może do domu cię wyprawimy. A jak się wszystko ułoży, rozwiedziemy się... Pomyśl...

„To tak się rzeczy mają \* myślała Stowba. \* Giena Ryzow, zakochany na zabój, uciekł ze strachu, a ten moskiewski chłopak, wszawy inteligent, maminsynek, gotów pomóc mi ni z tego ni z owego...”.

Lena z ciekawością spojrzała na Alkę \* ta skwaśniała, oczy jeszcze bardziej stały się skośne niż zazwyczaj. Lena uśmiechnęła się do siebie: ze wszystkich tu obecnych ona jedna wiedziała, co się w duszy Alki dzieje, i poczuła pewną złośliwą satysfakcję \* nie miała zamiaru Stowba rywalizować z tą pracowitą i niepokązną Kazaszka, po prostu tak wyszło. Raz \* i zwyciężyła...

Łzy Lenie z miejsca wyschły, jej stracone życie szło ku lepszemu.

\* I w Bannyj ze mną pójdziesz, Szurik?

\* A dlaczego nie? Oczywiście, pójdę. Żenia radośnie wrzasnęła:

\* Hura! Szurik, jesteś prawdziwym przyjacielem!

A Szurik rzeczywiście czuł się prawdziwym przyjacielem i dobrym chłopcem. Zawsze mu się podobało bycie dobrym chłopcem. Nazajutrz umówili się w Urzędzie Stanu Cywilnego, żeby złożyć dokumenty \* w roli świadków powinni wystąpić Żenia z Alą. Ala przeklinała siebie za ciasto, za urodziny, których wyprawienie jej samej przyszło do głowy, ale wymyślić dla ratowania swojej przyszłości niczego na razie nie mogła...

Istotnie, nazajutrz udali się do Urzędu Stanu Cywilnego. Teraz już, naturalnie, nie do Pałacu Ślubów, a do zwykłego, rejonowego. Złożyli podanie. Ślub, biorąc pod uwagę wyraźny brzuch, wyznaczili za tydzień. Szurik byłby zapomniął, ale równo za tydzień rano zadzwoniła Stowba i powiedziała, że za godzinę czeka na niego pod urzędem. I Szurik pobiegł, i zdążył na czas: wziął ślub z Jeleną Giennadijewną Stowbą, czasowo uratował opinię i teraz mogła jechać do domu w godnym położeniu kobiety zamężnej...

23.

Matylda z kotami już na samym początku maja wyjechała na wieś. Zamierzała tam pobycć ze dwa tygodnie, sprzedać otrzymany w spadku dom i wrócić w każdym razie nie później niż na początku lipca. Jednakże wszystko potoczyło się w nieoczekiwany dla niej sposób: dom okazał się żywy i ciepły, i jej było w nim tak dobrze, że postanowiła go nie sprzedawać, a urządzić podmiejskie siedlisko. Brakowało w nim tylko pracowni i Matylda wzięła się za jej urządzenie. Żadna budowla jako taka nie była potrzebna \* ogromne podwórze, kryte pomieszczenie dla bydła, w którym już

dawno żadnych zwierząt nie trzymano, trzeba było wzmocnić i wybić okna, i byłoby idealne pomieszczenie do prac rzeźbiarskich. Jedną była przeszkoda \* miejscowi chłopcy pili, nie trzeźwiąc i znalezienie pracowników do tej prostej ciesielskiej roboty okazało się niełatwe. Do głowy Matyldzie przychodził Szurik, on jej tutaj, och, jakby się przydał. Nie w ciesielskich sprawach, prędzej w życiowych. Kilka razy nawet chodziła po osiem kilometrów na pocztę, żeby zadzwonić do Moskwy, ale w domu u niego nikt nie odpowiadał. W środku lata przydarzyła się okazja \* sąsiad ze wsi jechał do Moskwy na dwa dni samochodem i zaproponował Matyldzie, że może ją zabrać razem z jej kotami. Spakowała się i przyjechała.

W mieście nazywała się cała masa spraw, ale w ciągu dwóch miesięcy nieobecności moskiewskie sprawy jakoś wyblakły, a teraźniejsze, wiejskie \* kupić gwoździe, lekarstwa dla sąsiadek, nasiona kwiatów, cukru choć z dziesięć kilo i tak dalej \* zajmowały ważniejsze miejsce w głowie. Jednakże już w drodze \* jechało się pięć\*sześć godzin, jeśli szczęście dopisało \* coś się przestawiło: przypomniała sobie, że za pracownię nie zapłaciła, że córka przyjaciółki Niny zapewne już urodziła, a ona nawet nie zadzwoniła... I Szurika wspomniła \* jak zwykle z uśmiechem, ale i z obawą. Kiedy przyjechała, podniosła słuchawkę i wykręciła numer Szurika \* odebrała jego matka, powiedziała: „Halo” słabym głosem, ale Matylda z nią nie chciała rozmawiać... Drugim razem Matylda zadzwoniła już o jedenastej, słuchawkę podniósł Szurik, powiedziała, że przyjechała, on długo milczał, potem powiedział:

\* Aha... to dobrze...

Matylda w pierwszej chwili rozżołościła się na siebie, że zadzwoniła i zręcznie zakończyła rozmowę. Położyła słuchawkę i siadła w fotelu. Konstantyn, naczelnik kociego rodu, położył się w nogach, a Dusia z Marchewką kręciły się na jej kolanach, szukając wygodnej pozycji. Matylda tak nie lubiła nawyku kobiet do samobiczowania: lekką irytację po niezręcznym telefonie do chłopaka, z którym nawiązała przypadkowy romans, a który teraz dał jej do zrozumienia, że nie bardzo jest mu potrzebna, odpędzała za pomocą całego szeregu jutrzejszych spraw: gwoździe, lekarstwa, cukier, nasiona... Chociaż jakie już teraz nasiona, lato tylko patrzeć, się skończy...

W telewizorze migają kolorowe obrazki, fonii nie włączała i dlatego telewizor nie przeszkadzał jej rozmyślać nad głównym problemem: ma dosyć Moskwy, a ta wioska pod

Wisznim Wołoczkiem, rodzinne strony zmarłej matki, znajome jej od dzieciństwa lasy, pola, wzgórze pasowały jak buty na rozmiar \* akuratne, ładne, wygodne. Obserwowała nie całkiem jeszcze zanikłe wiejskie życie i poczuła, być może, po raz pierwszy w ciągu długich lat, że sama jest wiejskim człowiekiem, a staruchy sąsiadki, byłe dojarki i ogrodniczki, są znacznie miłsze niż moskiewskie sąsiadki, zabiegające o kupno dywanu albo dobijające się o przydział na zwolnione komunalne mieszkanie. I zmarła ciotka przedstawiła się jej w innym świetle: wydało się, że sąsiad dawno nastawa! na nią, żeby sprzedała mu lub zapisała w testamencie swój dom, jeden z najlepszych we wsi, postawiony w końcu dziewiętnastego wieku przez brygadę chłopów z Archangielska, trudniących się budową domów. Jednak ciotka, nielubiana przez Matyldę ciotka, kategorycznie odmawiała: niech dom będzie dla Matryony, a domu obcym nie zapiszę, nasz ród całkiem tu się przeniesie. A Matryona mieszcanka, bogata, nie jest głupia, ona dom zachowa... Tam, na wsi, nazywano ją prawdziwym imieniem, którego się od dzieciństwa wstydziła i, przeprowadziwszy się do miasta, nazwała się Matyldą...

I Motia\*Matylda uśmiechała się, wspominając ciotkę, która też okazała się niegłupia, prawidłowo wszystko przewidziała. Bardziej niż prawidłowo \* jeśli Matylda tak od razu do tego domu przyłgnęła, że już i swoje życie gotowa dla niego zmienić...

O wpół do dwunastej, kiedy Matylda już wyrzuciła z siebie nieprzyjemny osad po rozmowie z Szurikiem i leżała w łóżku, w otoczeniu swoich kotów, rozległ się dzwonek do drzwi. Matylda wcale nie oczekiwała swego młodocianego kochanka, ale on przybiegł do niej, tak jak wcześniej, biegiem, a oddech miał krótki, gdyż i na piąte piętro wleciał biegiem, i rzucił się do Matyldy, zdążywszy zaledwie powiedzieć:

\* Zadzwoniłaś, a ja nie mogłem mówić, mama siedziała przy telefonie...

I tu Matylda zrozumiała, jak się stęskniła \* ciała nie oszukasz, i zdaje się, w całym życiu chyba po raz pierwszy tak się zdarzyło, że jednemu od drugiego niczego więcej nie trzeba, prócz jednego

plciowego zbliżenia. To są najczystsze stosunki: żadnej korzyści ani ja z niego, ani on ze mnie, jedna tylko radość ciała \* pomyślała Matyllda, a radość zwała się pełna i silna.

A Szurik w ogóle o niczym nie myślał: dyszał, biegł, dobiegał, znowu biegł, i leciał, i fruwał, i spadał, i znowu się wznosił... Całe to szczęście jest zupełnie niemożliwe bez tego cudu natury \* kobiety z jej oczami, ustami, piersiami i ciasną przepaścią, w którą spadasz, żeby znowu lecieć...

24.

Jesienią życie całkowicie się zmieniło: Szurik chodził do pierwszej prawdziwej pracy i do odpowiedniego wieczorowego instytutu, Wiera, przeciwnie, zwolniła się z pracy i też zaczęła żyć po nowemu. Po operacji czuła się znacznie lepiej i chociaż stale osłabienie nie przechodziło, wewnętrznie się ożywiła i przeżywała coś w rodzaju odnowy: jakby wracała do swojej młodości. Teraz miała dużo wolnego czasu, z rozkoszą czytała ponownie stare, niegdyś czytane książki, rozmiłowała się w pamiętnikach. Czasami wychodziła na spacer, dochodziła do najbliższego skweru, a czasem po prostu siedziała na podwórzu na ławeczce, starając się trzymać z daleka od młodych matek z ich hałaśliwym potomstwem i blisko młodych topól i srebrzystych oliwek, które w charakterze udanego eksperymentu posadzono wokół domu. Poza tym gimnastykowała się i rozmawiała przez telefon z jedną z dwóch stałych przyjaciółek, bezdzietną wdową po znanym malarzu, Niłą, zawsze chętną do długich telefonicznych dyskusji na temat listów Antona Pawłowicza czy pamiętników Zofii Andrejewny... Zdziwiająca rzecz \* w tamtym życiu wszystko było bardziej zrozumiałe i interesujące, niż w obecnym. Z drugą przyjaciółką, Kirą, długich rozmów nie było, dlatego że u niej zawsze coś kipiało na kuchni...

Szurik przed przejściem matki na emeryturę przytaszczył do domu wielki telewizor. Wiera trochę się zdziwiła, ale wkrótce doceniła nowy nabytek: często pokazywano sztuki, w większości stare, i szybko, wzięwszy poprawkę na niezgrabny kształt tej rzeczy, przywykła patrzeć w „skrzynkę”. Szurik wolnego czasu prawie nie miał, rozmawiali ze sobą znacznie mniej, niż by sobie życzyła: wstawiała późno, kiedy on już wychodził do pracy, zostawiając w kuchni zawiniętą we włochaty ręcznik owsiankę, którą wprowadził do rodzinnej diety dziadek Korn, cierpiący w swoich młodych latach na anglomanię.

Za to w niedzielne ranki jedli śniadanie razem, potem Szurik dawał w połowie dnia dwie ostateczne, jak nazywała je Wiera, francuskie lekcje, a wieczór spędzali we dwójkę. Wiera obawiała się na razie samodzielnych wyjść z domu, i właśnie w te niedzielne wieczory razem bywali na koncertach, spektaklach, składali wizyty przyjaciółkom Kirze i Nile. Czy Szurik był zadowolony z tego świeckiego życia? Możliwe, że młody człowiek wybrałby sobie jakąś inną niedzielą rozrywkę? Takie pytania nie powstawały u Wiery. Nie powstawały również u Szurika. W jego stosunku do matki, prócz miłości, niepokoju o nią i przywiązania, była jeszcze biblijna pokora wobec rodziców, lekka i naturalna.

Wiera nie wymagała żadnej ofiary \* ofiara wypływała samoistnie, i Szurik z gotowością pomagał matce założyć buty i palto, zdjąć buty i palto, podtrzymał przy wejściu do wagonu, sadzał na najwygodniejszym miejscu. Wszystko tak naturalnie, po prostu, mile...

Wiera dzieliła się z nim swoimi myślami i obserwacjami, opowiadała przeczytane książki, informowała o stanie dusz

i ciał swoich przyjaciółek. Nawet tematy polityczne pojawiały się w ich rozmowach, chociaż ogólnie Wiera była bojaźliwa znacznie bardziej, niż jej zmarła matka, i zwykle nie pozwalała sobie wchodzić w ostre dyskusje, wołała głośno oświadczać, że polityką się nie interesuje, a zainteresowania jej leżą wyłącznie w sferze kultury. Pochwalała pracę Szurika w bibliotece jako kulturalną, chociaż ta praca nie była w pełni męska. Ale Szurikowi podobała się. I podobało mu się wszystko: stacja metra „Biblioteka imienia Lenina”, i stary budynek Rumiancewskiej biblioteki, i różnorakie zapachy książek

\* bardzo starych, starych i współczesnych, które dla wrażliwego nosa różniły się tysiącem odcieni skóry, płótna, kleju, tkaniny, włożonej w grzbiety, drukarskiej farby \* i sympatyczne kobiety szczególnego bibliotecznego rodzaju, ciche, uprzejme, wszystkie w jednym, nieokreślenie

przyjemnym, średnim wieku, choć niektóre były nawet młode. Kiedy w czasie przerwy obiadowej siadali przy służbowym stole na herbatę, wszystkie częstowały go kanapkami z serem i kiełbasą, też jednakowymi...

Spośród wszystkich wyróżniała się tylko kierowniczką

\* Waleria Adamowna Konieckaja. Zresztą, wśród kierowników oddziałów \* ona też się wyróżniała. Na czele wszystkich innych oddziałów stali bardziej czcigodni ludzie, nawet rzadko spotykanej w bibliotekach płci męskiej. Ona była najmłodsza, najbardziej energiczna, lepiej niż wszyscy się ubierała, nawet nosiła brylantowe kolczyki, migoczące ostro niebieskimi promieniami z uszu, kiedy z rzadka wyłaniały się spod gęstych włosów, którymi można by oddzielić co najmniej trzy kobiety. Włosy związywała aksamitną opaską lub płaską czarną wstążką. O jej obecności wcześniej powiadał gęsty zapach perfum i postukiwanie kuli. Piękność utykała na nogę, a utykanie to było silne, głębokie, na każdym kroku jakby z lekka nurkowała, a potem wynurzała się, unosząc jednocześnie granatowe rzęsy... Nie powinno się jej lubić za złamanie ogólnej jednorodności, które uosabiała. Ale

ją lubiano: za urodę, za kalectwo, które mężnie przezwyciężała, nawet za inwalidzki samochód zaporozec, który sama prowadziła, zadziwiając innych kierowców i pieszych pełną nieprzewidywalnością swojego szoferskiego zachowania, za wesołe usposobienie i wybaczała \* o, było co wybaczać! \* zamiłowanie do plotkowania o cudzych sprawach, nieustanną kokieterię i stale romanse z bywalcami biblioteki.

Szurik docenił jej życzliwość dla ludzi, kiedy w szczycie epidemii grypy \* połowa pracowników zachorowała, a druga połowa pracowała z podwójnym obciążeniem \* przyszedł do niej z prośbą o trzy dni bezpłatnego urlopu.

\* Pan zwariował! Muszę pana na sesję zwalniać w najgorętszy czas, a pan jeszcze bezpłatnie!

Mowy nie ma! I tak nie ma komu pracować!

\* Walerio Adamowna! \* błagał Szurik. \* Takie okoliczności... no choćby podanie o zwolnienie przyjdzie składać!

\* Tak krótko pan pracuje, i odchodzić! To niech się pan zwalnia! Tu kolejka jest! W Bibliotece Lenina pracować! Ludzie od nas nie odchodzą! Od nas \* tylko na emeryturę! \* otwarcie krzyczała kierowniczką.

\* Muszę na trzy dni pojechać na Syberię. Inaczej strasznie zawiodę jedną kobietę...

Pod granatowymi rzęsami Walerii pojawiło się zainteresowanie:

\* To tak?

\* Proszę zrozumieć, ona będzie rodzić, a ja jestem czymś w rodzaju męża...

\* Niczego sobie! Panu ma się dziecko urodzić, a pan coś w rodzaju męża? \* przesadnie zdziwiła się Waleria.

I Szurik, siedząc na brzeżku krzesła, opowiedział zwięźle i zrozumiale całą historię biednej Stowby, historię, nie mającą na razie finału, dlatego że po tym, jak się pobrali, ona pojechała do rodziców na Syberię. Teraz ma rodzić i prosiła, żeby szybko przyjechał, bo jeśli urodzi się dziecko tak czy owak, po prostu smagłe, to jeszcze nic. Ale jeśli prawdziwy

Murzyn, to niezawodnie będzie rodzinny skandal dlatego, że ojciec \* kamienna skała z partyjną funkcją, z domu ją bezsprzecznie wyrzuci... Tak więc on musi pojechać, żeby grać rolę szczęśliwego ojca kubańskiego dziecka...

\* Niech pan napisze podanie \* powiedziała Waleria Adamowna i postawiła swój czerwony kanciasty podpis pod nieśmiałym ściegiem Szurika.

25.

I Szurik naszykował się. Lena prosiła, żeby kupił, jeśli się uda, dwa wełniane dziecięce ubranka. On ucziwie pojechał do tego samego „Świata dziecka”, w którym przed jego urodzeniem takie właśnie ubranka kupowała jego babcia Jelizawieta Iwanowna. Też tak ucziwie odstał w długiej kolejce i kupił dwa \* żółte i różowe. Starsza praktyczna kobieta, stojąca przed nim w kolejce, wyjaśniła, że jedno trzeba brać na rok, a drugie \* na dwa lata. Po co dwa ubranka jednego rozmiaru? Argument

był przekonujący.

Jakichś specjalnych buteleczek ze smoczkami nie dostał \* tego dnia w „Świecie dziecka” ich nie rzucili. Ale ten rzadki przedmiot czechosłowackiej produkcji zdobyła Ala Togusowa. Jeszcze nie całkiem doszła do siebie po matrymonialnym wstrząsie, jaki sprawił jej Szurik, sam o tym nie wiedząc, dalej jeszcze udawała, że jest z Szurikiem w miłosnym związku. Jednak po pudełku olejnej farby, które posłużyło za pretekst do zbliżenia, i po kilku jej jakby przypadkowych wizytach na Nowoleśnej, Szurik jej szczególnie nie pożądał. Nawet nie zadzwonił ani razu.

To było przykre, ale Ala traktowała to jako nową przeszkodę w życiu: wszystkie inne ona stopniowo przezwyciężała. Intuicyjnie wyczuwała, że nad okolicznościami trzeba pracować, żeby je obrócić na swoją korzyść.

W instytucie było wszystko w najlepszym porządku: otrzymywała większe stypendium za wyniki ostatniej sesji. Właściwie ostatnia to ona była dla Szurika, dla Ali \* po prostu letnia sesja po pierwszym roku. Miała dwa półetaty, jeden w katedrze, laborancki, drugi w dziekanacie wieczorowego wydziału, sekretarki. Pisać na maszynie nauczyła się jeszcze w tych czasach, kiedy pracowała w akmolińskim zakładzie chemicznym. Ale tamta część życia była odcięta, nawet o niej nie wspominała, nawet do matki napisała tylko dwa listy: pierwszy, na gorąco kiedy się dostała na studia \* i o placu Czerwonym, i o akademiku, drugi, wiosną, w którym oświadczyła, że na wakacje przyjechać nie może dlatego, że na początku praktyka, a potem trzeba będzie pracować, pieniądze zarabiać, bo na bilet nie ma. Matka listu nie zrozumiała, myślała, że córka przyjedzie, jak tylko zarobi na bilet.

Ala naprawdę zarabiała: i pieniądze, i biografię. Wszyscy się do niej dobrze odnosili \* i studenci z roku, i współpracownicy. Wiedzieli, że jest niezawodna, staranna, nie boi się pracy. Tylko jakoś przyjaciół nie było. W gości nie proszono. Zresztą i chodzić nie było kiedy. Ale przykro, że nie proszono.

Jakoś nie udawało się nawiązywanie stosunków z odpowiednimi i potrzebnymi ludźmi. Chemii się przecież nauczyła, ale chciałaby nauczyć się całej reszty. Tak się zdarzyło, że jedyny moskiewski dom, gdzie ją przyjmowano, to był dom Szurika. A jedyną kobietą, którą ona nazywała z szacunkiem „dama”, była Wiera Aleksandrowna. Ala przyglądała się jej i wszystko w niej podobało się dziewczynie: postawa, prosty, ale jakiś szczególny język, i maniera narzucania swetra na plecy, odrzucając rękawy, i paznokcie w różowym lakierze, i to, jak jadła i piła \* nieuważnie, zdawałoby się, a tak powoli i pięknie... Była pięknym wzorem \* ale co zrobić z rękawami? Nie mogła Ala żyć ot tak, opuściwszy rękawy, one by jej przeszkadzały i w laboratorium, i w sekretariacie dziekanatu...

Ale co nieco przejmowała dla siebie, na przykład herbatę z mlekiem. Po angielsku. Ze srebrnego dzbanuszka lała

Wiera Aleksandrowną cienką stróżką do herbacianej filiżanki, a tam rozchodziły się mleczne koła, a ona mieszała je łyżeczką według wskazówek zegara...

Zauważywszy uważny wzrok Ali, Wiera Aleksandrowną powiedziała:

\* Kiedy Szurik był mały, uważał, że herbata staje się słodka od mieszania, a nie od cukru. Myślał, że im bardziej miesza, tym słodsza. Zabawne, nieprawdaż?

I to „nieprawdaż?” było szczególnie pociągające.

Tego przedwyjazdowego wieczora Ala nie uprzedziła Szurika, że zajdzie po pracy i czekała na niego, pijąc z Wierą Aleksandrowną herbatę po angielsku. Pozdrowienia od dziadka Korna. Cześć przyszło dość długo.

\* Przyniosłam buteleczkę ze smoczką dla Stowby \* z uśmiechem spiskowca powiedziała Ala. \* Będziesz mógł wziąć, nieprawdaż?

\* Dlaczego mam nie wziąć \* mruknął Szurik, nie doceniając wytworności wypowiedzi.

Wiera Aleksandrowną postawiła na kuchence gołąbki z gastronomii.

\* Alu, nie odmówi pani?

Ala odmówiła. Jeść jej się chciało, ale bała się, że nie będzie umiała kroić na małe kawałki, nałożyć je nożem na widelec, nie nadziewając, a jakoś na płask. W instytutowej stołówce sprawnie jadła takie właśnie gołąbki po prostu łyżką, bo widelców w czasie obiadu nie zawsze wystarczało...

A Szurik jadł jak matka, niespiesznie i dokładnie. Tak więc się sprawy mają, a w laboratorium dwóch roztworów nie mógł wlać do probówki, i niczego należycie nie umiał zrobić \* dziwiła się Ala.

Wiera Aleksandrowną poszła oglądać telewizję \* szła Tania Arbuzowa w nowej inscenizacji, a tego przepuścić nie mogła.

\* To co, jutro do żony jedziesz \* jakby zażartowała Ala.

\* Ciszej, co ty? Mama nie wie \* wystraszył się Szurik.

\* Nie wie, że jedziesz? \* zdziwiła się Ala.

\* Powiedziałem, że w delegację. No, jakby przypadkiem do tego miasta, gdzie Stowba mieszka.

Ona nie wie, że wziąłem z nią ślub. Paszport tak schowałem, żeby jej w oczy nie wpadł.

\* A ubranka kupiłeś? Szurik potwierdził:

\* Na roczek i na dwa.

\* Pokaż \* poprosiła Ala sceptycznie.

Ufny Szurik zaprowadził ją do swojego pokoju, gdzie była prawie spakowana babcina „walizka No 1”, to znaczy najmniejsza z tej kolekcji, z metalowymi narożnikami. Były jeszcze No 2 i No 4. Ale Ala o tym nie wiedziała.

Szurik przysiadł nad walizką, stojącą na podłodze obok biurka. Ala chwyciła go z tyłu za szyję.

Popatrzył na zegarek \* wpół do jedenastej. A ją jeszcze należało odprowadzić, jakże inaczej. Wstać jutro trzeba o szóstej \* kurs był wczesny.

\* Tylko szybko \* uprzedził Szurik.

To niezupełnie były te słowa, które by Ala chciała usłyszeć. Ale rzecz była, koniec końców, nie w słowach, a w generalnej linii. Wszak Ala od dzieciństwa była przyzwyczajona do myśli, że chłopom od bab wiadomo, czego trzeba. Taka była jej prosta teoria i ona kierowała się nią, nie uznając za ważne zapytać, czy Szurik pragnie tego w tej chwili. Jemu nawet do głowy nie przyszło odmawiać dziewczynie takiej drobnostki. I z apetytem, nieodmiennie przychodzącym podczas jedzenia, Szurik dokonał koniecznej akcji, sprawiając Ali pełne zadowolenie: byli kochankami, już po raz piąty od tamtego pamiętnego Nowego Roku byli kochankami, czyli wszystko szło w prawidłowym kierunku, i jeśli Stowba nie zapragnie założyć mu chomąta, to dostanie się on jej, Ali, dzięki cierpliwości i wierności. Stowba przecież, z powodu zaawansowanej ciąży, obawy u niej póki co nie wywoływała. Do tego wszyscy wiedzieli, jak zakochana była w swoim czarnym Enrike, a jakiemu chłopu to się spodoba...

Ogólny schemat był, może i poprawny, ale dla dalekich rejonów i dla innego kontynentu. Tego Ala na razie nie uwzględniała, ale miała jeszcze dużo czasu do nauki.

Szurik leciał ze swoimi ubrankami i smoczkami pięć godzin, przedtem jeszcze cztery przesiedział na lotnisku, w oczekiwaniu na przesuwany z godziny na godzinę wylot. Prócz walizki babci miał ze sobą jeszcze dwie stare powieści z babcinej biblioteki. Jedną, romansidło francuskie, zdyscyplinowanie przeczytał jeszcze przed startem, drugą, zniszczony papierowy tomik, zaczął czytać w samolocie. Była interesująca. W połowie książki nagle się zatrzymał, gdy się spostrzegł, że czyta nie po francusku, a po angielsku. Wtedy spojrzął na okładkę \* to była powieść Agaty Christie. Pierwsza książka, niechęć przeczytana po angielsku.

Na lotnisku czekała na niego fikcyjna teściowa, którą widział pierwszy raz w życiu \* bałwan w piłśniowym kubku na głowie, z zaciśniętymi ustami. Szurik był od niej wyższy, ale przy niej poczuł się jak mały chłopczyk obok dorosłej swojej wychowawczynie. Nawet mu przyszła do głowy nieoczekiwana myśl: po co w ogóle tu przyjechał, przecież mógłby odmówić. Przecież nie z powodu ubranek...

\* Faina Iwanowna \* wyciągnęła teściowa tłustą rękę i Szurik namacalnie poczuł podobieństwo z inną Fainą Iwanowną, była kierowniczką mamy, więc poczuł się całkiem niezręcznie.

\* Szurik \* odpowiedział na uścisk dłoni.

\* A po ojcu? \* surowo zapytała teściowa.

\* Aleksandrowicz...

\* Aleksander Aleksandrowicz, znaczy się \* nazwisko zapamiętała, kiedy wertowała paszport Leny. Nazwisko było podejrzane, ale imię i imię ojca \* niczego sobie...



Poszła przodem, on za nią. Przed wejściem stała czarna służbowa wołga.

„Ojca” \* domyślił się Szurik. Zobaczywszy gospodynię, z samochodu wysiadł kierowca, chciał otworzyć bagażnik, ale kiedy spostrzegł skromną walizkę Szurika, otworzył tylko drzwiczki.

\* Nasz zięć, Aleksander Aleksandrowicz \* teściowa przedstawiła Szurika kierowcy. Ten wyciągnął rękę:

\* Witam serdecznie, San Sanycz \* uśmiechnął się szeroko, błyskając metalem. \* A ja Wołodia. Szurik z teściową siedli na tylnym siedzeniu. Ruszyli.

\* Jak się czuje mama? \* nagle życzliwie spytała Faina Iwanowna.

\* Dziękuję, po operacji znacznie jej się polepszyło \* zdziwił się, skąd ona w ogóle wie o mamie.

\* Tak, Lena mówiła, że operacja była ciężka. No to dzięki Bogu, dzięki Bogu. A czy długo leżała w szpitalu?

\* Trzy tygodnie \* odpowiedział Szurik.

\* Giennadij Nikołajewicz też trzy tygodnie w tamtym roku przeleżał u was tam, w Kremlówce.

Jemu na woreczek żółciowy operację robili. Dobrzy lekarze \* z uznaniem odezwała się Faina Iwanowna. \* Jeśli jeszcze kiedyś przyjdzie się położyć, najlepiej do Kremlówki. Giennadij Nikołajewicz załatwi \* jako członkom rodziny...

Na koniec wreszcie Szurik połapał się, że ta rozmowa prowadzona jest dla szofera i jego własna rola stała się jasna.

\* A Lenka nie może się ciebie doczekać. Na dniach mamy rodzić...

\* No tak \* niepewnie mruknął Szurik, i teściowa widocznie postanowiła pomilczeć \* żeby gafy nie palnąć.

\* Ty, Wołodia, samochodu do garażu nie stawiaj, weź do siebie, jakby co \* przykazała Faina Iwanowna kierowcy, kiedy dojechali do domu.

\* Samo przez się. Już któryś dzień nie odstawiam \* kiwnął szofer. Wskoczył, otworzył drzwi.

Weszli do domu zwyczajnego, stalinowskiego. W windzie było napisane nierosyjskie słowo, które przyjęło się na Rusi od czasów najazdu Tatarów. Za to drzwi na piętrze były jedne jedyne, pośrodku klatki schodowej. I otwarte na oścież. W drzwiach stał potężny człowiek o bardzo gęstych siwych włosach, z szerokim uśmiechem:

\* No, zięciulku, zachodź! Proszę bardzo!

Z tyłu za nim \* gruba Stowba z ułożonymi po nowemu włosami, w chuście z Orenburga na ciemnoczerwonej szerokiej sukience. Stowba uśmiechała się sympatyczną wdzięczną buzią, i Szurik zdziwił się, jak bardzo się zmieniła.

Teść uściskał Szurikowi rękę, potem trzy razy pocałował: pachniał wódką i wodą kolońską. Lena podstawiała jasną głowę z prostym przedziałkiem. Szurik nigdy nie widział z tak bliska ciężarnych kobiet, i nagle go zaskoczył i brzuch, i dziwna niewinność twarzy. Nie miała wcześniej takiego wyrazu. I on, czując drgnięcie w pewnym miejscu, pocałował ją najpierw we włosy, a potem w usta. Ona poczerwieniała na plamistej twarzy. Pięknością przestała być, ale była wprost cudowna...

\* No, Lenka, jakie masz brzuszysko! Po prostu nie wiadomo, z której strony zająć \* uśmiechał się Szurik.

Teść popatrzył na niego z uznaniem, zachichotał:

\* Nie wstydz się! Nauczymy! Popatrz, Faina Iwanowna trzy razy nosiła i wszystko bez uszczerbku! Korytarz miał dwa zakręty. Szurik domyślił się, że mieszkanie zostało połączone z kilku. Przeszli do drugiego pokoju, gdzie był nakryty, już trochę spustoszony, stół.

Giennadij Nikołajewicz coś ryknął, z trojga drzwi powoli zaczęli wychodzić ludzie \* jakby dotąd czekali pod drzwiami. Przy stole razem z Szurikiem zebrało się dziewięć osób: rosły szczupły staruszek i pochylona staruszka, rodzice Giennadij a Nikołajewicza, rodzona siostra Fainy Iwanowny o dziwnej twarzy \* ograniczona umysłowo, jak się potem wyjaśniło, brat Stowby Anatolij z żoną, rodzice Stowby i sama Stowba.

Jedzenie na stole jak teatralne atrapy \* pomyślał Szurik \* ogromna ryba, udziec jakiegoś dużego zwierza, pierogi wielkości kury każdy, a kiszzone ogórki wyglądały jak kabaczki... Gotowane ziemniaki stały na stole w naczyniu jak wiadro, a kawior w salaterce...

Stowba, najwyższa dziewczyna na roku, tu, w kręgu swojej rodziny wielkoludów wyglądała, nie

patrzając na brzuch, całkiem umiarkowanie.

\* Siadajcie, siadajcie szybciej! \* zarządził Giennadij Nikołajewicz i wszyscy spieszenie odsuwali krzesła. Dalej wszystko potoczyło się dokładnie, jak na zebraniu. Giennadij Nikołajewicz przewodniczył, żona sekretarzowała, przygłupia siostra poszła do kuchni i przyniosła karafkę...

\* Nalewajcie! Tolik, dziadkowi i babce nalej! Lena, co ty, jak nierodzona? Podnieś kieliszek! \* komenderował teść, nalewając tym, co siedzieli obok niego. To znaczy Fainie Iwanownie, Lenie i Szurikowi... W końcu wszyscy mieli nalane i Giennadij Nikołajewicz wznosił swoją specjalną szklaneczkę:

\* Otóż, rodzinie moja kochana! Przyjmujemy nowego członka Aleksandra Aleksandrowicza Korna. Nienajlepiej to wypadło, na weselu nie pohulaliśmy jak należy, ale co tu teraz gadać. Niech dalej wszystko będzie dobrze, po ludzku. Za zdrowie młodych!

Wszyscy wystawili kieliszki, żeby się stuknąć. Szurik wstał, żeby dosięgnąć do babci i dziadka. Oni, chociaż starszankowie, byli chętni do wypitki. Wypili do dna i zakąsili.

Potem było wielkie żarcie. Szurik był głodny, ale jadł jak zwykle, nie spiesząc się, jak babcia nauczyła. Pozostali wszyscy żuli głośno, zawzięcie, nawet, powiedzmy, bojowo. Wszystkim podlewano, wszystkim dokładano. Udziec okazał się niedźwiedzi, ryba miejscowa, wódka ojczysta. A wypił jej Szurik dużo. Biesiada skończyła się niespodzianie szybko. Zjedli, wypili i rozeszli się w trzy pary drzwi.

Lena pokazywała Szurikowi drogę: korytarz znowu dwa razy skręcił. Przyszli do pokoju Leny. Jeszcze niedawno to był dziecięcy pokój. Lena tak szybko wyrosła, że misie i małpki nie zdążyły się schować z widoku i rozejść, jak to bywa u dziewcząt w starszym wieku. I obrazki na ścianach wisały \* kotka z kociętami, chińska herbaciarnia z porcelanowymi filiżankami i kwitnącą śliwką sprzed dwóch lat, dwa cyrkowe klauny. I stało jeszcze przysunięte do ściany łóżeczko dziecięce. Jak gdyby jedno dziecko, już wyrosnięte, ustępowało miejsca innemu, nowemu... Stał jeszcze w pokoju wąski tapczan, a na nim dwie poduszki i dwie kołdry...

\* Łazienka i toaleta w końcu korytarza na prawo. Ręcznik zielony ci powiesiłam \* powiedziała Lena, nie patrząc na Szurika. Poszedł korytarzem, dokąd od dawna już potrzebował.

Kiedy wrócił, Lena już leżała w nocnej różowej koszuli, z górką brzucha przed sobą. Szurik położył się obok. Ona westchnęła.

\* No, czego wzdychasz? Wszystko tak normalnie się układa \* niepewnie powiedział Szurik.

\* Dziękuję ci, oczywiście, że przyjechałeś. Ojciec ci tutaj wszystko pokaże \* zakład rur walcowanych, gospodarstwo myśliwskie, cementownię... może na Suglejkę zawiezie, w bani wyparzy...

\* Po co to wszystko? \* zdziwił się Szurik.

\* Co ty, nie rozumiesz? Żeby ludzie widzieli... \* pociągnęła nosem, położyła ręce na kołdrze na brzuchu, a Szurikowi wydało się, że brzuch się kołysze. Dotknął jej ramienia:

\* Len, no pojedę do zakładu... co tam... Odwróciła się od niego, cicho i gorzko zapłakała.

\* No co ty, Stowba? Czemu płaczesz? No chcesz, to ci wody przyniosę? Nie przejmuj się, co? \* pocieszał ją Szurik, a ona dalej płakała i płakała, a potem przez łzy powiedziała:

\* List mi Enrike przesłał. Dali mu trzy lata za bójkę uliczną, a wsadzili za brata... Píše, że przyjedzie, jeśli będzie żywy. A jeśli nie przyjedzie, będzie znaczyło, że zabili. Że teraz o niczym innym nie myśli, tylko, żeby być wolnym i przyjechać tu...

\* No to i dobrze \* ucieszył się Szurik.

\* Ach, ty nic nie rozumiesz. Tutaj ja sama nie dożyję. Trzeba znać mojego ojca. Jest strasznym despotą. Słowa sprzeciwu nie zniesie. Cały rejon się go boi. Nawet ty. Zobacz, chciał, żebyś przyjechał i przyjechałeś...

\* Len, co ty, zwariowałaś? Przyjechałem dlatego, że ty prosiłaś. Gdzie tu twój ojciec?

\* A on stał obok i pięść na stole trzymał... To i poprosiłam...

Uczucie szczerzej litości po prostu zalało Szurika, jak wtedy, w przedpokoju, kiedy ją pierwszy raz zobaczył w nowej fryzurze i z brzuchem. Nawet go oczy zapiekły. A z litości nad całą tą kobiecą biedą, u niego samego coś w środku twardniało. Dawno już się domyślał, że to właśnie jest główne uczucie mężczyzny do kobiety \* litość.

Pogładził ją po włosach. Już nie były spięte na czubku szeroką czerwoną zapinką, rozsypały się gęsto i miękko... Pocałował ją w czubek głowy:

\* Biedulka...

Ciężko odwróciła się ku niemu dużym ciałem, a on poczuł przez kołdrę jej piersi i brzuch. Wziął jej ręce, przycisnął do piersi. Delikatnie głaskał ją, a ona powoli z zadowoleniem płakała. Jej też było żal tej dużej blondynki, która straciła swojego ukochanego narzeczonego, a teraz oto z dzieckiem, które nie wiadomo, czy ujrzy swego ojca...

\* Szurik, wiesz, list mi przyniósł jego przyjaciel. Powiedział, że chyba nie uda się Enrike, że Fidel mściwy jak diabeł, zawsze z wrogami strasznie postępuje, spod ziemi dostanie... tu Szurik wreszcie pojął, że mowa jest ni mniej ni więcej tylko o Fidelu Castro \* to wszystko zdarzyło się z powodu starszego brata Enrike. On uciekł do Miami na łódce. A jest to przyrodni brat Enrike, z innego ojca i jeszcze przed rewolucją matka urodziła tego chłopaka. Jan ma na imię. A Fidel ojca aresztował za to, że jego pasierb zbiegł. I Enrike w ogóle siedzi za nic, i ma jeszcze tyle siedzieć, a życie przemija i nie wiadomo, czy uda mu się przyjechać... A ja będę na niego czekać całe życie... dlatego, że nikt, ale to nikt więcej na świecie mi niepotrzebny...

Wszystko to przez łzy szeptała Stowba, ale ręce ich były zajęte. Wymowa tych pełnych żalu słów nie przeszkadzała poważniejszej sprawie: głaskali się pocieszająco po twarzy, po szyi, po piersiach, po prostu wariowali z litości: Szurik nad Stowbą, a Stowba sama nad sobą...

Druga kołdra już dawno zsunęła się na podłogę, leżeli pod kołdrą Leny, ciasno przytuleni, i tylko cienka satyna czarnych spodenek była jedyną przeszkodą, a jej palce już ścisnęły przedmiot miłości i litości...

\* ...dlatego, że nikt, ale to nikt na świecie mi niepotrzebny... no dokładnie, dokładnie jak u Enrike... a ja jego może nigdy nie zobaczę, ach, Enrike, proszę...

Szurik leżał teraz na plecach, ledwie oddychając. Wiedział, że długo nie wytrzyma i wstrzymywał się do tej pory, póki w imieniu Enrike, uwięzionego w ciupie na upalnym brzegu Kuby, nie prysnął w czarną satynę pełnym ładunkiem męskiej litości.

\* Oj \* powiedział Szurik.

\* Oj \* powiedziała Stowba.

Wszystko, co działo się dalej, Szurik robił wyłącznie w imieniu Enrike, bardzo ostrożnie, prawie alegorycznie... Tylko\*tylko... leciutko... bardziej w manierze drugiej Fainy Iwanowny niż prostodusznej i uczciwej Matyldy Pawłowny...

A potem, nazajutrz komenderował już Giennadij Nikołajewicz. Przede wszystkim zwrócili bilet. Potem powieźli do fabryki... i dalej według programu, przepowiedzianego przez Lenę \* od cementowni po walcownię...

Jeszcze przez dwie noce strasznie litowali się nad sobą. Lena więcej nie płakała. Czasem nazywała Szurika Enrike. Ale to wcale go nie tremowało, nawet było przyjemne \* on s płacał pewien ogólnomęski dług, nie osobiście i egoistycznie, ale w imieniu i z polecenia...

Wszyscy nazywali Szurika „San Sanycz”. Tak go przedstawił też swojemu rejonowi, wielkości Belgii, Holandii i jeszcze kilku średnich europejskich państw...

Trzeciej nocy Lenę, rozłączywszy z czasowym zastępcą Enrike, zawieziono do porodu. Ona szybko i pomyślnie urodziła złocistą smagłą dziewczuszkę. Jeśliby cały personel medyczny nie był wcześniej poinformowany o oczekiwanych narodzinach Murzyniątka \* pogłoski rozeszły się od samej Fainy Iwanowny, opowiadającej szczególnie bliskim o istniejącej możliwości pokrewieństwa prawie z samym Fidelem Castro, od tej pory całe miasto w złośliwym oczekiwaniu smakowało skandal \* bez podpowiedzi nikt by nie zauważył domieszki obcej rasy.

Giennadij Nikołajewicz nalegał, żeby mąż odebrał żonę ze szpitala i dopiero potem wyjechał do Moskwy. Szurik strasznie się denerwował, codziennie dzwonił do mamy, do pracy... Coś tam gadał i tu, i tam... W końcu stało się tak, jak chciał też: Szurik zabrał Lenę z różowym tobołkiem ze szpitala i tego samego dnia poleciał do domu. Następnego dnia w miejscowej gazecie opublikowano fotografię: córka pierwszego w rejonie człowieka z mężem i córką Marią na progu szpitala...

W ciągu tych dziesięciu dni, kiedy Szurik załatwiał swoje sprawy na Syberii, w Moskwie, mocno wyprzedzając kalendarz, znacznie się ochłodziło. W mieszkaniu było zimno, wiało od okien i Wiera w narzuconym na sweter szalu nieboszczki Jelizawiey Iwanowny z wielką niecierpliwością oczekiwała Szurika: trzeba było koniecznie uszczelnić okna. Szurik wcześniej okien nie uszczelniał, ale wiedział, gdzie w notesie babci znajduje się telefon Fieni, dozorczyńi z Kamiergierskiego Zaułka, która robiła to po mistrzowsku. Od czasu, kiedy się przeprowadzili na „Białoruską”, przychodziła dwa razy w roku \* jesienią uszczelnić, wiosną wyciągnąć upchaną nożem w szczeliny watę i wymyć okna. Szurik, nie rozpakowując ani walizki, ani pudełka z produktami, które przekazał mu już na lotnisku szofer Wołodja \* Faina Iwanowna nie raczyła go odprowadzić \* od razu zadzwonił do Fieni, ale ta leżała w szpitalu z zapaleniem płuc.

Wiera zdenerwowała się: kto teraz uszczelni okna?

Szurik uspokoił matkę, zapewnił, że sam da sobie radę, kazał jej siedzieć w kuchni, żeby się nie przeziębiła, i natychmiast zajął się oknem w jej sypialni. Zdecydował, że na początek poutyka szczeliny, a już jutro dowie się jak ugotować klej i naklei papierowe paski, żeby zatrzymać wtargnięcie przedwczesnego zimna. Poza tym niezupełnie był gotów odpowiadać na pytania matki, co to za ważne sprawy tak długo zatrzymały go na Uralu, a wykonując pożyteczną gospodarczą czynność, jednocześnie unikał łgarstwa, od którego zawsze go mldiło...

Całą watę, jaką znalazł w domu, wsunął w szczeliny i wiać od okna prawie przestało. Kiedy wszedł do kuchni, zobaczył gościa. Wiera częstowała herbatą sąsiada z czwartego piętra, znanego w całym domu społecznika, zbierającego stale pieniądze na potrzeby społeczne i obklejającego całą klatkę bezsensownymi obwieszczeniami o zachowaniu czystości, zakazie palenia papierosów na klatkach schodowych i wyrzucaniu z okien „zbędnych przedmiotów codziennego użytku”. Wszystkie te obwieszczenia były napisane fioletowym atramentem, który dawno już wyszedł z użycia, na grubym pakowym papierze z zachowanymi na brzegach śladami po zetknięciu z nerwowym nożem. Zenia, dawny kolega z roku z Mendelejewki, za każdym razem, kiedy przychodził do Szurika, odklejał je i zebrał już całą kolekcję tych dyrektyw, nieodmiennie zaczynających się od „zabrania się”. I oto teraz Wiera poila herbatą tego starego idiota, a ten, wytrzeszczając niegdyś orle oczy, dźgał palcem powietrze i oburzał się z powodu niepłacenia składek partyjnych. Szurik w milczeniu nalał sobie herbaty, a Wiera popatrzyła na syna cierpięciznym wzrokiem. Niepłacenie składek partyjnych nie odnosiło się w najmniejszym stopniu do niej, sąsiad był, jak się w toku rozmowy wyjaśniło, sekretarzem domowej organizacji partyjnej emerytów. I zaszedł po sąsiedzku pogadać z ledwie ukrywanym zamiarem wciągnięcia Wiery Aleksandrowny do społecznej pracy. Na łysej małej głowie sekretarza partyjnego płasko siedziała przetłuszczona tiubietiejka niegdyś czerwonego koloru, a z nozdrzy i uszu sterczały żywe i świeże zarośla.

Z pojawieniem się Szurika przerwał swoją energiczną przemowę, pomilczał chwilę, a potem zdecydowanie, cały czas tak samo dźgając powietrze palcem, ale już w kierunku Szurika, powiedział:

\* A pan, młody człowieku, zawsze trzaska drzwiami windy...

\* Przepraszam, więcej nie będę \* odpowiedział mu Szurik całkiem poważnie, a Wiera uśmiechnęła się do Szurika ze zrozumieniem.

Staruszek zdecydowanie wstał, lekko zachwiał się i wyciągnął przed siebie papierową rękę:

\* Wszystkiego dobrego. Niech pani pomyśli, Wiero Aleksandrowna, nad moją propozycją. A drzwiami windy proszę nie trzaskać...

\* Dobranoc, Michaile Abramowiczu \* wstała i odprowadziła go do drzwi.

Kiedy drzwi się zamknęły, oboje zachichotali.

\* A z uszu! A z uszu! \* płakała ze śmiechu Wiera.

\* A tiubietiejeczka! \* wtórował jej Szurik.

\* Drzwiami windy... drzwiami windy... \* zanosila się Wiera \* niech pan nie trzaska!

A wyśmiawszy się, wspomnieli Jelizawiey Iwanownę \* oto kto by się z całej duszy śmiał...

Potem Szurik przypomniał sobie o pudełku:

\* Mnie tu gościńców nadawali!

Zdjął kartonową pokrywkę i zaczął wykładać wszelkie rzadkości i spożywcze rarytasy, z wielką starannością zapakowane w syberyjskim przydziałowym sklepie spożywczym dla kuzyna sekretarza partyjnego, prawdziwego, a nie zabawnego, jak ten Michał Abramowicz. Ale o tym Szurik słowem nie wspomniał, powiedział tylko:

\* Premia za pracę...

Z tego żartu nie miał się kto pośmiać.

27.

Waleria Adamowna była wściekła: jej oczy podmalowane na niebiesko, zwęziły się, a nabrzmiąte zwykle wargi w różowej szmince były tak zaciśnięte, że pod nimi ukształtowały się nie bardzo sympatyczne zmarszczki.

\* No i co mam z panem zrobić, Aleksandrze Aleksandrowiczu? \* postukała po stole zgiętym małym palcem.

Szurik stał przed nią w pozie pokory, zwiesiwszy głowę, cały jego wygląd przedstawiał poczucie winy, a w głębi duszy odczuwał całkowitą obojętność co do swojego losu. Był przygotowany na to, że go zwolnią za niestawienie się do pracy, ale wiedział także, że bez pracy nie zostanie, jak również bez zarobku.

Poza tym Walerii zupełnie się nie bał, i chociaż nie lubił sprawiać ludziom nieprzyjemności i nawet odczuwał niezręczność przed kierowniczką, że złamał dane jej słowo, bronić się nie zamierzał.

Dlatego powiedział z pokorą:

\* Według pani uznania, Walerio Adamowna.

Czy ona złagodniała przez tę pokorę, czy też ciekawość wzięła górę, ale pomiarkowała surowość, jeszcze trochę postukała palcami po stole, ale już w jakimś przyjemnym rytmie, i powiedziała swojsko, nie jak kierowniczka:

\* No, dobrze, opowiadaj, co tam u ciebie się działo.

I Szurik uczciwie opowiedział, jak było, nie wspominając, naturalnie, o wilgotnych nocnych objęciach, że odegrał rolę prawowitego małżonka, był wszystkim okazany jak trofeum, a wyjechać o czasie nie mógł, dlatego że według zamiaru teścia, o czym go wcześniej nie uprzedzono, powinien jeszcze odebrać dziecko ze szpitala.

\* I jak dzieciątko? \* Zaciekawiała się Waleria Adamowna.

\* Właściwie się jej nie przyjrzałem. Zerknąłem w szpitalu i od razu na lotnisko. Ale dziewczynka w każdym razie nie czarna, całkiem normalnego koloru.

\* A jakie daliście jej imię? \* chciała wiedzieć Waleria.

\* Maria ma na imię.

\* Maria Korn, znaczy się \* z zadowoleniem wypowiedziała Waleria Adamowna. \* Ładnie brzmi. Nie po plebejsku.

Maria Korn... Po raz pierwszy usłyszał to imię z nazwiskiem i przeraził się: jak to, ta córka Stowby, wnuczka Giennadija Nikołajewicza, będzie nosić nazwisko jego dziadka, jego babci... W papierach ona jest już tak zapisana... I zrobiło mu się trochę dziwnie i niezręcznie przed babcią... nie pomyślał... jakoś nieodpowiedzialnie...

Roztargnienie wyraźnie odbiło się na jego twarzy i nie pozostało niezauważone.

\* Tak, Aleksandrze Aleksandrowiczu, to śluby bywają fikcyjne, a dzieci fikcyjne nie bywają \* uśmiechnęła się szeroko Waleria Adamowna.

Szurikowi w tej samej chwili przyszła do głowy interesująca myśl: ślub jego był według umowy fikcyjny, o tym wiedział i on, i sama Stowba, i Faina Iwanowna. Ale czy nie złamały niewątpliwej fikcyjności tego ślubu te dwie i pół nocy na Stowbinym tapczanie, kiedy to on tak pomyślnie grał rolę zaginionego kochanka...

Waleria Adamowna również w tym momencie doświadczyła instynktownej przenikliwości: właśnie ten młody człowiek, taki duchowo niewinny i miły, a zewnątrz bardzo pociągający, mógł dać jej to, czego nie doświadczyła ani w dwóch strasznych związkach, ani w licznych miłosnych

przygodach, które zdarzyło się jej mieć...

Siedziała w fotelu, w swoim maleńkim gabinecie, naprzeciw niej stał Szurik, chłopaczek na mizernym stanowisku, przystojny młody człowiek, który niczego od niej nie potrzebował, porządny chłopak z dobrej rodziny, ze znajomością języków obcych \* uśmiechnęła się w duchu \* wszystko to było napisane na nim dużymi literami... I uśmiechnęła się swoim głównym uśmiechem, zniewalającym i skutecznym, który dorośli mężczyźni bezbłędnie odczytywali jako dobrą propozycję...

\* Usiądź, Szurik \* powiedziała nieoficjalnym tonem i wskazała krzesło.

Szurik przełożył czasopisma z krzesła na skraj biurka i usiadł, oczekując poleceń. Już wiedział, że z pracy nie zostanie zwolniony.

\* Nigdy więcej tak nie rób \* jakżeby chciała lekko wstać zza biurka, prześlizgnąć się do niego, przylgnąć piersią... Ale tego akurat w żaden sposób zrobić nie mogła \* wstawała z trudem, wspierając się jedną ręką na kuli, drugą o biurko... Całkowicie swobodna czuła się tylko w łóżku, kiedy przekłete kule zupełnie nie były potrzebne, a tam, wiedziała, jej kalectwo znikało i była pełnowartościową, o! więcej niż pełnowartościową kobietą! \* latała, szybowiała, unosiła się...

\* Nigdy więcej tak nie rób... Wiesz, jak się do ciebie odnoszę, i oczywiście, zwalniać cię nie będę, ale, mój drogi, są zasady, które obowiązują... \* mówiła mruczącym głosem, a w ogóle, kiedy siedziała, była bardzo podobna do dużej, bardzo pięknej kotki. Podobieństwo to znikało w chwili, kiedy wstawała i szła swoim nurkującym krokiem. Ton jej głosu wcale nie odpowiadał treści jej mowy, Szurik to czuł i oceniał jako coś niezrozumiałego. \* Idź, pracuj... I on poszedł do działu bardzo zadowolony, że w pracy, nie zważając na nic, pozostawiono go. Waleria rozmarzyła się: miałabym choć z dziesięć lat mniej, nawiązałabym z nim romans, od takiego chłopaka urodzić dzieciątko, i niczego więcej bym nie pragnęła, Ot, głupia stara...

28.

Od tamtej zimy, kiedy to Szurik odprowadzał Lile od starego uniwersytetu na Mochowej do jej domu w Czystym Zaułku \* dziesięciominutowy spacer, trwający do północy, a potem, po niewinnych pocałunkach w głównym wejściu, gdy spóźniwszy się na metro, szedł piechotą do Dworca Białoruskiego \* oboje oddaliło, krótkie w czasie, ale bogate w wydarzenia, życie. Szurik, nigdzie nie przemieszczając się geograficznie, przeszedł granicę, która ostro oddzieliła jego nieodpowiedzialne funkcjonowanie dziecka w rodzinie od życia człowieka dorosłego, odpowiedzialnego za działanie rodzinnego organizmu, uwzględniającego, prócz gospodarskich drobiazgów, nawet matczyne rozrywki \* w rodzaju bywania w teatrze czy na koncertach.

Co zaś tyczy się Lili, to geograficzne przemieszczenia po Europie \* Wiedeń, potem małe miasteczko pod Rzymem, Ostia, gdzie mieszkała ponad trzy miesiące, dopóki ojciec czekał na jakieś mityczne zaproszenie z amerykańskiego uniwersytetu, a w końcu Izrael \* zacierały wspomnienia. Ze wszystkiego, co pozostawiła w domu jeden

Szurik był obecny dziwnym sposobem w jej życiu. Pisała do niego listy, jak się pisze pamiętniki, żeby dla samej siebie oznaczyć mijające wydarzenia i spróbować nadać im sens z marszu, z piórem w rękę. Bez tych listów wszystkie szybko zmieniające się obrazki mogły zlepić się w jeden.

Zresztą, w jakimś momencie przestała je wysyłać...

Od Szurika dostała przez ten czas jeden jedyny list, zadziwiająco nudny, i tylko jedna fraza w tym liście świadczyła o tym, że chłopak istniał nie tylko w jej wyobraźni.

„Dwa wydarzenia całkowicie zmieniły moje życie \* pisał Szurik \* śmierć babci i twój wyjazd. Po otrzymaniu listu od ciebie zrozumiałem, że jakiś semafor, jak na kolei, przesunięto i mój pociąg zmienił kierunek. Gdyby babcia żyła, ja bym pozostał jej wnukiem, ukończyłbym uniwersytet, został aspirantem i przed trzydziestką pracowałbym w katedrze na stanowisku asystenta czy też pracownika naukowego, i tak do końca życia. Gdybyś była tutaj, pobralibyśmy się, a ja bym całe życie żył tak, jak ty uważasz za właściwe. Znasz przecież mój charakter, ja, w istocie, lubię, kiedy mną kierują. Ale nie zdarzyło się ani tak, ani tak, a ja czuję się jak pociąg, który przyczepiono do obcego parowozu, pędzącego z olbrzymią prędkością, ale nie wiem, dokąd. Prawie niczego nie

wybieram, jeśli, to w garmażerii, co kupić na obiad \* befszytk siekany czy antrykot w panierce. Cały czas robię tylko to, co trzeba dzisiaj, a wybierać nie mam z czego...".

Jakież to wspaniałe i wrażliwy człowiek \* pomyślała Lila i odłożyła list.

Ona sama musiała podejmować decyzje samodzielnie i prawie że codziennie: silne poczucie budowania życia wymuszało to. Rodzice rozeszli się wkrótce po przybyciu do Izraela. Ojciec mieszkał na razie w Rechowocie, szczęśliwie zajmował się swoją nauką i znowu wybierał się do Ameryki \* jego nowa żona była Amerykanką, a on sam był teraz zajęty organizacją swojej kariery na Zachodzie. Zabawne, jak

w ciągu półtora \* dwóch lat zmienił się z inteligenckiego niezdary w energicznego pragmatyka.

Matka, zupełnie wytracona z normalnego trybu życia nieprzewidzianym rozwodem \* przez całe ich życie ona, jak to mówią, prowadziła go za rękę i była pewna, że on bez niej śniadania nie zje, spodni nie zapnie, do pracy zapomni wyjść \* była w stanie depresyjnego załamania, czym wkurzała Lile. Lila walczyła z matką, jak mogła i w końcu, ukończywszy ulpan w Tel Awiwie, wstąpiła do Technionu. To był też mocny krok: zrezygnowała z wcześniejszego zamiaru studiowania filologii, uczyła się programowania, licząc, że w tym zawodzie prędzej zdobędzie niezależność. Spadła na nią cała lawina matematyki, do której nigdy nie miała żadnego pociągu, więc musiała wziąć się za naukę, dyscyplinującą mózg, zajęcie, jak się okazało, dość trudne.

Mieszkała w akademiku, dzieliła pokój z dziewczyną z Węgier, w sąsiednim pokoju mieszkały Rumunka i Marokanka. Wszystkie, rzecz jasna, były Żydówkami, a jedynym ich wspólnym językiem był jidysz, bo tylko nim władały. Wszystkie silnie przeżywały swoją odrodzoną narodowość i zaciekle uczyły się: dla siebie, dla rodziców, dla kraju.

Przyjaciół Lili, Arje \* on właśnie zwabił ją do Technionu \* też tu się uczył, trzy lata wyżej. Był dorosły, odbył służbę wojskową jako młody człowiek, zakochany był w Lili po uszy, od pierwszego wejrzenia. Dużo jej pomagał w nauce, był niezawodnym, nieznającym wątpliwości sabrą, to znaczy Żydem nieznaną Lili rasy. Krzepki, niewysoki chłopak o mocnych nogach i dużych dłoniach, ciężko myślący uparciuch, był i romantykiem, i syjonistą, potomkiem pierwszych przesiedleńców z Rosji z początków dwudziestego wieku.

Lila kręciła nim jak chciała, doskonale uświadamiając sobie siłę i ograniczoność swojej władzy. Od przyszłego roku mieli zamiar wynająć wspólne mieszkanie, co dla Arje znaczyło \* ożenić się. Lila trochę się bała tej perspektywy.

Bardzo się jej podobał i wszystko, do czego nie doszło kiedyś z Szurikiem, wspaniale udawało się z Arje. Tylko że Szurik był rodakiem, a Arje nie był. Ale kto powiedział, że na męża trzeba koniecznie wybierać rodaków... Weźmy, na przykład, rodziców Lili \* ludzi o bardziej pokrewnych duszach nie ma, a rozstali się...

Lila nie budowała dalekich planów: bliskich była masa. Ale listy do Szurika mimo wszystko pisała \* z rosyjskiej, słabnącej z biegiem lat, potrzeby duchowej więzi, przejmującej do głębi.

29.

Znów zbliżał się Nowy Rok i znów Szurik i Wiera odczuli sieroctwo: nieobecność babci pozbawiała ich Bożego Narodzenia, dziecięcego święta z choinką, francuskimi kolędami i piernikowymi wróżbami. Jasne było, że strata jest niezastąpiona i bożonarodzeniowa nieobecność Jelizawiey Iwanowny stała się odtąd samą treścią zimowych świąt. Wiera miała chandrę. Szurik, wybrawszy wieczorem moment, siadał obok matki. Czasem otwierała pianino, ospale i smutnie przegrywała coś z Schuberta, który brzmiał w jej wykonaniu coraz gorzej i gorzej...

Zresztą Szurik miał zbyt wiele zajęć i obowiązków, żeby oddawać się nudzie. Znowu zbliżała się sesja. Ale niepokoił Szurika tylko jeden egzamin z historii Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. To był zawity i nie do opanowania przedmiot, zięjący piekielną nudą. Obawiał się dodatkowej okoliczności. Szurik w ciągu całego semestru wysiedział tylko na czterech wykładach, a dla wykładowcy właśnie gorliwa frekwencja miała ogromne znaczenie i przed wysłuchaniem egzaminacyjnych odpowiedzi, długo studiował dziennik obecności. Szurik może by i chodził na te efekciarskie wykłady, ale według rozkładu

wypadały one w poniedziałek po południu, a on zwykle uciekał po pierwszych zajęciach z literatury angielskiej, które prowadziła ulubiona przyjaciółka Jelizawiey Iwanowny, Anna Matodowna, staruszka o antybryryjskiej powierzchowności, mieszanina Koroboczki i Pulcherii Iwanowny, anglofilka i anglomanka, znana Szurikowi prawie od urodzenia, prawie tak samo, jak jej niezjadliwe keksy i puddingi, które przygotowywała według starej angielskiej książki kucharskiej *Cooking by gas*, którą zapamiętał z dzieciństwa.

Uciekał do Matyldy. Prawdopodobnie wyrobił się u niego taki odruch warunkowy na ten dzień tygodnia: rzadko który poniedziałek mijał bez odwiedzin Masłowki. Wpadał do Jelisiejewskiego, chyba jedyne sklepu otwartego do późna, kupował dwa kilogramy drobnych dorszy dla kotów. Właśnie te dorsze były pretekstem jako istotnie niezbędny Matyldzie produkt, wszystko pozostałe było czymś w rodzaju przybrania do głównego dania...

Potem spieszył się do domu. Pamiętał o strasznym przypadku, kiedy przyjechało do mamy pogotowie, a on rozkosznie zabawiał się pod kołdrą Matyldy, więc teraz od Matyldy wyskakiwał równo o pierwszej, jakby wsiadał do ostatniego pociągu metra i kwadrans po pierwszej, przeleciawszy przez mostek kolejowy, cicho otwierał drzwi, żeby nie obudzić mamy, jeśli śpi. Matylda, trzeba jej oddać sprawiedliwość, nie zatrzymywała go, szanując rodzinną etykę.

30.

Przygotowywanego na niego ataku Szurik ani się domyślał. Także i Waleria Adamowna, patrząc jasnym i gorącym spojrzeniem na chłopaka, nie mogła przyjąć właściwej strategii, a czym dłużej zwlekała, tym bardziej się rozpałała. Raz dopuściwszy myśl, że zrobi z miłego różowego cielaczka swojego kochanka i urodzi, jeśli Pan Bóg będzie miłościw, dzieciątko, nie mogła jej porzucić \* namiętna i nieobliczalna natura tak dalece uwiodła ją w stare tajniki uczuć, że ona, zasypiając i budząc się, już majaczyła o miłości i obmyślała, jak urządzi wszystko w najwspanialszy sposób.

I jeszcze Waleria modliła się. Tak już składało się w jej życiu, że religijne uczucie zawsze stawało się ostrzejsze w związku z miłosnymi przeżyciami. Potrafiła wciągać Pana Boga \* jego katolicką wersję \* we wszystkie swoje romanse. Każdego nowego kochanka traktowała z początku jako zesłany jej z góry dar, dziękowała Bogu za niespodziewaną radość i przedstawiała Go sobie, Boga, jako trzeciego uczestnika miłości, nie świadka i obserwatora, a właśnie przychylnego uczestnika trwającej radości. Radość dosyć szybko obracała się w cierpienie, wtedy zmieniała kierunek i stwierdzała, że zesłany był jej nie dar, a pokuszenie... Końcowe stadium romansu zwykle przywodziło ją do duchownego, starego księdza, mieszkającego pod Wilnem, przed którym ona \* po polsku! \* otwierała swoje zbolące serce, płakała, kajała się, otrzymywała współczujące pouczenie i łaskawe pocieszenie, po czym wracała do Moskwy \* do następnej przygody. O ile burzliwe romanse przebiegały w jakimś raz na zawsze ustalonym porządku \* mężczyźni szybko wystraszała swoją niezmierną szczodrością, wymagającą wzajemności, i dosyć szybko oni od niej uciekali \* to z latami stawała się bardziej opanowana w przejawianiu namiętności, ale też i romanse nie zdarzały się tak często...

Jakiś gorzki humor, ironiczny stosunek do samej siebie wyrobiły się u Walerii w czwartym dziesięcioleciu i jej, tak potrzebującej potwierdzenia niebiańskiej protekcji, przyszło w końcu do głowy, że Bóg zesłał na nią chorobę właśnie dla poskromienia jej bujnych obyczajów.

Zachorowała na chorobę Heinego\*Medina w wieku pięciu lat, wkrótce po śmierci matki. Choroba przebiegała początkowo na tyle lekko, że prawie nie zwrócono na nią uwagi. Rodzina \* ojciec do tego czasu ożenił się z Beatą, wdową po swoim przyjacielu, była aktorką, była piękną i była baronową \* akurat przeprowadzała się do Moskwy, gdzie ojciec otrzymał znaczące stanowisko we wszechzwiązkowym ministerstwie. Był specjalistą od obróbki drewna, pochodził z rodziny bogatego polsko\*litewskiego handlarza drewnem i wykształcenie zdobył w Szwecji. Jeszcze za czasów burżuazyjnej Litwy zdążył zostać profesorem w instytucie gospodarki leśnej, znał się nie tylko na technologii obróbki drewna, ale i na zarządzaniu lasami.

Kłopoty z przeprowadzką, skrupulatne urządzenie nowego życia w nowym mieście spowodowały,



że przeoczyli Walerię. Stan nogi nieodwracalnie się pogarszał. Walerię operowano, potem wysłano do dziecięcego sanatorium, długo trzymano w gipsie. Utykała coraz silniej, a w wieku dziesięciu lat sama już zdawała sobie sprawę, że nigdy nie będzie biegać, skakać, a nawet chodzić jak wszyscy normalni ludzie.

Bardzo silne emocje targały nią od dzieciństwa. Była tak wyraziście piękna, tak wrażliwa i tak nieszczęśliwa.

Mężczyźni zwracali na nią uwagę: najbardziej ze wszystkiego na świecie bała się chwili, kiedy będzie musiała wstać z za stołu, a mężczyzna, który tylko co przejawiał mocne zainteresowanie nią, z żalem odejdzie. Czasem tak się rzeczywiście zdarzało. Jeszcze w młodości, kiedy obchodziła się bez laski, sprawiła sobie pierwszą laskę \* czarną, z bursztynową rączką, bardzo rzucającą się w oczy, i wysuwała ją przed siebie jako uprzedzający znak. Nie ukrywać swojej wady, a celowo ją eksponować i uprzedzać o niej \* tego się nauczyła.

Nieszczęsne plemię sowieckich ludzi, całe okaleczone pokolenie bezręcznych, beznogich, poparzonych i zniekształconych fizycznie, ale żyjących w otoczeniu robotników z gipsu i brązu z mocnymi rękami i chłopek o mocnych nogach, pogardzało wszelką niemocą. I Waleria dotkliwie odczuwała nieprzyzwoitość swojego kalectwa. Razem z inwalidztwem nienawidziła i samych inwalidów.

Spędziwszy prawie trzy lata, z przerwami, w szpitalach i sanatoriach, wcześniej zbudowała teorię o cielesnym inwalidztwie, które stopniowo kaleczy duszę. Obserwowała nieszczęsnych, cierpiących, zgorzkniałych ludzi, zazdroszczących, wymagających od otoczenia, i tej formy duchowego skażenia nie znosiła. Ona pragnęła być pełnowartościowa.

Skończywszy szkołę, wyjechała do dalekiego syberyjskiego miasta, gdzie pojawił się chirurg, rozciągający kości za pomocą wymyślnej, wynalezionej przez niego samej maszyny. Spędziła tam straszny rok, przetrzymała całą serię operacji, po których nakładano jej ten właśnie aparat do rozciągania tkanki kostnej. Beata przyjeżdżała, siedziała przy niej przez najcięższe pooperacyjne dni, potem wyjeżdżała i przyjeżdżała ponownie. Beata uważała, że Waleria na próżno decyduje się na takie cierpienia. I miała rację. Podobno komuś ten aparat pomógł, ale Waleria wyszła po roku męczarni w jeszcze gorszym stanie. Staw biodrowy nie wytrzymał rozciągania, metalowy sworzeń uszkodził go i jej noga, wcześniej krótsza o siedem centymetrów, ale żywa, po kuracji stanowiła tylko smutną dekorację. Chodziła teraz nie ze strojną trzcinką, a z grubym kosturem.

Wkrótce po jej powrocie zmarł ojciec, zostały teraz we dwie z Beatą, która skończyła swoją karierę artystyczną jeszcze przed wojną i od tej pory nigdy nie pracowała. Ich sytuacja mocno się zmieniła. Beata chciała wracać na Litwę, ale Waleria ją powstrzymała. Nieoczekiwanie dla Beaty Waleria wzięła życie w swoje ręce, jakby powzięła nowe postanowienie.

Więcej nie czyniła prób poprawy sytuacji za pomocą medycyny. Załatwiła formalnie drugą grupę inwalidztwa, otrzymała pierwszy swój samochód z ręcznym kierowaniem i, rozjeżdżając się tą śmieszną, głośno pyrkającą zabawką, skończyła instytut, a potem aspiranturę. Beata ją finansowała \* coś tam sprzedawała, coś tam kupowała. Kogoś tam konsultowała. Miała nieprzeciętny gust i wyczucie praktycznego człowieka. W tamtych latach nazywało się to spekulacją. Waleria wspierała ją swoją młodą energią, nieskończoną dobrocią i wdzięcznością. Z upływem lat Waleria przywykła do swego nieszczęścia, nauczyła się je ignorować i najbardziej cieszyła się, kiedy mogła komuś pomóc. Dla niej znaczyło to tyle, że jest pełnowartościowym człowiekiem. Tak też i było. W domu, jeszcze niepodzielonym między kolejnych mężów, zawsze gromadziła się młodzież, a Beata tylko się dziwiła, jak to biedna Waleria potrafiła stworzyć wokół siebie taką gwarną wesołość. Przyjaciele całkowicie zapominali o fizycznej wadzie Walerii. Obcy, ale dobrze wychowani ludzie, udawali, że wszystko jest w porządku, prostsi ludzie żalowali jej, a właśnie połączenie urody z fizyczną ułomnością czyniło tę ułomność jeszcze bardziej widoczną. Miała ciężkie chwile, godziny, dni. Ale umiała walczyć z tym, co nazywała kiepskim nastrojem. Będąc jeszcze dziewczynką, leżąc miesiącami na plecach, nieruchomo, z nieprzerwanym męczącym swędzeniem pod gipsowym pancernem, nauczyła się modlić. I modlitwa stopniowo stała się ciągłym i niezmiennym tłem \* cokolwiek robiła, nie zapomniała o stałej, całkowicie jednostronnej rozmowie, którą prowadziła z Bogiem o rzeczach, które żadną miarą nie mogły Go

zainteresować. Dlatego zawsze dodawała: „Wybacz, że zwracam się do Ciebie z głupstwami. Ale do kogo mam się zwracać, jak nie do Ciebie?”.

Jakoś pomagało.

Na drugim roku studiów wyszła za męża za kolegę z roku, młodego człowieka z prowincji. On studiował na artystyczno\*graficznym wydziale, był skończonym karierowiczem. Zamieszkawszy w bogatym domu Walerii, rozłokował się

z całkowitą bezceremonialnością, zmusił Beatę do zamieszkania na daczce w Kratowie. Po czterech najszcześniejszych dla Walerii latach i skończeniu uczelni, rozwiódł się z Walerią i wyprocesował третią część mieszkania. Macocha wychodziła z siebie, sprzedała daczę w Kratowie i spłaciła byłego zięcia domkiem w Zagorsku, dokąd się przeprowadził z wyprocesowanej części moskiewskiego mieszkania. Wymeldował się \* było to bardzo drogie zwycięstwo Beaty.

Życie w Zagorsku wyszło mu na korzyść, z czasem osiągnął duży szacunek i sławę, malując prawosławne starożytności Sergijewskiego Posadu i Radoneża. Waleria z próżnością śledziła jego karierę i nie omijała okazji, aby wspomnieć o pierwszym mężu.

Drugiego męża, również prowincjusza bez moskiewskiego meldunku, Waleria podłapała na seminarium dla pracowników bibliotek w kilka lat po pierwszym małżeńskim niepowodzeniu.

Pochodził z Iżewska, mocny chłop, który do pracy w bibliotece zdezerterował z fabryki szyn, gdzie o mały włos byłby oddany pod sąd za cudze, jak mówił, złodziejstwo. Ten drugi mąż, Mikołaj nie wykazał się uczciwością: ożenił się z Walerią, zameldował się, nie zwracając uwagi na prawdziwy rodzinny skandal, który z tego powodu się rozpełtał. Beata, oschła i przewidująca, walczyła jak lwica, dbając

o interesy idiotki pasierbicy, i pozwolenia na meldunek tym razem nie dawała. Przy całkowitej niezgodności charakterów kochały się \* ukrywająca się przed przeszłością baronowa i kulawa piękność, gotowa oddać wszystko za miłość.

\* Umrzesz na śmietniku \* przepowiadała macocha Walerii. Waleria całowała ją w czerstwy policzek i śmiała się...

Rozdzieliły mienie osobiste. Waleria stała się posiadaczką dwóch z trzech pokoi i ponownie została zamężną damą.

Drugie małżeństwo kosztowało Walerię jeszcze jeden pokój. Najbardziej podła była w tej historii ta okoliczność, że równo po roku iżewski Mikołaj przywiózł swoją poprzednią

żonę z dzieckiem, podobno w celu leczenia dziecka w Fiłatowskim szpitalu, umieścił rodzinę w mieszkaniu, przez pewien czas chodził z pokoju do pokoju ku wielkiej konsternacji prawowitej, do samego wstydliwego finału niczego nieświadomej Walerii, i na koniec oświadczył, że jednak poprzednia, stara miłość wróciła, poza tym jest przecież dziecko, którego Waleria, mimo starań, nie potrafiła mu dać, i rozwiódł się z Walerią, żeby ponownie ożenić się ze swoją „pierwszeńką”.

Mądra macocha Beata, która już przed jej drugim rozwodem odpoczywała od nienawistnego moskiewskiego życia na wileńskim cmentarzu, w pobliżu swojego pierwszego męża, już w niczym pomóc nie mogła. A i jej były pokój też był do tego czasu zasiedlony przez obcych mieszkańców \* majątek one rozdzieliły jeszcze przed drugim zamążpójściem Walerii.

Mieszkanie tym sposobem stało się komunalne. Po macosze Waleria odziedziczyła niepokazaną drewnianą szkatułkę z brylantami.

Tak więc, do momentu znajomości z Szurikiem Waleria była posiadaczką nie tylko szkatułki, ale także wielkiego pokoju w komunalce, szczelnie zastawionego francuskimi antykami, zebranymi przez Beatę częściowo z nudy, częściowo ze względów praktycznych: w żadnych czasach, prócz rewolucyjnych i wojennych, nie warte były te drogocenneści tak znikomych pieniędzy. Kredens był wypełniony porcelaną, którą Beata całe życie to kupowała, to sprzedawała, do samego końca nie zdążywszy zdecydować, co lepiej kupować: porcelaną rosyjską czy niemiecką... Rosyjską z jakichś względów ceniono wyżej, ale gust Beaty skłaniał się bardziej ku niemieckiej. Waleria wołała rosyjską.

Tak więc siedziała przy owalnym składanym stoliku z dwoma cierpiącymi na otyłość kupidynami w ramce z owocowo\*warzywnej mieszanki, opierając się podbródkiem na zmęczonych od kul rękach. Przed nią stała duża filizanka do herbaty z prawie startą pozłotą i tanie ciasteczka w miseczce, i

świeca w świeczniku, i zniszczona książeczka, odpowiednia do rozmowy. W mieszkaniu było gorąco i wilgotno \* w łazience i w kuchni stale suszyła się bielizna sąsiadów. Grzali mocno. Nawet pod włosami skóra była mokra. Niebieski tusz, kupiony u spekulantki, trochę się rozmazał pod oczami od wilgotnej ważności chwili.

\* No, dobrze \* zwracała się do swojego głównego Rozmówcy \* przyznaję Ci się, chcę. Jak kotka. W Czym jestem gorsza? Ona wychodzi, powrzeszczy, powrzeszczy i do niej przychodzi samiec nieżonaty, one wszystkie nieżonate, i żadnego grzechu nie ma... No, czym jestem gorsza od kotki? Przecież Ty sam tak wszystko urządziłeś, sam mi dałeś to ciało, w dodatku kalekie, i co mam z nim robić? Ty co, chcesz, żebym świętą była? To byś zrobił mnie świętą! Przecież bym dziecko urodziła, dziewczynkę maleńką albo niech nawet chłopczyka. Jeśli Ty mi pozwolisz to zrobić, wtedy nie będę. Obiecuję \* nie będę więcej. No, powiedz, czemu tak wszystko urządziłeś? Już dawała obietnice, że więcej nie będzie. I płakała, i obiecywała księdzu. Ostatni raz to było w zeszłym roku, po nieudanym romansie ze starym profesorem, stałym bywalcem biblioteki. Ale tam szczególnie smutno wszystko się zakończyło. Gdzieś ich widziano, przekazano żonie i profesor ze strachu miał zawał, a ona tylko raz go potem widziała \* taka ruina, inwalida... Teraz jednak było co innego i nic złego tutaj zdarzyć się nie może.

\* Przecież nie chcę nic złego. Tylko dzieciaczka. I tylko jeden raz \* próbowała się dogadać, ale żadnej aprobującej odpowiedzi nie słyszała, jednak dalej nalegała i marudziła, póki nie zawstydziła się. Wtedy dopiła zimną herbatę i postanowiła poza planem umyć głowę. Dotknęła włosów \* tak, dobrze by było! I poszła do wspólnej łazienki, gdzie były porozwieszane do przeschnięcia pieluszki i wszelkie dziecięce drobiazgi \* jej były mąż ze swoją koszmarną babą urodzili jeszcze jedno i w gabinecie ojca mieszkała teraz rodzina, oczekująca jeszcze trzeciego, dla pewności, żeby otrzymać oddzielne mieszkanie. W wannie stała miednica, Waleria ją odsunęła i postawiła taboret. Już od dawna korzystała tylko z prysznica, brzydząc się wspólną wanną.

Najutro wszystko było umówione: Szurik szedł z matką do konserwatorium, potem odwoził ją taksówką do domu, a do niej obiecał przyjść koło dziesiątej. Od ulicy Hercena do Kaczałowa \* prawie nic. Po co? Pomóc zdjąć książki z górnej półki, powiązać w stosiki i zanieść do samochodu. Już dawno Waleria Adamowna zamierzała przekazać do działu obcojęzycznego książki w języku szwedzkim, należące do ojca.

31.

Wszystko składało się bardzo pomyślnie. Koncert był wspaniały. Grał Dmitrij Baszkirów. To był ten sam program, który niegdyś wykonywał Lewandowski i Wiera wpadła w bardzo przyjemny nastrój: muzyka połączyła w jedno wspomnienia o zmarłym ukochanym i siedzącego obok syna, któremu przed rozpoczęciem koncertu zdażyła szepnąć, że jego ojciec wykonywał wszystkie te utwory wspaniale, po prostu niezrównanie. Baszkirów też całkiem nieźle sobie poradził. Nie gorzej od Lewandowskiego. Publiczność w sali tego dnia była doborowa \* wszyscy wielbicieli i znawcy, ale i wielu muzyków przyszło na koncert.

\* Gdyby żył twój ojciec, dzisiejszy koncert byłby dla niego świętem \* powiedziała Wiera w szatni, a Szurik trochę się zdziwił: matka nader rzadko wspominała jego ojca.

„Chyba \* pomyślał Szurik \* zaczęła o nim częściej mówić po śmierci babci”. Jego intuicja wyostrzała się, kiedy sprawa dotyczyła matki.

Taksówki długo nie udawało się złapać: publiczność była znana i nikt, zdaje się, nie chciał jechać trolejbusem. Przeszli Twerskim bulwarem. Przy teatrze Puszkina Wiera westchnęła, a Szurik doskonale wiedział, co powie.

\* Przeklęte miejsce \* powiedziała uroczyście Wiera, a Szurikowi było przyjemnie, że on wszystko wcześniej wie. Ale o Alisie Koonien tym razem nie wspomniała. Prowadził ją pod rękę, a był tego samego wzrostu, co Lewandowski, z którym dużo wtedy chodzili, i prowadził ją z tym samym pełnym szacunku zdecydowaniem, co i jego ojciec.

„Co za szczęście” \* pomyślała Wiera.

Wyszli na ulicę Gorkiego. Na rogu, obok apteki, Szurik zatrzymał taksówkę. Wiera Aleksandrowna

była chyba nawet zadowolona, że jedzie do domu sama \* chciała być sam na sam ze swoimi myślami.

\* Czy nie za późno na wizytę? \* spytała syna już z auta.

\* Wierusia, oczywiście, że późno, jest już jedenasta. Waleria Adamowna powiedziała, że ma tam z osiemdziesiąt tomów, trzeba je zdjąć, powiązać w paczki, załadować do samochodu...

Wiera machnęła ręką. Wiedziała, co zrobi, kiedy przyjdzie do domu. Wyjmie listy Lewandowskiego i ponownie przeczyta...

Waleria przywitała Szurika w niebieskim kimonie w białe bociany, szeroko lecące po jej pulchnym ciele z zachodu na wschód. Dawny prezent Beaty. Wymyte włosy \* leśny orzech, rzadki słowiański kolor \* opadały na ramiona, lekko podkręcając się w górę.

\* No, gołąbku, no dziękuję! \* cieszyła się Waleria, dopóki on dreptał w przedpokoju. \* Nie, nie, tu niech się pan nie rozbiera! W pokoju! W pokoju!

Stukając kulą, pokuśtykała. Poszedł za nią. Zdjął w pokoju kurtkę, rozejrzał się. Pokój był podzielony meblami na przedziały, dokładnie tak samo, jak kiedyś u nich w Kamiernickim. Szafy z książkami. Brązowy żyrandol z niebieską szklaną wstawką...

\* Podobnie do naszego starego mieszkania w Kamiernickim \* powiedział Szurik. \* Tam się urodziłem.

\* Ja się urodziłam w Wilnie, w Wilniusie, jak teraz mówią. Ale do szkoły poszłam już w Moskwie, do rosyjskiej. Do siedmiu lat po rosyjsku nie mówiłam. Moim rodzimym językiem jest polski. I litewski. Rzecz w tym, że moja macocha po rosyjsku mówiła bardzo słabo, chociaż ostatnie dwadzieścia lat przeżyła tutaj. Z tatą po polsku rozmawialiśmy, a z Beatą po litewsku. Tak więc rosyjski to mój trzeci język.

\* Więc to tak? \* zdziwił się Szurik. A ze mną babcia też bardzo wcześniej zaczęła po francusku rozmawiać... A potem niemieckiego mnie uczyła...

\* No, wszystko jasne... Czyli pan, tak jak i ja, przeżytek kapitalizmu...

\* Jak? \* zdziwił się Szurik. Waleria roześmiała się:

\* Wcześniej tak mówili o wszystkich byłych... Herbata, kawa?

Owalny stolik na jednej nodze, jak babciny, nakryty był wcześniej. Szurik usiadł i zauważył, że jego buty zostawiają mokre ślady.

\* Oj, przepraszam... Mogę zdjąć buty? \* Jak panu wygodniej... Oczywiście.

Znowu podszedł do drzwi, rozsznurował buty, ściągnął z nóg. Wyjął z kieszeni kurtki chusteczkę do nosa, wysmarkał się, przeciągnął ręką po włosach...

Nazywała go raz na „ty”, raz na „pan”, czasem w pracy, akcentując, Aleksandrem

Aleksandrowiczem, ale też po prostu Szurikiem. A teraz była w rozterce, zwłaszcza po tym, kiedy zdjął buty. Nie, dystans trzeba było skracać.

\* Jak się układają twoje sprawy na Syberii? Co słychać u córki? \* Waleria zrobiła krok w przestrzeń intymną.

\* A ja nie wiem \* prostodusznie odezwał się Szurik. \* Ona więcej do mnie nie dzwoniła.

\* A sam? \* uśmiechnęła się Waleria.

\* Nie umawialiśmy się. Przecież tylko pomogłem jej... no, wybrnąć z trudnej sytuacji. Nic więcej... Podejście okazało się nietrafione.

„Albo ja zgłupiałam, albo przestałam pociągać jako kobieta” \* pomyślała o sobie Waleria. Prawdę mówiąc, pragnęła męskiego zainteresowania ze strony młodego człowieka, on był przecież uprzejmy, życzliwy i całkowicie indyferentny.

\* O! \* potrząsnęła włosami Waleria. \* Mam wspaniały koniak. Proszę, niech pan otworzy drzwiczki tej małej szafeczki... Nie, nie, drugiej, z malowidłem. To w stylu Fragonarda, prawda? Macocha uwielbiała... Tak, to, to, i dwie koniakówki. Jak to miło, kiedy ktoś obsługuje... Zawsze staram się tak urządzić, żeby jak najmniej do kuchni chodzić \* wskazała na imbryk, stojący na maszynie spirytusowej. \* A teraz niech pan naleje, Szurik. Pan lubi, widzę, kiedy się panem kieruje?

\* Chyba tak. Też myślałem o tym.

Szurik nalał koniaku prawie do brzegu kieliszka.

\* Nalał pan dobrze, ale nieprawidłowo \* zaśmiała się Waleria. \* Trochę pokieruję. Wie pan, mogę pana nie tylko bibliotecznych spraw nauczyć. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które ja, z pewnością, lepiej od pana znam. \* Zrobiła pauzę. To ostatnie zdanie udało się jej. \* Na przykład, odnośnie koniaku. Nalewa się jedną trzecią kieliszka... To według światowego zwyczaju. A w naszym przypadku akurat prawidłowo po pełnym.

Waleria podniosła kieliszek, wyciągnęła go w stronę Szurika, ostrożnie dotknęła jego kieliszka. Ledwie musnęła. Pociągnęła maleńki łyceczek, Szurik przelknął od razu.

\* Mam znajomego Gruzina, robi wino. On uczył mnie, jak pić wino i jak pić koniak. Twierdził, że picie \* to zajęcie zmysłowe. Wymaga wyostrzonych zmysłów. Najpierw długo grzeje kieliszek z koniakiem. Właśnie tak.

Objęła okrągłe, jak żarówka, dno kieliszka obiema dłońmi, pogładziła je, małymi kolistymi ruchami zakręciła po wewnętrznych ściankach kieliszka. Powoli podniosła kieliszek do ust, dotknęła szkła wargami.

\* To trzeba robić bardzo delikatnie, z miłością...

Ona już nie kieliszek trzymała w ręku, ona już próbowała zbliżenie do niego. Kanapa, na której siedziała, była „duchesse”, dwuosobowa.

„Usiądź, usiądź tutaj \* przykazała mu w myślach Waleria. \* Proszę...”.

Nie przesiadł się. Ale właśnie w tej chwili zrozumiał, czego od niego oczekiwano. I jeszcze zrozumiał, że ona jest podniecona i prosi go o pomoc. Była taka piękna, i kobieca, i mądra. A chce od niego tak niewiele... Dla Boga!

O czym tu mówić? „Boże, jak żal wszystkich kobiet \* przemknęło Szurikowi. \* Wszystkich...”.

Pociągnęła jeszcze jeden maleńki łyceczek i zsunęła się na sam brzeżek kanapy. Szurik usiadł obok.

Postawiła kieliszek i położyła gorącą rękę na jego dłoni. Dalej było wszystko proste. I tak jak zwykle. Jedyne, co Szurika zdziwiło, to temperatura. Była wysoka. Tam, wewnątrz tej kobiety był żar. Wilgotny żar. Miała duże piękne piersi z twardymi sutkami

i pachniała cudownie, i wejście takie gładkie i prawidłowe: małe napięcie \* i jak z góry... Tylko nie w dół, a w górę... Ostro, tak że dech trochę zaparło. Wszystko było tak wspaniałe. Ona jakby dostała drgawek, a on ją trochę przytrzymał. To, czym Waleria kończyła, tym zaczynała, a wznosiła się po stopniach coraz wyżej i wyżej, i Szurik domyślał się z wyrazu jej twarzy, że odlatuje od niego coraz dalej, a on za nią nie nadaża. Domyślił się także, że jego proste i niewymyślne ruchy wywołują wewnątrz skomplikowanie zbudowanej przestrzeni różnorakie reakcje, coś pulsowało, otwierało się i zamykało, wyciekało i ponownie wysychało. Ona zamierała, przyciskała go do siebie i znowu puszczała, a on poddawał się jej rytmowi coraz dokładniej i stracił rachubę, licząc jej wzloty.

Czuł, że musi wstrzymać się dłużej, a momenty utraty przytomności przez nią, dawały mu tę możliwość.

O pierwszej w nocy Szurik zadzwonił do mamy i powiedział, że zejdzie mu dłużej: pracy okazało się bardzo dużo. Istotnie, zakończyli pracę dopiero o trzeciej.

Leżeli w mokrej do cna pościeli. Ona wyglądała na szczuplejszą i bardzo młodą. Szurik chciał wstać, ale go przytrzymała:

\* Nie można tak od razu.

Położył się z powrotem. Pocałował ją w ucho. Roześmiała się:

\* Ogłuszyłeś mnie. To trzeba tak.

I wsunęła mu duży język w ucho, łaskotliwie i mokro.

\* Coś takiego nie zdarzyło mi się nigdy w życiu \* wyszeptała, kiedy już wyszła z jego ucha...

\* Mnie też \* z łatwością zgodził się Szurik. Miał dziewiętnaście lat, i faktycznie, było wiele rzeczy, które mu się nigdy nie przydarzyły.

I uczucia, które wówczas w niej wzbudziły.

„Można by powieść napisać” \* pomyślała Wiera. Złożyła listy na kupki, obwiązała wstążeczką i odniosła na miejsce. Po wielu latach młodość wydawała się jej świetlana i ważna. Obok pudełka, w którym przechowywała listy, Wiera znalazła jeszcze jedno, matczyne. Mama miała po prostu taką słabość do wszelkich szkatulek, paczuszek, pudełeczek. Przechowywała i blaszane sprzed rewolucji, od herbaty, lizaków, i szwajcarskie, i francuskie...

„A co tu jest?” \* pomyślała Wiera, otwierając okrągłe kartonowe pudło na kapelusze, żeby położyć na miejsce swoje pamiątkowe pudełko.

Otworzyła. Zdziwiła się. Uśmiechnęła. To były ściereczki do kurzu, uszyte przez Jelizawietę Iwanownę na zapas z nieużywanych dziurawych fildekosowych pończoch. Wiera wspomniała, jak mama cięła na kawałki stare pończochy, składała na cztery i zszywała krzyżykami \* ptaszkami. Dokładnie tak samo robiła wycieraczki do piór, tylko ze starego sukna. Jak wiele wyszło z użycia... saszetki... poduszeczki... szczypcy do zawijania włosów... uchwyty do serwetek... nawet i same serwetki...

Wiera wzięła dwie różowobeżowe ściereczki \* i pończoch w takim kolorze już się nie nosi \* i przeszła po pokoju, ścierając kurz z wielu drobnych przedmiotów, składających się na niezmienny pejzaż jej życia.

„A lustro mama przecierała amoniakiem \* przypomniała sobie Wiera, spoglądając w lustro. \* I nikt już nie uważa mnie za piękność \* uśmiechnęła się do swojego miłego odbicia. \* Może tylko Szurik”.

Zwróciła głowę na prawo, na lewo. A co, rzeczywiście dobrze wyglądam. Tylko podbródek trochę się zepsuł, szyja obwisła. I jeśli podwinąć stojący kołnierzyk, widać bliznę, różową i cokolwiek pofałdowaną. Dobry szew, u innych wyszedł grubszy i bardziej widoczny. Jej zrobiono kosmetyczny... Poszczypała zwiotczały podbródek. Jest takie ćwiczenie \* zrobiła kolisty ruch głową, aż coś chrupnęło z tyłu szyi. No tak, złogi soli. Trzeba poćwiczyć...

Minęło już kilka dni od tego dnia, kiedy poszła z Szurikiem do konserwatorium. W przeddzień, już bez niego \* miał zajęcia w instytucie \* była w muzeum Skriabina. Wykonywano Poemat ekstazy, który pamiętała od pierwszej do ostatniej nuty. Grać nigdy nie próbowała \* bardzo trudne. Ale wspominała ze wzruszeniem, jak za młodych lat przy tej energicznej i szarpanej muzyce wykonywali studenci swoje

choreograficzno\*gimnastyczne ćwiczenia. I wiersze Pasternaka, związane z tą samą muzyką i z jego ówczesnym bożyszczem, kompozytorem Skriabinem. Jakaż to mocna, jaka współczesna kultura \* i wszystko dokądś odpłynęło, rozwiało się, prawie całkiem bez śladu... I w teatrze, prócz klasyki, nie ma na co patrzeć. Mówią, że Lubimow... Ale tam wszystko opiera się na energii Brechta. Biochemika. Jakieś puste pole... Tak, pojawił się jeszcze Efros. Trzeba zobaczyć...

Siedziała z zakurzoną ściereczką w rękach, rozmyślając o wysokich materiach, gdy nagle rozległ się niezwykle późny dzwonek do drzwi \* przyszedł sąsiad Michaił Abramowicz...

\* Wracam z zebrania, patrzę \* u pani pali się światło \* wyjaśnił.

\* Proszę wejść, ja tylko ręce opłuczę... \* Wiera weszła do łazienki, włożyła ręce pod strumień wody. Zakurzoną ściereczkę zostawiła w umywalce, żeby później przeprać.

On stał na dywaniku z wyjątkowo poważnym wyrazem twarzy.

\* No to jak, Wiero Aleksandrowna, przemyślała pani moją propozycję? Piwnica jest pusta!

Zapomniała, że już dwa razy namawiał ją na jakieś kółko, które dobrze by było zorganizować dla dzieci.

\* Nie, nie, ja rzeczywiście w przeszłości byłam aktorką, ale nigdy nie prowadziłam zajęć z dziećmi, nie ma o czym mówić \* stanowczo odmówiła.

\* Dobrze, dobrze... W takim razie może zostanie pani u nas księgową? Księgowa nam w spółdzielni też potrzebna. Ta stara odchodzi. A pani nam odpowiada \* pomyślał chwilę i dodał \* a komu by pani nie odpowiadała, z drugiej strony? Co? Niech pani nie odmawia, niech pani nie odmawia! Niech pani najpierw przemyśli! Ja wprost z podziwu wyjść nie mogę, że taka młoda i piękna, proszę wybaczyć, oczywiście, kobieta, tak zupełnie się nie wykazuje w społecznym sensie \* i zaczął się spieszyć i odmówił herbaty, którą mu Wiera uprzejmie zaproponowała.

Wiera opowiedziała Szurikowi i o swoich przemyśleniach na temat upadłości kultury, i o wizycie Michała Abramowicza, proponującego jakąkolwiek pożyteczną pracę dla społeczeństwa. Pośmiała się. Szurik jednak nieoczekiwanie powiedział:

\* Wiesz, Wierusia, a zajęcia z dziećmi mogłyby ci się bardzo spodobać. Ty tak zawsze interesująco opowiadasz

o teatrze, o muzyce. Nie wiem, nie wiem, może to byłoby dobrze...

Po kilku dniach Michał Abramowicz znowu przyszedł z kartonowym pudełkiem, na którym pochyłymi brązowymi literami było napisane „Marmolada w czekoladzie”. Pili herbatę. On kusił ją w imieniu domowego komitetu partyjnego. Ona uśmiechała się i odmawiała, żartując. Od dawna już wiedziała, że podoba się żydowskim mężczyznom. Ten był w jakiś sposób podobny do tamtego zaopatrzeniowca, który zakochany był w niej dawno, dawno temu... Ale taki adorator \* mimo wszystko przesada... Przewisko „Marmolada”, nadane Michałowi Abramowiczowi tego dnia, utrwaliło się.

Wiera uśmiechała się i nastrój zrobił się podniosły \* rzecz w grudniu niesłychana, a nawet zaproponowała Szurikowi, że urządzi dla jego uczniów, jeśli nie prawdziwe Boże Narodzenie, to chociaż herbatkę.

\* A pierniczki?

\* Kupimy, a karteczki i do kupnych można dodać...

Jednak Szurik kategorycznie odrzucił tę propozycję jako profanację domowych tradycji. Tym niemniej choinkę kupił wcześniej, tym razem bardzo ładną i postawił na balkonie, żeby doczekała odpowiedniej chwili...

Wiera, po znalezieniu matczynych ściereczek do kurzu, nagle spostrzegła, że wraz ze śmiercią Jelizawiey Iwanowny dom jakoś zestarzał się, pociemniał, chociaż czyściciel podłóg znów przychodził, natarł dwiema włosianymi szczotkami parkiet i zostawił po sobie staromodny zapach pasty

i miły połysk parkietu, a sama Wiera Aleksandrowna przeszła kilkakrotnie po mieszkaniu na fildekosowych szmatkach, zbierając pył na ich różowe brzuszki. Czegoś jednak brakowało...

Powiedziała o tym Szurikowi w charakterystycznej dla siebie manierze...

Działo się to wieczorem, po kolacji, siedzieli przy stole \* nie w kuchni, jak w porannym pośpiechu, a w pokoju babci przy owalnym stole. Brahms się kończył, Szurik słuchał tej płyty wiele razy i czekał na zbliżającą się kodę...

\* Wierusia, myślę, że to nie w samym domu sprawa. Wszystko u nas w porządku, babcia byłaby całkiem zadowolona. Po prostu, wiesz, ja również o tym myślę, ty zbyt dużo czasu spędzasz w domu...

\* Tak myślisz? \* Wiera była zaskoczona taką dziwną zdradą. Czy to nie Szurik sam nalegał, żeby przeszła na emeryturę, otrzymała grupę inwalidzką... I nagle \* coś takiego! \* Myślisz, że powinnam poszukać pracy?

\* Nie, zupełnie nie o tym myślę. O czym innym. Nie pracę, a zajęcie. Jestem pewien, że mogłabyś pisać recenzje \* zawsze tak ciekawie opowiadasz o teatrze, o muzyce. Tyle wszystkiego wiesz... Wykładać mogłabyś... Nie wiem, co, ale dużo mogłabyś... Babcia zawsze to powtarzała, że swój talent gdzieś zaprzepaściłaś, ale przecież nie jest za późno, żeby coś jeszcze zrobić...

Wiera zagryzła wargi:

\* Jaki talent, Szurik? Widziałam prawdziwe aktorki, znałam Alisę Koonien, Babanową...

Zdaje się, że nikt nie odnosił się z takim szacunkiem do jej twórczej osobowości, jak Szurik. To było przyjemne.

33.

Czasu na obojętnie jaki nastrój \* dobry, zły, smutny \* Ala zupełnie nie miała. Na to była zbyt zajęta. Jednakże niedługo przed Nowym Rokiem przyszło pół oficjalne pismo z Akmolińska, z zakładu. Kierowniczką laboratorium składała jej życzenia noworoczne w imieniu wszystkich byłych współpracowników, pisała, że na jej miejsce przyjęli dwóch laborantów, a wykonują pracę we

dwójkę gorzej, niż ona jedna. To była przyjemna część listu. Dalej pisała, że całe laboratorium czeka na jej powrót jako prawdziwego specjalisty, a szczególnie byłoby dobrze, jeśli ona opanowałaby jak należy metody jakościowej i ilościowej analizy produktów krakingu ropy naftowej, gdyż to będzie jej główny kierunek pracy. I jeszcze: latem, kiedy będzie miała praktykę zawodową, zakład wystąpi z żądaniem, żeby na letnie miesiące przyjechała popracować w domu, a w dziale kadr już potwierdzono, że i drogę będzie miała opłaconą, a za czas praktyki dostanie zapłatę.

Wtedy to Ala wpadła w nastrój. Zły. A nawet bardzo zły. Już przywykła do myśli, że na zawsze zostanie w Moskwie po skończeniu Mendelejewki, a teraz zrozumiała, jak trudnym zadaniem będzie uniknięcie Akmolińska, do którego została przypisana na całe życie.

Jedynym wyjściem było tylko zamążpójście, a jedynym kandydatem był Szurik, już zajęty, chociaż tylko fikcyjnie. Z jakiegoś powodu zdawało jej się, że jeśli zrobił taką przysługę Stowbie, z którą specjalnie się nie przyjaźnił, to z nią powinien koniecznie się ożenić. Przy czym nie fikcyjnie.

Zaginała palce: już sześć razy byli kochankami. A to nie przypadkowe raz czy dwa, poważnie mimo wszystko. Co prawda, Szurik sam jakoś nie przejawiał zainteresowania nią. Ale był bardzo zajęty: i mama chora, i nauka, i praca \* czasu przecież na wszystko nie wystarcza \* przekonywała samą siebie.

Poddawać się nie miała zamiaru, a Nowy Rok uważała za odpowiedni czas do kolejnego ataku.

Począwszy od połowy grudnia kilka razy zachodziła na Nowoleśną, niby przechodząc po drodze, ale Szurika w domu nie udawało się jej zastać. Wiera Aleksandrowna częstowała ją herbatą z mlekiem, była roztargnieniem przyjazna, ale nic z tego nie udało się uzyskać. Chciała być zaproszona do domu na powitanie Nowego Roku, jak w ubiegłym roku \* w pamięci jakoś zupełnie nie zachowało się, że i w zeszłym roku nikt jej nie zapraszał.

W końcu zadzwoniła: trafiła na Szurika, powiedziała, że trzeba niezwłocznie porozmawiać. Szurik, nie wykazując najmniejszej ciekawości, pobiegł do Mendelejewki o jedenastej wieczorem i przebyta droga nawet sprawiła mu przyjemność, jak i widok głównego wejścia, korytarza \* miał uczucie uwolnionego aresztanta, który trafił na byłą katogę już jako wolny człowiek.

Ala w swoim niezmiennie niebieskim swetrze, z ułożonym wielkim kokiem na głowie, spotkała go na schodach. Wzięła pod rękę. Szurik rozejrzał się \* dziwne: ani jednej znajomej twarzy, a przecież rok czasu tu spędził...

Poszli do palarni pod schody. Ala wyjęła z torebki paczkę papierosów „Femina”.

\* O, ty palisz? \* zdziwił się Szurik.

\* Tak się bawię \* odpowiedziała Ala, bawiąc się papierosem ze złotym ustnikiem.

Szurik zawsze czuł się nieswojo w jej obecności.

\* No, co? \* zapytał.

\* Na temat Nowego Roku chciałam się ciebie poradzić \* bardziej zręcznego pretekstu nie wymyśliła, mimo wysiłków. \* Może upiekę ciasto albo sałatki nakroję?

Patrzył na nią z niedowierzaniem, myśląc, że chce go zaprosić do akademika.

\* Przecież ja w domu, z mamą, jak zwykle. Nigdzie się nie wybieram...

To była prawda, ale nie cała. Miał zamiar po pierwszej w nocy, wypiwszy z mamą po pucharze zwyczajowego szampana, pójść do Gii Kiknadze, do którego mieli przyjść dawni koledzy z klasy.

\* To i ja chcę przyjść do was, tylko trzeba coś przygotować...

\* Dobrze, zapytam mamy... \* wymijająco odezwał się Szurik.

Ala wypuściła kłęb dymu z otwartych ust. Nie było o czym mówić, ale coś jednak trzeba było...

\* Od Stowby masz jakieś wiadomości? \* Nie.

\* A ja list dostałam.

\* No i co?

\* Nic specjalnego. Píše, że po urlopie dziekańskim wróci, a córkę prawdopodobnie u mamy zostawi.

\* No i prawidłowo \* pochwalił Szurik.

\* A Ealinkina za Demczenko wychodzi, słyszałeś?

\* Kto to jest Kalinkina?



\* Z Dniepropietrowska, koszykarka. Ostrzyżona krótko...

\* Nie pamiętam. Zresztą, skąd mogę wiedzieć, skoro z tej grupy, prócz ciebie, w ogóle nikogo nie spotykam? Tylko z Żeńką czasami, przez telefon...

\* A Żeńka też ma romans! \* prawie z rozpaczą krzyknęła Ala. I więcej już naprawdę nie było co powiedzieć. Szurik nie przejawiał najmniejszego zainteresowania nowościami roku.

\* Och, zapomniałam powiedzieć! Izrajlewicza pamiętasz? Miał atak serca, wzięli go do szpitala i nie będzie na zimowej sesji, a potem może w ogóle na emeryturę przejdzie!

Szurik doskonale pamiętał tego matematycznego maniaka, nawet mu się przyśnił. To przez niego uciekł z Mendelejewki: jesienna sesja poprawkowa z matematyki rozstrzygnęła sprawę...

\* To mu się należało \* burknął Szurik. \* A co mi chciałaś powiedzieć? Pilnego? \* uściślił Szurik temat spotkania.

\* O Nowym Roku, Szurik, żeby się umówić... \* zmieszała się Ala.

\* A \* a, rozumiem \* powiedział Szurik niewyraźnie. \* To wszystko?

\* No tak. Przecież trzeba wcześniej...

Szurik szarmancko odprowadził Alę do „Nowosłobodskiej” i pobiegł do domu, zapominając natychmiast o niej samej i jej nieciekawych nowinkach. A zapomniał na tyle dokładnie, że przypomniał sobie o tej rozmowie dopiero o dwunastej godzinie trzydziestego pierwszego grudnia, kiedy we dwójkę z Wierą siedzieli w pokoju babci, przy zapalanej choince, i wszystko było dokładnie tak, jak to zamierzali zrobić jeszcze w roku ubiegłym: fotel babci, i jej szal na oparcie fotela narzucony, i półmrok, i muzyka, i noworoczne prezenty pod choinką...

\* Kto to może być? \* Wiera Aleksandrowna popatrzyła na Szurika z niepokojem, kiedy rozległ się dzwonek w drzwiach.

\* O Boże! To Ala Togusowa!

\* No tak, znowu \* smutnie opuściła głowę Wiera Aleksandrowna i westchnęła. \* Po co tyją zapraszałeś?

\* Mama! Nawet nie pomyślałem! Jak ci mogło coś takiego przyjść do głowy?

Siedzieli milcząc przy stole przed trzema nakryciami. Jedno \* babci. Dzwonek nieśmiało zabrzączał jeszcze raz. Wiera Aleksandrowna postukała cienkimi palcami po stole:

\* Wiesz, co babcia mówiła w takich razach? Gość w dom, Bóg w dom...

Szurik podniósł się i poszedł otwierać. Był zły \* i na siebie i na Alę. Stała w drzwiach z sałatką i ciastem. I patrzyła na niego z błagalnym i bezwstydnym uśmiechem. I zrobiło mu się jej straszliwie żal.

Nowy Rok był zepsuty, a jeszcze nie wiedział, do jakiego stopnia.

Stół był ładnie przybrany, ale skromny. Ciasto Ali z wierzchu przesuszzone, wewnątrz niedopieczone. Szurik zjadł dwa kawałki, ale tego nie zauważył, Wiera Aleksandrowna też nie zauważyła, gdyż nawet nie spróbowała. Do pianina Wiera nawet nie podeszła, i Szurik cierpiał, patrząc na jej pochmurną twarz. Zeszłoroczna absurdalność \* Faina Iwanowna ze swoim szumnym wtargnięciem \* była chociaż teatralna. Także i sama Ala nie czuła się dobrze: dostała to, czego pragnęła \* siedziała z Szurikiem i jego matką przy noworocznym stole, ale żadnego triumfu nie czuła. W tej kompozycji trzecia osoba była wyraźnie zbędna. O dwunastej się stuknęli. Potem Szurik przyniósł herbatę i cztery ciastka, po które rano pojechał na Arbat. Po piętnastu minutach Wiera wstała i, zasłaniając się bólem głowy, poszła spać.

Szurik odniósł do kuchni naczynia i postawił w zlewie. Ala bez słowa od razu je wymyła. Tak się myje chemiczne naczynia \* całkowite usunięcie tłuszczu i dwudziestokrotne płukanie, żeby nie ściekały krople.

\* Odprowadzę cię do metra. Jeszcze czynne \* zaproponował Szurik.

Spojrzała na niego jak ukarane dziecko, z rozpaczą:

\* To wszystko?

Szurik chciał jak najszybciej uwolnić się od niej i biec do Gii:

\* A co jeszcze? Chcesz herbaty?

I wtedy ona weszła w kąt za kuchennymi drzwiami, zakryła twarz rękami i gorzko zapłakała.

Najpierw cicho, potem głośniej. Ramiona jej też jakoś od drobnych drgań przeszły w silniejsze

drgawki, rozległo się szlochanie i dziwny stuk, który Szurika bardzo zdziwił: lekko uderzała głową o futrynę.

\* Co ty, Ala, co ty? \* Szurik objął ją za ramiona, chciał odwrócić twarzą do siebie, ale jej ciało było jak drewno, wrosnięte w podłogę. Nie da się oderwać.

Ochryple rytmiczne dźwięki, częste, na wydechu wyrwały się z niej.

„Jakby dętkę pompowali!” \* pomyślał Szurik.

Włożył rękę między nią i drzwi, ale jej kołysanie nie ustawało. Tylko dźwięki stały się głośniejsze. Wtedy Szurik wystraszył się, że mama usłyszy. Był pewien, że nie śpi, tylko leży u siebie w pokoju z książką i jabłkiem... Lekko naprężając się i dziwiąc się oporowi jej kruchego ciała, oderwał Alę od podłogi, zaniósł do swojego pokoju i zamknął nogą drzwi. Chciał ją położyć na kozetkę, ale ona wczepiła się w niego lodowatymi rękoma i dalej rzucała głową i ramionami. Kiedy wreszcie udało mu się ją ułożyć, z przerażeniem od niej odskoczył: oczy były wywrócone białkami na wierzch, zaciśnięte wargi wykrzywione spazmatycznie, ręce drgały, ona najwyraźniej traciła przytomność...

„Pogotowie, pogotowie!” \* rzucił się do telefonu i zatrzymał ze słuchawką w ręku: Wierusia przestraszy się... Rzucił słuchawkę, nalał wody do filiżanki i wrócił do Ali. Ona w dalszym ciągu podrygiwała zaciśniętymi krzywymi piąstkami, ale już nie wydawała rowerowych dźwięków. Podtrzymał jej głowę, starając się ją napoić, ale usta były strasznie zaciśnięte. Postawił filiżankę, usiadł w nogach. Zauważył, że i nogi jej podrygują w tym samym rytmie. Spódniczka była żałośnie zadarta, cienkie nogi poruszały się pod różowym zbyt obszernym trykotem. Szurik zamknął drzwi, zdjął jej trykoty i zaczął stosować uzdrowicielską procedurę. Innych środków w swoim arsenale nie miał, ale ten jedyny mu dostępny, podzielał.

Po pół godzinie ona całkowicie przyszła do siebie. Pamiętała, że wymyła naczynia, a potem znalazła się na kozetce Szurika, z uczuciem głębokiego zadowolenia zaliczając w duchu „siódmy raz!”. A potem on, zapinając spodnie, szarmancko zainteresował się, jak się ona czuje. Czowała się dziwnie: w głowie dźwięczało i była ciężka. Pomyślała, że to od szampana.

Metro już nie jeździło. Szurik odwiózł Alę do akademika taksówką, pocałował w policzek i tą samą taksówką pojechał do Gii, uradowany tym, że wszystko skończyło się dobrze i że zrzucił z ramion tę nieprzyjemną przygodę.

U Gii zabawa była w pełnym rozkwicie. Rodzice pojechali do Tbilisi, zostawiając mu mieszkanie i starszą siostrę, niziutkiego wzrostu grubaskę o mongolskich rysach i niewyraźnej wymowie.

Zwykle brali ją ze sobą, ale tym razem nie mogli: była przeziębiona, a przeziębienia, jak wiadomo, groziły jej niebezpiecznymi powikłaniami. Oprócz byłych kolegów z klasy Gija zaprosił kilka studentek z instytutu, a więc dziewcząt, jak to często bywało, okazał się nadmiar i tańce były bardziej grupowe. Szurik od razu znalazł się w środku tej tańczącej kotłowniny i odtańcowywał rock\*and\*rolla albo to, co tak nazywał, z wielkim natchnieniem, robiąc przerwy wyłącznie na wypitkę, której było nieprzebrane morze. Pił, tańczył i czuł, że to właśnie jest mu potrzebne do pozbycia się, nieznanego przedtem, uczucia przerażenia, osiadłego tak głęboko w duszy, o istnieniu której nawet nie domyślał się. Jakby we własnym, znanym do ostatniej cegły domu, objawiło się jeszcze tajemne pomieszczenie...

Gruziński koniak, przywieziony w cysternach z Tbilisi do Moskwy, częściowo dostawał się moskiewskim Gruzinom, przyjaciółom naczelnika moskiewskiej rozlewni koniaku.

Dwudziestolitrowy kanister darowanego napitku stał w kuchni. Nie był najgorszy, chociaż do dobrego było mu daleko, ale ilość jego na tyle przewyższała jakość, że jakość zupełnie nie miała znaczenia. To był ten sam koniak, którym częstowała Szurika Waleria Adamowna, z tego samego źródła, z tych samych rąk. Ale Szurik pił koniak szklankami, napełnionymi w jednej trzeciej, próbując jak najszybciej pozbyć się natrętnego wspomnienia \* Ali z wywróconymi oczami i spazmatycznymi drgawkami wykręconych łapek.

Po godzinie osiągnął szczyt pijaństwa i prawie czterdzieści minut przebywał w tym szczęśliwym stanie, dla którego miliony ludzi od tysięcy lat wlewają w siebie „ognistą wodę”, która wypala niezliczonymi przerwami przeszłość i przerażającą przyszłość. Szczęśliwy, ale krótki stan, z którego Szurik zapamiętał grubą siostrę Gii ze świecą płaską twarzą, skaczącą wokół jego nóg nie w takt, wysoką dziewczynę o długich blond włosach w

czymś niebieskim, z nadgryzionym pierożkiem, który wsadzała Szurikowi do ust, koleżankę z klasy \* Nataszę Ostrowską, otyłą, ze ślubną obrączką, natrętnie pokazywaną Szurikowi, i ponownie niziutka grubaska, ciągnąca go dokądś za rękę.

Jeszcze pamiętał, że rzygał w ubikacji i cieszył się, że trafia równo w środek muszli, nie chybiając. Poczynając od tego momentu, już nie pamiętał niczego do chwili, aż obudził się na wąskim łóżku w nieznanym pokoju. To był dziecięcy pokój, sądząc po ilości pluszowych zabawek. Nogi miał czymś przygniecione \* siostrą Gii, śpiącą na jego nogach z pluszowym misiem w objęciach.

Ostrożnie wyciągnął nogi spod wzruszającej parki. Grubaska otworzyła oczy, nieokreślenie uśmiechnęła się i znowu zasnęła. Niewyraźne podejrzenie zakradło się na moment, ale Szurik bez specjalnego wysiłku natychmiast je odrzucił. Wstał na nogi. W głowie kręciło się. Chciało się pić. Jakoś mocno bolały nogi. Poszedł do kuchni. Chlew dookoła był niesamowity: lepka podłoga, pobite naczynia, pety i resztki jedzenia... W dużym pokoju na dywanie, okrywszy się paltami i niezbyt białą poszwą, spała pokotem nieokreślona liczba gości.

Szurik chwycił swoją kurtkę, która na szczęście leżała na środku przedpokoju, i zmył się. Trzeba było jak najszybciej do domu, do mamy.

Ala była zadowolona ze swoich noworocznych osiągnięć. Wypała się \* sama w pokoju. Sąsiadki rozjechały się do domów. Głowa przestała boleć.

Szurik nie pojawiał się u Ali. Początkowo dzwoniła do niego, raz zaprosiła do teatru, innym razem poprosiła o przewiezienie lodówki do akademika: jedna ze współpracownic katedry oddała jej swoją starą. Szurik przyjechał, pomógł. A potem zaraz zaczął się spieszyć... Ala przeżywała:

miłosny romans nie kleił się. Ale zaczęła się

sesja, zamierzała zadzwonić, jednak bała się zepsuć wszystko ostatecznie.

Potem przydzielono ją do pracy w komisji egzaminów wstępnych. Już sama przyjmowała dokumenty od przyjezdnych kandydatów, patrzyła na nich doświadczonym wzrokiem, wypisywała skierowania do akademika i wspominała samą siebie \* jak to ona, z obdrapaną walizką, z obtartymi do krwi nogami, przywlokła się tutaj dwa lata temu. I czuła dumę dlatego, że od tamtego czasu i miejsca była teraz tak daleko, jak niebo od ziemi.

Instytutowa stołówka w wakacje nie pracowała, więc Ala chodziła do piekarni i kupowała tam dla całej komisji obarzanki. Pewnego razu przebiegała przez ulicę na czerwonym świetle i potracił ją samochód. Jak to się stało, zupełnie nie pamiętała, kiedy odzyskała przytomność, zauważyła, że wokół niej zebrali się ludzie. Kierowca, który ją potracił, zderzył się dodatkowo z samochodem z przeciwka.

Wszystkie kości były całe, ale bolał bok i skóra na lewej nodze była zdarta. Dwaj milicjanci sporządzili protokół. Ona była ofiarą, ale także sprawcą. Ala prosiła, aby nie wzywać pogotowia, powiedziała, że nic się nie stało. Jeden z milicjantów, płowy, szczuplutki, nachylił się nad nią i powiedział:

\* Dla ciebie będzie lepiej, jeśli pogotowie nie przyjedzie.

Ala bała się, że ją na długo zabiorą do szpitala i straci pracę. Tak też powiedziała milicjantowi, że pracuje jako sekretarka w komisji przyjmującej na studia i nie może w żaden sposób tracić czasu na szpital. Płowy milicjant nazywał się Nikołaj Iwanowicz Krutikow, odwiózł ją milicyjnym autem do akademika. Był starszym sierżantem, ale nie dzielnicowym, tylko funkcjonariuszem z drogówki.

Potem, przy bliższej znajomości wyjaśnił jej, czemu to było znacznie lepiej. Nikołaj Krutikow też był przyjezdny, wprowadził nie z daleka, lecz z okręgu, a mieszkał w milicyjnym hotelu. Po wojsku wstąpił do moskiewskiej milicji

i uważał, że mu się poszczęściło. Miał niedługo dostać pokój, a jeśli byłby żonaty, to nawet jednopokojowe mieszkanie.

Dostał nie tak prędko. Mieszkanie dostali dopiero po dwóch latach. Przez rok chodzili do kina, ale Ala na nic takiego mu nie pozwalała: teraz była mądra. Za to, kiedy się pobrali, on pokochał ją prawdziwie, jak tamten Enrike Lenkę Stowbę. Przez rok wynajmowali kąt niedaleko, w Pychowym zaułku, potem przenieśli się za Dworzec Sawiłowki do jednopokojowego mieszkania. Wszystko ułożyło się tak pomyślnie, że lepiej nie wymarzysz: kiedy przyszedł czas wracać do Akmolińska, ona była już i mężatką, i zameldowana, i ciężarna, i otrzymała aspiranturę.

W Akmolirisku Ala znalazła się tylko raz \* na pogrzebie matki. A Szurika nawet nie wspominała \* po co wspominać niepowodzenia? Z całej tej historii pozostała tylko angielska herbata. Ala kupiła dzbanuszek do mleka, pije herbatę z mlekiem, a ciasteczka z paczki przekłada do wazy. Córeczkę swoją, kiedy podrośnie, zamierza posłać do szkoły muzycznej. Wspaniała dziewczynka!

34.

Sezon letni minął Wierze Aleksandrownie bardzo dobrze. Daczę wynajęli u tej samej gospodyni, Olgi Iwanowny Własoczkiniej, w domu, gdzie spędzali wszystkie lata od samego urodzenia Szurika, z niedużą przerwą. Zajęli teraz nie poprzednie pomieszczenia \* dwa frontowe pokoje z werandą, a skromniejszą część daczki, wychodzącą na tyły działki \* ale jeden pokój z tarasem i oddzielną kuchnią. Nowe pomieszczenie było wygodniejsze, choć mniejsze. Dzień przed przyjazdem, Szurik przytęszczył meble, przechowywane w szopie, a przywiezione tu w czasach wielkiej przeprowadzki rodziny z Kamiergierskiego Zaułka.

Dziwna sprawa, jakim sposobem powstał przy przeprowadzce z jednego rozgrodzonego pokoju do trzypokojowego mieszkania ten meblowy nadmiar składający się z kilku wiedeńskich krzesel, dwóch etażerek, rozkładanego stołu, który stracił swojakość i nie nadawał się do przyjmowania gości... Dwukrotnie zesłane mienie, przechowane przez właścicielkę daczki w całości, teraz było rozstawione na nowym miejscu i przypominało Szurikowi i Wierze o Jelizawicie Iwanownie: te rzeczy jeszcze nie wiedziały o jej śmierci, krzesło z wyszytymi na oparciu kleksami bławatków jakby czekało na nią. Jednak teraz, kiedy minęły dwa lata, uczucie straty trochę wyblakło, jak i te chabry...

Teraz siedziała na tym krześle Irina Władimirowna, dawna przyjaciółka Wiery, jej daleka kuzynka. Córnka kupca, przez całe życie ukrywająca pochodzenie, samotna Irina osiadła z daleka od rodzinnego Saratowa w podmoskiewskim Małojarsławcu. Pracowała, jak Szurik, w bibliotece, a teraz, po przejściu na emeryturę, z radością przyjęła zaproszenie Wiery, by pomieszkała z nią na daczce. Wiera, jeszcze w czasach artystycznej młodości, wydawała się jej istotą wyższą i żadne życiowe niepowodzenia nie potrafiły zachwiać w niej głębokiego, z odcieniem osobistej pokory, szacunku.

Szurik też się ucieszył: obecność towarzyszk przy matce była dużą ulgą \* codzienne dojazdy w nabitym pociągu zajmowały dużo czasu, a teraz, dzięki Irinie Władimirownie, mógł nie każdego dnia nocować na daczce. Przyjeżdżał co drugi dzień, czasem i trzeci, z produktami. Irina, która całe życie przeżyła, jeśli nie w nędzy, to w dużym niedostatku, z zapałem zajmowała się wielkim pichceniem: wszystkiego było pod dostatkiem, nawet za dużo, i ona piekła, gotowała, dusiła z dużym rozmachem, zupełnie w stylu Jelizawie Iwanowny. Wiera Aleksandrowna, która przywykła jadać mało i nieuważnie, z trudem odrywała Irinę Władimirowna od kuchni, żeby pójść na spacer, przejść się nad jezioro czy do brzoźowego zagajnika... Zwykle tamta odmawiała i Wiera chodziła samotnie na spacer, zajmowała się ćwiczeniami oddechu na niewielkiej polanie, wykonując na przemian długie wdychy, napęlniające płuca do samego dna, z krótkimi energicznymi wydechami, i odczuwała przyływy zdrowia, zwłaszcza w uszkodzonej operacją szyi. Irina tymczasem tarła, mieszała i ubijała. Za to na przyjazd Szurika nakrywała stół wcześniej, ciepłe ciasto odparowywało pod dwiema ściereczkami, w głębokiej piwnicy na lodzie zastygała galareta, naciągał pod szczelną pokrywką kompot.

Szurik przyjeżdżał o zmroku, mył się pod kranem i wyciągał z szopy stary rower, podarowany przez babcię na trzynaste urodziny: bardzo chciał pognać nad jezioro, wykapać się. Prostował pogięte obręcze, przecierał zakurzone błotniki dziecięcą piżamą, która od dawna służyła jako szmata, i miał przedsmak rześkiej trzęsionki na korzeniach, porastających rudą ścieżkę, i wesołego przyspieszenia, kiedy ścieżka biegła z górki, i tępy dotyk sprężonego powietrza, uderzającego w czoło... Ale Irina prawie uniżenie prosiła go, żeby najpierw zjadł obiad, dlatego że wszystko ciepłe stygnie, i on poddawał się namowom, siadał do stołu. Ona zamierała za jego plecami jak kura, mająca dziobnąć ziarno, nieoczekiwanie i pospiesznie podsuwała mu to rzodkiewkę, to solniczkę, to jeszcze kawałek ciasta, a on objadał się jak głodny kot i prawie zasypiał przy stole.

\* Dziękuję, cioteczko \* mamrotał Szurik i, czując się winien wobec roweru, odprowadzał go na powrót bez przejażdżki do szopy, całował starsze panie i padał na wyboistą kanapę, zasypiając w locie.

Irina nalewała do miednicy ciepłą wodę, długo myła naczynia, wydając ciche mrużenie. Jej gadatliwość była nieśmiała: nienawykła w swojej samotności do rozmówców, prowadziła pod nosem nieskończony monolog.

Tak więc, ledwie otwierając oczy, zaczynała poranne szepty, że pogoda ładna, mleko cudowne, kawa wykipiła,

ściereczka gdzieś przepadła, filiżanka niestarannie umyta, a jaki ładny wzór na talerzyku. Pod wieczór jej mowa ze zmęczenia powolniała, ale ciągle mówiła, mówiła \* o tym, że słońce zaszło, że pociemniało, i wilgoć ciągnie od ziemi, a tabaka pod oknem pachnie a pachnie... I spostrzegła się, pytała: nieprawdaż, Wieroczka? Rozmówcy już dawno nie potrzebowała, odpowiedzi nie wymagała.

Wiera była całkiem zadowolona z towarzyszkii. Chociaż Irina była od niej młodsza o dwa lata, w życiu wszystko ułożyło się w zwyczajny dla Wieroczki sposób: jakby Jelizawieta Iwanowna przysłała jej na pewien czas swoją zastępczynię \* naszykować, posprzątać pokój, zatroszczyć się... Tylko rozmawiać z Szurikiem nie było można: objedzony Szurik tak błyskawicznie zasypiał, że nie udawało się Wierze omówić z nim kulturalnych nowości, których była obfitość tego roku: przetłumaczono Scotta Fitzeralda, Robert Sturua wystawił Kaukaskie koło kredowe, do Moskwy miał przyjechać znakomity teatr kukielkowy z Mediolanu... Irina Władimirowna, choć była bibliotekarką, ale przytłoczona czasowym bogactwem produktów spożywczych, żadną miarą nie mogła być partnerką kulturalnych zainteresowań kuzynki.

Rankiem Szurik zrywał się na dźwięk budzika, zjadał śniadanie z trzech dań, przygotowane przez niestrudzoną Irinę i nie niepokojąc matczynego snu, biegł na pociąg. Wieczorem czekała na niego Waleria w przelatujących przez plecy i pierś bocianach, a on spełniał swoją obietnicę \* uczciwie, pracowicie, sumiennie, jak go nauczyła babcia odnosić się do wszystkich swoich obowiązków.

Do tego czasu Waleria przyznała mu się, że nigdy by sobie nie pozwoliła na romans z chłopakiem, gdyby nie jej dawne marzenie, żeby urodzić dziecko. Szurik zakłopotał się: jedno dziecko na jego koncie już jest.

\* To moja ostatnia szansa. Czy naprawdę odmówisz mi tego, czego sama natura chce? \* gorąco szeptała Waleria. I Szurik nie odmawiał tego, czego chciała natura.

Całe lato trudził się na rzecz natury, nie próżnując, a w końcu sierpnia Waleria mu powiedziała, że jego praca zakończyła się sukcesem \* jest w ciąży. Kiedy ginekolog po badaniu potwierdziła sześciotygodniową ciążę, Waleria przypomniała sobie swoje przyrzeczenie i postanowiła tym razem być wierną słowu, danemu Bogu. Przeplakała prawie całą noc: wdzięczność, gorzka całkowitej rezygnacji z męskiej miłości \* jak wtedy się wydawało \* marzenie o dziewczynce i strach o dziecko, noszenie którego miała zabronione przez wszystkich bez wyjątku lekarzy... Uważano, że przyjąć chorobę ciąży i poród są absolutnie przeciwwskazane. Wszystko to zmieszało się w jednym potoku łez. Lecz te łzy prędzej były łzami szczęścia...

Po skończonym letnim sezonie Waleria zapowiedziała Szurikowi, że nie będą się więcej spotykać i podarowała mu na pamiątkę sztych z kolekcji ojca Powrót syna marnotrawnego Diirera. Aluzji Szurik nie pojął, przyjął i odmowę i prezent z pokorą i bez większego zmartwienia. Do domu go więcej Waleria nie zapraszała.

W pracy swoją kierowniczkę widywał dość rzadko: większą część czasu spędzała w swoim gabinecie, a Szurik siedział teraz w katalogach... Kiedy natykali się na siebie w korytarzu, Waleria Adamowna wieloznacznie dawała znaki niebieskimi oczami i uśmiechała się przelotnym uśmiechem, jakby niczego między nimi nie było. A on odczuwał przyjemne ciepło i zadowolenie z dobrze wykonanej pracy: wiedział, że ona jest mu wdzięczna...

Władimirowna, która wróciła z dachy razem z Wierą, z miejsca zabrała się za sprzątanie na mokro. Przez pełne trzy dni wozila się ze ścierką, mruczając nieustanną pieśń: kłębek kurzu w sam rozek się wcisnął, zaraz go wyciągniemy... parkiet piękny, dębowy, a pod listwą szczelina... ścierkę czas przepłukać, cała czarna, i skąd się taki brud bierze...

Wiera zeszła z książką na podwórze, usiadła na ławce. Czytać jej się nie chciało. Zamierała na słońcu, przykrywając szyję gazowym szaliczkiem przed zabronionymi przez lekarzy śmiertcionośnymi promieniami.

„Szkoda, że tak wcześnie z dachy przyjechaliśmy \* myślała w półdrzemce. \* To mama taki porządek zaprowadziła \* wyjeżdżać z dachy w ostatnią niedzielę sierpnia, żeby przygotować się do rozpoczęcia roku szkolnego. Trzeba było siedzieć, póki pogoda się nie zepsuje...”

\* Witam, witam, Wiero Aleksandrowna! \* przed Wierą stał chwacki Michaił Abramowicz, wyciągał prostodusznie dłoń do partyjnego uścisku. Wiera Aleksandrowna ocknęła się ze słonecznej kąpieli, zobaczyła sąsiada w spodniach z żaglowego płótna, w wypłowiałej ukraińskiej rubaszce i niezmienniej czerwonej tiubietejce.

„Jakaś postać z przedwojennej komedii filmowej” \* pomyślała Wiera.

\* Pozwoli pani, że przysiądę obok? \* siadał na skraju ławki ostrożnie, jakby miał hemoroidy.

\* To wszystko w porządku! \* ucieszył ją. \* Piękne pomieszczenie! Umarła Warwara Daniłowna z szóstego piętra, a jej córka przekazała zarządowi spółdzielni wspaniałe pianino. Trzeba je trochę nastroić \* i gotowe! Już jest grafik: w poniedziałek posiedzenie zarządu, w środę nasza komisja rewizyjna, w piątek doktor Bruk daje bezpłatne konsultacje mieszkańcom naszego domu. A pani wybierze sobie dowolny dzień, i on będzie pani! I niech pani prowadzi sobie kółko \* zechce pani, to teatralne, zechce \* to muzyczne \* dla dzieci! No?

Wygląd miał uroczysty.

\* Pomyślę \* powiedziała Wiera Aleksandrowna.

\* A co tu myśleć? Wtorek \* pani. A chce pani czwartek albo sobotę?

Był pełen entuzjazmu, a służbowe ciągoty wdowca nasilały się od przyjemnego wyglądu młodzieńczej, miłej i takiej kulturalnej damy.

„Perła, prawdziwa perła \* myślał Michaił Abramowicz \* taką by spotkać w młodości...”

Wieczorem przy późnej kolacji Wiera opowiedziała Szurikowi o spotkaniu z Michaiłem Abramowiczem. Męskiego zachwytu staruszka nie udało się jej całkiem ukryć, ale on wydał się jej na tyle komiczny w swojej rubaszce z wyszytymi krzyżykiem kwiatuśkami, w tiubietiejczce, w ciągu długich lat noszenia przetłuszczonej do cna na jego łysej głowie...

Lecz Szurik tym razem nie podtrzymał zwykle żartobliwej rozmowy. W zamyśleniu dojadł kotleta, przygotowanego przez Irinę Władimirowną z trzech, jak należy, gatunków mięsa, wytarł usta i powiedział nieoczekiwanie poważnie:

\* Wierusia, pomysł wcale nie jest taki zły...

Irina, która w ciągu trzech miesięcy towarzyskiego życia nie wypowiedziała ani jednej opinii, niespodziewanie oderwała się od niewidocznej dla świata plamki na kuchence, którą w skupieniu tarła białą szmatką:

\* A dla dzieci, dla dzieci jakie to byłoby szczęście! Wieroczka! Przy twojej kulturze! Przy twoim talencie! \* Na policzki jej wystąpiły różowe plamy. \* Mogłabyś i w instytucie, i w akademii! Przecież ty taką wiedzę masz i o sztuce, i o muzyce, a już nie wspomnę \* o teatrze! Nieboszczka Jelizawieta Iwanowna jakim była pedagogiem, ilu ludzi wyuczyła, a twój talent się marnuje. Marnuje się! To przecież grzech, że ty nie wykładasz!

Wiera roześmiała się \* nigdy nie zauważyła w Irinie takiej zapalczywości.

\* Irina, co też ty mówisz! Jak można mnie z mamą porównywać! Ona była prawdziwym pedagogiem, a ja nieudana aktorka. Niedouczony muzyk. Średnia księgowa. I do tego inwalidka! \* ostatnie słowo wypowiedziała nawet z pewnym wyzwaniem.

Tu Irina klasnęła w ręce, upuszczając dwie ścierki naraz: \* Jak! Przecież przez lato tyle interesujących rzeczy usłyszałam od ciebie! Przecież tyś krynica! Szurik, powiedz coś! Przecież krynica mądrości! O antycznym tańcu kto dziś pamięta! A ty tak opowiadasz, jakbyś sama wszystko widziała! A o twojej filozoficzno\*tanecznej nauce...

\* Eurytmii \* odpowiedziała Wiera Aleksandrowna.

\* No właśnie! I o wszelkich świętych tańcach jak opowiadałaś! To wprost biblioteka w głowie! A o Isadorze Duncan!

Irina podniosła z podłogi upuszczone ścierki i zamknęła temat:

\* Masz obowiązek! Uważam, że po prostu masz obowiązek nauczać!

Następnego dnia przy wejściu wisiało napisane fioletowym atramentem na pakowym papierze ogłoszenie: „Kółko teatralnej kultury zaczyna zajęcia w pomieszczeniu zarządu, we wtorki o 7 wieczorem. Prowadzi zajęcia Wiera Aleksandrowna Korn. Zaprasza się dzieci w średnim wieku szkolnym. Poleca się!”.

Od ostatniego wykrzyknika Michaił Abramowicz nie mógł się powstrzymać, zamienił tylko tak ulubione „zabrania się!”, ale intonacja groźby pozostała.

Od tego głupiego pomysłu piwniczno\*podziemnego kółka kultury teatralnej \* zaczęło się nowe życie. Ściślej, zaczęło się ono od tego momentu, jak usunięto Wierze Aleksandrownie rozrośnięty gruczoł tarczycy, zatruwający ciało i tłumiący ducha. A to kółko, powstałe wyłącznie pod komunistyczną presją i życzliwą głupotą Michaiła Abramowicza, zmusiło ją jakby do powrotu do zainteresowań młodości,

a to przypominało powrót do kochanej ojczyzny po długiej nieobecności.

Teraz, po niespiesznej porannej gimnastyce przy muzyce, po powolnym śniadaniu, pudrowała nos, obmyślała strój i jechała do biblioteki. Nie tak wcześniej jak Szurik, i nie do Leninowskiej, a do teatralnej, i nie każdego dnia, a trzy razy w tygodniu. Dawno była tam zapisana, знаła wiele pracownic, a teraz miała swoje miejsce w czytelni przy drugim stole od okna, gdzie nie wiało. To miejsce stało się zasiedziałe, przyjemne, a zajęte bywało tylko w czasie sesji studenckich. Ale Wiera Aleksandrowna unikała tych trzech

\* czterech tygodni, kiedy studenci teatralnych uczelni gorączkowo czytali książki. W tym czasie wypożyczała książki do domu. Starych czasopism, które ją przede wszystkim interesowały, nie wypożyczano, korzystać z nich można było tylko w czytelni.

Czasem Szurik przyjeżdżał po nią do biblioteki, razem szli do Jelisiejewskiego sklepu, kupowali tam coś szczególnie smacznego, co niegdyś przynosiła do domu Jelizawieta Iwanowna. Zgodnie podreptawszy w kolejce, jechali do domu dwoma trolejbusami, najpierw do Dworca Białoruskiego, przez całą ulicę Gorkiego, potem trzy przystanki do Butyrskiego Wału. Wiera Aleksandrowna nie znosiła metra

\* dusiła się i denerwowała.

\* Kiedy schodzę do metra, od razu mnie dusi tarczyca \* wyjaśniała Szurikowi. Ale on nie miał nic przeciwko długiej jeździe. Z matką się nigdy nie nudził. Ona opowiadała mu po drodze o swojej lekturze historii teatru, a on słuchał z całym oddaniem kochającego człowieka.

Wiera robiła notatki w zeszytach, przygotowywała się do zajęć ze swoimi dziewczętami. Na zajęcia przychodziły wyłącznie dziewczynki. Dwóch chłopców, którzy przyszli w różnych terminach, nie utrzymało się w jej żeńskim ogrodzie. Jedynym młodym człowiekiem, bywającym na zajęciach, był Szurik. Z początku przychodził w charakterze

moralnej podpory i do rozstawienia krzesel. Potem stało się przyzwyczajeniem: poniedziałkowy wieczór po zajęciach w instytucie w dalszym ciągu należał do Matyldy, a właśnie we wtorek zajęć w instytucie nie było i on był stałym członkiem kółka.

Sobotnie i niedzielne wieczory, wiadomo, należały do matki. Bez dyskusji. Ku obopólnemu zadowoleniu. Z rzadka Szurik oświadczał, że idzie na urodziny lub w gości do jednego ze swoich przyjaciół \* do Żeni albo Gii. Oświadczał przepaszającym tonem, a Wiera wielkodusznie wybaczala. Bywało, że to ona sama wносиła poprawki: prosiła, żeby najpierw odprowadził ją do teatru lub odwrotnie, przyjechał po spektaklu... To było jej bezsporne prawo. Szurikowi nawet do głowy nie przyszło się sprzeciwić.

Na pierwszych zajęciach kółka Wiera Aleksandrowna powiedziała, że teatr jest najważniejszą ze sztuk dlatego, że łączy w sobie wszystko: literaturę, poezję, muzykę, taniec i sztuki plastyczne. Dziewczęta uwierzyły. W zgodzie z tą koncepcją ona prowadziła swoje wykłady: robiła z dziewczętami ćwiczenia gimnastyczne, uczyła, jak poruszać się przy muzyce, oddychać, głośno

czytać.

Odgrywały pantomimy, wypełniały śmieszne zadania \* spotkać się po długiej rozłące, pokłócić się, zjeść niesmaczną potrawę...

Grały, weseliły się, radowały.

Dziewczęta \* uczennice \* uwielbiały Wierę Aleksandrownę, a tym samym i Szurika. Jedna z uczennic, czternastoletnia ponura Katia Piskariewa, nieładna zgarbiona dziewczynka z wytrzeszczonymi oczami i krzywymi ustami, córka przewodniczącego spółdzielni mieszkaniowej, zakochała się w nim nie na żarty, nawet Wiera Aleksandrowna, przejęta wyłącznie procesem wykładu, zauważyła jej posepny wzrok, ciężko skierowany w stronę Szurika. Na szczęście była na tyle nieśmiała, że prawdziwego niebezpieczeństwa dla Szurika nie stwarzała.

Być może, pierwszy raz w życiu Wiera żyła tak, jak zawsze chciała: obok niej był mężczyzna, oddany jej bezgranicznie, kochający i uważny, zajmowała się właśnie tym dziełem, które nie udało się jej w młodości, a teraz tak wspaniale było zorganizowane bez wszelkich z jej strony zabiegów, i zdrowie jej, zawsze niepewne, właśnie się poprawiło w tych latach, kiedy inne kobiety w jej wieku przechodzą wszelkie nieprzyjemne hormonalne przemiany, od których wypadają włosy z miejsc, w których być powinny, a bezładnie wyrastają dzikie siwe kłaki na zwiotczonym podbródku...

Do tego jeszcze wielka rodzicielska troska o wykształcenie Szurika, która legła na jej barkach po śmierci Jelizawiey Iwanowny, sama się rozwiązała: syn uczył się wieczorowo, bez żadnych przy tym widocznych wysiłków, był zwolniony ze służby wojskowej jako żywiciel matki inwalidki, i wszystko układało się cudownie. Pierwszy raz w życiu tak precudownie...

36.

Najtrudniej było z obuwiem. Odzież można było kupić, uszyć, zrobić na drutach, wreszcie przenicować ze starego, a z obuwiem duży problem mieli wszyscy, zwłaszcza Waleria. Lewa noga była krótsza, na dodatek o półtora numeru mniejsza niż prawa, i poszarpana wieloma operacjami. Na łydce Waleria nosiła pewien aparat \* skomplikowane urządzenie z twardej skóry, metalu i splecionych pasków. Od stopy do biodra noga była pokryta szwami różnej grubości i czasu \* historia choroby i walki z nią. Zdrowa noga nie była zniekształcona, lecz przyjmując na siebie cały ciężar ciała, poznaczona była pęcherzami sinych żyłaków i zestarzała się znacznie wcześniej niż gładkie ciało o białej skórze. Zresztą, nóg swoich Waleria nikomu w żadnych okolicznościach nie pokazywała. Inna sprawa \* obuwie. Od czasu przeprowadzki do Moskwy, ponad trzydzieści lat, szył jej obuwie znakomity moskiewski szewc, Aram Kikojan, którego wtedy wynalazła nieboszczka macocha.

„Nauczyciel \* Niemiec, lekarz \* Żyd, kucharz \* Francuz, szewc \* Ormianin, kochanka \* Polka" \* żartował ojciec Walerii i tych zasad starał się trzymać, jeśli warunki pozwalały. Ormiański szewc Aram nie zajmował się ortopedycznym obuwiem, u niego szyły żony wysokich urzędników i sławne aktorki, jednak dla malutkiej Walerii zrobił wyjątek. Szył jej dwie pary obuwia na rok z najlepszego materiału, pracował nad każdą parą jak przy okręcie \* z planami, szkicami, obmyślając za każdym razem konstrukcję i zmieniając stare kopyto, starając się udoskonalić jeśli nie buty, to samego siebie. Robił jej koturn, na lewą nakładał skórę \* półtora centymetra z wierzchu, półtora na podkładkę. I wkładkę ortopedyczną wkładał specjalną. Jubilerska robota...

Był dziwnym, osobliwym człowiekiem: mieszkał we wspólnym mieszkaniu, w półpiwnicznym pokoju na Kuznieckim moście, w przesiąkniętym klejem i skórą chlewie, był bogaty, ubierał się jak nędzarz, chodził każdego dnia na obiad do restauracji „Ararat", nigdy nie dawał napiwków, ale czasami dawał szefowi służby drogie prezenty. Dużo przegrywał w karty, z rzadka też wygrywał. Nigdy nie był zonaty, utrzymywał dwie rodziny swoich sióstr w Erewaniu, ale sam do Erewania nigdy nie jeździł, a sióstr i kuzynów nawet na próg do siebie nie puszczał. Wzrostu był mizernego, wygląd zewnętrzny posiadał nieciekawą \* chudy ormiański staruszek z dużym nosem i krzaczastymi brwiami. Kobiety słowiańskie lubił \* jasne, duże, niebieskookie, a jeśli z warkoczem wokół głowy, to wprost szalał. Sypiał, jak mówiono, ze swoimi klientkami, podawano nawet znane w kraju nazwiska. Jednak dokumentacji żadnej na ten temat nie ma. Młode prostytutki chodziły do



niego otwarcie, przyjaźnił się z nimi, dawał pieniądze, a co tam się działo na wytartym dywanie, zaścielającym kozetkę, nikt nie wiedział... Gadali... gadali...

Walerie Aram uwielbiał. Nazywała go „wujek Aramczyk”, on ją „Adamowna”. Ona była bardzo w jego typie, chociaż nie była jasną blondynką. Jako człowiek Wschodu szanował dziewictwo i dopiero po jej zamążpójściu zaczął przejawiać nią męskie zainteresowanie.

Pewnego razu, nałożywszy na okaleczone nogi nowe pantofle z czerwonego safianu, poprosił:

\* Adamowna, jestem stary, nic ci nie zrobię, a ty zrób to dla mnie \* pokaż, co tam masz.

Ciekawiły go piersi. Waleria zdziwiła się, potem roześmiała, a potem rozpięła bluzkę i rozpięła z tyłu stanik.

\* Ajajaj! Jakie чудо! \* zachwycił się Aram, który staruszkciem był w tamtych latach nie całkiem starym, około pięćdziesiątki.

\* Dotykać nie dam! Łaskotek się boję \* powiedziała Waleria i nałożyła stanik i bluzkę.

Od tej pory zaczął ją jeszcze bardziej szanować i o nic takiego więcej nie prosił. Swojej sąsiadce cici Kati Tolstowej, kiedy ta zaczęła się czepiać z całkiem nieuzasadnionej w tym przypadku zazdrości \* miała co do sąsiada dawne i, jak się jej zdawało, niebezpieczne plany \* kiedyś powiedział:

\* Była tylko jedna dziewczuszka, z którą bym się ożenił. Ale ona kulawa, rozumiesz, a z kulawą nie mogę. Ludzie będą patrzeć, palcami pokazywać: to Aram ze swoją kuternogą idzie. A ja nie mogę, jestem dumny.

Pod koniec minionego sezonu Aram uszył Walerii zimowe botki, brązowe, na cienkim delikatnym kożusku, ze sprzączką na podbiciu, z cienką wstawką pod sprzączką, żeby klamerka nie obcierała nogi. W tym sezonie, chociaż zima była w pełni, nowych botków nie nosiła \* w trzecim miesiącu ciąży Walerię położono w klinice, żeby uratować dziecko, a w tym czasie wszyscy ją przekonywali, że rodzić nie może, sama nie urodzi, trzeba będzie robić cesarskie

cięcie. I, co znacznie groźniejsze, podczas ciąży dzieciaczek wysysa z matki takie ilości wapnia, że jej biedne nogi będą odwapnione, stawy biodrowe nie wytrzymają i na całe życie pozbawi się nóg. A pytanie jeszcze, czy uda się uratować jej dziecko.

Waleria tylko uśmiechała się i obstawała przy swoim: liczyła na swoją umowę z Panem Bogiem \* obiecała Mu po darowaniu dziecka więcej nie grzeszyć, słowa swojego dotrzymywała, ze swoim młodym kochankiem natychmiast przerwała spotkania i teraz całkowicie zdała się na przyzwoite zachowanie Pana Boga. Dlatego też o żadnej aborcji słyszeć nie chciała, mimo że lekarze straszili ciężkimi powikłaniami, ona ciągle uśmiechała się \* raz radośnie, raz ironicznie, a czasem, no po prostu, jak idiotka.

Przeleżała dwa miesiące, potem ją wypisano do domu, ale zalecano leżenie w łóżku. Brzuch jej rósł bardzo szybko. U niektórych kobiet w piątym miesiącu niczego nie widać, a u Walerii górką rosła od samych piersi. Bardzo jej się chciało pospacerować. Zadzwoiła do koleżanki, ta zaraz przyjechała, wyprowadziła Walerię na spacer. Była sroga zima, nowe buty, ledwie włożone na obrzmiałe nogi, cisnęły i nogi od razu zmarzły. Waleria zadzwoniła do Ararna, powiedziała, że zeszłoroczne botki są ciasne, czy nie można by ich trochę rozciągnąć.

\* Dlaczego nie można? Dla ciebie wszystko można. Przyjeżdżaj!

Przyjechała z koleżanką, kazała jej czekać w taksówce. Weszła do izdebki Ararna w obszernym futrze, z wystającym do przodu brzuchem. Jeszcze futra nie zdjęła, a on już zauważył. Zachichotał, zaczął zawodzić. Poprosił, by mu pozwoliła dotknąć brzucha.

\* Aj, zuch, Adamowna! Znowu za mąż wyszła! Znowu nie za mnie!

Waleria nie chciała smucić Arama, niech myśli, że wyszła...

Rozwiązała paczkę z nowymi butami, postawiła je na stole.

\* Co ty mi buty pokazujesz, czyja ich nie widziałem, czy co? Nogi mi pokaż!

Usiadła na ławeczce, Aram pochylił się, rozsznurował stare buty, wyjął lodowate stopy. Tknął palcem jak lekarz w obrzękłe podbicie.

Potem przyglądał się nowym botkom ze wszystkich stron \* naciskał, ciągnął, myślał, co zrobić, żeby nogom było wygodniej.

\* Adamowna, ja ci je rozciągnę, a tu z wierzchu zdejmę trochę kożucha. Ciepło będzie, nie

zauważysz. Na spacerzy z dzieckiem potrzebne ciepłe buty. Ciepłe pozostaną. W przyszłym tygodniu zadzwoń, przyjedź. Daj, pocałuję cię.

I się rozstali. Ale nie na tydzień, a na dłużej. Dopadła Walerię angina, może nawet nie prawdziwa angina, ale gardło bolało i wystrzegano się wychodzenia z domu. Koleżanki wokół niej kręciły się bez przerwy, zmieniając się przy wspaniałym łożu. Waleria leżała na poduszkach, ubrana szykownie, umalowana jak na święto. A i faktycznie było u niej święto. Cięża podchodziła do szóstego miesiąca, dziewczynka poruszała się w brzuchu, żyła tam, serce jej biło, i to napępniało Walerię takim szczęściem i wdzięcznością, że nawet po nocach budziła się z radości, siadała w łóżku, zapalała świeczkę w świeczniku przed krzyżem od Beaty, z kości słoniowej, i modliła się, i w końcu zmęczona zasypiała.

Mróz przed Nowym Rokiem zelżał i pogoda była najlepsza z zimowych: jasno, sucho, śnieg błyszczący, skrzypi, powietrze pachnie świeżym ogórkiem. Rano, wyrzawszy przez okno, zamierzała Waleria pospacerować i przypomnieć sobie o botkach. Zadzwoiła do Arama. Rozmawiał z nią obrażonym tonem: dawno zrobione, czemu nie przyjeżdżasz?

\* Zaraz przyjadę, wujku Aram!

\* Teraz nie trzeba. Przyjedź na piątą, zapraszam cię na obiad do „Araratu”. Zapraszam, rozumiesz? Waleria nie wychodziła z domu bez towarzystwa, ale tym razem postanowiła iść sama: niezręcznie prosić przyjaciółkę, by odprowadziła ją do szewca, a potem zostawić ją i iść do restauracji. A i tłumaczyć za długo, dlaczego ona idzie do drogiej restauracji ze starym obszarpanym Ormianinem. Nikomu nie da się tego wyjaśnić...

Wystroiła się w nową bluzkę koloru bzu ze srebrnymi guzikami \* dopiero wczoraj skończyła ją robić na drutach. Kolczyki założyła ametystowe \* liliowe krople w różowych uszach. Dostała je od Beaty Bóg wie kiedy. Popatrzyła na siebie w lustrze: a jeśli to nie dziewczynka, a chłopczyk będzie? Mówią, że na dziewczynkę twarz brzydnie, plamy występują. A u niej \* skóra biała, nawet za bardzo biała.

„No i niech będzie chłopczyk. Dam mu na imię Szurik” \* pomyślała.

Szykowała się powoli, sama ze sobą obchodziła się ostrożnie. Pogłaskała brzuch.

Ubrała się, zjechała windą. Taksówka sama się zatrzymała. Szofer otworzył drzwi. Niemłody chłop, uśmiecha się:

\* No, dokąd, mamuśka?

Aram powitał ją jakby nigdy nic, nie był obrażony. Był gładko ogolony i w marynarce, czego nigdy Waleria nie widziała, zwykle po domu kręcił się w jakiejś przepoconej kamizelce. Pomógł zdjąć futro, ściągnął stare buty. Nałożył nowe.

\* No jak?

Doskonale. Siedziały solidnie, jak Walerii potrzeba, ale nie cisnęły.

\* Mnie taki materiał przynieśli, szyk! Kolor też! Zostawię dla ciebie na letnią parę.

Wyszli na Kuzniecki most. Dzień pracy się kończył, przechodniów było już dużo i wszyscy ludzie ich zauważali, obchodzili, a oni szli powoli pośród spieszących się, jak płynie stateczny okręt między bystrymi niewielkimi łódeczkami. Palto Arama było stare, wytarte, a czapka nowa, bobrowa,

puchata jak poduszczyk. Waleria podpierała się kulą, gdyż potrzebowała jej teraz bardziej niż kiedyś. Śmiała się na myśl, że wszyscy spotkani ludzie z pewnością uważają, że jest żoną tego zasuszonego staruszka \* Ormianina, a sam Aram chyba jest dumny, że prowadzi taką piękną kobietę, w dodatku brzemienną, pod rękę, a wszyscy myślą, że jest jego żoną. Do tego z szewcem co chwila się witano \* on był tu, w rejonie, zasiedziały mieszkaniec, osiedlił się w czasie Nowej Ekonomicznej Polityki, potem też tutaj pracował, niedaleko, w tajnym warsztacie, gdzie miał przydział i walczył przez całą wojnę na froncie pracy, szyjąc buty enkawudzistom i pantofle ich żonom. Skręcili za róg, doszli do „Araratu”.

\* No, jak, buty nie cisną? \* zapytał z samozadowoleniem Aram.

Walerii było śmiesznie i wesoło, weszli na drugi schodek do góry i już zdjęła z głowy białą orenburską chustę, stare ametysty błysnęły, a Aram od razu je zauważył i bystro zapytał:

\* Kolczyki od Beaty dostałaś? Piękne!

Waleria dotknęła ręką płatka ucha, żeby mocniej zagrały brylantowe iskry wokół dużych kamieni:

\* Podarowała mi je moja macocha, Panie świeć nad jej duszą! \* na szesnaste urodziny.

\* Ile lat miałaś, kiedy pierwszy raz cię do mnie przyprowadzili?

\* Osiem lat, wujku Aramczyk, osiem lat \* uśmiechnęła się Waleria, wargę podniosła się do góry i odsłoniły się matowe białoniebieskawe zęby, jakby były zrobione na zamówienie.

Weszli w drzwi, szeroko otwarte przez usłużnego szwajcara. Aram pozostał przez delikatność dwa kroki z tyłu, częściowo z powodu kuli, na której ciężko oparła się Waleria przed zejściem w dół po schodach. Zrobiła krok do przodu swoim zwykłym nurkiem, i stoczyła się w dół po schodach.

„Czyżbym gumy nie przykleił?” \* wystraszył się Aram.

I zaraz przypomniał sobie, że przyklejał do skórzanej podeszwy cienki gumowy listek, żeby podeszwa się nie ślizgała.

Rzucili się podnosić Walerię i szwajcar, i Aram, i maitre d'hotel, który pojawił się w korytarzu. Była niebywale ciężka, a oczy miała czarne ze strachu. Zrozumiała, co się stało, jeszcze przed tym, jak próbowali postawić ją na nogi: upadła, bo noga samoistnie złamała się, a nie odwrotnie \* upadła i od upadku złamała nogę... Bólu jeszcze nie czuła, gdyż świadomość końca świata była w niej silniejsza, niż jakikolwiek ból.

Położyli ją na bordowej aksamitnej kanapce, wlali pół szklanki koniaku, wezwali pogotowie.

Krzyczeć zaczęła później, kiedy nosze postawili w karetce i powieźli do Instytutu Sklifosowskiego.

Zrobiono rentgen. Złamanie kości udowej i silny krwotok. Dostała zastrzyk przeciwbólowy.

Lekarze krzżeli się wokół Walerii, tak że na brak uwagi nie można było narzekać. Czekali na jakiegoś Lifczyca, ginekologa, ale zamiast niego przyjechał Salnikow, który miał razem z chirurgiem Rumiancewem zdecydować, co robić w tym złożonym przypadku.

„Nauczyciel \* Niemiec, lekarz \* Żyd, szewc \* Ormianin...” \* przypomniała sobie z niepokojem powiedzenie nieżyjącego ojca. Jednak stan jej był tak ciężki, że tu i Żydzi nic nie mogli zrobić.

Ginekolog nalegał na natychmiastowy sztuczny poród, chirurg widział konieczność szybkiej operacji na udzie. Krwotok nie ustawał, zaczęto podawać krew. Dwanaście godzin minęło, zanim trafiła na stół operacyjny, dwa chirurgiczne zespoły \* chirurgów urazowych i ginekologów \* zebrały się nad śpiącą w narkozie Walerią, ratując, według niepisanego prawa, najpierw życie matki, potem dziecka.

Jednak dziewczynki nie udało się uratować. Łożysko odkleiło się prawdopodobnie w chwili upadku, płód pozbawiony tlenu udusił się. Metalowego sztyftu na złamaną szyjkę uda nie wstawili \* kość była tak krucha, że nie zdecydowali się dotykać jej instrumentami.

Szurik witał Nowy Rok tylko z mamą. Chciała przyjechać Irina z Małojarosławca, ale z kuzynką Wiera nie robiła takich ceregieli, jak z innymi ludźmi, i powiedziała, że będzie rada, jeśli tamta przyjedzie pierwszego stycznia. Wreszcie matka i syn witali Nowy Rok, jak było kiedyś zaplanowane: we dwoje, przy trzech nakryciach, z babcinym szalem na oparciu jej fotela, z własnym wykonaniem Schuberta i ciasteczkami z WTT. Szurik podarował matce płytę Bacha z koncertem organowym w wykonaniu Garry'ego Grodberga, którego zaraz wysłuchali, a matka podarowała Szurikowi moherowy czerwono\*niebieski szalik, w którym chodził przez następne dziesięciolecie.

O zaistniałym nieszczęściu Szurik dowiedział się po tygodniu, kiedy współpracownicy zbierali pieniądze dla Walerii, która w te dni jeszcze wahała się między życiem i śmiercią.

„Przeze mnie. Wszystko przeze mnie” \* przeraził się Szurik. A wina wcale nie była nowa, dalej ta sama, wcześniejsza, którą zawinił jeszcze wobec nieboszczki babci, wobec mamy. Nie wypowiedział tego, ale doskonale wiedział: jego złe zachowanie jest karane śmiercią. Nie jego, ale ludzi, których kocha.

„Biedna Waleria! \* płakał w najdalszej kabinie męskiej toalety dla pracowników \*, przytulając się policzkiem do zimnych kafelków. Co ze mnie za potwór! Dlaczego ja czynię tyle zła? Przecież niczego takiego nie chciałem!”.

Płakał długo \* nad śmiercią babci, nad chorobą mamy, nad nieszczęściem Walerii, które wydarzyło się wyłącznie z jego winy, płakał nawet nad dzieckiem, co zupełnie nie było jego sprawą, ale i za tę

przedwczesną śmierć też się obwinał.

Z zewnątrz dwa razy szarpali klamkę kabinki, ale on nie wyszedł, póki wszystkich łez nie wypłakał. Wtedy wytarł policzki szorstkim rękawem i powziął postanowienie: jeśli Waleria przeżyje po tym wszystkim, on jej nigdy nie zostawi i będzie jej pomagał, póki żyje. Współczucie rozpiekało go w środku tak silnie, jak sprężone powietrze rozpieka coraz cieńsze ścianki gumowego balonika. Jechał do domu z twardą decyzją opowiedzenia wszystkiego mamie, ale w miarę, jak się zbliżał, miał coraz więcej wątpliwości, czy ma prawo obciążać ją, taką kruchą i wrażliwą, jeszcze jednym przeżyciem...

37.

Na wiosnę przewieziono Walerię na noszach do domu i Szurik znowu zaczął ją odwiedzać \* w środy. Poniedziałki po instytucie pozostały dla Matyldy, wtorki \* kółko, czwartkowe i piątkowe wieczory zajęte były nauką. Soboty i niedziele należały do Wiery.

Walerii przynosił zakupy, czasopisma, ale bardziej był jej potrzebny do odwrócenia smutnych myśli. Po operacji Waleria dostała pierwszą grupę inwalidztwa \* bez prawa do pracy. A bez pracy było jej nudno i dość prędko znalazła sobie dodatkową pracę w referatowym periodyku. Swoje tłumaczenia podpisywała nazwiskiem Szurika, ale stopniowo i on się włączył do tej pracy i w parze obsługiwali to dziwne wydawnictwo, przeznaczone dla uczonych naukowców, niewładających językami obcymi.

Kontakty Waleria zachowała rozległe i, nie licząc referatowego czasopisma \* mimo że nie wychodziła z domu \* pracy miała pod dostatkiem. Tłumaczyła z ulubionego polskiego i jeszcze z pół tuzina pozostałych języków słowiańskich, których uczyła się w miarę potrzeb. Część przypadała na

Szurika \* on tłumaczył z europejskich. Pełnił również funkcję kuriera \* przywoził Walerii pracę do domu. Waleria pisała na maszynie z taką szybkością, że uderzenia w klawisze zlewały się w jeden ostry trzask.

Jednak w ostatnich latach, może z nadmiernego obciążenia, Walerię zaczęły mocno boleć ręce. Początkowo Szurik robił jej różne pomocnicze urządzenia w rodzaju stolika na krótkich nogach, który stawiali na łóżku, a na nim maszynę, żeby Waleria mogła pisać półleżąc, podkładając trzy poduszki pod plecy. Siedzenie stawało się coraz trudniejsze. Stopniowo przepisywanie Szurik wziął na siebie.

Prócz tego, Szurik jeszcze podczas nauki w instytucie ukończył jakieś dziwne kursy patentowe i tłumaczył patenty na francuski, angielski i niemiecki \* całkiem bezsensowne teksty, których nie rozumiał sam i, jak przypuszczał, nie mógł pojąć żaden z potencjalnych czytelników. Pieniądze przy tym płacili tam terminowo i zastrzeżeń nie zgłaszali.

Miejsce nauczyciela języków obcych w szkole, na co kierowała się większość kolegów Szurika ze słabiutkiego wieczorowego wydziału, było pod każdym względem gorsze od tej osobliwej sytuacji, w jakiej on się znalazł z pomocą Walerii: i pieniędzy było więcej, i wolności. Wolność oznaczała dla Szurika możliwość wyskoczenia bez przeszkód na rynek, żeby przynieść mamie potrzebną jej marchew na sok, pojechać na drugi koniec Moskwy po rzadkie lekarstwo, o istnieniu którego dowiedziała się z kartkowego ściennego kalendarza lub czasopisma „Zdrowie”, pojechać na pocztę, do redakcji lub biblioteki nie na dziewiątą rano, a na drugą, i usiąść do nudnych tłumaczeń nie według służbowego dzwonka, a po późnym śniadaniu, w południe...

Rozmowy o innej wolności, prowadzone w domu jednego z jego dwóch przyjaciół, Żeni Rozencwejga, mające charakter niebezpiecznie polityczny, wydawały mu się specyficzne dla żydowskiej rodziny, gdzie się dużo całowano, hałaśliwie radowano, podawano na obiad faszzerowaną

rybę, słodko\*kwaśne mięso i strudel, rozmawiano zbyt głośno i przerywano sobie wzajemnie \* na co babcia Jelizawieta Iwanowna by nie pozwoliła.

Dla jego małej, bardzo osobistej wolności daleko bardziej ważne były prywatne lekcje, przynoszące nieduży dochód, za to zbliżające go do kulturalno\*sensownego zajęcia, tworzyły one być może

pozorną linię rodzinnej dziedziczności i dawały sentymentalno\*nostalgiczną satysfakcję. Przyjemnie było dotykać rękami starych podręczników i dziecięcych książeczek z początku wieku, według których kontynuował nauczanie nowych uczniów. Żadnych twórczych wysiłków to od niego nie wymagało: zajęcia odbywały się według wprowadzonej przez Jelizawietę Iwanownę zasady, która sprawdzała się przez wiele dziesiątków lat, i Szurik, jak i jego babcia, nauczał tak, że uczniowie mogli swobodnie czytać dłuższe francuskie fragmenty Wojny i pokoju, ale nawet pomarzyć nie mogli o współczesnej francuskiej gazecie. Bo skąd by ją nawet wzięli?

Ogólnie pracy było dość, ale rozkładała się ona nierównomiernie i Szurik dobrze przestudiował te sezonowe fale: listopad\*grudzień \* nawał, styczeń \* cisza, wiosną znowu ożywienie i martwy \* półmartwy sezon latem.

Lato osiemdziesiątego roku było udane: olimpiada podrzuciła Szurikowi nową, zupełnie nieznaną pracę \* tłumaczenie ustne. Ten rodzaj dobrze płatnej pracy, ale wymagającej osobistego kontaktu z obcokrajowcami, zwykle dostawał się ludziom, tak lub inaczej, związanym z KGB. Na olimpiadę zjechała się taka liczba obcokrajowców, że „Inturist” najmował postronnych ludzi, bo swoich tłumaczy miał za mało. Szurik dostał ustne instrukcje, zobowiązał się pisać raporty o zachowaniu Francuzów, którym miał towarzyszyć. Każdy gość był traktowany jako potencjalny szpieg, więc Szurik z dużym zainteresowaniem przyglądał się grupie turystów, z którymi spędzał dzień od rana do wieczora,

zastanawiając się, kto z nich rzeczywiście mógłby okazać się tajnym agentem.

Najsilniejszym wrażeniem po pierwszym dniu pracy z prawdziwymi Francuzami było uświadomienie sobie tego, że jego język odstaje jakieś pięćdziesiąt lat od współczesnego, i postanowił, że tę lukę trzeba niezwłocznie wypełnić. W ten sposób najbardziej męcząca praca przewodnika stała się dla niego kursami podwyższania kwalifikacji. Nadarzył się nawet „Francuzik z Bordeaux”, którego rolę spełniała milutka Joel, w rzeczy samej z Bordeaux, studentka \* sławistka, która pierwsza zwróciła Szurikowi uwagę na to, że jego francuszczyzna jest tak samo martwa jak łacina. Dzisiejsi Francuzi mówili inaczej, zmieniła się i leksyka, i wymowa. Wszyscy oni grasejowali, co, według opinii nieżyjącej Jelizawiety Iwanowny, było wyłącznie cechą gwary paryskich prostaków. Okazało się, że nieskazitelna babcia też się myliła.

To było nieprzyjemne odkrycie dla Szurika i starał się ćwiczyć jak najwięcej w uwspółcześnieniu swojego francuskiego. Jedyne w ciągu tygodnia wolny wieczór spędził z Joel, a niepokoiło go tylko jedno, że w ciągu tego tygodnia nie udało mu się wyrwać na daczę.

Wszystko tam było dobrze zorganizowane. Mimo to Szurik niepokoił się: chociaż Irina Władimirowna była wierną pomocnicą, jednak była dość nierozgarnięta \* ażeśli stanie się coś nieprzewidzianego?

38.

Wreszcie, pośród nieustannej bieganiny Szurikowi wypadło kilka wolnych godzin i chciał pozatławić sprawy, które dawno odkładał: odesłać kilka przetłumaczonych jeszcze w ubiegłym tygodniu referatów do periodyku, a także pojechać po listy z Ameryki, które obiecał zabrać dla Walerii. Jeden już dawno leżał u jakiejś nieznanym kobiecie, mieszkającej na ulicy Worowskiego. List należało wysłać Walerii do sanatorium, ale to już nie miało sensu, bo Waleria wracała w przyszłym tygodniu.

Korzystając z dwugodzinnej przerwy w ciągu dnia \* Francuzi jedli obiad niebywale długo, o niezwyklej dla nich porze, o drugiej zamiast o siódmej, a po obiedzie chcieli jeszcze godzinę odpocząć, żeby wieczorem ze świeżymi siłami przetrwać Jezioro łabędzie w Teatrze Wielkim. \* Szurik pojechał wziąć list i wysłać swoją kopertę.

Zadzwoił z budki. Kobieta, która zdążyła zapomnieć o pozostawionym u niej liście, długo go szukała, potem powiedziała, że może przyjechać. Wyjaśniła, którym z pięciu dzwonek powinien zadzwonić do jej drzwi i ile razy. Kiedy Szurik dotarł do tego dzwonek i nacisnął, długo mu nie otwierano, potem tłusta ręka przez łańcuch wysunęła mu długą białą kopertę.

\* Przepraszam, proszę powiedzieć, gdzie jest najbliższa poczta? \* zdążył zapytać Szurik ciemną

szczelinę.

\* Przy naszej klatce na dole \* rozległ się niski żeński głos, któremu towarzyszyło szczekanie psa. Z ciemności wyłoniła się biała morda bolończyka, dał się słyszeć krótki pisk i drzwi się zatrzasnęły.

Pocztą rzeczywiście znajdowała się na parterze tego domu i Szurik zdziwił się, że jej nie zauważył. Ze wszystkich okienek czynne było tylko jedno i jedyna interesantka, wysokie chude plecy z długimi włosami, kłóciła się z tutejszą pracownicą. Mowa była o tym, dlaczego dziewczyna tak długo nie odbierała paczki, o trzech wysłanych zawiadomieniach... Chude plecy płaczliwym głosem odpierały atak. Szurik pokornie czekał końca sceny. Wreszcie pracownica kłótliwie powiedziała:

\* Niech pani wejdzie i zabiera. Ja się nie najmowałam do dźwigania ciężarów...

Plecy weszły w służbowe drzwi, awantura się tam przedłużała, ale Szurik nie przysłuchiwał się. Cekał ze swoją kopertą. W końcu chuda \* już nie plecy, a mało pociągający front dziewczyny o długiej białej twarzy \* wyszła z drzwi z ciężarem, który był wyraźnie ponad jej siły. Trzymała obiema rękami niezbyt duże przewiązane pudełko, torebkę ścisnęła pod pachą i szukała wzrokiem, gdzie by tu położyć brzemień.

W okienku pojawiła się pracownica, która przeniosła swoje zwyczajowe rozdrażnienie na następnego interesanta.

\* Łażą tu i łażą \* warczała, podczas, gdy dziewczyna za plecami Szurika usiłowała wygodnie uchwycić pudełko.

Szurik wsunął kopertę, pieniądze, wziął pokwitowanie. Dziewczyna dalej męczyła się z pudełkiem. Twarz wyrażała dziecięcą rozpacz. Z bladej dziewczyna zrobiła się plamisto\* różowa i gotowa była się rozplakać.

\* Pomogę pani \* zaproponował Szurik.

Popatrzyła na niego podejrzliwie. Potem szarpnęła się: \* Ja panu zapłacę. Szurik roześmiał się:

\* Co też pani, jakie pieniądze... Dokąd to zanieść? Chwycił pakunek \* niezwykle ciężki jak na tak nieduże rozmiary.

\* Do sąsiedniej klatki \* mruknęła dziewczyna i poszła przodem wielce niezadowolona.

Szurik wjechał z nią windą na drugie piętro. Otworzyła kluczem drzwi. Weszli do przedpokoju z mnóstwem drzwi. Zza najbliższych rozległ się donośny męski głos:

\* Świetlana, to ty, czy nie?

Dziewczyna nie odezwała się. Poszła korytarzem dalej. Szurik za nią. Za jego plecami skrzypnęły drzwi: sąsiad wyszedł zobaczyć, kto przyszedł...

Dziewczyna, którą nazwano Świetlaną, przeszła obok wiszącego na ścianie telefonu, otworzyła ostatnie drzwi przed zakrętem. Dwa klucze, po dwa obroty każdym.

\* Niech pan wchodzi \* powiedziała srogim głosem.

Szurik wniósł pakunek i zatrzymał się. W pokoju przyjemnie pachniało klejem. Dziewczyna zdjęła pantofle i postawiła je na dywaniku na ławeczce.

\* Niech pan zdejmie buty \* przykazała. Szurik postawił pakunek przy drzwiach.

\* Już pójdę.

\* Proszę pana, żeby pan otworzył. Przecież zabita gwoździami.

\* Dobrze, dobrze \* zgodził się Szurik.

Ta Świetlana była jakaś dziwna. Szurik zdjął sandały. Postawił je obok pantofli gospodyni.

\* Nie, nie \* wystraszyła się. \* Niech pan postawi na podłodze.

\* A paczkę gdzie?

Zamyśliła się. Olbrzymi, zbyt duży do tego pokoju stół, był zawalony kolorowym papierem i kawałkami tkanin. Szurik chciał postawić paczkę na stole, ale ona wykonała zakazujący gest i przyniosła taboret. Szurik postawił na nim paczkę.

\* Mam na Krymie zupełnie zwariowanego kuzyna. Przyrodni brat mojego wujka. Czasami przysyła mi owoce. Pewnie się zepsuły. Ta baba z poczty tak na mnie wrzeszczała. Straszne. Wyciągnęła spod łóżka drewnianą skrzyneczkę, poszperała tam i podała Szurikowi młotek dziwnego kształtu z końcówką do wyciągania gwoździ na trzonku.

\* Proszę. Młotek.

Szurik z łatwością wyciągnął gwoździe, zdjął wieczko. Owocami, zwłaszcza zgniłymi, tam nie pachniało. Coś monolitycznego, owiniętego papierem.

\* No, niech pan wyjmie \* przynagliła dziewczyna. Szurik wyjął ten monolit i rozwinął. To był kamień albo

coś dawno skamieniałego, o dość regularnych kształtach i pofałdowanej powierzchni.

\* Listu nie ma? \* wskazała na paczkę.

Szurik poszukał w paczce i wyjął kartkę. Dziewczyna wzięła ją, długo czytała, przewróciła, obejrzała papier ze wszystkich stron. Potem zachichotała i podała ją Szurikowi.

„Droga Swietoczka! My z ciocią Łarysą składamy ci życzenia z okazji urodzin i posyłamy paleontologiczny okaz \* ząb mamuta. Przedtem on był w miejscowym muzeum krajoznawczym, ale teraz je zamknięto i przekazują eksponaty do Kercza, a tamci swojego dobra mają w bród. Życzymy ci mocnego zdrowia jak u tego mamuta i czekamy z gościnną. Wujek Misza”.

Podczas, gdy Szurik czytał, ona zdjęła z taboretu paleontologiczny skarb, niezgrabnie odwróciła i upuściła. Prosto na nogę Szurika. Szurik zawył i podskoczył. Wszystkie bóle, jakie mu przyszło doświadczyć do tego momentu \* ucha, zęba, wszystkie chłopięce urazy, odniesione w bójkach, i okropny wrzód, powstały w miejscu przebicia zardzewiałym gwoździem, i od haczyka wędkarskiego, który wbił mu się w opuszkę kciuka \* nie miały porównania z tym tępym uderzeniem w delikatne miejsce, gdzie zaczyna rosnąć paznokieć. Przed oczami błysnęło jaskrawe światło \* i zgasło. Zaparło dech. Po chwili popłynęły łzy \* samoistnie. Osunął się na brzeg tapczanu. Wrażenie było takie, że mu odrąbano palce.

Świetłana krzyknęła i rzuciła się do rzeźbionej apteczki, wyjęła wszystko, co się tam znajdowało \* drżącymi palcami rozłożyła na stole. Amoniak, zamknięty cienką metalową zakrętką, długo nie dał się otworzyć. Niezgrabnie zerwała zakrętkę, wylewając połowę. Zapach był silny i uspokajający.

Szurik odetchnął. Potem nalała do kieliszka pachnących uspokajających kropli i wypila duszkiem.

\* Niech się pan tylko nie denerwuje, tylko niech się pan nie denerwuje... To po prostu jakiś koszmar

\* wystarczy człowiekowi zbliżyć się do mnie i natychmiast coś się przydarza... \* mamrotała. \* To wszystko przeze mnie, to wszystko moja вина... Przeklęty mamut... To wszystko głupia ciocia Łarysa...

Kucnęła przed Szurikiem, zdjęła z nogi skarpetkę. On siedział jak odrętwiały. Ból rozchodził się po całym ciele, odbijając się w głowie. Palec w oczach zmieniał kolor od różowocielistego do sinofioletowego.

\* Tylko niech pani nie dotyka \* uprzedził ją Szurik, cały czas otumaniony bólem.

\* Może jodyny? \* nieśmiało zapytała dziewczyna.

\* Nie, nie \* odezwał się Szurik.

\* Wiem, rentgen tu potrzebny \* uświadomiła sobie dziewczyna.

\* Niech pani się nie niepokoi, ja trochę posiedzę i pójdę... \* uspokoił ją Szurik.

\* Lód! Lód! \* wykrzyknęła dziewczyna i skoczyła do maleńkiej lodówki przy drzwiach. Coś tam skrobała, dźwięczała, upuszczała i po kilku minutach przyłożyła Szurikowi do nieszczęsnego palca kostkę lodu. Ból wystąpił z nową siłą.

Świetłana siadła na podłodze przy jego nogach i cicho zapłakała.

\* Dlaczego, no dlaczego? \* zawodziła. \* Co za pech taki? Wystarczy mężczyźnie tylko się do mnie zbliżyć, zaraz dzieje się coś strasznego.

Objęła jego zdrową nogę i przytknęła twarz do łydki, obciążonej grubym wełnianym materiałem. Ból był bardzo mocny, ale już nie tak przenikliwy. Suche jasne włosy laskotały, kłębiły się i Szurik współczująco pogładził dłonią jasną głowę. Jej ramiona wstrząsały drobne dreszcze:

\* Niech mi pan wybaczy, na Boga \* chlipała, a Szurikiem owładnął smutek i osobliwa litość do tych niezbyt gęstych włosów, do drgających wąskich ramionek, sterczących pod cienką białą bluzką...

„Wróbelek jakiś wypłowiwały” \* pomyślał Szurik, chociaż, jeśli już była podobna do ptaka, to prędzej do niezgrabnej czapli niż do ruchliwego i zręcznego wróbla...

\* Dlaczego, dlaczego to zawsze tak? \* podniosła ku niemu swoją zapłakaną twarz, pociągnęła nosem.

Litość, opuszczając się w dół, przechodziła jakąś subtelną i stopniową przemianę, póki nie przekształciła się w wyraźne pragnienie, związane z przejrzystymi łzami i suchym dotykiem ręki do puszystych włosów, i bólem w palcu. Szurik nie ruszał się, zgłębiając ten dziwny i niewątpliwy związek między silnym bólem i takim też silnym pożądaniem.

\* Wszystkim źle! Wszystkim przy mnie źle! \* łkała dziewczyna i jej splecione ręce histerycznie biły powietrze.

\* Ciszej, ciszej, proszę \* poprosił ją Szurik, ale ona zaczęła trząść głową nie w takt do rąk, i on domyślił się, że wpadła w histerię. Przytulił ją do siebie. Ona jak ptak trzepotała w jego ramionach. „Całkiem jak Ala Togusowa” \* pomyślał Szurik.

\* No dlaczego? Dlaczego zawsze u mnie wszystko właśnie tak? \* płakała biedulka, ale uspokajała się stopniowo i tuliła się do niego coraz bardziej. Uspokajała się w jego rękach, ale przeczuwała, co będzie dalej i szykowała się do oporu, gdyż dobrze wiedziała, że oddanie pozycji wiedzie do strasznych następstw. Tak było w jej życiu zawsze. Już trzy razy... Ale on tylko gładził ją po głowie, żałował i rozumiał, że ona jest tylko chorą dziewczynką i wcale nie był nachalny. A nawet więcej, bo kiedy drgawki minęły nawet się lekko odsunął. A ona oczekiwała, że znowu ją zgwałcą. A wtedy by się broniła, po cichutku by krzyczała, żeby sąsiedzi nie usłyszeli, i zaciskała kolana...

\* Dać pani wody? \* zapytał zraniony przez mamuta młody człowiek. A ona się przestraszyła, że zaraz wszystko się skończy, pokręciła głową i zdjęła z siebie pomiętą białą bluzkę i biedną bawełnianą spódniczkę i zrobiła wszystko, co możliwe, żeby powiedzieć w ostatnim momencie „nie!”... Ale on dalej nie był nachalny, no, po prostu jak bałwan, a ona nie mogła powiedzieć dumnie „nie”, przeciwnie, musiała wziąć w swoje ręce...

Oczywiście, należałoby zrobić rentgen, a może nawet założyć gips. Noga bolała rozpaczliwie, ale zwykła analgina zmniejszyła ból do znośnego poziomu. Dość mocno utykał, tak że Wiera od razu to zauważyła, kiedy wreszcie przyjechał na daczę.

Szurik opowiedział matce połowę historii \* wszystko, co dotyczyło zęba mamuta \* pośmiali się i więcej do tej historii nie wracali.

Zjadł obfity kolację, przygotowaną tydzień wcześniej i utrzymaną przez Irinę w lodówce do jego przyjazdu, zasnął, ledwie dotknąwszy poduszki, a rano znowu wyruszył do Moskwy.

Olimpiada kończyła się i zostało jeszcze kilka dni wariackiej pracy. Ostatni dzień pracy zbiegał się z przyjazdem Walerii z sanatorium.

Wypadł taki absurdalny dzień, kiedy terminowe sprawy zebrały się razem, a działy się, jakby naumyślnie, jakieś drobne wydarzenia i Szurik miotał się, żeby zdążyć wykonać to, co zaplanowane i niezaplanowane... Tak się wszystko skupiło w dniu powrotu Walerii z sanatorium. Żeby wyjść po nią, w przeddzień umówił się z „Inturistem”, zmienił plany \* rano o dziewiątej trzydziści jego grupę wysłano na wycieczkę autokarową po Moskwie z innym przewodnikiem, władającym językiem francuskim, a on miał ich spotkać o wpół do drugiej, już w restauracji. Ta grupa była wyjątkowo kapryśna: w części kulturalnej wybredni nie byli, grzecznie oglądali Panoramę Borodino i Leninowskie Góry, ale za to w restauracji poganiiali i kelnerów, i Szurika w wyrafinowany sposób: zmieniali zamówienia, narzekali na wina, żądali to serów, to owoców, o jakich w Moskwie nawet nie słyszano.

Szurik uwolnił się od turystów dopiero o dziesiątej, ale została jeszcze jedna sprawa \* zanieść zakupy choremu Marmoladzie.

Michaił Abramowicz umierał na raka w domu, odmówił pójścia do szpitala. Staremu bolszewikowi przysługiwała

specjalna opieka medyczna, lecz on dawno kiedyś \* raz i na zawsze \* odmówił partyjnych przywilejów, uważając je za nieprzyzwoite dla komunisty. I ten chudy mamut, ostatni, prawdopodobnie, w swoim wymierającym plemieniu, chwiejący się ze słabości, okutany żołnierską derką, dożywał w przesiąkniętym moczem mieszkaniu swoich ostatnich dni czy miesięcy z tomikiem Lenina w ręku.

Zakurzone książki w dwóch rzędach na odkrytych półkach, kartonowe teczki z szerokimi tasiemkami, zapisane stopy pomiętego papieru... Pełne wydanie dzieł

Marksa\*Engelsa\*Lenina\*Stalina i dodatkowo Mao Tse\*tunga... Mieszkanie ascety i głupca.



Szurik już dawno pogodził się z koniecznością zachodzenia do staruszka z lekarstwami i zakupami, ale polityczno\*oświatowe rozmowy, podstawowy chleb tego zachodzącego życia, były nie do zniesienia. Starzec nienawidził i lekcewał Breżniewa. Pisał do niego pisma, analizy polityki ekonomicznej, pełne cytatów z klasyków, jednak sam był w tym świecie na tyle nieliczącą się osobą, że go nie zaszczycono nie tylko represjami, ale nawet po prostu odpowiedziami... ta okoliczność bardzo go bolała, stale się skarżył i przepowiadał nową rewolucję...

Szurik wyłożył na stół towary z olimpijskiego bufetu \* zagraniczny ser topiony, wymyślne bułeczki, sok w kartonach i pudełko marmolady. Staruszek popatrzył niezadowolony:

\* Po co tracisz pieniądze, ja wszystko lubię najprostsze...

\* Michaile Abramowiczu, uczciwie mówiąc, kupiłem wszystko w bufecie. Do sklepu po prostu nie zdążam.

\* W porządku, w porządku \* wybaczył mu Michaił Abramowicz. \* Jeśli następnym razem przyjdiesz i mnie nie zastaniesz, jedno z dwojga: albo już umarłem, albo poszedłem poddać się szpitalowi. Zdecydowałem, że pójdę do rejonowego jak wszyscy sowieccy ludzie chodzą... A dla Wiery Aleksandrowny serdeczne pozdrowienia. Ja, prawdę mówiąc, bardzo za nią tęsknię... Cierpiący na bezsenność Marmolada długo nie wypuszczał od siebie Szurika, dopiero o wpół do drugiej Szurikowi udało się walnąć na swoją kozetkę.

39.

Wszystko było wzięte pod uwagę i obliczone, ale nocą rozległ się dzwonek telefonu: Matylda Pawłowna dzwoniła z Wisznego Wołoczka. Wypadła jej pilna sprawa. Mieszkała teraz na wsi, po pół roku nie ruszała się stamtąd. Wiejskie życie wciągało, grządki w ogrodzie i sad wciągały jeszcze bardziej niż poprzednia artystyczna praca. Coraz częściej spoglądała na starą gruszę lub na głąz na skraju wsi z uczuciem podobnym do winy: czemu to ona, jakim prawem zużyła tyle drewna i pięknego kamienia na swoje rzeźbiarskie wprawki? Teraz coraz bardziej zachwycała się prostym wiejskim pięknem, dlatego też posadziła malwy i hodowała kury. Z zawiścią popatrywała na sąsiedzką kozę, różowo\*szarą, z szarawymi rogami. Piękna koza, wziąć by, czy co, od niej kozłatko... Wynajęła robotników do naprawy studni.

Chodziła w długiej starej spódnicy, na bosaka, jak wiejskie baby już od dawna nie chodziły. Podśmiewały się: co ty, Motia, jak nędzarka chodzisz?

I nazywano ją we wsi nie Matyldą Pawłowną, a Motią, jak matka wołała.

Tego roku kołchoz zaczął się z nią sądzić: dom odziedziczyła prawnie, ale ziemia, na której stał, była kołchozowa, więc teraz chcieli odciąć przydomową działkę. Podali do sądu, mądrzy ludzie jej poradzili, że ziemię może odkupić pod daczę. I pilnie jej było potrzebne zaświadczenie, że jest członkiem Związku Artystów i ma jakieś dodatkowe prawa do zakupu ziemi niż zwykli obywatele. To była czysta głupota, ale głupota państwowa, ogólnie przyjęta, a zwyciężyć tę głupotę można było tylko taką samą głupotą, w rodzaju takiego zaświadczenia. Matylda zadzwoniła do Moskiewskiego Oddziału Związku Artystów, dogadała się, że zaświadczenie jej wypiszą, ale sekretarka, u której zaświadczenie leżało, wyjeżdża na urlop na południe i Matylda, przesiedziawszy noc w rozmównicy, doczekała się, aż naprawili zerwany gdzieś kabel i połączyli ją z Moskwą. Prosiła teraz Szurika szybko, najpóźniej dzisiejszego wieczora, zajechać do sekretarki do pracy lub do domu i zabrać to zaświadczenie. Sąd był naznaczony na pojutrze, więc jutro koniecznie trzeba jakoś dostarczyć to zaświadczenie do Wisznego Wołoczka.

\* Zrobię, zrobię, Matylda, nie denerwuj się! \* obiecał Szurik.

Więc Matylda już się nie niepokoiła: dodzwoniła się do niego, a on był prawdziwym przyjacielem, nigdy nie zawodził. Matylda spytała o matkę, o Walerię, ale słyszalność na grzecznościowe pytania była zbyt kiepska...

\* Przyjedź, Szurik! Na dłużej! \* krzyczała do słuchawki. \* U nas po deszczach grzyby są! Tak! Co jeszcze! Lekarstwa mojego nie zapomnij!

\* Przyjadę! Przyjadę! Nie zapomnę! \* obiecał Szurik. Grzyby go zupełnie nie interesowały. Lekarstwo, które

Matylda przyjmowała na nadciśnienie, już kupił. Dwa opakowania stały w lodówce. Sprawdził jeszcze raz budzik, żeby nie zaspać na przyjazd Walerii.

Pociąg przyjeżdżał o dziesiątej czterdzieści rano, ale Szurik musiał najpierw pojechać do niej, wyprowadzić z garażu jej inwalidzkiego zaporozca \* dawno już jeździł jej samochodem w dowód zaufania \* i zapakować wózek inwalidzki.

Od samego wczesnego rana wszystko szło jak po grudzie: najpierw odleciały dwa guziki od ostatniej czystej koszuli i trzeba je było przyszyć, potem spadła z suszarki sama z siebie i rozbiła się filiżanka babci, w ślad za tym rozległ się dzwonek do drzwi \* na progu stał Michaił Abramowicz z mokrą buteleczką w ręku, prosił, żeby przed pracą zanieść do laboratorium w Błagowieszczańskim Zaułku... Był taki chudy, żółty i nieszczęśliwy, że Szurik kiwnął głową i, nic nie mówiąc, zawiązał buteleczkę w gazetę.

Kolejki w laboratorium na szczęście nie było, i w ciągu dziesięciu minut doszedł do domu Walerii, otworzył garaż. Auto, rdzewiejące w garażu trzysta sześćdziesiąt dni w roku, nie chciało zapalić. Poszedł do mieszkania, poprosił nowego sąsiada, który zamieszkał po odjeździe byłego męża Walerii, o pomoc i tamten burcząc, zjechał na dół. Miał złote ręce, ten starszy milicjant, dobrze odnosił się do Walerii i trochę lekceważył Szurika.

Sąsiad otworzył maskę, wykonał jakieś tajemnicze ruchy i auto zapaliło. Szurik odjechał, ale z radości zapomniał wziąć wózka. Przyszło wracać z połowy drogi, a z zapasu czasu zostało teraz na styk. Pociąg, wbrew kolejowym zwyczajom, nie spóźnił się, przybył dziesięć minut przed czasem i Waleria, opierając się na dwóch laskach, stała samotnie na peronie, zakłopotana i nieszczęśliwa: z walizką i torbą nie mogła kroku zrobić...

Szurik leciał po peronie z wózkiem inwalidzkim, całkowicie dzielając niepokój swojej przyjaciółki...

Dojechali bez przygód. Na trzy razy przewiózł windą Walerię z walizką i wózkiem, zataszczył wszystko do pokoju i popędził do swoich „turików”. Do restauracji wszedł równo wpół do drugiej, kiedy Francuzi w pełnym komplecie stali w grupie, nie potrafiąc samodzielnie się usadzić. Dalej następowało jedzenie, które Szurikowi nie przysługiwało. Z restauracji Szurik zaprowadził chętnych do GUMu, gdzie trwały zakupy ostatnich pamiątek. Potem stary doktor z Lionu poprosił, żeby pokazać mu aptekę, a grubaska z Marsylii życzyła sobie obejrzeć planetarium. Ale w kolejności było Jezioro łabędzie i z planetarium zrezygnowali. W czasie, gdy tancerki fruwały nad zakurzoną sceną, Szurik

zdażył pobiec do Jelisiejewskiego: jedzenia Waleria nie miała ni okruszynki. Po zaświadczenie do sekretarki absolutnie nie zdażył. Zadzwoił i umówił się, że przyjedzie jutro rano \* ona wychodziła z domu wpół do dziewiątej rano, ale nie do pracy, a do polikliniki.

Po spektaklu odbyła się pożegnalna kolacja. Nazajutrz Francuzi odlatywali do Paryża. Szurik postawił torbę z zakupami pod kontuarem administratora hotelu \* za Bóg zapłać. Głodny Szurik tłumaczył kartę dań. Kolacja mu się nie należała, dlatego ciągle próbował się wymknąć na moment, żeby urwać kawałek swojej ulubionej kiełbasy z torby pod ladą. Potem przyszedł przedstawiciel „Inturistu” ze współpracownicą o wyglądzie dziwki i trzeba było tłumaczyć na francuski jakieś niesamowite „mydło” o przyjaźni olimpijskiej. Dalej, podпиты doktor z Lionu przywłókł do Szurika dwie prostytutki, pewnie w celu, żeby porozmawiać, ale dziewczyny, zobaczywszy oficjalnych przedstawicieli, wystraszyły się i znikły...

O drugiej w nocy Szurik wreszcie dotarł do Walerii. Siedziała w fotelu, różowa, otyła. Włosy miała ułożone młodzieżowo, z grzywką na czole, a pozostała gęstwina równo padała na ramiona i wyraźnie wywijiała się falą do góry. I kimono miała nowe, bez wypłowiałych bocianów, a w rzadkie chryzantemy na różowoczerwonym tle... Stół był nakryty: rosyjska porcelana konkurowała z niemiecką. Pośrodku stołu stało przykrycie z materiału w kształcie kury z garnuszkiem gryczanej kaszy pod ciepłym kurzym kuprem. Oprócz kaszy i makaronu niczego do jedzenia Waleria w domu nie znalazła. W fotelu, z książką w ręku, cierpliwie czekała na Szurika z kolacją.

Postawił torbę przy drzwiach, podszedł do Walerii, cmoknął ją w czoło i zwałił się na krzesło:

\* Zwariowany dzień! Teraz przelknę cokolwiek i pobiegnę...

„Nie pobiegniesz” \* pomyślała Waleria.

Skoczył, wyciągnął z torby zawiniątko, ułożył na nakrytym stoliku obok Walerii. Ona tak wygodnie i przytulnie urządziła życie, żeby nie wstawać ze swojego fotela... Pospiesznie odwijała pakunki, wahała, uśmiechała się. Wargi jej lśniły różową szminką, purpurowy jedwab rzucał blask na twarz, i Szurik widział, jaka jest piękna, wiedział, że chciała mu się podobać, dla niego nakręcała w dzień grube lokówki i zdążyła zrobić manicure \* wilgotnie błyszczał gęsty różowy lakier, nieco kontrastując ze sforsowanymi od kul, w sinych żyłach, rękami.

\* Tam dobrze, całkiem dobrze karmili. Ale jedzenie takie monotonne... Zuch, że jesiotra kupiłeś...  
Nałóż sobie kaszy...

Pokroiła na porcelanowej deseczce ser, rozłożyła na talerzyku rybę. Odwróciła się w fotelu, otworzyła drzwiczki malutkiej szafeczki, wyjęła łopatkę i płaski widelec do ryby...

\* Ręce umyj \* przypomniał sobie Szurik i wyszedł. „Nigdzie nie puszcze” \* postanowiła Waleria, ale zaraz

się poprawiła, poprosiła pokornie Wyższej Instancji. \* Niech zostanie, dobrze? Przecież nie proszę o wiele...

Po tym, jak przepadło, zginęło jej dzieciątko i nogi przepadły ostatecznie, więcej na Litwę do starego księdza nie jeździła, nauczyła się sama dogadywać, bez pośredników. A do niego tylko listy z rzadka pisała. Kiedy zdarzało się coś dobrego, dziękowała Bogu. Grzeszyła \* kajała się, płakała, prosiła o przebaczenie. Obietnicę, którą dała Bogu za dzieciątko, sama zmieniała. On swojego słowa nie dotrzymał, a co dopiero ja, słaba kobieta? I dlatego wkrótce po dojściu do siebie po tej strasznej historii, zwabiła Szurika palcem i \* gdzie miał się podziać? \* przywróciła mu miejsce w łóżku. To wtedy prawdziwie się zaprzyjaźnili. Wszyscy inni mężczyźni w jej życiu, kiedy tylko zaczynali się nad nią litować, zaraz ze strachu ją porzucali. A Szurik zbudowany był wspaniale i jakby inaczej niż wszyscy pozostali: Waleria już dawno domyśliła się, że u niego litość i męska żądza znajdują się w jednym i tym samym miejscu.

Zdając się na instynkt i kobiecy nawyk, starała się upiększyć, podnieść swój nastrój do radośnie swobodnego, śmiała się dźwięcznie, migąła doleczkami, a on zwykle wyskakiwał wpół do pierwszej, wspomniawszy matkę, która nie śpi, czeka na niego. Kiedy nie mogła sama poradzić sobie z atakiem bólu, złego nastroju czy współczucia dla siebie, nie zostawiał jej samej. Dzwonił do mamy, pytał, jak się czuje i czy może dziś nie wracać na noc. Wtedy zostawał i tak się nią cieszył, że Waleria już nie żałowała siebie, a była dumna ze swojej urody i kobiecości, a jego, takiego dziecinnego, i czulego, i męskiego żałowała. Za co, sama nie wiedziała...

\* Otwórz wino \* Waleria podała mu korkociąg. \* Sąsiedzi dzisiaj wszyscy się rozjechali. Samej w mieszkaniu tak nieprzyjemnie...

Kłamstwo, oczywiście. Samej w mieszkaniu było bardzo dobrze i spokojnie.

\* Leroczka, nie mogę dzisiaj zostać. Muszę jutro do Wiszniego Wołoczka jechać. Matyldzie pilnie zaświadczenie potrzebne, na sprawę sądową.

\* To pojedziesz \* uśmiechnęła się Waleria. Przyjaźń Szurika z Matyldą była jej nawet w jakimś stopniu sympatyczna: Matylda była staruszką, z dziesięć lat starsza od Walerii...

\* Ale muszę jeszcze wcześniej rano po zaświadczenie pojechać, nie mam go...

Już miał zamiar opowiedzieć ze szczegółami i o lekarstwie, co w lodówce, i o Francuzach, których jutro trzeba na Szeremietiewo odwiedzić... Ale Waleria jakby nie słuchała. Patrzyła gdzieś w bok, kąciaki warg opuściły się. Już\*już a rozplacze się...

Szurik podniósł ją z fotela, ułożył na łóżku. Kasza, wyjęta spod szmacianej kury, stygła na talerzu. Łzy nie zdążyły polecieć...

Pocieszał przyjaciółkę nieco pospiesznie, ale z całą serdecznością.

Potem pojadł zimnej kaszy i poszedł. Nadrabiać. Wpół do siódmej był w domu, złapał lekarstwo, pojechał na dalekie Czertanowo po zaświadczenie dla Matyldy, stamtąd do „Nationalu”, z „Nationalu” na Szeremietiewo, z Szeremietiewa \* na Dworzec Leningradzki. I zdążył na pociąg, i udało mu się kupić bilet, i przyjechał do Wiszniego Wołoczka. Ostatni autobus już odjechał, ale dogadał się z prywaciarzem, a ten odwiózł go na wieś, tak że dotarł jeszcze przed autobusem. I Matylda nawet nie zdążyła zaniepokoić się myślą, że tym razem Szurik może ją zawieść...

Siwa, opalona, mocno wychudzona, powitała go butelką wódki, nakrytym stołem. Pocałowali się.

Najpierw Szurik położył na stół zaświadczenie i lekarstwo. Kiedy wróciła z sieni, gdzie stała maszynka naftowa, niosąc patelnię smażonych ziemniaków, on spał, oparłszy kędzierzawą głowę na złożonych po szkolnemu rękach.  
Dobry chłopak...

40.

Niedługo przed Nowym Rokiem \* osiemdziesiątego pierwszego \* rozległ się sygnał telefonu. Telefonistka długo krzyczała „RostowDon łączy!”, ale coś nie wychodziło z połączeniem, pełen złości głos w telefonie zamilkł i podczas, gdy Szurik wyjaśniał Wierze, że to na pewno jakaś pomyłka, znów rozległ się dzwonek i tym razem wszystko poszło dobrze i Szurik usłyszał spokojny, przyjemnie spowolniony żeński głos:

\* Szurik, cześć! Lena Stowba niepokoi. Mam pilną sprawę, chciałabym się z tobą spotkać. Będę w Moskwie w końcu grudnia. Można się będzie z tobą zobaczyć?

Póki Szurik dziwił się i zadawał dość bezsensowne pytania, Lena robiła długie pauzy, potem powiedziała rzeczowym tonem:

\* Hotel dla mnie zarezerwują, tak że nie masz się czym niepokoić. Nie chcę teraz mówić o szczegółach, ale myślę, że sam rozumiesz, co mi jest potrzebne... Chodzi o pewną formalność...

\* Tak, tak, oczywiście \* domyślił się Szurik, który nie chciał używać zbędnych słów. Wiera stała obok. \* Oczywiście, przyjeżdżaj. Będę rad... A jak żyjesz ogólnie?

\* O tym właśnie porozmawiamy, kiedy przyjadę. Biletów na razie jeszcze nie mam. Zadzwoń zaraz po przyjeździe. No, to na razie. Pozdrowienia dla mamy, jeśli mnie jeszcze pamięta \* i Stowba niepewnie chrząknęła.

O losie swojej fikcyjnej rodziny Szurik prawie nie wspominał od tego momentu, kiedy przed obiektywem fotoreportera syberyjskiej gazety Lena Stowba dała mu do rąk nowo narodzoną dziewczynkę Marię.

Wiera pytająco patrzyła na syna. Szurik rozważał sytuację: Wiera nie wiedziała o jego małżeństwie, a teraz, kiedy, sądząc z tego, Lena zamierzała się z nim rozwieść, głupio jej było o tym mówić.

\* Co się stało? \* Wiera zauważyła roztargnienie Szurika.

\* Dzwoniła Lena Stowba, pamiętasz ją, z Mendelejewki?

\* Pamiętam, masywna taka blondynka, przychodziła do nas uczyć się. Romans miała z Kubańczykiem, zdaje się, jakiś skandal... Nie pamiętam, wyrzucili ją z instytutu? Ta Kazaszka, Ala, miła dziewczyna, opowiadała. Tylko nie pamiętam, czym się to skończyło \* ożywiła się Wiera. \* Mimo wszystko dziwne, że ten twój epizod z Mendelejewskim instytutem wypadł mi z pamięci, jakby go nie było... Dziwny to był postępek. Straszne, straszne było lato \* przygarbiła się Wiera, wspominając śmierć Jelizawiey Iwanowny.

Szurik objął matkę za drobne ramiona, pocałował w skroń.

\* No, nie trzeba, proszę cię. Wiadomość jest taka: dzwoniła Stowba, przyjeżdża w końcu grudnia do Moskwy, chciała się spotkać.

\* Cudownie, niech przychodzi. Szurik, ona przecież nie wyszła za tego swojego Kubańczyka, tak? Nie pamiętam, jak się skończyła ta historia... \* spytała Wiera.

Tu Szurik zrozumiał, że popełnił błąd. Teraz już nie można będzie spotkać się ze Stowbą gdzieś na mieście, zaprosić do kawiarni i wszystko omówić poza domem.

\* Oczywiście, Wierusia, ona przyjdzie. A jej historia,

o ile wiem, niczym się skończyła. Urodziła córkę, mieszkała na Syberii, a teraz, widocznie, w Rostowie nad Donem mieszka. W ciągu tych lat nic o niej nie słyszałem.

\* Mimo wszystko to miło, że do ciebie zadzwoniła... Szurik przytaknął.

Stowba pojawiła się po kilku dniach od telefonicznej rozmowy \* z bukietem herbacianych róż dla Wierę Aleksandrownę

i z dzieckiem, okutanym na wierzchu kozucha w dużą wiejską chustę. Kiedy rozwiązali chustę i ściągnęli kozuch, ukazała się dziewczynka nietutejszej urody. Twarz jej i włosy były jednakowego miodowego koloru, i skóra błyszczała na wierzchu jak bardzo dojrzałe grusze. Oczy w kształcie

pestek śliwki, wydłużone, z nieuchwytnym zagięciem w kącikach powiek, mieniły się brązowym lustrzanym blaskiem.

\* Boże, jakie чудо! \* zachwyciła się Wiera.

Cudo ściągnęło z nóg walonki. Pod srogim matczynym spojrzeniem, dziewczynka powiedziała „ń dobry” i wykrzyknęła:

\* Coś wam powiem! Tu tyle śniegu, i choinki z zabawkami po prostu na ulicy stoją! A w pociągu był spodeczek pod szklanę. Caluteńki złoty!

Dziewczynka błyszczała, promieniała radością jak piec ciepłem, a w jej uśmiechu brakowało dwóch górnych siekaczy. W dziąśle przebijały się dwa białe paseczki.

Jakaż ona cała świeżutka, jak te wychodzące ząbki \* zachwyciła się w duchu Wiera. \* I z zupełnie innej planety...”

\* Chodź, poznajmy się \* pochyliła się nad dziewczynką. \* Nazywam się Wiera Aleksandrowna, a tobie jak na imię?

\* Maria, tylko niech pani nie nazywa mnie Masza, nie znoszę tego.

\* Całkowicie cię rozumiem. Maria to piękne imię.

\* Ja bym wołała Gloria. Jak dorosnę, zostanę Glorią \* oświadczyła dziewczynka. Szurik patrzył na Stowbę. To nie była ta sama Stowba. Pojawiło się w niej coś nowego filmowego. Przez lata, które minęły od urodzenia córki, Stowba nie tylko się zmieniła, wprost śladu nie zostało po sflaczało \* pulchnej piękności. Była chuda, gwałtowna i ruchliwa. Ciężkie jasne włosy, które niegdyś wywoływały u Enrike miłosną słabość, ostrzygła krótko. Nie mrużyła już oczu, zaczęła nosić okulary.

\* Poznałeś? \* cicho spytała Szurika, wskazując oczami córkę, a Szurik, ocknąwszy się, zrobił uprzedzający gest: ani słowa. Stowba kojarzyła szybko i natychmiast poprawiła się:

\* Myślałam, że mnie nie poznasz...

Ale Wiera nie zwróciła uwagi na ich płynne słowa.

Powierzchność tej dziewczynki, całej jej wygląd, fruujący \* określiła Wiera \* wyrazista mimika, wdzięk rzadkiego zwierzątka poruszyły tę głęboką strunę, która w organizmie Wiery zawiadywała tak mocno rozwiniętym poczuciem piękna.

\* Idziemy na herbatę, tort „Praga” kupiłem \* zaproponował Szurik i otworzył drzwi do kuchni.

Herbata była podana w kuchni, nie uroczyście.

Pili angielską herbatę z waniliowymi herbatnikami i tortem, a akurat był five o'clock. Maria jadła zajmująco, pomagając sobie palcami i kręcąc głową z zadowolenia. Oblizwała czekoladowe palce, kocim ruchem otarła usta, zwróciła głowę na długiej szyi takim wytwornym ruchem, z przerwą w środku, z wykończeniem ruchu, zaznaczonym

lekkim uniesieniem podbródka, po czym powiedziała do Wiery żałośnie:

\* Czegoś takiego u nas nie ma. Bardzo smaczne. Szkoda, więcej nie mogę \* i smutnie podrzuciła główkę.

Wiera całkiem automatycznie powtórzyła jej ruch, złapała się na tym, uśmiechnęła się \* jaka zaraźliwa plastyka!

\* Chodź, pokażę ci choinkę \* zaproponowała Wiera i poprowadziła Marię do dużego pokoju.

Kiedy zostali sami, Szurik ze Stowbą zapalili. Papierosów „Femina” już nie było, więc Szurik częstował oficjalną żonę zagranicznymi papierosami „Lord”. Między głębokimi zaciągnięciami Lena powiedziała, że już od dawna mieszka w Rostowie nad Donem, ma dobrą pracę, wszystko w porządku. Tylko pilnie jej potrzebny rozwód, gdyż pojawiła się możliwość połączenia się z Enrike: on znalazł pewnego Amerykanina, który jest gotów przyjechać do Rostowa, wziąć z nią ślub i wywieźć ją.

\* Amerykanin \* na Kubę? \* przy całym swoim politycznym dziewictwie Szurik miał wątpliwości. Stowbą patrzyła na niego wzrokiem swojego ojca \* rejonowego komisarza: nieruchomo i ciężko.

\* No, tak... Nie powiedziałam ci głównego. Fidel to dziwak.

\* Jaki Fidel? Przecież ty o Enrike opowiadasz?

Stowbą zdjęła okulary, popatrzyła na Szurika, zbliżając do niego twarz, potem znowu je nałożyła.

\* Jaki? Z brodą! Castro, oto jaki! Ojciec Enrike był z nim od samego początku, od Playa Chiron! Zrozumiałeś, kto oni? Wszystko rozumiałeś?

Szurik przytaknął.

\* Więc tak, Enrike ma starszego brata, z innego ojca, Polaka. Matka była pięknością, z Wypskajmana. A brat jego, Polak, z Kuby zwiął, a Fidel mściwyjak czort, więc wsadził ojca Enrike, chociaż chodziło nie o tego Polaka, on w ogóle nie miał z nimi nic wspólnego, oni różnili się jakimiś politycznymi opiniami. A kiedy ojca wsadził, to i do Enrike się dobrał, odwołali go z Moskwy i też posadzili. Enrike wyszedł z więzienia, odsiedział pełne trzy lata. A ojciec nie wyszedł. Mówią, że umarł w celi na atak serca. Rozumiesz?

Szurik kiwnął z szacunkiem: historia zasługiwała na szacunek.

\* A potem Enrike z Kuby uciekł. Popłynął łódką, jak wielu innych Kubańczyków. Uważasz? Już rok jest w Miami. Rzadko się kontaktujemy. Enrike żyje jak uchodźca, ale obiecano mu zieloną kartę. A na razie wyjechać nigdzie nie może. Pracuje jak niewolnik, a jeszcze egzaminy na uniwersytecie zdaje, chce swoje medyczne wykształcenie potwierdzić. I znalazł Amerykanina, który obiecał zrobić ten przekręt ze ślubem. Rozumiesz teraz, dlaczego mi tak pilnie rozwód potrzebny? A i tak mnie ten stempel ani ziębi, ani grzeje...

Znowu zapachniało filmem \* awanturnicznym.

Zmieniła się nie tylko powierzchowność Stowby, zmieniła się też maniera rozmowy \* z wcześniej powolnie wyniosłej na zwięzłą i rzeczową.

\* Rozumiesz teraz, dlaczego mi rozwód pilnie potrzebny?

\* Oczywiście. Tylko, Lena, weź pod uwagę, że mama nie wie, że zawarliśmy ślub, i nie chciałbym, żeby się dowiedziała... Rozumiesz, prawda?

\* Naturalnie, naturalnie, ja po prostu zażartowałam głupio \* zmieniła temat. \* A pamiętasz, jaka Maria była brzydulka, kiedy się urodziła? A wyrosła na piękność.

Stowba patrzyła dumnie.

\* Len, dziewczynka jest porażająco piękna, ale jaka była wtedy nawet nie pamiętam \* było coś żółtego i pomarszczonego.

\* Ona do matki Enrike podobna, tylko jeszcze ładniejsza \* westchnęła Stowba.

Kiedy w kuchni trwały rozmowy, Maria oglądała zabawki choinkowe, cieszyła się wszystkimi odcieniami dziecięcej

radości naraz \* gorąco, burzliwie, nieśmiało, cicho, nieświadomie i religijnie. Wiera z uwielbieniem obserwowała tę emocjonalną tęczę: jakież bogactwo! Jakież duchowe bogactwo!

Wiera zdjęła z choinki szklaną ważkę, najładniejszą z zachowanych babcinych zabawek i zawinęła ją w papierową bibułę. Maria stała przed nią, złożywszy ręce i opuściwszy długie rzęsy, oceniające policzki. Maleńkie zawiniątko Wiera włożyła w jedno z japońskich pudełeczek, pozostałych po nieboszczyku orderze, a Maria wzięła pudełeczko dwiema rękami i przycisnęła do piersi.

\* Ooo \* westchnęła dziewczynka. \* To \* dla mnie?

\* Oczywiście, dla ciebie.

Dziewczynka zakryła twarz skrzyżowanymi dłońmi i rytmicznie zakołysała się. Wiera się przeraziła. Maria odjęła ręce od twarzy i powiedziała tragicznym głosem:

\* Ja mogę to zniszczyć.

Wiera pogłaskała ją po włosach \* były przyjemnie gładkie w dotyku.

\* Każdy może zepsuć.

\* Mnie się to często zdarza \* i westchnęła.

\* I mnie też się zdarza \* uspokoiła ją Wiera. \* Chcesz, zagram ci?

Kiedy weszły do pokoju, choinka z miejsca przykuła uwagę dziewczynki i dopiero teraz zauważyła pianino.

\* Jakie gołe pianino, bez nakrycia... \* powiedziała dziewczynka, gładząc lakierowane wieko.

\* Co masz na myśli? \* zdziwiła się Wiera.

\* U mojej nauczycielki, Mariny Nikołajewny, leży nakrycie z koronkami \* wyjaśniła Maria. Wiera posadziła Marię w fotelu Jelizawiey Iwanowny i zaczęła grać Schuberta. Początkowo dziewczynka słuchała bardzo uważnie, ale niespodziewanie podbiegła i waliła piąstką po klawiszach. Zagrzmiały basy. Maria pokręciła się w kółko i zapiszczała:

\* Nie wolno tak! Nie wolno! Nie można tak! Wiera zgłupiała: co za dziwaczna reakcja!

\* Dziecinko! Co się stało? O co chodzi?

Maria wskoczyła na fotel, zwinęła się w kłębek. Zamarła. Wiera ostrożnie dotknęła jej ramienia. Przez kilka minut gładziła jej wąskie plecy. Potem dziewczynka wyrzuciła głowę z kłębka jak zmija. Oczy zrobiły się ogromne, czarne \* jakby same źrenice bez tęczówki, i wilgotne:

\* Przepraszam. Tak się zezłościłam, dlatego, że mnie się nic nie udaje. A tobie się udaje...

\* Co się nie udaje, dziecinko moja? \* zdumiała się Wiera.

\* Granie mi się nie udaje...

Wiera wzięła ją za ręce, siadła w fotelu, posadziła ją obok siebie: w obszernym fotelu Jelizawiey Iwanowny im dwóm starczało miejsca z nadstatkiem.

„Jakie złożone życie u matki, u dziewczynki! Jaka emocjonalność, wrażliwość, pociągająca gracia, ten niespotykany kolor skóry \* coś jak z kolonialnych powieści! \* bardziej czuła niż myślała Wiera. \* Niezwykłe, wyjątkowe dziecko!”

\* Mnie się też wiele TTeay nie udaje. Wiesz, ile trzeba ćwiczyć, żeby się udało \* pocieszała Marię Wiera.

\* Tak, ja cały rok chodzę do Mariny Nikołajewny i wszystko jedno, nic mi nie wychodzi.

\* Wybierz sobie jeszcze jedną zabawkę z choinki! \* zaproponowała Wiera.

Maria zeskoczyła na podłogę, poskakała, zakręciła się, wydawało się, że liczba rąk i nóg u niej się podwoiła, i Wiera ponownie zachwyciła się ładunkiem energii w tak małym ciele.

Weszli Szurik ze Stowbą.

\* Zbieramy się, Mario \* zwróciła się Stowba do córki. I dodała: \* Mamy hotel gdzieś we Władykinie, daleko trzeba jechać.

Wiera Aleksandrowna natychmiast zaproponowała nocleg: po co ciągnąć dziecko przez całe miasto do kiepskiego

hotelu, kiedy one mogą cudownie przenocować w pokoju felizawiey Iwanowny?

\* Z choinką? \* uradowała się Maria.

\* Oczywiście, tutaj wam pościelimy...

Nazajutrz Stowba na prośbę Wiery Aleksandrowny pojechała do hotelu sama, zostawiając córkę u Kornów, zabrała rzeczy i do końca tygodnia biegała po różnych instytucjach: prócz rozwodu były jeszcze sprawy służbowe.

Wiera Aleksandrowna spacerowała z Marią, zaprowadziła ją, kierując się jakimś wewnętrznym porywem, do Muzeum Kultur Wschodnich i pokazała plac Czerwony. Dla Wiery te spacerunki były nad wyraz przyjemne: cieszyła się razem z Marią i patrzyła na miasto, które za jej pamięci stawało się coraz gorsze, zachwyconymi oczami dziecka.

Szurik z Leną tymczasem pojechali do Urzędu Ślubów. Okazało się, że do rozwodu brakuje jednego dokumentu \* metryki urodzenia Marii. Stowba zostawiła go w domu, kiedy uciekła z czteromiesięczną córką. Żeby go dostać, trzeba było prosić o to babcię, z którą potajemnie korespondowała, albo zwrócić się do urzędu w syberyjskim mieście. W każdym przypadku wymagało to czasu i Stowba wyjechała z tym, że powróci, jak tylko dostanie potrzebny dokument. Wiera była mocno zmartwiona: ona już z grubsza przemyśliwała, jakie miłe święto można by urządzić dla cudnej dziewczynki.

41.

Palec Szurika, który początkowo tak straszliwie bolał, zsiniał i nabrzmał, potem boleć całkowicie przestał, a po pewnym czasie przy nasadzie odrosło kilka milimetrów różowego paznokcia. A potem wyrósł nowy z dziwnym karbem pośrodku. Złamanie w śródstopiu zrosło się samo, bez żadnych powikłań. Szurik zupełnie zapomniał o absurdalnym wydarzeniu.

Prawdopodobnie właścicielka paleontologicznego okazu z upływem czasu też by zapomniała o tym, ale przypadkowa rzecz \* pocztowy kwit z byle jak napisanym adresem zwrotnym i niedokończonym nazwiskiem „Kor” \* Kornilow? Korniejew? \* nie dawał zapomnieć. Uzbrojona w lupę Swietłana badała niewyraźny adres \* ulica była na pewno Nowoleśna, siódemka była podobna

do jedynki, haczyk mógł być i dwójką, i piątką... Ale ta niepewność przyjemnie niepokoiła: przecież on nieprzypadkowo zostawił kwit ze swoim adresem? A nawet jeśli i przypadkowo, to czy nie jest to zrządzenie losu, wskazówka opatrności?

Kilka dni Świetłana przeżyła w przedsmaku szczęścia. Wydawało się jej, że on powinien wrócić \* nie dziś, to jutro \* i ciągle odgrywała próby ich spotkania: jak ona się zdziwi, jak on będzie speszony, i co powie on, i co ona... Ale on ciągle nie przychodził: nie może się zdecydować... wstydzi się... jakieś okoliczności mu przeszkadzają...

Po tygodniu przyszła jej do głowy myśl, że on może w ogóle zniknąć. Czym mniej było szans, że on wróci, tym bardziej ona obrażała się na niego. W myślach z nim rozmawiała, stopniowo te rozmowy stawały się denerwujące i, co bardzo nieprzyjemne, niekończące się.

Późnym wieczorem, zażywszy coś lekkiego na sen, zasypiała na jakieś dwadzieścia minut, ale rozmowa z Szurikiem wdzieriała się w sen i burzyła go. Długo z nim rozmawiała odurzona lekarstwem \* on to prosił o wybaczenie, to się kłócili i godzili, a wszystkie te kontakty były częściowo sterowane, ona wymyślała wątek, a on rozwijał się w podanym kierunku... Dręczyła się. Potem wstawała...

Jej sen, z natury lekki i niespokojny, w końcu całkiem się rozregulował i teraz wstawała po nocach, piła gorącą wodę z cytryną i siadała przy stole \* robiła kwiaty z jedwabiu, białe i czerwone, dla spółdzielni, która przygotowywała wieńce pogrzebowe. Ona była mistrzynią, ale dobrych zarobków nigdy nie miała, gdyż pracowała bardzo wolno. Za to róże, które zwijała na okrągłej łożycie z cienkiego podklejonego jedwabiu, wyróżniały się smutnym wydłużeniem, które innym robotnicom nie wychodziło.

Do rana siedziała w odrętwieniu nad śliskim jedwabiem, rankiem zasypiała na dwadzieścia minut i znowu siadała przy stole. Z domu prawie nie wychodziła: bała się przegapić przyście Szurika.

Już wiedziała, że zupełnie wyszła z na pół medykamentalnej duchowej równowagi, którą przez rok utrzymywał znakomity doktor Żuczylin, gruby i serdeczny, jak bardzo stary kastrowany kot.

Wytrzymała tak miesiąc i poszła do Żuczylina. Mieszkał niedaleko, na Małej Bronnej, i ona już od dawna chodziła do niego do domu, a nie do szpitala.

Żuczylin był z gatunku szlachetnych masochistów, wnikliwy i współczujący lekarz, i wielu pacjentów traktował jako swój życiowy krzyż. Pieniądzy się wstydził, wykręcał się od nich, prezenty przyjmował w postaci książek i koniaków. Świetłana szła dla jego córki małe lalki z narysowanymi na jedwabiu białymi twarzyczkami, w czerwonych i niebieskich sukienkach...

Od czasów studenckich samobójstwo zaczarowało doktora jako niepojęty i przyciągający pęd szczególnego typu ludzi i wybór specjalności psychiatrycznej był spowodowany raczej względami humanitarnymi niż medycznymi. Świetłana była tego właśnie typu człowiekiem niosącym w sobie wewnętrzną skłonność do samobójstwa, a poznał ją po jej próbie samouniżenia, na szczęście nieudanej.

Żuczylin wiedział ze statystyki medycznej, że trzecia samobójcza próba bywa najbardziej skuteczna. Jeśli wyjść z jego dość niepewnych twierdzeń, w zamierzeniu mających stać się teorią, w przypadku prawidłowego leczenia Świetłany ryzyko z czasem powinno się zmniejszać, jeśli w dalszym życiu zagrażać jej będą tylko naturalne starzenie się i związane z tym choroby. Ona jakby przeskoczy strefę ryzyka. Świetłana zatem zaliczała się teraz do grona osób, o które najbardziej się niepokoił i najbardziej interesujących jego pacjentów.

Z takimi swoimi pacjentami rozmawiał godzinami. Ważne było dla niego dotarcie do głębi, do samego punktu załamania, w którym zaległa idea samobójstwa. Metodyka freudowskiej psychoanalizy nie była mu obca i śmiało wchodził do cudzej duszy, w nadziei dokonania naprawy po omacku, w głębokiej ciemności...

Nina Iwanowna, żona Żuczylina, poszła spać, a oni siedzieli w kuchni, analizując chorobliwe rośliny myśli i przeżyć Świetłany. Opowiedziała mu o wydarzeniu. Zabawnym sposobem jej opowiadanie zawierało tę właśnie część wydarzenia, którą opuścił Szurik przy przekazie tej historii matce. Historia z zębem mamuta tym sposobem dostała się Wierze, a miłosny epizod, który w relacji Świetłany znalazł się na całkowicie opuszczonym miejscu, czyli bez wspomnienia o zębem mamuta, w całości dostał się doktorowi. Pozbawiona swojego początku historia przybrała formę



okrutnego uwiedzenia z elementem gwałtu. Chociaż Żuczylin zadawał prowokacyjne pytania, starając się przybliżyć obraz, narysowany przez Świetlane, do czegoś bardziej prawdopodobnego, to mu się nie udawało. Gwałt na życzenie \* tak określił sobie przedstawioną sytuację.

Pił swoją mocną herbatę, dolewał Swietłanie wrzątku do filiżanki z powidłami, w której od czasu do czasu zanurzała usta, i rozmyślał o tym, że chory od zdrowego różni się w istocie tylko sposobem kontroli nad zadrą, siedzącą w psychice. Można ją zamknąć w kapsułce, postawić mur obronny, nie pozwolić rozszerzyć się zapaleniu, ale wyrwać jej nie był w stanie. I słuchał biednego zakochanego bredzenia, zauważając sprzeczność jej życzeń: pragnęła wolnej i szczęśliwej miłości, będąc przy tym ofiarą złych ludzi, okoliczności i, co w tym przypadku było niezwykle ważne \* samego bohatera. Bycie niesprawiedliwie pokrzywdzoną, dziwacznie i wyjątkowo, było jej głęboką potrzebą.

Doktor Żuczylin rozumiał także, że jeśli powie Swietłanie o jej chorobliwej potrzebie bycia krzywdzoną, ryzykuje tym, że dodatkowo ją skrzywdzi i podważy to zaufanie, bez którego on w ogóle nie będzie mógł utrzymywać jej w granicach względnego zdrowia...

Większość jego kolegów oceniłoby jej stan jako objaw maniakalnej psychozy i dałoby jej silne psychotropowe preparaty, tłumiące wszystkie jej zdolności, w tej liczbie także jej zdolności do bezgranicznego cierpienia.

\* Droga moja Swietoczko! \* powiedział Żuczylin po drugiej w nocy. \* Zaczniemy od tego, że jesteśmy w stanie ocenić zachodzące wydarzenia i reagować na nie w adekwatny sposób. Czy nie tak?

To powiedzenie zawsze działało na Świetlane orzeźwiająco. Ona właśnie chciała, żeby wszystko było adekwatne... Jej własne zachowanie wydawało się jej adekwatnym, ale jak to się ma do Szurika? To on zachowywał się nieadekwatnie \* nie przyszedł, kiedy Świetlana tak tego pragnęła... Przytaknęła. Strasznie jej się chciało spać, ale wiedziała, że nie uda się jej zasnąć i odciągała chwilę pożegnania.

\* Nie trzeba wpędzać się w sytuację bez wyjścia. Zachowania młodego człowieka nawet nie będziemy poddawać analizie. Kim on jest \* marny uwodziciel czy po prostu wpadł w niespodziewaną dla siebie sytuację, pamięta pani Udar słoneczny Bunina? Nieoczekiwany, nieprzewidywalny wybuch uczucia? Więc niech to będzie słoneczny udar, i człowiek, z natury swojej zupełnie niezdolny do gwałtu, nagle go dokonuje... Jego więcej nie ma. Jeśli nawet chcielibyśmy go odszukać i żądać wyjaśnień tak skandalicznego zachowania, nie mamy takiej możliwości... W Moskwie jest dziewięć milionów mieszkańców, z tego sto tysięcy Szurików! Całkowicie pusty numer. Nigdy nam się nie uda wyjaśnić, dlaczego dokonał takiego postępu, ale uporządkować sen trzeba absolutnie koniecznie. I to jest w naszych możliwościach. Uważam, że nieźle byłoby pojechać do sanatorium. O to można się postarać. Schudła pani. Utrata wagi w pani sytuacji jest bardzo niewskazana. Wydaje mi się, że trzeba jeszcze raz przebadać tarczycę. Naszkicuję w ciągu kilku dni nowy plan, i zaczniemy żyć według nowego rozkładu. Ten problem nie wydaje mi się bardzo poważny i myślę, że razem możemy go rozwiązać...

Niczego takiego doktor Żuczylin nie myślał: stan wydawał mu się bardzo poważny, ale sądził, że zrobi ostatnią próbę wyprowadzenia Świetlany z nadchodzącego kryzysu za pomocą minimalnych środków.

Świetlana ze swojej strony też powzięła postanowienie. W torebce leżał kwit, o istnieniu którego słowem nie wspomniała doktorowi, a po wszystkim powiedzianym i opowiedzianym gotowa była pójść pod wskazany na kwicie adres. Słowa Udaru słonecznego bardzo ją natchnęły.

Oboje oni \* i lekarz, i pacjentka \* byli z siebie zadowoleni: każdemu z nich oszustwo udało się w pełni...

Spać tej nocy Świetlana już się nie kładła. Przyszła do domu nad ranem. Sąsiedzi spali i ona weszła do wspólnej łazienki, długo myła wannę pastą o ostrym, zapierającym dech zapachu, potem naląła pełną wannę wody i położyła się. Zwykle brzydziła się tej wspólnej wanny, z popękaną jak skóra słonia emalią, ale teraz myślała o tym, że to jej wanna, że to jej zmarła babcia żyła w tym mieszkaniu od początku jedenastego roku, dziadek żył tu, i ojciec tu się urodził, i całe to mieszkanie

należy się jej z prawa urodzenia, a wszyscy ci terazniejsi lokatorzy, przyszli zaborcy, dokwaterowańcy, wczorajsza wiocha \* nikt z nich nawet nie podejrzewa, że ona jest prawdziwą gospodynią... I gorzko\*słodka krzywda, ulubiona krzywda ogarnęła Świetlanę...

Wszystko było bielutkie, białe \* i majtki, i stanik, i bluzka. Krzywa perła wisiała na srebrnym łańcuszku: złoty dawno już był sprzedany. Perła nie była całkiem biała, raczej szarawa. Ale była stara, prawdziwie oryginalna, chociaż martwa. Świetłanie wydało się, że może coś zjeść.

Ugotowała jajko. Zjadła połowę. Wypiła pół filiżanki. Czuła wielką ważność dnia.

„Będziemy reagować na wydarzenia w adekwatny sposób” \* przypomniała sobie i w pół do ósmej wyszła z domu. Doszła do Krasnopresnienskogo metra, dojechała szybko do „Białoruskiej”, potem długo szukała ulicy Nowołeśnej, jeszcze dłużej szukała domu. Siódemka okazała się jednak jedyneką, dlatego, że domów na ulicy nie było tak dużo i numeracja nie dochodziła do siedemdziesięciu... Piętnaście po ósmej siedziała na ławce, mając w polu widzenia jedyne wejście do nowego domu z cegły.

Przesiedziała trzy godziny. Miała uczucie głębokiej pewności, że się nie pomyliła, że młody człowiek niezawodnie mieszka w tym domu. Pod koniec trzeciej godziny weszła do klatki i zatrzymała się przed szeregiem skrzynek pocztowych, rozmieszczonych między parterem i pierwszym piętrem. Na niektórych były naklejone karteczki z nazwiskami mieszkańców, na innych nazwiska były napisane ołówkiem wprost na blasze pomalowanych na zielono skrzynek. Na niektórych były tylko numery mieszkań. Szukała nazwiska „Korniłow” lub „Korniejew”. Pod numerem „52” była przyklejona karteczka, na której starannym pięknym pismem było napisane „Korn”. To było nawet ładniej niż „Korniłow”...

Zadowolona w pełni, Świetłana wróciła do domu. Wiedziała, że młodego człowieka ma już prawie w rękach.

Żadnej opracowanej strategii Świetłana nie miała. Do początków września chodziła co drugi dzień pod klatkę, koło ósmej rano, przesiadywała na ławeczce równo trzy godziny i o jedenastej odchodziła. Była pewna, że Szurik

wcześniej czy później się pojawi i, jak cierpliwy myśliwy w zasadzce, siedziała nieruchomo skupiona, nie spuszczać z pola widzenia wychodzących mieszkańców. Niektórych już pamiętała z twarzy. Ktoś tam jej się podobał, kogoś zdążyła znienawidzić: najsympatyczniejszy był okularnik z teczką i gazetami, wyjętymi przed chwilą ze skrzynki pocztowej, z których jedną niezmiennie upuszczał przy wejściu; szczególną niechęć budziła gruba dziewczyna na słoniowych nogach, na którą czasami czekał samochód.

Kiedyś, wróciwszy do domu po kolejnym dyżurze, który przypadł na deszczowy dzień, Świetłana zachorowała. Zaczęła się silna angina, jakiej dawno nie było. Choroba zjawiała się w porę, dawała złapać oddech w męczącym polowaniu, więc Świetłana starannie się leczyła: płukała gardło różnymi płukankami, smarowała rozpaloną gardziel roztworem jodyny w glicerynie i łykała nieszkodliwe tabletki \* antybiotyki odrzucała, ale ogólnie to leczyć się bardzo lubiła. Angina ciągnęła się prawie dwa tygodnie i zakończyła się razem z ładną pogodą.

Pierwszego dnia, kiedy stwierdziła, że jest zdrowa, zebrała w dwa pudełka rozkwitłe podczas choroby kwiaty i odwiozła do spółdzielni \* okropnie daleko \* na Koptiewski Rynek. Otrzymała pieniądze za zeszyły miesiąc i postanowiła, że trzeba pilnie kupić płaszcz: w starym niebieskim na żadne spotkanie pójść nie mogła.

Kupno płaszcza było niełatwą sprawą pod wszelkimi względami. Zresztą, jak i każde inne zakupy. Świetłana należała do tego rodzaju ludzi, którzy zawsze dokładnie wiedzą, co im jest właśnie potrzebne. Dlatego płaszcz, który widziała w wyobraźni \* koloru beżowego, z kapturem, ciętymi kieszeniami i rogowymi guzikami na dodatek \* można było szukać do końca życia.

Teraz każdego ranka, zamiast jazdy na „Białoruską”, Świetłana robiła wyprawy do sklepów. Była drobiazgową i nastawioną na cel, a w końcu drugiego tygodnia upewniła się, że płaszcz, zrodzony w jej wyobraźni, może być tylko uszyty. Wtedy się zdecydowała: szyć. To zmieniło zakres jej poszukiwań \* teraz musiała obejść sklepy z materiałami. Od razu w pierwszym, dosłownie obok domu, poszczęściło się \* kupiła piękny materiał płaszczowy czechosłowackiej produkcji. Problemy z uszyciem płaszcza rosły jak śnieżna kula: a podszewka? A guziki? A płótno usztywniające? A

wszystkie te trudności były upragnione i im bardziej skomplikowane, tym lepiej \* Szurik, tym sposobem, spadał na dalszy plan, smażył się tam w dali na maleńkim ogniu. Główny kierunek \* płaszcz...

Żuczylin kilkakrotnie dzwonił zaniepokojony: według jego diagnozy, Świetłana powinna go teraz szczególnie potrzebować i trzymać się go, jak to się zawsze działo w krytycznych chwilach. Ale, co dziwne, tak się nie działo. Rozmawiała z nim przez telefon nawet trochę lekceważąco.

Oświadczyła, że teraz jest bardzo zajęta szyciem płaszcza... A sen poprawił się...

„Jednak szmatki \* jaki to silny terapeutyczny stymulator dla kobiety! Trzeba to przemyśleć” \*

zauważył Żuczylin. Miał mnóstwo pomysłów, a jeden z nich dotyczył olbrzymiej różnicy w objawach takich samych psychicznych rozchwiań u mężczyzn i kobiet. Przemyślałszy, zdecydował, że w najbliższym czasie kolejna samobójcza próba jest mało prawdopodobna... Podczas pokonywania trudności w zdobywaniu elementów płaszcza, niejakiego pierwowzoru znanego szynela, nadeszła zima. Płaszcz był gotów, wisiał w szafie na drewnianym wieszaku, nakryty starym prześcieradłem. Na dworze leżał śnieg, o nowym zimowym palcie nie mogło być mowy \* wszystkie finansowe moce zostały wyczerpane. Problem z Szurikiem znowu był na pierwszym planie.

Pojechała do ciotki na Priebrażenkę. Jakies dwa lata temu ciotka ofiarowała jej stare futro karakułowe, którego wtedy nie chciała: futro było piękne, ale wymagało dużej renowacji. Cioteczka obraziła się na nią, więc Świetłana kupiła drogi tort i wybrała z kilku malutkich kapeluszkowych bukietów najbardziej różowy: jako aluzję do starczej pasji ciotki \* odmładzania się.

Pogodziła się z cioteczka, nawet się trochę podlizwała. Poskarżyła się na zimno, wspomniała o futrze karakułowym. Cioteczka pokręciła głową:

\* Trzeba było brać od razu, ja to futro żonie Witi podarowałam.

Ale zaraz jej długonosa twarz stała się jakaś zagadkowa. Świetłana nawet nie zdążyła zmartwić się, gdyż zrozumiała, że w zamian cioteczka zaproponuje jej coś innego. I zaproponowała! Boże! Co to było! Ogromna skóra jelenia. W cudownym orzechowym kolorze. Z niepokojącym zwierzęcym zapachem. Świetłana zachwyciła się i pocałowała cioteczkę.

\* Nikołajowi Iwanowiczowi z Północy przywieźli. Bierz, nie szkoda. Tylko nie ciesz się już tak bardzo. To letnia skóra, widzisz, linieje... Długo jej nie ponosisz. Chciałam ją na kanapę położyć, ale jak na nią siądziesz, cały tyłek we włosach. Bierz, dla ciebie nie szkoda...

Żeby nie stracić całkowicie Szurika z oczu, Świetłana robiła kilka wywiadowczych wyjść. Wreszcie jej się poszczęściło i zobaczyła, jak Szurik wyprowadził z klatki pod rękę malutką damę w szarym berecie i przeprowadził dokądś wokół domu, nie po głównej ścieżce. Kiedy Świetłana, odczekawszy minutę, poszła za nimi, zniknęli już bez śladu. Szurik towarzyszył matce na zajęcia teatralne, i zniknęli za niewielkimi drzwiami, prowadzącymi do piwnic.

Innym razem obserwowała scenę pożegnania mieszkańców ze swoim komisarzem: zmarł Michaił Abramowicz i cały dom wyszedł do autokaru, który uwiózł błędnego rycerza marksizmu do krematorium przy Dońskim monasterze. Szurik niósł trumnę od klatki do autokaru razem z dozorcą i dwoma partyjnymi mężami w kapeluszach. Potem wyprowadził z klatki tę samą, co poprzednio, damę, która tym razem była w czarnym berecie i miała bukiet białych chryzantem. On z wielkim szacunkiem podsadził damę do autokaru, a potem wsadził do niego wszystkich pozostałych staruszków i staruszki, odprowadzających trumnę. Po czym sam wsiadł także.

Tego dnia Świetłana dowiedziała się od windziarki numeru telefonu do zarządu spółdzielni, zadzwoniła tam jakoby z poczty i dowiedziała się numeru telefonu mieszkania pięćdziesiąt dwa. Dopiero przy trzeciej próbie Świetłanie udało się chwycić prawdziwy ślad. Jakoś pod wieczór \* Świetłana zrezygnowała z porannych dyżurów \* on spiesznie wyskoczył z klatki, sam, z papierową teczką pod pachą, i pobiegł na przystanek trolejbusu. Ale trolejbus przed chwilą odjechał, więc powstał moment na przystanku, dając Świetłanie tym samym możliwość opanowania nerwów i skoncentrowania uwagi, po czym szybkim krokiem poszedł do „Białoruskiej”. Ona szła nieco z tyłu, ale jej nie zauważał.

Moment był odpowiedni do tego, żeby zagadnąć, jednak Świetłana nagle spociała się ze strachu i

pojęła, że na razie nie jest gotowa. A także zrozumiała, że teraz stoi przed nią najtrudniejsze \* tak podejść do Szurika, żeby nie ucierpiała jej kobieca godność: ona nie jest z tych, co ganiają za mężczyznami... Do tej pory nie myślała, co mu powie, kiedy go w końcu zobaczy. Przebierała jakieś bezużyteczne słowa, ale żadne nie pasowały.

Została trochę z tyłu, ale nie traciła go z oczu. Zjechała do metra. Zdażyła wsiąść do tego samego co on wagonu, zdażyła wyjść za nim na Puszkinskij, nie zgubiła go na tłumnej stacji...

Nawet doświadczonym śledczym nie zawsze udaje się w tak idealny sposób „doprowadzić” klienta, jak to się udało Świetłanie od pierwszego razu. Wyśledziła cel jego marszruty \* klatkę tego samego potężnego stalinowskiego domu przy Nikitskich Worotach, na rogu ulicy Kaczałowa, gdzie w sklepie „Tkaniny” kupowała materiał na płaszcz. Kto by pomyślał! Była tak podniecona, że nie czekała na jego wyjście i pobiegła do domu. Do domu było dziesięć minut drogi.

W domu wypita gorącej herbaty, rozgrzała się i wzięła za futro. Nie może stanąć przed nim w starym palcie... Praca przy futrze posuwała się bardzo powoli. Skóra była gruba i źle wyprawiona. Świetlana rozkroiła skórę i teraz szczelnie łączyła części kroju taśmami. Była to praca ręczna, zmuDNA, a w dodatku ciężka. Ale, jak każda ręczna praca, dawała czas na rozmyślania. I Świetlana, wybiegając naprzód, budowała zamki dziewiczych rojeń... W istocie, nieskończone futro powstrzymywało jej niecierpliwość, a też i skryty strach: a jeśli nic się nie zdarzy?

Tego wieczora, kiedy futro było gotowe, postanowiła zadzwonić do Szurika. To było znacznie prostsze niż podejść na ulicy. Przemyślała wszystkie warianty, nie wyłączając najgorszego: że on w ogóle nie będzie pamiętał, z kim rozmawia... Wszystko rozważyła, przewidziała. Zadzwoniła o dziesiątej wieczorem. Telefon odebrała kobieta. Pewnie ta miła dama \* jego matka... Świetlana odłożyła słuchawkę

i postanowiła dzwonić codziennie o tej porze.

Po kilku dniach słuchawkę podniósł Szurik, więc powiedziała lekkim wesołym głosem, jakby to nie ona, a całkiem inna dziewczyna:

\* Dzień dobry, Szurik! Ma pan pozdrowienia od mamuta, którego ząb przysporzył panu nieprzyjemności!

I Szurik od razu przypomniał sobie niefortunnego mamuta \* paznokieć z dużego palca schodził ponad trzy miesiące, trudno było o tym zapomnieć. Roześmiał się i nawet nie spytał, skąd wzięłajego telefon. Ucieszył się, zaśmiał do słuchawki.

\* No jakże, jakże! Pamiętam pani mamuta!

\* I on pana nie zapomniał! Nawet niedawno przypomniał mi o panu. Wycierałam kurz z pianina, i on mi przypomniał... zaprasza pana w gości!

To był cud, jak wesoło i łatwo przeszła rozmowa, i w gości go zaprosiła, nic nie tracąc z godności, i on od razu się zgodził. Tylko długo wybierał dzień \* nie w sobotę, nie w niedzielę, nie w poniedziałek. W środę \* dobrze? Tylko proszę adres podać, pamiętam, że przy poczcie, ale numeru mieszkania nie pamiętam...

To było w pobliżu Walerii, we wtorek wybierał się do redakcji zabrać paczkę dla Walerii, a w środę zawieźć do niej. Do Świetlany przyszedł o siódmej, jak się umówili.

Pośrodku stołu stał ząb mamuta, obstawiony sztucznymi kwiatami, i były wszelkie zakąski w mocnym occie, którego Szurik nie cierpiał, a Świetlana przeciwnie, polewała nim całe jedzenie, bo bez octu wydawało jej się bez smaku. I stała butelka wódki, której Świetlana nie cierpiała, a Szurik przeciwnie... Paplali wesoło, jakby od dawna i niewinnie się znali i do niczego takiego między nimi nie doszło, i żadnej hysterii, i żadnego burzliwego seksu na wąskiej kanapce. Świetlana w białej bluzce z niebieskimi żyłkami na skroniach i na długiej szyi była jakby starą szkolną koleżanką, tylko mówiła wzniosłe \* o losie i pozostałych sprawach, zbyt wzniosłe, ale z drugiej strony znajomo: Wierusia też lubiła mówić o sprawach wyższych.

O wpół do dziesiątej Szurik popatrzył na zegarek, jęknął i zaczął się zbierać:

\* Muszę zająć do przyjaciółki. Tutaj, niedaleko. Pracę zanieść.

i szybko wyszedł. Świetlana zwała się na kanapę i zalała łzami \* z przeżytego napięcia. Wszystko poszło doskonale. Jak to dobrze, że nie podeszła do niego na ulicy, bo co by powiedziała? Wszystko bardzo, bardzo dobrze. Tylko miłosnego zbliżenia nie było. Z jednej strony \* widać, że ma

dla niej szacunek, a z drugiej \* jakoś przykro... I co teraz dalej? Nawet jej telefonu nie wziął... Kiedy się wypląkała, zaczęły się roić nowe plany: można było, na przykład, kupić bilety do konserwatorium albo zaprosić do teatru, ale to było niestosowne. Zapraszać powinien mężczyzna. Najbardziej stosowna była prośba o coś... Jakakolwiek czysto męska sprawa \* naprawić cokolwiek albo meble przestawić... A jeśli naprawiać nie potrafi i od razu odmówi? Trzeba coś prostego i żeby było niezręcznie odmówić... A ją z jakiegoś powodu cieszyło, że ona wie o nim coś takiego, czego on się nie domyśla: zna jego adres, dom, mamę, nawet klatkę, gdzie chodzi odnosić pracę...

Jelenie futro dawno już było gotowe. Ale nagle się okazało, że futro wszystkiego nie rozwiązuje. Świetlana trochę pomyślała i wymyśliła. Spruła niebieską czapkę i zrobiła z wełny szalik. Było jej w nim do twarzy. Cały tydzień sprzątała pokój, zmieniła zasłonki \* powiesiła stare, które jeszcze za życia babci wisały, jakoś były przyjemniejsze. I wyprała w zimnej wodzie starą azjatycką ścierkę, którą babcia nazywała filuternie „suzanne”, i powiesiła jako portierę przed drzwiami \* przed sąsiedzkimi oczami. A kiedy już wszystko w domu pięknie urządziła, położyła się wieczorem do łóżka i powiedziała sobie: jutro zachoruję na anginę. I zachorowała.

Rano się umyła, nałożyła biały sweterek i zawiązała nowy niebieski szalik. A potem zadzwoniła do Szurika i nieśmiało spytała, czy nie mógłby jej pomóc: zachorowała na anginę i nie ma kto kupić lekarstw. I położyła się do łóżka.

Nic lepszego wymyślić nie mogła: zakup lekarstwa był sprawą świętą. Lekarstwo dla mamy, lekarstwo dla Matyldy, lekarstwo dla Walerii. Prośba ta wydała mu się na tyle prawdziwa, że zjadł w pośpiechu śniadanie i przyjechał do Świetlany \* wypełnić z przyzwyczajenia polecenie. Wapno kupił po drodze.

Świetoczek był taka miła, taka żałosna, w pokoju pachniało jakimiś kiepskimi perfumami w rodzaju jaśminu i octu, a niebieska wełna włożyła w usta, kiedy przytuliła jego ciągle jeszcze kędzierzawą, ale już z lekka przeredzoną na czubku, czuprynę do swojej słabej piersi. A on całym ciałem poczuł, że ona cała składa się z cienkich krzywych kosteczek, z jakichś kurzych chrząstek, i litość, potężna litość silnej istoty do takiej słabej zadziałała jak najlepszy środek pobudzający. Tym bardziej że z miejsca zrozumiał, jakie mianowicie lekarstwo jest jej potrzebne. Pozbawiona sweterka, szaliczka i koszulek, była jeszcze bardziej żałosna w swojej niebieskawej gęsiej skórze, pozbawiona piersi, z wyblakłymi kurzymi piórkami między nogami...

Jednak wapna nie zapomniał położyć na stole. Wypełniwszy leczniczą procedurę, poszedł jeszcze do apteki po płukanek i przyniósł jej trzy cytryny z pięknego sklepu na placu Powstania. I nie zapomniał kupić tam, w kulinarnym dziale, pieczonego pasztetu dla mamy. Wiera bardzo go lubiła. I jeszcze się dowiedział tego ranka, że Świetlana je cytryny ze skórką, lubi dobrze zaparzoną cejlońską herbatę, antybiotyków w ogóle nie przyjmuje, a przy anginie leczy się wyłącznie wapnem.

„On jest całkiem inny, a nie podlec, jak Sieriożka Gniezdowski, i nie zdrajca, jak Aślamazjan, on nigdy by tak ze mną nie postąpił... On jest inny... \* myślała i szeptała: inny, inny...”

Wieczorem przyszedł do Świetlany Żuczylin \* odwiedził pacjentkę po przyjacielsku. Zaparzyła mu mocnej cejlońskiej herbaty \* jakiej sama nigdy nie piła, postawiła na stole miseczkę z konfiturami, ciasteczka i pokrojoną w cienkie plasterki cytrynę. Gardło miała obwiązane szalikiem.

\* Druga angina pod rząd \* poskarżyła się Świetlana. Była rozluźniona, żadnego napięcia. Oczka błyszczały...

\* A jak sen? \* zapytał doktor.

\* Zupełnie w porządku \* odpowiedziała Świetlana.

„Wielka jest siła placebo” \* cieszył się Żuczylin. Zesłym razem dał Świetlance tabletki wapna zamiast nasennych. Świetlana zresztą ich nie przyjmowała.

A może tu swoją rolę odegrały anginy? Interesujące mimo wszystko. To prawie zasada: somatyczne schorzenia w jakimś sensie rozładowują psychikę. I wspomniał jeszcze niedawny przypadek, kiedy jeden z jego pacjentów, chorując na ciężką gripę, wspaniale wyszedł z głębokiej depresji...

Tego wieczora wszyscy byli zadowoleni z siebie: Świetlana, która posiadała, jak jej się wydawało, mężczyznę, korzystnie odróżniającego się od szumowin, którzy trafiali się przedtem w jej życiu, doktor Żuczylin, pewien, że kolejny raz wywiódł pacjentkę z niebezpiecznego stanu, i Szurik,

któremu udało się sprawić mamie przyjemność pieczonym pasztetem. I dziewczynie Swietłanie zaniósł lekarstwa i okazał płciowy szacunek, którego ona tak wzruszająco się dopraszała... Szurik nie potrafił robić planów dalej niż na dzisiejszy wieczór. Przeczucia i prognozy były wyłącznie w kompetencji Wieroczki, bo babci, która była bardziej od nich przewidująca, dawno już nie było, a jemu, biedakowi, nawet do głowy nie przyszło, jaki krzyż bierze na swoje barki, dając niewyszukane pocieszenie niepozornej nerwowej dziewczynie.

42.

Wychodząc z domu Swietłany, Szurik natychmiast wyrzucił z głowy tę drobną przygodę. Smutna asymetria ludzkich stosunków: podczas, gdy Świetłana wielokrotnie powtarzała cały seans wizyty Szurika od pierwszej minuty do ostatniej, jakby zamierzała na zawsze zapisać w pamięci wszystkie jego ruchy, nadać każdemu wypowiedzianemu słowu wielorakie znaczenia, zakonserwować to spotkanie na wieki, Szurik żył dalej w świecie, w którym ona była absolutnie nieobecna. Świetłana cztery dni nie wychodziła z domu: oczekiwała telefonu od Szurika. Przy tym bardzo dokładnie pamiętała, że numeru telefonu nie wzięła. Piątego dnia wyszła z domu: strach, że może przegapić jego telefon, zmusił ją do biegu do sklepu i do apteki.

\* Nie było do mnie telefonu? \* spytała grubego sąsiada, który, stara świnia, odpowiedział z sarkazmem:

\* Jak to nie, dzwonili. Telefon się urywał...

Po upływie tygodnia pewność, że Szurik dzisiaj niezawodnie zadzwoni, zamieniła się w taką też absolutną pewność, że nie zadzwoni nigdy. Na wieszaku w szafie, omotane starymi prześcieradłami, wisiały wzorcowy płaszcz z kapturem na podbiciu w kratkę i nowe jelenie futro, prawdę mówiąc \* długi zakiet. Świetłana była w pełnym rynsztunku: i pierwsze słowo tak udatnie powiedziane, i randka miłosna się odbyła \* tej pierwszej, pod znakiem zęba, nie liczyła. A oto teraz wszystko zawisło niepotrzebne i bezużyteczne, jak te piękne rzeczy w szafie...

Po tygodniu wykręciła numer Szurika. Usłyszała głos starszej damy i położyła słuchawkę. Na drugi dzień podszedł Szurik. Zaszło jej w gardle i nie powiedziała ani słowa. Bo i co było mówić? Dwie doby nie spała, nie jadła, siedziała nocami nad jedwabnymi kwiatami. Zdawała sobie sprawę, że trzeba by pójść do Żuczylina, ale ciągle odkładała wizytę.

Trzeciego dnia pod wieczór nałożyła futro i poszła do Żuczylina. Jednak znalazła się na „Białoruskiej”. Podeszła pod dom Szurika. Postała. Nie czekała na niego. Po prostu postać. A potem wróciła do domu. Codziennie wybierała się do Żuczylina, a trafiała pod ten dom. Wreszcie zobaczyła, że wyszedł z klatki. Poszła za nim. Bardzo sprytnie. Towarzyszyła mu do Krasnych Worot. Poczła straszliwe zmęczenie i wróciła do domu. Jeszcze ze dwa dni potajemnie odprowadzała go do „Sokoła”. Tam wyszedł z metra i skręcił w Bałtyjskie Zaułki.

W ciągu dwóch tygodni poznała rozkład jego życia: wychodził z domu nie wcześniej niż o czwartej. Pewnego razu prowadziła go do teatru, dokąd on sam prowadził mamę. Teraz знаła wiele jego szlaków \* „Sokół”, ulica Kaczałowa. Wiedziała, w jakich bibliotekach bywa. Namierzyła numer mieszkania na Kaczałowa, gdzie dwukrotnie w ciągu tych dwóch tygodni pozostawał tak długo, że odchodziła, nie doczekawszy się...

Jeszcze ani razu nie wpadła mu w oczy. Obudził się w niej hazard tropiciela, znała prawie wszystkie jego kontakty, prócz Matyldy, jako że Matylda w tym czasie mieszkała w Wisznim Wołoczku.

Wtedy założyła notesik, gdzie zapisywała wszystkie trasy Szurika.

Do Żuczylina Swietłana ciągle nie szła, chociaż skrycie rozumiała, że pora go odwiedzić. Potem spotkała przypadkowo na ulicy jego żonę. Nina Iwanowna zaciągnęła ją w gości. Zuczylin, porozmawiawszy z nią pięć minut, zaproponował natychmiastową hospitalizację. Nieoczekiwanie zgodziła się: bardzo już była zmęczona swoją działalnością szpicla.

Na oddziale Żuczylina była sześciolóżkowa sala, gdzie kładł, w miarę możliwości, swoich ulubionych pacjentów. Zwykle tam zbierało się towarzystwo inteligentne, maniakalno\*depresyjne, nie w ciężkim stanie. W tej sali Zuczylin czasami prowadził grupowe zajęcia psychoterapii.

Właśnie w tej sali Swietłana leżała podczas poprzedniego swojego pobytu, i teraz znowu umieścił

ją u swoich wybrańców. Tutaj Swietłana poznała czterdziestoletnią orientalistkę Sławę, doświadczoną samobójczynię z ośmioma udanymi, z medycznego punktu widzenia, suicydalnymi próbami.

Zaprzyjaźniły się. Sława czytała jej swoje przekłady perskich poetów, Swietłana wyszywała na kawałku tkaniny

bukiet bzu wielkości pudełka zapalek jakimś specjalnym wypukłym ścięciem, tak że delikatny bez o mało nie wypadł z materiału, i podziwiała wiersze.

\* Jeszcze trochę, a zaczniesz pachnieć \* zachwycała się z kolei Sława robótkowym talentem nowej przyjaciółki.

W drugim tygodniu znajomości zaczęły się zwierzenia i Sława domyśliła się, że bohater romansu Świety, tłumacz Szurik, mieszkający ze swoją mamą na ulicy Nowoleśnej, jest synem Wiery Aleksandrowny Korn, starej przyjaciółki jej matki. Obie cieszyły się takim wyjątkowym zbiciem okoliczności.

Sława знаła Szurika od dzieciństwa, pamiętała jego wspaniałą babcię, która uczyła ją w dzieciństwie języka francuskiego, opowiedziała Swietłanie wszystko, co wiedziała o tej cudownej rodzinie. Kira, matka Sławy, była specjalnie droga Wierze, bo była jedynym człowiekiem, który pamiętał ojca Szurika, fatalnego Lewandowskiego.

Żuczylin przetrzymał Świetałnę na oddziale sześć tygodni. Wyprowadził z pogorszenia. Sława wypisała się tydzień wcześniej: przesładujące ją niegodziwe głosy, namawiające do samobójstwa, zostawiły ją w spokoju.

Prawie zbratane pacjentki doktora Żuczylina spotykały się z rzadka w kawiarni „Praga”, zjadały tam po czekoladowo\*maślanym ciasteczku, wypijały kawę. Swietłana podarowała Sławie swój bez, oprawiony w ramkę, Sława \* zbiorek przekładów z perskiego, w którym były cztery przetłumaczone przez nią wiersze. Jednak drugi prezent, jaki Sława zrobiła swojej nowej przyjaciółce, był absolutnie bajkowy: Sława zaprosiła ją na urodziny swojej matki. Zaproszonych było niewielu: brat matki, emeryt wojskowy z żoną, bratanica i dwie przyjaciółki. Jedną z tych przyjaciółek \* była Wiera Korn. Zwykle Wierze towarzyszył Szurik. To było właśnie to, o czym marzyła Swietłana: spotkać Szurika nie na ulicy, jakby przypadkiem, a na proszonym wieczorze, w szacownym domu, niechęć... Zadzwoić wprost nie mogła: kobieca godność. A spotykając go ot tak, w porządnym domu, może zarzucić jakiś stosowny haczyk.

Przerabiała dziesiątki wariantów, póki nie wymyśliła zadowalającego pretekstu: dostała od swojej znajomej, pracującej w aptece, opis nowego francuskiego lekarstwa. To było właśnie to, co potrzeba. Teraz wiedziała, w jakim celu zaprosi go do siebie do domu \* przetłumaczyć ulotkę... Spotkali się przy stole u Kiry Wasiljewny. Szurik od razu poznał Swietłanę, chociaż minęło ponad pół roku od tego ostatniego, anginowego spotkania. Przedstawił ją matce, przypomniał o zębieniu mamuta, upuszczonym mu na nogę właśnie przez tę miłą Swietłanę...

Przy stole siedzieli obok siebie, a on dbał o obie... Nalewał wino, podawał półmisek z rybą...

Ich wcześniejsza znajomość z tym diabelskim zębem była nieprawidłowa, jak marsz nie z tej nogi. Idiotyczna, przypadkowa, po prostu uliczna znajomość. Anginowe spotkanie zawisło w próżni z niewiadomej przyczyny. Obecnie cała ich znajomość jakby na nowo się zaczynała: w szanowanym domu, przy godnym stole, w obecności matki, i teraz wszystko powinno pójść całkiem inaczej.

Świetałana należała do tego grona: przyjaźniła się z córką przyjaciółki jego matki. Jej babcia, nawiasem mówiąc, też skończyła gimnazjum, jak i babcia Szurika. W mieście Kijowie. I dziadek. I mama pracowała w kulturalnej pracy, kierowała klubem. I ojciec był wojskowym...

Świetałana nienawidziła matki: opuściła rodzinę dla naczelnika ojca, zostawiając ją z ojcem, a zabierając młodszego brata. Ojciec po kilku latach zastrzelił się, a ona trafiła do babci, z którą stosunki układały się dziwnie: przeszkadzały sobie nawzajem, ale nie mogły się bez siebie obejść. Ale teraz zmarła babcia, złośliwa skąpa starucha, wzbudziła w Swietłanie uczucie wdzięczności, była jakby jej pokojówką \* wprowadzała ją w krąg szanowanych ludzi... Swietłanie wydawało się, że wywiera na wszystkich korzystne wrażenie,

więc do wszystkich grzecznie się uśmiechała, a Szurikowi powiedziała:

\* Byłam dość długo chora i nie mogłam do pana zadzwonić, podziękować za lekarstwo. A teraz

pojawiła się nowa potrzeba... Widzi pan, przysłano mi z Francji lekarstwo, ale opis jest po francusku. Czy pan nie mógłby mi go przetłumaczyć...

\* Oczywiście, Swietłano. Zdarzało mi się tłumaczyć farmakologiczne teksty. Mam nadzieję, że sobie poradzę.

I wtedy Swietłana wyjęła z torebki wcześniej przygotowaną karteczkę z telefonem:

\* Proszę do mnie zadzwonić, umówimy się...

Ta strategia z lekarstwem, wykorzystywana już nie po raz pierwszy, znów dobrze zadziałała. Szurik zadzwonił. Przyszedł. Przetłumaczył. Wypił herbatę. I znowu musiała go nieco pobudzać...

„Cała rzecz w tym, że on jest strasznie nieśmiały” \* tak stwierdziła Swietłana. A kiedy to rozumiała, zrobiło się jej lżej: dzwoniła do niego sama i zapraszała, a on przychodził. Odmawiał rzadko i zawsze z ważnych powodów: pilna praca albo mama nie najlepiej się czuje... A Wiera Aleksandrowna zawsze przekazywała jej pozdrowienia.

43.

Zimę osiemdziesiątego pierwszego zapamiętała Wiera z powodu bólów skrzywionego palucha i wzruszającej korespondencji z Marią. Dziewczynka pisała dość drobnymi drukowanymi literami i robiła zadziwiająco mało błędów. Jeszcze bardziej zadziwiająca była filozoficzna treść dziecięcych listów:

Dń i.o|j\*y Vi ero AiekSaiur<Mia aiac^o ja pytam a ky °tpo\* a njKt wtcej nie od.powjo.da aiac^o 2;ma jest

245 xxx

ió^e iółtKo Kocham ciey>je i S\*zmriKa \*S^yScy M^ie inni po~j t<u jestem 9i^pia C2,y rtxura?"

W imieniu ojcowskim Maria długo myślała się, opuszczała i wstawiała litery, ale w końcu poradziła sobie. Słowa „głupia czy mądra” były większe od wszystkich pozostałych, znaków przestankowych nie było, prócz wielkiego zagiętego ostro pytajnika na końcu, rozrysowanego kolorowymi kredkami.

Wiera długo myślała nad każdym listem, pisała odpowiedzi na odwrocie pięknych pocztówek. Nie z koszyczkami i kwiatkami, a z reprodukcjami znanych obrazów wielkich artystów. I szykowała paczki z gramami i książeczkami. Posyłała Szurika na pocztę, on wysyłał.

Całą zimę Szurik prowadził matkę na fizykoterapię, gdzie przeprowadzano zabiegi na jej rosnącej kostce, a wieczorami nacierał nogę homeopatycznym mazidłem mydlano\*kamforowym i jeszcze jednym, po które jeździł do znanego zielarza z babcinego notesu.

Zresztą kostka nie przeszkadzała Wierze w zajęciach z dziewczynkami: bolała wyłącznie wieczorami i nocą. Czasem Wiera budziła się z bólu \* nie tak bardzo mocnego, ale ćmiącego i odpędzającego sen. Jednak, ogólnie życie Wiery, w odróżnieniu od większości starszych ludzi, żyjących jakby z górki, w inercji, bez żadnego smaku, odwrotnie, zaczęło się zmieniać w nieoczekiwanym kierunku, jakby szło pod górkę. Głupi pomysł nieboszczyka Marmolady spowodował, że energia twórcza, wcześniej ożywająca w niej podczas kontaktu z cudzą sztuką bardziej jako oddźwięk pogrzebanych możliwości, teraz znalazła prawdziwe koryto. Okazało się, że drzemał w niej matczyzny pedagogiczny dar, przytłumiony obfitością wielkich cudzych talentów wokół i niewielkie jej zdolności przebudziły się pod koniec życia w obecności kilku bezmyślnych dziewczynek, posłusznie oddychających według jej wskazówek.

Nocami, kiedy doskwierająca kostka nie dawała spać, leżała i marzyła, jak nadejdzie lato i Stowba przywiezie Marię, i będą mieszkać na dacy. I nie zapomnieć powiedzieć Szurikowi, żeby na początku marca pojechał do gospodyni na dacy Olgi Iwanowny, niech wynajmie te poprzednie pokoje, w których mieszkali za Jelizawiety Iwanowny. Myśli jej biegly niezwykłą dla niej gospodarską koleiną: że dobrze by było w tym roku porobić zapasy na zimę, jak mama robiła \* konfitury truskawkowe, jagody utarte z cukrem i konfitury morelowe. Trzeba zapytać Iriny, czy umie robić konfitury morelowe z jądrami z pestek, jak mama smażyła... I jeszcze obmyślała propozycję, jaką powinna złożyć Lenie Stowbie w taki sposób, by tamta nie mogła odmówić. I, oczywiście, żeby Szurik ją wspierał... Zresztą, Szurika była pewna: w jej planach syn odgrywał



znaczącą rolę.

Wiera stale omawiała z Szurikiem listy Marii. Nawiązały się niezależne stosunki między sześciolletnią dziewczynką i starszą damą. Istniały niezależnie od Szurika czy Stowby. A przy tym sprawy Stowby układały się niezbyt świetlanie, o czym, rozumiały, Wiera Aleksandrowna wiedzieć nie mogła. W tym czasie, kiedy Stowbie udało się zdobyć potrzebne do rozwodu zaświadczenie, pilna potrzeba rozwodu znikła: otrzymała wiadomość, że fikcyjny ślub się nie odbędzie, gdyż podły Amerykanin, przeznaczony na męża, zniknął, kiedy tylko Enrike dał mu pewną sumę pieniędzy. Pośpiechu z rozwodem teraz nie było, umówili się, że Stowba przysła konieczne dokumenty, Szurik sam złoży, a ona przyjedzie po prostu na wyznaczony dzień.

Kiedy Wiera Aleksandrowna była przygotowana do ważnej rozmowy, jednocześnie nie mając najmniejszych wątpliwości, że Szurik ją pochwali, powiedziała mu, że chce zaprosić Marię na lato na daczę. Szurik zareagował dość oziębło, nawet rozczarowując Wierę obojętnością w stosunku do możliwego przyjazdu cudownej dziewczynki.

\* Wierusia, nie sprzeciwiam się, ale wydaje mi się, że to będzie dla ciebie męczące. Ale jak chcesz. Ja w tym roku nie będę mógł specjalnie dużo bywać na daczce, a mimo wszystko to dla ciebie zbędny ciężar...

Wiera Aleksandrowna napisała do Stowby i otrzymała trochę nieokreśloną zgodę.

Stowba i tak zamierzała przyjechać do Moskwy na rozwód, chociaż już żadnego pośpiechu nie było, ale rozumiała, że wcześniej czy później od bezsensownego teraz małżeństwa trzeba się uwolnić. Z córką jeszcze nigdy się nie rozstawała, propozycja była dla niej dziwna, ale Maria niespodzianie bardzo się ucieszyła. Nadchodziło ostatnie przedszkolne lato, a chociaż Rostow był południowym miastem z wielką rzeką, jednak było to miasto przemysłowe i zanieczyszczone. Latem Stowba urlopu nie dostała i zdecydowała się wysłać córkę. Tylko nie na całe lato, a na jeden miesiąc.

W końcu maja, kiedy Szurik już był prawie gotowy do przeprowadzki na daczę, to znaczy według długiej listy, sporządzonej niegdyś ręką Jelizawiey Iwanowny, zbierał do pudełek niezbędne zapasy i rzeczy \* od cukru pudru po nocnik \* Stowba przywiozła Marię. Przyjechała Irina Władimirowna i Szurik uroczyście przewiózł wszystkich na daczę. Podanie o rozwód było złożone i wyznaczony dzień \* na koniec sierpnia. Stowba miała wrażenie, że zrobiła jeszcze jeden krok na spotkanie z Enrike.

Stowba spędziła na daczce z córką dwa dni. Bardzo jej się tam spodobało: i przyroda, i cisza, i zadziwiająco dobre wychowanie domu, do którego trafiła.

„Prawdziwe szlacheckie gniazdo” \* smutno pomyślała.

Marii też bardzo spodobało się na daczce, na dodatek cały czas wisiła na Wierze Aleksandrownie i Stowba, wychowująca dziecko bez pomocników i współuczestników, z pewnym bólem spostrzegła, że jej córka bardzo garnie się do Wiery Aleksandrowny, ale objaśniła to brakiem prawdziwej babci w życiu dziecka. Sama, jak i Szurik wychowana była przez babcię i kochała ją bardziej niż wszystkich swoich domowników...

Odjeżdżała z mieszanymi uczuciami: wydało się jej, że Maria nader lekko rozstaje się z nią.

Umówiły się z Wierą Aleksandrowną, że przyjedzie za miesiąc i wtedy razem zdecydują, czy zabierze Marię do Rostowa, czy też zostawi do końca lata. Lena, nierozstająca się nigdy z córką na dłużej niż na kilka godzin, nagle zdecydowała się zostawić ją na tak długi okres. Równocześnie z obawą odczuwała pewne oswobodzenie, czasowy urlop od macierzyństwa, które pełniła bezzmianowo, nierozłącznie i w pojedynkę prawie siedem lat. Uczucie bezprawnej wolności...

Kiedy po trzech dniach od przeprowadzki Szurik przyjechał na daczę z dwiema pękatymi torbami produktów, stwierdził, że jego mama i dziewczynka stały się dla siebie Wierusią i Murzikiem \* na zawsze.

Maria powitała Szurika z najwyższą radością, skakała niecierpliwie wokół niego, podskakiwała jak piłeczka, usiłując zawisnąć mu na szyi. Postawił torby na podłodze i niespodzianie odwrócił się, złapał ją wpół i rzucił na kanapę. Pисnęła ze szczęścia, sprężyście podskoczyła. Zaczęła się zabawna kotłowanina.

Szurik władował ją sobie na ramiona, ona zamasyście majtała rękami i nogami, on kręcił ją z

dziwnym wrażeniem, że w jego życiu już coś identycznego było... Lilka! To Lilkę kręcił i podrzucał, to ona lubiła tak zawisnąć na nim, podrygując nogami w szpiczastych pantoflach...

\* Ach, ty, Murzatina! \* krzyknął Szurik i zrzucił ją na kanapę.

Dziewczynka zeskoczyła na podłogę, rzuciła się do torby i szybciotko ją rozpakowała. Wyjęła mały kartonik soku wiśniowego, zdobyty przez Walerię z jakichś tajemniczych przydziałów. Szurik odlepił przyklejoną z boku słomkę i wcisnął ją do kartonika:

\* Pij!

Maria ssała przez słomkę fiński syntetyczny sok, a kiedy bulgocząc, skończył się, podniosła oczy do nieba i marzycielsko powiedziała:

\* Kiedy dorosnę, przysięgam, nic innego do buzi nie wezmę!

I zaczęła szczegółowo studiować kartonik, żeby w przyszłości nie pomylić go z żadnym innym.

Potem Szurik wybrał się z dziewczynką nad staw. Niespodzianie wybrała się z nimi i Wiera.

Siedziała na brzegu, póki oni chlapali się w zimnej wodzie. Całą drogę do domu Maria jechała na plecach Szurika i ciągle go poganiała:

\* Jesteś moim konikiem! Prędzej! Prędzej!

I Szurik biegł jak zaprzęgowy koń. Z tyłu szła Wiera, ucieszona niespodziewaną kombinacją: ich było już nie dwoje, a troje. Potem Szurik z Marią dobiegli do domu i Wiera powiedziała:

\* Dzieciaki, myjcie ręce! To ich od razu zrównało.

Dwa tygodnie Wiera spędziła z Murzikiem. Irina Władimirowna krążyła wokół nich w określonej odległości \* jej pozwalano tylko pracować dziecęcą bielizną. Wszystkie pozostałe troski \* karmienie, zabawy, układanie do spania \* Wiera Aleksandrowna wzięła na siebie. To była właśnie ta część opieki, która niegdyś, w dzieciństwie Szurika przypadała Jelizawiecie Iwanownie lub opiekunce.

Wiera z opóźnieniem odkrywała dla siebie przepuszczone radości macierzyństwa: poranne słodkie ziewanie nie w pełni obudzonej dziewczyny i wybuch energii w momencie, gdy cienkie białe nogi dotykały podłogi, i mleczne wąsy po śniadaniu, które Maria ocierała piąstką, i jej gwałtowne podskoki z objęciami po rozstaniu na pięć minut. Szurik w wieku pięciu lat był dobrodusznym i nieco powolnym niezdarą, a ten smagły ptaszek szczebiotał, skakał, cieszył się bez końca, a Wiera chodziła tuż za nią, bojąc się pominąć uśmiech, słowo, obrót głowy.

Wiera przygotowywała Marię do szkoły, zajmowała się z nią to czytaniem, to pisaniem, to różnego rodzaju ćwiczeniami fizycznymi \* rozciąganiem, rytmiką, całą tą bzdurą, której kiedyś uczyła się w studiu... Albo po prostu siedziały we trójkę z Iriną i drylowały wiśnie: Irina zgrabnie wydostawała pestki spinką, Murzik \* specjalną maszynką, a Wiera \* małym widelczykiem... Murzika obwieszały kuchennymi ręcznikami, ale wiśniowy sok pryskał na sarafan albo na smagły policzek, albo w oko, a ona podskakiwała, trzęsła głową i wtedy Irina biegła po przegotowaną wodę, żeby przemyć oko jak należy.

Pewnego razu Wiera postawiła na stole wazon z żółtymi kaczęciami i siadła razem z dziewczynką do rysowania. Rysunek Marii się nie udawał, złościła się, parskła, ale Wiera pomogła jej trochę, rysunek poprawił się, a wtedy Maria wzięła czerwoną kredkę i napisała na dole dużymi literami „Maria Korn”.

Wiera zdumiała się: jak to należało rozumieć? Chwilę wahała się, wzięła zeszyt, w którym robiły ćwiczenia i poprosiła, żeby Maria podpisała go.

I dziewczynka po raz drugi napisała: Maria Korn. Zadawać pytań dziecku Wiera nie chciała. Z wielką niecierpliwością oczekiwała teraz przyjazdu Szurika. Zrodziło się niedorzeczne podejrzenie: a jeśli? Na przekór zdrowemu rozsądkowi, zaczęła doszukiwać się cech podobieństwa między synem a Murzikiem \* i znajdowała mnóstwo! Rozgorzała miłość szukała powodów dla uzasadnienia i w sercu całkowicie się upewniła, że dziewczynka nosi ich nazwisko nie przypadkowo.

Szurik od dawna spodziewał się zdemaskowania, wiedział, że spóźnił się z przyznaniem do bezsensownego ożenku, ale nie znajdował sił, by zacząć tę rozmowę. Do tego miał nadzieję, że niedługo rozwiodą się ze Stowbą, ona zabierze córkę do Rostowa albo na Kubę, albo dokąd zechce, i ta historia zakończy się bez niepokojenia Wierusi.

Szurik od razu po przyjeździe wykonał rytualny taniec z Marią na plecach i, rzuciwszy piszczącą

Marię na kanapę, wyczuł, że z Wierą coś się dzieje. Milczał i czekał.

Położyli Marię, wyprawili do spania Irinę Władimirownę, usiedli na tarasie pod lampą we dwoje. Pytanie zadane było z niezwykłą dla Wiery bezpośredniością:

\* Szurik, powiedz, czemu Maria nosi nasze nazwisko? Czy ona jest twoją córką?

Szurik spocił się, przylapany. Siedział czerwony jak na egzaminie z chemii, kiedy nie miał nic do powiedzenia, i nie mógł pojąć: jak mogło jej do głowy przyjść coś takiego? Przecież mówiono jej, kto jest ojcem dziewczynki!

\* Wybacz, Wierusia, powinienem ci dawno opowiedzieć...

I Szurik z opóźnieniem odkrył matce tajemnicę fikcyjnego ożenku, opowiedział i o podróży na Syberię na urodziny Marii.

Wiera zdumiała się. Przejęła się. Ajeszcze bardziej wzruszyła się. Ona przecież sama była samotną matką, ale socjalną ranę w dużym stopniu kompensowała mądra, władcza i inteligentna Jelizawieta Iwanowna.

Właściwie nie dowiedziała się niczego nowego o życiu Stowby, ale teraz, wiedząc, jak szlachetnie zachował się Szurik, jeszcze bardziej współczuła Lenie Stowbie, i rzeczywiście chciałyby, żeby Maria była jej córką, wnuczką, wszystko jedno kim \* byle by została w domu. I pierwszy raz w życiu żałowała, że urodziła nie córkę, tylko syna... Jednak Szurik \* cudowny. Taki szlachetny... Ożenił się z dziewczyną, kiedy ta popadła w tarapaty, zapisał dziecko na siebie, i nawet jej, Wierze, słowa nie powiedział, żeby nie zdenerwować... Jakie to do niego podobne...

Starając się przydać opowiadaniu humorystyczną formę, Szurik wspominał ogromne jak labirynt mieszkanie obwodowego komendanta, w którym błąkał się nocami w poszukiwaniu ubicacji, i cherlawych staruszków \* babcie

i dziadka, chwacko pijących i zdrowo zakąszających gigantycznymi pierożkami, z których każdy w każdym normalnym domu byłby pełnowymiarowym pierogiem...

\* A Lena, okazuje się, wcale nie jest taka prostacka, Szurik. Ja, ze słów Ali jakoś inaczej ją sobie wyobrażałam... \* zauważyła Wiera.

\* Oczywiście, Stowba to człowiek z charakterem. Ale zobaczyłabyś jej ojca! \* opowiedział, jak go obwożono po wielkich syberyjskich zakładach, ale nie zakłady mu pokazywano, ajego przedstawiano kierownictwu zakładów jako żywy dowód całkowitej przyzwoitości w rodzinie pierwszego człowieka w kraju.

\* A już ojciec \* w ogóle! Ty, mateczko, nawet wyobrazić sobie nie możesz, jakie tam obyczajają... Ciężarną Lenkę by za próg nie wpuścili, jeślibym się z nią nie ożenił...

\* Tak, tak \* przytakiwała Wiera \* biedna dziewczyna... I nie wiadomo było dokładnie, kogo uważa za biedną

dziewczynę: Lenę czyjej córkę. Jednak obraz po tej informacji mimo wszystko się zmienił:

zamajaczył kontur rodziny: matka, ojciec, dziecko. To znaczy: Lena, Szurik, Maria... Pojawiała się zbędna postać niewidzialnego ojca. Ale jego jakby w ogóle nie było...

\* Powiedz, Szurik, co Maria wie o swoim ojcu? \* idąc śladem swoich nie do końca świadomych myśli \* ucuć, zapytała Wiera.

\* Nie wiem \* szczerze odpowiedział Szurik. \* O to trzeba Stowby spytać, co ona jej powiedziała. Szurika rzeczywiście nie interesowało, co myśli Maria o swoim ojcu.

W przeddzień przyjazdu Stowby Maria sama odkryła Wierze Aleksandrownie swoją wielką tajemnicę \* że jej ojcem jest prawdziwy Kubańczyk, bardzo piękny i dobry, ale to tajemnica przed wszystkimi... Maria poszperała w okrągłym blaszanym pudełku, gdzie chowała dziewczęce skarby, i wyjęła fotografię człowieka niezwyklej urody, ale innej

rasy. Był w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, głowę miał osadzoną na długiej, ale wcale nie cienkiej szyi, jak garnek na żerdzi płotu \* wydawało się, że może ją obrócić w każdą stronę, nawet dookoła, a usta wysunięte do przodu, ale bez pożądlivosti...

Znaczyło to, że zbliżyły się do ostatniego etapu: okazało się, że mama opowiedziała jej o ojcu już dawno, ale do tej pory dziewczynka nikomu ani słowa nie powiedziała i fotografii nikomu nie pokazywała...

Pod koniec czerwca przyjechała Stowba. Szurik przywiózł ją na daczę. Powitanie było tak burzliwe,

że trudno sobie wyobrazić. Maria chodziła przy matce w kółko, czepiała się jej jak małpka, ani na chwilę nie puszczała jej od siebie, a na zakończenie wszystkiego odmówiła pójścia spać bez matki \* zasnęła przy boku Leny.

Wiera Aleksandrowna patrzyła na ten wybuch uczuć, nie żeby nie pochwałała, ale uważała, że taką burzę emocji należałoby trochę przytłumić, a nie pobudzać. Dlatego sama była powściągliwa, mówiła nawet ciszej niż zwykle, a pod wieczór nie najlepiej się poczuła i położyła się spać wcześniej niż zawsze. Maria wpadła do niej do pokoju na wieczorny pocałunek. Cmoknąwszy w policzek, zapytała jednym tchem:

\* Pójdiesz jutro z nami nad staw?

A Wierę lekko uraził zaimek: z nami, z nimi, a ja \* już oddzielnie...

\* Zobaczmy, Murzik. Mamy przecież jeszcze sprawę \* trzeba pokazać mamie, jak ty wspaniale czytasz i piszesz!

Dziewczynka podskoczyła:

\* Zupełnie zapomniałam! Zaraz pokażę!

Szurik nazajutrz pojechał do swoich tłumaczeń, a Stowba spędziła na dacy dwa dni. O dalszym pobycie Marii na dacy Wiera nie mówiła. Nie decydowała się. Bała się, że jedno nieodpowiednie słowo doprowadzi do tego, że Lena zabierze córkę. Trzeciego dnia przy śniadaniu Stowba powiedziała:

\* U was na dacy tak wspaniale, Wiero Aleksandrowna. Lepiej niż na Kaukazie, naprawdę. Nie wyjeżdżałabym stąd. Bardzo pani dziękuję. Jutro wyjeżdżamy z Marią. Może jeszcze przyjedziemy, jeśli pani nas zaprosi \* zaśmiała się.

Wiera Aleksandrowna nie zdążyła wypowiedzieć przygotowanego zdania, kiedy rozległ się głośny krzyk Marii:

\* Mamusiu! Jeszcze trochę! Pobędziemy tutaj jeszcze trochę! Wierusia, no, zaproś nas jeszcze pobyć!

I od matki skakała do Wiery, od Wiery do matki, szarpała je za ręce, prosiła. Takiego wsparcia Wiera zupełnie nie spodziewała się. Odczekała trochę, potem poprosiła Irinę o zaparzenie pół dzbanka kawy, poprawiła fryzurę. Stowba siedziała w rozterce. Maria kręciła się na jej kolanach

i szeptała na ucho:

\* No, proszę, proszę!

\* Moje kochane! Wiecie, że będę bardzo rada. Lenoczka, może rzeczywiście mogłybyście tu pobyć? Byłoby wspaniale. Mamy cudownych sąsiadów, przyjeżdżają tylko na soboty, niedziele, i jestem pewna, że odstąpiłoby nam jeden ze swoich pokoi albo, w ostateczności, taras w dni powszednie.

Zbliżał się czas wyjazdu. Stowba stanowczo postanowiła zabrać Marię do Rostowa. Obiecano jej \* prawie na pewno \* skierowanie na wspaniałą obóz w Ałupce na sierpień. No, a może faktycznie należałoby zostawić Marię jeszcze na miesiąc.

\* Tak, mamusiu! Zostaniemy! Zostaniemy na zawsze! Wiera Aleksandrowna, widząc wahanie na twarzy Stowby, zrozumiała, że jej szansę rosną.

\* No dobrze, dobrze... \* poddała się Stowba. \* Rozumiesz, Mario, ja muszę wracać do pracy. Więc muszę jechać. W dodatku, Wiero Aleksandrowna, pani przecież z pewnością jest zmęczona Marią. Przecież pani musi od niej odpocząć.

\* Wie pani, Leno, jeśli wy obie mogłybyście pozostać, bardzo bym się cieszyła. Ale jeśli pani zostawi u nas Marię, z pewnością nie skrzywdzimy jej. Myją bardzo kochamy...

Maria przenosiła się z matczynych kolan na kolana Wiery i z powrotem, i znowu do Wiery. Sprawa wyklarowała się

\* Maria zostawała do końca lata.

Lato było cudowne, jak na zamówienie: łagodny czerwiec, ciepły lipiec z upałami i popołudniowymi rześzystymi deszczami, powolny, niechętnie oddający ciepło sierpień. Wiera łapała się na myśli, że robi się coraz bardziej podobna do nieboszczki matki. Naturalnie, nie zewnętrznie \* Jelizawieta Iwanowna zawsze była dużą, ciężką kobietą, o wyrazistej, ale niezbyt ładnej, twarzy,

tymczasem Wiera posiadała delikatną powierzchowność, na starość coraz bardziej urokliwą \* a właśnie wewnątrz, stanem duchowej radości, w którym zawsze przebywała Jelizawieta Iwanowna.

Czy to Wiera z latami pogodziła się ze swoim pechem, czy też go pokonała, ale coraz częściej zamierała od nieznanego przedtem szczęścia po prostu tak, nie wiadomo od czego: przelatującego ptaka, widoku krzaczka poziomki w gęstym kwieciu z zielonymi owocami na czubku, od strofowania Murzika przy śniadaniu, kiedy ta próbowała niewidocznie rozkruszyć chleb, żeby zanieść go kurczętom: Irina Władimirowna nie pozwalała karmić drobiu chlebem

\* tylko ziarnem... Wiera uśmiechała się sama do siebie, dziwiąc się ciągle wspaniałemu nastrojowi. „To Murzik tak na mnie działa” \* myślała i zaraz szła w myślach dalej: „Dopiero teraz zrozumiałam, czemu mama tak lubiła pracować z dziećmi \* od nich idzie taka świeża radość...” U Wierzy dawno już zrodził się poważny plan, ściślej, ona wszystko przygotowała, trzeba było tylko przeciągnąć na swoją stronę Szurika. Zresztą na nim zawsze mogła polegać całkowicie. Ale porozmawiać z nim trzeba koniecznie.

Siedzieli na tarasie. Maria już spała. Przyćmiona lampa w abażurze własnej roboty wisiała nisko nad stołem. Mimo silnych upałów w dzień, wieczory były chłodne i Wiera narzuciła sweter na ramiona. W domu stworzył się specjalny nastrój \* dziecięcy sen jakby zagęszczał i tak gęste powietrze, niewidocznym promieniowaniem napełniał coraz bliższą przestrzeń, rodził głęboki spokój...

Szurik z natury był dosyć nieuważny, przepuszczał szczegóły, nie zauważał drobnostek, jeśli to nie dotyczyło matki. Za to w stosunku do matki osiągnął niebywałą subtelność: wyczuwał najmniejszą zmianę, zwracał swoją rozkojarzoną uwagę na szczegóły ubrania, barwę twarzy, gest i niewypowiedziane życzenie. Teraz zrozumiał, że ona chce mu powiedzieć coś bardzo ważnego.

\* Jak ci idzie z pracą? \* zapytała Wiera, ale to było całkiem nie to, co ją dręczyło.

Szurik wyczuł w jej pytaniu zupełny brak zainteresowania wszelkimi szczegółami jego życia, więc odpowiedział szybko:

\* Dobrze, mateczko. Przekład, co prawda, okazał się trudniejszy niż przypuszczałem.

Na początku maja, w przewidywaniu letniego zastoju wziął się za tłumaczenie podręcznika z biochemii, zaczęte przez innego tłumacza i katastrofalnie położone.

W tym, jak Wiera siedziała, jak symetrycznie złożyła przed sobą ręce i wyraźnie wyprostowała się, Szurik wyczuł wzniosłość, poprzedzającą ważną rozmowę.

\* Trzeba coś omówić. \* Matka zagadkowo popatrzyła na Szurika.

\* No? \* spytał z lekką zaintrygowany Szurik.

\* Jak ci się Murzik podoba? \* z niezrozumiałym wyzwaniem w głosie zadała pytanie Wiera.

\* Cudowna dziewczynka \* opieszale odezwał się Szurik.

\* Unikalna! Dziewczynka wyjątkowa, Szurik! Musimy zrobić wszystko dla tego dziecka, co w naszej mocy.

\* Wierusia, a co jest w naszej mocy? Ty się nią zajmujesz, przygotowujesz ją do szkoły, co jeszcze możesz dla niej zrobić?

Wiera uśmiechnęła się swoim łagodnym uśmiechem, poklepała Szurika po ręce. I wyjaśniła mu, że właśnie teraz, kiedy spędziła tyle czasu z dziewczynką, jest pewna, że dziewczynka powinna mieszkać w Moskwie, chodzić do moskiewskiej szkoły i tylko tutaj będą mogli pomóc rozwijać jej niewątpliwy talent.

Więc Wiera chciała, żeby dziewczynka z końcem lata ostatecznie zamieszkała w Moskwie i poszła do pierwszej klasy w moskiewskiej szkole.

Zachodziło coś całkowicie dla Szurika niepojęte. Jemu wyraźnie nie spodobał się ten pomysł, ale nie przywykł sprzeciwiać się. Dlatego wybrał obiektywny argument:

\* Mamo, Stowba w życiu się nie zgodzi. Ty z nią rozmawiałeś, czy to tylko twoje wyobrażenie?

\* Mam specjalny argument! \* powiedziała Wiera zagadkowo. Szurik nie zwykł przeczyć, ale mimo to zapytał, jakież to niezbity argument przygotowała dla Stowby.

Wiera triumfująco roześmiała się:

\* Języki, Szurik! Murzikowi niezbędne są języki! Kto tam, w Rostowie nad Donem może dać

dziewczynce wykształcenie? Lena przecież jest niegłupią kobietą! Ty będziesz uczył Murzika angielskiego i hiszpańskiego!

\* Mama! Co ty? Ja uczę tylko francuskiego! Hiszpańskiego nie mogę. Inna rzecz \* referat napisać, a całkiem inna \* język wykladać. Sam się nigdy hiszpańskiego nie uczyłem!

\* To i bardzo dobrze! Będzie bodziec dla ciebie! Znam dobrze twoje zdolności! \* dumnie i jednocześnie trochę przypochlebnie powiedziała Wiera.

\* Nie jestem przeciwny, tylko wydaje mi się, że Stowba nie zgodzi się za nic w świecie!

Wiera wyglądała na rozczarowaną, liczyła na entuzjazm Szurika i była cokolwiek dotknięta jego obojętnością...

W końcu sierpnia, w sam dzień rozvodu, przyjechała ponura Stowba prosto do urzędu. Rozwiedli ich w pięć minut. Chcieli od razu jechać na daczę, ale z okazji tego wydarzenia Stowba kupiła butelkę szampana, a na wypicie jej zdecydowali się w moskiewskim mieszkaniu. Potem Szurik odkorkował butelkę gruzińskiego koniaku z dostawy Gii.

Stowba była mocno zdenerwowana \* nie była ani rozmowna, ani prostoduszna, ale jednak przy koniaku rozluźniła się: z amerykańskimi dokumentami dla Enrike coś się przeciągało, ale odnalazł się jego starszy brat, półPolak Jan, który poznał wszystkie ich problemy i przedstawił sprytny plan, zgodnie z którym on jedzie do Polski, ona, Stowba, na załatwione wcześniej zaproszenie też tam przyjedzie, pobiorą się, a wtedy ona będzie mogła wyjechać do Stanów jako żona Jana, a dalej już jakoś się ułoży... I to wszystko miało odbyć się w listopadzie. A zupełnie nie wiadomo, czy miejscowe biuro paszportowe da jej pozwolenie na wyjazd do Polski...

\* Więc tak. Rozumiesz, wszystko znowu odkłada się i przeciąga \* ostro powiedziała Stowba. \* Tak można całe życie przeczekać!

\* Może na lepsze... \* Szurik próbował ją pocieszyć.

\* Co na lepsze? \* Stowba groźnie popatrzyła na Szurika. \* Co?! Jechać trzeba za miesiąc, z Marią mnie na pewno nie puszczą, zrozum, jakie problemy powstają!

Szurik rozlał resztki koniaku do kieliszków \* jakoś tak mimochodem wypili wszystko i nawet niespecjalnie byli wstawieni.

\* A propos, mama chciała z tobą porozmawiać... Właściwie z Marią żadnych problemów nie ma. Mama chce, żeby Maria poszła do szkoły w Moskwie, żeby języków się uczyła... Zostawiłabyś ją, pierwsze półrocze pomieszkałaby u nas, a potem zabrałabyś ją. Przecież wiesz, że mama ją uwielbia. Ja bym rozważył... Tak?

Stowba odwróciła się i nie wiadomo było, jaki wyraz twarzy pokazuje ścianie.

„Po co ja to wszystko robię \* Szurikowi przemknęła myśl. \* Wierusia z nóg się zwali...” I zamilkł, zadziwiony mieszaniem współczucia dla Stowby, strachu o mamę, nowej odpowiedzialności, którą na siebie bierze, i niepokoju, i głupiego pragnienia rozwiązania nie swoich problemów...

Stowba nagle rzuciła się na niego, o mało nie przewracając niedopitego kieliszka, objęła za szyję, wcisnęła twarde okulary w obojczyk. Sterczące jak szczotka włosy kłuły go w podbródek. Stowba płakała. Szurik był zaskoczony: w takich wypadkach zwykle wiedział, jak się zachować. A tu się zakłopotał. Chociaż siedem lat temu u Stowby w domu też sprawa była nieprzewidziana \* romantyczna miłość, wydawać by się mogło...

\* Ja zwariowałam, tak? Myślisz, że zwariowałam? Jestem idiotką! Siedem lat, jakiś bezsens, nic nie mogę ze sobą zrobić...

\* Ja nic takiego nie myślę, Len... \* bąknął.

Padła na kawalerską kozetkę Szurika, prychnęła pijackim zagadkowym śmiechem:

\* I nie trzeba dużo myśleć, Szurik. Świętujmy nasz rozwód! Masz coś przeciw?

Specjalnych protestów nie było. Tym razem Stowba wcale nie udawała, że obok leży romantyczny oblubienice, wszystko było piękne i proste, a zwłaszcza bez tych utrudnień, jakie bywają podczas stosunków z ciężarnymi.

Rano pojechali na daczę. Trzeba było przygotować się do powrotu. Dobrze znany rytm roku, odpływy i przyływy: powrót z daczy, Nowy Rok z choinką, babcine Boże Narodzenie, wyjazd na daczę...

A jeszcze po kilku dniach, trzydziestego sierpnia, Wiera Aleksandrowna poszła do szkoły, do której

niegdyś chodził Szurik, i zapisała Marię do pierwszej klasy. Na podstawie tej samej metryki, której brakowało do rozwodu.

Irina Władimirowna szła fartuch w noc przed pierwszym wrześniem, gdyż kupiona wcześniej brązowa szkolna sukienka wisiała w szafie w Rostowie nad Donem, a kupno fartucha w sklepie tego ostatniego gorączkowego dnia było już niemożliwością. Za to tornister i wszystkie szkolne przybory leżały w szafie u Wiery. Na tej samej półce, na której Jelizawieta Iwanowna trzymała zapas prezentów na wszystkie życiowe okazje.

Szczyście Marii, kiedy stała na szkolnym boisku w tłumie dziewczynek w kokardach, z bukietami, w białych fartuszkach, było nieopisane. Z niecierpliwości przebierała, jak żrebaczek, chudymi nogami w białych skarpeteczkach, podrygiwała kokarda na jej miodowej głowie, od czasu do czasu obgryzała kędzierzawe listki różowych pełnych astrów.

Stowba trzymała ją za rączkę, a Wiera lekko położyła rękę na jej ramieniu i była prawie tak samo szczęśliwa, jak Maria. Szurik, do kompletu, stał z tyłu, nieco pochylając głowę z nieokreślonym uśmiechem na ustach.

Dyrektorka, nie bacząc na podniosłość dnia, poświęciła im chwilę. Przywitała się z Szurikiem, pogładziła Marię po głowie i powiedziała:

\* Ach ty, osobliwość jaka. Nawet nie wiedziałam, Wiero Aleksandrowna, jaką Szurik ma miłą córkę... Wyróżniająca się dziewczynka!

Maria uśmiechnęła się do dyrektorki, a ta zdziwiła się niesłychanemu zuchwalstwu uśmiechu: uśmiechała się nie tak, jak powinno uśmiechać się dziecko do dorosłego, a jak równy do równego, jak jeden uczestnik święta \* do drugiego.

„Rozpieścili dziecko” \* niejasno przemknęło dyrektorce przez głowę.

Wiera Aleksandrowna, wyczuwając coś, po raz pierwszy zadrżała: a jak przyjmą małą Mulatkę dzieci w klasie, nauczyciele... Z obawą popatrzyła dookoła. Ale nikt specjalnej uwagi na Marię nie zwracał: każdy miał swoje jedyne dziecko, pierwszoklasistę z tornistrem, tak samo przejęte, jak Maria. Jednak ona była inna, z jakąś, jak wydawało się Wierze, przytłaczającą wszystkie pozostałe dzieci cechą.

„Nowa rasa \* oświeciło Wierę \* to po prostu nowa rasa ludzi ze zmieszaną krwią, o których pisano w powieściach fantastycznych, oni pod każdym względem powinni przewyższyć dotychczasowych ludzi i urodą i talentem. Po prostu dlatego, że pojawili się na tym świecie ostatni, kiedy wszystkie inne ustalone nacje zdążyły zniszczyć swoją genetykę i zestarzeć się, a ci przejęli wszystko, co najlepsze od poprzednich. A jeśli dodać tutaj kulturę, toż to będzie doskonałość. Tak, tak, ona tu jest jak Aelita, Marsjanka...”

Po kolacji Szurik pobiegł dokądś w swoich sprawach. Marię, wyzutą kompletnie z sił napięciem pierwszego dnia szkoły, Wiera i Lena doprowadziły do łóżka i spostrzegły, że zasnęła po drodze z łazienki do pokoju.

Potem długo siedziały w kuchni. Na początku Stowba zachowywała się jak na zebraniu.

Postukiwała lekko twardymi paznokciami o kant stołu. Po jej twarzy nie można było poznać, o czym myśli.

\* Niech się pani nie obawia, Lenoczka. Murzikowi będzie z nami dobrze. To bardzo ważne dla dziecka \* pierwsza szkoła, pierwsza nauczycielka.

Stowba ciągle postukiwała po stole. Potem zdjęła okulary, zasłoniła ręką oczy jak parawanem i zamarła, nie mówiąc słowa. Potem spod ręki popłynęły wielkie powolne łzy. Wyjęła chusteczkę, wytarła policzki:

\* Jestem niedobrym człowiekiem, Wiero Aleksandrowna. I wyrosłam wśród złych ludzi. Ale nie jestem głupia. Moje życie tak się układa, że nie mogę być głupia. Nie wiem, jak się dalej potoczy. Może jeszcze ze trzy lata to się przeciągnie. Takich ludzi, jak wy, dotąd nie spotykałam. Szurik bardzo mi pomógł w trudnym momencie, a przecież ja go za durnia miałam. Dopiero po latach zrozumiałam, że wy jesteście innym gatunkiem, jesteście szlachetnymi ludźmi...

Wiera osłupiała: Szurika \* za durnia? Ale nic nie powiedziała. Stowba wysmarkała się. Twarz miała surową.

\* Po prostu nie wiedziałam, że tacy ludzie bywają. Moja rodzina jest straszna. I ojciec, i matka...

Tylko babcia jak człowiek. Przecież oni wygnali mnie z czteromiesięcznym dzieckiem. Ojciec wygnał. To potwory. I ja bym była potworem, gdyby nie ta historia z Marią. Żyję strasznie. Pracuję... jak to pani powiedzieć? Lewy wydział, pracują dla siebie. Jestem u nich księgową. Jeśli to wszystko się wyda, mogą mnie wsadzić. Ale inaczej po prostu bym nie wyżyła. Wynajmuję mieszkanie. Dla Marii nianię opłacałam przez te wszystkie lata.

„Mój Boże! Podwójna księgowość! Wszystkie te machlojki, które tak sprytnie załatwiała była kierowniczką Faina Iwanowna, wykonuje Lena" \* przestraszyła się Wiera Aleksandrowna.

\* Lenoczka, to trzeba stamtąd natychmiast odejść! Przeprowadzi się pani do Moskwy, a ja już gdzie jak gdzie, ale w księgowości miejsce dla pani na pewno znajdę! \* szybko zaproponowała.

Stowba machnęła ręką:

\* Co też pani? Nawet myśleć nie ma o czym! Ja tam jestem tak powiązana, że od nich tylko mi na kraj świata uciekać.

Lena westchnęła:

\* Nie, muszę pani wszystko opowiedzieć. To jeszcze nie wszystko. Bo inaczej będzie pani zbyt dobrze o mnie sądzić. Ja spiam ze swoim kierownikiem. Za bardzo zależę od niego. To straszny człowiek. Ale bardzo mądry i sprytny. Teraz już jakby wszystko.

„Po co ona mi to mówi?" \* pomyślała Wiera. I zaraz zrozumiała: Lena Stowba była na swój sposób uczciwym człowiekiem... Biedna dziewczyna...

Wiera wstała, pogładziła jasne włosy Leny.

\* Wszystko będzie dobrze, Lenoczka. Zobaczysz.

Stowba przytuliła się twarzą do boku Wiery, Wiera ciągle głaskała ją po głowie, a Stowba płakała i płakała.

Rozstawały się jak bliscy sobie ludzie: teraz miały wspólną tajemnicę \* Wiera wiedziała o Lenie to, czego żaden człowiek, nawet Szurik, nie wiedział. I ona czuła się teraz nie w pełni Wierą, a częściowo Jelizawietą Iwanowną. Na chwilę była starsza, dorosła.

Wiera wyczuła, że Lena odstąpiła jej na pewien czas swoją dziewczynkę i nie będzie stać między nimi. I jeszcze: między nią i Murzikiem nie będzie stać także Jelizawieta Iwanowna, więc swoje niepełne macierzyństwo, częściowo odebrane przez matkę, będzie mogła przeżyć na nowo w całej pełni. Wszystko się ułożyło. Wszystko się zrosło i zagoiło.

44.

Na listopadowe święta u Żeni Rozencejga dojrzało wesele \* skutek udanego letniego urlopu w Gurzufie z Ałłą Kuszak, studentką trzeciego roku Instytutu Mendelejewskiego. Szurik poznał narzeczoną Żeni tuż przed ich wyjazdem, który przekształcił się w przedślubny, i wydała się Szurikowi bardzo sympatyczna. Była podobna do klucza wiolinowego: wyciągnięta do góry główka Nefretete z kokiem rudych włosów w puklach, długa szyja i długa talia, a całe to cienkie urządzenie ustawione było na dużym okrągłym tyłku, z którego sterczały dwie krzywe nóżki: tak właśnie Szurik opisał matce narzeczoną Żeni, a ona uśmiechnęła się na takie zabawne porównanie.

Sam fakt poważnego ożenku bardzo poruszył Szurika. Wszystko było prawdziwe, dorosłe i w żaden sposób nie przypominało jego fikcyjnego ślubu ze Stowbą. Żeńka promieniował niezmiernym światłem i oświadczył Szurikowi w dniu przyjazdu z Gurzufa, że Ałła jest w ciąży.

„Czego oni się tak cieszą" \* zdziwił się Szurik, pamiętający szczęśliwą Walerię, kiedy udało jej się zająć w ciążę, i nieszczęsną Stowbę, która wpadła za pierwszym razem z Enrike...

Szurik kilkakrotnie zachodził do Rozencejgów \* narzeczoną już się przeprowadziła do domu Żeni, i Szurik był świadkiem radosnego żydowskiego korowodu wokół brzemiennej narzeczonej. Szczególne figle wyczyniała babcia Żeni: co chwilę wchodziła do pokoju i częstowała Ałloczkę to śliwkami, to śmietaną, to kawałkiem ciasta. Ałła odmawiała, babcia obrażona wychodziła i zaraz z powrotem wchodziła z kolejnym poczęstunkiem.

\* Cały czas mnie mdli, chce mi się tylko pomarańczy \* cienkim dziecięcym głosikiem skarżyła się Ałła, a Żenia leciał do kuchni dowiedzieć się, czy są w domu pomarańcze.

Mama Żeni skierowała swoją energię w stronę medyczną i Ałłę ciągaliby to na analizy, to do jakichś



znakomitości na sprawdzenie i podtrzymanie jej świeżutkiej ciąży.

Zaplanowano królewską ucztę, jakiej świat nie widział. Wynajęto salę obok stacji metra „Siemienowskaja” i zawniasu organizowano zakupy. Nawet Szurik wziął w nich czynny udział: Waleria odstąpiła mu ze swojego dużego przydziału inwalidy dwie puszkę czerwonego kawioru. Kupił też Szurik prezent ślubny \* dużego pluszowego misia z kokardą w miejscu szyi.

\* Zwariowałaś! Strasznie mizerny prezent \* Wierusia skrytykowała Szurika i mizerny prezent dostał się Murzikowi. Szurik kupił inny, już nie mizerny \* piękny album Rembrandta. Z tą grubą księgą przyszedł na żydowskie wesele. Ludzi było mrowie: według listy sto osób, ale chyba każda osoba z listy przyprowadziła jeszcze krewnego lub znajomego. Krzesła brakowało. Nie starczało też naczyń. Ale była orkiestra i wodzirej o pseudonimie „gospodarz”.

Jedzenia było na pułk żołnierzy. Wynajęta stołówka postawiła ze swej strony wszystko, co miała najlepszego: winegret, ziemniaczaną zapiekankę z grzybami, jabłka w syropie i nie wiadomo czemu \* żałobne bliny. Kuchnię żydowską też reprezentowały najlepsze potrawy \* faszerywana ryba, forszmak i dania z drobiu w rodzaju paszтетów, nadziewanych szyjek i naczosnkowanych ćwiartek kurzych, nie wspominając o pozostałych galaretach i makowcach. Sałatki z oliwą, jesiotr i wędzona wieprzowa kiełbasa stanowiły sowiecki zestaw weselnego święta. Resztkę pieniędzy, które rodzina Rozenwejgów od dawna zbierała na kupno samochodu Moskwiacz, wydano na wódkę. Wino było bardzo tanie i nie liczyło się w rachunku...

Szurik nie był rozpieszczany taką obfitością jedzenia. Ich domowe gospodarstwo, pod nieobecność Iriny Władimirowny, prowadzone było bardzo skromnie. Na widok całej tej rozkoszy Szurik poczuł taki apetyt, że jadł bez przerwy trzy godziny, przerywając tylko po to, żeby wypić. Wodzirej plótł niesamowite bzdury, ale i tak nikt go nie słyszał, ponieważ przekrzyczeć stugłosowego harmideru nie mógł nawet wytrenowany w prowadzeniu dużych imprez dla pospólstwa doświadczony zawodowiec. Orkiestra, mimo usiłowań, też nie mogła przewyciężyć weselnego gwaru. Pod koniec trzeciej godziny Szurik poczuł, że się cokolwiek przejadł. Zaczęły się tańce, w których udziału brać już nie był w stanie.

Jednak musiał. Miła Ałłoczka w długiej ładnej sukni, która podkreślała wciąż jeszcze wyjątkowo wąską talię i całkowicie skrywała powiększony brzusek i pokaźny zad, podprowadziła do Szurika małą dziewczynkę, swoją siostrę przyrodnią Żannę, która okazała się całkiem dorosłą karlicą, bardzo ładną i przy bliższym oglądzie nie całkiem nawet młodą.

\* Żannoczka bardzo lubi tańczyć, ale się wstydzić \* prostodusznie Ałła przedstawiła swoją niestandardową kuzynkę. Szurik ociężale wypełził z za stołu.

Cała Żanna kończyła się nieco powyżej jego paska w spodniach. Była znacznie mniejsza niż duża pierwszoklasistka

Maria, ale tańczyła bardzo dziarsko. Szurik ledwie za nią nadażał, a kiedy się gubił, to podchwytywał ją na ręce, a ona śmiała się dziecięcym głosikiem.

Wesele miało się ku końcowi. Już zbierano ze stołu przywiezione z domu talerzyki i miseczki.

Żanna kręciła się wokół niego jak nakręcona, a Szurik musiał natychmiast wyjść. Postanowił po cichutku się wymknąć, nie żegnając się z młodymi \* musiał do ubikacji. Żołądek się buntował.

„Teraz do szatni” \* rozkazał sobie Szurik. Ale przy wyjściu z ubikacji czekała na niego Żanna \* w futrze i kapelusiku jak dla lalek.

\* Pan do metra? \* zapytała.

\* Tak \* powiedział prawdę Szurik. \* Ja też do metra. Do „Białoruskiej”. Szurik przedwcześnie ucieszył się.

Na stacji „Białoruskaja” okazało się, że Żanna jedzie do Niemczynowki, pociągiem elektrycznym.

\* Rodzice mieszkają w Moskwie, a ja wolę okrążyć rok mieszkać na daczce. Zawsze boją się, kiedy wracam wieczorem. Ale przecież pan mnie odprowadzi?

Od kiedy Maria pojawiła się u nich, mama mniej niepokoiła się o Szurika. Ale pamiętał, że nie zdążył do niej zadzwonić.

\* Do Niemczynowki dwadzieścia minut jazdy \* ze skargą w głosie powiedziała Żanna, zauważywszy wahanie.

Szczebiotała nerwowo i cieniutko przez całą drogę. Paplała coś tam o muzyce i Szurik zrozumiał,

że ona jest muzykiem.

\* Na jakim instrumencie pani gra? \* wykazał w końcu zainteresowanie jej szczebiotem.

\* Na wszystkich! \* Roześmiała się, a w jej śmiechu dźwięczało wyzwanie i dwuznaczność.

Wyszli na peron. Było zimno, ziemia skamieniała od mrozu, ale śnieg jeszcze nie spadł, chociaż z nieba leciała kłująca kaszka. Dom był niedaleko stacji. Szurik zatrzymał

się przy furcie, zamierzając się pożegnać i jechać z powrotem. Żanna zaśmiała się chytrze:

\* Następny pociąg o wpół do szóstej... Musi pan przenocować u mnie.

Szurik posepnie zmilczał.

\* Nie będzie pan żałował \* wieloznacznie obiecało maleństwo.

Żołądek doskwierał mocno i stanowczo parło do ubikacji. Ale ponownie zmilczał. Żałował tylko jednego \* że nie jest w domu...

Żanna wsunęła rękę w rękawicy pod nisko zawieszony haczyk i poszła ścieżką do ganku, włożyła klucz w dziurkę. Zazgrzytał metal. Klucz obracał się w zamku, nie zahaczał języczka, poszturchała nim, ale z powrotem nie wychodził. Szurik wziął się za klucz, ale ten się obracał, ironicznie zgrzytając. Szurik szarpnął i wyciągnął pogięty sworzeń \* pióro zostało wewnątrz.

\* No tak \* powiedział zasmucony.

\* Trzeba wyjąć szybę na tarasie. To nietrudne \* poradziła Żanna i poprowadziła go na lewo od ganku.

\* Przepraszam, Żanno, gdzie tu jest ubikacja? \* poddał się dobrze wychowany Szurik.

Żanna machnęła ręką w stronę drewnianej budki.

\* Przepraszam na chwilę...

W budce panowały nieprzeniknione ciemności, Szurik ledwo zdążył wskoczyć na drewniane siedzisko. Weselne żarcie wyrwało się na zewnątrz. Namacał na gwoździu stosik pociętych gazet.

Trochę ulżyło, chociaż w żołądku coś głucho burczało i bulgotało.

„Boże, jak mi niedobrze \* pomyślał Szurik. \* A jak teraz dobrze Żeńce z Ałłą...”

\* Tę szybę można wyjąć, trzeba tylko tutaj gwoździki odgiąć.

Szurik w milczeniu wziął się do pracy. Gwoździki odgięły się, ale szyba nie dała się wyjąć. Szurik nacisnął mocniej.

Szkló pękło i prawą ręką przebił szybę. Ostry kawałek przeciął rękę między kciukiem i wskazującym palcem. Mocno siknęła krew...

\* Ach! \* krzyknęła Żanna i wyjęła z torebki zabawki malutką białą chusteczkę. Szurik ściągnął lewą ręką moherowy szal i owinał rękę. Żanna zgrabnie wyjęła rozbite szkło.

\* Nic, nic, ja mam tam apteczkę! \* pocieszyła Szurika. \* Proszę mnie tylko podsadzić.

Zdjęła futro i przelazła przez pozbawione szyby okno.

\* Zaraz otworzę tylne drzwi, tam nie ma zamka, tylko haczyk. Niech pan obejdzie dom z lewej... \* krzyknęła już ze środka. \* Tylko futro niech mi pan poda.

Szurik wsunął futro i obszedł dom. Otworzyła mu tylne drzwi. Wszedł, ściskając rękę. Zapaliła światło i Szurik zobaczył, że już cały szalik jest we krwi.

\* Zaraz, zaraz wszystko zrobimy! \* trajkotała Żanna bardzo rzeczowo. Nie wyglądała na zakłopotaną... \* Niewielka siła wyższa! Bywa! Zacniemy od ręki, potem zajmiemy się piecem, a potem wszystko będzie bardzo dobrze...

Zniknęła, potem przyszła ze stertą bandażu i ręcznikiem. Rozłożyła ręcznik na ceracie kuchennego stołu. Kazała Szurikowi usiąść przy stole i rozmotła szal. Swoimi maleńkimi rączkami robiła wszystko bardzo szybko i zręcznie i cały czas nie przestawała gadać. Przyłożyła ściśle tampon i mocno przybandażowała kciuk do dłoni. Grubo namotała bandaż i podniosła rękę do góry.

\* Tak niech pan trzyma, póki krew nie przestanie lecieć. W moim pokoju jest piec holenderski, taki szybki, za godzinę będzie ciepło. Miesiąc tu nie byłam, wyziębiło się...

Wygadała się, ale Szurik nawet nie spostrzegł. W rzeczy samej mieszkała nie na daczce, a z rodzicami w mieście, na daczce przywoziła tylko kochanków. Stały jej kawaler, z grupy cyrkowej, gdzie i ona sama pracowała, był zazdrosny i obraźliwy. Dawno już jej się oświadczył, ale ona za niego nie wychodziła. Natura była niesprawiedliwa dla liliputów, nie tylko pod względem wzrostu, ale i wypuszczania na świat

o wiele więcej mężczyzn niż kobiet, i małżeńska konkurencja w ich środowisku była bardzo ostra. Żanna cieszyła się dużym powodzeniem, swatali ją nawet z liliputem z zagranicy. Ale nie porzucała nadziei na wyjście za mąż za mężczyznę normalnego wzrostu. Podobała się wielu, niektórzy na jej punkcie wariowali. Ale za mąż wyjść jakoś nie udawało się.

Na razie hałasowała w sąsiednim pokoju polanami. Szurik pobiegł jeszcze raz na dwór. Marzenie miał tylko jedno \* jak najszybciej dostać się do domu.

Kiedy Żanna znowu zjawiła się, Szurik zapytał, czy nie ma czegoś na rozstrój żołądka. Zaraz przyniosła mu jakąś tabletkę. Łyknął i czekał na rezultat. Żanna zaproponowała, żeby się położył w sąsiednim pokoju. Tam było tak samo zimno, jak na dworze. Znany efekt późnej jesieni, kiedy przy temperaturze minus trzy marznie się bardziej niż zimą w trzydziestostopniowy mróz.

Szurik, nie zdejmując kurtki, położył się na niskim tapczanie. Żanna z wierzchu narzuciła na niego zimną kołdrę. Huczał piec, burczał żołądek, zimno przejmowało do kości. Śmiertelnie chciało się spać.

„Teraz dobrze by było wejść do ciepłej wanny” \* wyobrażał sobie Szurik, ale znowu musiał biec na dwór...

W jakimś momencie zdrzemnął się na kilka minut i obudził, dlatego że przy jego boku kręciło się coś ciepłego. Ona była bez futra i przytuliła się do jego żołądka jak grzałka. Było to przyjemne. Rozpięła mu kurtkę, wsunęła się w rozpięcie i chuchała gorącym oddechem.

„Zupełnie jak kociak” \* pomyślał Szurik. I wezbrała w nim litość. Ale jakoś słabiutko. A gorące kocie łapki już skubały jego słabiutką litość. Opuścił rękę w dół i w jego dłoni znalazła się drobniutka damska stopka, goła i ciepła.

I litość wygrała...

O piątej rano biegł, zostawiwszy śpiącą Żannę. W pół do szóstej stał już na peronie, czekając na pierwszy pociąg. Bolał żołądek, bolała ręka. Pierwszy raz w życiu czuł litość dla siebie samego... Nie minęła godzina, jak leżał w gorącej wannie, wystawiając z wody prawą rękę w grubym rdzawym bandażu i lubował się ciepłem, sennym domem i wolnością.

„Nigdzie dzisiaj z domu nie wyłażę” \* postanowił i zasnął wprost w wannie.

Obudził się, kiedy woda ostygła, dołał gorącej i znowu zasnął. Drugim razem obudziło go stukanie do drzwi: wstały Wiera z Murzikiem, chciały się umyć. Szurik nałożył szlafrok, popróbował odwinąć z ręki przemoczony bandaż, ale on przyłgnał, więc owinał rękę ręcznikiem, żeby mama nie zauważyła jego bojowej rany i poszedł do swojego pokoju.

\* Jak wesele? Jak wyglądała narzeczona? \* zapytała Wiera, która czuła sympatię do Żeni od czasów, kiedy ten podciągał Szurika w matematyce.

\* Wesele wspaniałe, mameczko, ale się tam objadłem jak bąk i chyba się zatrujęm.

\* Boże, co z twoją ręką? \* zauważyła niezbyt spostrzegawcza Wiera.

Wymyślać czegoś nie miał sił.

\* Mamo, jestem śmiertelnie śpiący. Potem ci wszystko opowiem. A teraz pośpię, a ty nie wołaj mnie do telefonu, zgoda?

Dał kuksańca Marii, która już się koło niego kręciła. Potem przytulił ją do siebie. Sięgała mu prawie do piersi. Czyli wyższa była od Żanny.

„Jakieś mimo wszystko majaki, biedaczka Żanna” \* pomyślał Szurik, naciągając kołdrę na głowę. \* Szczęśliwy Żeńka! Taka miła Ała! Coś w niej jest znajomego, rodzimego... No tak, jest podobna do Lili Łaskiny. Oczywiście, nawet zewnętrznie trochę podobna, zwłaszcza przez swoją wesołość i naturalność... Skąd mi przyszła do głowy naturalność? Gdzie tu naturalność? No tak, naturalność gestów, ruchów... Napiszę list do Lilki. Droga Lilko! Droga Łasoczko..." I zasnął, nie dokończywszy listu, a zapadł w sen tak głęboko, że obudzony się, zapomniał i o Lili, i o liście.

45.

Telefon rzeczywiście dzwonił co piętnaście minut. Był drugi dzień świąt \* ósmy listopada. O Wierze Aleksandronnie przypomniały sobie jej były współpracownicy. Nawet Faina Iwanowna, była kierowniczką, zadzwoniła. Złożyła życzenia, zapytała o Szurika, czy się nie ożenił...

„Jak to miło z jej strony, że nie zapomina. Chociaż ona i szachrajka, ale jest w niej coś ludzkiego” \* wyciągnęła miłosierny wniosek Wiera.

Zadzwoił syn nieboszczyka Marmolady, Engelmark Michajłowicz. Zaskakująca rzecz, taki niesympatyczny człowiek, który zapomniał o swoim ojcu za jego życia, po jego śmierci nagle przejawiał zainteresowanie nim, a otrzymawszy w spadku spółdzielczy przydział ojca, zabrał szafy z książkami i partyjnym archiwum, a teraz od czasu do czasu dzwonił i pytał Wierę Aleksandrownę, czy nie zna ona kogoś, o kim wspominał Michaił Abramowicz w swoich notatkach. Ona za każdym razem próbowała mu wyjaśnić, że znała jego ojca bardzo powierzchownie i tylko w ostatnim roku jego życia. Ale Engelmark Michajłowicz był pewien, że Wierę Aleksandrownę łączyły więzy przyjaźni czy nawet miłości i była wprowadzona we wszystkie partyjne sekrety Michaiła Abramowicza, więc od czasu do czasu usiłował coś u niej wyjaśnić i niekiedy nawet zachodził. Po wszystkich nieciekawych telefonach był jeden przyjemny: dzwoniła przyjaciółka Kira i one długo opowiadały sobie o dzieciach: Kira \* o Sławoczcze, Wiera \* o Murziku.

A około dwunastej zaczęły dzwonić do Szurika niezliczone panie, niektóre znane Wierze Aleksandrownie z imion, niektóre anonimowe.

„Zupełnie nie umieją rozmawiać przez telefon, gniewała się Wiera Aleksandrowna \* nie przedstawiają się, nie witają...” Nie przedstawiała się i nie witała Matylda. Wyłącznie ze skrępowania. Chociaż ją z Szurikiem wiązały długoletnie różnorakie stosunki, ale nie chciała przedstawiać się matce Szurika.

Dzwoniła także Świetlana. Prawie traciła głos ze strachu przed srogą damą, matką Szurika. W dodatku nieszczęsne doświadczenie jej stosunków z mężczyznami utwierdziło ją w przekonaniu, że matka męża \* zawsze wróg... Męża zresztą nigdy nie miała, a ci, którzy mogliby być mężami, mieli właśnie straszne matki. W Wierze Aleksandrownie, zewnątrznie tak przyjemnej i dystygowanej, też przewidywała wroga.

Jedna tylko Waleria rozmawiała miło i przyjemnie, jak inteligentny człowiek. Z Walerią Szurikowi naprawdę się udało. Załatwiła Szurikowi pracę, tak dużo dla niego zrobiła. Co prawda, Szurik jej odpłaca taką samą monetą. I Wiera szczegółowo opowiedziała Walerii, że Szurik poszedł wczoraj na wesele kolegi ze studiów, późno wrócił, do tego z rozstrojem żołądka i skaleczoną ręką, a teraz śpi.

\* No i dobrze, niech śpi. A kiedy się obudzi, niech do mnie zadzwoni. Mam pytanie dotyczące tłumaczenia. Dziękuję, Wiero Aleksandrowna.

Szurik obudził się o piątej i to znów z powodu bólu żołądka. Poszedł do ubikacji i zaraz mama poprosiła go do telefonu. Dzwoniła Matylda. Prawie płakała. Przywiozła z Wiszniego Wołoczka ukochanego swojego kota \* staruszka Konstantyna \* ledwie żywego.

\* Z kotem jest źle, nie je, nie pije i tylne łapy nie w porządku, jakby sparaliżowane... Błagam Szurik, jedź po weterynarza. Już go raz przywoziłeś, Iwan Pietrowicz, mieszka na Prieobrażence... Już do niego dzwoniłam...

Co było robić.

\* Mamo, ja na dwie godziny wyjdę w pewnej sprawie.

\* A święta godzina? \* rozpaczliwie krzyknęła Maria. Świętą godziną nazywali wieczorne zajęcia językowe:

jednego dnia \* angielski, drugiego \* hiszpański.

\* Wieczorem, Murzik, dobrze? \* Już wczoraj opuściliśmy...

Maria lubiła te wieczorne godziny, kiedy Szurik z nią pracował, a i Wiera pilnowała, żeby zajęcia nie przepadały. No dobrze już, są święta.

I Wiera dała Szurikowi tabletkę na żołądek z gorącą słodką herbatą, owinęła brzydki bandaż jeszcze jedną czystą warstwą i kazała wracać jak najprędzej.

\* A zresztą jak chcesz, my z Murzikiem idziemy na balet i możesz po nas nie przychodzić, same wrócimy... \* zakończyła niezadowolona.

Murzik coraz częściej zastępowała Szurika podczas imprez kulturalnych. A w ogóle, według opinii Wiery, całe życie Szurika przebiegało między gospodarskimi troskami a jego wielorakimi pracami, więc kulturalne życie stolicy, takie intensywne i interesujące, w znacznym stopniu Szurikowi

umykało.

46.

Szurik długo szukał taksówki, ale za to do Prieobrażenki dojechali bardzo szybko. Miasto było świątecznie puste, a dojazd w obie strony \* od domu do Prieobrażenki i stąd do Masłowki \* zajął nieco ponad godzinę. Iwan Pietrowicz był stareńkim kocio\*psim lekarzem, lekko zwariowanym, jak wszyscy, kochający zwierzęta. Jego dom zawsze był pełen zwierząt kalek, a jeden stary pies był przywiązany do samodzielnie zrobionego wózka i przemieszczał się, spuściwszy przednie łapy na podłogę.

On od dawna leczył koty Matyldy, nie brał od niej pieniędzy, a cały koszt zamykał się w tym, że trzeba go było przywozić i odstawiać z powrotem do domu. Z publicznych środków komunikacji nigdy nie korzystał: albo chodził pieszo, albo jeździł taksówkami. Był samotny, ludzi nie lubił i jako tako godził się z takimi samymi dziwakami, jak on sam, miłośnikami zwierząt.

Kiedy przyjechali do Matyldy, kot już zdychał. Chrapliwie oddychał, z pyszczka toczyła się rzadka ślina. Iwan Pietrowicz usiadł obok nieszczęsnego zwierzęcia, położył rękę na czarnej mokrej głowie, chrząknął. Pomacał koci brzuch, kazał pokazać zmienione posłanie, popatrzył z niezadowolaniem na czarno\*brunatne smugi.

\* Wyjdźmy \* ponuro powiedział do Matyldy i wyszedł z nią do kuchni.

\* No, tak, Matyldo, niech się pani pożegna ze swoim kotem. Umiera. Mogę zrobić zastrzyk, żeby się nie męczył... Ale on i tak zaraz odejdzie...

Szurik stał w drzwiach kuchni i podziwiał staruszka: on wyszedł do innego pomieszczenia, żeby nie stresować pacjenta strasznym wyrokiem? Niesamowite!

\* Och, ja już sama pomyślałam, że za późno go przywiozłam... \* zduszonym głosem odezwała się Matylda.

\* Nie, to natura. Nawet jeśli wcześniej by go pani przywiozła, nie mógłbym pomóc. On ma ponad dziesięć lat, czy nie tak?

\* Dwanaście w styczniu skończy...

\* To on jest, niech pani policzy, osiemdziesięcioletni staruszek. Jak ja. Ileż można? No, chce pani, żebym zastrzyk zrobił?

\* Z pewnością trzeba. Żeby się nie męczył...

Iwan Pietrowicz otworzył walizeczkę, rozłożył na białej serwetce strzykawkę, igłę, dwie ampułki... Potem podszedł do kota, pokiwał głową:

\* Koniec, Matyldo. Nie trzeba zastrzyku. Kot umarł.

Matylda nakryła kota białym ręcznikiem, zapłakała, wzięła Szurika za ramię:

\* On nikogo nie kochał. Tylko mnie. I ciebie tolerował. Niech pan wypije z nami kieliszek, Iwanie Piotrowiczu. Podaj wódkę, Szurik.

\* Czemu nie wypić...

Szurik wyjął z lodówki butelkę wódki. O mało nie wypuścił jej z zabandażowanej ręki. Matylda zauważyła w końcu gruby opatrunek.

\* Szurik, co z twoją ręką?

Szurik machnął ręką. Zwierzęcy lekarz nawet nie zwrócił uwagi. Usiedli przy stole. Iwan Pietrowicz zabrał ze stołu swoje instrumenty.

Matylda prawie już nie płakała, ale łzy toczyły się po policzkach.

\* Ja już od pół roku wiedziałam, że jest chory. I on wiedział. Zaczął spać osobno. Wołam go do siebie, on podejdzie, przytuli się, głową potrze, i do siebie na poduszkę. Poduszkę mu na ławeczce położyłam, już mu wskoczyć na łóżko ciężko było. Takie to sprawy...

Wypili. Zakąsili jakąś rybą z puszki \* innego jedzenia w domu nie było. Nawet chleba.

\* Niby zwierzę, prawda? A wspomnieć chce się jak człowieka \* cicho powiedziała Matylda.

Iwan Pietrowicz wzdrygnął się.

\* Oj, Matyldo! Co też pani mówi! One przed nami do królestwa niebieskiego pójda! Sławny rosyjski filozof, zakazany oczywiście, Nikołaj Aleksandrowicz Bierdiajew, wie pani, co powiedział,

kiedy jego kot umarł? Na co mi, powiada, królestwo niebieskie, jeśli tam nie będzie mojego kota Mura? No? A przecież mądrzejszy od nas razem wziętych ludzi! Tak że niech pani nie wątpi, nasze kociaczki będą nas witać! Ach, jakiego miałem kota Marsika, w trzydziestym dziewiątym roku umarł! Kot nad koty! Piękność, rozum \* ministerialna głowa! Jestem winien wobec niego, infekcja się wdała. Wtedy antybiotyków nie było...

Opowiadał o kocie Marsiku, o kotce Ksantypie, Matylda \* o wszystkich swoich kotach, i wypili jeszcze wódki pod tę samą rybę, i trochę się pocieszyli. A kiedy Iwan Pietrowicz zebrał się do wyjścia i Szurik już wstał, żeby pójść po taksówkę, rozległ się dzwonek do drzwi \* przyszedł syn sąsiadki. Mieszkał na Priebrażence, przyjechał do matki oddać jej jakieś klucze, nie zastał jej w domu i chciał zostawić klucze u Matyldy. To się dobrze składało, bo Iwan Pietrowicz mieszkał prawie w sąsiednim domu, i on zabrał pijaniutkiego staruszka i obiecał odstawić go na próg. Biedny Konstantyn, zawinięty w ręcznik, też odjechał z weterynarzem. Staruszek miał sekretne miejsce w parku w Sokolnikach, gdzie grzebał swoje...

A Szurik nie wyszedł. Nie można było zostawić bez pocieszenia miłej zrozpaczonej Matyldy, która niczego od niego nie potrzebowała, tylko przyjaźni.

Jak w czasach szkolnych, równo o pierwszej w nocy wybiegł od Matyldy i leciał do domu \* przez kolejowy mostek na Nowoleśną ulicę. Przybiegł szybko, po dwudziestu minutach wchodził do mieszkania. Wszedł \* i przypomniał sobie: z Marią się nie pouczył, do Walerii nie zadzwonił i, co najważniejsze, zupełnie zapomniał o zielarzu, który przygotował dla Wierki masę na nogę... I na pewno Świetłana dzwoniła. Ona też czegoś potrzebuje... Zmartwił się...

47.

Wiera Aleksandrowna nie mogła nacieszyć się Marią. Szurik był w swoim czasie cudownym i zgodnym dzieckiem, ale dopóki rósł, nie zdążyła odczuć jednej z głównych radości macierzyństwa: wrażliwości na wychowanie. To

Jelizawiecia Iwanowna była dumna, kiedy jej uczniowie, a w szczególności wnuk Szurik, zaczęli przejawiać właśnie te cechy, które ona w nich wypracowywała: szacunek dla drugiego człowieka, życzliwość, szczodrość i, w pierwszej kolejności, uczucie wdzięczności... W tamtych latach, kiedy ona sama stała na pozycji wyrosniętego dziecka swojej matki, Wiera nie rozmyślała, skąd się wzięły te wszystkie zalety Szurika, które tak wcześnie były w nim widoczne. Kiedy Szurika chwalili sąsiedzi czy nauczyciele, ona żartowała: to u niego dziedziczne... Ale czy na tym rzecz polegała? Sama Jelizawiecia Iwanowna, antymaterialistka i wzniosła dusza, ale jednocześnie człowiek swobodnie myślący, kiedy mowa była o dziedziczności, zawsze powtarzała to samo zdanie: \* Kain i Abel mieli tych samych rodziców. Dlaczego jeden był łagodny i dobry, a drugi zabójca? Każdy człowiek jest owocem wychowania, ale głównym wychowawcą człowieka jest on sam! Pedagog otwiera odpowiednie zawory, a niepotrzebne zamyka.

Taka była niewymyślna pedagogiczna teoria znakomitego pedagoga, ona samowolnie decydowała, jakie zawory są odpowiednie, a jakie nie bardzo. Jej teorię można było poddawać w wątpliwość, jeśli by nie jej niezaprzeczalnie efektywna praktyka.

Teraz, mając w swych rękach Marię, Wiera w pełni naśladowała teorię matki. Jako natura artystyczna, ale słaba, Wiera dostrzegała, że Maria posiada ogromny temperament. Energia dziewczynki przelewała się przez brzegi, ona dosłownie nie mogła ustać na miejscu, z trudem przesiadywała w klasie czterdzieści pięć minut. Żeby pomóc Marii wysiedzieć na miejscu, Wiera wymyślała dla niej drobne ćwiczenia ruchowe, na przykład nauczyła ją obracać w ręku monetę i podarowała starą srebrną półrublówkę w tym celu. Kiedy po jakimś czasie ta „kręcona półrublówka” zaginęła, było dużo łez...

Wiera nauczyła też Marię drobnych i niewidocznych dla otoczenia ćwiczeń palców rąk i nóg, i kiedy długie siedzenie w ławce stawało się nie do wytrzymania, Maria rozgrywała swoje nożne i ręczne partie... Od pierwszej klasy Wiera zaczęła prowadzić Murzika do Domu Pionierów na zajęcia gimnastyki i akrobatyki, sama zajmowała się muzyką, a w przedmiotach ogólnokształcących całkowicie zdała się na naturalne zdolności. Z czytania dziewczynka była w

klasie najlepsza, a i z arytmetyką żadnych trudności nie było.

„Te zdolności do przedmiotów ścisłych ma po matce

\* zdecydowała Wiera. \* W żadnym razie nie po Szuriku”.

To była jakaś dziwna zbitka w głowie: doskonale wiedziała, że ojcem Marii jest jakiś wątpliwy kubański Murzyn, ale nie mogła jednocześnie nie traktować Marii jako córki Szurika. Szurik uczył Marię języków: jednego dnia \* angielskiego, drugiego \* hiszpańskiego.

Wiera Aleksandrowna dalej prowadziła zajęcia w swoim teatralno\*dydaktycznym kółku, ale nieświadomie przygotowywała je pod zainteresowania Marii. W czasie tego pierwszego roku pobytu Marii w Moskwie Wiera przestała zajmować się ze swoimi uczennicami deklamacją i etiudami

\* tylko ruchem...

Tarczyca Wiery Aleksandrowny zachowywała się bardzo dobrze, ale czasem mocno bolały nogi, rosła kostka przy paluchu, poprzednie wąskie pantofle stały się niewygodne, i pojawił się nowy kłopot \* obuwie...

Waleria siadła przy telefonie, rozmawiała z jakimś znajomym z setnego działu GUMu, ze sklepu „Bieriozka”, i Szurik od czasu do czasu woził mamę na przymiarki butów... Kupili Wierze Aleksandrownie buty firmy „Salamander” i czarne austriackie pantofle „Dorndorf”. Stopa życiowa rosła...

Rodzinne wydatki też rosły. Jednak Szurik dużo pracował i całkowicie dawał sobie radę ze wzrastającymi potrzebami rodzinnymi. W dodatku zostawała jeszcze rezerwa

\* nieprzejezdzony spadek Jelizawiey Iwanowny.

Krótko przed Nowym Rokiem przyjechała Stowba. Maria była bardzo szczęśliwa, chociaż nie można powiedzieć, że mocno tęskniła do matki. Ale kiedy Lena przyjechała, Maria się na niej powiesiła i nie puszczała nawet na chwilę. Stowba przywiozła dla wszystkich piękne prezenty, ale była w ponurym nastroju, paliła i milczała. Nawet z Szurikiem prawie nie rozmawiała. Kiedy Szurik zapytał ją, czy udało się jej wszystko załatwić w Polsce, furknęła, rozłościła się i rozmawiać na ten temat nie chciała.

„Pewnie znowu jej się nie udało” \* pomyślał Szurik. Żadna przyjacielska pociecha od niego tym razem nie była potrzebna. Przypuszczałnie dlatego, że wypowiedziała się przed Wierą.

Szurik jak zwykle kupił choinkę, a Wiera nagle postanowiła przywrócić bożonarodzeniowe jasełka, których nie grali od czasu, kiedy zmarła Jelizawiea Iwanowna. Dla Murzika. Szurik protestował: miał tylko trzech uczniów i już późno było zaczynać przygotowania.

Ale na Wierę spadło natchnienie, zaproponowała przedstawienie kukielkowe, i nie po francusku, a po rosyjsku. Zaczęły szyć lalki. Rozłożyły szmatki, taśmę do obszycia, przygotowały watę do wypchania. Maria dostała najprostsze i najbardziej odpowiedzialne zadanie \* ona szyła kołderkę, w którą zawinęły maleńkiego plastikowego nagusa, mającego wyobrażać niemowlę Jezusa. Wiera szyła Matkę Boską, a Stowba w głuchym milczeniu modelowała anioły z kawałeczków nakrochmalonej gazy... Szurik miał obowiązek, prócz choinki, zrobić parawan do przedstawienia... Przy tych wszystkich zajęciach Nowy Rok przeszedł jakoś niezauważony. Nie było żadnych świątecznych potraw, nawet prezenty, jeśli nie liczyć Stowbinych, rozdanych wcześniej, okazały się niezbyt wyszukane: Szurik podarował mamie niepozorne kaptcie, Wiera Szurikowi \* flakon wody kolońskiej „Szypr”, którego nigdy nie rozpakował, i krawat, którego nigdy nie założył. Lena dostała w prezencie jedwabną chustkę z zapasów Jelizawiey Iwanowny i książkę z wierszami Achmatowej, której nie doceniła. Za to Maria otrzymała całą stertę zabawek i książek, cieszyła się tak bardzo, że wszystkim udzieliła się jej radość.

Radość w krótkim czasie zmieniła się w olbrzymie dziecięce zmartwienie. W wigilię Bożego Narodzenia, kiedy wszystko do spektaklu było przygotowane, kukielki poszyte i role wyuczone, Stowbę pilnie wzywano do Rostowa: wypadła jakaś kontrola i jej buchalterska obecność była niezbędna. A Maria miała nadzieję, że mama będzie do końca ferii. Dziewczynka przepłakała cały wieczór, zasnęła, wczepiwszy się rękami w matkę. Rano, kiedy Lena pojechała na lotnisko, znowu zaczęła szlochać.

Wiera uspokajała ją jak mogła. Wreszcie przyniosła jej do łóżka kukielki. Efekt był nieoczekiwany:

Maria dosłownie rozerwała rękami jedną z lalek, wszystko rozrzuciła i wyła przy tym jak zwierzę. Smagłość jej przybrała nieprzyjemny szary odcień, jąkała się, trzęsła. Dostała konwulsji. Wiera Aleksandrowna rzuciła się do telefonu, aby wezwać lekarza. Pediatra, który leczył jeszcze Szurika, przyjechać nie mógł, sam był chory, ale wypytał o wszystko i kazał napoić dziecko walerianą, Maria trochę się uspokoiła, kiedy Szurik wrócił z Wnukowa, dokąd odprowadzał Stowbę, i wziął ją na ręce. Szurik spacerował po pokoju z dość ciężkim balastem na rękach, huśtał ją i fałszywie śpiewał My fair Lady z ulubionej płyty. Maria roześmiała się \* doskonale słyszała, że on fałszuje, ale myślała, że on żartuje. Kiedy chciał położyć ją do łóżka, znowu zaczęła płakać. I nosił ją na rękach, póki nie uświadomił sobie, że ma wysoką gorączkę. Zmierzyli, miała ponad trzydzieści dziewięć.

Wiera Aleksandrowna była całkowicie roztrzęsiona: dziecięcymi chorobami zawsze zajmowała się Jelizawieta Iwanowna. Szurik wezwał pogotowie.

Lekarka, która przyjechała na wezwanie, długo badała Marię. Potem znalazła jakąś malutką plamkę przy uchu i powiedziała, że najprawdopodobniej jest to ospa wietrzna i że szybko nastąpi pełny wysyp. W mieście była, jak się wyjaśniło, prawie epidemia. Lekarka wypisała lekarstwo zbijające temperaturę, poleciła dawać dziecku dużo pić, a pojawiające się wypryski smarować gencjaną i nie pozwalać rozdrapywać.

Wytrącona z rytmu Wiera, niepotrafiąca wziąć na siebie kierowniczej roli podczas choroby, wzięła książkę kucharską i poszła do kuchni gotować napój żurawinowy.

Po kilku godzinach Maria rzeczywiście od głowy do stóp pokryła się dużą czerwoną wysypką. Płakała bez przerwy, to cieniutko i cicho, to wyjąć, jak zwierzątko.

Prawie dobę Szurik nosił Marię na rękach. Kiedy zasypiała i on próbował położyć ją do łóżka, ona, nie budząc się, zaczynała skomleć. W końcu legł i położył ją przy swoim boku. Objęła rękoma jego ramię i ucichła.

Nad ranem znowu się jej pogorszyło, zaczęło się silne swędzenie. Szurik znowu wziął ją na ręce. Starł się przytrzymać jej ręce, żeby nie rozdrapywała krost.

Trochę podziałała sroga uwaga Wiery:

\* Jeśli będziesz rozdrapywać krosty, to na całe życie zostaniesz dziobata. Cała twarz będzie w bliznach.

\* Blizny, co to? \* Maria oderwała się od cierpień.

\* Takie szramy zostaną na całej twarzy \* bezlitośnie wyjaśniła Wiera Aleksandrowna.

Maria zaszlochała z nową siłą. Potem nagle przestała i powiedziała do Szurika:

\* Swędzi strasznie. Chodź, ty będziesz mnie drapać, tylko ostrożniutko, żeby blizny nie zostały.

Pokazywała palcem, gdzie najbardziej swędzi, a Szurik delikatnie pocierał ucho, ramię, plecki...

I tu, i tu, i tu \* prosiła Maria, ocierała się o jego rękę, a potem wczepiła się w jego rękę gorącymi palcami, zaczęła prowadzić jego rękę po swędzących miejscach. I przestała wreszcie szlochać...

Tylko pochlipywała: jeszcze, jeszcze...

Szurik drętwiał ze wstydu i strachu: czy ona rozumie, gdzie go zaprasza, biedulka? Zabierał rękę, a ona znowu skomlała i on znowu drapał ją za uchem, pośrodku pleców, a ona ciągnęła jego rękę pod kretonową koszulkę, umazaną gencjaną, żeby on dotknął palcami dziecięcej fałdki.

Dziewczynki było mu bardzo żal, a przekłeta litość niewybredna, niemoralna... Nie, nie, tylko nie to, tylko nie to... Niemożliwe, żeby ona, taka mała, jeszcze dziecko, a już kobieta, i już oczekuje od niego najprostszego pocieszenia...

Był straszliwie zmęczony tą dobą prawie nieustannego wożenia się z Marią, a ze zmęczenia rzeczywistość trochę się zniekształca, i on odpływał do jakiegoś miejsca, gdzie myśli i uczucia zmieniały się i on wyraziście uświadamiał sobie miernotę swojego istnienia: robił jakby ciągle nie to, czego od niego oczekiwano... Dlaczego wszystkie kobiety w jego otoczeniu pragnęły od niego tylko jednego \* nieustannej seksualnej obsługi?

To piękne zajęcie, ale dlaczego jemu ani razu w życiu nie udało się samemu wybrać kobiety? On też chciałby zakochać się w takiej dziewczynie jak Ała... jak Lila Łaskina... Dlaczego Żenia Rozencwejg, cienkoszyi, cherlawy Żenia mógł sobie wybrać Ałoczkę? Dlaczego on, Szurik, nigdy nie wybierając, powinien odpowiadać mięśniami swojego ciała na każdą natarczywą prośbę



wariatki Świetlany, kruszynki Żanny, nawet malutkiej Marii?

„Może ja tego nie chcę? Głupstwa, bieda w tym, że chcę... Czego chcę? Pocieszyć je wszystkie? Czy tylko pocieszyć? Ale dlaczego?”

I przedstawiało mu się, jak one wszystkie go obstepują, rozpoznawalne, ale nieco zniekształcone jak w trochę krzywym zwierciadle: Ala Togusowa z przechylonym na bok kokiem tłustych włosów, smutna Matylda z martwym kotem na rękach, Waleria z poszarpanymi nogami i wspaniałym męstwem, i cherlawa Świetlana ze sztucznymi kwiatami, i maleńka Żanna w lalczynym kapelusiku, i Stowba z surową twarzą, i złota Maria, która jeszcze nie podrosła, a już zajmuje swoje miejsce w kolejce... Z tyłu za wszystkimi majaczyła lwica Faina Iwanowna w zupełnie już zwierzęcej postaci, ale obrażona i skamląca, i taka litość w nim wezbrała, że wprost w niej utonął... A jeszcze w dali kłębiły się jakieś nieznanome, zapłakane, nieszczęśliwe, nawet chyba nieszczęsne, wszystkie na wskroś nieszczęśliwe... Z bezdennymi niepoczyszonymi muszlami... Biedne kobiety... Strasznie biedne kobiety... I on sam zapłakał.

Oczywiście, on już zaraził się ospą wietrzną i gorączkę miał wysoką. Wiera wezwała Irinę, a ta natychmiast przyjechała, nie bacząc na mróz i zimową groźbę zamrożenia systemu grzewczego. Minęła doba i Szurika obsypało. Ale do tego czasu Maria już przestała marudzić. Teraz ona sama smarowała Szurikowi wypryski gencjaną, a jej żeński instynkt, tak wcześnie obudzony, skierował się na szlachetną drogę troski o bliźniego.

Wiera ciężko przeżyła tę podwójną wiatrówkę. Choroba Marii, nawet przy ciężkim stanie, była zwyczajną dziecięcą przypadłością. Ale wiatrówka Szurika głęboko nią wstrząsnęła: zachorował po raz pierwszy w ciągu tych lat, kiedy żyli bez babci. Zwykle ona miała problemy ze zdrowiem, więc chorobę Szurika, w dodatku dziecięcą, rozpatrywała jako pewną niesprawiedliwość, naruszenie jej osobistego i bezwzględniego prawa do niemocy.

Po przyjeździe Irina od razu przeprowadziła swoje ulubione sprzątanie na mokro, ugotowała duży garnek rosółu z kury, i teraz opiekowały się chorymi na cztery ręce. Wiera dawała Irinie delikatne wskazówki i wszystko toczyło się składnie i prawidłowo, całkiem jak przy Jelizawiecie Iwanownie.

48.

Jedyny przyjaciel Szurika z lat szkolnych, Gija Kiknadze, i jedyny ze studiów, Żenia Rozencejg, znali się dzięki urodzinom Szurika, na które ich obu zapraszano, ale oni niezbyt przychylnie odnosili się do siebie. Żenia traktował Giję jak wroga: właśnie tacy z szerokimi piersiami, na mocnych nogach chłopaki z prymitywnym poczuciem humoru i podatni na okrucieństwo przyczyniali mu od dzieciństwa nieprzyjemności. On ten rodzaj ludzi doskonale znał, z lekka nimi pogardzał, trochę się ich obawiał i w głębi duszy im zazdrościł. Zazdrościł nie tyle siły fizycznej, ile stuprocentowego zadowolenia z życia i z siebie, które od nich promieniowało.

Ale w odniesieniu do Gii mylił się \* ten nie był ani ordynarny, ani okrutny, nawet posiadał znaną kaukaską grację i wdzięk człowieka, któremu wszystko się udaje. Stąd też brała się u Gii niezachwiana pewność siebie.

Żeni Gii też się nie podobał: z prostackich żartów Gii z seksualnym podtekstem się nie śmiał, wygląd miał wyniosły, jakby wiedział o czymś, czego innym nie dano... Była jeszcze jedna cecha, która podkreślała ich pełne przeciwieństwo: Żenia był kompletnym pechowcem, Gija \* z natury szczęściarzem. Jeśli Żenia padał, to zawsze w kałużę, jeśli padał Gija, to znajdował na ziemi cudzą portmonetkę...

Żaden z nich nie mógł pojąć, dlaczego Szurik ma za przyjaciela takiego nieodpowiedniego chłopaka. A Szurik lubił ich obu i nie musiał wcale ani udawać, ani naśladować drugiego. Cenił zalety każdego z nich i szczerze nie dostrzegał wad.

Z dużą przyjemnością chodził do domu Rozencejga, gdzie zawsze słyszał ciekawe rozmowy o polityce i historii, o bombie atomowej, awangardowej muzyce i konspiracyjnym malarstwie. Tutaj pierwszy raz usłyszał nazwisko Sołżenicyna i otrzymał w tajemnicy do szybkiego przeczytania Oddział chorych na raka, który zresztą nie zrobił na nim większego wrażenia, bo wyrósł na francuskiej literaturze i bardziej ciągnęło go do Flauberta.

W domu Rozencejgów czuł obecność ducha i stylu jego babci: tu królowała ta sama religia „przyzwoitości” \* ateistyczna, odrzucająca wszelką mistykę i za podstawę przyjmująca pewien zestaw nudnych i trudnych do określenia moralnych cech. Tylko, że u Rozencejgów o wszystkim tym mówiło się żarliwie, z temperamentem i bardzo kategorycznie, podczas gdy dobre wychowanie Jelizawie Iwanowny nie pozwalało jej obstawać przy swoich wartościach tak hałaśliwie. Rodzina Rozencejgów, jak i Jelizawie Iwanowna, dzieliła ludzi nie według narodowości, nie według pochodzenia społecznego, nawet nie według poziomu wykształcenia, a właśnie według tejże nieokreślonej „przyzwoitości”. Zresztą, jeśli Rozencejgowie po żydowsku martwili się kiepską organizacją świata, zwłaszcza w jego sowieckiej części, to nieboszczka Jelizawie Iwanowna nie miała iluzji odnośnie możliwości dobrej organizacji życia w innych częściach świata: w młodości mieszkała w Szwajcarii i Francji w czasach szczytu socjalistycznego entuzjazmu postępowej i wykształconej klasy i upewniła się, że niesprawiedliwość jest jedną z fundamentalnych cech życia, a wszystko, co można zrobić, to w miarę sił czynić sprawiedliwość w dostępnym każdemu zakresie... Do tej prostej idei prostoduszni Rozencejgowie jeszcze nie dorośli.

Kiedy Szurik próbował wyjaśnić Gii, co właściwie przyciąga go do Żeni i do całego jego klanu, Gija marszczył się, machał ręką i mówił z przesadnym kaukaskim akcentem:

\* Słuchaj, daragoj, nie mów mi o mądrości, popatrz, jaka dewczyna idzie! Jak myślisz, da mi ona czy nie da?

A Szurik śmiał się:

\* Gija, tobie każda da!

Gija skierowywał oczy na nos, przedstawiając pracę myśli:

\* Masz rację, kochany. Ja też tak myślę.

I obaj pokładali się ze śmiechu. Tak śmiać się, jak Gija, Żenia nie potrafił.

Gija był geniuszem rozrywki, a z wiekiem ten rzadki talent przekształcił w profesję i sposób życia.

Od razu po szkole poszedł do technicznej uczelni średniej renomy z jedyną osobliwością \*

pierwszorzędnym stołem do ping\*ponga. Przy tym stole Gija spędzał wszystkie godziny wykładów i szybko został absolutnym mistrzem instytutu. Zaproszono go do udziału w zawodach międzynarodowych i w ciągu roku zyskał pierwszą klasę sportową.

Szurikowi wtedy powiedział:

\* Przecież wiesz, Szurik, my, Gruzini, wszyscy co do jednego albo książęta, albo mistrzowie sportu.

A ponieważ mój dziadek do tej pory zrywa winogrona w zachodniej Gruzji i trudno go uważać za księcia, ja muszę zostać mistrzem.

Został mistrzem, przykręcił znaczek do granatowej marynarki i przeniósł się do Instytutu Sportu. To była radykalna decyzja, tym bardziej że sportowa kariera zupełnie go nie interesowała \* kochał rozrywkę, a nie bezmyślny monotony wysiłek, w którym nagrodą były centymetry, kilogramy czy sekundy. Źle się mieścił w ascetycznym świecie sportowców, którzy jeśli w czymś się rozumieli, to na pewno nie w rozrywkach...

Gija jako tako ukończył instytut i po znajomości, a ściślej, za łapówkę w wysokości dziesięciu butelek koniaku, został trenerem w rejonowym Domu Pionierów, gdzie prowadził jednocześnie trzy sekcje \* ping\*ponga, siatkówki i koszykówki.

Czas wolny poświęcał różnorodnym niesportowym przyjemnościom \* picciu, tańcom, muzyce i, naturalnie, miłości. Kobiety zajmowały ważne miejsce w jego rozrywkowych praktykach. A w żadnej z tych dyscyplin nie był dyletantem. Napoje alkoholowe \* od araku do ajerkoniaku, włączając

napoje na wszystkie pozostałe litery alfabetu, szczególnie wina \* mogłyby zostać jego drugim zawodem, gdyby urodził się we Francji, gdzie czuły smak i węch, hiperczułość receptorów smakowych do rozpoznawania odcieni kwaśności i słodkości i wrażliwość nosa były cenione chyba wyżej od talentu muzycznego. Towarzystwo Gii przy picciu było wielką przyjemnością dla Szurika. Nawet wspólne wyjście na piwo...

Gija odgrywał całe przedstawienie z degustacją piwa, ganiał kelnerów, przybierając ważny wygląd, mimochodem przedstawiając się jako syn nadzwyczaj ważnej osoby. Z wyjścia do restauracji Gija

mógł wyciągnąć niezliczoną ilość okazyjnych przyjemności, włączając rozmowę z szefem służby restauracyjnej, wezwaniem kucharza i jakąkolwiek atrakcją w rodzaju znalezionej w kotleciku po kijowsku dobrze przygotowanego papierowego rubla... Kiedyś, w oczekiwaniu na czeczugę, przyczepił spinaczem do żywej, ale bezpłodnej, jak znany figowiec, zakurzonej cytryny w ponurej doniczce niedużą wesołą limonkę, specjalnie w tym celu przyniesioną z domu. Gija sam zwrócił uwagę kelnera na dokonany cud, a wszyscy pracownicy restauracji, od sprzątaczk po dyrektora, otoczyli cudowną cytrynę, podziwiali owoc, którego jakoś wcześniej nikt nie zauważył.

Wychodząc, Gija zdjął ją i włożył do kieszeni, chociaż Szurik błagał, by zostawić ją na drzewie.

\* Nie mogę zostawić, Szurik. Kosztuje trzydzieści kopiejek, a z czym herbatę będziesz pić?

Szurik nigdy nie lekceważył dziwnych propozycji i zaproszeń Gii, jechał z nim to do rezerwatu, to na jakąś wystawę, to na biegi...

Pewnego razu, kiedy Szurik tylko co zakończył z Marią lekcję hiszpańskiego, rozległ się dzwonek telefonu.

\* Szurik, umyj uszy, umyj szyję i prędko przyjeżdżaj do mnie. Będą takie dziewczyny, jakie tylko w kinie można zobaczyć. Zrozumiałeś, tak?

Szurik zrozumiał. Włożył nowe dżinsy, kupione komisyjnie z udziałem tegoż właśnie Gii, nowy golf i pojechał. Po drodze kupił wjelisiejewskim dwie butelki szampana \* piękne dziewczyny zawsze piją szampana...

Piękności były cztery. Trzy z nich rządkiem siedziały na kanapie, czwarta, znana Szurikowi koleżanka Gii Rita, modelka z GUMu, chodziła w tę i w tę, kołysząc wszystkimi częściami ciała. Gija przedstawił przyjaciela:

\* Szurik, z wyglądu taki skromny chłopaczek, prawda? Tłumacz znakomity, ze wszystkich języków, jakie chcecie \* niemiecki, angielski... Tylko gruzińskiego nie zna. Nie chce gad. A mógłby...

Co to takiego było, ani Gija, ani Szurik nie dowiedzieli się nigdy \* czy to wymiana doświadczeń, czy spotkanie twórcze, czy pokaz mód wszystkich związkowych republik, ale dziewczęta stanowiły międzynarodowy bukiet: Uzbeczka Ania, która następnie okazała się Dżamilą, Litwinka Egle i Mołdawianka Andżelika.

\* Którą chcesz, wybieraj \* szepnął Gija \* towarzyszki sprawdzone politycznie i moralnie stałe...

\* Czyżby pan i litewski znał? \* spytała blada blondynka, trzepocząc nieprawdopodobnymi rzęsami, i Szurik wybrał ją.

W ogóle wybierać to on nie potrafił: wszystkie cztery były roste, w dodatku na wysokich obcasach, cienkie w talii, z długimi włosami i jednakowo umalowane. Dzieci różnych narodów wdzięczyły się na kanapie, założywszy prawą nogę na lewą, w lewej ręce trzymając papierosa, i zgodnie wypuszczały dym \* siedzący zespół baletowy. Ubrane też były bardziej lub mniej jednakowo.

Litwinka, jeśli się dobrze przyjrzeć, nie była taką pięknością, jak jej towarzyszki. Twarzyczkę miała długą, nos z garbkim, a usta pomalowane szminką jakoś dowolnie, poza wszelkim związkiem z wąskimi ustami. Ale miała coś w sobie przyciągającego \* kurestwo, być może...

Stół był zastawiony winem i owocami, żadnego konkretnego jedzenia nie było. Szurik postawił szampana i dziewczyny ożywiły się. Gija, otwierając szampana, szepnął do Szurika:

\* Prawdziwe prostytutki lubią szampana...

Szurik popatrzył na dziewczyny z nowym zainteresowaniem: czyżby to była prawda? Czy te pięknotki to prostytutki? A on miał fałszywy obraz: że prostytutki to pijane rozmemlane dziwki przy Dworcu Białoruskim... A te... Zmieniają wyobrażenie...

Wypili szampana, włączyli muzykę. Uzbeczka tańczyła z Giją, Rita wyszła na korytarz porozmawiać przez telefon. Szurik po wahaniach zaprosił Litwinkę Egle. Takie baśniowe imię. Objął jej plecy \* była jak wykuta z metalu. Pachniała perfumami, które też przywodziły na myśl metal. Bursztyn błyszczał na białej szyi. Przez bardzo wysokie obcasy trochę górowała nad Szurikiem i to też było niezwykle \* on miał sto osiemdziesiąt centymetrów, a nigdy takie wysokie dziewczyny przy nim nie stały. Obezwładniający duszę zachwyt ogarnął Szurika.

\* Pani jest po prostu królową, prawdziwą Królową Śniegu \* szepnął Szurik w ucho, obciążone szlifowanym bursztynem.

Egle uśmiechnęła się zagadkowo. Muzyka zamilkła, Gija rozlał resztki szampana dziewczynom. Mołdawianka poprosiła o koniak. Do pokoju weszła Rita, dosyć głośno powiedziała do Uzbeczki:

\* Dżamila, Raszid po całej Moskwie cię szuka. Dżamila \* Ania wzruszyła ramionami:

\* Czy to moja sprawa? Drugi rok ciągle szuka... Nic na to nie poradzę.

Mołdawianka dołała sobie koniak. Piła, nieładnie odchylając głowę. Zadzźwięczał dzwonek.

\* Rodzice? \* zdziwił się Szurik.

\* Nie, oni są w teatrze. Przyjdą gdzieś koło jedenastej. To Wadim.

Wszedł Wadim, duży i ważny. Krajobraz od razu się zmienił \* jak gdyby nadeszły znaczne męskie posiłki. Dżamila i Mołdawianka ożywiły się, ale Wadim od razu zatrzymał oko na Mołdawiance.

\* Andżelika, twoje wyjście \* rozkazał Gija i Mołdawianka, nie odstawiając szklanki, zawisła na Wadimie...

O wpół do jedenastej zaczęli się zbierać. Wadim powiózł dokądś całkowicie pijaną Andżelikę.

\* Dziewczyny z chatą \* szepnął Gija Szurikowi. \* Osobiście załatwiłem, na Prospekcie Mira. Tak, że możesz się częstować. Taksówkę lepiej brać po tamtej stronie.

Szurik kiwnął. Co on ma na myśli pod poczęstunkiem? Czyżby... Dżamila była wyraźnie zbędna, ale zdaje się, że nikogo to nie martwiło.

Szurik wziął taksówkę, wsadził dziewczyny na tylne siedzenie. Taksówkarz, starszy facet, patrzył na niego z szacunkiem. Szurik usiadł obok niego.

\* Nie oddasz jednej? \* cicho zapytał szofer.

\* Przepraszam, co? \* nie zrozumiał Szurik. Facet chrząknął:

\* Dokąd jedziemy?

Przyjechali na Prospekt Mira. Wysiedli przy porządnym stalinowskim budynku. Pieszko weszli na pierwsze piętro. Egle długo usiłowała trafić kluczem w dziurkę, wreszcie otworzyła drzwi.

Zaprowadziła Szurika do jednego z pokoi i wyszła. Rozejrzał się. Mieszkanie było niebogate, rodzinne. Stało podwójne łóżko, szafa. Drzwi niedomknięte, na nich zaczepione wieszaki ze strojami. Pantofle na obcasach, z pięć par, porządnie ustawione przy drzwiach.

W głębi mieszkania długo szumiała woda. Potem słychać było fragmenty damskiej rozmowy:

Dżamila jakby się skarżyła, Egle jednoznacznie odpowiadała. Potem weszła w niebieskim przezroczystym peniuarze, ze stertą odzieży w rękach. Powiesiła kostium na ramiączku \* najpierw spódnice, potem żakiet. Bez uśmiechu, poważnie.

„Co ja tutaj robię?” \* spostrzegł się Szurik, ale Egle powiedziała:

\* Łazienka i ubikacja na końcu korytarza. Ręczniki w paski.

Szurik uśmiechnął się: mama zwykle mówiła wieczorem do Marii \* szybko do łazienki, myć się i spać... I wszystko stało się zabawne.

Posłusznie wypełnił nakaz, wytarł się pasiastym ręcznikiem. W kuchni mignęła Dżamila z czajnikiem. Wrócił do sypialni \* tam Egle, zmieniwszy szpilki na domowe kapcie z pomponem, z powagą wypychała wąskie pantofle gazetą. Coś się zmieniło w jej twarzy. Przyjrzał się \* zniknęły wspaniałe rzęsy... Makijaż zmyty z twarzy. Ale brwi częściowo zostały.

Rozpięła peniuar.

\* Pomożesz mi się rozebrać? \* bez cienia kokieterii spytała Egle, a Szurik poczuł, że zupełnie nic nie czuje. Ani zdenerwowania, ani litości. Nawet trochę się przestraszył.

Zdjął z niej nylonowe opakowanie i zrozumiał, że prośba o pomoc \* to nie żaden wybieg. Stalowa twardość jej ciała pochodziła z tej bielizny, która zapinała się z tyłu na maleńkie haftki. I istotnie, tu była potrzebna garderobiana. Poodpinał haftki, gumowy pancierz opadł i pokazały się chude plecy, całe w czerwonych wgłębieniach po haftkach i szwach. Takie blade, biedne plecy... I natychmiast napłynęła żalność i strach przepadł.

Miała ostre paznokcie i wodziła nimi po ciele Szurika, łaskotała go wokół sutków pasemkiem włosów i dotykała pełnymi wargami. Świeciła się lampka na stole, ale światło jej nie krępowało. Przeciwnie, przyglądała mu się z zainteresowaniem, którego nie dostrzegał u niej w ciągu wieczora. Stwierdził, że jeśli to przyglądanie się i podszczypywanie będzie trwało, to żalność nad jej pleckami odgnieceniami po haftkach uleci i nie będzie mógł skorzystać z poczęstunku, który tak szczerze zaproponował mu Gija.

I skrócił wszystkie te wyszukane zachody i przystąpił do niewymyślnego procesu. Była dostatecznie pijana i idealnie rozluźniona. Po pewnym czasie Szurik zauważył, że już zasnęła. Uśmiechnął się \* litość minęła. Przewrócił ją na bok, poprawił poduszkę pod jej głową i spokojnie zasnął obok niej, zdążywszy jeszcze raz uśmiechnąć się do jej cichutkiego posapywania, obiecującego z latami nabrać siły pełnowartościowego chrapania.

Obudził się po dziewiątej. Egle spała, nie zmieniawszy w ciągu całej nocy pozycji: ręka pod policzkiem, cienkie nogi zgięte w kolanach. Zauważył, że palce u nóg ma niezwykle długie. No oczywiście, ta bajka, którą czytał Murzikowi, miała tytuł Egle \* królowa węży.

Po cichu ubrał się i wyszedł, nie czyniąc hałasu.

„Dzięki, Gija, poczęstowałaś pięknnością” \* uśmiechnął się Szurik, wspomniawszy Walerię, która cieszyła się miłością całą głębią duszy i ciała, i reagowała na każdy dotyk przyspieszonym biciem serca, dziękczynną wilgotnością ciała...

Szedł od klatki do bramy i cały czas się uśmiechał, kiedy zatrzymał go rosły Azjata w skórzanej kurtce:

\* Znasz Dżamilę?

Uśmiech Szurika znikł, odpowiedział grzecznie, ale z roztargnieniem:

\* Dżamilę? Chyba znam...

\* Dobrze \* wyszczerzył się tamten, a Szurik pomyślał, że ma twarz jak z albumu Hokusai \* samurajską, hardą, z płaskim, ale garbatym nosem \* to teraz jeszcze poznasz Raszida.

Szurik usłyszał nieprzyjemny chrzęst kości i wyleciał w powietrze. Drugi cios, w ślad za pierwszym, był spudłowany i trafił w nos. Ten Raszid był mańkutem i dlatego pierwszym bezbłędnym ciosem złamał Szurikowi szczękę z prawej strony. Ale o tym Szurik dowiedział się już później w szpitalu imienia Sklifosowskiego, dokąd go zawieziono w stanie nieświadomości. Prócz złamania szczęki i rozbitego nosa stwierdzono wstrząs mózgu średniej kategorii.

49.

Gdyby Raszid, usatysfakcjonowany zemstą, odwrócił się i szybko odszedł, zostawiając na asfaltowej ścieżce uszkodzonego Szurika, pamięć o tej historii pozostałaby tylko w postaci okrągłego kostnego zgrubienia na jego szczęce. Jednakże Raszid, zostawiwszy leżącego we krwi domniemanego rywala, wpadł do klatki, z której dopiero co wyszedł w przyjemnym nastroju Szurik, wleciał na pierwsze piętro i zadzwonił do wszystkich czterech mieszkań. Informatorka Raszida, jedna z czterech modelek, odwiedzająca Dżamilę w tym domu, nie zapamiętała numeru mieszkania, ale był to nieistotny drobiazg, zwłaszcza że w jednym mieszkaniu wcale mu nie otworzono, w drugim starczy głos wypytał, kto i do kogo, a trzecie drzwi otworzyła sama Dżamila. Szalone oczy byłego kochanka niczego dobrego nie zapowiadały, próbowała zatrzasać drzwi, ale Raszid już wstawił nogę na próg.

Przestraszyła się, że ją zaraz zabije, zaczęła od razu krzyżeć: „Pomocy! Zabijają!” z całej siły świeżego gardła. On zdążył ją wyłomotać jak należy, zanim patrol milicji, wezwany przez przechodniów do leżącego nieruchomo Szurika, zwabiony damskimi krzykami \* Egle przebudziła się, wyrzła ze swego pokoju i natychmiast rzuciła się do okna w celu głosowego wsparcia \* związał buszującego Raszida.

Szurika w tym czasie już zabrało pogotowie. Po drodze do szpitala oprzytomniał i, ledwie ruszając językiem poprosił, żeby ktoś zadzwonił do domu do mamy i przekazał, że z nim wszystko w porządku. Siedzący przy nim lekarz tak się wzruszył troskliwością syna, że odstawiwszy Szurika na izbę przyjęć, natychmiast zadzwonił do Wierę Aleksandrownę i poinformował o zdarzeniu.

Dzwonek telefonu ze Sklifosowskiego rozległ się po południu. Poinformowano, że Szurik ma uraz twarzy i już trwa operacja z powodu złamanej szczęki, że dzisiaj nie ma sensu przyjeżdżać, a jutro rano wszystkiego się można będzie dowiedzieć w informacji.

Najpierw Wiera starała się wyjaśnić, że zaszła pomyłka, że syn jest w domu i śpi spokojnym snem. Ale Maria, półuchem słysząca rozmowę telefoniczną, pchnęła drzwi do pokoju Szurika i krzyknęła:

\* Wierusia! Szurika nie ma! On nie śpi!

Ciekawy szczegół: bywało i wcześniej, że Szurik nie wracał na noc. Zwykle dzwonił i uprzedzał, chociaż było kilka przypadków, kiedy znikał bez uprzedzenia. Ale tego ranka Wiera jeszcze nie zauważyła jego nieobecności.

Siedziała przy telefonie, przetrawiając informację. Maria szarpała ją za rękaw:

\* Wierusia! No co, co się stało? Gdzie Szurik?

\* Trafił do szpitala, zrobiono mu operację szczęki \* Wiera przyłożyła dwa palce do podbródka i poczuła tam jakieś odrętwienie.

\* Trzeba jechać do szpitala \* zdecydowanie oświadczyła Maria.

\* Powiedziano, żebyśmy przyjechały jutro.

\* Wierusia, a czy nam jutro go oddadzą? Czy on jest na noszach, czy sam chodzi? Będziemy go łyżeczką karmić? A ja go będę mogła karmić? A kompot ugotujemy? \* zasypała pytaniami Maria.

„Jak można tak się przewrócić, żeby złamać szczękę? \* rozmyślała Wiera. \* Nogę, rękę \* to rozumiałe, ale \* szczękę? Nie, nie, przecież oni nie mówili, że upadł! Czyżby bił się? Oczywiście, pobił się!” \* i w jej wyobraźni rysował się obraz bitego przez chuliganów Szurika i czegoś związanego z obroną kobiety lub, w najgorszym wypadku, po prostu słabszego...

Wiera przytuliła do siebie Marię \* ta wciąż strzelała pytaniami, ale Wiera już się uspokoiła.

Nieprzyjemne odrętwienie szło od podbródka do górnej szczęki. Wiera potarła policzek. Trzeba było pójść na spacer z Marią, odrobić lekcje i jakoś dożyć do wieczora.

\* Jutro odprowadzę cię do szkoły i pojedę do szpitala. A dziś wieczorem ugotujemy kompot \* Wiera pocałowała Marię w głowę, ale ta gwałtownie szarpnęła się i boleśnie uderzyła Wierę w brodę.

\* Co, beze mnie? Beze mnie do szpitala? \* zawyła Maria. A Wiera uśmiechnęła się, pocierając miejsce uderzenia.

\* Dobrze, dobrze, pojedziemy razem! \* zgodziła się. Wiera spędziła bezsenność: ból rozprzestrzenił się

po całej twarzy, bolał podbródek, kość policzkowa, pulsował w skroniach.

Prawdopodobnie od uderzenia Murzika \* domyśliła się Wiera. Łyknęła analgin, którego długo szukała w apteczce, gdzie wszystko było poustawiane według starego systemu babci, który Szurik utrzymywał. Długie poszukiwanie w apteczce jeszcze bardziej ją rozstroiło. Przemknęła myśl: trzeba posłać Szurika do apteki. I zaraz prawie się rozpląkała: Szurik w szpitalu, źle się czuje, a ona tak moralnie rozsypała się, nie może zebrać sił, trzymać się mężnie i przeciwstawiać się... To było coś z repertuaru Jelizawiecy Iwanowny, i Wiera zrozumiała, że oto nastął moment, kiedy cała odpowiedzialność za Szurika i Murzika spoczywa na niej, i powinna wziąć się w garść, zebrać siły, trzymać fason i radzić sobie... W tym miejscu rozpląkała się prawdziwie \* połowa twarzy bolała i nawet na oko prawie nie widziała.

Znalazła analgin, przyjęła dwie tabletki naraz i usnęła.

Od rana zaczęły długie i niezborne przygotowania. Włożyły do torby pastę do zębów, jabłka, chustki do nosa i cukierki \* wszystko, co w żadnym razie nie mogło się Szurikowi przydać w ciągu najbliższych tygodni. Szurikowi założono na twarz metalowe klamry, utrzymujące szczękę nieruchomo do czasu, póki się nie zrośnie. Usta mógł otworzyć tylko na grubość rurki do płynnego jedzenia. Za to zapomniały wziąć kompot, ugotowany wieczorem, i kaptcie. Zresztą, Szurikowi dali szpitalne...

Maria wsunęła do torby zabawny zajęczka.

W szpitalnej informacji powiedziano, że zrobiono mu operację i leży na urazówce, w sali pooperacyjnej. Na oddział Wiery Aleksandrowny nie wpuszczono. Lekarz prowadzący nie wyszedł do niej. Ale paczkę przyjęto. Dość długo czekały na notatkę od Szurika. Wreszcie przyniesiono. Prosił o wybaczenie za głupi wypadek, w który się wpakował i przyczynił tyle zmartwienia, żartował, że teraz ukarany jest za głupotę długim postem i milczeniem, całkiem jak mnich. Prosił, żeby przyniosły mu dwie francuskie książki, leżące u niego na biurku, teczkę z papierami, papier do pisania i kilka długopisów.

Do domu przyjechały wieczorem strasznie zmęczone. Marii przemokły buty, Wierę znowu

rozboleła, umownie mówiąc, szczeka. Na kolację Maria przyszła zapłakana i powiedziała, że stęskniła się za mamą. Wiera też gotowa była rozryczeć się od pełnej dezorganizacji życia. Wziąć się w garść, zebrać siły, trzymać fason \* przykazała sama sobie.

O dziesiątej zadzwoniła Świetlana. Zamiast zwykłego krótkiego „nie ma w domu”, Wiera Aleksandrowna szczegółowo opisała Świetłanie wszystkie perypetie dnia, zaczynając od porannego telefonu.

\* Szkoda, że nie zadzwoniła pani od razu do mnie \* bardzo dziarsko odezwała się Świetlana. \*

Mam znajomych w Sklifie, jutro tam pojedę i wywiem się wszystkiego.

\* Dobrze, to byłoby wspaniale \* ucieszyła się Wiera. \* Tylko jemu trzeba jeszcze przekazać książki, jakie papiery.

\* Ja zajadę i zabiorę, niech się pani nie niepokoi...

Wiera Aleksandrowna podyktowała Świetłanie adres, długo i zawile tłumaczyła, jak łatwo znaleźć ich dom z Butyrskiego Wału. Świetlana tylko uśmiechała się.

Świetlana fruwała: nastał moment, kiedy będzie mogła wreszcie pokazać Szurikowi i jego ważnej mateczce, do czego jest zdolna.

I rzeczywiście poszczęściło się jej. Chociaż żadnych znajomych w Skifie nie miała \* a i po co byli potrzebni, skoro było już po operacji \* następnego ranka, podając się za kuzynkę, porozmawiała z chirurgiem Szurika, który pokazał jej zdjęcie rentgenowskie, objaśnił, jakiej operacji dokonano i jakie są przewidywania.

\* Po tym urazie moglibyśmy go szybko wypisać do domu, a po sześciu \* ośmiu tygodniach zrobić powtórny operację, nie jest skomplikowana. Ale miał jeszcze wstrząśnienie mózgu, dlatego niech poleży \* powiedział chirurg.

Następnie Świetlana poszła do sali, gdzie wśród pobandażowanych i zagipsowanych mężczyzn z trudem rozpoznała Szurika. Leżał na plecach, cały w rurkach: jedna z ust, dwie z nosa, i czarne sińce pod oczami. Obrazu dopełniał basen, stojący na jego kołdrze.

\* Boże mój! Kto cię tak spaskudził? \* wykrzyknęła retorycznie Świetlana.

Ale rozmawiać Szurik nie mógł, pokazał palcami i ona wyjęła długopis i papier.

Dalsze rozmowy przebiegały wyłącznie w formie pisemnej. Szurik gorąco jej dziękował za to, że przyszła. Prosił, o ile to możliwe, odwlec wizytę mamy. Napisał, że go jakiś szalony Kazach czy Mongoł z kimś pomylił i o mało nie zabił.

Świetlana wyniosła basen do ubikacji, prześcieliła łóżko, znalazła dyżurną pielęgniarkę i dała jej całkiem przyzwoitą sumę pieniędzy: nie za mało i nie za dużo \* żeby przychodziła i sprawdzała, czy wszystko w porządku. Potem wyszła do sklepu, kupiła kefir, dwa trójkątne opakowania śmietany i wodę mineralną, wróciła na salę. Kiedy już wychodziła, do sali wszedł milicjant w białym fartuchu na mundurze. Do Szurika. Z powodu wczorajszego pobicia. Milicjant zadawał Szurikowi interesujące pytania: czy zna on Dżamilę Haliłową i jakie go łączą z nią stosunki... Szurik pisał milicjantowi odpowiedzi, ale Świetlana ich nie widziała, ponieważ milicjant od razu zabierał kartki. Jednakże same pytania wystarczyły, żeby u Świetlany powstał obraz, bardzo podobny do tego, który powstał w wyobraźni Raszida. W każdym razie o Egle milicjant pytań nie zadawał, a Szurik nie uważał za konieczne o niej wspominać.

Swoje własne śledztwo Świetlana postanowiła odłożyć: ona też miała pewne pytania do Szurika. Milicjant, nawiasem mówiąc, nie pojawił się więcej u Szurika \* sprawę o pobicie Dżamili Haliłowej i Aleksandra Korna przez Raszida zamknięto następnego dnia, kiedy do Moskwy przyleciał ojciec Raszida, główny KGBowiec republiki, a teraz troską moskiewskich milicjantów było wymotać się samym, dlatego że Raszidowi w sekcji porządkowej nieźle włomotali...

Trzeciego dnia do sali wpadł Gija.

\* Szurik, dopiero mi powiedzieli... Aleś trafił, staruszkule! Ja też miałem przypadek...

I Gija opowiedział kilka historii o swoich sytuacjach, w których też mu się zdarzyło być bitym. Było to mało pocieszające. Potem Gija wyciągnął z teczki butelkę koniaku, zawiniętą w gazetę, otworzył ją, zagiął koniec rurki od ust Szurika do szyjki butelki.

\* Wydaje mi się, że to niezły pomysł \* wziął jeszcze jedną rurkę z szafki, wpuścił do butelki i pociągnął. \* Znakomity, rzekłbym, pomysł. A zakąsisz... nie, nie kefirem, naturalnie, śmietanką...

Przy tym przyjemnym zajęciu zastała przyjaciół Świetłana. Ledwie powstrzymała niezadowolenie.

\* Co wy tu robicie?

Gija nie pozwalał obrażać się nawet kobietom.

\* Troszkę popijamy. Przy wstrząsie mózgu bardzo wskazane. A pani co tu robi?

Szurik mruzczał coś niezrozumiale.

\* Rozumiem, rozumiem \* ironizował Gija. \* Ma serce dobre. To nawet widać. Ale kiedy mężczyźni piją, kobiety milczą, prawda?

Świetłana była wściekła z powodu takiego potraktowania, ale siedziała, nie poddawała się. I Gija poszedł, zostawiając butelkę u Szurika pod kołdrą, a Świetłane silnie rozdrażnioną.

Szurik, na ile to leżało w jego możliwościach, odciągał wizytę Wiery. Ale i Wiera była w złym stanie: ból, który zaczął się po informacji o zdarzeniu z Szurikiem, to ustępował.

Wezwała lekarza z prywatnej kliniki \* lekarz długo ją badał i powiedział, że jest to prawdopodobnie zapalenie nerwu trójdzielnego. Przepisał przebywanie w domu, ciepło i jakieś lekarstwo.

Przez trzy tygodnie Świetłana chodziła do szpitala Sklifosowskiego jak do pracy, codziennie zdawała Wierze Aleksandrownie relację o stanie zdrowia syna.

A nawet więcej: dwa razy Świetłana z jego polecenia zajeżdżała do Walerii. On trochę krępował się, zanim ją o to poprosił, ale praca była pilna, maszyny do pisania nie miał, a przepisać referaty mogła tylko Waleria. Drugim razem Świetłana zaszła do Walerii, żeby zabrać zapieczętowaną kopertę i wysłać na pocztę.

Waleria pochwaliła płaszcz Świetłany. Świetłana opowiedziała, że uszyła go sama z materiału, kupionego w tym samym domu. Świetłana pochwaliła antykwaryczne meble Walerii, dodając, że nie znosi współczesnych. Świetłana wydała się Walerii miłą, ale bardzo nieciekawą. Świetłana ze swej strony, współczuła w duchu tej pełnej, zbyt jaskrawo wymalowanej inwalidce. A przecież tyle trwożnych myśli przyniosła Świetłanie ta marszruta Szurika...

W dziennym świetle będzie wyglądała po prostu jak matrioszka, biedaczka \* pomyślała Świetłana. Rywalek w sobie wzajemnie nie podejrzewały.

Do szpitala Wiera Aleksandrowna nie jeździła. Padały zimne wiosenne deszcze, w zimowych butach było już za gorąco, a w pantoflach za wcześnie. Odpowiedniego obuwia na mokrą pogodę Wiera nie miała. Jak Szurik wypisze się, trzeba będzie ten problem rozwiązać. Dobrze by było na kauczuku, ale nie na płaskiej podeszwie, na niedużym koturnie...

Wiera pisała do Szurika długie cudowne listy. Szurik je zachował, złożone w porządnym stosiku, według dat. Maria też pisała, a także rysowała obrazki. Główny temat \* ona z Szurikiem na brzegu morza.

Świetłana przyjeżdżała do nich po listy, na prośbę Szurika brała słownik lub brzytwę albo dużą kopertę, dostarczoną przez pocztę.

Wiera Aleksandrowna oceniła Świetłane wysoko: prawdziwy przyjaciel, a chociaż ładna nie jest, to powierzchowność wdzięczna, dziewczyna wychowana. I, co jest rzadkością \* znakomita w robótkach ręcznych. Jelizawie ta Iwanowna pochwaliłaby... Świetłana była bardzo opiekuńcza w stosunku do Wiery Aleksandrowny: za każdym razem, kiedy się do nich wybierała, pytała, co przywieźć z miasta, i przywoziła z garmażerii restauracji „Praga” mnóstwo różnego jedzenia, tak że Wiera Aleksandrowna zapomniała zapytać Szurika, w jakiej garmażerii kupował kotlety ziemniaczane...

Wreszcie Szurika wypisano. Wiera Aleksandrowna przejęła się: wyglądał strasznie. Schudł. Ze szczęki sterczały jakieś metalowe pręty. Ledwie mówił, niewiele jadł, tylko pił wszelkie płyny przez słomkę. Za to pisał im wspaniałe liściki z rysunkami. Maria natychmiast zażądała, żeby nie opuszczał „świętych godzin”, nawet mu powiedziała, ile godzin jest jej dłużny za czas choroby. Podliczyła. Obiecał wszystko odpracować.

Zadziwiająco, ale jak tylko Szurik wrócił ze szpitala, zapalenie nerwu trójdzielnego u Wiery minęło \* jakby wcale go nie było.

Wkrótce Szurikowi zdjęto żelazną zbroję i z tej okazji zaprosił wszystkich, ze Świetlaną włącznie, do restauracji „Kotwica” i nakarmił do przesytu smacznymi daniami.

Świetłana świętowała najważniejszy dzień swojego życia: to był rodzinny obiad, wszyscy ludzie,



siedzący przy sąsiednich stolikach, myśleli, że Szurik to jej mąż, Wiera Aleksandrowną jakby teściowa, tylko ta dziewczynka nie wiadomo czyja. Zbędna. Sama Maria też cieszyła się wspaniałym obiadem, ale też uważała, że był tu ktoś zbyteczny \* Świetlana...

Nieprzyjemna dla Świetlany była tylko jedna okoliczność: Szurik, jak dawniej, nie pragnął odwiedzać jej w domu, i w ogóle nie przejawiał żadnych oznak męskiego zainteresowania. Świetlana cierpliwie czekała na miłosne spotkanie. Rozmowy o wschodniej Dżamili postanowiła nie podejmować. Jeżeli, to kiedyś, później...

Dzwoniła teraz codziennie, długo rozmawiała z Wierą Aleksandrowną o życiu w ogóle i o Szuriku w szczególności. Przy końcu rozmowy prosiła do telefonu Szurika, a jeśli nie było go w domu, Wiera niezmiennie wyjaśniała, gdzie on się teraz znajduje. Jeśli to była biblioteka, Świetlana nie omieszkała przejechać się i sprawdzić. Mimo wszystko wrażenie miała takie, że innej kobiety nie ma... Czasem Wiera mówiła, że on dziś nocować w domu nie będzie, pojechał z jakimś trudnym tłumaczeniem do Walerii i najprawdopodobniej tam będzie nocować.

Tymczasem znowu nadeszła wiosna i Szurik powiedział jej o wyjeździe na daczę w niedługim czasie.

„Sytuacja okropna” \* zrozumiała Świetlana. Wiera z Marią pojedą na daczę, a on znowu nie będzie do niej dzwonić i ostatecznie wszystko przepadnie. I to teraz, po tym wszystkim, co dla niego zrobiła! Znowu w myślach pojawiła się Dżamila, przez którą o mało go nie zabili. Może jednak, mimo wszystko, on się z kimś spotyka...

Świetlana zwiększyła czujność. Znowu dyżurowała przy jego domu, śledziła go z niedużej, ale dokładnie wyliczonej

odległości \* i bez rezultatu: ani Dżamili, ani żadnej innej kobiety jak gdyby nie było. Jednak niepokój i niedowierzanie dręczyły ją, znowu nie sypiała po nocach, skręcała jedwabne białe kwiaty i w myślach układała je wokół swojej głowy... Nie, on nie kocha jej, ale ceni, szanuje, jest wdzięczny... Jak zmusić mężczyznę do miłości? Czyżby trzeba było umrzeć, żeby być docenioną? Ach, jeśli by można było najpierw dać się pochować, rozkoszując się tym, jak wszyscy będą opłakiwać jej odejście, a potem dopiero umrzeć naprawdę. Leżeć jak Ofelia, w trumnie, w kaplicy upiękzonej kwiatami, a kochany cierpi przy trumnie, wyjmując miecz i zabija się... A ty to widzisz, upewniasz się w jego wiecznej i wiernej miłości, i wtedy już spokojnie i z zadowoleniem umierasz... Nie, Szurik, maminsynek, nie jest do tego zdolny. Chyba tylko dla matki... Uśmiechała się do tej myśli, dlatego, że szaleństwo jeszcze nie na tyle ją opanowało, żeby całkowicie zabić poczucie humoru...

Zadzwoiła do niego i poprosiła, żeby zaraz przyszedł. Już od dawna oczekiwał czegoś w tym rodzaju. Wiedział, po co go wezwano. Szedł jak na ścięcie, z rozdrażnieniem skierowanym wyłącznie na siebie.

„Przede wszystkim nie wdawać się w żadne wyjaśnienia” \* postanowił Szurik.

I natychmiast, jak tylko podniosła się powiewna zasłona na drzwiach jej pokoju, objął ją, wsunął palce w niłą pianę cienkich włosów, ona coś paplała cichutko i radośnie o zniszczonej fryzurze, o zmiętej bluzce. Wyglądała tak szczęśliwie, że Szurik zapomniał o swoim niedawnym rozdrażnieniu i odrobił lekcję ze zwykłym dla zdrowego młodego mężczyzny entuzjazmem. Świetlana zaś znajdowała się w siódmym niebie i szeptała swoje zaklęcie: „Kochasz mnie?” przez całe dwadzieścia pięć minut, dopóki Szurik nad nią pracował.

Potem Szurik szybko ubrał się i uciekł, wykręcając się koszmarną ilością spraw, które dzisiaj musi pozatłatwiać.

A chociaż Świetlana nie otrzymała jasnej słownej odpowiedzi na zadane wprost pytanie, sam fakt bliskości można było rozpatrywać jako pozytywną odpowiedź.

Szurik z lekkim sumieniem zbiegał ze schodów: wszystko poszło pomyślnie, a teraz on naprawdę pognął do Wszech\*związkowego Instytutu Informacji Naukowej i Technicznej po kolejną porcję przekładów, potem do księgarni zagranicznej po nowy podręcznik hiszpańskiego dla Marii, potem do apteki po lekarstwo dla Matyldy. I tak dalej, i tak dalej... Przyjemnie było, że pierwszą z zaplanowanych na dzisiaj spraw już wykonał i wyrzucił z głowy.

Naga i całkowicie uspokojona Świetlana leżała, okryta babcinym angielskim pledem na tapczanie

i nie myślała o niczym, w końcu i ona doznała rozkoszy spokoju. Głaskała się po brzuchu i piersiach, odczuwała dumę i wdzięczność dla samej siebie. Była całkowicie szczęśliwa i nawet zdrowa. Tak więc nieprzebyta przepaść między kobietą, dla której miłość jest jedynym sensem i wypełnieniem życia, a mężczyzną, dla którego miłość w takim pojmowaniu w ogóle nie istnieje, a jest tylko jednym z wielu składników życia, na kilka chwil pokryła się cienką błoną.

50.

Telefon przewodnika, który oprowadzał podczas olimpiady francuską grupę po Moskwie w czasie pierwszej podróży Joel do Rosji, zachował się w jej starym notatniku. Po tym pierwszym przyjeździe była w Rosji jeszcze dwukrotnie, ale oba razy w Leningradzie. Ostatnim razem spędziła tam trzy miesiące już w charakterze praktykantki. Teraz przyjechała do Moskwy na pół roku \* żeby dokończyć pracę naukową. Minęły dwa tygodnie, zanim zdecydowała się zadzwonić do Szurika.

Zapamiętała go nie

dlatego, że był sympatycznym dużym chłopcem z dziecięcym rumieńcem, bardzo rosyjskim \* tres russe \* jak zgodnie określiła wtedy cała francuska grupa, ile z powodu języka francuskiego \* nieskazitelnego języka z początku dwudziestego wieku, którym już dawno nikt nie mówił, jeśli, to tylko jacyś prowincjonalni notariusze, dożywający dziewięćdziesiątki...

Joel zachwycała się rosyjską literaturą jeszcze przed przyjazdem do Rosji i nawet próbowała samodzielnie nauczyć się języka rosyjskiego. Rosja oczarowała Joel i ona, jedyna córka bogatego producenta win, właściciela wielkich winnic pod Bordeaux, ku wielkiemu niezadowoleniu ojca, wstąpiła na Sorbonę i zupełnie odeszła od rodzinnego interesu. Zamiast zajmować się księgowością czy obsługą klientów, Joel analizowała teksty Tołstoja. Czytając Wojnę i pokój zwróciła uwagę, że francuski język Tołstoja, wielkie dialogi rosyjskich arystokratów, istniejące równoprawnie w rosyjskim tekście, przypominają jej jakoś ten francuski, którym mówił rosyjski przewodnik Szurik. I początkującego filologa zainteresował ten fenomen. Następnie znalazła także dużą ilość fragmentów francuskich tekstów w spuściźnie Puszkina. Właśnie ten temat \* analizę porównawczą języka francuskiego Puszkina i Tołstoja \* wybrała do badań. Ścisłe mówiąc, nie wybrała go z proponowanych, a sama zaproponowała go swojemu profesorowi, a on zaakceptował jako bardzo interesujący. Szurik, sam o tym nie wiedząc, stał się ojcem chrzestnym jej pracy naukowej.

Joel zadzwoniła do byłego przewodnika. Praca przewodnika wtedy Szurikowi nie wyszła: nie spodobał się kierownictwu „Inturistu” i więcej go nie zapraszano, żadne dziesiątki turystycznych grup i setki podróżnych nie przeszły przed jego oczami, dlatego też doskonale zapamiętał Francuzeczkę z Bordeaux, która otworzyła mu oczy na beznadziejnie staroświecki stan jego francuskiego języka. Spotkali się \* pod pomnikiem Puszkina, co było symboliczne.

Pocałowali się dwa razy, jak to jest u nich przyjęte, ale on pocałował trzeci raz \* jak to jest przyjęte w Rosji. I roześmiali się jak starzy przyjaciele. Wziąwszy się za ręce, poszli na spacer po mieście.

Podeszli pod stary uniwersytet, potem zeszli na nabrzeże i jakoś przypadkowo, starym przyzwyczajeniem, Szurik wyprowadził Joel najpierw pod dom Lili w Czystym Zaułku, a potem, zataczając koło, wyszli na cerkiew Ilji Proroka w Obydienskim Zaułku. Po chwili wahania weszli do cerkwi, trochę postali, posłuchali końca wieczornego nabożeństwa, potem znowu wyszli na nabrzeże, przez Duży Kamienny Most przeszli Moskwę rzekę, długo spacerowali po Zamoskworieczu. Szurik pokazał jej dom na Piatnickiej, w którym kiedyś mieszkał Tołstoj, a Joel coraz bardziej zakochiwała się w mieście, które teraz wydawało jej się prawie rodzimym.

Ona była z gatunku dziwnych obcokrajowców, których niemało było w tych latach, oczarowanych Rosją, szczególnym jej duchem otwartości i poufności, a Szurik wydawał się jej jakimś tołstojowskim bohaterem \* czy to wyrośniętym Pietią Rostowem, czy młodym Pierrem Biezuhowem.

Szurik zaś, spacerując po tych zakątkach, po których chodził kiedyś z Lilą Łaskiną, która wyparowała z jego życia, też nie czuł się sobą dzisiejszym, a tym uczniem w przededniu egzaminów na uniwersytet, nawet złapał się na tęsknym żalu, że nie poszedł na ten głupi egzamin z języka niemieckiego: przecież by zdał i wszystko potoczyłoby się inaczej, lepiej niż obecnie... I być

może, babcia pożyłaby dłużej...

Wspaniale rozmawiali sobie o wszystkim na świecie, przeskakując z jednego tematu na drugi, przerywając sobie nawzajem, śmiejąc się z błędów w języku: cały czas przechodzili z języka na język, dlatego, że Joel chciała rozmawiać po rosyjsku, ale brakowało jej słów. Potem zaczął padać deszcz i schowali się na zapomnianym cerkiewnym placu, w na półrozwalonej altance, i całowali się, póki deszcz nie

ustął. Szurik miał dziwne uczucie powtarzania \* on rzeczywiście siedział na tych ławeczkach dziesięć lat temu, ale nie z Joel, a z Lilą, i chwilami jakby przenosił się w tamto pomaturalne lato z egzaminami, nocnymi przechadzkami, odjazdem Lili i śmiercią babci.

Kiedy deszcz przeszedł, pojawili się ludzie z psami, ktoś spuścił dużego niemieckiego owczarka. Okazało się, że Joel od dziecka panicznie boi się psów, więc czekali, aż zabiorą owczarka. I znowu się śmiali. I znowu się całowali.

Metro tymczasem zamknięto, Szurik wziął taksówkę, żeby odwieźć Joel do domu \* mieszkała w asytenckim akademiku na Leninowskich Górach.

\* Tam jest bardzo nieprzyjemna portierka \* poskarżyła się przed wejściem do akademika.

\* Boisz się jej jak tego owczarka? \* zapytał Szurik.

\* Szczerze mówiąc, bardziej.

\* Możemy pojechać do mnie \* zaprosił Szurik.

Mama z Marią były na dacy. Joel łatwo przystała, wsiedli do tej samej taksówki i pojechali przez centrum, obok pomnika Puszkina na „Białoruską”.

\* To jakieś specjalne miejsce \* wyglądając przez okno, powiedziała Joel. \* W Moskwie dokąd nie jedziesz, niezmiennie widzisz pomnik Puszkina.

To była oczywista prawda. Tu było serce miasta: nie historyczny Kreml, nie plac Czerwony, nie Uniwersytet, a właśnie ten pomnik, ze śnieżnym płaszczem na ramionach poety zimą lub w gołęmbim letnim pomociu. Przystawiany z jednej strony placu na drugą on właśnie był głównym miejscem Moskwy. Od tego dnia Joel z Szurikiem spotykali się tu codziennie, prócz tych wieczorów, które on spędzał na dacy.

Ona była kobietą ptakiem: umiała szybko poderwać się z miejsca, zawsze była głodna, bardzo szybko najadała się, co pół godziny ciągnęła Szurika za rękaw i mówiła: Szurik, ja muszę „pour la petite”. I rzucali się na poszukiwania publicznego szaletu \* w Moskwie było ich niewiele, czasami zachodzili na podwórze, znajdowali ustronne miejsce i on zasłaniał ją, dopóki kokosiła się w krzakach jak ptak. A kiedy wyłaziła z krzaków, to natychmiast pytała Szurika, czy nie wie, gdzie tu można się napić \* i zaśmiewali się.

Śmiała się, gdy się rozbierała, śmiała się, gdy wstawała z łóżka, a chociaż nic tak nie przeszkadza w seksie jak śmiech, jakoś potrafiła śmiać się nawet w objęciach Szurika. Kiedy się śmiała, to mocno brzydła: usta się szeroko rozciągały, koniuszek nosa opuszczał się w dół, oczy mrużyły się, a ona, wiedząc o tym, śmiejąc się, chowała twarz w rękach. Ale sam śmiech brzmiał zaraźliwie. Szurik mówił jej, że można by ją było wynajmować do pobudzania publiczności teatralnej na kiepskich komediach: ona by puszczała swoje śmiechowe rulady, a publiczność śmiałaby się w ślad za nią... Po dwóch tygodniach Świetlana wyśledziła Szurika. Właśnie na placu Puszkina. Z dziesięć minut stał u podnóża pomnika z bukietem jakichś niebieskich kwiatów. Z przeciwnej strony placu niemożliwością było dojrzeć, co to za kwiaty, chociaż dla Świetlany to też było ważne. Potem podeszła niewysoka kobieta. Nawet z drugiej strony ulicy było widać, że cudzoziemka: ostrzyżona nie po naszemu, w jakieś kosmyki, parasolka wisiała na plecach jak karabin u żołnierza, i kraciasta torebka na ramieniu, i w ogóle \* na kilometr pachniało cudzoziemką... Pocałowali się, wzięli się za ręce i śmiejąc się, poszli Twerskim bulwarem. Śmiech był szczególnie obraźliwy: jakby śmiali się z niej, Świetlany...

Świetlana poszła ich śladem, jednak po pięciu minutach poczuła, że zaraz upadnie. Siadła na ławce, przeczekała, póki parka nie zniknie. Siedziała pół godziny. Potem, ledwie powłócząc nogami, poszła do domu. Zadzwoiła do Sławy, opowiedziała jej, że przypadkiem spotkała Szurika z kobietą, i że jeszcze jednej zdrady nie przeżyje.

\* Zaraz do ciebie przyjadę \* zaproponowała Sława.

Świetlana pomilczała i odmówiła:

\* Nie, Sława, dziękuję. Muszę być sama.

Sława była doświadczoną samobójczynią, nie mniej doświadczoną niż Świetlana. Przyjechała następnego dnia, wcześniej rano. Wezwała ślusarza. Wyłamali drzwi. Świetlana spała głębokim snem: nasenne tabletki już od dawna były przygotowane. Wezwano pogotowie, przepłukali żołądek i zabrali.

Po dwóch dniach, kiedy Świetlana odzyskała przytomność i przewieziono ją na oddział doktora Żuczylina, Sława zadzwoniła do Szurika i poinformowała o wydarzeniu.

\* Dziękuję, że pani zadzwoniła \* powiedział Szurik. Sława uniosła się.

\* Proszę! Na zdrowie! Czy naprawdę nie rozumiesz, że to spada na twoje sumienie! Wszyscy jesteście po prostu ludojady! Czy naprawdę nie masz nic więcej do powiedzenia? Gnojek! Jesteś prawdziwy gnojek! Po prostu podlec!

Szurik, wysłuchawszy jej do końca, powiedział: \* Masz rację, Sława.

I powiesił słuchawkę. Jak, dokąd można uciec od wariatki? Joel nakrywała stół. Widelec z lewej, nóż z prawej. Szklanka do wody. Kieliszek do wina.

\* Powiedz, Joel, wyszłabyś za mnie za męża? \* zapytał Szurik.

Joel roześmiała się i schowała twarz.

\* Szurik, nie pytałeś mnie o to wcześniej. Jestem mężatką. Mam syna. Pięć lat. On mieszka pod Bordeaux, z moimi rodzicami. Bardzo cię lubię, wiesz. Ja będę tu jeszcze pięć tygodni! Zameżna z tobą! Tak? A potem ja ciebie usynowię, tak?

I załapała się śmiechem. Szurikowi zrobiło się niedobrze. Już wiedział, że jutro rano pojedzie, gdzie diabeł mówi dobranoc, do Kaszczenka, zawiezie przesyłkę obłąkanej Świetlane, a po południu do Walerii, dlatego, że Nadia, która przez wiele lat ją obsługiwała, pojechała do siostry, do Taganrogu na cały miesiąc, a Waleria sama nawet nocnika wynieść nie może... A wieczorem trzeba do mamy na daczę, do Marii, której obiecał koszyczek, nitki i coś tam jeszcze \* ma zapisane...

51.

W zadziwiający sposób przebiegła u Wiery linia losu \* trzydzieści lat jej buchalterskiej katorgijakby w studnię wpadło i stała się nie emerytowaną księgową, a była aktorką. Teatralne kółko w piwnicy budynku przywróciło ją do czasów Tairowskiego studia, ale jej osobiste artystyczne ambicje dawno spuściły powietrze i czuła się szczęśliwa, przekazując dzieciom sąsiadów podstawy teatralnej profesji.

Od czasu, gdy w jej domu pojawiła się Maria, ona pojęła, dla jakiego tajemnego celu los zesłał do jej domu natrętnego Marmoladę, który zmusił ją do zajęcia się dziełem, o którym, zdawało się, dawno zapomniała. Gdyby nie doszła do formy, zajmując się raz w tygodniu, we wtorki, swoimi uczennicami, nie mogłaby przyjąć i wychowywać tego wierzącego się skarbu, który nie inaczej tylko opatrność jej powierzyła. W to, że w jej domu rośnie przyszła znakomitość, nie wątpiła. W ciągu dwóch lat, dopóki Maria chodziła do zwykłej rejonowej szkoły, Wierę i Lenę Stowbę połączyły specjalne, niezależne od Szurika, stosunki. Poprzedni układ rodzinny, prosty i zabójczo wyraźny \* wiążący w jedno matkę i syna \* przemienił się w coś złożonego i ruchomego. Kiedy żyli we trójkę \* Wiera, Szurik, Maria \* zachodziły kolejno różne kombinacje. Czasem, gdy szli w niedzielny ranek do muzeum lub na wystawę i Szurik prowadził Wierę pod rękę, a Maria czepiała się to Szurika, to biegła naprzód, to przylepiała się do Wiery, Wiera wyobrażała sobie siebie jako matkę Marii, a Szurika \* jako jej ojca. Szurik widział w Marii bardziej młodszą siostrę, trochę narzuconą przez Wierusię. Zaś sama Maria nie trudziła się rozważaniami: Wierusia i Szurik byli jej rodziną.

Kiedy przyjeżdżała Lena Stowba, była dla Marii najważniejsza \* przez kilka dni.

Wiera czyniła delikatne podchody w rodzinnym układzie, na przykład, łączyła Stowbę z Szurikiem w parę. To było możliwe tylko do pewnego stopnia, gdyż wtedy powstawała jakaś zbędna wartościowość \* jej własna, bez przydziału. Był jeszcze i taki wariant, w którym Stowba

rozpatrywana była jako niezależna pozarodzinna jednostka ze swoimi dziwacznymi posunięciami, maniakalnymi zamiarami i zupełnym oderwaniem od rzeczywistości, ale wtedy wisiała w powietrzu inna, najistotniejsza nić \* Maria. Jak i z kim była połączona? Jednakże, właśnie dzięki maniakalnej idei Stowby połączenia się z człowiekiem, którego w istocie ledwie знаła, Maria była przekazana do czasowego użytkownika Wierusi i Szurikowi \* dla dobra obu stron...

Lena i Wiera Aleksandrowna szeptały między sobą: teraz już nie Szurikowi, a właśnie jej opowiadała Lena

o wszystkich postępkach na drodze do Enrike. Opowiedziała o zakończeniu niedorzecznej historii, która rozegrała się w Polsce. Jej spotkanie z Janem, bratem Enrike, odbyło się w Warszawie. Oboje trafili tu po raz pierwszy, ale Jan miał tu mnóstwo krewnych, których nigdy nie widział, a Lena \* absolutnie nikogo. Cały pierwszy tydzień on był zajęty, pił z odzyskaną rodziną. Lena siedziała w podrzędnym hotelu, czekała na niego od rana do wieczora, póki wreszcie on, nieco przetrzeźwiałszy, przyjechał do niej i zawiódł do amerykańskiej ambasady \* żenić się.

Oboje byli przekonani, że będzie to prosta i szybka formalność. Tak by istotnie było, gdyby Stowba była obywatelką Polski. Janowi zaproponowano zdobycie wizej do Rosji

i zawarcie związku małżeńskiego z obywatelką Związku

Radzieckiego zgodnie z sowieckim prawem. To znów było odroczenie, przeciąganie, ale ostatecznie nie odmowa. Stowba wyjechała, a Jan został w Warszawie, czekając na sowiecką wizę. Czekał na nią półtora miesiąca. Enrike dwukrotnie posyłał mu pieniądze, już rozglądał się w Miami za większym mieszkaniem. Jan przez te sześć tygodni czasu nie marnował \* zakochał się w pięknej Polce i w chwili, kiedy przyszła sowiecka wiza, był już ożeniony w kościele i zalegalizowany w amerykańskiej ambasadzie w charakterze męża całkiem innej kobiety, a wcale nie Leny Stowby, oczekującej jego przyjazdu. Enrike pokłócił się z bratem na całe życie, ale to niczego nie zmieniło. Wiera słuchała, zamierając całą swoją teatralną duszą \* wszystko było niezwykle, ryzykowne, zachwycające. Teraz już Wiera roniła łzy. Miłość, jak długogrająca płyta losu... I u niej też tak było... Lata oczekiwań... Biedna dziewczyna... Biedny Murzik...

Wiera prowadziła porównanie między swoją własną nieudaną biografią jako kobiety i biografią Leny, próbując wyrazić subtelną myśl o fatalnym braku elastyczności, o innych możliwościach, które stoją przed młodą kobietą z jej wyglądem i charakterem, o tym, że być może jest na świecie inny mężczyzna, który mógłby zastąpić... I tak dalej...

Twarz Stowby stawała się zła i oczy robiły się mroczne \* odgadywała myśli Wier Aleksandrowny i swoje własne romantyczne nieszczęście przedkładała ponad wszelkie inne warianty. Dokładnie tak, jak niegdyś i sama Wiera... Nie, żadnego innego mężczyzny w jej życiu nie było!

Hipotetycznemu innemu mężczyźnie Wiera też od czasu do czasu mówiła, że sytuacja jest nieokreślona, ona się starzeje, chciałaby go widzieć żonatym, i o dziewczynie trzeba pomyśleć.

Posłuszny Szurik, jeżąc się całym sobą, żartował:

\* Wierusia, ja już raz próbowałem, przyszło się rozwieść...

Wiera spostrzegła, że się zagalopowała.

Ale w rzeczy samej ważne było co innego: od czasu do czasu Stowba zaczynała rozmowę o tym, że chce zabrać Marię do Rostowa. Do tego żadną miarą nie można było dopuścić i Wiera niezwłocznie zajęła się urządzaniem wielkiej przyszłości dla Murzika.

Nikt, naturalnie, nawet wyobrazić sobie nie potrafił, ile zachodu kosztowała była księgową z pomocniczego personelu teatru organizacją ważnego telefonu do szkoły baletowej, do samej Gołowkinej.

Nastał w końcu dzień, kiedy przy późnej wieczornej herbacie, jedynym posiłku bez Marii, Wiera uroczyście oświadczyła Szurikowi:

\* Nic ci nie mówiłam, żeby nie zapeszyć... Ogólnie mówiąc, Murzik został przyjęty do choreograficznej szkoły Teatru Wielkiego.

Wiera zrobiła pauzę, oczekując zachwyty Szurika, ale on nie zareagował, jak powinien.

\* Do Zofii Nikolajewnej Gołowkinej dzwoniono... Rozumiesz?

\* No tak \* przytaknął Szurik.

\* Nie, nie rozumiesz! \* prawie rozżłościła się Wiera. \* To najlepsza na świecie szkoła baletowa.

Tam wybierają jedną dziewczynkę ze stu. Woziałam Murzika dwa razy na przeglądy selekcyjne i ona przeszła je bardzo dobrze.

\* Wierusia, a co w tym dziwnego, ty z nią tyle czasu pracowałaś!

\* Tak, Szurik! Mogę powiedzieć, że stałam się doświadczonym pedagogiem w ciągu tych lat. Z pewnością miałam ponad sto uczennic! \* Wiera sporo przesadziła \* na zajęcia do niej chodziło osiem \* dziesięć uczennic, a ich ogólna liczba w ciągu wszystkich lat nie była wyższa niż pięćdziesiąt. \* Zdolniejszej uczennicy nie miałam. Jak ona wszystko łapie! W lot, dosłownie w lot! Ale co ja w ogóle mogę im dać \* podstawy rytmiki, plastyki, teatralne abecadło... A do szkoły przychodzi całkiem inny materiał. Z zasady są to dzieci, które już chodziły do studium baletowego, niektóre już przy praktykablu ćwiczyły. Często mają rodziców tancerzy. A Murzik ma wrodzone zdolności. Wspaniała giętkość, skoczność, doskonały słuch muzyczny. I, oczywiście, niesamowita zewnętrzna plastyczność. To jest dla mnie niewątpliwe. W ogóle, znaleziono tylko jedną wadę u niej \* wzrost. Zbyt wysoka jak na balerinę. Zresztą Ławrowski, na przykład, zawsze lubił wysokie... Ale, po pierwsze, nie wiadomo, kiedy ona przestanie rosnąć. To może nastąpić wystarczająco wcześniej. A po drugie, same obciążenia, jakim tam są poddawane uczennice, też powstrzymują wzrost. To wiadomo. Wszystkie tancerki są dość drobne po części od tego, że od wczesnego dzieciństwa dużo ćwiczą i ograniczają się w jedzeniu.

\* Murzik ma wspaniały apetyt \* zauważył Szurik. Wiera rozzłościła się:

\* Ma silny charakter. Dokładnie jak Lena. Jeśli cokolwiek po niej odziedzyczyła, to właśnie dążenie do celu. Więc tak: została przyjęta. Trzeba będzie ją tam wozić w tym roku codziennie, a w przyszłym zobaczymy... Tam jest internat dla zamiejscowych... No, nie wiem, nie chciałabym oddawać dziecka do internatu. Szkoła jest na Frunzeńskiej. Oczywiście, nie jest to blisko. Jednak z drugiej strony, i nie tak daleko. My jechałyśmy tam z domu około godziny. Ostatecznie \* w głosie Wierzy zabrzmiał ledwie zauważalny ton groźby \* ja sama mogę ją wozić.

Roboczy dzień Szurika dawno już przeniósł się na wieczór: zwykle budził się dosyć późno, załatwiał gospodarskie sprawy \* pralnię, sklep, rynek \* do pracy zabierał się w drugiej połowie dnia i siedział do piątej rano... Wozić Marię, oczywiście, będzie musiał on, a to mocno zmieni życie.

\* A Stowba? Już jej powiedziałaś? Twarz Wierzy spoważniała:

\* Szurik, jak ty myślisz? Przecież ona nie jest wrogiem swojego dziecka? Przecież to jak wygranie miliona!

\* Nie, ja tylko chciałem powiedzieć, że ona nagle wyjedzie i po co wtedy ta szkoła? Psu na budę!

\* Murzik chce zostać prawdziwą gwiazdą. Jak Ułanowa. Jak Plisiecka. Jak Alicia Alonso. Uwierz mojemu słowu.

Szurik westchnął i uwierzył: a co mu zostało?

Pod koniec sierpnia przyjechała Stowba i szczęśliwa Maria od razu w pierwszej minucie opowiedziała matce, że została przyjęta do Choreograficznej Szkoły Teatru Wielkiego.

Wiera zamierzała najpierw przygotować Stowbę na tę wiadomość, ale Stowba wcale nie miała nic przeciw, a nawet się ucieszyła.

Przyjęli Marię od razu do pierwszej klasy, pomijając wstępną, i od razu postawili przy praktykablu. Przez pierwsze tygodnie była w pełnym szoku \* milczała, ni słowa nie mówiła ani Szurikowi, ani Wierusi... Od nauki baletu oczekiwała czegoś zupełnie innego...

Maria w ciągu minionego roku obejrzała z Wierą cały gwiazdorski repertuar baletowy \* i Łabędzie, i Czerwony mak, i Zoluszkę... I przymierzała do siebie partie solowe. Tak, tak... to jej odpowiadało. Już całkiem była gotowa tańczyć w białej spódniczce na scenie Teatru Wielkiego... A tu postawiono ją twarzą do ściany, obie ręce na poręczy i przez półtorej godziny bez przerwy przy nudnym liczeniu ciągle wyciągała nóżki, pięty, prostowała kręgosłup.

Tylko to, i nic więcej. Żadnego swobodnego wirowania przy muzyce, żadnej improwizacji ciałem, które polecała Wiera.

Dopiero po pół roku pozwolili stanąć bokiem, prawym, lewym... i znowu to samo \* prostujemy nóżki, wyciągamy pięty... Ramiona w dół, broda do góry! Prosta linia! Prosta linia!

Klasy prowadziła nauczycielka \* dawna tancerka, ale postarzała, tęga, podobna z twarzy do starego

buldoga. Była jeszcze wychowawczyni, która nazywała się instruktor. Prowadzała dziewczynki na lekcje, wszystkim zarządzała. Nazywała się Wiera Aleksandrowna, co Marii bardzo się nie podobało, nawet obrażało: jakaż tu jeszcze Wiera Aleksandrowna, ona ma już swoją ukochaną Wierusię... A ta była młoda, ale twarz miała w zmarszczkach, chodziła jak baletnica w pierwszej pozycji, palce na boki, głowę trzymała jak w balecie, odchylając do tyłu. Ale tańczyć nie tańczyła! Dziewczęta mówiły, że odeszła z baletu po urazie, dlatego jest zła. Wszyscy wiedzieli, że większego nieszczęścia niż odejście z baletu, nie ma na świecie.

Ta fałszywa Wiera Aleksandrowna wszędzie je prowadziła, nawet do stołówki, pospieszała przy ubieraniu, rozbieraniu, głos miała wysoki, piskliwy. Wszystkich dziewczynek nie lubiła, a Marii wydawało się, że jej szczególnie. I uwag, zdawało się Marii, otrzymuje więcej od innych: że się wierci, kiedy trzeba stać na baczność, że je zbyt szybko, że nie zrobiła należycie dygnicia, ostatniego zachowanego od carskich czasów prawa \* witać nauczycieli sprężystym lekkim ukłonem z przysiadem.

Maria była strasznie zmęczona. I było nudno. Ale milczała \* Wierze ani słowa. I Szurikowi \* ani słowa. Wychodzili z domu wpół do ósmej i całą drogę powoli dosypiała. Dopiero przed samą szkołą podskakiwała, obłapiała Szurika za ramiona, całowała go w nieogolony policzek i biegła. Szurik wracał do domu dosypiać.

W szkole Maria nie miała przyjaciółek. Dziewczynki już rok uczyły się we wstępnej klasie, zaprzyjaźniły się. Ona była nowa, najwyższa, i nóżkę wyżej od innych podnosiła. I postawiono Marię zaraz do średniego praktykabla, gdzie zawsze same najlepsze... Ona jeszcze nie wiedziała, że najlepszych nie lubią. W dodatku większość dziewcząt była starsza, wiele mieszkało w szkole, w internacie, miały już swoje paczki, do których Marii nie dopuszczano.

Pod koniec pierwszego roku pozwolono stanąć na palcach... I znowu \* battement, tondu, ployer... I znow \* najlepiej... Ale samej sobie Maria nie podobała się. Klasa była niewysoka, wszystkie dziewczynki jakby specjalnie dobrane, jasnowłose, o białej skórze, i ona cierpiała, że nie jest podobna do innych, a szczególnie cierpiała z powodu rozmiaru swojego obuwia \* trzydziestego siódmego. Pewnego razu w szatni długo śmiały się z jej ogromnych baletek, a nawet pograły nimi w futbol.

Następnego dnia ona odmówiła pójścia do szkoły:

\* Nie chcę więcej zajmować się baletem. Będę chodzić do zwykłej szkoły, bez baletu.

Wiera zostawiła ją w domu. Zjadły śniadanie we dwie, odsyłając Szurika do spania. Stół nakryły w pokoju babci, a nie w kuchni jak zwykle. Filiżanki Wiera wyjęła najładniejsze, a całą złotą postawiła przed Marią.

Tydzień wcześniej Wiera z Szurikiem byli na wywiadówce. Szurik był wzięty nie po prostu jako osoba towarzysząca, ale w charakterze rodzica. Wiera Aleksandrowna miała niewyraźne przyjemne uczucie: jakby Maria była ich córką i całe dwie godziny zabawiła się tą myślą.

Nauczycielka klasy baletowej bardzo Marię chwaliła, nauczyciele przedmiotów ogólnokształcących też byli z niej zadowoleni, tylko instruktorka imienniczka mówiła o Marii nieprzyjaźnie: skryta, ostra, z koleżankami ma zły kontakt.

„Zazdroścą, zazdroścą” \* od razu postawiła diagnozę Wiera. Aktorski świat znała. I nie dopytywała dziewczynki, co takiego stało się w szkole, dlaczego nie chce dalej tam chodzić. A podczas szczególnego śniadania w pokoju babci Wiera powiedziała ważne, ale nie w pełni prawdziwe słowa.

\* Murziku mój kochany! Kiedy byłam dziewczynką, trochę starszą od ciebie, uczyłam się w studiu teatralnym. I chociaż bardzo podobały mi się zajęcia, odeszłam stamtąd. Dlatego, że się do mnie źle odnoszono. Teraz wiem, że dziewczęta mi zazdrościły. To bardzo zła cecha. Ale tak bywa bardzo często. Jeśli chcesz zostać baletnicą, to trzeba przecierpieć. Minie trochę czasu i zrozumiesz, że z tego powodu nie trzeba się obrażać. Dlatego, że większość dziewczynek, które źle się do ciebie odnoszą, nigdy baletnicami nie zostanie: one odpadną przed skończeniem szkoły. A ty nie odpadniesz, dlatego że jesteś bardzo utalentowana. Będziesz tańczyć partie solowe, a one \* w najlepszym razie \* będą tańczyć w zespole. Dlatego odpocznij kilka dni, jeśli chcesz pójdziemy na lodowisko, do muzeum \* dokąd zechcesz! A potem znowu pójdziesz na zajęcia. Dlatego, że nie

można poddawać się z powodu takiego głupstwa. Zrozumiałaś mnie?

Tu Maria, jak kiedyś, weszła Wierze na kolana i rozpląkała się, i wypląkała, i opowiedziała o tym, jak grały w futbol jej różowymi baletkami i teraz one są strasznie brudne... I że numer ma trzydziesty siódmy, a dziewczynki \* trzydziesty trzeci...

Przez trzy dni oddawały się rozrywce. Chodziły do zakątka Durowa, patrzyły na gadającego kruka, potem na próbę w teatrze, gdzie przedtem Wiera pracowała, też było ciekawie, kupiły w sklepie WTT nowe baletki, a jeszcze Wiera podarowała jej przepaskę na włosy, zagraniczną, z elastycznej tkaniny w takim jaskrawym różowoczerwonym kolorze, jakiego nie ma w przyrodzie.

Potem Szurik znowu zaprowadził Marię do szkoły. Była skupiona, gotowa dać odpór, a broda hardo sterczała w górę nie tylko przy baletowej poręczy. Przygotowywała się na atak. Jaskrawa czerwona przepaska, twarz w środku zimy z odcieniem świeżej południowej opalenizny, podkreślały wyzwanie.

Po kilku dniach w dziewczęcej szatni doszło do bójki. Instruktorzka wpadła, kiedy pośrodku szatni, między szafkami, wił się kłębek cienkich rąk i nóg, a nad tym rozlegał się ogłuszający wrzask. Instruktorzka wrzasnęła jeszcze bardziej ogłuszająco, kłębek rozpadł się, ostatnia podniosła się Maria, szarobrazowa, w rozerwanym kostiumie. Prócz jej kostiumu szkody poniósł jeszcze jeden nos i jedna ręka: nos

był rozbity, a ręka ugryziona. Jak świadkowie stwierdzili \* przez Marię.

Dziewczynki jednogłośnie i prawie chórem oświadczyły, że Maria rzuciła się na nie jak oszaląca, a one nawet nie mają pojęcia, z jakiego powodu. O tym, że dziewczęta zabrały jej nowe baletki i zaczęły rzucać nimi po szatni, Maria nie powiedziała. Wierę Aleksandrownę wezwała do szkoły instruktorka i zaczęła na nią krzyczeć, jakby to ona pobiła się z dziewczynkami w szatni. Wiera cierpliwie wysłuchiwała, a potem, ze swojej strony powiedziała, że dziewczynce dokuczają koleżanki z klasy, a ona upatruje w tym przejawy rasizmu, co nie leży w charakterze sowieckiego człowieka. \* Powiedziałabym, że jest tu jakieś pedagogiczne niedopatrzenie \* krótko zakończyła Wiera Aleksandrowna \* babcia.

Wiera Aleksandrowna \* instruktorka nagle przestraszyła się: nawet jej do głowy nie przyszło takie ostre potraktowanie konfliktu.

„Tylko rasizmu mi brakowało” \* wystraszyła się instruktorka Wiera Aleksandrowna i pokojowo, choć nieprzyjemnie, uśmiechnęła się.

\* Co pani! Pani po prostu nie zna naszego naboru, u nas córka samego Sukarno się uczyła, i córka gwinejskiego posła, i z Algierii była jedna dziewczynka, córka milionera, tak że o rasizmie nie ma mowy \* żadnego rasizmu. Ale z dziewczynkami porozmawiam...

A sama zamyśliła się; faktycznie, w papierach niczego takiego nie ma, a może to wnuczka jakiegoś Lumumby czy Mobutu?

Stosunki instruktorki z kierownictwem były złożone, za to dobrze odnosiła się do niej sama Gołowkina, dlatego zespół pedagogiczny podzielony był na dwie partie \* kibicujących „za” i kibicujących „przeciw”. Ponieważ w kolektywie pedagogicznym Wiera instruktor nie była jedyną nieudacznicą, a było jeszcze kilka dziesiątków niespełnionych balerin z pokręconymi życiorysami, niewiernymi mężami i jeszcze bardziej niewiernymi kochankami, sytuacja była dość nerwowa i tylko strach przed wielką naczelniczką i prestiż miejsca powstrzymywały rozpalone namiętności. Tutaj niczego nikomu nie wybaczano.

Dalej wszystko potoczyło się właśnie tak, jak tego życzyła sobie Wierusia. Na górę do kierownictwa nie doniesiono, załatwiono po cichu. Skarcono Marię, ale i dziewczynki też ukarano. Szurik, naturalnie, był wprowadzony we wszystkie perypetie baletowego życia, które stopniowo zajęło centralne miejsce w domu.

Teraz, kiedy Stowba przyjeżdżała z Rostowa, Szurik odstępował Lenie swój pokój, przenosił się do babcinego. Marii stawiano łóżko polowe u Wiery, ale ono zwykle bywało puste: Maria kładła się przy boku matki i cieszyła się jej bliskością. Wieczorami Stowba chodziła z Marią na spektakle baletu i Lena oswajała się z rolą matki baleriny. Kiedy oglądały Don Kichota, Maria siedziała jak skamieniała, splótnięty dłonie, a po spektaklu powiedziała do matki:

\* Zobaczysz, moja Kitri będzie lepsza.



Rola Kitri była jej największym marzeniem.

Stowba ucieszyła się: dziewczynka w rękach Wiery rzeczywiście stawała się baleriną.

Czasami Lena wpadała w rozpacz: plany Enrike rozpadały się jeden po drugim. On już dostał amerykańskie obywatelstwo i prosił Stowbę o spotkanie w jakimkolwiek kraju socjalistycznym, dokąd można wyjechać z Rosji z wycieczką turystyczną, ale Lena bała się, że jeśli się to wyda, to wtedy nigdy już jej z Rosji nie wypuszczą. Enrike chciał przyjechać sam do Rosji, ale tego przyjazdu Lena bała się najbardziej, była przekonana, że go aresztują: miał za sobą paskudną historię, a teraz był w dodatku Amerykaninem.

Z rzadka, skomplikowanymi sposobami wymieniali się listami i zdjęciami. Enrike oglądał fotografie córki, zachwycił się podobieństwem do jego zmarłej matki. Sam Enrike postarzał się i roztył, Lena schudła i z twarzy ledwie trochę przypominała tę białowłosą matroszkę, w której bez pamięci zakochał się Enrike dziesięć lat temu. Ale w ich charakterach było coś wspólnego, coś, co widocznie kiedyś ich połączyło: gdyby nie fotografie, nie rozpoznaliby się wzajemnie, jeśliby się spotkali na ulicy, ale przeszkody rozpałały namiętności do szaleństwa.

Kiedy Lena przyjechała kolejny raz, opowiedziała Szurikowi o nowej możliwości wyjazdu, tym razem już całkiem zawikłanej, zakładając jeszcze kilkuletnie oczekiwanie i nikczemne oszustwo. Na czym polegało nikczemne oszustwo, Lena wyjawiała Szurikowi nocą, w kuchni, kiedy Maria i Wiera mocno spały.

W Rostowie nad Donem, w instytucie gospodarstwa wiejskiego na trzecim roku studiował uprawę winorośli pewien prokomunistyczny Hiszpan, którego do dońskich Kozaków przywiął jakiś zły wiatr. Był jednym z tych hiszpańskich dzieci, które wychowała władza sowiecka i, jak to zwykle bywa z ludźmi dwukrotnie przesiedlonymi, był całkowicie zbity z tropu.

Tenże Alvarez już w wieku dwunastu lat wrócił z Moskwy do Hiszpanii, a teraz ponownie przyjechał do byłej ojczyzny, by zdobyć wykształcenie, które w Hiszpanii otrzymuje każdy wiejski chłopak i to bez oderwania od winnicy. Miał dwadzieścia pięć lat, to znaczy był trochę młodszy od Leny, figury bardzo niepokążnej. W Lenie zakochany do biegunki. Nie był to żart, gdyż za każdym razem, kiedy się spotykali w domu przyjaciółki Leny, jego faktycznie zmagająca żołądkowa słabość.

\* Więc tak \* kończąc dopalać paczkę papierosów, melancholijnie wyjaśniała Lena \* mrugnę okiem i wyjdę za niego za męża. Za dwa lata on kończy instytut. No, za jakieś dwa i pół roku pojedę z nim do Hiszpanii, a już stamtąd \* raz! \* i dokąd dusza zapagnie. Enrike przyjedzie i wszystko załatwi.

\* A on cię nie zabije? Albo jeden Hiszpan drugiego? \* trzeźwo zainteresował się Szurik.

\* Nie, oczywiście, że nie. My z Enrike nie jesteśmy romantykami, my to maniacy. Musimy po prostu zobaczyć się. Pobierzemy się, a może za trzy dni rozwiedziemy. Ja teraz już niczego nie rozumiem. \* Twarz jej zrobiła się zła, oczy ciemniały.

\* No, a jakże ten, Alvarez? \* nie wytrzymał Szurik, zainteresowany wątkiem.

\* Toż przecież ci mówię, że na niego mogę splunąć z wysokiej góry. Sama wiem, że to nieładnie. Jakby oszustwo. Ale i niezupełnie \* spać z nim będę. On przecież tego bardzo pragnie, przecież ci mówię, on mnie kocha do biegunki. A mnie, Szurik, jeśli nie z Enrike, to całkiem obojętne, z kim. Chcesz, żeby z tobą?

\* Późno już, muszę niedługo wstawać, Murzika do szkoły zawieźć \* uczciwie odpowiedział Szurik, a wtedy Lena rozzłościła się: \* Pomyśleć, wielka sprawa! Ja sama mogę ją do szkoły odwieźć. Szurik pomyślał, że już taki jego los. W jego pokoju spała Maria. Babciny pokój, gdzie miał pościelone, przylegał do pokoju Wierusi.

Lena wyrzuciła niedopałki do kosza, wytarła czysty stół i poszła do łazienki. Obejrzała się i Szurik zrozumiał, że go zaprasza.

Lena już dawno nie udawała, jak kiedyś, że się pomyliła. Odkręciła kran i, póki woda napełniała wannę, bezwstydnie się rozebrała: powolnymi długimi ruchami i z całkiem nie swoim uśmiechem. Cała reszta była w porządku, ale zupełnie zwyczajna. Woda, prawdę mówiąc, była zbyt ciepła, dlatego, że kiedy się kładli, to przelewała się przez brzeg, a kiedy stali, to jednak chciało się położyć.

A do szkoły Marię odwiózł, jak zwykle Szurik, bo Lena spała twardym snem i nie chciał jej budzić.

Teraz, jeśli nowy plan Stowby się ziści, jeszcze przez pełne trzy lata, nie licząc, oczywiście, zimowych, wiosennych i letnich ferii, Szurik będzie musiał odprowadzać Marię do szkoły i, rozumie się, zabierać. Zresztą, czasami odbierała ją sama Wiera.

Obciążenie Marii z każdym rokiem wzrastało, były próby, koncerty, coroczne egzaminy, do których przygotowywali się, wyczerpując wszystkie rodzinne siły. Jej kubański temperament w połączeniu z surową tresurą ciała wypracowały u niej silny charakter. Wiera Aleksandrowna wiedziała, że nawet jeśli dziewczynka nie zostanie baleriną, nie zginie wśród tysięcy rówieśniczek i osiągnie w życiu wszystko, co zechce. W szkole Maria rokowała duże nadzieje, znała ją sama Gołowkina i kiwała przychylnie, kiedy w korytarzu dziewczynka zamierała przed nią w pokłonie.

Poranny pokłon najpierw robiła Maria przed Wierą, zanim pocałowała ją w policzek. I za każdym razem Wiera miękła.

Nie, mama nie miała racji: chłopcy to jedno, a dziewczynki zupełnie co innego, ona jakby usprawiedliwiała się przed zmarłą matką za to, że rodzonego Szurika w jego dzieciństwie kochała mniej niż obcą Marię...

52.

Im większą władzę pozyskiwała niemoc nad tyjącym ciałem Walerii, tym bardziej się ona przeciwstawiała i duch walki rósł w niej. Już od kilku lat nie opuszczała domu, a nawet w granicach dwudziestu czterech metrów kwadratowych \* olbrzymi piękny pokój! \* poruszała się z coraz większym trudem. Nogi dawno poddały się, ale póki nie miała bezwładnych rąk, jakoś dostawała się do odgradzonej parawanem zaimprovizowanej ubikacji \* fotela z wyciętym w siedzeniu otworem i stojącym pod nim wiadrem. Tutaj też znalazł stałe miejsce fajansowy dzbanek z wodą i miska do mycia w niebieskie popękane kwiaty \* Waleria zachowała szlachetną przyzwoitość domu. Od czasu operacji Waleria trzymała dwie pomoce: poranną \* Nadiuszę, starszą kobietę, była dozorczynią, która przynosiła podstawowe produkty i pomagała w toalecie, i wieczorną \* Margaritę Aleksiejewną, pielęgniarkę, wzywaną w razie konieczności. Szurik, dzięki sprytnemu dyrygowaniu, ani razu nie spotkał się z żadną z nich: dla Walerii ważne było, żeby on uważał ją za samodzielną... Ale jednocześnie chciała, żeby jednak był odpowiedzialny, zdawał sobie sprawę, jak ona od niego zależy...

A w rzeczy samej \* nie tak już bardzo od niego zależała! Samodzielność określa się wyłącznie pieniędzmi, które zarabiała \* w to wierzyła Waleria i pracowała dużo, szybko i z satysfakcją. W tym czasie, gdy Szurik rozszerzał pole działalności na rzecz opanowania technicznego przekładu, Waleria, potrafiąca za pomocą słuchawki telefonicznej dokonywać cudów porozumiewania się z bardzo różnymi ludźmi \* od kierowniczkę sklepu spożywczego do sekretarza redakcji \* prawie zmonopolizowała żeńskie czasopisma w części tłumaczeń polskich artykułów o modzie, kosmetyce i reszcie damskiej urody.

Bałaganiara z szerokim gestem, straciwszy tak czy inaczej prawie cały rodzinny spadek, zdecydowanie zmieniła swój stosunek do pieniędzy: przedtem pojmowała je jako ekwiwalent przyjemności, na które mogła sobie pozwolić, teraz \* jak gwarancję niezależności. Przede wszystkim od Szurika. On zajmował ogromne miejsce w jej życiu, ale faktycznie nie tyle zajmował, co zastępował tego idealnego mężczyznę z wyobraźni, którego była godna, ale który w jej życiu się nie pojawił.

Talent tłumacza, intuicyjna umiejętność wyboru odpowiedniego słowa i postawienia go w prawidłowym miejscu, był tylko częścią daru Walerii \* bezbłędne rozmieszczanie wokół siebie wszystkich elementów życia: i ludzi, i rzeczy...

Chodzić w normalnym sensie nie mogła już od dawna, ale, wspierając się na oparciu podstawionego fotela i na kuli, podciągała się na swoich mocnych rękach i przesuwiała się, ciągnąc za sobą bezwładne nogi, i pokonywała kilka metrów do toalety. Nadeszła chwila, kiedy ręce osłabły i już nie mogła podnieść z łóżka ociężałego ciała, a wtedy musiała przebudować świat: zrobiła całkowite przemeblowanie. Rękami Szurika, naturalnie.

Teraz leżała otoczona trzema stołami: z prawej strony \* toaletowy, z kremami i lakierami, okładami

i lekarstwami, z lewej \* przysunięte do samego łóżka biurko z maszyną do pisania, przekładami, słownikami, ale też z robótką, kartami do pasjansa i telefonem, a na samym łóżku, wprost nad brzuchem, rozłożył się trzeci stół \* lekki, składany. Wymyślony przez nią samą, skonstruowany i wykonany na zamówienie przez zmyślnego stolarza. Obok toaletowego stolika stała wykonana przez tegoż stolarza etażerka z drzwiczkami, za którymi znalazły miejsce upokarzające przedmioty codziennej potrzeby.

W zamkniętej pokojowej egzystencji czas stawał się płynny i amorficzny, dzień łatwo przechodził w noc, śniadanie w kolację, więc Waleria starała się wypełniać bezkształtny czas, jak tylko można: przymusowo\*surową dyscypliną, rozmowami telefonicznymi w zaplanowanym czasie, wiadomościami radiowymi, audycjami telewizyjnymi \* wszystko według miejsca, czasu, dni tygodnia. I przyjaciółki były rozplanowane według dni tygodnia. Przy czym, dla Szurika był zrobiony wyjątek: on jeden mógł przychodzić do niej, oprócz wtorku, o każdej porze dnia i nocy... W czasie długoletniej choroby nie straciła swoich przyjaciółek, przeciwnie, nawet ich przybyło. Jak, skąd się brały? Dorastała córka przyjaciółki i już przybiegała do Walerii z polskim czasopiśmie \* przetłumaczyć tekst o nieznanym w Rosji Salvatorze Dali lub o nowym fasonie spódniczki... Przychodziła obrażona na życie manikiurzystka i przyrastała do domu jako przyjaciółka i wielbicielka. Przychodziły do niej po przyjaźń były uczennice i współpracownice, znajome ze szpitalnych sal, przypadkowe towarzyszkę podróży, poznane w czasach, kiedy mogła jeszcze wyjeżdżać do sanatoriów, i jej byli lekarze, i dawni kochankowie...

Ruchliwe i muskularne kobiety ze zdrowymi nogami cierpiały na samotność, a Waleria rozpisywała w notesie wizyty w taki sposób, żeby jedna na drugą nie zachodziły... Dla wielu to byłaby męcząca łamigłówka, a dla Walerii \* rozwiązana zagadka: trzeba zawsze coś proponować, dawać, darowywać, wreszcie obiecywać. Czekoladkę, rękawiczki, uśmiech, ciasteczka, komplement, zapinkę, przyjacielski uścisk.

Jej życzliwość była szczera, nieudawana, niemniej z domieszką korzyści, tylko określenie jej było niemożliwe: od dzieciństwa łatwo zawojowywała ludzi, podobało się jej być lubianą przez wszystkich. Jednak z biegiem lat zrozumiała, co to znaczy być potrzebną. I starała się, pracowała, wysłuchiwała zwierzeń, dodawała otuchy, pocieszała, dodawała odwagi. I stale dawała prezenty. W głębi duszy radowała się swoją przewagą nad przyjaciółkami: prawie wszystkie były samotne, czasem samotne matki, a jeśli już tkwiły w małżeństwie, to niezmiennie w trudnym, bez radości... A Waleria miała ukrytego asa, którym nigdy nie biła na odlew, a tylko z rzadka troszeczkę go pokazywała \* mimochodem, niechcący, półsłówkiem: Szurik.

On przychodził. Odwiedzający zmieniali się. W półmroku pokoju patrzyła z tapczanu mocno wymalowana otyła kobieta z niebieskimi oczami pociągniętymi niebieskim cieniem, z gęstymi, zawsze porządnie ułożonymi włosami, w ostatnim posiadanym kimonie tabaczkowego koloru w różowoliliowe chryzantemy. Mocno pachniała perfumami. Uśmiechała się z poduszek, podstawiła policzek. Kazała siadać na tapczanie. Zaparzała herbatę \* mocną. Odkładała na bok, na roboczy stół przyniesione przez Szurika tłumaczenia. Rozwijiała wędzonego jesiotra, pokrojonego wprawną ręką sprzedawczynie Jelisiejewskiego sklepu, wachała.

\* Swieżusieńki!

\* A wiesz, co ci jeszcze przyniosłem? Zgadnij!

\* Słodkie czy słone? \* żywo pytała.

\* Słone \* podtrzymał grę Szurik.

\* Na jaką literę? \* ciągnęła.

\* Na literę „M”...

\* Minogi? Kręcił głową.

\* Móżdżek?

I wyjmował z teczki jeszcze jedno zawiniątko w pergaminie.

We wszystkim była zdyscyplinowana, tylko apetytu do smacznego jedzenia nie mogła przewyciężyć. Z czego zresztą kajała się przed Bogiem. A za Szurika nigdy się nie kajała. Tylko cieszyła się, że jest tu. I zawsze w pełnej gotowości. Wystarczy jej tylko małą poduszeczkę położyć przy swojej dużej i podnieść rąbek kołdry...

Zawsze była czyścioszką i lubiła nie tylko czystość, ale i sam proces \* mycia, czy prania, czy sprzątanía. I, naturalnie, dbała o swoje ciało: z przyjemnością czyściła paznokcie, wyskubywała zbędne włoski, nakładała na twarz maseczki \* ogórkowe, mleczne... Czy trzeba dodawać, jak dokładnie myła się przed przyjściem Szurika? Jednak jakiś zapach, prawie niewyczuwalny, chorobliwy, bardziej przygnębiający niż nieprzyjemny, rozchodził się od pokrytej szwami połowy ciała, schowanej pod koronkowymi halkami, których nie zdejmowała odkąd nie mogła wstawać. A od tego zapachu Szurikowi ścisnęło się coś w duszy, widocznie to miejsce, w którym gnieździła się żalóść, co rozlewała się jak zółć, i nic w nim już nie było, prócz tej żalóści, a póki on błądził w halkach, skrywających zimne i nieruchome nogi Walerii, ona szybko znajdowała na ścianie guzik wyłącznika i gasiła szklany tulipan nad swoją głową...

A dalej wszystko szło przetartym szlakiem: do rana Szurik zwykle nie zostawał, w środku nocy zbierał się do domu, do mamy. Przed wyjściem, w ostatnim przejawie żalóści i wrażliwości, podkładał pod Walerię basen, obmywał ją, sposobem szpitalnej salowej, z kwiecistego dzbanka, wycierał starym miękkim ręcznikiem i wychodził.

Waleria zdejmowała z głowy atlasową przepaskę albo pogniecioną wstążkę, albo zapinkę, rozczesywała oswobodzone włosy, brała z toaletowego stolika lusterko, zmywała z twarzy szminki i tusz, i tak już prawie starte, nakładała krem. Żeby nie stać się śmierdzącą kupą...

W ciągu tej godzinnej toalety nastrój ze szczęśliwego i nawet trochę eterycznego spadał do najniższego poziomu. Odkładała lusterko na miejsce, nie patrząc, brała krzyż z kości słoniowej, ten sam, подарowany przez Beatę jeszcze w dzieciństwie. Przyciskała go do ust, do czoła, zamykała oczy i trzymała palce na cienkich kuciekłowych nogach, przebitych gwoździem.

To powinien być być duży gwóźdź \* żeby przebić obie stopy. Nie krótszy od tego sztyftu, co wbili jej w biodro, który zniszczył w końcu staw.

„Jak Tobie się powiodło \* mówiła Mu tysięczny raz. \* Ty z gwoździem trzech godzin nie przeżyłeś! I już. A gdyby tak gangrena, czy paraliż, czy amputacja, i potem jeszcze trzydzieści lat leżeć na zgniłych szmatach... Myślisz, że lepiej? I dziewczynki nie mam... Wybacz mi... Przecież Cię prosiłam. Zostaw mi Szurika do śmierci. Dobrze? Proszę...”

Dalej głaskała cienkie kościane nóżki Zbawiciela i zasypiała, nie wypuszczając krzyża z rąk.

53.

Podczas, gdy Maria wznosiła się w baletowej sztuce, rokowała w szkole nadzieje jako przyszła gwiazda, a Wiera, oglądając okresowe i roczne popisy uczennic i ścisnęła rękę Szurikowi, karmiła nadzieją swoją niegdyś pogrzebaną i obecnie zmartwychwstałą próżność, rodzice dziewczynki toczyli walkę, żeby się połączyć. Enrike dokonał jeszcze jednej nieudanej próby podesłania Lenie fikcyjnego narzeczonego, Lena uczyniła decydujący krok. Przetrzymawszy dwa lata na dystans rolnego Hiszpana, wydała się za niego za mąż. Przed Marią zamążpójście matki trzymano w sekrecie. Ale wreszcie okres nauki hiszpańskiego męża dobiegł końca i, ku wielkiej rozpaczcy Wierzy, Lena Stowba zaczęła się szykować. Wierze z jakichś powodów wydawało się, że uda się jej namówić Lenę, by zostawiła Marię, póki jej sprawy nie rozstrzygną się ostatecznie.

\* Po co narażać dziecko na stresy? Nie wiadomo, ile czasu zajmie połączenie z Enrike, ponadto nie znasz warunków, do jakich wiesz Marię. Czy będzie mogła się tam uczyć? Urządź się, określisz, przyjedziesz po córkę...

Ale tu Stowba okazała się twardą jak skała. Szurik, ojciec dziecka, dał pozwolenie na wyjazd. Alvarez pojechał pierwszy, Lena czekała na ostatnie dokumenty do wyjazdu. Bilety były już kupione na samolot do Madrytu przez Paryż. Enrike miał ich spotkać na lotnisku. Stowba oświadczyła Alvarezowi, że kupiła bilety, ale datę jakoś poplątała \* podała tydzień późniejszą. W ciągu tego tygodnia wszystko powinno się rozstrzygnąć i teraz już decydować nie będzie ona, ale sam Enrike.

Marii powiedzieli na dwa dni przed odjazdem i te dwa dni dziewczynka płakała bez przerwy. Miała prawie dwanaście lat, zewnątrznie całkiem już panienska, swoje koleżanki przerosła nie o kilka centymetrów, a o całą epokę życia: miała już menstruację, wyrosły jej małe piersi z dużymi sutkami.

Czekała ją kariera, która teraz mogła się zawalić. Nie chciała rozstawać się z baletem. Nie chciała rozstawać się z Wierusią. Nie chciała rozstawać się z Szurikiem. Na domiar wszystkiego nikt jej nie mówił, dokąd one właściwie jadą.

\* Jedziemy na spotkanie z tatą \* mówiła Lena.

Maria kiwała głową i dalej płakała. W przeddzień odjazdu pod wieczór wystąpiły u niej wszystkie zwykłe symptomy zaczynającej się choroby: chlipała, siedziała na krześle zgarbiona i tarła zaczerwienione oczy. Wiera odesłała ją do łóżka. Przed snem Maria zawołała Szurika.

\* Daj coś słodkiego \* poprosiła.

To był ich wspólny sekret ostatnich dwóch lat: Maria miała naturalną skłonność do tycia, i, mimo ogromnych strat energii podczas ćwiczeń, cały czas trzymała dietę, nawet lekko głodowała. Chleba i cukru nie było w jej jadłospisie, a Wiera skrupulatnie pilnowała jej odżywiania. Ale od czasu do czasu Maria prosiła Szurika, żeby „się urwali”, a wtedy szli do kawiarni „Szokoładnica” i Szurik kupował jej tyle słodkości, ile mogła zjeść. Ciastka z kremem, bita śmietana posypana czekoladą, gorąca czekolada, słodka i gęsta jak gliceryna. Zjadała słodczyce, wyskrobywała naczynia i oblizywała łyżeczkę lub widelczyk, całowała Szurika lepkimi ustami. Potem wsiadali do metra na placu Oktiabrskim, a ona, porażona uderzeniem cukru, zawsze zasypiała, oparta o ramię Szurika i spała twardym snem, tak że na „Białoruskiej” musiał ją budzić.

\* Daj coś słodkiego \* poprosiła Maria, a on ucieszył się, że w szufladzie jego biurka leży tabliczka trudno dostępnej czekolady, подарowana przez matkę ucznia z okazji jakiegoś święta.

Przyniósł czekoladę, rozpakował, odłamał kawałek.

\* Nakarm \* poprosiła Maria, a on włożył jej w szeroko otwarte usta czekoladowy kwadracik.

Wnętrze ust było rozpalone i różowe, kontrastowało z ciemnymi wargami.

Lekko capnęła Szurika za palec, zmarszczyła twarz, rozplakała się.

\* Nie płacz \* poprosił.

\* Pocałuj mnie \* Maria usiadła w łóżku, obłapiła go za szyję.

Pocałował ją w głowę.

\* Nienawidzę cię \* powiedziała Maria, złapała tabliczkę czekolady i odrzuciła ją od siebie.

Jak dobrze, że one odjeżdżają, w przeciwnym razie ona by się w końcu do mnie dobrała... Od dawna już wiedział, że Maria należy do grona kobiet, które pragną otrzymać od niego miłosny przydział. Spędził z nią mnóstwo godzin, uczył języków, bawił się, woził do szkoły, i lubił dziewczynkę, ale w głębi duszy wiedział, że gdy podrośnie, przedstawi mu swoje babskie żądania, więc teraz jej wyjazd był dla niego nie tyle stratą miłej i kochanej istoty, ile wybawieniem od nabrzmiewającego kłopotu.

Wiera łykała lzy i pakowała do małej walizeczki cztery pary baletek numer trzydziesty dziewiąty, cztery kostiumy, chiton i spódniczkę, uszytą w pracowniach Teatru Wielkiego.

„Jaka silna kobieta, dopięła swego... \* rozmyślała Wiera. \* Ja bym nigdy tak nie mogła...”.

Podziw pomieszany był z rozdrażnieniem i rozpaczą: ona niczego nie chce złożyć w ofierze dla Marii... jak ja w swoim czasie złożyłam siebie w ofierze dla Szurika...

Coś tam przestawiło się jej w pamięci i dawno już zżyła się z myślą, że rzeczywiście poświęciła dla syna artystyczną karierę, a wstydlive usunięcie z tairowskiego studia za nieprzydatność do zawodu wyrzyło się jako zupełnie bez znaczenia. Teraz rozpaczała, że nie potrafiła przekonać Leny, by pozostawiła córkę jeszcze na kilka lat, póki nie okrzepnie jej talent, nie powstanie z niej nowa Ułanowa.

Ciężkie przecucie, że nigdy nie zobaczy Murzika, że skończył się szczęśliwy okres życia, a dalej czekają nudna i nietwórcza starość, nie pozwalało jej zasnąć. Dodatkowo

było trochę przykro, że Szurik, wierny Szurik jakoś nie rozumie, jaka to dla niej strata: ileż sił, nadziei, trudów było włożone w to dziecko, a teraz wszystko może całkowicie przepaść! Nie wiadomo gdzie, z kim, w jakim kraju będzie dziewczynka, i ile czasu minie, zanim ona znowu stanie przy poręczy! Katastrofa! Pełna katastrofa! A Szurik \* jakby nigdy nic!

Wiera długo przewracała się z boku na bok, potem wstała, podeszła do śpiącej Marii. Dziewczynka leżała zwinięta w kłębek, ale jakby zgarbiona, i zaciśniętymi piąstkami zakrywała jak bokser usta i brodę. Maria spała na miejscu Jelizawiey Iwanowny, a dla Leny było rozstawione łóżko polowe.

Ale Leny nie było.

„Czyżby? \* Wiera była zaskoczona swoim domysłem... \* Może ona po prostu jeszcze się nie położyła?”.

Wiera założyła szlafrok i poszła do kuchni \* paliło się tu światło, ale nikogo nie było. W łazience i w ubikacji też nikogo nie było i też paliło się światło.

„Pałą u Szurika” \* zdecydowała Wiera i mechanicznie gasząc światła podeszła do kuchennego okna i zamarła: i przyroda, i pogoda dawno już opuściły miasto, tylko na daczce jeszcze istniał deszcz, dobowe zmiany światła i cienia, ale w tej chwili zrozumiała, że wszystko jest także w mieście. Za oknem rozgrywał się prawdziwy dramat \* zbliżała się mroźna odwilż, silny wicher gnał szybkie przezroczyste obłoki, a ich ruch odbywał się od końca do końca nieba, szczególnie wyraźnie to było widać na tle jasnego, prawie pełnego księżyca i Wiera poczuła się jak w teatrze na wielkim spektaklu, który całkowicie wciągał wyrazistością wątku i pięknem przedstawienia... Nagie gałęzie drzew, jak corps de ballet, rwały się to w jedną, to w drugą stronę, gdy przyziemny wiatr zakręcał i szarpał w porywach, za to górą niósł się jednym ciągłym strumieniem, z lewa na prawo, podczas gdy księżyc powoli jechał w przeciwnym kierunku, a sąsiedni dach z dwoma zmartwiałymi kominami był jedynym

punktem spokoju i oporu w całym ruchomym i kołyszącym się obrazie...

„Boże, jakie to majestatyczne” \* pomyślała Wiera Aleksandrowna i całkowicie oddała się przeżywaniu, jak to działo się z nią na dobrych koncertach i na lepszych spektaklach... Z delikatnym odcieniem lubowania się samą sobą, zdolną do tego wzniosłego przeżywania... Skrzypnęły drzwi. Odwróciła się: w ciemnościach korytarza błysnęły białą zgrabne plecy. Lena przemknęła do łazienki.

„Jak... jak to możliwe? \* wstrząśnięta Wiera przysiadła na parapecie. \* Trzeba natychmiast odejść, żeby oni nie dowiedzieli się, że była świadkiem tego... tego...”.

Rozległ się szum lejącej się wody... Wiera przekradła się korytarzem do siebie do pokoju i, nie zdejmując szlafroka, położyła się do łóżka. Wstrząsały ją dreszcze.

Boże, jakie to skandaliczne... Znaczący, że między nimi zawsze były jakieś stosunki? Ale dlaczego, dlaczego ona nie została z nimi dla Marii? Co to? Egoizm rodzica? Całkowita niezdolność do poświęceń? Tyle lat marzyć o spotkaniu z ukochanym człowiekiem, i ot tak... Usiłowała zrozumieć, ale nie mogła. Miłość \* tragiczne i wzniosłe uczucie, i to przemykanie po korytarzu... A Szurik, Szurik? Jakie fikcyjne małżeństwo, jeśli... Żadna myśl nie kończyła się, tylko fragmenty wzburzonego uczucia, zniewaga, wstręt, strach i rozpacz straty kłębiły się i wirowały w duszy... Rozpłakała się nie od razu \* dopiero zebrawszy siły. I płakała do rana.

Na Szeremietiewo Wiera nie pojechała. Pożegnała się z Marią przy windzie. Na ostatek Maria gorąco wyszeptwała Wierze do ucha:

\* Nie powiedziałam ci najważniejszego: dorosnę i przyjadę, a ty zrób tak, żeby Szurik nie ożenił się z nikim, ja sama się z nim ożenię.

Szurik był zadowolony, że mama nie jedzie na lotnisko.

\* Oczywiście, Wierusia, lepiej zostań w domu. Dla Marii jeszcze jedno pożegnanie będzie dodatkowym urazem.

Naprawdę to od urazu chronił matkę. I ochronił; po drodze na Szeremietjewo zepsuła się taksówka, szofer długo grzebał w żelaznych wnętrznościach auta. Lena, przeklinając swój pech, wysiadła z samochodu i machała ręką na potok aut. Ani jedna swołocz się nie zatrzymała. Wszystko przepadło. Dziesięć lat piastowany plan rwie się z powodu jakiegoś głupiego żelastwa. W ślad za matką wyskoczyła z samochodu Maria, podskoczyła, zamachała rękami i krzyknęła:

\* I nie pojedziemy! Nigdzie nie pojedziemy!

Stowba zbladła na twarzy i oczy jej zbieleły, straciła Marii czapkę i zaczęła ją wściekle okładać po twarzy. Szurik, ocknąwszy się z osłupienia, wciągnął Marię do samochodu. Lena rzuciła się za nimi. Jej wściekłość przerzuciła się na Szurika. Szarpała go za kołnierz i krzyczała:

\* Miernota! Szmata! Maminsynek! No zróbże coś! Maria wisiała na jego prawej ręce, lewą niezdarnie bronił się przed atakiem.

Niechby szybciej skończył się ten bezsens, jak w kiepskim filmie... Jakie szczęście, że mama nie

pojechała... Koszmarna baba... Wiedźma oszalała... Biedny nasz Murzik...  
Zatrzymał się podniszczony samochód. Taksówkarz podszedł do kierowcy, przerzucili się kilkoma słowami. Lena uświadomiła sobie, że los się nad nią zmiłował i na samolot się nie spóźnią. Szofer przenosił walizki z bagażnika do bagażnika, Szurik wycierał Marii rozbity nos.

W ciągu dwudziestu minut dojechali do lotniska. Bez jednego słowa. Szurik wywlókł walizę Stowby. Maria niosła swoją małą, spakowaną przez Wierusię. Szurik od czasu do czasu wycierał Marii nos. Stowba szła przodem, nie oglądając się, z dużą sportową torbą. Jak to dobrze, że nigdy nie trzeba będzie jej pocieszać...

Szurik taszczył ogromną walizę, w wolną rękę wczepiła się Maria. Lot był już ogłoszony, zatrzymali się przy wejściu. Stowba rozwarła ściśnięte wargi:

\* Przebacz. Poniosło mnie. Dziękuję za wszystko.

\* W porządku \* machnął ręką Szurik. Maria przyłgnęła do ucha Szurika.

\* Powiedz Wierusi, że ja jeszcze przyjadę... Czekaj na mnie. Dobrze?

Poszły do przejścia, Maria oglądała się i machała ręką.

Potem Szurik długo jechał autobusem z lotniska. Był w podłym nastroju. Chciał jak najszybciej do domu, do mamy. Z przyjemnością myślał o tym, że znowu będą we dwoje, że nie będzie więcej wstawać o siódmej rano, wlec się z senną Marią trolejbusami do metra... Czuł się rozbity i niewyspany.

„Trzeba będzie Wierusię do sanatorium wysłać” \* myślał, zasypiając na tylnym siedzeniu zatłoczonego autobusu.

Maria i Lena Stowba leciały do Paryża. Całą drogę całowały się.

Zimowe palto Maria pozwoliła zdjąć z siebie, ale czapki \* za nic. To palto zimowe i czapkę z czarnego barana, kupione w „Świecie dziecka”, Maria zdecyduje się wyrzucić dopiero za pięć lat. Wtedy też napisze swój ostatni list do Moskwy z informacją o tym, że ją przyjęto do baletowego zespołu w Nowym Jorku. Od tej pory ślady Marii i jej rodziców ostatecznie zacierają się...

54.

Nieobecność Marii miała stereoskopowy efekt: pogłębiona była ukrytą za nią nieobecnością Jelizawiey Iwanowny. Dokładnie tak samo, jak dziesięć lat wcześniej Wiera natykała się na osierocone rzeczy matki, tak teraz wyciągała z zakątków zapomnianej zapinkę, przepaskę na głowę lub starą skarpetkę Marii i zaraz zauważała, że matczyny kałamarz z warstwowego szarego marmuru z poczerniałymi wieczkami z brązu w dalszym ciągu stoi na biurku, nad którym niegdyś wznosiła się postawna figura matki, we wspomnieniach coraz bardziej upodabniająca się do Katarzyny Wielkiej, a fotel, w którym Maria lubiła urządzać dom dla lalek, przedtem służył za siedzisko dla okazałego ciała Jelizawiey Iwanowny. Teraz już niejeden, a dwa duchy zasiedlały mieszkanie. Smutna i przygnębiona Wiera siedziała w fotelu przed włączonym telewizorem, patrząc w ekran wystraszonego niewidzącego wzrokiem.

Szurik przewidział, że mama będzie ciężko przeżywać odjazd Marii, ale nie oczekiwał aż takiej katastrofalnej reakcji. Bardzo się zmieniła w stosunku do samego Szurika: unikała zwyczajowych wieczornych herbatek, nie zaczynała zwykłych rozmów o Michale Czechowie czy Gordonie Craigu. O nic nie pytała, niczego nie nakazywała. W końcu Szurik zaczął podejrzewać, że ta zmiana związana jest nie tylko ze stratą Marii, że musi być jakaś inna przyczyna dziwnego między nimi ochłodzenia.

Przyczyna istotnie była: Wiera ciągle nie mogła wyjść ze wstrząsu, związanego z podpatrzonym nocnym epizodem. Starła się znaleźć wyjaśnienie tego potwornie nieprzyzwoitego zachowania, ale coraz bardziej się plątała: jeśli Szurik kocha Lenę, to dlaczego ona wyjechała... jeśli Szurik jej nie kocha, to dlaczego ona była w jego pokoju, naga... a jeśli ona go nie kocha, to dlaczego w przeddzień odjazdu do ukochanego człowieka... jeśli ona mimo wszystko kocha, to po co oni wzięli rozwód i pozbawili Marię wielkiej przyszłości...

Szurik po pięcioletniej szkolnej katordze powrócił do swego zwykłego rozkładu, wstawał teraz akurat w porze, kiedy powinien zabierać Marię ze szkoły.

Gotował sobie płatki owsiane \* pięć minut od wrzenia, według przepisu babci \* kiedy weszła mama i usiadła na

swoim zwykłym miejscu. Położyła ręce przed sobą i powiedziała cicho, ledwie słyszalnie:

\* Jednak powinieneś mi wszystko wyjaśnić...

Szurik nie od razu zrozumiał, jakich dokładnie wyjaśnień oczekuje od niego Wiera. A kiedy zrozumiał, zastygł nad garnkiem z lekko wybałuszonymi oczami. Od dziecka pozostało mu to przyzwyczajenie \* robienie dużych oczu w chwilach niezrozumienia.

\* Co wyjaśnić?

\* Nie mogę zrozumieć charakteru waszych wzajemnych stosunków z Leną. Nie zadawałabym ci tego pytania, gdyby nie Maria. Powiedz mi, ty kochałeś Lenę? \* Wiera patrzyła na niego surowo i wymagająco, i do głowy mu przysła rodzina okręgowego komisarza. Nastroszył się \* wyjaśnienie czegokolwiek matce było trudne. Sam sobie również nie potrafiłby niczego wyjaśnić.

\* Wierusia, a jakie to specjalne stosunki masz na myśli? Żadnych takich wzajemnych stosunków nie było. Ty wzięłaś Marię do domu, a ona, to znaczy Lena, przyjeżdżała do niej. Ja tu się nie liczę \* wymamrotał Szurik.

\* Nie, nie, Szurik. Nie rozumiałeś mnie. Nie jestem taka stara, i w moim życiu też bywało różnie... Przecież wiesz, z twoim ojcem łączyło nas dwadzieścia lat... \* zawahała się, szukając odpowiedniego słowa, i znalazła je, odpowiednie, ale niewyszukane \* dwadzieścia lat miłości...

\* Mateczko, co ty porównujesz? \* zdziwił się Szurik. \* Niczego takiego, nawet w przybliżeniu, nie było między mną a Stowbą. Znasz przecież całą historię. Wtedy Ala Togusowa poprosiła, Lena była w ciąży, ten Enrike... Niczego między mną a nią nie było...

Wiera w tym momencie wstydziła się za swojego syna: kłamał. Opuściła wzrok na stół i powiedziała nachmurzona:

\* Nieprawda, Szurik. Wiem, że mieliście stosunki...

\* Ale co ty, mateczko? O czym ty? Jakie stosunki? To tylko tak, po prostu tak, zupełnie nic nie znaczy.

O, otchłani niezrozumienia! Goryczy rozczarowania! Wstydzie za błędy! Szurik, drogi chłopaku, bliski, zgodny, wrażliwy! Czy to ty? Wiera uniosła się:

\* Jak? Co ty mówisz, Szurik? Wzniosła tajemnica miłości nic nie znaczy?

\* Ale, Wierusia, ja zupełnie nie o tym, całkiem o czym innym... \* bąknął Szurik, odczuwając dotkliwie całkowitą utratę twarzy... Diablica Stowba! A przecież on tak czuł, tak bardzo nie chciał... Aleją tak trzęsło ze strachu przed wyjazdem, to jak można było inaczej ją uspokoić...

\* To jest straszny cynizm, Szurik. Okropny cynizm \* Wiera patrzyła ponad Szurikiem, ponad ordynarnym materialnym światem, a twarz miała tak uduchowioną, taką piękną, że Szurikowi wprost dech zapierało: jak on mógł ją tak obrazić swoimi głupimi słowami? A przecież całe życie tak się starał, żeby w ich domu, w pobliżu Wieroczki, nic takiego się nie stało... Taka niewybaczalna głupota!

\* Stosunki płciowe mają swoje uzasadnienie przy więziach duchowych, inaczej człowiek niczym nie różni się od zwierzęcia. Czyżbyś tego nie rozumiał, Szurik? \* oparła się łokciem na stole i podparła palcami brodę.

\* Rozumiem, rozumiem, mateczko \* pospieszył Szurik.

\* Ale i ty zrozum, że więzi duchowe, miłość i wszystko inne

\* to jest rzadkość, to nie dla wszystkich, a ludzie zwykli są bardzo praktyczni... To nie cynizm, a proste życie. To ty jesteś niezwykłym człowiekiem, babcia była niezwykła, a inni w ogromnej większości żyją zwykłym życiem i pojęcia nie mają o tym, o czym ty mówisz...

\* Ach, jaki to bełkot \* ze smutkiem odezwała się Wiera, ale dramatyzm obniżył się i rozmowa przybierała zadowalający kierunek. Ostrość obrazy złagodniała, wracała zwykła równowaga... W głębi duszy Wiera uważała się za człowieka nie całkiem zwyczajnego, a od Szurika otrzymała potwierdzenie. Jednakże i Szurik był też nie całkiem zwyczajnym człowiekiem, i ona dodała mu otuchy:

\* Jeszcze wszystko zrozumiesz. Spotkasz prawdziwą miłość i wtedy zrozumiesz...

Konflikt był prawie zażegnany, Wierze pozostał cień rozczarowania Szurikiem, ale z drugiej strony,



jego słabości rodziły wyrozumiałość dla niego i jego biednego pokolenia, pozbawionego wzniosłych pojęć. Za to Szurik potroił gorliwość w trudzie organizacji życia mamy \* kupił nowy telewizor, nowy wspaniały adapter i suszarkę do włosów. Czuł, że z odjazdem Marii jakaś szczególna energia, promieniująca z małej Mulatki, znikła, i Wiera pogrąża się w melancholii, słabnie jej zainteresowanie życiem: coraz częściej opuszczała premiery, stopniowo rezygnowała z kółka teatralnego. Opuściło ją natchnienie i od odjazdu Marii do końca roku szkolnego, kiedy w studiu była przerwa wakacyjna, tylko kilka razy zmusiła się do zejścia do suterenu. W następnym sezonie zajęcia nie zostały wznowione, ostatni społeczny czyn nieboszczyka Marmolady tym sposobem zwiądł.

55.

Prawdziwa miłość, którą Wiera Aleksandrowna prorokowała Szurikowi, przeleciała obok i trafiła nie w Szurika, a w jego przyjaciela Żenię. Chociaż, prawdę mówiąc, ona go już raz nawiedziła w postaci Ałloczki. Ale polegać w takich sprawach ani na wielkim rozsądku, ani na zwykłej logice, ani tym bardziej na sprawiedliwości nie można. Szurik już dawno zauważył, że w malutkim dwupokojowym mieszkaniu Żeni i Ałły, urządzonym wysiłkami dwóch niebogatych rodzin, zrobiło się jakoś nieprzytulnie, atmosfera stała się milcząca i napięta. Żenia obronił dysertację, siedział do późna w pracy z wirówkami i obliczeniami, późno przychodził do domu i natychmiast kładł się spać, lekceważąc nie tylko żonę i córkę, ale i kolację. Młoda rodzina mieszkała w odległej dzielnicy, bez telefonu, i coraz częściej Szurik, odwiedzając ich w sobotnie lub niedzielne wieczory, zastawał w domu smutną Ałłę z wesołą Katią. A żadnego Żeni.

Sam Żenia postawił sprawę jasno: zadzwonił do Szurika, zaproponował spotkanie w centrum i przy stoliku nędznej kawiarni na Sritience oświadczył o prawdziwej miłości, która spadła na niego wprost w miejscu pracy. W nieco innej leksyce niż charakterystyczna dla Wiery Aleksandrowny, wyłożył Szurikowi tę samą ideę, którą wyznawała jego mama: o wzniosłym uczuciu, zbudowanym na wzajemnej duchowej bliskości i wspólnych zainteresowaniach. O duchowej bliskości słowami nie da się opowiedzieć. Ale co dotyczy wspólnych zainteresowań, to leżały one w lakierniczo\*farbiarskim zakładzie: wybranka Żeni była jednocześnie kierowniczką laboratorium i promotorem jego dysertacji. Nowa technologia produkcji farb akrylowych przekonująco dowiodła, że jego pierwsza prawdziwa miłość do Ałloczki była niedostatecznie prawdziwa.

Szurik współczująco słuchał przyjaciela, ale nie całkiem pojmował istotę przedstawionego dramatu: dlaczego jedna miłość może przeszkadzać drugiej? Ałloczka jest taka miła, troskliwa, a malutka Katia w ogóle cudo... Skoro pojawiła się jeszcze jakaś chemiczka, znaczy, że trzeba tak zorganizować życie, żeby jedno drugiemu nie wadziło. Komu potrzebne te szlochy?

\* Rozumiesz, Szurik, ona nawet nie jest w moim guście \* rozwijał swoją myśl Żenia.

\* Kto? \* nie zrozumiał Szurik. \* W jakim guście?

\* Toż mówię, że Ałła wcale nie jest w moim guście. Zawsze mi się podobały dziewczyny wysokie, wysportowane. No, coś jak Stowba, a Ałła ze swoim tyłkiem i kudełkami...

\* Żenia, no co ty? \* zdumiał się Szurik. O jakim ty w ogóle guście mówisz?

\* WieJtjE, każdy człowiek ma określony seksualny typ. No, jednemu podobają się pulchne blondynki lub, na odwrót,

szczupłe brunetki. U nas w laboratorium jest jeden facet, jego pierwsza żona była Buriatką, a druga

\* Koreanką. On ma ciągoty do wschodnich kobiet \* objaśniał Żenia nieskomplikowaną ideę.

Dobroduszny Szurik nieoczekiwanie rozzłościł się:

\* Żeń! A ty nie zwariowałaś? Po prostu kompletne bzdury pleciesz. Ty, kiedy zakochałeś się w Alce, jeszcze o żadnym sekstypie nie słyszałeś, tak? Zakochałeś się, ożeniłeś, macie dziecko. I nagle, dzień dobry, jakiś sekstyp się objawił! No, wzięłaś sobie babę i pieprz się po cichutku. Ałka czym ci zawiniła? Pomyśleć, wielka sprawa, przespał się z jedną, potem z drugą. Ałły żal, ona przeżywa... Co ona winna, że ty sekstyp znalazłeś?

Żenia tylko marszczył się i rozczarowany kręcił głową: \* Ale ty, Szurik, po prostu kompletnie nie rozumiesz. Ja z nią nie tylko spać, ja z nią nawet rozmawiać nie mogę. Co nie powie, to głupota. Po

prostu puste miejsce. No, nie kocham jej. Kocham inną kobietę. A z Ałką i tak się rozwiodę. Nie będę z nią żyć. Poznam cię z Inną Wasiljewną i wszystko zrozumiesz.

Żenia rozlał resztki wina do kieliszków. Wypił. Wypił i Szurik.

\* Może jeszcze? \* spytał Żenia.

Wino skończyło się, rozmowa jeszcze nie.

\* Dobrze \* zgodził się Szurik. Stary kelner z kwaśną miną przyniósł jeszcze butelkę wina.

\* Tobie dobrze, Szurik, masz dziesiątki kochanek i nikogo nie kochasz. Tobie wszystko jedno. A ja po prostu tak nie mogę \* wyjaśnił swoją interesującą cechę Żenia.

Szurik zasmucił się:

\* Tak i mama moja mówi, że jestem cyniczny. Pewnie istotnie jestem cyniczny. Tylko mi żal twojej Ałłoczki...

\* No więc żałuj \* szarpnął się Żenia. \* Ona właśnie tego potrzebuje, żeby jej żalowano. Na twarzy \* światowa boleść, o byle co łzy... Rozumiesz, Szurik, Inna Wasiljt?" jest takim człowiekiem, którego żalować po prostu nie można. Inna sama, kogo chcesz, pożałuje.

Szurik popatrzył na Żenię: chudy, bladoniebieski. Rude kędziorki nad czołem częściowo wytarły się, powstała mechata zatoka. Na brodzie pasło się stadko młodzieńczych pryszczków, zwykle wysypujących się w miejscach zadrapań po goleniu. Marynarka i krawat, które zwykł nosić, nadawały mu wygląd drobnego urzędnika z prowincji na delegacji w stolicy. Na dobitkę po niebieskim krawacie rozplątywała się czerwono-bura plama wina... Szurik chciał zapytać: ona i ciebie pożałowała? Ale powstrzymał się... Żeni też mu było żal.

Następnym razem spotkali się po dwóch miesiącach, na piątych urodzinach Kati. Do tego czasu Żenia już przeprowadził się od Ałły do swojego sekstypu, a dokumenty na rozwód były złożone. Przy rozłożonym stole siedzieli w pełnym komplecie dziadkowie i babcie Kati, połączeni wspólnym nieszczęściem przyszłego rozwodu, dwie przyjaciółki Ałły i Szurik. Ałła snuła się między stołem a kuchnią, a Żenia, posiedziawszy z gośćmi z piętnaście minut, oddalił się i szperał w książkach.

Bohaterka dnia była oszołomiona górą prezentów, które się jej dostały, i zatroskana tym, jak to wszystko utrzymać w rękach. Wreszcie Szurik zdjął powłoczkę z kanapowej poduszki, zebrał wszystkie zabawki do woreczka, wsunął Kati w ręce, a samą Katię posadził sobie na plecy. Dziewczynka piszczała, machała nogami i za nic nie chciała zejść na dół. Tak więc Szurik przetrzymał ją na swojej szyi aż do pójścia spać. Potem Katia zaczęła płakać i domagała się, żeby Szurik ułożył ją do snu, i on siedział przy niej w małym pokoju.

Żenia, zabrawszy kolejną porcję książek, wyszedł pierwszy, powoli rozeszli się pozostali krewni. Szurikowi kilka razy zdawało się, że Katia zasnęła, ale za każdym razem, kiedy ruszał ku drzwiom, Katia otwierała oczy i twardo mówiła: nie odchodź...

Dwa razy zaglądała Ałłoczka. Odprowadziła już swoje koleżanki, wymyła naczynia i przebrała się \* zdjęła pantofle na szpilkach i różową bluzkę i włożyła domowe kapcie i niebieską podkoszulkę.

Kiedy Szurikowi udało się wyslizgnąć od śpiącej Kati, wpadł w objęcia czekającej na niego Ałłoczki. To znaczy, na początku żadnych objęć nie było, a były gorzkie skargi i gorące prośby o wyjaśnienie, jak mógł nastąpić taki rozpad życia i co ona teraz ma robić. Szurik współczująco milczał, prawdę powiedziawszy, niczego więcej od niego nie wymagano. Prośby wymieniały się ze skargami, oczy napępniały się łzami, łzy obsychały i znowu kapały. Godzina była już prawie pierwsza, a to oznaczało, że wydostać się z tego oddalonego od wszystkiego na świecie miejsca do rana nie będzie można, bo autobusy już nie jeżdżą, a na złapanie taksówki szans było tyle samo, co na złapanie w tutejszych nowych osiedlach Żar \* ptaka.

Ałłoczka tymczasem płakała coraz żałośniej i przysuwała się coraz bliżej, aż znalazła się w przyjacielskich objęciach Szurika. Monolog jej trwał nieprzerwanie, a Szurik ciągle nie mógł zmiarkować, jakich mianowicie działań oczekuje od niego zapłakana kobieta. Spieszyć się już nie było żadnego sensu, on niewinnie głąskał sprężysty nabity koczek, pozostawiając Ałłoczce wyraźne okazanie woli. Ona jeszcze ze dwadzieścia minut skarżyła się, ale jakoś tak coraz bardziej chaotycznie i w końcu rozpięła drugi od góry guzik koszuli Szurika. Miała gorące małe ręce, wyrazisty dotyk, duże usta pełne słodkiej śliny, i cienką, jak gardło dzbanka, talię...

Szurik od dawna wiedział, że każda kobieta ma takie swoiste cechy... Ałłoczka, jak się wyjaśniło, posiadała jeszcze jedną, całkiem unikalną osobliwość: ani na chwilę nie przerwała monologu, zaczętego jeszcze wieczorem. O tym Szurik pomyślał, kiedy wcześniej rano wychodził z klatki domu Ałłoczki...

„Miła dziewczyna \* myślał Szurik, czekając na autobus \* niepotrzebnie Żenia ją rzucił. I Kat'ka taka sympatyczna. Trzeba będzie je choć z rzadka odwiedzać...”.

56.

Waleria miała, jak w swoim czasie Jelizawie ta Iwanowna, sekretny notesik, w którym zebrali się ludzie, potrzebni na wszelkie życiowe przypadki. Notesik lubił sam z siebie otwierać się na literze „L” \* lekarze. Zapisanych tam było kilka kartek. Głównym w ostatnim czasie był kardiolog Giennadij Iwanowicz Trofimow, poznany przypadkiem dwadzieścia lat wstecz, kiedy serce Walerii pracowało pełną mocą. Giennadij Iwanowicz przychodził w gości dwa razy na rok, na większe święta Walerii \* katolickie Boże Narodzenie z ogromną indyczką, dopasowaną do wielkości piecyka, i na urodziny Walerii, które urządzała wyłącznie na słodko \* piekła torty z ubijanymi kremami i świeżymi owocami. Póki trzymała się na nogach.

Indyczki do ostatnich dni nie odmawiała \* Szurik pod jej kierunkiem napychał ptaka korzennym farszem i sześć godzin biegał z pokoju do kuchni przewracając, przykrywając i odkrywając wskazane części indyczego ciała. A torty Waleria zaczęła zamawiać w restauracjach: po długich rozmowach z kierownikami i kucharzami przywozili jej arcydzieło i goście za każdym razem dziwili się, jak to jej udaje się, bez wychodzenia z domu, osiągnąć tak wyjątkowe rezultaty. Giennadij Iwanowicz akurat nie był zwolennikiem restauracyjnych wyrobów i chociaż był łakomczuchem i niezmiennie zjadał wszystkie proponowane nowości, za każdym razem wspominał o tych niezapomnianych tortach, które Waleria piekła własnoręcznie.

Na ostatnie urodziny Giennadij Iwanowicz przyszedł późno, tortów nawet nie spróbował, przeczekał wszystkich gości, a kiedy goście poszli, kazał Walerii rozebrać się i wnikliwie ją osłuchiwał. Szczypał ręce, nogi, marszczył czoło. Po dwóch dniach przyszedł z walizeczką \* kardiograferu, długo oglądał niebieskie wstęgi, wypłute przez maszynę, i powiedział Walerii, że położy ją na jakieś trzy tygodnie do siebie na oddział, gdyż jej serce pracuje w ciężkich warunkach i trzeba je trochę podreperować. Waleria, która połowę dzieciństwa przeleżała w szpitalach, doznawszy ciężkiego wstrząsu po ostatniej operacji, kategorycznie odmówiła. Giennadij Iwanowicz nalegał. Szpital, w którym pracował, był nie tyle stary, co staroświecki, ze wspaniałymi schodami, bardzo wysokimi sufitami i salami na dwadzieścia łóżek. Giennadij Iwanowicz obiecał położyć Walerię w oddzielnej sali i ustalić przy niej indywidualny dyżur.

\* U mnie w tej sali Światosław Richter leżał i Arkady Rajkin leżał, a ty kaprysisz!

Waleria zgodziła się: propozycja była, ogólnie mówiąc, luksusowa, a ona luksus lubiła. Na dodatek Richter z Rajkinem nie w ciemną bici, do złego miejsca nie poszliby...

Szykowała się do szpitala Waleria całe trzy dni, jak w dawnych czasach do uzdrowiska: pomoc domowa Nadiusza zaniósł do ekspresowej pralni kimono, wybieliła skarpetki, wyprała i naciągnęła na ramkę ażurowy szal. Do jednego pudełka zebrała Waleria kosmetyki, do drugiego \* lekarstwa, książki Szurik porozkładał na kupki zgodnie ze spisem, który Waleria długo i z namysłem sporządzała. Szurik musiał nawet pojechać do biblioteki literatury obcej i wypożyczyć stamtąd amerykańskie kryminały po polsku i jakieś przedwojenne polskie wiersze, które Waleria jeszcze w młodości postanowiła przetłumaczyć.

Szurik przez te dni próbował z pomocą siły najemnej naprawić „Zaporożca”, który dwa lata spokojnie rdzewiał na podwórzu, ale osiągnął niezbyt zadowalający rezultat: auto zapalało się, pyrkło, ale z miejsca nie ruszało...

Kolejnego poniedziałku Szurik zniósł i zapakował do taksówki najpierw dwa pudełka potrzebnych dla komfortu i luksusu rzeczy. A potem i samą Walerię. W izbie przyjęć już na nią czekali, od razu posadzili na wózek i powieźli na oddział, Szurik w szpitalnych kapciach, spadających z nóg,

szedł z pudełkami z tyłu. Wszystkie zasady były tak jawnie i nawet demonstracyjnie naruszone, że siostrzyczki szeptały między sobą: kto to? Czyja to żona bądź matka? Odpowiedzieć na to pytanie nikt nie mógł: wiadomo było, że dzwonił sam Trofimow i prosił bez formalności...

Waleria urządziła się na wysokim łóżku, obróciwszy je tak, by leżeć twarzą do okna: za oknem budził się po zimie stary folwarczny sad.

\* Popatrz, Szurik, jaki widok z okna. Ja stąd i odejść nie zechcę...

Szurik przestawił szafkę Walerii pod prawą rękę, postawił dwa pudełka, żeby mogła wziąć swoje pudrka i flakoniki, pocałował ją w policzek i obiecał przyjechać wieczorem. Stałą przepustkę wydano mu od razu \* nazwisko Trofimowa samo z siebie działało nie gorzej niż przepustka.

\* I proszę, niczego nie przynos, póki nie poproszę \* krzyknęła Waleria za Szurikiem.

Obejrzał się:

\* Może soku albo mineralnej?

\* Dobrze, mineralnej \* zgodziła się Waleria.

W poniedziałki na oddziale odbywała się narada, nie mniej niż półtorej godziny trwał obchód, tak że dopiero po dwunastej drzwi się otwarły i sala wypełniła się mnóstwem białych fartuchów. Część lekarzy pozostała na korytarzu.

\* To jest, koledzy, Waleria Adamowna, moja stara przyjaciółka. Walerio Adamowna, poznajcie się, moja koleżanka Tatiana Jewgienjewna Kołobowa, dwadzieścia pięć lat pracujemy razem. Ona jest pani lekarzem prowadzącym... Tak więc, analizy, pełne badania... to wszystko przeprowadzimy, a potem zdecydujemy, jak możemy pomóc... \* Giennadij Iwanowicz mówił ważnym głosem, a pod koniec skłonił się Walerii i puścił oczko. I smutek, który nagle ją ogarnął na widok tej medycznej rutyny, natychmiast się rozwiął, a Tatiana Jewgienjewna na drugi rzut oka wydała się jej miła, chociaż na pierwszy rzut \* prawdziwa łasiczka...

W korytarzu zgromadzili się lekarze, ale na razie nie było co omawiać. Tatiana Jewgienjewna zapisała kroplówkę. Giennadij Iwanowicz machnął ręką i wszyscy ruszyli za nim do następnej sali...

A wokół Walerii natychmiast popłynął strumień szpitalnego życia: z laboratorium przysłała dziewczyna, pobrała jej krew z palca i z żyły, zostawiła buteleczkę na mocz. Potem zawieziono ją na wózku do gabinetu rentgenowskiego, zrobiono zdjęcia miednicy, stawów biodrowych, obejrzano wszystkie narządy, jakie można było, a Walerii sprawiało dużą przyjemność to lekarskie zainteresowanie. W rękach trzymała kosmetyczkę, a w niej zagraniczne czekoladki i kosmetyki i obdarowywała tymi drobiazgami lekarzy i siostry, a wszyscy szczerze cieszyli się i uśmiechali, a ona chwaliła siebie, że wcześniej zaopatrzyła się w całą stertę produktów i teraz traktowana jest jak człowiek, a nie jak uboga krewna. W dodatku zdarzyła się przyjemna niespodzianka: na jednym z gabinetów była wizytówka „I.M. Mironajte” i rzeczywiście ta lekarka pochodziła z Wilna i nawet była daleką krewną zmarłej Beaty, więc zaraz się umówiły, że Inga Michajłowna Mironajte przyjdzie do niej do sali i powspominają dawne lata... Wszystko tu, w szpitalu, układało się pomyślnie, wszyscy byli życzliwi i troskliwi...

Kolację przyniesiono do sali: pieczona ryba i puree ziemniaczane. Rybę Waleria zjadła, purre zostawiła. Herbata była niesmaczna i postanowiła doczekać się Szurika, on grzałką zagotuje wodę, zaparzy dobrej herbaty.

Wkrótce przyszła pielęgniarzka Nonna, też miła dziewczyna, z pięknie ułożonymi włosami i Waleria od razu postanowiła, że podaruje jej przepiękną francuską zapinkę do włosów. Nonna przyniosła stojak do kroplówki. Była doświadczoną siostrą, zgrabnie trafiła w żyłę, otworzyła wentyl i wyszła, mówiąc, że niedługo wróci. Krople kapały rzadko i początkowo Waleria je liczyła, potem zdrzemnęła się. Szurik obiecał przyjść koło ósmej i powinien zaraz się pojawić.

Zatrzymała go mineralna woda \* Waleria piła tylko „Borżomi”, ale na Białoruskiej w sklepach jej nie było i musiał jechać do centrum. Kwadrans po ósmej z dwiema butelkami „Borżomi” wbiegał po paradnych szpitalnych schodach, przeskakując po dwa stopnie. Dobiegł do sali...

W tym momencie Waleria ocknęła się z przyjemnej drzemki, otworzyła oczy i powiedziała ze zdziwieniem:

\* Oj, ja dokądś odpływam...

Szurik właśnie otworzył drzwi w tej chwili i wydało mu się, że Waleria coś do niego mówi.

\* Cześć, Lerik! \* rześko przywitał się Szurik, ale Waleria nic mu nie odpowiedziała. Patrzyła w jego stronę rozszerzonymi oczami, a malinoworóżowe wargi ułożone były w niewielką literę „o”. Nigdy się nie dowiedział, czy ona widziała go w ostatniej swojej chwili czy też widziała coś innego, znacznie bardziej zadziwiającego...

57.

Skądś pojawiło się troje Litwinów \* dwie w nieokreślonym wieku, po wiejsku ogorzałe kobiety i różowy staruszek o delikatnej skórze, ze sztucznymi zębami.

Przyszli, kiedy Szurik siedział sam w pokoju Walerii, po dwóch dobach od jej śmierci, tępo patrzył na stolik przy łóżku, zastawiony buteleczkami różnorodnych lakierów i tubkami kremów, i czekał na przyjaciółkę Walerii Sonię o przyzwisku Czingis\*chan, żeby znaleźć jeden dokument, bez którego pogrzeb stałby się jeszcze bardziej skomplikowany: był to papier z cementarnej kancelarii o własności działki z grobem, gdzie pochowany był ojciec Walerii.

I oto, zamiast oczekiwanej Soni, przyszła trójka nieznajomych, prawie obcokrajowców, dlatego że po rosyjsku mówił tylko staruszek, a on powiedział swoje imię cicho i niewyraźnie, potem wskazał na kobiety: to Filomena i Joanna.

\* Pan jest przyjacielem Walerii, opowiadała mi o panu \* powiedział staruszek, zasysając słabo osadzone zęby. I wtedy Szurik domyślił się, że ten staruszek to katolicki kapłan, do którego Waleria kiedyś jeździła na Litwę, w leśne ostępy kraju, gdzie on się osiedlił po dziesięciu latach łagrów. „Domenik” \* przypomniał sobie Szurik imię księdza. Siedział jako litewski nacjonalista. I jeszcze Waleria mówiła, że on jest bardzo wykształconym człowiekiem, studiował w Watykanie, potem był misjonarzem gdzieś na Wschodzie, czy nie w Indochinach, mówi po chińsku i malajsku, na Litwę powrócił niedługo przed wojną...

\* Proszę wejść... Jak się pan dowiedział? On uśmiechnął się:

\* Najtrudniejsze \* ostatnie dwanaście kilometrów, piechotą do chutoru. Zatelefonować z Moskwy do Wilna \* wszystkiego trzy minuty. Jedna nasza Litwinka zadzwoniła. Tamci zadzwonili do Sziaulaj i tak dalej...

Mówił powoli, wyszukując słowa, a w tym czasie zdjął chłopski tużurek, robiony na drutach sweter, pomógł rozebrać się towarzyszkom, otworzył torbę i wyjął z niej coś białego w celofanowej paczce. Poruszał się świadomie i celowo, Szurik \* powoli i z roztargnieniem.

\* Przyjechaliśmy pożegnać się. Te drzwi mają zamek, tak? Będziemy odprawiać mszę żałobną za Walerię. Dobrze?

\* A można tak po prostu w domu? \* zdziwił się Szurik.

\* Można wszędzie. W więzieniu, w izbie, w lesie można. W zakładowej świetlicy pod Leninem nawet raz można było \* roześmiał się i podniósł dłonie w górę, popatrzył w sufit. \* Co nam przeszkadza?

Znów zabrzączał dzwonek, przeprowadzony kiedyś przez Szurika prosto do pokoju.

\* To przyjaciółka Walerii \* uprzedził Szurik i poszedł otworzyć.

Litwinki, które ciągle milczały, coś poszeptały do kapłana, ale on wykonał nieokreślony gest i zamilkły. Weszli Szurik z Sonią.

\* To Sonia, przyjaciółka Walerii. Domenik... \* Szurik zawahał się... \* Jak poprawnie powiedzieć \* ojciec Domenik?

\* Lepiej powiedzieć „brat”. Brat Domenik... \* uśmiechał się pięknie, bardzo przyjaźnie.

\* Więc ty jesteś bratem Walerii \* ucieszyła się Sonia.

\* W pewnym sensie \* tak.

Litwinki patrzyły wyłącznie w podłogę, a jeśli od podłogi odrywały oczy, to tylko na siebie. Szurik nagle poczuł, że ci troje istnieją jako jeden organizm, rozumieją się, jak jedna noga rozumie drugą w czasie biegu albo skoku...

\* Waleria była naszą siostrą, powiedzmy tak, i przyjechaliśmy pożegnać się z nią, odprawić tu mszę. Czy wam to nie przeszkadza? Możecie tu zostać, a możecie wyjść. Jak chcecie. Ale proszę

was tylko, żebyście nie mówili innym ludziom.

\* Mogę zostać? Jeśli wam nie przeszkadza... tylko ja nie jestem katoliczką, ja Rosjanka... \* Sonia nawet spociała się ze zdenerwowania.

\* Nie widzę przeszkód \* kiwnął ojciec i znowu sięgnął do torby.

\* Ja najpierw herbaty zrobię. Jest różne jedzenie... U Walerii zawsze pełna lodówka... \* zaproponował Szurik.

\* Potem będziemy jeść. Najpierw odprawimy mszę \* i wyjął z paczki biały fartuch z kapturem, przepasał się cienkim sznureczkiem i nałożył na szyję złocistą szmatkę. To był strój dominikanina \* habit i stuła. Kobiety założyły na głowy jakieś czepki z białymi wyłogami. I w jednej chwili z prostych ludzi o wiejskim wyglądzie zmienili się w szczególnych, znaczących, i akcent ich oznaczał już nie to, że przyjechali z prowincjonalnej Litwy, a przeciwnie, z jakiegoś niebiańskiego świata, a po rosyjsku mówią jakby z góry na dół, zniżając się do tutejszego ubóstwa...

\* Ta szafeczka nam się przyda. Proszę zdjąć z niej wszystko \* Szurik pospieszył zdjąć wszystkie drobiazgi Walerii, przełożył je na parapet. Domenik rzucił bystre spojrzenie, zza kupki flakonów wyciągnął kościany krzyż, wziął go w rękę, podniósł do okna: krzyż miał dziwny różowy odcień, a szczególnie różowe były nogi Zbawiciela. Nie domyślił się, że to od szminki...

Zasłonili okna, zamknęli drzwi i zapalili świece. Na szafce leżał krzyż, stał puchar i szklany talerzyk.

\* Sabuator mundi, sahia nosi \* wygłosił brat Domenik i nie był to litewski język, w którym już dziesięć lat wolno było odprawiać msze. To była łacina, Szurik od razu poznał jej mocne korzenie, ale póki cieszył się, że łatwo rozpoznaje i że trzeba tylko trochę się wysilić i wszystkie słowa do ostatniego odkryją swój sens, rozległ się cichy śpiew, nie żeński i nie męski, a wyraźnie anielski. Rumiane starsze nieładne kobiety, w czepeczkach i długich spódnicach, spod których wystawały grube nogi w prostych trzewikach, zaśpiewały:

\* Libera me Domine de morte aeternae...

Sens słów istotnie był zrozumiały \* Bóg uwalnia od śmierci. Niezrozumiałe było, jak właściwie On wyzwalał, ale Szurik wyraźnie zrozumiał, że śmierć istnieje tylko dla żywych, a dla martwych, którzy przekroczyli ten próg, już jej nie ma. I nie ma cierpienia, nie ma choroby, nie ma kalectwa. I gdzie by nie przebywała teraz ta zasadnicza część Walerii \* radosna i lekka \* ona sama porusza się teraz bez kul, najprawdopodobniej tańczy na cienkich nogach \* bez szwów, bez odleżyn, a może lata albo pływa i dobrze, żeby tak właśnie było. W to można byłoby nie wierzyć \* Szurik nigdy nie myślał o tym, co dzieje się potem, po śmierci \* ale cichy śpiew dwóch starszych Litwinek i nieduży baryton rumianego staruszka ze źle zrobioną sztuczną szczęką upewniały Szurika, że jeśli jest ten śpiew i pełne nieczytelnej treści łacińskie słowa, to i Waleria wyzwoliła się od kul, żelaznych gwoździ w kościach, grubych szwów i całego ociążałego zniekształconego ciała, którego wstydziła się przez ostatnie lata...

Schowana w kącie między kanapą a szafą, cicho lała łzy przyjaciółka Sonia.

Następnego dnia był pogrzeb. Pożegnanie odbyło się w kostnicy Jauzskiego szpitala. Przyszła nie mniej niż setka ludzi, ale kobiet było znacznie więcej w tym tłumie niż mężczyzn. Było też mnóstwo kwiatów, białych i liliowych pierwiosnków, ktoś przyniósł cały kosz hiacyntów. Kiedy Szurik podszedł do trumny, to za kędzierzawą górą kwiatów zobaczył nieboszczkę. Któraś z koleżanek zatroszczyła się o piękno jej martwej twarzy, była starannie umalowana, długie granatowe rzęsy i niebieskie cienie na powiekach, tak jak lubiła za życia, wargi połyskiwały warstwą nieogranej oddechem szminki... To małe „o”, które leżało na jej wargach jak pieczęć ostatniej minuty, kiedy Szurik wchodził do jej sali przed czterema dniami, gdzieś zniknęło, a to, co było w trumnie, jeśli nie liczyć żywej błyszczącej grzywki, pokrywającej czoło, było artystyczną kukłą, posiadającą wielkie podobieństwo do Walerii, i nic więcej. Postać chwilę, potem dotknął grzywki, a przez żywość włosów poczuł zimno tej materii spoza czasu i życia, którą stała się Waleria w tym krótkim przedziale między tym, co jeszcze żywe i już martwe.

Dobrze, że przyjechał brat Domenik, ponieważ właśnie msza żałobna stała się rzeczywistym symbolem rozstania, a nie te przepojone uczuciem płaczliwe słowa, wypowiedane przez kobiety nad stertą kwiatów, pokrywających trumnę.

Szurik nie kierował przygotowaniem do pogrzebu: w szpitalu wszystko organizował skruszony Giennadij Iwanowicz \* sekcja była przeprowadzona w sposób humanitarny, trepanacji czaszki nie robiono, tylko potwierdzono, że nastąpił zator arterii płucnej... Nikt nie był temu winien, oprócz może Pana Boga, wiedzącego o jej życiu, jak widać, więcej, niż ona sama.

Na polecenie Giennadija Iwanowicza do kostnicy wpuszczono przyjaciółki, które ubrały Walerię w białą bluzkę, zrobione na zamówienie nieużywane beżowe pantofle, przedtem rozcinając je w podbiciu, umalowały, jak uważały za konieczne, i ułożyły wokół głowy jedwabny biały szal. Ręce jej, duże i żółtawe, leżały na wierzchu białego jedwabiu i połyskiwały nieskazitelnym lakierem na paznokciach...

Koleżanki także zamówiły autobusy i samochody i umówiły się na Cmentarzu Wagańkowskim, żeby złożyć trumnę do grobu ojca, a nawet zamówiły w pracowni tymczasowy krzyż, i zrobiły zakupy na stypę, wszystko przygotowały...

Szurik, chociaż znał niektóre przyjaciółki Wiery, trzymał się brata Domenika i sióstr, którzy w dziennym świetle wyglądali jeszcze bardziej z wiejska i jeszcze bardziej, niż do tej pory, zadziwiali Szurika: teraz już wiedział, że oni byli posłańcami i świadkami z innego świata, i śmiesznie było pomyśleć, że ten inny świat jakoś krzyżuje się z zapomnianym chutorem w również zapomnianym litewskim lesie.

Ci leśni mieszkańcy nie wszyscy patrzyli w ziemię, kilka razy zerknęli na Szurika, a Domenik mu szepnął:

\* Joanna mówi, że możesz przyjechać, jeśli chcesz.

Szurik zrozumiał, że dostał zaszczytu i tak naprawdę to nie Joanna, a sam Domenik go zaprasza, ale o wyjeździe z Moskwy nie mogło być mowy.

\* Dziękuję. Tylko ja teraz nigdzie nie jeżdżę. Przedtem Walerii nie mogłem zostawić, a teraz mamy trzeba doglądać...

\* To dobrze, dobrze \* uśmiechnął się staruszek, chociaż niczego dobrego właściwie w tym nie było, że Szurik już wiele lat był jak na uwięzi...

Od bramy cmentarza nieśli trumnę na ramionach \* sześciu mężczyzn ledwie się znalazło wśród odprowadzających: Szurik, sąsiad milicjant, dwóch niedorzecznych mężów przyjaciółek i dwóch dawnych kochanków Walerii. Bratu Domenikowi i jednemu starszemu człowiekowi odmówiono ze względu na ich podeszły wiek. Odmówiono też oferującym swoje usługi miejscowym pijaczkom, którzy gotowi byli chwycić za trumnę.

Grób był już wykopany, wszystko przygotowane, nawet ścieżka była posypana piaskiem. Drobny deszcz, siąpiący od wczoraj, nagle rozświetlił się słońcem, które przebiło zasłonę chmur, i dosłownie w oka mgnieniu wysechł. Zwiędłe kwiaty błyszczały kroplami deszczu. Opuszczono trumnę, żałobnicy rzucili po garści ziemi. Grabarze zaczęli szybko machać łopatami, zasypywali mogiłę żółtą ziemią, uformowali kopczyk. Wkopali tymczasowy krzyż, na którym już był napis „Waleria Konieckaja”. I zaraz przyjaciółki obłożyły grób, układając kwiaty na podobieństwo dywanu, zrobiły to szybko i tak pięknie, że i sama Waleria lepiej by nie zrobiła \* białoliliowe pierwiosnki i rozwinięte hiacynty z rzadkimi czerwonymi oczkami goździków. Grób przestoczył się w okrągły klomb, i wszystko, co oko dostrzegło, było okrągłe: kobiece sylwetki, pochylone plecy, miękko opadające piersi, wymyte łzami twarze i głowy w chustkach, beretach, w opadających szalach. A nawet krzak niewiadomego gatunku z drobnymi, jeszcze nierozwiniętymi listkami na równo rozłożonych gałęziach, był kobiecy...

I Szurik niemal zobaczył na jawie to małe „o”, które jak pieczęć ostatniego tchnienia legło na ustach Walerii, i pomyślał, że w śmierci jest kobiecość, a samo słowo „śmierć” i po rosyjsku, i po francusku jest rodzaju żeńskiego... trzeba sprawdzić, jak po łacinie... a po niemiecku „der Tod” \* męskiego, to dziwne... nie, wcale nie dziwne, u nich tam śmierć wojownicza, w boju \* kopie, strzały, okrutne rany, poszarpane ciała... Walhalla... Ale prawidłowo to tak \* miękko i płynnie... Waleria... Biedna Waleria...

Jak tylko zakończyli ozdabiać grób, znowu zaczął padać deszcz i wszyscy otworzyli parasole, rozległ się szum \*

dźwięk kropli padających na jedwab parasoli, na głowy, na włosy, ramiona i liście... i obraz stał się

całkiem nierealny, a brat Domenik, do którego przytulał się Szurik, powiedział mu prosto w ucho, wspinając się nieco na palce:

\* Nic nie można zrobić, ale tak jest: miejsce kobiety obok śmierci... kobiece miejsce...

„Dokładnie... trochę dwuznaczne... nie, wieloznaczne” \* zgodził się w duchu Szurik.

Litwini już spieszyli się do pociągu i Szurik odprowadził ich na Dworzec Białoruski. Wsadził ich w pociąg, pobiegł do domu, żeby pobyć trochę z Wierusią \* ona od rana chciała pójść na pogrzeb: nie знаła Walerii osobiście, ale czasem rozmawiała z nią przez telefon...

Ale Szurik twardo zakazał:

\* Nie, Wierusią, nie trzeba. Za bardzo się przejmiesz... Jakby się trochę obraziła... A może nie?

Szurik wypił z nią herbatę, potem zszedł do piekarni, kupił szarlotkę, której akurat zachciało się Wierze, odniósł do domu i przyjechał na stypę, kiedy smutna część już się kończyła, a kobiety, po pierwszych trzech kieliszkach, przerywając sobie nawzajem, opowiadały swoje historie o Walerii \* o jej dobroci i wesołości, o niezawodności i lekkomyślności. Miejsc dla wszystkich nie starczało: wszystkie krzesła, fotele, kozetki i pufy były zajęte, około dziesięciu kobiet stało przy drzwiach, w przejściu między dużym rozstawionym stołem i szafą. Na szafce, skąd ojciec Domenik kazał zabrać różnokolorowe flakoniki, gdzie w przeddzień świecił wino i przezroczysty katolicki chleb, postawiono zakąskę na talerzyku w niezabudki i kieliszek wódki, nakryty chlebem...

Całkiem niedawno wiele z nich świętowało pięćdziesięciolecie Walerii i ogromny bukiet suchych róż, umiejętnie zasuszonych główkami w dół, w ciemności, żeby kolor nie wyblakł, stał jak nowy w pękniętym wazonie, godnym tylko zasuszonych kwiatów... Szurik też dreptał w przejściu, a przy drzwiach stał sąsiad milicjant i robił mało zrozumiałe dla Szurika znaki, które zawierały propozycję wypicia, czy zapalenia... Podano talerz z zakąską, a była to obcą ręką przygotowana zakąska, nieładnie pokrojona, zbyt tłusta i kwaśna. Szurik wypił jeden kieliszek, potem jeszcze... A potem zaczęły do niego podchodzić jedna po drugiej kobiety, niektóre trochę znajome, ale większość widziana po raz pierwszy, ze łzami w oczach, już rozrzucone alkoholem i ogólną tkliwością, żeby z nim osobiście uczcić pamięć Walerii, i każda z nich dawała do zrozumienia, że wie o jego tajnym miejscu w życiu Walerii, a niektóre nawet przekraczały granice przyzwoitości w swoich kondolencjach. Szczególnie Sonia \* Czingis\*chan. Była mocno pijana i wyzywająca, a wypiwszy z Szurikiem kolejny kieliszek, szepnęła:

\* A mimo wszystko ty jesteś wszystkiemu winien. Jeśliby nie ty, to do tej pory fruwałyby Waleroczka...

Szurik uważnie popatrzył na Sońkę: zrosnięte nad nasadą nosa wschodnie brwi, mały zadarty nos... Co ona wie o Walerii i o nim?

Nachyliła się do Szurika, pogłaskała go ręką po policzku, prześliznęła się rozmazany całusem po czole, pożałowała:

\* Biedny, biedny...

Wszystkie te różnej maści kobiety, mimo niespecjalnie widocznej obecności Szurika w domu, znały go, a on mógł się tylko domyślać, co właściwie o nim wiedziały... Chwytał na sobie ich spojrzenia, a gdy rozmawiały ze sobą, jemu zdawało się, że o nim. Czuł się bardziej niż nieswojo i postanowił powolutku przesunąć się do wyjścia. W pół drogi sąsiad pociągnął go za rękaw:

\* Wołam cię i wołam... Posłuchaj, jutro rano przyjdą opieczętować.

\* Co opieczętować? \* nie zrozumiał Szurik.

\* Co, co? Wszystko! Pokój państwo zabiera, jasne? Spadkobierców nie ma, wszystko opieczętują, rozumiesz? Z przyjaźni ci mówię: jeśli coś trzeba z gratów tam wziąć, bierz dzisiaj.

Roześmiał się \* wargi mu się nieco wywijały na zewnątrz, widać było różową śluzówkę i rzadkie zęby...

„Słowniki \* uświadomił sobie Szurik. Tutaj i moich słowników całe stopy, i wszystkie słowiańskie... I biblioteka...”

I właśnie przypomniał sobie, że kiedy szukali zaświadczenia na cmentarną działkę, znaleźli też testament, gdzie Waleria rozpisała na pięciu stronicach, co dla której przyjaciółki \* od srebrnych czajniczków do dzierganych skarpetek...

\* Ona testament zostawiła... na wszystko... Tam dla przyjaciółek wszystko rozpisane...



\* Głupi jesteś, słowo daję, całkiem głupi! Ten pokój ja osobiście dostanę, już mi obiecali przez milicję. Matkę u nas zamelduję i mi go dadzą, a graty jej w ogóle nikogo nie interesują. Ty co, nie kapujesz? Spiszają. Albo przez sąd... A jutro przyjdą opieczętować...

Szurik spojrział na półki z książkami. Biblioteka literatury obcej była wspaniała: dwie minuty drogi stąd, na ulicy Kaczałowa był chyba jedyny w Moskwie antykwariat zagranicznych książek i Waleria przez wiele lat, przechodząc obok, kupowała za grosze wspaniałe książki z przyrodoznawstwa, geografii, medycyny, z bezcennymi rycinami.

Szurik pozostał, żeby po odejściu gości zabrać słowniki.

Do dziesiątej wieczorem wszyscy się rozeszli \* została tylko pomoc domowa Nadia i śpiąca na kanapce pijana Sonia. Póki Nadia myła i wycierała porcelanę i kryształę, Szurik zdjął z półki swoje słowniki. Zdecydował, że i słowiańskie zabierze \* komu one potrzebne? Tym bardziej że w większości były polsko\*niemieckie, mocno przestarzałe, należące do ojca Walerii. Wziął jeszcze historię naturalną z kolorowymi rycinami z osiemnastego wieku. Dziwaczne kaszaloty i lemury, mrówkojady i pytony narysowane były przez artystę, który wątpliwe, czy widział te osobliwe zwierzęta. Jak gdyby to były jednorożce albo cherubiny... Żal było zostawiać te drogocenne książki...

Teraz, kiedy Walerii już nie będzie w tym pokoju, Szurik nagle odczuł, jak dużo tu rzeczy w stylu specyficznego mieszczańskiego bezguścia: róże, amorki, kotki, fałszywa tanagryjska miniatura. To był styl nieboszczki Beaty i w jakiś sposób pasował też do Walerii, ale teraz, pod jej nieobecność, ten przeładowany meblami i mnóstwem niepotrzebnych i pozbawionych sensu rzeczy pokój wydał się Szurikowi bardzo nieprzyjemny. Chciało mu się jak najszybciej wyjść na powietrze z tego paskudztwa i kurzu... Tylko było żal, że książki przepadną.

A mimo wszystko dobrze, że nigdy nie będę musiał tu powracać, pomyślał Szurik, i zawstydził się: jak mógł coś takiego pomyśleć... Biedna Waleria... Miła Waleria... Mężna Waleria...

Jestem winien, winien" \* martwił się Szurik. \* I wtedy, na dzień przed pójściem do szpitala, ona przecież chciała, żebym został, a ja nie mogłem... mama przyjmowała swoje przyjaciółki i prosiła, żebym kupił coś na stół i wrócił wcześniej. I nie położyłem się pod odwinietą koldrę, było jej przykro, choć nic nie powiedziała... Ale przecież wiedziałem, że jest jej przykro... Czasu nie miałem... I cień winy wisiał nad nim. Winien, winien...

Nadia poszła z wyładowaną wazonami i figurkami torbą. Dobry stosunek Walerii do niej materializował się w porcelanie.

\* Przecież tyle lat przy niej chodziłam \* ledwie oderwawszy torbę od podłogi, wlokła do drzwi kopenhaskie figurki i ich rosyjskie imitacje, wazy i wazoniki Galie, ścienne talerze w technice „biskwit" i młodego pioniera z niemieckim owczarkiem... Za dwadzieścia lat resztki tego dobra spuści jej uzależniony od heroiny wnuk i umrze po ostatniej sprzedaży...

Teraz Szurikowi zostało rozruszać śpiącą Sonię, wyprowadzić ją z pokoju i zamknąć drzwi \* kto jeszcze miał klucze, on nie wiedział.

Sonia leżała na boku, zakrywając rękoma twarz i postękiwała przez sen. Szurik zawołał ją, nie reagowała. Z piętnaście minut nią potrząsał, próbował podnieść, postawić na nogi, ale stać nie mogła, wisiała na Szuriku, klęła, nie przerywając snu, a nawet trochę broniła się. Szurik był zmęczony i od dawna chciał być w domu. Zadzwoił do Wiery, powiedział, że znalazł się w trudnym położeniu, bo pijana kobieta śpi, a on nie może jej zostawić... Chodził po pokoju, dostrzegał, że wszystko nie tak i nie tam stoi, nie takjak było, przestawiał stół, szafkę, potem rzucał to bezsensowne zajęcie: już nie było tego człowieka, dla którego coś było „nie tak"... W dodatku jutro pokój opieczętują i będzie stał miesiąc albo ileś tam czasu, i ten testament, o którym wszystkie przyjaciółki wiedzą, co w nim napisane, jaka filiżanka dla kogo... Jak one będą mogły otrzymać to wszystko? Trzeba było dzisiaj, ale niemożliwe było natychmiast po pogrzebie rozdrapywanie majątku...

I źle się stało, że pozwolił wziąć Nadi wszystko, co zechciała. Z pewnością jakieś wazoniki, zabrane przez Nadię, były przeznaczone dla kogoś innego.

Potem Sonia, której nie mógł się dobudzić, nagle sama zerwała się i krzyknęła:

\* Pomóżcie! Pomóżcie! Oni przyjdą nas pomalować! Coś jej się przywidziało w alkoholowym śnie,

ale Szurik

ucieszył się, że stanęła na nogi, przyniósł jej płaszcz i powiedział:

\* Idziemy prędko! Bo rzeczywiście pomalują! Narzucił na nią płaszcz, podprowadził do windy i wrócił

po dwie torby pełne książek. Teraz trzeba było złapać taksówkę i odwieźć Sonię do domu.

\* Gdzie mieszkasz? \* spytał Szurik.

\* A po co chcesz wiedzieć? \* podejrzliwie nastroszyła się Sonia. Nie panowała nad swoją twarzą, jej wyraz twarzy był płynny, zmieniający się bezwładnie i niedorzecznie, jak u noworodka: jednocześnie usta jej się rozciągały i jechały w bok, oczy okrągłały, czoło marszczyło się.

\* Do domu cię odwiozę \* wyjaśnił Szurik.

\* No dobrze \* zgodziła się. \* Tylko nie mów im. Roześmiała się, zakrywając dłonią usta, i stając na palcach, szepnęła:

\* Ulica Zacepa, dom jedenasty, korpus trzeci...

Dwie torby i pijana, ledwie stojąca na nogach kobieta były skomplikowanym ciężarem, tym bardziej że Sonia ciągle usiłowała dokąś iść, ale i dwóch kroków przejść nie była w stanie, upadała na torby, on ją podnosił. Szurik postanowił, że będzie stał tu, przy Nikitskich Worotach, póki taksówka sama nie podjedzie. Po dziesięciu minutach samochód zatrzymał się, a przez następnych dwadzieścia błądzili po zacepskich podwórkach w poszukiwaniu trzeciego korpusu w jedenastym domu. Przez ten czas Sonia znowu zasnęła, a rozbudzić jej nie było można. Po piętnastu minutach i wykonaniu kilku krzywych kółek między zabudowaniami i pustkowiami, szofer wysadził Szurika i Sonię obok domu numer jednaście i odjechał. Była północ. Szurik podprowadził Sonię do podwórkowej ławki, ona natychmiast uwalila się na bok i nawet wciągnęła na ławkę jedną nogę. Szurik postawił przy niej torby i poszedł szukać przekłętego trzeciego korpusu. Naprzeciw wyszedł mu anioł zbawiciel, staruszek z dużym wyłysiałym psem.

\* Tak, tak, tu był trzeci korpus, barak stał od przedwojnia, zburzyli go osiem lat temu. Akurat stał tu, gdzie teraz ten skwerek...

Obraz stawał się jaśniejszy, ale lżej od tego nie było.

\* Sonia, Sonia \* tarosił śpiącą Szurik \* z Zacepy dokąd się przeprowadziliście? Zapomniałaś?

Dokąd z Zacepy przenieśliście się?

Odpowiedziała równym cichym głosem, nie budząc się:

\* Do Bielajewa, przecież wiesz.

Szurik ułożył Sonię równiutko, żeby obie nogi leżały razem, siadł na ławce, poprawił zsunięty pantofel. Rękę trzymała pod policzkiem, jak niemowlę i była milutka, jak dziecko...

Były dwa warianty: albo odwieźć Sonię z powrotem do Walerii, albo do siebie do domu. Ale zostawić jej samej w pokoju Walerii mimo wszystko nie potrafi, i w dodatku rano mogą przyjść opieczętować pokój, jak obiecał „dobry” milicjant. Tak więc wypadało wieźć do domu.

Przeklął wszystko na świecie, kiedy taszczył z podwórka na ulicę najbardziej niewygodny ładunek

\* dwie torby, przy czym w jednej urwało się ucho, i Sonię, która od toreb niewiele się różniła.

Kiedy taksówka o trzeciej w nocy zatrzymała się przy domu Szurika, poczuł się prawie szczęśliwy.

Ostatkiem sił wpełchnął Sonię do przedpokoju i na chwilę oparł ją o ścianę. Na to wyszła Wierusia i powiedziała:

\* O Boże!

Sonia zsunęła się w dół i miękko położyła się przy drzwiach.

\* Przecież ona jest zupełnie pijana! \* wykrzyknęła Wiera.

\* Przepraszam, Wierusia! Przecież nie mogłem jej na ulicy porzucić?

Potem Sonia rzygała, odmakała w wannie, płakała, zasypiała i zrywała się, poili ją herbatą, kawą i Waleriana. W końcu sama poprosiła o trochę wódki i Szurik dał jej kieliszek. Wypiła i zasnęła.

Wiera litowała się nad Szurikiem, który znalazł się w idiotycznej sytuacji, proponowała wezwać lekarza, ale Szurik nie mógł się zdecydować: a jeśli odwiozą ją prosto do wytrzeźwiająki?

Potem Sonia obudziła się, znowu płakała z powodu Walerii, znowu poprosiła dać trochę wódki...

Potem obejmowała Szurika za szyję, całowała go po rękach, prosiła, żeby poleżał przy niej...

Ciągnęła się ta cała kołomyja prawie dwie doby i dopiero trzeciego dnia udało się Szurikowi

odwieść nie w pełni otrzeźwioną, ale zmęczoną pićm Sonię do Bielajewa, do rodziny... Starsza piękna kobieta w jedwabnej sukience przyjęła ją bardzo chłodno. Z głębi dużego mieszkania wyszedł ponury młody mężczyzna z rodzinnymi zrośniętymi brwiami, prawdopodobnie brat, i po grubiańsku powłókł Sonię. Ona coś tam popiskiwała. Kobieta skinęła Szurikowi sucho i podziękowała bardzo osobliwie:

\* No, czego pan stoi? Już pan dostał swoje i niech pan tu nie stoi.

Szurik wyszedł, ściągnął winę, a kiedy czekał, usłyszał zza drzwi wizg, dźwięk padających przedmiotów i podniesiony głos kobiety:

\* Nie śmieję jej bić! Nie waz się jej bić!

„Koszmar jakiś! Czyżby on ją tłukł?” \* przemknęło Szurikowi i nacisnął dzwonek. Drzwi szybko otworzyły się, facet ze zrośniętymi brwiami ruszył na Szurika z pięściami:

\* Czego się płaczesz? Napoili, wyje..li, no, czego jeszcze trzeba? Zjeżdżaj stąd!

I Szurik pognął w dół po schodach \* nie dlatego, że się przestraszył, a dlatego, że czuł swoją winę...

Wyskoczył z klatki i pobiegł na przystanek autobusu \* akurat nadjeżdżał zza zakrętu. Wskoczył do pustego autobusu już w biegu, klapnął na siedzenie \* było mu niedobrze...

„Na szczęście to wszystko nie będzie mieć żadnego dalszego ciągu” \* uspokajał sam siebie.

Ale tu właśnie się pomylił. Po dwóch miesiącach, po wyjściu z lecznicy, gdzie umieścił ją brat, Sonia zadzwoniła. Dziękowała mu za wszystko, co dla niej zrobił, płakała, wspominała Walerię, prosiła o spotkanie. Doskonale wiedział, że nie należy tego robić, ale Sonia nalegała... Spotkali się. Sonia, nie wiadomo czemu, była przekonana, że Waleria zostawiła jej Szurika w spadku. Prócz zrośniętych brwi i alkoholizmu, z którym walczyła ze zmiennym powodzeniem, miała małe czepliwe rączki, namiętą naturę i malutkiego syna z pierwszego małżeństwa. I Szurik był jej bardzo potrzebny. Do utrzymania się przy życiu, jak uważała.

58.

Niedługo przed trzydziestką Szurik dokonał niezbyt przyjemnego odkrycia: pewnego ranka golił się w łazience, zerkając w lustro, bo chciał upewnić się, że brzytwa goli równo i nie pomija żadnego włoska. I nagle spostrzegł, że przygląda mu się z lustra nieznamy mężczyzna, niemłody, dość mordziasty, z zaznaczającym się drugim podbródkiem i workami pod oczami. Był moment jakiegoś absolutnego niepoznanania samego siebie, obcości w dobrze znanym wizerunku i nedorzeczne uczucie, że tamten w lustrze to samodzielna istota, a on, golący się Szurik \* jego odbicie. Otrząsnął się z tej diabelskiej sztuczki, ale nie mógł wrócić do poprzedniego siebie.

To odkrycie swojego nowego oblicza przeżywał prawie po kobiecemu. Trzydzieści lat \* i co?

Rutynowa praca, cały czas to samo, naukowo\*techniczne tłumaczenia, troska o mamę i jeszcze cała kupa obowiązków, nie żeby on sam je brał na siebie, to one były na niego nałożone: Matylda...

Świetlana... Waleria... Maria... Sońka... Zresztą Maria wyjechała, Waleria umarła... Jednak, mówiąc szczerze, brakuje ich. Ale była jeszcze smutna pewność, że pojawią się jeszcze jacyś ludzie, którzy będą od niego zależeć i nigdy nie będzie miał swojego własnego życia, takiego jak Gija, jak Żeńka.

A właściwie, co to jest „własne życie”? Czegoś pragnąć, coś osiągać... On sam absolutnie niczego nie osiągnął. A chciał czegoś? \* Nie, nawet nie chciałem! \* odpowiedział sam sobie Szurik na surowe pytanie.

Żeńka Rozencweję chciał \* obronił dysertację, ożenił się, rozwiódł, jeszcze raz się ożenił. Dwoje dzieci... Zresztą, też nic dobrego: nieszczęsna Ałłoczka, od szóstej rano mleczna kuchnia, codzienna robota \* coś malowanego lakierem, akrylowego \* od ósmej do piątej, cały tydzień pod komendą Inny Wasiljewny, a w niedzielę na spotkanie do Katieńki, pod paląco\*cierpiętniczymi spojrzeniami porzuconej Ałły. Nie, nic dobrego.

Ot, Gija zuch! Został trenerem znanym prawie na całym świecie, jeździ po całym Związku na zawody młodzieżowe, nawet na Węgrzech był. Piękne dziewczyny kręcą się stadami wokół niego.

Wesoło żyje Gija. Ale też się roztył, i pije dużo, chociaż jest trenerem... Ale ma nazbyt niespokojne życie... Potem Szurik uświadomił sobie, że dawno już nie widział Gii, z Żenią nie widział się chyba z rok, a nowych przyjaciół, poza tymi dwoma, nie zdobył. Za to było mnóstwo przyjaciółek \* we

wszystkich redakcjach.

Urodziny, trzydziestolecie, mama pyta, jak będziemy obchodzić... Zaprosić do domu Żenię i Giję, przywlecze się Świetlana \* strach pomyśleć. A może jeszcze i Sońka przyjedzie \* Świetlana Sońce oczy wydrapie i przez okno wyskoczy, a Sońka napije się i znowu pójdzie w tango... Tak jak wtedy, po pogrzebie Walerii...

Dobrze by było zaprosić na urodziny tylko mężczyzn. I nie do domu, gdziekolwiek do restauracji. W rodzaju „Aragwi"... Sońka o urodzinach nawet nie pamięta. Ale jak od Swietoczki się wykręcić? Swietoczka była zarazą życia. Ukryć przed nią niczego nie można. Przenikała przez wszystkie pory, wszystko wyjaśniała, śledziła każdy krok... i ciągle groziła samobójstwem. W ciągu lat ich znajomości miała trzy próby samobójcze, jeśli nie liczyć drobnych, raczej afektowanych ruchów w stronę parapetu, żeby Szurik trzymał się w formie i nie tracił czujności.

„Powie, że będę w męskim towarzystwie" \* postanowił Szurik i zaraz wyobraził sobie, jak wychodzi z restauracji i widzi przechadzającą się po chodniku wystrojoną Swietoczkę. Ona nie podejździe, tylko uważnie popatrzy na niego i jego przyjaciół i z odwróconą głową przejdzie obok... W tym czasie Wiera tworzyła dla Szurika taki prezent, żeby był pamiętny i elegancki. W antykwariacie znalazła wspaniałe album ze skóry z metalowym zamkiem. Był z ciemnogrnatowej skóry ten albumik... Ale czegoś brakowało. Pomyślawszy, Wiera zamówiła dla siebie u krawcowej z teatralnej szwalni ciemnogrnatową sukienkę. Bardzo prostą sukienkę, nic specjalnego, ale \* mankiety rękawów i kołnierz \* wykończone zostały cienką lamówką z ciemnogrnatowej skóry! Dokładnie w kolorze albumu. Cały pomysł polegał na nieskazitelności wykonania. O albumie Wiera Szurikowi, oczywiście, nic nie mówiła \* wybierała i wklejała fotografie Szurika od urodzenia do chwili obecnej wyłącznie pod jego nieobecność, ale z suknią dostało mu się: trzykrotnie woził Wierę do pracowni i dwukrotnie do Teatru na Tagance, gdzie dostawca obiecał kawałek granatowej skóry...

Po takich przygotowaniach było oczywiste, że najpierw urodziny przyjdzie obejść w domu \* dla mamy: poprosić Irinę Władimirownę o przygotowanie wszystkiego, zaprosić dwie przyjaciółki mamy, zwykle przybywające na jej urodziny, starszą ormiańską parę, która kupiła mieszkanie po nieboszczyku Marmoladzie i zastąpiła starą przyjaźń nową, i naturalnie, przywloką się dwie byłe dziewczyny, które ciągle jeszcze kręcą się koło Wiery. I Swietoczkę można by było tutaj dołączyć do pełnego obrazu... A Sońka nie przyjdzie, zapomni. A następnego dnia z chłopakami do restauracji...

Według ustalonego w ostatnich latach porządku Irina Władimirowna spędzała w Moskwie wrzesień, organizowała moskiewskie życie i odjeżdżała do domu, kiedy robiło się zimno \* u niej w domu było ogrzewanie wodne i ona, przeżywszy mnóstwo wyrzeczeń i doświadczeń, bardziej niż Sądu Ostatecznego bała się o swoje rury...

Tydzień przed jubileuszem Szurika Irina spędziła w szczęśliwym odurzeniu: jej naturalna szczodrość, przytłumiona uciążliwym niedostatkiem, rozkwitła w pełni. Szurik zarządzał w domu pieniędzmi i wydawał je Irinie na zakupy w miarę potrzeb, bez ograniczenia. I teraz potrzeby człowieka, który całe życie ledwie wiązał koniec z końcem, wzrosły tysiąckrotnie: wychodziła wcześniej rano i przychodziła, kiedy zamykano sklepy, wlokąc nabite torby. Czasy nie były obfite, produkty „rzucano" do sklepów, ustawiały się olbrzymie kolejki, ale przy pewnych myśliwskich nawykach można się było dobrze zaopatrzyć w towar. Po śmierci Walerii spożywcze zamówienia się skończyły. Ale, prawdopodobnie Irina też posiadała myśliwskie zdolności... Wiera, patrząc na te spożywcze bachanalie, delikatnie pytała, po co tak dużo.

\* Trzydzieści lat \* to jest data! \* dumnie podnosiła głowę Irina i nikt jej nie przeczył. Szurik wymieniał się spojrzeniami z matką \* oboje rozumieli, że Irina Władimirowna teraz ma swoje własne święto i znaczącą rolę.

Formalna domowa uroczystość, skromna i cicha, mogła przeistoczyć się we wspaniałą ucztę... Irina szykowała się na swoją godzinę gwiazdy. Wiera nie czuła się dobrze, miała podwyższone ciśnienie, w przeddzień uroczystości położyła się w swoim pokoju i przymknęła drzwi. W dużym pokoju Szurik zestawił stoły, Irina wyjęła zastawy, których nie używano od śmierci Jelizawiety Iwanowny: stopy talerzy różnych wielkości, salaterki, miseczki, pojemnik na chrzan i ogromny półmisek,

przeznaczony prawdopodobnie na prosię...

„Trzebają było wyprawić do Małojarosławca” \* zbyt późno winił się Szurik za swój brak charakteru i zdolności w kierowaniu domowymi sprawami. Teraz już było za późno. Szurik przygotowywał się do próby.

Gości zebrano się nawet więcej niż przewidywano. W charakterze niespodzianki zjawily się Ała z Katią. Przypuszczalnie Ałoczka skrycie miała nadzieję na przypadkowe spotkanie z Żenią: nie porzucała nadziei na jego powrót. Zresztą, nie przeszkadzało jej to korzystać \* od czasu do czasu \* z różnorakiego wsparcia Szurika...

Tłuściutka niezdarna Katia, której wypadły górne zęby, mocno przypominała Wierze Marię. Wiera posadziła dziewczynkę obok siebie. Dziewczynka była miła, ale porównania z Marią nie wytrzymywała: ani promieniującej radości Marii, ani żywego wdzięku nie miała \* tylko pulchne ciało. Z drugiej strony Wiery siedział Szurik. Obok Szurika Świetłana w białej bluzce, z pokornie pazernym wyrazem twarzy.

Wiera już dawno, od odjazdu Leny i Marii, pielęgnowała myśl o ożenku Szurika. Nie miałyby nic przeciwko Świetłanie: dziewczyna, co prawda, oryginalna, ale powściągliwa, dobrze wychowana, rękodzielniczka. I Szurika kocha.

Urodziłaby córeczkę... Marii, oczywiście, nikt nie zastąpi, ale byłaby obok miła istotka... Dziwne, że za każdym razem, kiedy Wiera zaczynała rozmowę o tym z Szurikiem, on obejmował ją, całował w czubek głowy i szeptał na ucho:

\* Wierusia! Nawet nie myśl! Ożeniłbym się tylko z tobą. A drugiej takiej nie ma!

Stół hipnotyzował. Potrawy błyszcząły jak polakierowane i wyglądały trochę jak rekwizyty. Na długim półmisku, z groźnie podniesioną głową, leżał nieduży jesiotr. Metalicznym orężnym blaskiem jaśniały przepiórki ze sklepu „Dary przyrody”. Pęczniały ogromne klomby sałatek, cztery niemrugające oczka z kawiozem \* dwa z czarnym, dwa z czerwonym \* zerkwały na gości. I tak dalej, i tak dalej... Usiedli w milczeniu i zamarli w bezruchu. Jedną tylko Irina Władimirowna epileptycznie poruszała się nad stołem, coś poprawiała, wykańczała. Wreszcie zamarła i ona. Wówczas, powodowany instynktem kaukaskiego górala zauważywszy przeciągającą się ciszę, wstał sąsiad Arik z kieliszkiem w ręku i wygłosił:

\* Więc napełnijmy puchary!

Mężczyzn przy stole było dwóch \* Arik i sam jubilat.

\* Szampana! Szampana! \* wykrzyknęła Irina Władimirowna, gdyż wydało się jej, że ktoś chwycił nie tę butelkę. Szampana rozlano do wysokich kieliszków. Ostrożnie wetknęli łyżki w okrągłe boki sałatek \* niszczyli doskonałość...

Arik stał, miękki jak pluszowy niedźwiadek i kwadratowy jak kamaz, z pełnym kieliszkiem w ręce, porośniętej gęstym włosem do samych palców.

\* Drodzy towarzysze! \* wygłosił głosem diakona. \* Podnieśmy nasze kieliszki za naszego drogiego Szurika, który osiągnął dziś swoje trzydziestolecie...

Szurik z matką popatrzyli na siebie, to była cała rozmowa bez słów: trzeba to przecierpieć... kto tu winien... odwieczna historia, zawsze u nas tak się zdarza... a jak dobrze by było spędzić ten wieczór we dwoje... wybac, mateczko, że jestem takim idiotą i uległem prowokacji Iriny Władimirowny... no, co ty, kochany, to ja jestem winna, ja sama powinnam to wszystko powstrzymać... nic nie da się zrobić, trzeba się przemęczyć... a kto zaprosił tego Arika... to wyszło przypadkowo... Wybac, proszę...

Arik gadał długo i bez sensu, zaczynając od Szurika a na budowie świetlanej przyszłości kończąc... To było jakieś przeklęte przez Boga mieszkanie: najpierw w nim mieszkał żydowski bolszewik, społecznik Marmolada, teraz zamieszkał ormiański...

Wreszcie stuknęli się, usiedli i zaczęli żuć.

Wszyscy starali się: Katia \* zachowywać się dobrze, nie upuszczać kawałków i nie hałasować widelcem, Szurik, żeby wszystkim było wygodnie i talerze były pełne, Świetłana \* zajmować swoje miejsce przy Szuriku tak ostentacyjnie, żeby bliskość ich stosunku widoczna była dla wszystkich. Biała bluzka też nieprzypadkowo została włożona: biel odświeża, oczywiście, ale i oświetla, daje do zrozumienia... Wiera położyła serwetkę na kolana i starała się nie poplamić jedzeniem nowej

sukienki. Zresztą, prawie nie jadła...

\* Nałożyć ci czegoś? \* cicho spytał Szurik, nachylając się do matki.

\* Broń Boże. Niedobrze mi na sam widokjedzenia \* delikatnie uśmiechnęła się Wierusia.

\* No, to już przesadzasz. W ogóle wszystko jest bardzo smaczne. Może trochę sałatki? \* Szurik sięgnął po salaterkę.

\* Za nic \* szepnęła Wiera i uśmiechnęła się najbardziej artystycznym ze swoich uśmiechów: broda w dół, oczy do góry...

Irina Władimirowna czuła się niezmiernie szczęśliwa: pierwszy raz w życiu zdołała zrealizować się w pełni. Zrobiła wszystko, co umiała i wszystko, o czym marzyła w głodne i na pół głodne lata: geś faszerowana kapustą, jak robiła jej babcia, i ciasto, i cielęcinę. I wszystko udało się na chwałę... W dodatku dzisiaj zamierzała zjeść kanapkę z czarnym kawiozem, którego w dzieciństwie nie zdążyła spróbować z powodu małości, a w późniejszych czasach tego czarodziejskiego produktu na oczy nie widziała...

Goście nie czuli się szczęśliwi, przeciwnie, z różnych powodów odczuwali niezadowolenie \* w szczególności dwie długoletnie przyjaciółki Wiery Aleksandrowny, Kara i Niła. Pokłóciły się niedawno i każda z nich była pewna, że nie spotka na uroczystości tej drugiej. Ale mało tego, że Wiera, wiedząc o kłótni, zaprosiła obie, to jeszcze była na tyle nietaktowna, żeby posadzić je przy stole razem, więc teraz siedziały, patrząc w różne strony, pozbawione i daru mowy, i apetytu.

Arik i Zina, ormiańscy sąsiedzi, też się świeżo pokłócili, tuż przed wyjściem: Zina nałożyła swój najlepszy strój, Arik krytycznie obejrzał żonę, powiedział, że jej miejsce w takim stroju jest na erewańskim bazarze. Zina się rozplakała, zdjęła suknię i odmówiła pójścia. Arik musiał ją długo namawiać i pocieszać, i wiedział, że jeszcze długo, długo przyjdzie mu się rozliczać za nieostrożną uwagę. Ałoczką była rozczarowana nieobecnością Żeni. Z trzech obecnych „kółkowych” dziewcząt jedna była zakochana w Szuriku od piątej klasy, a teraz już studiowała w instytucie. Siedziała naprzeciw Szurika i na świeżo przeżywała nieodwzajemnioną miłość. Druga, piętnastoletnia, zupełnie nie była w Szuriku zakochana, przeciwnie, zakochana była w Wierze Aleksandrownie i zazdrosna była o nią wobec całego świata. Trzecia, wcześniejsza uczennica Wiery Aleksandrowny, martwiła się brakiem okresowej kobiecej przypadłości i strasznymi możliwymi konsekwencjami... Mdlilo ją i nie miała ochoty najedzenie.

Irina Władimirowna, dopóki znajdowała się w stanie podniecenia podczas przygotowań, czuła się uskrzydłona, ale kiedy zauważyła jawną dysproporcję między ilością naszykowanych potraw i możliwościami gości, poszła popłakać do kuchni. Od tej chwili Szurik i Wiera na przemian odwiedzali ją, próbując zatrzymać atak niepowstrzymanego płaczu.

Arik tymczasem coraz bardziej wpadał w ferwor, wznosił kieliszki do nieba, wygłaszał toasty: wypili za mamę, za nieboszczyka ojca, za babcię i wszystkich przodków i jeszcze raz za świetlaną przyszłość. Przyjaciółki Wiery dusiły się ze śmiechu i na tej podstawie pogodziły się.

Potem zakąski zostały zastąpione gorącymi daniami. Tu musiała wejść do akcji Świetlana, ponieważ Irina Władimirowna rozstroiła się i zebrała siły dopiero przy deserze, kiedy osowiali goście mogli tylko słabo ruszać rękami i językami, dokładnie jak w niemym filmie, pokazywanym w zwolnionym tempie. Goście zjedli ciasto, wypili herbatę i zaczęli powolutku rozpełzać się, podtrzymując żołądki. W tym momencie Świetlana dostrzegła niedobór: zniknął Szurik. On wyszedł odprowadzić Ałłę z Katią, ale szepnął o tym tylko matce. Świetoczek nie powiadomił, po części dlatego, że zamierzał wsadzić je do taksówki i zaraz wracać, częściowo z powodu pełnego rozluźnienia i utraty czujności: przez lata obcowania ze Świetoczką doskonale wiedział, jak niebezpiecznie jest dawać jej powód do przeżywania...

Katia zasypiała i Szurik niósł ją na rękach. Kiedy udało się zatrzymać taksówkę, dziewczynka mocno spała, ale kiedy Szurik usiłował przełożyć ją na ręce matki, chwyciła go za szyję i zapłakała:

\* Ty nas nie rzucisz? Mamo, on nas też rzuci... Nie odchodź, Szurik...

Szurik wszedł do taksówki. Katia, wtulona w jego ramię, momentalnie zasnęła.

\* Rozumiesz, jaki to uraz dla dziecka? \* szepnęła Ałoczką i położyła rękę na drugie ramię Szurika.

Szurik to rozumiał. Rozumiał też, że to niejeden uraz, a dwa. Spojrzał na zegarek \* dopiero kwadrans po dziesiątej, to bez problemu zdąży wrócić do gości. Najważniejsze \* od razu zadzwonić

do mamy.

Kiedy tylko weszli do byłego małżeńskiego gniazda Żeni Rozenwejga i przekazał Katię na ręce Ałłoczce, zaraz chwycił słuchawkę:

\* Mateczko, musiałem Ałłę z Katią do domu odwieźć. Niedługo będę.

Wiera wyraziła niezadowolenie. Powiedziała szeptem, żeby przyjeżdżał jak najszybciej, dlatego, że Irina dostała hysterii: została taka ilość jedzenia, że nie zmieści się w lodówce i teraz robi rachunek, ile to kosztowało i ile wszystkiego zostało i zamierza wypłacać różnicę na raty...

\* Błagam, przyjeżdżaj szybko, ja tego nie wytrzymam! \* szept brzmiał dramatycznie.

Weszła Ałłoczka z rozpuszczonymi włosami i w czymś różowym i przezroczystym. Katia była rozebrana i spała. Ałła demonstrowała gotowość do bycia pocieszoną. Podeszła do Szurika, położyła mu ręce na ramiona i popatrzyła prosząco:

\* Jak myślisz, on mnie zupełnie nie kocha?

Szurik pogładził kędzierzawe włosy. Ten gest nie miał dla niego żadnego znaczenia, ale mimo wszystko powodował lekkie rozdrażnienie: ona musiała koniecznie otworzyć duszę. On spieszył się do domu. Wstał. Ałłoczka rozplakała się. Odwrócił się do niej:

\* U mnie w domu są goście.

\* Dlaczego ja jestem taka nieszczęsna... \* pociągnęła nosem.

Zdjął pętelkę, rozpiął guzik. Swoje dzieło wykonywał w milczeniu, Ałłoczka nie przestawała szemrać:

\* No dlaczego? Dlaczego tak? Ty jako mężczyzna jesteś sto razy lepszy od niego, i Kat'ka cię lubi...

Dlaczego mi potrzebny tylko Żeńka? Dlaczego?

Te pytania odpowiedzi nie wymagały. Biedna głuptaska, wszystkim wam potrzeba tylko jednego...

Goście rozeszli się, nie zjadłszy nawet połowy przygotowanego jedzenia. Świetlana założyła fartuch i z pokorną godnością zmywała naczynia. Irina Władimirowna płakała w pokoju Wiery, a ta smętnie ją pocieszała, czekając, kiedy wreszcie przyjedzie Szurik i weźmie kłopoty na siebie.

\* Irina, nie rozumiem, czemu się tak rozstroiłaś. Stół był piękny...

\* A straty? Wiesz, ile to kosztowało? Koszmar! Tu policzyłam \* Irina szperała trzęsącymi się rękoma po kieszeniach fartucha. \* Masz!

Pchała Wierze karteczkę, na której czernił się szereg krzywych cyfr.

\* To cztery moje emerytury! A ile wszystkiego zostało! Ja całkowicie się przeliczyłam! Nigdy nie umiałam liczyć! I zostało ponad połowę!...

\* To bardzo dobrze! Cały tydzień będziemy jeść!

\* Ja zrekompensuję straty! \* zawodziła Irina Władimirowna. \* Będę spłacać...

\* Irina, uspokój się, proszę cię... Jakie to ma znaczenie? Szurik ma trzydziestolecie i w żadnej restauracji nie nakarmiliby tak, jak to ty zrobiłaś.

Dzwonek do drzwi przerwał burzliwą scenę. Irina Władimirowna, wycierając krajem fartucha twarz, poszła otworzyć. W drzwiach stała młoda kobieta z dużym bukietem kwiatów. To była Sonia, która skądś zdobyła adres Szurika.

\* Dzień dobry, ja do Szurika.

\* Wieroczka! Do Szurika! \* krzyknęła Irina Władimirowna, podniesiona na duchu przybyciem nowego gościa, zdolnego zjeść choć część pozostałego jedzenia. \* Proszę wejść! Niech pani wejdzie! On zaraz przyjdzie!

I poszła do kuchni, żeby na nowo przygotować poczęstunek.

\* Świetlaczka! Jeszcze spóźniony gość, niech pani da talerz! Proszę, ciasto, pasztet, sałatki... Tyle wszystkiego zostało!

Świetlana spojrzała na wchodzącą i cały obraz życia w straszny sposób wyjaśnił się: była, była u Szurika kobieta, którą pominęła, i właśnie taka, której zawsze się obawiała \* rumiana, z czarnymi brwiami, piersiasta, wulgarna aż mdli...

Irina Władimirowna pobiegła po Wierę, powiedzieć o przyjściu nowego gościa. Świetlana patrzyła na nią szklanymi oczyma, wchłaniając wszystkie te ordynarne kolory twarzy \* białe, różowe, czarne. I obrzydliwa liliowa sukienka...

„Patrzy, jakby fotografowała. Wesz parszywa" \* pomyślała Sonia i uśmiechnęła się beczelnie i

ironicznie.

Świetlana powoli zdjęła fartuch, wytarła cienkie ręce kuchennym ręcznikiem i wyszła z mieszkania, nie żegnając się. Koniec. To był koniec wszystkiego. Trzeba się było o tym ostatecznie przekonać. Żeby nie było żadnych wątpliwości...

Szurik przyjechał o wpół do pierwszej. Sonia do tego czasu też poszła. Spędziła w pokoju Szurika piętnaście minut. Trochę podziobała sałatki, odmówiła wina. Mało tego, że nie zastała Szurika w domu, to okazało się, że jego matka ją знаła. I wtedy Sonia domyśliła się, kiedy i w jakich okolicznościach tamta ją widziała: po pogrzebie Walerii, kiedy była w alkoholowym transie. Oczywiście, że Sonia nie zapamiętała wtedy ani mieszkania, ani samej Wiery Aleksandrowny. Ale sucha siwiutka staruszka w ciemnogramatowej sukni od razu nazwała ją Sonią... Tak, niepotrzebnie przyjechała. Improwizacja całkowicie się nie udała.

Szurik po powrocie jeszcze trochę pocieszał Irinę Władimirownę, po czym dali jej tabletkę na uspokojenie i położyli spać.

A matka z synem posiedzieli trochę w kuchni: byli zadowoleni z siebie, było im dobrze, gdyż w pełni rozumieli się wzajemnie. Najpierw Wiera miała trochę pretensji, że porzucił gości, opowiedziała o przyjeździe Soni, a potem, wsuwając palce w rzędniejące pukle Szurika, westchnęła:

\* Kochany mój chłopak! Pomyśleć tylko, trzydzieści lat. A przecież ja już prawie nie pamiętam tych czasów, kiedy ciebie na świecie nie było. Już od dawna myślę, że pora, żebyś się ożenił. Mogłabym być bardzo dobrą babcią, nieprawdaż? \* nieco kokietowała Szurika. \* Naturalnie, ja już niedługo będę miała ósmy krzyżyk, ale... Chciałoby się popatrzeć na wnuczkę. Albo wnuka... Świetlana człowiek pewny, godny... Czy to mało dziewcząt dookoła?

Szurik wzdrygnął się: oczywiście, Wierusia niczego nie pojmowała z życia. Babcia Jelizawieta Iwanowna dawno by się domyśliła, z jakim bezmyślnym stworzeniem zmuszony był tyle lat się wozić. A Wierusia \* święta, niczego wokół siebie nie widzi, prócz sztuki, teatru, muzyki... Nappełniło go zwykle uczucie wzruszenia i miłości do mamy, pocałował ją w rękę, pogłaskał po skroni.

\* No, idź, kładź się. I ja się położę... \* pocałowała go na dobranoc.

Szurik poszedł do siebie do pokoju i siadł przy maszynie. Do jutra musiał skończyć jeszcze tłumaczenie trzech referatów.

Dzwonek telefonu oderwał go od artykułu.

„Świetlana, oczywiście, sprawdza” \* pomyślał z przyzwyczajenia, bez żadnego rozdrażnienia. Ale inny głos, dźwięczny, wyraźny krzyczał poprzez szmery i obce tłumione głosy.

\* Szurik! Cześć!

Natychmiast rozpoznał ten głos. Uszy rozpoznały, zanim głowa i serce rozpoznało. Krzyknął z radości:

\* Lilka! Ty? Pamiętasz? Ty mnie pamiętasz?

Roześmiała się \* i śmiech był ten sam: jedyny, spazmatyczny jak płacz, z przerywanym chlipaniem, zamierający na koniec z braku powietrza.

\* Czy pamiętam? Szurik, ja wszystko zapomniałam do ostatniej niteczki, prócz ciebie. Słowo ci daję, niczego i nikogo nie pamiętam, a ty jak żywy!

\* Boja naprawdę jestem żywy! \* i usłyszał nowy wybuch śmiechu.

\* Przecież słyszę, że żywy, po prostu głupstwo powiedziałam. Wiesz, czemu do ciebie dzwonię?

\* Z życzeniami urodzinowymi?

\* No coś ty! Nawet nie wiedziałam! Wszystkiego dobrego! Trzydzieści? A co ja pytam, oczywiście, trzydzieści! Jutro będę w Moskwie! Wyobrażasz sobie?

\* Żartujesz! Jutro?

\* Aha. Dobę. Z Paryża do Tokio lecę \* przez Moskwę! Nie dzwoniłam do ciebie wcześniej, myślałam, że nie dadzą wizy i trzeba będzie w tranzytowym hotelu siedzieć, a wizę dali! Tak że przyjdź mnie powitać jutro.

\* Jutro czy dzisiaj? \* pospiesznie zapytał Szurik. \* Jutro, jutro...

Podyktowała numer rejsu, czas, kazała powitać na lotnisku i odłożyła słuchawkę.



Obrażona Swietłana wyszła z klatki domu Szurika z zamiarem natychmiastowego udania się do domu, wykapania się i łyknięcia czterdziestu przygotowanych tabletek. Ale się rozmyśliła: najpierw trzeba wyjaśnić, co to za baba z brwiami. Swietłana zajęła wygodną pozycję w klatce naprzeciw. Czekala niedługo. Sonia wyszła bardzo szybko, poszła do budki telefonicznej, zadzwoniła do kogoś, mówiła przez minutę, wyszła z budki i poszła w kierunku stacji. Do metra nie wsiadła, zagłębiła się w jakieś uliczki, dokąd niewidoczna Swietłana jej towarzyszyła: zaułek nazywał się Elektrieskij, dom jedenaście. Trzasnęły drzwi na pierwszym piętrze i Swietłana pojechała do domu, wiedząc, że przed odpowiedzialnymi czynami trzeba nieco odpocząć. Swietłana weszła do pokoju. Siadła przy stole i zapaliła po omacku małą lampkę. Pod blatem była skrytka, maleńka szufladka z pętelką. Kiedyś babcia chowała w niej talony na żywność i stare rachunki z całego życia. Teraz ona wyjęła stąd litewską książeczkę w pstrokatej skórzanym oprawie, ale wcale nie „pamiętniczek” \* żadne tam liryczne notatki, a wybitnie rzeczowy dziennik obserwacji: tylko daty, dokładny czas, wydarzenie, drobnym pismem wypełnione stronicze ze swoistym naiwnym szyfrem, w którym czerwonymi kółeczkami zaznaczone były ich miłosne spotkania (w ostatnim roku było ich cztery), niebieskimi kółeczkami \* służbowe spotkania Szurika, a podwójnymi czarnymi \* podejrzone. Wizyty u zmarłej Walerii \* pod wpływem objawienia \* zaznaczała podwójną niebiesko\*czarną obwódka. Prawie osiem lat Swietłana prowadziła ten dziennik, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby go przejrzeć, pomyśleć nad notatkami.

Notatnik ten mógłby wzbudzić ogromne zainteresowanie prowadzącego lekarza: okresy aktywnego śledzenia, kiedy poświęcała na to wirtuozowskie zajęcia po wiele godzin każdego dnia przechodziły we względną beczynność: w dzienniku zdarzały się luki, jakby Swietłana zapomniała o Szuriku na całe tygodnie. Zwykle takie przerwy następowały bezpośrednio po czerwonych kółeczkach. Ostatnie czerwone kółko zrobione było ponad dwa miesiące temu.

Teraz Świetłana wpatrywała się w stare notatki. Coś wykreślała, porównywała: okazało się, że w ciągu tych lat były cztery gejzery ich stosunków, kiedy Szurik regularnie przychodził do niej raz w tygodniu i to trwało raz trzy, raz cztery miesiące. I nagle jakby ją oparzyło: w notesie były zapisane tylko wydarzenia odnoszące się do Szurika, a czterech samobójczych prób, które były w ciągu tych lat, ona nie odnotowała. Ale jeśli je dopisać \* postawiła ołówkiem cztery grube krzyże \* to widać, że on regularnie przychodził do niej właśnie po tych nieudanych samobójstwach.

Boże! Jakże się nie domyśliła wcześniej! On jest gorszy, sto razy gorszy od podleca Gniezdowskiego czy zdrajcy Aślamazjana, dlatego że doskonale wie, iż jej zdrowie, a także życie zależy od niego! To dlaczego przychodził do niej tylko po tym, jak ona próbowała odebrać sobie życie? Jakież okrucieństwo! A może jest nienormalny i żeby ją kochać musi czuć, że jej życie jest w niebezpieczeństwie?

Nie, teraz przejrziała, te czarne ołówkowe krzyże wszystko jej wyjaśniły: nie pozwoli więcej, żeby on rozporządzał jej życiem. Odrzuciła książeczkę, wstała, podeszła do okna, odsunęła zasłonę i pokój zalało białe rtęciowe światło. Księżyc w pełni stał dokładnie naprzeciwko okna, jakby oczekując, kiedy odsunie się zasłona. Metalowe przedmioty, leżące na stole, niewidoczne w słabym świetle lampki, błysnęły: srebrna łyżeczka do zawijania płatków, drażek, zagięty nożyk i drugi, ulubiony, z trójkątnym ostro zakończonym ostrzem, do cięcia nakrochmalonej tkaniny.

„Oczywiście, to jest znak” \* powiedziała do siebie Swietłana i włożyła nóż do torebki. Upadł precyzyjnie na dno, jak w pochwę. A książeczka pozostała na stole.

Szurik nie wiedział o istnieniu książeczki, jednak miał jakiś wewnętrzny mechanizm, reagujący na barwę jej głosu, charakterystyczną mowę, która nagle stawała się powolna i jakby zawieszona w powietrzu... i wiedział, że pachniało kolejną próbą samobójczą. Ten mechanizm informował go, że pora odwiedzić Świetlane. Przeciągał, odkładał, a potem wzywała go do pomocy przy byle jakich domowych robotach, a w głosie jej dźwięczało błaganie, groźba, ostrzeżenie i wtedy on już pędził i bez sprzeciwu wypełniał nietrudny męski obowiązek. Ale tego

dnia był bardzo zajęty.

Rankiem następnego dnia Świetlana stała na swoim punkcie obserwacyjnym.

Szurik wyszedł z domu o wpół do pierwszej, poszedł na przystanek autobusu, ale nie doczekawszy się go, zatrzymał przejeżdżający samochód i wsiadł do niego.

„Bez teczek \* zauważyła Świetlana. Pewnie pojechał wziąć teksty. Kiedy oddaje, ma teczkę. To znaczy, że prędko wróci”.

Żadnego opracowanego w szczegółach planu nie miała. Tylko sam zdecydowany zamiar.

A Szurik jechał na Szeremietiewo. Przez półtorej godziny chodził po ogromnej hali, patrzył na wielką tablicę, gdzie pojawiały się i natychmiast znikwały nazwy miast, i trudno było uwierzyć, że istnieją naprawdę \* Kair, Londyn, Genewa. Wreszcie pojawił się Paryż. Był takim samym mirażem, jak wszystkie pozostałe, ale on wiedział, że kiedyś tam była babcia. Więc Paryż na pewno istniał. I oto teraz stamtąd miała pojawić się Lila. Właśnie z Paryża. Dlaczego z Paryża? Jakaś potajemna niteczka ukazała się, ale pociągając za nią Szurik nie chciał: był zbyt zdenerwowany i przepełniony nieokreślonymi nadziejami. Potem ogłoszono, że samolot z Paryża wylądował, a nieco później poinformowano, z której strony należy oczekiwać pasażerów i poszedł tam, gdzie przez szklane drzwi wychodzili francuscy turyści. Witali ich przewodnicy z Inturistu i w drzwiach było jakieś zamieszanie w tłumie, i głośne francuskie okrzyki, i bał się, że wśród tego wszystkiego nie znajdzie Lili. Albo nie pozna jej. I kiedy wytrzeszczał oczy i kręcił głową na prawo i lewo, ktoś pociągnął go za rękaw. Odwrócił się. Przed nim stała malutka obca kobieta, bardzo opalona, z długimi i gęstymi, prawie afrykańskimi, włosami. Uśmiechnęła się jak małpeczka i z tego uśmiechu, jak motyl z poczwarki, wyskoczyła Lilka, a obca kobieta w tym momencie przestała istnieć.

Lilka podskoczyła i zawisła na jego szyi, a była to najlżejsza damska waga, te same drobne kosteczki, maleńkie ręce. Dotyk przeniósł go momentalnie do tamtego czasu, prawie do tego samego dnia, kiedy właśnie tutaj, na Szeremietiewie, zegnali się na wieki, absolutnie na zawsze.

\* Boże mój! W życiu bym nie poznała!

\* A ja bym spośród miliona poznał \* wymamrotał Szurik.

I zaczęli wypowiadać słowa, które nie miały nic wspólnego z tym, co się działo, ale wypełniały powietrze wokół nich, zmieniały jego skład i tworzyły głosowy obłok żywych wspomnień.

Zaczepiali ich taksówkarze, pytali, czy nie trzeba odwieźć, ale oni nie słyszeli, przerzucając się ciągle słowami i ciesząc się sobą.

Potem Szurik chwycił walizkę i niewygodne pudełko z niepewnie przyklejonymi taśmą uchwytami, a Lila usiłowała podtrzymać je z boku, coś szczebiocząc o swojej zwariowanej sąsiadce Tuśce, która zmusiła ją do taszczenia tego głupiego pudełka z Jerozolimy do Paryża, z Paryża do Moskwy, i chwala Bogu, że choć do Tokio nie trzeba go targać, jaka to głupota, że zgodziła się, ale sąsiadki syn zginął w wojsku, jedyny syn, i ona nieco zwariowała, siedzi, dzierga i pruje, jak Penelopa, i patrzeć na nią żal, a rączki urwały się już na lotnisku Ben Gurion i ona z tym pudełkiem już tam miała biedę.

Wsiedli do taksówki, ale jakoś niefortunnie \* Lila z pudełkiem na tylnym siedzeniu, a Szurik \* obok kierowcy, i całą drogę, odwróciwszy się do Lili, patrzył na nią, i coś

w jej wyglądzie zewnętrznym mu przeszkadzało, ale nie mógł tego określić. Nastąpiła w niej jakaś jedna nieprawidłowa zmiana.

W czasie drogi zdecydowali, że zanim pojadą do Hotelu Centralny, gdzie Lila miała zarezerwowany pokój, pojadą do Szurika: Wiera Aleksandrowna wyraziła życzenie zobaczyć Lilę Łaskinę.

Lila zgodziła się:

\* Tak, tak, ale tylko na chwilę. Ja chcę do naszego domu, wejść na podwórko, pochodzić po centrum i to przekłete pudełko obiecałam odwieźć matce Tuśki.

Podjechali pod dom Szurika \* taksówki postanowili nie zwalniać, żeby bagaży w górę i w dół nie dźwigać. Wyskoczyli z samochodu, wbiegli do klatki, trzymając się za ręce. Dziwne uczucie oładnęło Szurikiem: trzeba się spieszyć, żeby zdążyć w ciągu tej darowanej im doby nadrobić stracone dwanaście lat.

Świetlana z trzeciego piętra domu naprzeciw obserwowała, jak przebiegli do klatki \* Szurik i dziewczyna w długiej spódnicy z afrykańską fryzurą. Dziewczyna biegła podskakując jak baletnica

i Świetlana początkowo pomyślała, że to Maria wróciła, ale zaraz uświadomiła sobie, że Maria jest wyższa od tego chucherka. Czyli, znowu ma nową kobietę. Jeszcze jedna kobieta.

Ruina, krach, pełna katastrofa. I sedno, oczywiście, nie we wczorajszej wulgarniej babie z namalowanymi czarnymi brwiami. On po prostu prowadzi podwójne życie i wszystkie wysiłki, wieloletnie wysiłki, poświęcone jemu, okazały się absolutnie próżne, jak całe jej puste życie i jak głupie było czepianie się tego widma mężczyzny.

Jednak Świetlana nie rzucała niczego w połowie. Zeszła piechotą z trzeciego piętra, bez pośpiechu podeszła do taksówkarza, cały czas stojącego przy domu Szurika:

\* Nie odwiózłby mnie pan...

Taksówkarz, nie odrywając się od gazety, burknął:

\* Nie, jestem zajęty. Stąd muszę jeszcze do Hotelu Centralny jechać...

Świetlana nawet nie zdziwiła się, że szofer odpowiedział na pytanie, którego nie zadała. Postąpiła chwilę, pomyślała i pojechała do Hotelu Centralny.

60.

Ulicą Gorkiego zeszli do Maneżu, przeszli obok uniwersytetu, ale do środka nie wchodzili, tylko pokręcili się po placu, w cieniu topól Łomonosowa, w tłumie studentów. Lila podniosła głowę, popatrzyła w niebo i powiedziała;

\* Boże, jaka cudowna pogoda! Czasami tęskniłam za zimą, ale całkiem zapomniałam, jak pięknie tu jesienią. Takie dobre ciepło, prawie jak temperatura ciała, tak, mleka prosto od krowy, niezauważalne i w sam raz. U nas albo gorąco, albo zimno, a takiej zadziwiającej temperatury wcale nie ma...

Przeszli obok domu Paszkowa i zdumiona Lila zatrzymała się:

\* Apteka! Aptekę zburzyli! Ależ tu wszystko wyburzyli! Moja nauczycielka mieszkała w piętrowym domku, w tym miejscu...

Część dzielnicy, poniżej początku Kalinina, była przekształcona w skwerek. Poszerzono drogę z Kamienego Mostu w stronę Maneżu. Lili chciało się płakać \* żal było nie tyle zburzonych domów, ile własnej pamięci, przeżycia bolesnego wymazania. To, co w zatrzymanym w pamięci obrazie widniało jako skończone i istniejące, teraz należało poprawić zgodnie z nową rzeczywistością i zapisać jako nowy obraz.

Od muzeum Puszkina do stacji metra Kropotkinskaja wszystko zachowało się jak dawniej, a te małe nierzucające

się w oczy domki, przytulnie przycupnięte między Kropotkinską i Metrostrojewską, wyrwano, a na ich miejscu stał jakiś, ni przypiął, ni wypiął, żelazny bohater.

\* A to kto? \* zapytała.

\* Engels \* odpowiedział Szurik.

\* Dziwne. Niechby chociaż Kropotkin...

Trzymając się za ręce, przeszli po Kropotkinskiej obok Domu Uczonych, dokąd Lila w dziewczęcych latach biegała do wszystkich pod rząd kółek, z teatralnym włącznie. Obok straży pożarnej. Obok domu Denisa Dawydowa... Uśmiechała się słabo i niepewnie \* czym bliżej domu, tym więcej było tak jak dawniej... Podeszli do rogu, gdzie Czysty Zakątek przechodził w Kropotkinską. Stanęli naprzeciwko klatki domu Lili, popatrzyła w okna, które niegdyś były jej oknami.

\* W naszej komunałce mieszkała jedna cudowna staruszka, Nina Nikołajewna. W malutkim pokoiku przy kuchni. Kiedyś całe mieszkanie należało do niej, przed rewolucją to była bardzo bogata rodzina. Jacyś przemysłowcy czy biznesmeni, zdaje się, że na Uralu mieli coś wielkiego, fabrykę czy coś takiego... I raz widziałam, jak patriarcha zatrzymał się, dwoma wołgami jeździł, zieloną i czarną, w jednej pewnie ochrona. Czarne auto stanęło, on wysiadł, ona idzie mu naprzeciw, pocałowała go w rękę, a on ją pobłogosławił, wielką taką łapę na kapelusik położył. I odjechał. Jego rezydencja znajdowała się tuż obok. A ja z tornistrem szłam ze szkoły, dość zuchwała była ze mnie dziewczynka, podbiegłam do niej i pytam: a skąd pani go zna, Nino

Nikołajewna? A ona mówi: kiedy patriarcha był młodym kapłanem, służył w naszej domowej cerkwi... A przecież nie kłamała... A zasłonki, zobacz, zasłonki w jej pokoju wciąż te same wiszą. Czyżby jeszcze żyła?

Weszli do klatki: i zapach był ciągle ten sam. Oparła się o ścianę przy kaloryferze. Na tym miejscu zawsze się całowali zanim wbiegała na pierwsze piętro. Szurik objął jej głowę rękami, odchylił gęste jak filc włosy i dotykał odstających uszu. Włosy były zbędne.

\* Uszka \* mamrotał. \* Czemu schowałaś uszka? Dlaczego zapuściłaś sobie włosy?

Małżowiny miała delikatne, prawie zupełnie nie zakręcone, a z tyłu ucha było takie długie wgniecenie, wąski rowek. Przeciągnął po nim palcem, wstrząśnięty całkowitą niezmiennością namacalnego wrażenia. Lila zachichotała i potrząsnęła ramieniem:

\* Szurik, łaskocze!

Podniosła rękę, potargała mu włosy \* pieszczotliwie i po macierzyńsku.

\* Kiedy chodziłam w ciąży z synem, z jakiegoś powodu byłam przeświadczona, że będzie podobny do ciebie, że będzie miał twoje włosy i oczy. A on jest rudy.

\* To ty masz syna? \* zdziwił się Szurik.

\* Cztery lata. Dawid. Jest teraz z mamą. Ja mam przecież staż w Japonii... Pracuję tam od rana do nocy. I zostawiłam go u niej... No, chodźmy, chodźmy...

\* Do mieszkania? \* spytał Szurik.

\* Nie. Nie trzeba. Sąsiedzi nasi byli dość wredni, tylko Nina Nikołajewna była sympatyczna. A w ogóle \* zbyt sentymentalnie się zrobiło. Chodźmy po prostu pospacerować. Bardzo mi się podoba. I czasu nie tak dużo, a jeszcze muszę to diabelskie pudełko zawieźć. Chodź na Zamoskworiecze! Wyszli z klatki \* po przeciwległej stronie stała Świetlana blada i skoncentrowana. Szła za nimi od samego hotelu, dokąd dotarła przed nimi.

Szurik spotkał się z jej wzrokiem. Odwróciła się do ściany i stała jak ukarane dziecko \* twarzą do kąta. Potworne, straszne upokorzenie... Wpadła!

Szurik zamarł. Od dawna wiedział, że go śledzi, ale udawał, że nie zauważa, żeby jej nie przyłapać. Ale teraz niespodziewanie rozzłościł się: co za obrzydliwość, szpiegowanie wstrętne... Ale zaraz odwrócił się, udając, że nic się nie stało i pociągnął Lilę za rękę.

\* Taxi! Taxi! Na Zamoskworiecze!

Kiedy Świetlana odwróciła się, Szurika z chuchrem już nie było.

61.

Ściemniło się. Kilka godzin włóczyli się z Lilą po podwórkach, przemykali się przejściami między domami ze śladami pożarów \* niedawnych lub z czasów roku dwunastego \* na jednym z pustych podwórek nawet potańczyli: z otwartego okna płynęła muzyka i Lila podskoczyła, szarpnęła Szurika za rękę i zakręciła pośród łopianów i potłuczonego szkła.

Noc do granic była wypełniona gęstym i barwnym życiem: na pustym podwórzu, pod ścianą cerkwi trzech oberwanych wyrostków chciało ich okraść, ale Lilka ich wesoło i uszczypliwie wyśmiała, a wtedy tamci chcieli się zaprzyjaźnić i wyciągnęli butelkę wódki, którą razem wypili na tym samym podwórzu. Potem podglądali miłosną scenkę w altance. Właściwie nie scenkę miłosną, a akt płciowy, któremu towarzyszyły monotonne kobiece krzyki: „Szybciej, Sierioğa, szybciej!”.

Nie zdążyła Lilka ochłonać ze śmiechu, zasapana, jękająca się, kiedy zobaczyli, że trzech milicjantów okrutnie bije pijanego chłopaka, ucichli i odeszli w przeciwną stronę do tej, w którą milicjanci powlekli chłopaka. Wyszli na Golikowski Zakątek, znaleźli tam wspaniałą piętrową willę z lat trzydziestych dziewiętnastego wieku, z trójkątnym frontonem i delikatnym ażurowym ogrodzeniem. Gęsty cień, padający od dwóch dużych drzew, posadzonych prawdopodobnie w czasach, kiedy zbudowano dom, krył dach i tym

święteczniej jaśniał barokowy żyrandol w oknach pierwszego piętra. Podczas, kiedy rozkoszowali się pięknem domku, wyszedł z niego okrągły brodaty człowiek na krzywych nogach z wielkim owczarkiem, który zaczął szczekać i rzucać się na Lilę i Szurika. Mężczyzna grzecznie ich poprosił, by odeszli dalej, bo pies jest młody i słabo słucha komend, a on sam jest tak pijany, że nie będzie w

stanie utrzymać swojego pupila, jeśli mu się zechce rozerwać ich na strzępy.

Mówił z pijacką powolnością, pies rwał się do boju, a on miotał się na końcu smyczy, jak balon na uwięzi.

Szurik z Lilą cofnęli się, a w tym czasie z drzwi wyszła jasnowłosa piękność, powiedziała niezbyt głośno: \* Pamiir, do mnie! \* i wściekły pies, momentalnie zapominając o swoich ochroniarskich obowiązkach, zaczął czołgać się do niej prawie na brzuchu, przymilnie skomlać, a brodaty człowiek robił wymówki, jawnie obrażony.

\* Zojka, przecież to ja z tobą żyję, a nie Pamiir, dlaczego do ciebie wszystkie chłopy ciągną? Pamiir, no co ty w niej takiego widzisz, dwoje oczu, dwoje uszu, p...a i d...a! Babajak baba!

\* Gosza, puść smycz! No, chodź tu!

I ona po gospodarsku wprowadziła swoich dwóch samców, a Lila znowu umierała ze śmiechu.

\* Szurik! Tu takie kino pokazują, że Fellini nie ma nic do roboty... Słuchaj, to tak zawsze było czy dopiero teraz się zaczęło?

\* Co się zaczęło? \* nie zrozumiał Szurik.

\* Teatr absurdu, ot co.

„To już było. Coś podobnego było” \* pomyślał Szurik, ale o Francuzce Joel nie wspomniał.

I znów szli przez podwórka, aż doszli do jakiegoś dziwnego miejsca, gdzie niedawno wyburzono dom, a w powstałej przerwie widać było brzeg Moskwy rzeki, sobory Kremla i dzwonnice Iwana Wielkiego. Znów siedzieli na ogrodowej ławeczce, przy zbitym z desek stole, ulubionym miejscu graczy w domino. On trzymał ją na rękach, przepelniony wielką, ale hybrydową czułością, która składała się z tej, którą czuł do Wierusi, i tej, którą wywoływała w nim Maria, kiedy chorowała i tuliła się do niego i prosiła o to, o czym jeszcze nie mogła wiedzieć. Ona zrzuciła z nóg pozłacane pantofle, w których przyjechała i w jego lewej ręce grzały się jej maleńkie stopki, a prawa głaskała przez czarną podkoszulkę maleńkie piersi, wolne od idiotycznego przedmiotu z haczykami i guzikami, tylko żywe i oddychające.

\* Chodziłaś zawsze w minispódniczkach i tak mi się podobało, jak chodzisz, twój chód jest jakiś osobliwy...

\* Jakie minispódniczki? Ja ich od tamtej pory nie noszę! Przy moich nogach! Co prawda, w Japonii o tym zapomniałam, Japonki są najbardziej krzywonogimi kobietami na świecie. Za to najpiękniejsze... Podobają ci się Japonki?

\* Lii, ja ani jednej żywej Japonki w życiu nie widziałem.

\* No tak, oczywiście \* sennie zgodziła się Lila.

I wtedy zaczęło się coś dziać w powietrzu, wiaterek powiał, rozwiął ciemności, trochę pojaśniało, czarne drzewa wokół stały się ciemnozielone i nie monolityczne, a ziarniste, i Kreml, widoczny w prześwicie między domami zaczął ożywać, zmieniać się, nasączać barwami. Światło szło z lewej, a razem ze światłem powstawały cienie, co było płaskie nabierało trójwymiarowości, a Szurik, obserwując ten obraz, pojął nagle, że to nie świt, a obecność Lili nadaje wszystkiemu objętość.

\* Boże, jak pięknie! \* powiedziała Lila.

Zdrzemnęła się w jego objęciach. Świtało. Liście zaszeleściły i kilka złotych, małych listków upadło obok na ławkę. One też nie były płaskie i wyglądały jak w trójwymiarowym filmie. A wszystko czarno\*białe, szare, naraz stało się kolorowe, jakby zmieniono taśmę. Szurik siedział na ławce, Lilka ułożyła się na jego rękach.

„To halucynacja” \* pomyślał.

Nigdy niczego podobnego nie przeżywał. Wszystko powiększyło się, każda minuta była jak duże jabłko \* ciężkie i dojrzałe.

Nie, to nie halucynacja. Cała reszta była majakiem, oszustwem, próżnią. Głupia życiowa krzątania: z apteki na rynek, z pralni do redakcji, głupie tłumaczenia, głupie słuzenie samotnym kobietom. Trzeba było nie puścić jej, Lilki, zawsze trzymać tak właśnie, na rękach, i nie ma na świecie niczego lepszego i mądrzejszego, nie ma niczego bardziej słusznego...

\* Oj! \* podskoczyła Lila. \* Pudełka zapomnieliśmy zawieźć! Szurik! Która godzina?

\* Nieważne. Odwiozę twoje pudełko, tylko adres zostaw.

\* Aleja obiecałam Tuście odwiedzić jej matkę. Cholera! O dwunastej muszę być na lotnisku.

Spieszyć się nigdzie Szurikowi nie chciało. On od tak dawna spieszył się, od lat, bez ustanku spieszył się, a teraz zostawało raptem kilka godzin, szczególnych, ważkich minut z Lilą i on, strąciwszy listek z jej ramienia, powiedział:

\* Pójdziemy teraz na rynek, do baru tatarskiego, pokazał mi go Gija. Otwierają prawie o świcie. Tam dają wspaniałe pierożki z baraniną. I dobrą kawę parzą. Albo herbatę.

\* Tatarski bazar? Wspaniale! Nawet nie wiedziałam, że w Moskwie jest taki rynek. Pewnie podobny do naszego arabskiego? \* poderwała się Lila i nałożyła złocone pantofelki na bose nogi. Była gotowa do nowej przygody.

62.

Był jeden z rzadkich wrześnieowych ranków, lśniący mgiełką i niebiańską chwałą. Z Ordynki wyszli na Piatnicką, obeszli metro i znaleźli się przy rynku. Tam, na rynku, rzeczywiście sprzedawano koninę, końską kielbasę i wszelkie tatarskie słodczyce z kleistego ciasta. Bar był już czynny. Dwóch Tatarów w tiubietijkach piło herbatę przy czystym stoliku i rozmawiało w swoim języku. Pachniało gorącym tłuszczem i korzennymi przyprawami. Za barem stał starszy ogolony do gołej skóry człowiek z królewską dumą w twarzy.

\* Proszę usiąść, herbatę podadzą, a na pierożki trzeba trochę zaczekać. Zaraz będą.

Lila siedziała przy stoliku, kręciła głową, mówiła Szurikowi o tym, że przywykła, no, prawie przywykła do tego, że świat zmienia się co pół godziny, no nieco każde pół godziny, a co każde pół roku! I zmienia się radykalnie, we wszystkich parametrach, tak że nie zostaje nic poprzedniego, a wszystko staje się nowe. Strzygła palcami w powietrzu i jakby ścinki leciały w różne strony, a to, co zostawało \* w to można było wierzyć bezsprzecznie.

\* Więc myślisz, Japonia! Nic nie rozumiesz \* ani z ich stosunków, ani z jedzenia, ani ze sposobu myślenia. Cały czas boisz się popełnić straszny błąd. Ale, jak u nas myje się ręce przed jedzeniem, to u nich \* po. Nas krępuje wyjście do ubikacji, staramy się wymknąć tak niezauważalnie, a u nich nieprzyzwoite jest nie uśmiechać się, kiedy się do ciebie zwracają. Kiedy uczyłam się języka arabskiego, mieliśmy wspaniałego profesora. Palestyńczyk, bardzo wykształcony, Sorbonę ukończył. To do niego nie tylko nie wolno się było uśmiechnąć, ale nawet spojrzeć na niego. I on na nas nie patrzył. A w grupie było nas ośmioro, z czego sześć kobiet. Kiedy słyszał nasz śmiech, to po prostu bladł, takie zwyczajne...

Potem im podano pierożki. Były złote, z brązowymi pęcherzykami, dymiły, a zapach smażonej baraniny rozchodził się od talerza tak intensywny, że prawie go było widać. Lila chwyciła pierożek. Szurik ją powstrzymał:

\* Bardzo gorące, ostrożnie.

Roześmiała się i podmuchała na pierożek. Z tylnych drzwi wyszła trzyletnia dziewczynka w kolczykach, podeszła do Lili i zapatrzyła się na jej pantofelki, jak na cudo. Lila pokiwała nogą. Dziewczynka złapała pantofelek. Ogolony gospodarz krzyknął coś po tatarsku, wybiegła dziewczynka może sześćoletnia, złapała małą za rękę, ta rozplakała się. Lila otworzyła torebkę, wiszącą na pasku, wyjęła z niej dwie spinki z różowymi motylkami i dała dziewczynkom. Starsza zatrzepotała rzesami jak motyl skrzydełkami, cicho powiedziała: „Dziękuję” i obydwie zniknęły, ściskając drogocenne podarki. Lila ugryzła pierożek. Prysnał maślanym strumieniem Szurikowi w twarz. Wytarł tłuszcz i roześmiał się. Lilka zachłysnęła się swoim dziewczęcym śmiechem. Pierożki były pyszne, a Lilka i Szurik bardzo głodni. Zjedli po dwa pierożki i wypili po dwie szklanki herbaty. A potem gospodarz przyniósł im talerzyk z dwoma kawałkami bakławy.

\* O, complements! \* zaśmiała się Lila, włożyła do ust słodki kawałek i, wychodząc, pomachała ręką gospodarzowi i powiedziała coś w zupełnie nieznanym języku. On drgnął i odpowiedział coś bez uśmiechu, z kamienną twarzą.

\* Co ty mu powiedziałaś? \* spytał Szurik.

\* Powiedziałam mu po arabsku bardzo piękne przysłowie w rodzaju: „Niech wasze dobro do was powróci”.

Ruszyli w stronę hotelu, ponownie piechotą, nie spiesząc się. Szurik nie spał drugą noc. Był w

dziwnym stanie, wszystko wokół było trochę chybotliwe i rzadsze. Jakby rekwizytowe. I ciało było lżejsze niż zazwyczaj, jakby pogrążone w wodzie.

\* Czy ty czujesz niezwykłą lekkość? \* zapytał Lili. \* Jeszcze jak czuję! Tylko pudełka nie zapomnij przekazać \* przypomniała Lila.

Doszli okrężnymi drogami do hotelu. Szurik nie miał ze sobą dowodu i nie wpuszczono go do pokoju. Lila weszła

na górę, dosyć długo czekał na nią w holu. Potem zjawiła się w innym ubraniu: teraz bluzka była czerwona, a nie czarna, wargi pomalowała czerwoną szminką. A wyglądała jak dziewczynka, która podkrađa mamie kosmetyki. Bagażowy przyniósł walizkę i pudełko. Podjechała taksówka. Lila dała tragarzowi napiwek. Szurik nie zdążył wziąć jej walizki, kiedy ona wykonała płynny gest palcami i szofer włożył do bagażnika walizkę i pudełko.

\* Pudełko po drodze zawieziemy do ciebie. Adres napisałam na pudełku.

Usiedli obok siebie na tylnym siedzeniu. Jej włosy pachniały mydłem czy szamponem, a w tym zapachu był jakiś odcień perfum, którymi kiedyś skrapiała się jego babcia. Francuskich, oczywiście, perfum. Wdychał ten zapach, starając się wypełnić nim płuca i nie wypuścić, myślał \* i zaraz zabraniał sobie myśleć \* że zaraz wszystko się skończy.

Zatrzymali się przed domem. Lila spytała, czy ma pójść razem z nim, żeby pożegnać się z Wierą Aleksandrowną. Szurik pokręcił głową i zaniósł pudełko.

Po raz drugi w życiu żegnali się na Szeremietiewie. Zanim przeszła granicę, ona wspięła się na palce, on pochylił się, i się pocałowali. To był długi prawdziwy pocałunek, taki, przed spełnieniem którego chodzi się razem ulicami, nie decydując się dotknąć rąbka odzieży i koniuszków palców. Z początku pełen czci, potem przemienił się w lej, z którego jeden przelewał się w drugi i pocałunek nie był obietnicą czegoś trwalszego i wielkiego, a samą doskonałością, i przyzwoleniem, i zakończeniem... Szurik przeciągnął językiem po zębach Lili i wyczuł ich wyraźną biel i gładkość, i zrozumiał, że poprzednie ząbki, lekko wystające i dodające jej małpiego wdzięku, ona wymieniła. „Małpeczką ją nazwał” \* przypomniał sobie Polinkowskiego.

Patrzyli na siebie, ponownie, jak poprzednim razem, żegnając się na zawsze.

\* Niepotrzebnie ząbki wyprostowałaś \* powiedział Szurik na ostatek.

\* Jeśli zauważyłeś, to nie niepotrzebnie \* roześmiała się Lila.

63.

Wrażenie nowości życia nie przemijało. Przyjechał do domu. Wierusia siedziała przy pianinie i ćwiczyła etiudę Chopina. Dawniej wykonywał ją Lewandowski i przyszła jej ochota ją zagrać. Palce nie były w pełni sprawne, ale cierpliwie powtarzała tę samą frazę. Pochłonięta swoim zajęciem, nie usłyszała, kiedy szcześnie zamkiem. Szurik wszedł do niej do pokoju, pocałował starczą główkę i przypomniał sobie zapach włosów Lilki.

\* Tak trudno mi idzie \* poskarżyła się Wiera.

\* Uda się. Tobie się wszystko udaje \* odpowiedział Szurik, wychodząc z pokoju, a Wierze Aleksandrownie przywidział się nieprzyjemny odcień lekceważenia \* jakby rozmawiał z dzieckiem.

Szurik poszedł do łazienki, stanął pod prysznicem. Tu go dopadł dzwonek telefonu. Dzwoniła Świetlana.

\* Szurik! Ja potrzebuję, żebyś natychmiast do mnie przyjechał.

Szurik stał w korytarzu, owinięty ręcznikiem kąpielowym i nie odczuwał najmniejszej ochoty jechać do Świetlany. Musiał odwieźć pudełko.

\* Świetoczka, nie mogę. Dzisiaj jestem zajęty.

\* Czyżbyś nie rozumiał, Szurik, że jeśli cię o coś proszę, to jest to rzeczywiście ważne \* twardo powiedziała Świetlana.

Szurik chciał zapytać, co się stało, skąd taki pośpiech, ale zaraz stwierdził, że wcale go to nie interesuje. \* Jak będę wolny, zadzwonię do ciebie, dobrze?

Świetlana uciekła spod nóg: czegoś takiego jeszcze nie było.

\* Możliwe, że mnie nie zrozumiałeś, Szurik? To bardzo ważne. Jeśli nie przyjedziesz, pożałujesz tego \* całkiem już cicho, z lekką groźbą powiedziała Świetlana.

Jaka to odpowiedzialność \* być sensem i centrum czyjegoś życia. Uważał, że ona zależy od niego. Dziś zrozumiał, że to on zależy od niej. W tym samym stopniu.

Świetlana otworzyła torebkę, wyjęła z niej nóż i rzuciła go na stół. Potem otworzyła książeczkę i zrobiła krótką notatkę. Wyjęła z szafki flakonik z tabletkami i odliczyła sześćdziesiąt sztuk. Potem oddzieliła od nich dwadzieścia i odsunęła na bok. Miała swoje wyliczenia: sześćdziesiąt wzięła w siedemdziesiątym dziewiątym i nic nie wyszło, bo dawka była za duża: zaczęła się intoksykacja, zwymiotowała. Czterdzieści było w sam raz. Zresztą, czterdzieści wzięła w osiemdziesiątym pierwszym... Ale wtedy szybko przyjechali.

Skrupulatnie powkladała tabletki z powrotem do flakonika. Nie. Coś innego.

Zamaszystym ruchem zmiotła z ciężkiego dębowego stołu, stojącego przy oknie, stertę gotowych i nieskończonych kwiatów, zadzwięczały zrzucone metalowe przedmioty. Przeciągnęła stół na środek pokoju, postawiła na nim krzesło, wlaźła. Tam, w suficie, był umocowany hak na żyrandol. Ale nie było tam żyrandola, tylko mała lampa z falistym szklanym kloszem. Pociągnęła za hak. Był zakurzony, ale w suficie siedział mocno.

„Nikomu nie jestem potrzebna. Ale i mnie nikt nie jest potrzebny \* uśmiechnęła się, a jej kobieca duma, umęczona kompromisami, rozpostarła jedwabne skrzydła. \* Szkoda tylko, że nie zobaczę twojej miny, kiedy przyjedziesz tutaj po wszystkich swoich zajęciach...”.

Doktor Żuczylin, porównując czerwono\*niebieskie kółeczka w dzienniczku Świety z datami notatek, czarnymi ołówkowymi krzyżami i swoimi zaleceniami, rozmyślał o potędze biochemii, która, stężona w pewnym stopniu, wyrzucała do mózgu tej biednej dziewczyny tajemnicze instrukcje, które zmuszały ją do poszukiwania śmierci.

„Tyle lat ją prowadziłem i nie utrzymałem” \* rozpaczal Żuczylin.

64.

Adres był napisany na pudełku szarym flamastrem \* Przejazd Szokalskiego, dom, korpus, mieszkanie i nazwisko adresatki \* Cyla Sołomonowna Szmuk. Pieniądze w ciągu tych dni rozeszły się prawie do ostatniej kopiejki, na taksówkę nie było, a prosić Wierusi Szurik nie uważał za możliwe. Do żadnej torby pudełko się nie mieściło, Szurik obwiązał je sznurkiem i wiozł ogólnie dostępnym transportem, z przesiadką w metrze i dwoma autobusami. Od autobusu też nie było blisko. Pudełko było lekkie, ale sznurek okazał się taki słaby, że przy wsiadaniu do autobusu się urwał i ostatnie sto metrów niósł pudełko na plecach ku ucieście wszystkich napotkanych dzieciaków.

Wszedł na czwarte piętro, zadzwonił do drzwi. Zapytano, kto. Powiedział, że przesyłka z Jerozolimy. Po długich przygotowaniach i dzwonieniu łańcuchów drzwi się otworzyły, wysunęła się malutka garbata staruszka:

\* Proszę, niech pan wejdzie, mnie Tusia pisała, że przyjedzie jej przyjaciółka Lila, a przyszedł pan. Czyżby ona nie mogła sama mnie odwiedzić?

\* Ona już odleciała do Tokio \* wyjaśnił Szurik, przyciskając pudełko do piersi.

\* Tak właśnie mówię: czyżby nie można było mnie odwiedzić przed tym Tokio? Co pan stoi, niech pan wejdzie i otworzy pudełko.

Wygląd staruszki był przyjazny, ale ton swarliwy. Szurik postawił pudełko na taborecie. Cyla Sołomonowna podała mu nóż.

\* Czego pan stoi? Niech pan otwiera!

Szurik rozciął zaklejone pudełko i staruszka rzuciła się do wnętrza. Zaczęła wyciągać \* Szurik oczom swoim nie wierzył \* różnokolorowe motki wełny, zwinięte w pasma, jak to robiła w niepamiętnych czasach jego babcia, przerabiając dwa stare swetry na jeden nowy. To było tęczowe bogactwo biednych i staruszka przebierała motki z widocznym zachwytem.

\* Aaa \* wdychała \* jacy tam farbiarze! Niech pan spojrzy, sam czerwony wart krocie! A żółciutki! Wreszcie wyciągnęła z pudełka wszystko do ostatniej nitki \* na dnie były jakieś malutkie kłębuszki



i kawałki nitek.

\* A gdzie jest to? \* srogo zapytała Szurika?

\* Co? \* zdziwił się Szurik.

\* No, to, opis. W przesyłce zawsze jest opis, tak? Szurik nie pojmował, patrzył swoimi okrągłymi oczami.

\* I co pan tak patrzy? Jest pocztowy rejestr, opis, gdzie jest wszystko wymienione. Nazwa towaru, ilość, cena. Widzę, że pan nigdy nie otrzymywał paczek z zagranicy.

\* Nie otrzymywałem \* zgodził się Szurik. \* Ale przecież to nie przyszło pocztą. Lila Łaskina przywiozła ze sobą. Leciała z Jerozolimy do Paryża, potem do Moskwy, a z Moskwy do Tokio.

\* A co ona za człowiek, ta Lila Łaskina? Dlaczego ja powinnam jej wierzyć bez opisu? Pan, widzę, człowiek przyzwoity \* Żyd? A tej Łaskinej na oczy nie widziałam, może ona połowę sobie wzięła? Tusia zupełnie nie zna się na ludziach, wszyscy ją oszukują. No, dobrze, zostawmy to, widzę, pan też niczego nie rozumie.

Staruszka sięgnęła do szuflady z robótkami, wyszukała wiązkę kluczy, otworzyła boczne drzwiczki wielkiej staromodnej szafy, zanurzyła się tam i wyjęła zawiązany w marłę przedmiot, podobny do trzech razem złożonych tortów.

\* O \* powiedziała uroczyście i zaczęła rozwiązywać supeł na węzélku...

Wyjęła z zawiniątka trzy wełniane swetry, wszystkie nowe, wszystkie w paski.

\* To kiedy ta Lila będzie jechać z powrotem?

\* Ona tam do pracy pojechała. Nie wiem, kiedy będzie wracać. I myślę, że nie zatrzyma się w Moskwie.

Staruszka zdumiała się:

\* To jak to? Wełnę przywiozła, a swetrów z powrotem nie zabierze?

Szurik pokręcił głową.

\* Młody człowieku! Czyja pana dobrze rozumiem? Wychodzi na to, że wełnę przywiozła, dobrze, niech i bez opisu, a sweterków z powrotem nie powiezie? To po co mi w takim razie wełna? To w takim razie niczego nie potrzebuję! Może pan zabierać sobie pańską wełnę!

\* Nie, Cylo Sołomonowna, nie mogę zabrać pani wełny \* zdecydowanie powiedział Szurik.

\* Niech pan zabiera! \* zaczęła krzyczeć staruszka, czerwieniejąc.

Ale Szurik nieoczekiwanie roześmiał się.

\* Dobrze, zabiorę! I wyrzucę do najbliższego śmietnika. Niepotrzebna mi pani wełna!

A wtedy staruszka rozplakała się. Siadła na kanapce i zapłakała gorzkimi łzami. Przyniósł jej wody, ale nie chciała pić i tylko pochlipując, mówiła:

\* Pan nie może wczuć się w naszą sytuację. Nikt nie może wejść w nasze położenie. Nikt nie może wejść w czyjeś położenie!

Potem przestała płakać, powstrzymała się nagle, bez żadnego przejścia i natychmiast zadała rzeczowe pytanie.

\* Niech pan powie, bywa pan na Arbacie?

\* Bywam.

\* Wie pan, tam jest sklep „Wszystko do robótek”?

\* Uczciwie mówiąc, nie wiem \* przyznał się Szurik.

\* On tam jest. Pójdzie pan tam i kupi mi szydełko. Pokażę panu, jakie. Widzi pan, moje szydełko się złamało. Numer dwadzieścia cztery. A dwadzieścia dwa nie nadaje się. Zrozumiał pan?

Dwudziesty czwarty numer, ani trochę mniejszy! I przywiezie pan tu. Z domu nie wychodzę, tak że kiedy pan będzie mógł.

Szurik szedł do przystanku autobusowego ścieżką obsadzoną żółknącymi drzewami i uśmiechał się. Lilka odjechała i najprawdopodobniej nigdy nie przyjedzie. Ale było mu dobrze, jak w dzieciństwie. Czuł się szczęśliwy i wolny.

65.

Samolot wystartował płynnie i z mocą. Lilka zamknęła oczy i od razu zasnęła. Potem stewardessa

przyniosła napoje. Lilka wyjęła z torebki notatnik. Otworzyła. Wszystkie notatki były w jidysz. Wyjęła ze skórzanego uchwytu długopis i zapisała po rosyjsku.

„Myśl, żeby zajechać do Moskwy, była genialna! Miasto \* cudło! Całkiem rodzime. Szurik \* wzruszający do bólu, i kocha mnie nadal, co już zupełnie zadziwia. Z pewnością nikt mnie tak nie kochał, i pewnie nie pokocha. Strasznie delikatny i całkiem aseksualny. Jakiś staromodny. A wygląda kiepsko \* postarzał się, roztył, trudno sobie wyobrazić, że ma dopiero trzydziestkę. Mieszka z mamą, jakaś starość i śniedź. Ona jak na swoje lata całkiem niczego, nawet elegancka. Karmili wspaniałym jedzeniem, też staromodnym. Zadziwiająca sprawa \* w sklepach całkowita nędza, a na stole \* ucza. Ciekawe, czy Szurik ma jakieś życie osobiste. Nie wygląda na to. Z trudem sobie to wyobrażam. Ale jest w nim coś szczególnego \* on jest jakby trochę święty. Ale zupełny nudziarz. Boże, jak ja go kochałam! O mało nie zostałam dla niego. Jakie szczęście, że wtedy

wjechałam. A przecież mogłam wyjść za niego za mąż! Biedny Szurik.

Zatęskniłam za pracą. Zapewne przedłużą mi staż jeszcze na rok. Mają nadzieję, że co roku będę im znosić złote jajka. Ale wydaje mi się, że ten skandal w Anglii z powodu szpiegostwa przemysłowego dotknie koniec końców i nas. Przecież nie są zupełnymi idiotami”.

Lila zamknęła notatnik, włożyła długopis w uchwyt, schowała torebkę. Potem opuściła oparcie fotela, wsunęła pod głowę poduszkę, zakryła się ramieniem i zasnęła. Przelot był długi, jutro trzeba pójść do pracy, można było się wyspać.

2004 r.

Powieści Ludmiły Ulickiej

#### PRZYPADEK DOKTORA KUKOCKIEGO

Wspaniała epicka powieść, rodzaj sagi rodzinnej, prezentującej historię rodu i drogę życiową genialnego lekarza\*położnika, potem jego żony, a następnie pasierbicy. Autorka przedstawia wizerunki różnych grup zawodowych i środowiskowych: lekarzy, uczonych, dyskutantów, bohemy artystycznej. Nierzadko są one ironiczne. Autorka porusza problemy natury etycznej, prezentuje typowe zjawiska społeczno\*polityczne i pokazuje absurdalność życia w Rosji sowieckiej. Porusza też niezwykle trudny problem aborcji. Książka uhonorowana Nagrodą Bookera.

135 x 205 mm, str. 488, cena 29,90 zł

#### SONIECZKA

Historia Sonieczki przypomina bajkę o Kopciuszku. Nieśmiała, niepozorna dziewczyna dorasta w odpychającej radzieckiej rzeczywistości i ucieka przed nią w świat książek. W bibliotece w Swierdłowsku, w której pracuje, poznaje malarza Roberta Wiktorowicza, który się jej oświadcza. Sonieczka ma męża, którego kocha i zdrowe dziecko. Wkrótce wracają do Moskwy, poprawia się ich sytuacja materialna, jednak gdy córka przyprowadza do domu szkolną koleżankę, bajka się kończy...

125 x 210 mm, str. 100, cena 14,00 zł

:>>

#### MEDEAI JEJ DZIECI

Główną postacią powieści jest Medea, stara kobieta mieszkająca na Krymie, Greczynka z pochodzenia, do której każdego lata zjeżdżają się krewni. Ich sprawy splatają się z jej własną zawikłaną ścieżką życia. Staroświecki i romantyczny świat Medei kontrastuje z bardziej nowoczesnym i chaotycznym światem jej młodych krewnych, a szczególnie z ich seksualną swobodą. Medea obserwuje ich, lecz do niczego się nie wtrąca, kocha i akceptuje takich, jakimi są.

•